

PATRICK REDMOND:

MARIONETKA:

Przekład
Jan Kraśko

AMBER.

Tytuł oryginału THE PUPPET SHOW

Redaktorzy serii MAŁGORZATA CEBO-FONIOK MAŁ ZBIGNIEW FONIOK

Ilustracja okładki MASTERFILE/EAST NEWS

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład

WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu [http://www.](http://www.amber.sm.pl)

amber.

sm.pl

Copyright 2000 by Patrick Redmond.

All rights reserved.

For the Polish edition Copyright © 2000 by Wydawnictwo Amber Sp.

z o.

o.

ISBN 83-241-0331-7

Mojej matce Mary Redmond

WYDAWNICTWO AMBER Sp.

z o.

o.00-108 Warszawa, ul.

Zielna 39, tel.

620 4013, 620 81 62 Warszawa 2000.

Wydanie I Druk: Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza Ponowna oprawa: Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

Prolog

Bow, wschodni Londyn, 1984

Gdzie Michael?

Dlaczego nie przyszedł?

Chcę się nim pożegnać.

- Sean postawił torbę i wbił wzrok w ziemię.

Miał zaczerwienioną twarz, trzęsłymi się wargi.

Susan Cooper, która szła za nim z walizką, wzięła głęboki oddech.

- Już ci mówiłam: nie możemy go znaleźć.

- Ale ja chcę się z nim pożegnać!

Niewyjadę bez pożegnania!

Stali na chodniku przed domem dziecka.

Był to wielka wiktoriańska kamienica z szarego piaskowca, jedyny samotnie stojący budynek po tej stronie ulicy.

Naprzeciwko wyrastał betonowy labirynt gmachów rady miejskiej, które przesłaniały słońce, pograżając wąską uliczkę w cieniu.

Tom Reynolds czekał w samochodzie.

Chciał wysiąść, ale Susan pokręciła głową.

I tak byli już spóźnieni.

Jeszcze kilka minut i utkną w korku.

Kilku chłopców kopało na ulicy piłkę.

Nie zwracając uwagi na rozgrywający się przed nimi dramat, po każdym strzale obrzucali się wyzwiskami.

Susan zadrżała.

Chociaż był dopiero początek października, przenikliwy wiatr niósł zapowiedź rychłej zimy.

Minęli ich starzec i staruszka.

Obładowani zakupami, posłali Seanowi współczujące spojrzenie.

Susan przeklęła w duchu Michaela.

Tylko tego jej brakowało.

- Ile razymam ci powtarzać, że nie możemy go znaleźć.

- Powiedziała to ostrzej, niż zamierzała.

- Przykro mi, ale nic nato nie poradzę.

- W takim razie nigdzie niejadę!

Nie chcę!

Nikt mnie do tego niezmusi!

Jego łagodne oczy wypełniły się łzami.

Susan natychmiast się zawstydziała.

Przykucnąwszy, odgarnęła mu z czoła kosmyk niesfornych blond włosów.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nie chciałam na ciebie krzywić.

Szukaliśmy go, naprawdę.

Ale wiesz, jaki on jest.

Pewnie znowu narozrabiał i.

- On nie chciał tu przyjść.
-Ależ oczywiście, że chciał.
- Pocałowała go w policzek.
-Jest twoim najlepszym przyjacielem.
Zrobiłby wszystko, żeby tu być.
- Nieprawda.
Powiedział, że mnie nienawidzi, że cieszy się z mojego wyjazdu.
Powiedział.
- Sean przełknął łzy.
-Powiedział, że przybrani rodzice tylko udają miłych, że chcą panią oszukać.
Że kiedy do nich przyjadę, zamkną mnie w piwnicy, zapłacę opiekę społeczną, żeby nikt o mnie nie mówił.
- Tylko się z tobą droczył - łagodnie Susan.
- Państwo Andersen to bardzo miłe ludzie.
Myślisz, że oddałabym cię pod opiekę komuś, kto nie jest miły?
Nie odpowiedział.
Zajrzała mu w oczy.
- Naprawdę tak myślisz?
Powoli pokręcił głową.
- Mają piękny, duży ogród i dwa psy.
Będiesz tam szczęśliwy, zobaczysz.
Obiecuję.
Zatrąbił klakson, posypały się przekleństwa.
Klął jakiś kierowca; samochód Toma blokował jezdnię.
Nie mogła tego przedłużyć.
- Wskakuj.
Tom powiedział, że możesz usiąść z przodu i posłuchać kaset.
Tom pochylił się i otworzył drzwi.
- To jak?
Jedziemy?
- spytał z uśmiechem.
Kierowca zablokowanego samochodu zatrąbił ponownie.
Tom wystawił głowę przez okno.
- Chwileczkę!
Potargał Seanowi włosy.
- Wskoczmy na autostradę i pobijemy rekord prędkości na lądzie, chcesz?
Sean wykrzywił usta w słabym uśmiechu.
Susan pomogła mu zapiąć pas.
- Odwiedzi mnie pani?
- spytał z niepokojem.
- Spróbujmy tylko zabronić.
Nic z tego.
Nadal coś go trapiło.
- I nie zapomni pani o moim zdjęciu?
Poszuka pani?
- Oczywiście.
Nie martw się, na pewno je znajdziemy.
Odjechali.
Chłopcy z naprzeciwka przepuścili samochód i podjęli grę.

Susan stała na chodniku, odmawiając w duchu błagalną modlitwę.

Boże, spraw, żeby wszystko dobrze się skończyło.

On ma tylko dziesięć lat i zdążył już tyle wycierpieć.

Zasługuje na odrobinę szczęścia.

Odwróciła się ze smutkiem i ruszyła w stronę domu.

Michael stał nakońcu ulicy, obserwując, jak Susan obejmuje Seana.

Na ramieniu miał szkolną torbę.

Powinien był wrócić przed godziną, zamiast tego włóczył się po okolicy, zabijając czas.

Dlaczego tak długo trwa?

Sean płakał.

Michael wiedział, że malec jest przestraszony.

Wiedział też

 kto jest temu winny.

 Ogarnął go wstyd.

Wstyd oraz inne, bardziej skomplikowane uczucia, do których nie chciał się przyznać.

Dlatego gniewnie w sobie stłumił.

Seanto głupi dzieciuch.

Dobrzemu tak.

 Ruszył w stronę maleńkiego warsztatu narogu ulicy.

Bramabyła otwarta.

Wpadł na podwórze i nie zważając na ryk rozwścieżonego właściciela, szybko wdrapał się na biegnący za domami mur.

 Szedł powoli, żeby nie stracić równowagi i nie spaść.

Ogród.

Dom.

Obrosnięty zielskiem znak drogowy.

Tylne drzwi, magazyn, kuchnia.

Ktoś się w niej krzątał.

Trwały przygotowania do kolacji.

Sądząc po zapachu, robili spaghetti z sosem bolońskim.

Makaron, mielone mięso, koncentrat pomidorowy, cebula i przyprawy.

Jedli to samo przed czterema dniami.

Nic dziwnego.

Posiłek był prosty, szybki do zrobienia i skutecznie wypychał żołądek dwudziestu wychowankom.

 Główny hol.

Brudne ściany, duchota i zapach stęchlizny.

Z zewnątrz kamienica prezentowała się dość okazale, ale wystarczyło wejść do środka, by stwierdzić, że jest zapuszczona i wymaga natychmiastowego remontu.

Drzwi.

Obok drzwi tablica ogłoszeń i wieszak.

Na wieszaku kilkanaście kurtek, płaszczy i toreb.

Polewej stronie sala telewizyjna.

Starszedzieci oglądały wyścigi motocyklowe, młodszymi domagały się kreskówek.

Na próżno.

 Ktoś przekręcił klamkę.

Chcąc uniknąć spotkania z Susan, wbiegł na schody i popędził na pierwsze piętro.

Długikorytarz, po obu stronach rzad drzwi.

Sypialnie.

I muzyka.

Ktoś słuchał Duran Duran.

Na korytarz wyszedł pan Cook.

Był jednym z wychowawców, którzy mieszkali w domu na stałe.

Pulchna twarz cherubina, wypłowiła broda i jaskrawoczerwony sweter - wyglądał jak duży pluszowy miś.

- Pożegnałeś się z Seanem?

- spytał z uśmiechem.

- Tak.

- Pewnie ci smutno.

Chcesz porozmawiać?

- Miał ciepły głos i przyjazną twarz.

Michael poczuł, że cierpnie mu skóra.

Wszyscy wiedzieli, czymkończy się przyjaźń z panem Cookiem.

Łypnął na niego spode łba i uciekła drugie piętro.

Do swego pokoju.

Pokój mieścił się na poddaszu i był bardzo niski.

Dwa łóżka, nagie ściany, i nic więcej.

Kiedyś, kiedy go tu przywieźli, wychowankom pozwalano wieszać na ścianach plakaty.

Teraz już niepozwalało.

Ponoć niszczyły tynk.

Co komu zaszkodzi kawałek przylepca?

Skołtunione koce i prześcieradło na jego łóżku.

Na łóżku Seana nagimaterac.

Prześcieradła i poszwy zabrano do pralni - w przyszłym tygodniu miał tu zamieszkać nowy lokator.

Chłopak w wieku Michaela.

Susan mówiła, jak mu na imię, ale zapomniał.

Mówiła również, że powinien pomóc mu się przystosować.

Wprowadzić go w nowe środowisko.

Tak samo, jak pomogli wprowadzić Seana.

Usiadł na łóżku i spojrzął w okno.

Wychodziło na labirynt gmachów pod drugiej stronie ulicy.

Widok z okienko drugiej stronie domu było niebolepszy.

Na przykład Brian widział od siebie wierzchołki drapaczy chmurw City.
City.

Dzielnica magii iczarów.

Brian mówił, że to finansowe serce kraju, gdzie ludzie codziennie robią i tracą niewyobrażalne fortuny.

Brian skończył piętnaście lat.

Wkrótce miał opuścić dom i zacząć żyć na własny rachunek.

Przechwalał się, że w wieku dwudziestu pięciu lat będzie milionerem.

Że kupi sobie wielką willę na West Endzie, luksusowy dom nawsi, kilka limuzyn, że będzie miał szafę pełną najmodniejszych ubrań i armię służących gotowych na każde wezwanie.

Marzyciel z tego Briana.

Ale kto wie, może i tak będzie.

Na przekór wszystkiemu, co dotąd przeżył, Michael mocno wierzyłw to, że marzenia czasami się spełniają.

Patrzył w okno, lecz nic niewidział.

Wyobrażał sobie, że nazywa się Dick Whittington.

Że kroczy przez City, mrużąc oczy w promieniach słońca odbijających się od wykładanych złotem chodników.

Półgodziny później dopokoju zajrzała Susan, żeby poszukać zdjęcia Seana.

Michael wciąż patrzył w okno.

Nie wiedziała, że wrócił.

- Gdzieś ty się podziewał?

- spytała.

Nawet nie odwrócił głowy.

- Dlaczego nie przyszedłeś?

Wzruszył ramionami.

Seanowi było bardzo przykro.

-- No to co.

- Jak mogłeś?

To twój najlepszy przyjaciel.

- Mam go gdzieś.

Wciąż siedział tyłem do niej i zaczynało ją to denerwować.

- Jesteś wstrętny.

Jak mogłeś naopowiadać mu tych bzdur o Andersenach?

- Tonie są bzdury.

- Nastraszyłeś go.

Dobrze wiesz, że Sean wierzy w każde twoje słowo.

- To nie moja wina.

Głupi szczył.

Zasrany gówniarz!

Powinna go zbesztać, ale nie miała do tego serca.

Rozumiała go.

Wiedziała, dlaczego jest zły, choć nie mogła mu pomóc.

- To nie musi być koniec waszej przyjaźni - tłumaczyła łagodnie.

- Możecie się widywać.

- No, jasne!

Canterbury jest tuż za rogiem ulicy.

Będę wpadał do niegoposzkole.

Dopiero teraz odwrócił głowę.

Gęsta grzywaczarnych włosów, oskarżycielskie spojrzenie niebieskich oczu, które zawsze budziło w niej poczuciewiny, i zbyt surowy jak nadziesięciolatek twarz.

Twarzła i gniewna, twarz,

10

w której nie było nic atrakcyjnego.

Jenny, jedna z pracownic opieki społecznej, twierdziła, że z czasem Michael się zmieni, że wyrośnie na superprzystojnego mężczyznę.

Oby tak było.

Uroda to wielki plus, a dla dzieci takich jak Michael, każdy plus był na wagę złota.

Minęła szóstka.

Czekała na nią rodzina.

- Muszę iść.

Poradzisz sobie?

Znowu spojrzał w okno.

- Jasne.

Nie chciała tak tego zostawiać.

Czuła, że to tylko teatralna fanfaronada, że Michael bardzo jej potrzebuje.

Lecz potrzebowała jej również rodzina.

Gdzie oni są?

- pomyślała nagle.

Gdzie są te wszystkie bezpłodne małżeństwa, które chcą adoptować dziecko, zabrać je do swego domu i obdarzyć miłością?

Wiedziała, że gdzieś tam są, że pewno istnieją.

Lecz wiedziała również, że najbardziej pragnę dziecka dopiero conarodzonego albo słodkiego malca takiego jak Sean, malca jeszcze nie wykolejonego, który potrafiłby tę miłość odwzajemnić.

Niewielu chciałoby przyjąć pod swój dach Michaela, chłopca patrzącego na świat oczami wiekowego starca, zaniedbanego dziesięciolatek o podejrzliwej, pełnej mrocznych tajemnic twarzy.

- Jeśli chcesz, mogę jeszcze trochę zostać.

Wzruszył ramionami.

Czuła się podle, lecz nie tak podle jak kiedyś.

Zdażyła się już nauczyć, że przesadna troska zabija.

Że pęka od niej serce.

- Przyjdę jutro.

Porozmawiamy po szkole.

On nie umarł, Mike.

Do Canterbury nie jest aż tak daleko.

Nic mnie to nie obchodzi.

- Nieprawda.

Wyszła.

Michael ani drgnął.

Siedział na łóżku i patrzył w okno.

Tej nocy uciekł.

Kiedy wszyscy zasnęli, spakował trochę ubrań i rzeczy, po czym cichutko szedł na dół.

Idąc, słyszał czyjeś westchnienia i oddechy, ale poza tym otaczała go cisza i ciemność.

W domu zawsze było głośno.

Ten nieustający hałas doprowadzał go do szału, lecz cisza była o wiele gorsza.

Bardziej złowieszcza.

Hol. Poszperał wśród toreb na wieszaku, wybrał największą i wepchnął do niej swoje rzeczy.

Potem zaczął chodzić od pokoju do pokoju.

Wiedział, że frontowe drzwi są zamknięte.

Okna też powinny być zamknięte, lecz często o tym zapominało.

Salatelewizyjna.

Tu znalazł to, czego szukał: zeskoczył na ziemię i zanurzył się w noc.

Szedł pustymi ulicami.

Dom stały tak blisko siebie, były tak ściśnione, że w każdej chwili mogły pęknąć.

Minął narożny sklepik, w którym podkradał

11.

cukierki i komiksy, potem stary kościół z zapuszczonym cmentarzem; Sean święcie wierzył, że na nim straszy.

Tu i ówdzie świeciły uliczne latarnie, tu i ówdzie paliło się światło w oknach.

Noc była cicha i zimna.

Nieliczni przechodnie, których spotykał, spieszyli do domu i nie zwracali na niego uwagi, choć pewien starszy jegomość z psem przystanął i długo za nim patrzył.

Michael przyspieszył kroku, idąc w kierunku świetli ulicznego hałasu na Mile End Road.

Na Mile End Road było już pustawo, nie licząc samochodów zmierzających do Essex, do City i na West End, gdzie bary i puby zamknięto dopiero nad ranem.

Ruch na chodniku powoli zamierał.

Życie skupiało się teraz w kilku barach szybkiej obsługi i restauracjach sprzedających potrawy na wynos.

Zaczęła padać deszcz.

Michael wszedł do baru, lokalu małego, lecz wesołego i pełnego smakowitych zapachów.

Na ścianach wisiały zdjęcia filmowych gwiazd, ze starego, zdezelowanego głośnika sączył się dżez.

Te zapachy - nagle zgłódniał.

Nie jadł kolacji, ale ponieważ musiał oszczędzać pieniądze, kupił tylko coca-cole i paczkę krakersów.

Potem usiadł w kącie przy oknie i czekał, aż przestanie padać.

Joe Green wyszedł z kuchni i natychmiast zauważył samotnego chłopaka.

Tracił łokciem swego siostrzeńca Sama, pogrążonego w lekturze czasopisma muzycznego.

- Ten dzieciak przyszedł sam?

Siostrzeniec nawet nie podniósł głowy.

- Jaki dzieciak?

- A ilu ich widzisz?

Sam oderwał wzrok od czasopisma, zerknął w stronę okna, kiwnął głową i wrócił do przerwanej lektury.

Chłopak zjadł już krakersy i sączył teraz colę.

Niepokojący widok.

Dzieciak nie powinien być tutaj sam.

Nie o tej porze.

Bar opustoszał już dawno temu.

Jedynymi klientami byli dwaj młodzieńcy rechoczący nad pizzą i frytkami.

Studenci z college'u Królowej Marii.

Pewnie wracali z jakiejś imprezy.

Chłopak co i raz brzucał ich spojrzeniem.

Joe domyślił się dlaczego.

Wrócił do kuchni, nałożył na talerz frytek i podszedł do jego stolika.

Na chodniku za oknem walały się śmieci.

Trzeba by tam pozamiatać.

Odchrząknął.

- Mogę się przysiąść?

Chłopak popatrzył na niego wrogo i podejrzliwie.

- Mogę?

- Powtórzył z uśmiechem Joe.

Tamten nie odpowiedział.

Biorąc to za znak przyzwolenia, Joe usiadł i podsunął mu talerz.

- Moja kolacja.
Sam tego nie zmożę.
Chcesz trochę?
Dzieciak spojrział na talerz, potem na niego.
Oczy miał czujnei niespokojne.
Joe nie przestawał się uśmiechać.
- Śmiało.
Będą ci smakowały bardziej niż mnie.
Chłopiec wziął frytkę.
Zjadł japołoli i nie spuszcżając wzroku z twarzy Joeego, sięgnął po następną.
Co zaoczy, co zaniepokojące oczy.
Ile w nich gniewu, ile frustracji.
Joe wskazał talerz.
- Dobrze?
Tamten skinął głową.
- Nie chcę zepsuć sobie reputacji.
Chcesz keczupu?
I znowu nieznaczny ruch głową.
Joe wziął plastikową butelkę i wycisnęła na talerz trochę keczupu.
- Jak się nazywasz?
- spytał.
- A pan?
- Joe Green.
Dlaciebie pan Green.
Chłopiec jakbysię odprężył.
Złagodniały mu oczy.
- Głupie nazwisko.
- No więc?
Jak masz na imię?
Tamten milczał.
- Człowiek bez imienia i nazwiska - westchnął Joe.
- Jak Clint Eastwood.
Dokąd się wybierasz, Clint?
- Michael.
- Odpowiedź padła nagle i niespodziewanie.
- Michael czy Mike?
- Wszystkojedno.
- W takim razie Mike.
Dokąd się wybierasz, Mike?
Chłopiec wzruszył ramionami.
- Musisz dokądś iść.
Już po północy.
O tej porze wszyscy siedzą w domu, chyba że coś ich goni.
Tamten spuścił oczy, wziął frytkę i zanurzył ją w keczupie.
- Tata i mamawiedzą, że tu jesteś?
- Jestem sierotą.
Joe cichutko zagwizdał.
- Przepraszam.
Przykro mi.
Naprawdę mi przykro.

Mikę wzruszył ramionami.
Na brodzie została mu kropla keczupu.
Joemiał ochotę ją zetrzeć.

- Już późno.

Masz gdzie spać?

Znowu milczenie.

- Niepowinieneś chodzić po mieście sam.

Jesteś na to za mały.

Masz do

kogo pójść?

- Są tacy jedni.

Andersenowie.

Mieszkają w Canterbury.

Mają duży dom z ogrodem.

- Mikę wbił wzrok w stół.

- Chciał, żeby się do nich wprowadził.

13.

Powiedzieli, że dadzą mi własny pokój i wszystko, co zechcę.
Mógłbym pojechać do nich.

- Ekstra.

-Mógłbym - powtórzył Mike.

- Gdybym tylko zechciał.

- Ale dzisiaj już trochę za późno, prawda?

Lekkiruch głową.

- W takim razie co zamierzasz?

Chodzić po mieście do rana?

- Może.

-Tak myślałem.

Joe usiadł wygodniej ispojrzał w okno.

Chodniki opustoszały, nie licząc samotnego mężczyzny w brudnym płaszczu, który szedł po drugiej stronie ulicy z wypchanymi torbami w ręku.

Pewnie jakiś włóczęga.

Ktoś, kto niema domu ani miejsca, dokąd mógłby pójść.

Joe przeniósł wzrok na chłopca.

- Tookrutny świat, Mike.

Za okrutny dla dzieciaka takiego jak ty.

Naprawdę nie masz dokąd pójść?

Mike nie odpowiedział.

Joe chwycił go za brodę, przytrzymali zająrzali muw oczy.

- Posłuchaj.

Nie wiem, skąd jesteś ani od czego uciekasz.

Niechcesz nic mówić, w porządku, twoja sprawa.

Ale wierz mi, wszystko jest lepsze od samotności.

- Umilkł i uśmiechnął się łagodnie.

-Nie sądzisz?

Chłopiec długo nie reagował.

Wreszcie powoli kiwnął głową.

No więc?

- spytał Joe.

-Masz dokąd iść?

Przez chwilę na twarzy Mike'a gościła rozpaczliwa tęsknota.

Ale tylko przez chwilę.

Jego oczy szybko wypełniła szklana pustka.

Ponownie kiwnął głową.

Talerz był pusty.

Joe spojrział na zegarek.

- Wciąż głodny?

-Chyba tak.

- Zamykamy dopiero za pół godziny.

W kuchni zostało trochę ciasteczek czekoladę.

Zjesz kawałek, a potem odprowadzę cię do domu.

Co tyna to?

Niepowinieneś chodzić sam.

Nie o tej porze.

- Dobrze.

-Zaczekaj.

Zaraz wracam.

Joe poszedł do kuchni odkroił duży kawałek ciasta.
Ale kiedy wrócił dosali, chłopca już nie było.

Wszedł do domu przez okno pokojotelewizyjnym.
Powiesił torbę nawieszaku i ci chutko ruszył na górę.

Ciemna sypialnia, puste łóżko.
Usiadł.
W ręku miał małą latarkę Wyjął coś spod materaca i podniósł do światła.

14

Było tozniszczone zdjęcie Seana.
Zdjęcie sprzed wielu, wielu lat.
Sean stał w ogrodzie z matką, kobietą wysoką, szczupłą i łagodną.
Miała takie same włosy i takie same rysy twarzy jak jej syn.
Uśmiechała się radośnie do aparatu, szczęśliwa i zdrowa.
Wkrótce potem pożarł ją żywcem rak.
Sean miał inne zdjęcia matki, ale to należało do jego ulubionych.
Nad tym zawsze płakał.
A na początku płakał prawie cały czas.
Pozostałe dzieci, te, które nauczyły się już pogardzać słabością, nieustannie zadreęcały.
Przeżażony i osamotniony, szukał pomocy u osoby, która była najbliższej.
U chłopca, z którym dzielił pokój.
Początkowo koszmarnie go irytował, bo łąził za nim jak cień.
Lecz z upływem miesięcy irytacja ustąpiła miejscowi poczuciu i czułości.
Malec potrzebował silnego opiekuna i obrońcy, dlatego ukrywając strach pod maską twardości i pewności siebie, Michael wziął go pod swoje skrzydła, za co Sean odwdzieczył mu się bezkrytycznym podziwem.
A teraz odszedł.
Miał nowy dom, rozpoczynał nowe życie.
Nie wiedział, co przyniesie mu przyszłość i przed wyjazdem bardzo płakał.
Był małym dzieckiem, potrzebował opieki.
Bzdura.
Był kamieniem u szyi.
Dobrze, że wreszcie wyjechał.
Ciekawiło go, co teraz robi.
Może Andersenowie naprawdę zamknęli gowpiwnicy.
Miał nadzieję, że tak.
Miał nadzieję, że Sean jest przeżażony.
Że siedzi w ciemności sam jak palec i że nikt o niego nie dba.
Tak samo jak nikt nie dbało o niego.
Patrzył na fotografię.
Sean tak długo jej szukał, tak bardzo chciał ją odzyskać.
Michael zacisnął rękę.
Chciał rozdrzeć zdjęcie na pół, podrzeć ją kawałki.
Ale nie mógł.
Do oczu napłynęły mu łzy, z którymi walczył przez cały dzień.
Ronił je w milczeniu.
Płacz ma sens tylko przy świadkach, a w pokoju nie było nikogo.
Wsunął fotografię pod materac.
Rano oddają Susan.

Powie, że leżała napodłodze i poprosi, żeby odesłano ją do Canterbury.

Zgasiwszy latarkę, legł na łóżku i zapatrzył się w ciemność.

W głowie kołatało mu mgliste wspomnienie.

Ktoś - pewnie któreś z niezliczonych rodziców zastępczych - mówił mu, że nie trzeba bać się ciemności, ponieważ w ciemności mieszka Bóg.

Dużo mu przez te lata mówiono.

A wszystko było gównem warte.

Leżał w ciszy, czekając na sen.

Nazajutrz oddał zdjęcie Susan, żeby wysłała je do Canterbury.

Mijały tygodnie.

Sean pisał do niego list za listem, a on darł wszystkie na kawałki i wyrzucał.

15.

Część 1
Zaufanie

City, 1999

Któryz was ma więcej luzu?

- spytał Graham Fletcher.

Stuart i Michael wymienili spojrzenia.

Biurko Stuarta było puste, nie licząc umowy, która przyszła z dwudniowym opóźnieniem, i którą musiał pilnie przejrzeć.

Biurko Michaela było zawałone dokumentami, choć jego właściciel spędził prawie całe popołudnie na wymianie e-mailów ze swoim kumplem Timem.

Perspektywa tego, co go czekało, była zbyt przerażająca, żeby się odezwać, lecz w końcu zwyciężyło sumienie.

- Ja - odrzekł.

- Ty? - Graham robił wrażenie rozczarowanego.

- A ty, Stuart?

Nad czym teraz pracujesz?

- Nad projektem "Rakieta".

Umowa dopiero co przyszła i do wieczora musimy dostarczyć ją klientowi.

- Rozumiem.

Michael, za dwie minuty w moim gabinecie.

Z notatnikiem.

- Szczęściar z ciebie - powiedział Stuart, gdy Graham wyszedł.

Mike wysłał ostatni e-mail i wstał.

- Serce mi rośnie.

Stuart wykrzywił usta w uśmiechu.

Był starszy od Michaela - stuknęłam już trzydziestka - i został prawnikiem po kilku latach nauczania fizyki.

Przed pół rokiem skończyli staż i od tamtej pory pracowali razem, dzieląc sobie biuro.

- Może zgłoszę się na ochotnika?

- Nie, dzięki.

Pracuj nad swoją "Rakieta".

- Michael przewrócił oczami.

- Chryste, kto wymyśla te głupie nazwy?

- Wziął notatnik i ruszył do drzwi.

19.

- Gesty, Mike, gesty - rzucił Stuart.

- Uważaj na mowę ciała.

Mike pokazałmu palec.

- A co powieszna to?

Stuartparsknął śmiechem.

- Powodzenia.

Michael szedł długim korytarzem.

W boksach po obu stronach przejścia siedziały sekretarki.

Zewsząd niósł się stukotklawiszy.

Słyszącbyłourywkirozmów na temat wieczornego programu telewizyjnego, narzekania na niewyraźne pismo i nieustanny syk klimatyzatorów.

Z gabinetów wychodzili adwokaci, żeby przekazać taśmę sekretarkom, poprosić kolegów o fachową poradę, obarczyć kogoś niechcianą robotą albo po prostu pogadać.

Graham urzędował w narożnym gabinecie.

Jeszcze kawalek.

Jest i Jeff Speakman, jeden z wspólników.

Stał przed swoją sekretarką Donną i coś jej dyktował.

Donna wściekle zaciskała usta.

Nie znosiła i Jeffa, i jego nawyków.

Michael posłał jej konspiracyjny uśmiech i poszedł dalej.

Przy ekspresie do kawy rozmawiał o trzech stażystów.

Narzekali, że podczas przerwy na lunch kazano im pójść na nudny wykład.

Jeszcze przed kilkoma tygodniami byłiby znacznie dyskretniejsi i pilniejsi, ale ponieważ krążyły plotki, że wkrótce nie będzie naboru, coraz bardziej tracili zapał do pracy i nie mieli ochoty się wykazywać.

W gabinecie Grahama, jak zawsze, panował bałagan.

Wszędzie leżały pootwierane i rozbebeszone teczki, wszędzie wałały się dokumenty.

Graham mówił coś do dyktafonu.

Spomiędzy zaciśniętych palców sterczał mudy miączy papieros.

Przy biurku w kącie pokoju cicho pracowała stażystka Julia.

Michael usiadł i popatrzył w okno, na rząd szarych biurowców po drugiej stronie ulicy.

Tim pracował u Laytona Spencera Blacka i miał panoramiczny widok na City.

Jednakże - jak lubił powtarzać Graham - do Coksa Stephens przychodziło się niedługo pięknych widoków, tylko dla ciężkiej i wydajnej pracy.

Fletcher wyłączył dyktafon i wezwał sekretarkę.

Nie przyszła.

Fletcher ryknął na nią poraz drugi, a kiedy się nie zjawiała, zaklął i spojrzał na Julię.

- Znajdź ją.

Każ jej natychmiast przyjść.

Ma pilną robotę, i

Julia wzięła kasetę i wyszła z pokoju.

Graham spojrzał na Michaela.

Wysoki, chudy i lekko łysiejący, miał mniej więcej czterdzieści lat, ostre rysy twarzy i drapieżne oczy.

Należał do największych katów w kancelarii.

Nigdy niewspierał podwładnych i obarczał ich wszystkimi błędami, łącznie ze swoimi.

- A więc masz luzy, tak?

- Tak jakby.

Graham.

20

No to się z nimi pożegnaj.

Chętnie, Graham.

Mamy nową sprawę.

Dużą sprawę.

Naprawdę, Graham?

Fletcherowi pociemniała twarz.

W kancelarii Coksa Stephensa wszyscy mówili sobie po imieniu.

Ot, taki zwyczaj.

"Dla sztywniaków nie ma tu miejsca" - oznajmił jeden ze starszych wspólników, przyjmując ich do pracy.

Michael wiedział, że Graham chętnie by tę politykę zmienił, dlatego za punkt honoru postawił sobie nie stosować jej przy każdej nadarzającej się okazji.

Na co dwutygodniowej odprawie w ostatniczwartek udało mu się wypowiedzieć zdanie, w którym aż czterokrotnie nazwał go po imieniu.

Słyszając to, Stuart dostał gwałtownego ataku kaszlu.

- Będziemy reprezentować Digitron.

Słyszałeś nich?

- Nie, Graham.

Robią programy komputerowe.

Byli klientami Jacka Bennetta, ale Jack przekazał ich mnie.

Michael stworzył notatnik.

Kątem oka dostrzegł Julię, która wróciła do pokoju i usiadła za biurkiem.

- Digitron opracowuje systemy operacyjne dla firm i przedsiębiorstw.

Na razie pracują na małą skalę, ale chcą podbić rynek, dlatego zamierzają kupić Pegaza, filię Kinnetiki.

Zapłacą fortunę.

Pies drapał aktywa, aktywa to betka.

Kartą atutową jest długoterminowa umowa, którą Pegaz zawarł z Dial-a-Car.

Właśnie za nią ci z Digitronu chcą wyłożyć tęgi szmal.

O Dial-a-Car

chyba słyszałeś.

- Oczywiście, Graham.

Ktoś zapukał do drzwi.

Do gabinetu wszedł Jack Bennett.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale przed chwilą dzwonił do mnie Peter Webb z

Digitronu.

Jutro o ósmej rano chce zorganizować konferencję telefoniczną.

Damy radę?

Graham kiwnął głową.

- Michael mi pomoże.

Jack natychmiast się rozpromienił.

- Bardzo ci dziękuję.

Tobie też, Mike.

i Był niski, krępy, zbudowany jak futbolista i miał jowialną twarz.

Przedtem pracował u Bensona Drake'a i przed półtoramiesiącem przeszedł do Coksa Stephensa z listą firm komputerowych, która była przedmiotem zazdrości większości rywali na rynku.

Ciągle czuł się jak nowicjusz i był wobec wszystkich niesłychanie wylewny.

Zupełnie niepotrzebnie, ponieważ kiedy przyszedł, starsi i młodsi wspólnicy mieli ochotę krzyknąć: "Hosanna wysokościach!" i rzucać mu pod nogi palmowe liście. Jednakże trzeba przyznać, że była to miła cecha charakteru.

21.

- Nie ma sprawy, Jack - odrzekł z uśmiechem Michael.

- Dasz radę poprowadzić konferencję?

- spytał Fletcher, gdy Bennett wyszedł z pokoju.

- Oczywiście, Graham.

Fletcher zaciągnął się dymem.

- Ale mówić będę ja - powiedział powoli.

Michael natychmiast zrozumiał, o co mu chodzi.

Kiwnął głową.

- Naturalnie.

- W tych okolicznościach tak będzie najlepiej.

Mike czuł, że zeszywniały mu ramiona.

Mówiły: "Odpierdol się" i zawsze go zdradzały.

Rebeka wielokrotnie mu powtarzała, że powinien coś z nimi zrobić.

- Ostatecznie to ważni klienci.

Nie ma to jak dobry początek, prawda?

Patrzyła na niego, czekając na reakcję.

Michael wziął się w garść, żeby nie dać mu satysfakcji.

- Oczywiście.

- Dobra.

Zbierz materiały na temat Pegaza i Kinnetiki, przejrzyj umowę z Syncartą, wstaw odpowiednie paragrafy i zrób listę informacji, których mogą potrzebować ci z Digitronu.

Tylko zajrzyj przedtem do papierów.

Jeśli poprosimy ich o dane, które już nam dostarczyli, na pewno nie wpadną w zachwyt.

Ani oni, ani ja.

- Uniósł brew.

- Poradzisz sobie?

Wciąż na mnie czyhasz, kutasie.

Będziesz tak czyhał do usranej śmierci.

Odprężył się jak pogodzinny masaż, uśmiechnął słodkoi całą pogardę zawarł w spojrzeniu.

Chuj ci w dupę, popaprańcu.

- Oczywiście.

Graham.

Zamknął notatnik i wyszedł.

Wydał dyspozycję stażystom i zaczął przeglądać umowę z Syncartą.

Stuart wyskoczył do sklepu po lody.

Rebeka opowiedziała mu przez telefon najświeższy kawał.

Wpół doszóstej.

Włączył komputer i otworzył plik z kwestionariuszem.

Z korytarza dobiegały głosy wychodzących do domu sekretarek.

Pracował szybko, bo osiódmej umówił się z Rebeką.

Wtem wyczuł, że ktoś na niego patrzy.

Podniósł wzrok.

W otwartych drzwiach stała zdenerwowana Julia.

- Wiem, że jesteś zajęty, ale czy mógłbyś zerknąć na ten protokół?

- Jasne, dawaj.

Stała obok i uważnie go obserwowała.

Cicha, spokojna dziewczyna o myszowatych włosach i nerwowym spojrzeniu.

Mniej pewna siebie niż pozostali stażysci.

Naniósł jedną małą poprawkę i oddał jej protokół.

- Świetnie.

Znakomita robota.

22

Zaczerwieniła się i spuściła oczy.

Od dawna podejrzewał, że się w nim podkochuje.

Dziwne.

Przez większość życia uważał, że jest brzydki.

Zdażył się z tym pogodzić i trudno mu było uwierzyć, że od pewnego czasu jest zupełnie inaczej.

- Żyjesz?

- spytał z uśmiechem.

- Ledwo.

-Dobrze ci idzie.

Wszyscy tak uważają.

Nie daj się tylko zastraszyć

naszemu Hitlerkowi.

- Może powinnam brać przykład z ciebie.

-To proste.

Wystarczy powtarzać nabożnie jedno słowo: "Graham".

Hitlerek dostanie ataku serca i kłątwa zostanie zdjęta.

- Wskazał monitor.

-Muszę to skończyć.

Trzymaj się.

Wyszła.

Dziesięć minut później skończył sprawdzać kwestionariusz i wyłączył komputer.

Winda utknęła w podziemiach i musiał zejść schodami.

Hol, recepcja, krótka pogawędka ze strażnikiem, wreszcie ulica.

Kilka godzin wcześniej spadł ciepły kwietniowy deszcz i w powietrzu czuć było lepką wilgoć.

Chciał wracać metrem, ale zmienił zdanie.

Przesiedział w biurze niemal cały dzień i postanowił rozprostować nogi.

Broadgate Circle, stacja przy Liverpool Street.

Poluźnił krawat.

Na ulicach setki samochodów, na chodnikach tłumy dojeżdżających, którzy ze stanowczym wyrazem twarzy maszerowali na dworzec - miał wrażenie, że wszyscy mężczyźni na świecie nałożyli ciemne garnitury.

Płuca wypełnił

mu duszny zapach spalin.

Narogu ulicy kupił "Evening Standard".

Spadek akcji na giełdzie.

Rozwódznanego osobistości.

Nic nadzwyczajnego.

Ot, kolejny dzień.

Idąc Cannon Street, przeciął Ludgate Circus, skręcił we Fleet Street i ruszył w stronę Strandu.

Turystów było tu więcej niż miejscowych.

Dwoje młodych Amerykanów z plecakami spytało go o drogę do Covent Garden.

Nad odległą kolumną Nelsona nurkowały gołębie.

Księgarnia Chattertona, dział literatury specjalistycznej.

Przy kasie siedziała pogodna kobieta w wieku około trzydziestu lat.

Uśmiechnęła się do niego i wskazała półki z albumami.

Architektura i sztuka.

Stała tam młoda, dwudziestokilkuletnia dziewczyna i starsza kobieta.

Ta młoda pomagała jej wybrać książkę.

Klientkanie mogła się zdecydować i dziewczyna pokazywała jej album za albumem.

Wyczuła jego obecność i posłała muszybki
uśmiech.

W końcu staruszka podjęła decyzję i ruszyła do kasy.

Zajął jej miejsce.

Dziewczyną miała krótkie blond włosy, żywe izielone oczy.

Była szczupła, wiotka, wdzięczna i bardzo piękna.

Uśmiechała się w taki sposób, jakby zaraz miała wybuchnąć perlistym śmiechem.

- Cześć - powiedział.

23.

- Cześć.

Pocałował ją.

Pachniała mydłem i różami.

- Jestem za wcześnie.

Przyjść później?

- Nie.

- Wskazała na wpół ukończoną wystawę nowych książek.

- Pomóż mi.

Klara powiedziała, że jak skończę, będę mogła wyjść.

Uklękli pod oknem.

Zerknąwszy stronę kasy, zaczął podawać jej książki.

- Co ona taka wesoła?

- Ten węgierski handlowiec zaprosił ją w końcu na kolację.

- A jednak.

Posłuchała twoich rad.

- Najwyższapora.

Panikuje jak dzierlatka, bo niewie, w czym wystąpić.

Jutro w południe chce wyciągnąć mniema zakupy.

Wybuchnęli śmiechem.

- Jak minął dzień?

;

Opowiedział jej o Digitronie.

Ucieszyła się.

- Cenią cię.

Wcale nie musiało tak być, ale ponieważ sprawiło jej to przyjemność, kiwnął głową.

- Chyba tak.

Choć wciąż się uśmiechała, w jej oczach dostrzegł dziwny smutek.

Dotknął jej policzka.

- Co ci jest?

- Nic.

- Powiedz.

- Później.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

No, do roboty.

Pracowali w zgodnym milczeniu.

Kiedy skończyli, poszła po torebkę.

Księgarnia opustoszała.

Popatrzyła otaczające go książki.

Tysiące książek, i kropla w morzu światowej wiedzy.

Zauważył nową książkę o Millaisie i zastanawiał się przez chwilę, czy Rebeka chciałaby ją mieć.

Urodziny.

Może kupić ją na prezent?

Do urodzin było jeszcze daleko, ale zaczął już składać listę rzeczy, które mógłby jej dać.

Prognoza pogody na resztę tygodnia była niezła i czekając, postanowił, że któregoś dnia ją zaskoczy: kupi kanapki, wpadnie do księgarni w porzelnicy, pójdą na Trafalgar Square i będą karmić gołębie.

Kiedyś, przed milionami lat, taki pomysł wzbudziłby w nim pogardę.

Ale żył wtedy zupełnie innym życiem, życiem, o którym próbował zapomnieć.

Wspomnienia?

Zamknął je naглуcho w najgłębszych zakamarkach umysłu.

Pogawędził z Klarą, nabijając się żartobliwie z jej randki.

Potem wróciła Rebeka i wyszli na ulicę.

24

Strand.

Ruszyli w stronę Leicester Square i Gerrard Street, gdzie mieli jeść kolację.

W pewnej chwili Rebeka wskazała plakat reklamujący nową wystawę w galerii sztuki przy Piccadilly.

- Patrick Spencer.

Kończyliśmy razem St Martin's.

Był tylko orok wyżej ode mnie, a teraz?

Popatrz.

Nareszcie zrozumiał, dlaczego jest tak smutna.

- Tak - odrzekł cicho.

- Rzeczywiście.

- Ale co tam.

Był dobry.

Znakomity.

Zasługuje na to.

- Ty też.

- Może.

- Na pewno.

Ty też będziesz miała wystawę.

- Aha, w marzeniach.

Przystanął, objął ją i spojrzał jej w oczy.

- Coś ci powiem.

Za dziesięć lat, kiedy o wielkim Patricku Spencerze będą rozpisywać się wszystkie gazety, dziennikarze zainteresują tylko jedno: jak musi studiować z Rebeką Blake.

Z tą Rebeką Blake.

Zkobieta, która narobiła największego zamieszania w świecie sztuki.

Tak będzie, sama się przekonasz.

- Już to widzę - odrzekła z uśmiechem.

- Zobaczysz.

Wyjdzie na moje.

Stali tak, obejmując się nuchami i nie zważając na przechodzących obok ludzi, z których każdy miał swoje życie, marzenia i nadzieje.

Uśmiechnęła się do nich jakas kobieta w średnim wieku.

Odpowiedział jej uśmiechem i pomyślał, że właśnie na tym polega prawdziwość.

Na pragnieniu, by czyjeś szczęście było większe od własnego.

- Chodź - szepnęła.

- Spóźnimy się.

Objęci ruszyli w stronę Gerrard Street.

Atmosfera przykolacji nie była najlepsza.

Państwo Blake uwielbiali chińszczyznę.

Podczas licznych wizyt w Londynie - przyjeżdżali z Winchesteru - zawsze zapraszali ich do Perły Orientu przy Gerrard Street.

"Doskonała - mrucał pan Blake, delektując się kaczką po pekińsku.

- Absolutnie doskonała.

Dlaczego nasze potrawy tak niesmakują?

"Pani Blake mądrze kiwała głową i mówiła, że muszą kiedyś pojechać do Chin.

W tym momencie Michael zawsze wyobrażał sobie pana Blake, który stojąc w Zakazanym Mieście, pomniku niezwykłej historii Chin, bezta ulicznego sprzedawcę za to, że kupioną niego chińszczyzna niesmakuje tak jak chińszczyzna w Perle Orientu.

Ale ponieważ państwo Blake byli rodzicami Rebeki, zatrzymywał te myśli wyłącznie dla siebie.

- Co słychać w kancelarii?

- spytała pani Blake, skończywszy zupę.

- Wszystko dobrze, dziękuję - odparł.

1

25.

- Powierzyli mu nowy kontrakt - pochwaliła się Rebeka.

- To duża rzecz, prawda, Mike?

Kiwnął głową.

W restauracji było tłoczno.

Czuwający w pobliżu kelner chciał zebrać talerze.

Blake'owie skończyli już przystawkę.

Michael wbił widelec w ostatnie żeberko.

- To cudownie - powiedziała pani Blake i spojrzała na męża.

- Prawda, John?

- Zanim zgotujemy mu owacjeną stojąco, zobaczmy najpierw, jak się tym upora - odparł zgryźliwie stary Blake.

- Tatusiu!

- Wykrzyknęła Rebeka.

- Jak możesz?

- Cóż, po tej aferze w zeszłym miesiącu.

- To nie była jego wina.

Tatuś otarł usta serwetką.

- W takim razie czyja?

- Umówiliśmy się, że nie będziemy do tego wracać - odparła poirytowana Rebeka.

- Tak czy inaczej - wtrącił Michael - to się już nie powtórzy.

Blake pogardliwie prychnął.

- Ojciec chce dla niego jak najlepiej - wyjaśniła pani Blake.

- Chce jak najlepiej dla was obojga.

- Uśmiechnęła się do Michaela.

- Jestem pewna, że sobie poradzisz.

Michael odpowiedział jejuśmiechem, zastanawiając się po raz setny, które z nich bardziej działa muna nerwy: on czy ona.

Zamówili stolik na pięć osób.

Robert, starszy brat Rebeki, w ostatniej chwili musiał zrezygnować z kolacji.

"Ma ważne spotkanie" - wyjaśniła z dumą pani Blake.

Robert był jakimś inspektorem i jeśli wierzyć jego rodzicom, robiła karierę. Rebeka była rozczarowana.

Michael też.

Wyraził głęboki żal, że go nie zobaczy i doszedł do wniosku, że Bóg istnieje.

Nadszedł kelner.

Blake'owie patrzyli wyczekująco na Michaela.

Oboje mieli mięśniste, nalane twarze bezduszne oczyludzi, którzy zaznali w życiu tak niewiele rozczarowań, że najdrobniejsze niepowodzenie mogło doprowadzić ich do furii.

Jak większość par, które trwają w małżeństwie od dziesiątków lat, byli do siebie dziwnie podobni.

Rebeka nie przypominała ani jej, ani jego.

Urodę odziedziczyła po babce.

Michael jeszcze nie skończył, lecz zdając sobie sprawę, że Blake czeka na swoją kaczkę i że czekając, cierpi ludzkie katusze, odłożył nadjedzone żeberko.

Na talerzu zebrał się sos.

Miał ochotę go wylizać, żeby zobaczyć ich zaszokowane miny.

Skinął na kelnera.

Pan Blake napełnił kieliszki.

Rebeka trąciła Michaela w ramię.

- Zapomniałam ci powiedzieć.

Znalazłam dla nas mieszkanie.

Tylko najakleśczas, ale z tego, co wiem, jest naprawdę wspaniałe.

26

- Na jakiś czas?

Jakto?

- Mieszkali w małej, umeblowanej kawalerce w Camberwell, lecz kończył im się okres najmu.

- Klara je nagrała.

Klara to moja przyjaciółka z pracy - wyjaśniła rodzicom.

- Ma koleżankę, której na imię Alison.

Mąż Alison, Neil, pracuje w dużym banku handlowym.

Przenoszą go do filii w Singapurze i za dwutygodnie wyjeżdżają.

Do końca wynajmu pozostały im jeszcze cztery miesiące i szukają kogoś, kto mógłby się tam wprowadzić.

Mieszkanie jest kompletnie umeblowane, więc nie musielibyśmy niczego kupować.

- Gdzie to jest?

- spytał Michael.

- Na South Kensington.

- Chryste!

Przecież mieliśmy oszczędzać.

Wiesz, ile zabulimy?

- Niewiele więcej niż teraz.

Po pierwsze, mieszkanie jest bardzo małe.

Po drugie, właściciel jest jednym z klientów Neila, dlatego dostali zniżkę, która będzie obowiązywała do końca okresu najmu.

- South Kensington!

- wykrzyknęła radośnie pani Blake.

- Och, Rebeko, byłoby cudownie!

- Tak, ale my nie szukaliśmy kolejnego mieszkania do wynajęcia - zauważył Michael.

- Chcieliśmy mieć wreszcie coś własnego.

Osiąść, zagospodarować się i wziąć ślub.

- Zgoda, ale nie zapominaj, że za dwutygodnie nie będziemy mieli gdzie mieszkać.

Przez ten czas nie zdążymy niczego kupić, co znaczy, że musielibyśmy siedzieć w Camberwell pół roku dłużej.

A stamtąd możemy się wyprowadzić już za cztery miesiące.

Większość ludzi chce wynajmować natak krótko, ale dla nas to idealny układ.

- Poza tym, co South Kensington, to South Kensington - dodała pani Blake.

- O ile więcej byśmy płacili?

- spytał Michael.

- To tylko cztery miesiące.

- O ile?

- Jestem pewna - wtrąciła pani Blake - że jeśli toj jakiś problem, zawsze możecie liczyć na pomoc tatusia Rebeki.

Tatusz spojrzał pobłażliwie na córeczkę.

- Oczywiście, kochanie - powiedział.

- Wystarczy jedno słowo.

- No, właśnie - kontynuowała pani Blake.

- Byłoby tak cudownie.

Oczywiście, jeśli Michael ma coś przeciwko temu, to.

- Tego nie powiedziałem - przerwał jej Michael.

Pani Blakeciężko westchnęła.
Patrzyli na niego, Rebeka i jej tatuś.
Tatuś zimno, Rebeka z nadzieją.
Dopiero teraz dotarło do niego, że Rebeka o niczym nie zapomniała, że wybrała ten moment celowo, dobrze wiedząc, iż rodzice ją poprą.
Przełknął gniew i wziął głęboki oddech.

- Dobrze.

27.

Rebeka cmoknęła go w policzek.

- Tylko je obejrzymy.

Może się nam nie spodoba.

- Na pewno będziecie zachwyceni - powiedziała mamusia.

-A jeśli nie starczywam na czynsz.

-zaczął tatuś.

- Starczy - uciał Michael bardziej agresywnie niż zamierzał.

- To bardzo miło z pańskiej strony- dodał nieco łagodniej - i jestem panu bardzo wdzięczny, ale jakoś sobie poradzimy.

Podano główne danie.

Kelner stanął przy stoliku zaczął kroić kaczkę.

Staremu Blake'owi natychmiast rozbłysły oczy.

- Wygląda cudownie.

Pani Blake spytała Reбекę o ich przyjaciółkę Emilię.

Michael sięgnął po kieliszek.

Co za wieczór.

Wojskowy tor przeszkód to przynim betka.

Uśmiechając się do wszystkich i do nikogo wszczegółności, czekał najedzenie, niektóre nie miało choty.

Wyszli o dziesiątej ruszyli w kierunku Leicester Square.

Ulicę wypełniały tłumy ludzi kręcący w nosie zapach egzotycznych potraw.

Pożegnali się i Blake'owie zeszli do metra, które miało zawieźć ich do Roberta w Clapham.

Michael i Rebeka skręcili w Regent Street, żeby złapać autobus.

Autobus przyjechał w chwili, gdy dotarli na przystanek, i powiózł ich za Tamizę aż do Camberwell.

Wysiedli przy Camberwell High Street i trzymając się za ręce, poszli do domu.

Ochłodziło się, a Rebeka nie miała płaszcza.

Chciał okryć ją marynarką, ale powiedziała, że nie trzeba.

Ich blok: olbrzymia, prostopadłościenna bryła z czerwonej cegły, zbudowana pod koniec lat osiemdziesiątych.

Ich mieszkanie: drugie piętro, funkcjonalna kompozycja kamiennych podłóg i gładkich ścian.

Michael wszedł do kuchni i nalał sobie szklankę wody.

Rebeka przystanąła w progu.

- Spodoba ci się - rzuciła.

- Zobaczysz.

- Na pewno.

-Dlaczego im powiedziałaś?

- O czym?

-O mojej pracy.

O zeszłym miesiącu.

Nie musieli nic wiedzieć.

Spuściła oczy.

Milczała.

- Dlaczego?

- powtórzył.

- Bo się martwiłam.

Chciałam z kimś porozmawiać.

Dlaczego nie porozmawiałaś ze mną?

To nasza sprawa, nie ich.

Westchnęła.

Mike, oni są częścią mojego życia.

Nie przestaną być moimi rodzicami tylko dlatego, że jestem z tobą.

28

- Wiem, że nieprzestaną.

Rzecz w tym, że oni są twoimi rodzicami, a ja jestem twoim narzeczoną.

To była nasza sprawa, twoja i moja.

Mówiłem ci, żebyś się niemartwiła.

Dlaczego mi nie uwierzyłaś?

- Uwierzyłam.

- Nieprawda.

Wszystko wypaplałaś.

Dostarczyłaś im amunicji, żeby mogli się namnie wyżywać.

- Oni się na tobie nie wyżywają.

Próbują mnie tylko chronić.

- Przedemną?

Nie muszą.

- Wiem, że nie muszą, nie o to chodzi.

Odstawił szklanę.

- Nieważne.

Jeśli tak bardzo tego chcą, proszę bardzo, niech mnie nienawidzą.

- Oni bardzo cię lubią.

- Akurat.

Tak samo jak jaich.

Mierzyli się wzrokiem.

Rebeka była zdenerwowana i Michael się zawstydził.

- Przepraszam - powiedział.

- Nie zwracaj na mnie uwagi.

Miałem dzisiaj koszmarne dni i jestem wypluty.

Odprężyła się i uśmiechnęła.

Ze współczuciem.

Podeszła i zaczęła masować mu kark.

- Zrobię cigorającą czekoladę, chcesz?

Obejrzymy do końca nasz film z Bogartem i wszystko mi opowiesz.

Chciał powiedzieć "tak" i sprawić jej przyjemność, lecz po kolacji z Blake'ami
buzowała w nim niedobra energia, którą musiał rozładować.

- Lepiej pójde nakrótki spacer.

- Pocałował ją w policzek.

- Połóż się.

Zaraz wróce.

Wrócił dopiero popólnocy.

Wśliznął się do sypialni.

Rebeka już spała.

Leżała na boku i oddychała cichutko, że prawie niesłyszalnie.

Przewróciła się na plecy.

Kosmyk włosów sterczał jej niczym wykrzyknik.

Michael delikatnie go wygładził.

Otworzyła oczy.

- Co ty robisz?

- spytała z uśmiechem.

- Patrzę, jak śpisz.

-Już nie śpię.

- Objęła go za szyję i pociągnęła siebie.

Gdy skończyli się kochać, objęli się mocno i znieruchomieli.

Ona szybko zasnęła.

On leżał, wędrując myślami tam, gdzie wędrować nie chciał -poprzez przestrzeń czas wrócił do szarej kamienicy w Bow.

29.

Mieszkał tam sześć lat.

Tłoczna i hałaśliwa, przez sześć lat była jegodomem i całym światem.

Ale chociaż nigdy nie brakowało mu towarzystwa, zawsze dręczyła go samotność.

Dręczyła go przez całe życie.

Wreszcie przestała.

Przytulił Rebeke, oplótł ją rękami i nogami, pragnąc stopić się z nią w jedno, której nic nie rozdzieli.

2

Nazajutrz wieczorem umówił się z George'em na wino.

Tylko na chwilę, bo zaraz potem mieli oglądać nowe mieszkanie.

Spotkali się w winiarni przy St Paul's, w piwnicy, gdzie zamiast stołów stały puste beczki i gdzie podłoga była zasłana trocinami.

Każdemu klientowi proponowano darmową miseczkę serowych krakersów i kiedy tam przyszedł, George czekał już przy beczce w kącie sali, zawzięcie żując.

Michael usiadł.

Miseczka była prawie pusta.

- Cieszę się, że masz apetyt.

Musisz trochę przytyć.

George sięgnął po kolejnego krakersa.

- Przeróżające, co?

Jeśli schudnę jeszcze bardziej, pęknę jak sucha gałązka.

- Był bez marynarki, a jego koszula z trudem wytrzymała napór ołbrzymiego brzucha.

Niski i krągły, miał pulchną dziecięcą twarz.

- Wziąłem białe.

Pasuje?

- Dzięki.

Jak minął dzień?

- A twój?

- Lepiej nie pytaj.

- Na beczce stała świeca.

Michael zwilżył dwa palce winem i zaczął przesuwac je nad płomieniem.

George milczał chwilę, wreszcie spytał:

- Ciągłe dają ci do wiwatu?

- Niektórzy.

Nie masz pojęcia, jak mnie to wkurza.

Jeden błąd.

Wystarczył jeden głupi błąd.

To dla nich typowe.

Raz się poślizniesz i natychmiast zapominają, że jesteś coś wart.

Haruję jak wół, wkładam w to całe serce.

Dokogo przychodzą stażyściz prośbą radę?

Do mnie.

Zresztą nie tylko stażyściz, inni też.

Załatwiłem ten kontrakt sam, bez niczyjej pomocy, co wcale nie było łatwe.

Kiedy skończyłem, klient przysłał mi butelkę szampana.

Wszyscy byli zachwyceni, wszyscy mnie chwaliли.

A potem?

Jeden parszywy telefon, i dupa.

- Klient to klient.

- zauważył niezręcznie George.

30

- No i co z tego?

Zbluzgałem go?

Nie.

Nazwałem go idiotą?

Też nie.

Poprostu.

- Szukał odpowiednich słów.

- Po prostu byłem trochę za oschły.

Stres, zmęczenie - to się zdarza.

Facet nawet się nie wnerwił.

I nagle wzywają mnie na dywanik i udzielają mi oficjalnego ostrzeżenia.

A teraz?

Nie spuszczają mnie z oka, cały czas czekają, aż znowu coś spieprzę.

Dostaliśmy nowy kontrakt.

Ślęczę nad nim z Fletcherem.

To kutas nad kutasy.

Zwali nam niecałą robotę i jeśli popełnię najmniejszy błąd, wyrzuci mnie na zbity pysk.

- Zamilkł.

Twarz miał zaczerwienioną, oddychał jak po ciężkim biegu.

- Przepraszam.

Nie po to tu przyszedłeś.

Koniec narzekania.

George ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Śmiało, ulżyj sobie.

Michael usiadł wygodniej, zadarł głowę i popatrzył na sufit.

- Wygląda na to, że od dzieciństwa schodzę ludziom zdrogi i robię wszystko, żeby nikomu nie podpaść.

Dlaczego?

To proste: boję się, żeby nie odebrano mi tego, co w moim życiu najlepsze.

Ot, choćby wczoraj.

Jadłem kolację z rodzicami Rebeki.

Jej ojciec przez cały wieczór patrzył na mnie jak na ostatniego śmiecia, matka przez cały wieczór judziła, a ja siedziałem i uśmiechałem się jak zadowolony kretyń.

- Wziął głęboki oddech.

- Czasami czuję się tak, jakbym miał za chwilę wybuchnąć.

- Lepiej wybuchnij przy nich - poradził George.

- W pracy weź nawstrzymanie.

- Myślisz?

Praca, Blake'owie.

Co za różnica.

Rezultaty byłyby katastrofalne i tu, i tam.

- Sparzyłeś w palec.

Possał go, wypił wino i wykrzesał sobie słaby uśmiech.

- Dość zrządzenia.

Co u ciebie?

Widzę, że kwitniesz.

- Oczywiście.

Mieliśmy dzisiaj kontrolę.

Cztery godziny odpoczynku i przyjemnej lektury.

Gazetka, czasopismo.

Wybrałeśzły zawód.

George był księgowym i odbywał staż w małej firmie na West Endzie.

Kilka razypodchodziłdokońcowych egzaminów, ale jakdotąd konsekwentnie oblewał.

- Chcesz powiedzieć, że księgowi mają lepiej niż prawnicy?

-Naturalnie.

Prawnicy?

Prawnicy to gryzipiórki.

To księgowiwszystkim kręcą.

Jesteśmy mózgiem i duszą każdego przedsięwzięcia.

- Naprawdę?

-Absolutnie.

Księgowość to nowyrock and roli.

Jesteśmy wmodzie.

Mamy takie branie, że łeb pęka.

Wybuchnęliśmyiechem.

Michaelowi stanął przed oczami plastyczny obraz: on i George siedzą w szkolnej ławce iklóca się, czy ciz Nirvany sąrównie dobrzy, jak ci zeStone Roses.

- Jak tam Rebeka?

-Dobrze.

Gdyby nie umówiła się z Emilią,na pewno byprzyszła.

Kazała ciprzekazać, że musicisz wpaść do nas na kolację.

31.

- Ty to masz fart - rzucił nagle George.

- Mieć kogoś takiego jak ona.

Wiem, że było ci ciężko.

Rodzice?

Kiedy pomyślę, że po prostu są, istnieją, że to coś zupełnie oczywistego, to aż mi wstyd.

Ale kiedy spotkałeś Rebeke.

.. Trafiała ci się żyła złota, brachu, i chociaż zazdrościsz ci jak jasna cholera, cieszę się, że jesteś szczęśliwy.

Michael poczuł do niego nagłą sympatię.

- Stawiam następną kolejkę - powiedział.

- I krakersy.

Nie możesz umrzeć z głodu.

Roześmieli się i ruszyli do baru po wino.

O ósmej spotkał się z Rebeke.

Czekała na niego, studiując zniszczony plan Londynu.

- Nie wiem, z której stacji będzie bliżej - powiedziała.

- Wiesz co?

Jedźmy na Kensington High.

Przeszli przez bramkę i zbiegli na dół.

Na Circle Line doszło do kilku opóźnień i na peronach panował tłok.

- Co słychać u George'a?

- spytała.

- Wszystko w porządku.

A u Emilii?

- Niezbyt.

- Dlaczego?

- spytał z troską.

- Co się stało?

- Nic szczególnego.

Była trochę przybita.

Miała wyrzuty sumienia, że musi tak wcześnie wyjść, więc zaprosiła ją jutro na lunch.

Na pewno chętnie się z tobą zobaczy.

Przyjdiesz?

- Jasne.

Ludzi wciąż przybywało, a na tablicach nadal nie było informacji o godzinie przyjazdu najbliższego pociągu.

Atmosfera była coraz bardziej napięta.

Chcąc mieć większe szanse na zdobycie siedzących miejsc, zaczęli przepychać się przez tłum w stronę końca peronu.

- Liz do mnie dzwoniła - powiedziała Rebeke.

- Ta z college'u?

- Tak.

Kuzyn jej nowego chłopaka ma galerię w Crouch End.

Chce, żebyśmy się skrzyknęli i zorganizowali wystawę.

Obiecała zaprosić najlepszych dziennikarzy i dealerów.

- Ekstra.

- Myślisz?

- Będziesz miała okazję pokazać swoje prace.

- Nikt ich nie obejrzy.

W każdym razie nikt ważny.

Kto kiedy słyszał galerii sztuki w Crouch End?

- Można to załatwić.

Podzwoimy po redakcjach, pogadamy, ponawiamy, nagonimy klientów.

32

Rebeka westchnęła.

- Próbowaliśmy tego przed wystawą w Camberwell.

Miał przyjść ktoś "Guardiana" i nie przyszedł.

- No to co?

Może tym razem przyjdzie?

- Pogłaskał ją po policzku.

- Nikt ci nie obiecywał, że będzie łatwo.

To, co najwartościowsze, przychodzi najtrudniej.

Alena pewno przyjdzie.

Zobaczysz.

Musisz tylko w to wierzyć.

- Nagle parsknął śmiechem.

- Chryste, gadam jak domorosły psychoanalityk.

Ona też się roześmiała.

- Tak jakby.

- Chętylko powiedzieć, żebyś nie odrzucała tej propozycji.

Po prostu mów "nie", dobra?

- Dobra.

Usłyszeli łoskot nadjeżdżającego pociągu.

Kiedy wjechał na stację, ludzie rzucili się naprzód, by szybko stwierdzić, że wszystkie wagony są przepełnione.

Na peronie zabrzmiał chóralny jęk rozczarowania.

Otworzyły się drzwi i wysiadło dwóch pasażerów.

W zamieszaniu, które w związku z tym nastąpiło, Michael chwycił Rebekę za rękę, przepchnął się przez tłum i błyskawicznie zajął ich miejsce.

Ktoś krzyknął, ktoś inny rzucił mięsem i drzwi się zamknęły.

Michael uśmiechnął się słodko do złorzeczącego tłumy i pociąg ruszył.

Ręka, poręcz, wisząca mu na szyi Rebeka i nieopisany ścisk.

Powietrze było gęste od zapachu stłoczonych ciał, irytacji i potu.

Pół godziny później wyszli z podziemi na Kensington High Street.

Było już prawie ciemno.

Rebeka zajrzała do planu miasta i skrzyła w boczną ulicę.

Minęła kilka wysokich surowych bloków i kilka eleganckich białych domów.

Robiło się coraz ciszej.

Ulice były szerokie i wygodne.

Wszędzie krążyły taksówki i luksusowe samochody.

Wszędzie panował ożywienie i spokój.

Dotarli do Pelham Gardens, dużego placu zabudowanego smukłymi czteropiętrowymi domami z szarego kamienia.

Wszystkimi były olbrzymie, ozdobione kolumnami krużganki, wszystkie stały frontem do małego, otoczonego murem ogrodu pośrodku placu.

Znaleźli numer trzydzieści trzy.

Rebeka wcisnęła guzik domofonu mieszkania numer sześć.

Domofon bzyknął i weszli do środka.

Przeciawszy wykładany terakotą hol, wspięli się schodami na drugie piętro.

W drzwiach powitała ich z uśmiechem drobna, blada kobieta w wieku dwudziestu pięciu, dwudziestu siedmiu lat.

Była w zaawansowanej ciąży.

- Mam naimię Alison.

Serdecznie zapraszam.

Weszli do małego, niskiego korytarza.

Po prawej stronie był salonik tworzący całość z małą, ale dobrze wyposażoną kuchnią.

33

Marionetka.

- Neil przeprasza, że nie mógł przyjść - powiedziała Alison.

- Coś wypadło mu w pracy.

Oprowadzę państwa.

Nie trwało długo.

Nakońcu korytarzyka była sypialnia, wygodna łazienka i garderoba, zupełnie pusta, nie licząc dwóch dużych walizek.

- Można by tu urządzić pokój gościnny - zauważyła Alison - ale obawiam się, że miejsca starczy tylko na łóżko.

Przeszli do saloniku.

Tak samo jak pozostałe pomieszczenia, miał bardzo niski sufit, lecz nie odczuwało się w nim klaustrofobicznej ciasnoty.

Wprost przeciwnie, był bardzo ciepły, przytulny, urządzony skromnie, lecz wygodnie.

Alison wskazała sofę.

- Jest rozkładana.

Można kogoś przenocować.

W kącie podoknem stał mały stół.

Kotary były rozsunięte i Rebeka obejrzała balkonik.

Wychodził na rząd małych, zadbanych ogródków i na tyłdomów przy Cromwell Road.

Znajdowali się w samym centrum wielkiej metropolii, mimo to panował tu zaskakująco spokojna cisza.

- Urocze mieszkanie - powiedziała.

- Byliście tu bardzo szczęśliwi - odrzekła z uśmiechem Alison.

- Żałam wyjeżdżać, ale to wielka szansa dla Neila.

- Czym się pani zajmuje?

- Ja też pracowałam w bankowości.

- Poklepała się po brzuchu.

- Ale moja kariera została chwilowo zawieszona.

- A właściciel?

Jaki jest?

- Pan Somerton?

To bardzo miły człowiek.

Przynajmniej tak myślę.

Nigdy go nie widziałam, ale kilka razy rozmawialiśmy przez telefon.

Jest klientem mojego teścia.

Dzięki temu dostaliśmy to mieszkanie.

- Myślę, że będzie chciał nas poznać?

- Wątpię.

Szczerze mówiąc, nie sądzę, że bymu się chciało.

Jest bardzo bogaty, ma gdzieś takie drobiazgi jak czynsz.

Na pewno skróciłby nam umowę najmu, ale pomyśleliśmy, że mieszkanie może się komuś przydać.

- Jest śliczne - powiedziała Rebeka.

- Prawda, Mike?

Michael bez słowa kiwnął głową.

Alison posłała impromienny uśmiech.

- W takim razie zaparzę kawę i chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

Półgodziny później szli już do metra.

Tym razem do stacji przy Gloucester Road, ponieważ Alison twierdziła, że tam jest znacznie bliżej.

Po drodze minęli olbrzymi supermarket.
- Wygodnie - zauważyła Rebeka.
- Bardzo.

Jak możnabez nich żyć?
- I ta rozkładana sofa.
34
- Właśnie.

Twoi rodzice mogą już kupować bilety na pociąg.
- Niepodałoci się, prawda?
Pokręcił głową.

Przeszli na drugą stronę Cromwell Road.
Stacja była już niedaleko.

Po drugiej stronie ulicy ciągnął się rząd ekskluzywnych sklepów spożywczych.
- Nie o to chodzi.

Tu jest dla nas trochę za drogo.
Zrobiła niespokojną minę.

- To tylko kilka miesięcy.
Próbował nachmurzyć czoło, ale nie mógł.
- Dobra, jak chcesz.

Ale ostrzegam cię: przystaniesz do tych napuszonych ważniaków z wyższych sfer i natychmiast cię rzucę.

Cmoknęła go w policzek.
- Nie przystanę.

Niedaleko była meksykańska restauracja.

Wabiła klientów jaskrawymi kolorami, muzyką i nieokiełznaną energią.
- Zgłodniałem - powiedział.

- Chodźmy coś zjeść, dopóki jeszcze nasna to stać.

Przeprowadzili się dziesięć dni później, pewnej pochmurnej niedzieli.

Alison i Neil już wyjechali: byli w drodze do Singapuru, by rozpocząć tam nowe życie. Alison zostawiła im na stole pudełko czekoladek od Thomtona oraz kartkę z życzeniami szczęśliwego pobytu i numerem telefonu właściciela.

Rozpakowali najniezbędniejsze rzeczy i poszli na spacer do Kensington Gardens, żeby popatrzeć, jak rodzice pomagają dzieciom puszczać łódki na stawie i poszukać pomnika Piotrusia Pana, który Rebeka odwiedziła przed wielu laty ze swoją babcią.

Rzeczywistość ją rozczarowała.

- Myślałam, że jest większy.
- Miałaś wtedy tylko pięć lat.

Każdego pekińczyka brałaś pewnie za psa Baskervillów.

Michael miał przy sobie aparat.

Stanęli pod pomnikiem objęci, uśmiechnięci i szczęśliwi, i ktoś zrobił im zdjęcie.

Po południu zamówili pizzę.

Jedli pośród walizek, słuchając starych tańskich dzieł dzieląc się wspomnieniami wskrzeszonymi przez piosenki.

Nazajutrz rano zadzwonił do niego Alan Harris.

Alan pracował w centrum prawniczym w Bethnal Green, udzielając bezpłatnych porad okolicznym mieszkańcom.

Jeszcze jak student Michael pracował w centrum całe lato.

Od tamtej pory Alan dzwonił do niego w nagłych przypadkach dotyczących jego samego lub garstki zaufanych przyjaciół

z różnych wydziałów firmy.

Ponieważ kancelaria Coksa Stephensa surowo zakazywała udzielania bezpłatnych porad prawnych, utrzymywali tę współpracę w głębokiej tajemnicy.

Chodziło o zrozpaczoną kobietę, której wieczorem groziła eksmisja z mieszkania.

- Umowa najmu ma tylko dwie strony - powiedział Alan.

- Mógłbyś rzucić ją okiem i podsunąć mi jakieś argumenty?

- Jasne.

Przyślij mi ją.

Będę czekał przy faksie.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju, by stwierdzić, że faks jest zajęty: ktoś przesłał pięćdziesięciostronicowy dokument jednemu ze współników.

Czekając, usłyszał, że ktoś go woła.

Podniósł wzrok i zobaczył Grahama Fletchera, który siedł korytarzem, wymachując grubym plikiem papierów.

- Michael, właśnie otrzymaliśmy nową wersję umowy z Digitronem.

Jutro rano chcę się z nami spotkać i omówić poprawki.

- Jutro?

- Serce w nim zamarło.

- A co?

Nie możesz?

- Nie, nie, tylko nie wiem, czy starczy nam czasu na przejrzanie całości.

- Tuż za nim monotonna furkotał faks.

Graham zmarszczył czoło.

- Ty ją będziesz przeglądał.

Ja nie mam czasu.

No, jasne.

Michael kiwnął głową.

Faks jęknął i głucho zachrobotał.

Pewnie się zaciął.

Fletcher podał mu dokumenty.

- Jutro o ósmej wchodź do biura.

- Zdążę.

Nie musisz się nic martwić.

- Mam nadzieję - warknął tamten i poszedł w stronę ekspresu do kawy.

Michael zajrzał do faksu, wyciągnął pomietaną umowę najmu i wrócił do swojego pokoju.

Zadzwoił do Nicka Randalla z wydziału nieruchomości, lecz poinformowanego, że Nick jest na jakimś kursie, co oznaczało, że będzie musiał rozgryźć tę sprawę sam.

Uważnie przejrzał umowę z nadzieją, że znajdzie łatwe rozwiązanie - niestety, nie znalazł żadnego.

Spojrzał na pierwszą stronę kontraktu z Digitronem i natychmiast stwierdził, że jest to zupełnie nowa wersja, w niczym nieprzypominająca wersję pierwotnej.

Dokładne przejrzanie całości zajmie mu cały dzień, a miał jeszcze pilną robotę dla współnika z wydziału bankowości.

Chciał zadzwonić do Alana i przyznać się do porażki, lecz zdał sobie sprawę, że jeśli nic nie wymyśli, ta biedna kobieta wyleci na bruk.

Wziął umowę i poszedł do biblioteki.

36

Podczas gdy uzupełniał wiadomości na temat praw właściciela i najemcy, Rebeka rozpakowywała rzeczy.

Wzięła dzień wolnego, postanowiwszy jak najszybciej doprowadzić mieszkanie do idealnego stanu.

Pracowała przy muzyce Chrisa de Burgha.

Michael jej nieznosił - była to grzeszna przyjemność, której oddawała się tylko podczas jego nieobecności.

Zdażyła już powiesić ich oprawione plakaty.

Oba reklamowały stare filmy.

Ona uwielbiała dramatyz lat trzydziestych i czterdziestych, on nieme filmy epickie.

Na pierwszą randkę zaprosił ją na Napoleona, arcydzieło Abela Gance'a z dwudziestego siódmego roku, i żeby mu zaimponować, przez cały wieczór bombardowała go wiadomościami o Charliem Chaplinie oraz innych wielkich gwiazdorch, o których czytała przed wyjściem do kina.

Najpierwszy prezent wybrał dla niej plakat Rebeki Alfreda Hitchcocka.

Powiesiła go na honorowym miejscu nad telewizorem, tuż obok plakatu z Napoleonem.

Książki kucharskie ustawiła na półce w kuchni.

Miała ich ponad tuzin, lecz tylko z jednej korzystała w miarę regularnie.

Smak Indii'.

Michael uwielbiał curry i robiła je w każdy piątek.

Jedli kolację, potem przytulali się do siebie na sofie i oglądali stare filmy: jednego tygodnia niemy, następnego dźwiękowy.

W ten piątek była jej kolej.

Musiała coś wybrać i postanowiła, że przy okazji zajrzy do najbliższej wypożyczalni wideo.

Telefon dosłownie się urywał.

Najpierw zadzwoniła matka, żeby spytać, jak tam przeprowadzka, potem Robert i dwie ciotki.

Zatelefonowała do Michaela, chcąc poinformować go o postępach

przy rozpakowywaniu rzeczy, ale był strasznie zapracowany i nie mógł długo rozmawiać.

Po południu poszła na zakupy.

Wholu przedstawiła się jednemu z lokatorów, starszemu panu, emerytowanemu pianinie, który mieszkał na parterze - życzył jej miłego pobytu.

Po powrocie znalazła pod drzwiami doniczkowy kwiatek: prezent od Emilii na nowe mieszkanie.

Postawiła go na stole.

Kiedy wreszcie skończyła, poczuła się prawie jak w domu.

Usiadła i spojrzała na stół.

Kwiatek, kartka od Alison.

Podniosła ją i jeszcze raz przeczytała.

A potem, pod wpływem nagłego impulsu, podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

Zakwadrans dziewiąta.

Michael wrócił do domu z plikiem dokumentów pod pachą.

Udało mu się znaleźć tymczasowe rozwiązanie problemu podopiecznej Alana, ale ponieważ strawił na to prawie całe popołudnie, umowę z Digitronem zdażył przejrzeć tylko w połowie.

Będzie musiał dokończyć kolację.

Powitał go smakowity zapach chili.

Z kuchni wyszła uśmiechnięta Rebeka.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny.

-Bardzo.

- Czując, zechwytało go ból głowy, zaczął masować sobie skronie.

U2 śpiewali cicho o mieście, w którym ulice nie mają nazw.

- Zdam się przebrać?

- Chyba nie.

Wszedł do saloniku i stwierdził, że rzeczy są już rozpakowane.

- No ico o tym myślisz?

- spytała Rebeka.

- Dla mnie bomba.

- Zdjął marynarkę i usiadł przy małym stole.

Pośrodku stała nie dokończona butelka wina z poprzedniego wieczoru, a tuż obok niej kwiatek, którego rano tam jeszcze nie było.

- Od kogo?

- spytał.

-,Od Emilii.

- Dzwoniła do mnie.

Chciała pogadać.

- Mam nadzieję, że byłeś dla niej miłszy niż dla mnie.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Przepraszam.

-Nie ma za co - odrzekła ze śmiechem.

Nalała wino i usiadła.

- Zgadnij, z kim dzisiaj rozmawiałam.

- Z matką.

-Z panem Somertonem.

Nie znalazła żadnego Somertona.

- Z właścicielem mieszkania.

-Dzwonił?

Po co?

- To ja zadzwoniłam do niego.

Chciałam mu powiedzieć, że ma cudowne mieszkanie.

Był bardzo miły.

Pytał o nas i.

- Zrobiła skruszoną minę.

- I?

-I zaprosiłam go na drinka.

Głucho jęknął.

- Uznałam, że to dobry pomysł.

Ostatecznie to jego mieszkanie.

- Ale my płacimy mu czynsz.

Nie musimy się do niego wdzięczyc.

- Wcale tego nie oczekuje.

Uniósł brew.

- Był bardzo miły, naprawdę.

Na pewno go polubisz.

- W pracy mam prawdziwe piekło.

Jutro czekam na kilka ważnych spotkań.

Mogą się przedłużyć.

- On przyjdzie dopiero o dziewiątej, do tego czasu zdążysz.
- Uśmiechnęła się zachęcająco.
- Proszę cię.

To mieszkanie spadło nam jak z nieba.

Wypada mu podziękować.

Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

- No, dobra.

38

- Dzięki.

A teraz kolacja.

Już podaję.

- Wyszła do kuchni.

Przypomniał sobie o umowie z Digitronem i ponownie rozboleła go głowa.

Wtorek był koszmarny.

Rano pojechał do siedziby Digitronu w Docklands i prawie cały dzień przesiedział w ślepych pokojach, omawiając tę nieszczęsną umowę.

Większość paragrafów była do przyjęcia i spotkanie powinno potrwać najwyżej dwie godziny. Niestety, dyrektor firmy miał parszywy nastrój i czepiał się dosłownie każdej klauzuli, tak że listę zastrzeżeń kompletowali dopiero o czwartej po południu.

Po powrocie do kancelarii wziął go w obroty Fletcher.

Skrzyczał go za brak respektu dla wymagań klienta i oświadczył, że właśnie otrzymał trzy kartony umów Pegaza, które należało przejrzeć do najbliższego piątku.

- Nie jestem zadowolony z przebiegu prac nad tym kontraktem - wyszczał.

- Wygląda na to, że nie potrafisz tego ogarnąć.

Michael miał ochotę odpowiedzieć, że ogarnąłby wszystko bez najmniejszego trudu, gdyby Graham raczył z nim popracować, ale ugryzł się w język.

Ograniczył się jedynie do wesołego: "Tak, Graham.

Oczywiście, Graham.

O nic się nie martw, Graham", po czym wrócił do swego pokoju.

Tam czekała na niego Kim, sekretarka.

- Pamiętasz, że jutro wyjeżdżam do Grecji?

Widzisz, chodzi o to, że znalazłam błąd w klauzuli rotacji stanowisk, a za pięć minut muszę wyjść.

Odrzekł, że to bezznaczenia i życzył jej udanego urlopu.

Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać stertę kontraktów, porównując je z listą

Pegaza.

Dwóch brakowało.

List przewodni nosił datę przed siedmiudni.

Niech to szlag: Graham miał go od tygodnia!

Stłumił urazę, podzielił dokumenty, ustalił, które wydziały mają się nimi zająć, po czym zadzwonił do prowadzących je kierowników, by stwierdzić, że zdążyli już wyjść do domu.

Westchnął, odszukał najważniejszy kontrakt - ten z Dial-a-Car - i zaczął go przeglądać.

Chwilę potem zadzwonił dyrektor do spraw finansowych Digitronu i wniósł kolejne zastrzeżenia do umowy.

Ponieważ wszystkie były idiotyczne, przez godzinę bawił się w dyplomata, tłumacząc durniowi, że są

zupełnie niepotrzebne.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, do pokoju wpadł zestresowany Jack Bennett.

- Przed chwilą dostaliśmy nowy kontrakt - powiedział.

- Ci zAzteca,no, wiesz, tej firmy od konserwacji komputerów, chcą opchnąć jedną zeswoich filii, i to szybko.

Wiem, że jesteś zawalony robotą, alemusisz mipomóc.

Jutrorano mamy spotkanie.

Przyjdiesz?

Może potrwać cały dzień.

Michael zerknął nastertę kontraktów Pegaza i Digitrona, i zdołał wykrzesać sobie słaby uśmiech.

- Jasne, czemu nie.

Podaj mi szczegóły.

39.

Kiedy Jack wreszcie wyszedł, Mikę spojrzął na zegarek.

Ósma.

Jeśli niechciał się spóźnić, powinien już wyjść.

Tylko co z tymi papierzyskami?

Kiedy to wszystko skończy?

Wizyta Somertona była ostatnią rzeczą, o jakiej teraz marzył.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Rebeki i nie powiedzieć jej, że się nie wyrobi.

Pozatym był w parszywym nastroju i szczerze wątpił, czy wytrzyma cały wieczór, nie palnąwszy czegoś, czego później będzie żałował.

No tak, ale obiecał, że przyjdzie.

Rebeka bardzo na niego liczyła.

Wyłączył komputer i ruszył do drzwi.

Za pięć dziesiątą.

Rebeka usłyszała szcęk klucza w zamku.

Przez dwie godziny sprzątała, żeby w mieszkaniu było czyściutko, potem wzięła prysznic i przebrała się w nową sukienkę, a od kilkunastu minut nerwowo krążyła po saloniku.

Wszedł Michael.

- Gdzieś ty się podziewał?

- spytała.

Miał zaczerwienioną twarz.

Był zły i poirytowany.

- Tylko nie zaczynaj - warknął.

Puściła ostrzeżeniem mimo uszu.

- On zaraz przyjdzie.

Idź się przebrać.

Wyprasowałam ci tę niebieską koszulę, leży na łóżku.

I nałóż brązowe spodnie.

Uśmiechnął się zgryźliwie.

- A ty, kochanie?

Miałaś dobry dzień?

- Pospiesz się!

Nachmurzyło.

- To był debilny pomysł.

- Pomaszerował do sypialni.

Rebeka wyjęła wino z lodówki.

Chardonnay.

Sprzedawca zapewniał, że jest pyszne.

Oby.

Kosztował fortunę.

Zabzyczał domofon.

Nerwowo wcisnęła guzik i podczas gdy Somerton szedł schodami na górę, po raz setny rozejrzała się wokoło, żeby sprawdzić, czy wszystko wygląda tak jak należy.

Pukanie do drzwi.

Wzięła głęboki oddech i przekreśliła klamkę.

Stojący w progu mężczyzna dobijał pięćdziesiątki.

Wysokiej dobrze zbudowany, miał jasno kasztanowe, lekko spakowane włosy, ostre rysy twarzy i ciemne, bystre oczy.

Był w wełnianej marynarce, ciemnej koszuli, bawełnianych spodniach i w dobrychbutach. Niemato jak swobodna elegancja.

- Pani Blake?

- spytał z uśmiechem.

Kiwnęła głową.

- Pan Somerton?

40

- Max, jeśli łaska.

-Rebeka.

Proszę, wejdź.

Wszedł do korytarza.

- Trafiłeś bez trudu?

- spytał uprzejmie.

- Trochę błądziłem, ale jakoś dałem sobie radę.

Uświadomiła sobie, że zadała bzdurne pytanie i spiekła raka.

Max roześmiał się dobrodusznie, wszedł do saloniku i zatoczył ręką szeroki łuk.

- Cudownie.

Nabrało zupełnie nowego charakteru.

- Mówił powoli i swobodnie.

Miał piękny głos: głęboki, soczysty, dźwięczny i gładki.

Jakaksamit.

Telefon go zniekształcał.

Mimo wszystko.

Rebeka uśmiechnęła się wstydliwie.

Czuła, że już go lubi.

- Dziękuję.

Mike zaraz przyjdzie.

Usiądziesz?

Kroki.

Do salonu wszedł Mike.

Myślała, że zemdleje.

Miał na sobie dzinsy niechlujny podkoszulek.

Był nieuczestny, uśmiechał się ponuro i całym sobą zdawał się mówić, że ma wszystkich gdzieś.

Max wyciągnął do niego rękę.

- Mike, prawda?

Michael kiwnął głową i uściśnął mu dłoń.

- Właściwie to Michael.

Przez ułamek sekundy Max miał dziwny wyraz twarzy.

Nie, to nie był gniew.

Rebeka nie mogła tego zidentyfikować.

Wpadła w panikę, przekonana, że wieczór skończy się, zanim na dobre się zaczął.

Nagle Max posłał mu ciepły uśmiech.

- Oczywiście.

Imię to najważniejszy emblemat każdego z nas.

Nie powinno się go skracać bez pozwolenia.

Proszę o wybaczenie.

Michael miał w sobie na tyle dobrej woli, żeby okazać lekkie zażenowanie.

- Nie ma sprawy - mruknął niezręcznie.

Usiedli: oni na sofie, Max na krześle.

Michael sięgnął po butelkę.

Maxpatrzył na niego, jakby chciał znaleźć coś w jego twarzy.

- Czy mogę zapalić?

- spytał.

- Oczywiście.

My nie palimy, ale dym namnie przeszkadza.

- Nie mielipopielniczki, więcpodsunęła mu spodeczek.

Max wyjął srebrną papierośnicę, a z papierośnicy cienką cygaretkę.

Przypalił ją, zaciągnął się i wypuścił kłąb dymu.

Zapach był bardzo intensywny,lecz przyjemny; skojarzyli się jej z zapachem drzew po deszczu.

Max miał naszyi maleńką bliznę.

Pewnie zaciął się przy goleniu.

I nie nosił obrączki.

- Mieszkaniebardzo nam się podoba.

Max wypił łyk wina.

- Mam nadzieję, że niejestza małe.

-Nie, jest w samraz, prawda, Mike?

- Myślała, że coś powie, ale ontylko kiwnął głową.

Żałowała, że nie puściłajakiejś płyty.

Cicha muzyka

ift

41.

bardzo by im pomogła.

- Cieszę się, że pan.

że przyszedłeś - dodała z nerwowym uśmiechem.

- Jest mi niezmiernie miło, że mogęwas poznać.

- Strząsnął popiół ispojrzał na Michaela.

-Wiem od Rebeki, że jesteś prawnikiem.

Mikę ponownie skinąłgłową.

- Gdzie pracujesz?

-U Coksa Stephensa.

Max myślał chwilę.

- Niedawnoprzeszedł do was Jack Bennett, prawda?

-Znasz go?

Max sięgnął po kieliszek.

- Owszem.

Robiliśmy razem interesy.

- Pociągnął łykwina.

-Wyśmienite.

Masz znakomity gust.

Kamień spadł jej z serca.

- To nie ja,to sprzedawca u Oddbinsa.

"Magiczne wino: niezwykle i prowokujące".

Jego słowa.

- Onizawsze tak mówią- wtrącił Michael.

- Żeby ludzie nie narzekali,kiedy stwierdzą, że wydali majątek na coś, co smakuje jak siuśki.

Rebeka aż drgnęła.

Ale Max robił wrażenie rozbawionego.

Spojrzał nanią i rzekł:

- Tym razem nikt cię nie oszukał.

Wprost przeciwnie.

- Przeniósł wzroknaMichaela.

-Słyszałem również, że mamy wspólne korzenie.

- Pochodzisz z Richmond?

-Nie.

Z Bow.

Toją zaskoczyło.

Michaela też.

- Rozumiem.

-powiedział.

- Mieszkałem w Basset House.

Przy LexdenStreet.

W domu dziecka,któryzamknięto wkrótce po moim odejściu.

Znasz Lexden Street?

Michael popatrzył na Rebekeę.

Miała wyrzuty sumienia, jakbygo zdradziła.

Z Maksem rozmawiało sięprzez telefon tak miło, że musiała powiedzieć więcej niż zamierzała.

Uśmiechnęła się nerwowo.

- Świat jestmały-wykrztusiła.

Michaelbez słowa kiwnął głową.

- A ty?
W którym domu mieszkałeś?
- spytał Max.
- Tym przy Thorpe Street.
Max myślał chwilę.
- Jest tam pub.
Zaraz, zaraz.
Pod Orlim Piórem?
- Pod Białym Piórem.
- Tak, pamiętam ten szyld.
Białe pióro na czarnym tle.
- Uśmiechnąłeś, nie odrywając od niego oczu.
- Wiesz, gdzie jest Lexden Street?
Michael uciekł wzrokiem w bok.
42
- Wiem.
Na rogu jest taki mały sklep.
Żałując, że nie była bardziej dyskretna, Rebeka spróbowała rozładować atmosferę.
- Czyżby ten, w którym podkradaliście cukierki?
Max też się uśmiechnął.
- Nie tylkooni.
My też.
- To było bardzo dawno temu - powiedział nagle Michael.
Rebeka doszła do wniosku, że najwyższa pora zmienić temat.
- Gdzie mieszkasz?
- Przy Arundel Crescent, Wiesz, gdzie to jest?
- Nie.
- Po drugiej stronie Old Brompton Road, niedaleko Knightsbridge.
Harrods ma we mnie stałego klienta - dodał ze śmiechem.
- To cudownie.
Nigdy tam nie byłam.
- W takim razie zapraszam.
W sobotę siódmej wydaję małe przyjęcie.
Tylko dla przyjaciół, nicspecjalnego.
- To bardzo miło z twojej strony, dziękujemy.
- Zerknęła na Michaela, nie wiedząc, co odpowiedzieć.
- W sobotę o siódmej.
Nie wiem, czy.
Z opresji wyratował ją Max.
- Na pewno macie jakieś plany, ale jeśli przypadkiem będziecie wolni, serdecznie zapraszam.
Miał pusty kieliszek i Michael nalał mu wina.
Max wskazał obraz wiszący na sofie.
Dwa okręty w blasku księżyca.
- Kończyłaś sztuki piękne, prawda?
To twoje dzieło?
Pokręciła głową.
- Mojego dziadka.
Ja maluję zupełnie inaczej.
- Zawsze chciałaś zostać malarką?

Uśmiechnął się zachęcająco, więc zaczęła opowiadać: o swojej pracy, o wpływach, jakim ulegała, o swojej miłości do mitologii i legend, o odkryciu przesyconych mistycyzmem dzieł prerafaelitów, o tym, że od dziecka pragnęła malować.

Mówiła i mówiła.

Był dobrym słuchaczem.

Potrafił cał" kowicie skupić się na słowach rozmówcy i skłonić go do zwierzeń - dar torzadki i cenny.

W pokoju pachniało dymem z cygar.

Zakreśliło jej się głowie.

Opowiadając, wyczuwała obecność siedzącego obok Michaela i bardzo pragnęła, żeby coś powiedział.

Ale on cały czas milczał.

Wpółdo jedenastej.

Butelka była pusta.

- Zasiadziałem się - oznajmił Max.

- Dziękuję za gościnę.

Muszę iść.

Wstali.

Ponownie uścisnęli sobie ręce.

- Może wezwać taksówkę?

- zaproponowała.

- Nie, dziękuję.

Chętnie się przejdę.

Odprowadził go do drzwi.

43.

- Michael - rzucił na odchodnym.

- Zagłądałeś tam?

Już potem.

Rebeka nie zrozumiała pytania.

W przeciwieństwie do Michaela.

- Tak - odrzekł.

- Raz.

- Kiedy?

- W zeszłym roku.

- Odwiedzałeś kogoś?

- Nie.

Zanosilem dokumenty.

- Ten sklepik jeszcze tam jest?

- Jest.

- I co?

Podwędziłeś marsa?

Dla uczczenia starych, dobrych czasów?

Michael się uśmiechnął.

Pierwszy raz tego wieczoru.

Ten smutny uśmiech naczył dla niego więcej niż dla nich.

- Coś w tym stylu.

Max pocałował Rebeke w policzek.

- Było mi bardzo miło - rzekł, wręczając jej wizytówkę.

Pół godziny później siedziała w łóżku.

Górne światło było już zgaszone.

Palila się tylko lampka na stoliku nocnym.

Na jej kolanach leżała książka o południowym Pacyfiku.

Kiedy była małą dziewczynką, oczarowała ją powieść o siedemnastowiecznych żeglarzach, których statek rozbił się u wybrzeży wysp Fidzi, i których miejscowi kanibale wzięli za bogów.

Od tamtej pory zawsze chciała tam pojechać.

Możemy wybrać się na Fidzi w podróż poślubną?

Jeśli tylko dostarczymy pieniądze.

Z łazienki wyszedł Michael.

Był w samych bokserkach.

Usiadł koło niej.

Brał prysznic i miał wilgotne włosy.

Odgarnęła mu je z czoła.

- Ciekawe, czy Sean tam zagłądał - powiedziała.

Michael milczał.

Był głęboko zamyślony.

- Ty też o tym myślałeś?

- Może.

- Moglibyśmy go odnaleźć.

Pokręcił głową.

Nie chciałbyś go zobaczyć?

Był najważniejszą osobą w twoim życiu.

- Piętnaście lat temu.

- Mimo to ciągle o nim myślisz.

Jestem pewna, że on o tobie też.

Jeśli kiedykolwiek postanowisz go odszukać, chętnie ci pomogę.

Razem na pewno

go znajdziemy.

-Pogłaskała go popoliczku.

- Chcę, żebyś o tym wiedział.

Pocałował ją wrękę.

- Wiem.

-Przepraszam- szepnęła.

- Za co?

44

- Że powiedziałam Maksowi o domu dziecka.

Nie chciałam.

Pytał mnie, potem zaczął wypytywać o ciebie.

Powiedziałam, że pochodzisz z Bow.

Spytał, czy twoi rodzice byli cockneyami, no i wtedy.

Ale nie powiedziałam mu nic więcej.

Słowo.

- Nieważne.

- Objął ją, a ona wsparła głowę na jego piersi.

Było jej ciepło i dobrze.

Wygodnie i swojsko.

Milczeli.

- Podobał mi się - powiedziała w końcu.

- A tobie?

- Tak, ujdzie.

-Nie musimy iść nato przyjęcie.

To nie dlanas.

- Amozepójdziemy?

Choćby tylko po to, żeby obejrzeć jego dom.

Wiem, że chcesz, poza tym nie musimy tam długo siedzieć.

No, muszę wczesniej wstać.

Śpijmy.

Zgasił światło.

Objęła go i przywarła do jego piersi.

Oddychał powoli i głęboko.

Ciemność.

Dziwna ciemność: nowy pokój w nowym mieszkaniu, nowe dźwięki i odgłosy.

Minęło dziesięć minut.

Dwadzieścia.

Minęło pół godziny.

Wyczuła, że Michael nie śpi i wyszeptała jego imię.

Pogłaskała ją po głowie.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

3

/Czwartek, pora lunchu.

Rebeka siedziała w taniej, wesołej włoskiej restauracji z swoją przyjaciółką Emilią

Fielding.

Było tłoczno.

Wśród gości przeważali młodzi biznesmeni i sekretarki.

W wilgotnym powietrzu niósł się gwar rozmów.

Musiały przysiąść się do dwóch poważnie wyglądających dżentelmenów w garniturach, którzy jedli i rozmawiali głośno o akcjach i obligacjach.

Emilia jadła powoli, schłodnie i bez entuzjazmu.

Jej twarz przypominała maskę, która - zależnie od oświetlenia - raz była piękna, innym razem zupełnie przeciętna.

Miała bielusięnką skórę, ciemne, oświetlone długimi rzęsami oczy długie, bujne, kasztanowe włosy.

Przypominała Rebeceprerafaelickie heroiny, które tak uwielbiała.

Kiedyś spytała Roberta, czy Emilia jest ładna.

Brat tylko się roześmiał.

Michael zaś nie.

Jakby czytając w jej myślach, Emilia powiedziała:

- Szkoda, że nie mógł przyjść.

- Kazał cię przeprosić.

W zeszłym tygodniu miał mniej pracy, a teraz nie wie, gdzie ręce włożyć.

Ci z kancelarii szaleją.

Wczoraj wrócił do domu o jedenastej, dzisiaj wyszedł o świcie.

45.

Emilia zrobiła współczującą minę.

- Biedactwo.

Rebeka przełknęła trochę spaghetti.

Sos był bardzo pikantny i zaschł jej w ustach.

- Jeszcze raz dzięki za kwiatek - powiedziała.

-Nie ma za co.

Rebekę naszły wyrzuty sumienia.

Emilia pracowała jako asystentka w agencji literackiej i nie zarabiała zbyt dużo.

- Nie musiałaś.

Wydałaś majątek.

- Ależ skąd.

Już się urządziliście?

- Tak, na szczęście.

W niedzielę przyjeżdżają moi rodzice.

To pierwszemieszkanie, w którym możemy ich przenocować.

- Parsknęła śmiechem.

-Robert czuje się odrażony.

- Bierzesz wolne?

-Nie.

Mama wyciągnie ojca na zakupy.

Bardzo chciałyby się z tobą zobaczyć.

Masz czas w poniedziałek?

Zjesz z nami lunch?

- Nie wolałabyś pobyć z nimi sam na sam?

-To tylko lunch.

Przyjdź.

- Dobrze.

- Wyjęła z torebki ozdobny kartonik i pięknie zapakowany prezent.

-To dla twego ojca.

- Emilio!

-To nic takiego.

- Po co robiłaś sobie kłopot?

-To żaden kłopot.

Nie chciałabym, żeby pomyślał, że zapomnieliśmy jego urodzinach.

- Byłoby mu wszystko jedno.

- Rebeka wbiła widelec w spaghetti i dopiero teraz zdała sobie sprawę, co powiedziała.

Przed oczami miała obraz ojca i Roberta, którzy szydzą z Emilii, podczas gdy matka z dezaprobatą wykrzywia usta.

- To znaczy, zupełnie by tego nie oczekiwał.

Ale tak, na

 pewno byłoby mu miło.

Mam ochotę z tobą poplotkować.

I wysłuchać wszystkich nowin.

- Sprawozdanie potrwa najwyżej dwadzieścia sekund.

- Emilia ospała widelcem jedzenie; jej talerz był prawie pełny.

Rebeka obserwowała przyjaciółkę, czując, że znówu jest skrepowana.

Emilia zdała sobie z tego sprawę i popatrzyły na siebie z pełnym zażenowania uśmiechem.

Emilia zaczęła jeść.

Któryś siedzących obok mężczyznmusiął opowiedzieć jakiśkawał,bo obaj głośno zarechotali.

- David się odzywał?

Emilia pokręciła głową.

- I dobrze.

Togłupek.

- Może to ja byłam głupia.

46

Nie, to byłajego вина.

Dobrze, że się go pozbyłaś.

Na pewno spotkasz

kogoś wyjątkowego.

Jużwkrótce.

Wspomnisz moje słowa.

Emilia spuściłagłowę.

- Może.

- Wypiła łyk вина.

-Jak poszło spotkanie z właścicielem mieszkania?

- Świetnie.

Bardzo się denerwowałam, ale okazało się, że zupełnie niepotrzebnie.

Był czarujący.

Emilia zmrużyła oczy.

- Przystojny?

-Niezbyt.

Ale bardzo atrakcyjny.

Pochodzi zBow.

Wychowywał się w domu dziecka, tak samo jak Mikę.

Emilia zrobiła zatroskaną minę.

- I cona to Mikę?

Jak zareagował?

Miała taką minę, że Rebeka odruchowo przeszła do obrony.

- A niby jak miałbyzareagować?

-Nie wiem.

Niechętnie rozmawia o tamtym życiu.

- Ze mną rozmawia.

-Tak, ale.

Chodziło mi tylko oto, że.

- Urwała, szukając odpowiednich słów.

-Od tamtego czasu jego życie bardzo się zmieniło.

Bowto teraz dla niego zupełnie inny świat.

Wiem,że to niezbyt dobre porównanie, alekiedy dzisiaj pomyślę o mojejmatce, wydaje mi się, że wspominam kogośobcego.

Straszne.

- Zażenowana, ponownie urwała.

-Przepraszam.

To niemoja sprawa.

Rebekę ogarnęły wyrzutysumienia.

Jak zawsze, gdy myślała o jej matce.

- Tego nie powiedziałam.

Przez kilka minut milczały.
Siedzący obok mężczyźni wstali i dostrzegła okazję do rozładowania atmosfery.
- Mam nadzieję, że jesteś zaszczycona - rzuciła teatralnym szeptem.
- Wyobraź sobie: siedzieliśmy przy jednym stole z panami wszechświata!
Jeden z mężczyzn posłał jej dziwne spojrzenie.
Rebeka zachichotała.
Emilia uśmiechnęła się i napięcie minęło.
Nie wiedząc czemu, Rebeka pomyślała o George'u.
O pulchnym, chaotycznym George'u, maskotce londyńskich księgowych.
Wiedziała, że jest wolny i zastanawiała się, czy nie przedstawić go Emilii.
Co prawda - by użyć jednego z ulubionych powiedzeń jej matki - nie był odpowiednią namodlitwą dziewczycy, był za to dobry i bardzo zabawny.
Emilia zasługiwała na kogoś porządnego, na kogoś, na kim mogłaby polegać.
Postanowiła omówić to z Michałem i spytać go, co o tym sądzi.
Miała nadzieję, że pomysł musi się spodobać.
Emilia odłożyła widelec.
Na talerzu zostało pół porcji spaghetti.
Niezbyt się postarała, ale mogło być gorzej.
47 A.

- Skończyłaś?

- spytała Rebeka.

- Tak.

-W takim razie pójdziemy teraz do barku koło sądów na wielką filiżankę gorącej czekolady.

Ja stawiam, więc ani mi się waży protestować.

Emilia roześmiała się.

Pierwszy raz od przyjscia do restauracji.

- Nie miałabym odwagi.

Rebeka też się roześmiała.

Ramię ramię ruszyły do drzwi.

Siedzieli na sofie, patrząc na Bulwar Zachodzącego Słońca.

W pokojubyło ciemno.

Światło sączyło się tylko z ekranu telewizora.

Na stoleżał wielkiczekoladowy baton Toblerone.

To kolejny rytuał piątkowych wieczorów.

Wyciągnęła rękę.

Dał jej klapsa.

- Żarłok.

-Nieprawda.

- Przed chwilą zjadłaś olbrzymią porcję curry.

-To ty zjadłaś curry.

Dla mnie było za gorące.

- Odłamała z batonu dwa trójkątne kawałki i jeden podała jemu.

Wbił węż zęby i usta zalała mulepka słodycz.

Rebeka zrobiła to samo i przez chwilę z ukontentowaniem zuli czekoladę.

- Za dużo jesz - powiedział.

-Nieprawda.

- Prawda.

Kiedy poszliśmy na lunch na Trafalgar Square, wykupiłaś wszystkie kanapki w sklepie.

- Bo mi kazałeś.

Śmiała, Rebeko - mówiła, naśladując jego głos.

- Kupto czekoladowe ciastko.

Przecież masz na nie ochotę.

A potem połowę ciastka zjadłaś, a drugą połowę kazałeś mi nakarmić gołębie.

Wróciłam do pracy tak samo głodna, jak wyszłam.

Wybuchnął śmiechem.

- To wcale nie jest zabawne!

Byłyśmy wtedy tak zajęte, że nie mogłam nigdzie wyjść.

Nie umarłam z głodu tylko dlatego, że Klara częstowała mnie cukierkami na kaszel.

- Bomba.

Nie ma to jak zdrowe jedzenie.

Śmiejąc się, położyła nogi na jego nogach i objęła go za szyję.

- Curry było przepyszne.

Dzięki.

Pocałowała go.

- Cieszę się, że ci smakowało.

Na ekranie telewizora Norma Desmond i Joe Gillis oglądali jeden z jej niemych filmów.

"Nie potrzebowaliśmy dialogów - powiedziała Norma - Mieliśmy twarze".

Znalite słowa na pamięć i powtórzyli je chórkami za nią.

48

- Piękny tekst - szepnął Michael.

- Bardzo jej współczuję.

To straszne: ni z tego, ni z owego spaść z piedestału i wymrzeć jak dinozaury.

- Norma miała przynajmniej pieniądze.

Pomyśl tylko, co się stało z Mae Murray.

- To ta, która skończyła jako sprzedawczyni w sklepie z perfumami?

- Nie, w sklepie skończyła Louise Brooks, a Brooks nie miała do Murray startu.

Mae Murray była milionerką i wielką gwiazdą lat dwudziestych.

Kiedy nadeszła era filmów dźwiękowych, najpierw straciła pracę, a potem, w tym wielkim krachu na giełdzie, wszystkie pieniądze.

Kilka lat później policjanci znaleźli ją śpiącą na ławce w Central Parku.

Została aresztowana za włóczęgostwo.

Norma Desmond siedziała przy karcianym stoliku ze swymistarymi, palącymi non stop przyjaciółmi.

Gdy na ekranie ukazała się twarz Bustera Keatona, wszyscy wesoło zakrzyknęli.

- W wypożyczalni mają kilka jego filmów - powiedziała Rebeka.

- Tych, których nie widzieliśmy?

- Nie wiem.

Ale nawet jeśli tak, chętnie obejrzałabym je drugi raz.

Keaton jest lepszy od Chaplina.

- Bez dwóch zdań.

Odłamała kolejny kawałek czekolady.

- William Holden jest bardzo seksowny - oznajmiła.

- Gloria Swanson też.

Wytrzeszczyła oczy.

- Gloria Swanson?

- Oczywiście.

Towar pierwsza klasa.

Pamela Andersen nie może na nią patrzeć, bo umiera z zazdrości.

Wybuchnęli śmiechem.

- Ale to prawda - zauważyła Rebeka.

- Tejejoczy.

Norma może powiedzieć nimi wszystko, co zechce.

Pocałowała go jeszcze raz.

Był szczęśliwy.

Shczęśliwy jak nigdy dotąd.

Ze wszystkich chwil, które spędzali razem, te cenił sobie najbardziej.

Siedzieli w zgodnym milczeniu, oglądając film.

Dziesięć minut później zadzwonił telefon.

Dzwonił i dzwonił.

- Nie włączyłaś sekretarki?

- spytał Michael.

- Chyba zapomniałam.

- Niech dzwoni.

Pokręciła głową.

- Może to coś ważnego?

- Pstryknęła pilotem, zapaliła lampę i wyszła z saloniku.

Mrużąc oczy w jaskrawym świetle, Michael słyszał, jak Rebeka rozmawia z rodzicami.
Przyjeżdżali do Londynu.
Wieczór był tak przyjemny,
- Marionetka
49.

że zupełnie o tym zapomniał.

Oich wizycie o nieuniknionych tarcich.

którez niej wynikną.

Mijał czas.

Rebeka próbowała skończyć rozmowę, ale tamci najwyraźniej się rozkręcili, bo gadali w nieskończoność.

W końcu wróciła do salonu i usiadła obok niego.

- Przepraszam - powiedziała.

- Tym razem napewno wszystko włączyłam.

Zgasił światło i puścił taśmę.

Dalszy ciąg filmu.

Norma Desmond i jej triumfalny powrót do Paramount Studios.

Rebeka rzuciła kilka zabawnych uwag na temat mody z tamtych lat.

Michael uśmiechnął się i przytulił ją, udając, że chwila wciąż trwa.

Nazajutrz wieczorem poszła na przyjęcie do Maksa.

Ubrali się skromnie:

ona w krótką niebieską sukienkę, on w dzinsową koszulę i luźne bawełniane spodnie.

Nie chciał nałożyć garnituru.

- Max powiedział, że nie muszę.

Szli Old Brompton Road.

Było duszno, bo wiosenny chłód zaczynał ustępować miejsca ospałem skwarowi lata.

Ulica tętniła życiem: młodzi ludziszlichodnikami, wysiadali z taksówek, zbijali się w grupki i śmiejąc się z pewnością siebie bogaczy, wchodziłi do barów, kawiarni i restauracji.

Rebeka i Michael minęli bar, z którego okien wylewała się latynoamerykańska muzyka.

- Powinniśmy byli kupić butelkę wina - powiedziała Rebeka.

- Nie, nie natę imprezę.

Za stacją metra South Kensington hałas wyraźnie przycichł.

Cicha, spokojna dzielnica mieszkalna.

Chłodne białe domy.

Jednorodzinne pałacyki.

Biel zawsze kojarzyła się Michaelowi z bogactwem.

Skręcili w Amndel Crescent i ujrzeli rząd wczesnowiktoriańskich domów,

które przypominały czteropiętrowe wille z beżowego piaskowca.

Były okazalsze, niż się spodziewał.

Numer siedem, dokładnie pośrodku rzędu.

Przez wielkie, wpuszczone w niszę okno zobaczyli dwie kobiety i dwóch mężczyzn w średnim wieku.

Sączyli szampana z kryształowych kieliszków.

- Chyba popełniliśmy błąd - szepnęła Rebeka.

- Chyba tak.

Lepiej chodźmy do kina.

Zauważyła ich jedna z kobiet.

Powiedziała coś i w oknie stanął Max.

Pomachał do nich.

Michael pomachał do niego.

- Szłał by to - syknął.

- Zobaczyli nas.

- Szybko zerknął na zegarek.

Kwadrans po ósmej.

- O dziewiątej wychodzimy.

- Nie możemy.

Obraziłby się.

O dziesiątej.

Dobra, pójdźmy na kompromis: pięćpo dziewiątej.

50

Zapukali do drzwi otworzył im starszy mężczyzna w muszce.

Mówił ze środkowo-europejskim akcentem i miał wytworne maniere.

Czekali w długim holu.

Wyszedł do nich uśmiechnięty Max.

- Cieszę się, że wpadliście.

Chodźcie, zapraszamy

Weszli do olbrzymiego salonu.

Puszysty biały dywan, bladozielone ściany i mnóstwo ludzi, w większości w średnim wieku.

Mężczyźni byli w blezerach albo w kosztownych garniturach; kobiety w wieczorowych sukniach.

Gwar rozmów łagodziła cichą muzyką Mozarta.

Między gośćmi krążyły kelnerki i kelnerzy z szampanem i kanapkami.

Powietrze było ciężkie od zapachu cygar i perfum.

Z tłumu wyszła im na spotkanie jakaś kobieta.

Kobieta uderzająco piękna, którą Michael chyba skądś znał.

Max uśmiechnął się do niej.

- Lavinio, to jest Michael i Rebeka.

- Lavinia obojętnie skinęła im głową i szepnęła mu coś do ucha.

- Dobrze, ale najpierw muszę zająć się moimi gośćmi.

Poprowadził ich na drugi koniec salonu i przedstawił parę, którą widzieli przez okno.

Hugh i Waleria Harperowie.

Hugh był z Nowego Jorku;

pracował w jednej z amerykańskich firm prawniczych, których w Londynie każdego dnia przybywało.

Waleria wychowała się w Winchesterze, tak samo jak Rebeka.

Max dokonał prezentacji, uśmiechnął się, trochę żartował, po czym - nie wiedząc kiedy - zniknął.

Gospodarz doskonały.

Nadszedł kelner z szampanem.

Sięgnęli po kieliszki i Waleria zaczęła wypytywać Rebeke o Winchester.

Michael spojrzał na zegar na kominku.

Dwadzieścia po ósmej.

Uśmiechnął się do Waleni i pomyślał: Boże, za comnie karzesz?

Za kwadrans dziewiąta.

Waleria była czarująca.

Chodziła do tej samej szkoły co Rebeka i wymieniały się teraz dowcipami.

Hugh przyłączył się do innej grupy gości.

Michael udawał zainteresowanego.

Powiodł wzrokiem po salonie.

Meble były proste, koszmarnie drogie i bardzo gustowne.

Może nawet zbyt gustowne - wyglądały jak na zdjęciu z luksusowego czasopisma poświęconego wystrojowi wewnątrz.

Ponownie zobaczył Lavinie.

Krążyła między gośćmi, wysoka, smukła i elegancka niczym grecka rzeźba.

Była w bladziółtej sukni bez ramiączki bez pleców, która leżała na niej jak szyta na miarę. Miała krótkie, kasztanowe włosy, ciemnoniebieskie oczy, gładką skórę i delikatnie zarysowane kości policzkowe.

I nagle przypomniał sobie, skąd ją zna.

Z plakatu reklamującego perfumy, który mniej więcej przed pięcioma laty wisiał dosłownie wszędzie.

Zprostego

51.

plakatu przedstawiającego cudowną twarz zadumanej, zapatrzonej w dal kobiety.
Twarz wciąż była piękna, lecz dostrzegłw niej pewną surowość, którejobjektyw nie wychwycił.

Może dlatego, że wtedy jej tamnie było.

Podeszła do Maksa, który rozmawiał z dwoma mężczyznami w garniturach.
Max uśmiechnął się, wyciągnął rękę i nie przestając mówić, pogłaskał ją delikatnie po nagim ramieniu.

Lavinia oparła się oniego i lekko pochyliła głowę.
Ruchy mieli płynne, swobodne i poufale.

Wyczuła, że Michael ją obserwuje.
Popatrzyła na niego z leniwą arogancją i pewnością siebie kobiety, którą od lat wszyscy podziwiają, po czym się odwróciła.

Przeprosił Walerię i Rebeke, i ruszył do drzwi.
Zatrzymał jednego z kelnerów, spytał go o drogę i poszedł do toalety.
Był gotów zrobić wszystko, byleby tylko zabić czas.

Nie miał ochoty wracać do salonu i bawić rozmową wytwornie ubranych ludzi, do których zupełnie nie pasował.
Dlatego, korzystając z krótkiej chwili samotności, ruszył w przeciwną stronę, żeby zwiedzić dom.

Zszedł nadół.

Po lewej stronie zobaczył uchylone drzwi.
Ciekawie zajrzał do środka.

Pokój, do którego wszedł, zupełnie nie przypominał salonu na górze.
Był dużo mniejszy, miał drewnianą podłogę i wykładane dębowa boazeriąściany zastawione półkami uginającymi się od książek na temat historii, polityki, religii i filozofii.
Dokładnie naprzeciwko drzwi był kominek.

Po lewej stronie stał wygodny fotel.
Poprawej, pod oknem wychodzącym na ogrodzony murem ogród, biurko z orzechawłoskiego.
Był to pokój wygodny, zaciszny i przytulny.

Pokój, który nie miał nic wspólnego z ostentacją i luksusem na pokaz.
Który służył wyłącznie do tego, żeby w nim być, czytać i mieszkać.

Nad kominkiem wisiał obraz: mężczyzna w kostiumie epoki Jerzego IV stojący na zalanej księżycową poświatą ścieżce i patrzący na ruiny starego zamczyska na wzgórzu.

Michael podszedł bliżej, żeby sprawdzić, kto go namalował.

- Podobaci się?
Za nim stał Max.

Przyglądał mu się chłodno i surowo.
Michael przypomniał sobie, jak niegrzecznie potraktował go podczas pierwszego spotkania i poczuł się fatalnie.

- Co tu robisz?
- Byłem w toalecie i zablądziłem.

- Miał nadzieję, że zabrzmiąło to przekonująco.
Ciemne oczy Maksa były wciąż lodowate.
I nagle cały łód stopniał, a Max się roześmiał.
Ciepło i serdecznie.
Miło.

Michaeltrochę się odprężył.

- Przepraszam- powiedział wstydlawie.

-Nie ma za co.

Czyprzyjęcie jest aż takstraszne?

- Nie, jest wspaniałe.

Po prostu.

,- Nie lubisz przyjąć - dokończył za niego Max.

Michael kiwnął głową.

- Kolejna cecha, któranas łączy.

- Naprawdę?

-Nie znoszę takich imprez.

Kompletna strata czasu.

- W takim razie po co je urządzasz?

Maxpopadłw zadumę.

- Nie wiem- odrzekł powoli.

- Nie pamiętam nawet, kiedy zaprosilemtych wszystkichludzi.

Pewnie miewam zaniki pamięci.

Teraz zkolei Mikę sięroześmiał.

- Ładnie tu.

-Podoba ci się ten obraz?

- Bardzo.

Kto go namalował?

- Nie mam pojęcia.

Znalazłem go w sklepie z antykami w Suffolk.

Spodobał mi się, więc go kupilem.

Michael pokręciłgłową.

Max zrobił zaniepokojonąminę.

- Czyżbym popełnił błąd?

-Owszem.

- Jak to?

-Nie kupuje się obrazu dlatego, żejest ładny.

Kupuje sięgo, bo jestdobry.

- Rozumiem.

A skąd się wie, że jest dobry?

- To proste.

Jeśli wygląda tak,jakbynamalował go pięciolatek, oznaczato, że artysta ma talent, i że w ciągu miesiąca obraz podwoi swojąwartość.

Jeśli natomiast wygląda tak, jakby namalowała go małpa, malarz jest absolutnym geniuszem i zanim zdążyzspowiedzieć, że maluje jak Jackson Pollock, zaczyna obcinać sobie ucho.

Tym razem roześmiali się obydwaj.

Max wyjął cygaretkę, przypalił ją

i zaciągnął się dymem.

-Widzę, że się na tym znasz.

- Doskonale.

Rebeka nieźleinnie wyszkoliła.

- Kiedyskończyła St Martin's?

-Niecałe dwa lata temu.

- Rozumiem, że jak dotąd, nie odniosła jeszcze żadnego sukcesu.

Michael pokręcił głową.

- Miałakilka wystaw.

Głównie takich dla młodych artystów.

W Camberwell, w Tooting, w miejscach, dokąd nie przychodzą ani uznani krytycy,
53.

ani dealerzy.

Tylko rodzina, przyjaciele i ludzie, którzy chcą napić się zafriko wina.

Żeby zostać dostrzeżonym, trzeba wystawiać w dużej słynnej galerii.

Na przykładna West Endzie.

- Rebeka podchodzi do tego z wielką pasją, prawda?

- Tak.

- Hmm.

Pytanietylko, czy dobrze maluje.

To go zaskoczyło.

Przez chwilę czuł się urażony.

Ale nie, miast krytyki, w ciemnych oczach Maksa dostrzegł szczere zainteresowanie i sympatię.

- Myślę, że tak.

Ale nawet największy talent na świecie jest guzik wart, jeśli prac nie obejrzą odpowiedni ludzie.

Obrazów Rebeki jeszcze nie widzieli.

Ale zobaczą.

Max popadł w zadumę,

- Na pewno.

Zamilkli.

Max zaciągnął się dymem.

!

- Co w mieszkaniu?

Wszystko w porządku?

Michael westchnął.

- Tak, dzięki.

- I nagle bez najmniejszego powodu dodał: - Jutro przyjeżdżają do nas rodzice Rebeki, i

- Czy oni mają prawo mówić ci "Mike"?

Kolejny raz przeklął siebie w myślach.

::

- Przepraszam powiedział.

- Za tamto.

- Niema za co.

;'

- Owszem, jest.

Czasami kretynieję.

- Nie osądzaj siebie zbyt surowo - odrzekł przejmie Max.

Michael uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Tak, mają takie prawo, ale z niego nie korzystają.

Jestem pewien, że kiedy są sami, nazywają mnie zupełnie inaczej.

- To znaczy jak?

"

- Fajtłapa.

Ofiara losu.

Dupek, który zniszczył przyszłość córeczce.

- Roześmiał się i nagle pomyślał: Chryste, po cholere jao tym gadam?

Co goto obchodzi?

Nic.

Zupełnie nic.

- Długo zostaną?

- spytał Max.

- Do środy.

We wtorek są urodziny jej ojca.

Idziemy na kolację dochińskiej restauracji przy Gerrard Street.

Ja, Rebeka, jej rodzice i brat.

- Pogardliwie wykrzywił usta.

- Wielka, szczęśliwa rodzina.

Max stracił popiół do popielniczki.

- Mogę cię o coś spytać?

- Oczywiście.

- Skąd u ciebie ten napsuszony akcent?

Znowu gozaskoczył.

- Niema w nim nic napsuszonego.

54

- Może i nie, ale nie jest to też akcent z Bow.

Choć czasami gosłychać.

- U ciebie nie słychać w ogóle.

Jak się go wyzbyłeś?

- Jaspotałem pierwszy.

- Wyjechałem z Bow, kiedy skończyłem trzynaście lat.

Do rodziny zastępczej w Richmond.

Byli bogaci, wysłaliśmy do dobrej szkoły i z czasem akcent po prostu zniknął.

A ty?

- Brałem lekcje dykcji.

- Naprawdę?

- Dlaczego cię to dziwi?

- Nie wiem.

- Myślał chwilę.

- To chyba lekka.

- Przesada?

- Powiedzmy.

W dzisiejszych czasach akcentnie jest tak ważny jak kiedyś.

- Masz rację.

Pochodzenie przestało być istotne.

Żyjemy w społeczeństwie bezklasowym.

Talenti determinacja mogą otworzyć wszystkie drzwi.

Michael kiwnął głową.

- Naprawdę jesteś aż tak naiwny?

- spytał Max.

Zaskoczył go po raz trzeci.

Michael był zażenowany: chciał powiedzieć coś mądrego i wyszedł na głupca.

- Nie jestem naiwny - odparł szybko.

- Nie?

- Nie.

Max uważnie mu się przyglądał.

Nie - powiedział powoli.

Chyba nie.

Michael zdawał sobie sprawę, że powinien go przeprosić, lecz uwaga o naiwności trochę go zabolala.

-Nie jestem naiwny - powtórzył.

- Dobrze wiem, jaki jest ten świat i jakie rządzą nim prawa.

-Zamilkł, by po chwili buńczucznie dodać:

-I kiedyś pozostawię na nim swój ślad.

- Nie wątpię.

Przybrani rodzice będą cię bardzo dumni.

- Raczej nie.

Ojciec umarł na atak serca, kiedy miałem osiemnaście lat, a matka sprzedała dom i wyjechała na Bahamy.

Nie widziałem jej odpogrzebu.

Max przeciągle zagwizdał.

- Przepraszam - powiedział cicho.

- To straszne.

Michael kiwnął głową, myśląc, że Max zmieni temat.

Ale niezmienił.

Przybrał zaniepokojony wyraz twarzy, jakby na coś czekał.

- Nie sądzisz, że to straszne?

-Przecież powiedziałem, że tak.

- W pewnym sensie.

-Zgoda, przez jakiś czas byli częścią mojego życia.

Ale już nie są, a życie musi toczyć się dalej.

O czym tu jeszcze mówić?

55.

- W rzeczy samej, o czym.

Michael wyczuł, że Max go osądza i wpadł w gniew.

- Pewnie myślisz, że jestem gruboskórny.

Nawet jeśli tak jest, to co?

Cocięto obchodzi?

Max milczał.

Prosto mu się przyglądał.

- Kim ty jesteś, żeby mnie osądzać?

Nic o mnie nie wiesz.

- Toprawda.

Ale bardzo chciałbym się czegoś dowiedzieć.

Michael wziął głębokioddech.

- Przepraszam- powiedział łagodniej.

- To twój dom.

Nie miałem prawa tak mówić.

Max pokręcił głową.

- Wprost przeciwnie.

Osądziłem cię, nie znając faktów.

To ja powinienem cię przeprosić.

Ciąglemu się przyglądał.

Z sympatią, współczuciem i ciekawością -Michael poczuł się nagle jak bezbronne dziecko.

- Może któregoś dnia udanę się porozmawiać bezprzepraszania.

-Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Usłyszeliście kroki i do pokoju zajrzała Lavinia.

- Max, pytają o ciebie.

- Mówiła szybko, głosem płaskim i nosowym.

Skojarzyła się Mike'owi z Normą Desmond, która musiała zakończyć karierę, ponieważ jej głos nie dorównywał cudownej urodzie.

Max zgasił cygaretkę.

- Miejscomi zaczynają się niepokoić?

Tak szybko?

Dzięki, że mnie ostrzegłaś, kochanie.

Zaraz przyjdę.

Lavinia odeszła, a oni stali i patrzyli na siebie.

- Michael - zaczął powoli Max.

- Jeśli przyszli teściowie zależą ci zaskórę, zadzwońdo mnie.

Pójdziemy na piwo.

- I pogadamy o sztuce?

- spytał z uśmiechem Michael.

- Albo o sklepach, w których podkradaliśmy słodycze.

-To nieprawda, co wtedy powiedziałem.

O moim powrocie do Bow.

- Nie?

-Ten sklepik na rogu Lexden Street prowadziło dwoje staruszków.

Onmocno kulał.

Pamiętasz ich?

- Nie.

Pewnie już mnie wtedy nie było.

- Nie należeli do ludzi spostrzegawczych, a w sklepie nie było ukrytych kamer.

Podkradaliśmy się da, cały czas.
Kiedy miałem jedenaściolet, stary przyłapał mnie na kradzieży kartonu papierosów.
Zwykle byliśmy dla nich za szybcy, ale tym razem dziadek chwycił mnie za rękę i
kazał niewezwać policję.
Kiedy przyjechał radiowóz, powiedziałem, że zaszła pomyłka.
Że nic nie ukradłem.
Gdy tamci odjechali, roześmiałem mu się w twarz.
Nazwałem go głupim mięczakiem i uciekłem.
Wtedy tegonie rozumiałem,
56
ale teraz już rozumiem.
Oni tegożonabardzo nam współczuli.
Wiedzieli, że nie mamy rodziców, że nasze życie jest dokumentnieporąbane.
Że wpis dopolicyjnej kartoteki jeszcze bardziej je skomplikuje.
Właśnie dlatego postanowiłem pojechać do Bow.
Chciałem im podziękować za to, co zrobili.
Pokazać, że nie zmarnowałem sobie życia.
Najsmutniejszemu w tym wszystkim jest to, że już ich tam nie było.
Nowy właściciel powiedział mi, że dziadek zmarł, a tegożonawyjechała do domu starców w
Essex.
Próżny trud.
- Nieprawda.
Michael wzruszył ramionami.
- Może.
- Muszę wracać.
Zostań, jeśli chcesz.
Mówiłem poważnie.
Mike.
Zadzwoń, dobrze?
- Uśmiechnął się.
- Mike.
Czy teraz mogę ci tak mówić?
- Możesz.
- To dobrze.
Max wyszedł.
Michael został w bibliotece, lecz myślą powrócił do sklepiku przy Lexden Street.
Znowu wędrował między półkami pełnymi puszek, torebki słojów z cukierkami,
obserwując dziadka siedzącego za ladą.
Jego stara, zmęczona twarz ożywiła się tylko wtedy, gdy z pokoju na zapleczu wychodziła
żona z filiżanką herbaty.
Kiedy mógł się do niej uśmiechnąć i zamienić z nią kilka czułych słów.
Wiedli ciężkie, znojne życie.
Ale napewnonie pozbawione radości.
Wrócił na przyjęcie.
- Gdzieś ty się tak długo podziewał?
- spytała, gdy szli Arundel Crescent.
- Myszkowałem po domu.
- No wiesz!
- Spokojnie, do sypialni nie wszedłem.
Zajrzałem tylko do jego gabinetu i sprawdziłem, jakie ma książki.

- No i?

- Powiedziała byś, że to chłam: ani jednego albumu z malarstwem Rossettiego czy Millaisa.

A jak ci się gadało z Walerią?

- Świetnie.

Mógłbyś przynajmniej udawać zainteresowanego.

- Próbowałem.

Ale musisz pamiętać, że przeczytałem już "Portret artystki jako młodej, modnej dziewczyny z Winchesteru".

Dałamu kuksańca.

Roześmiał się, objął ją i przytulił.

Z cichych, spokojnych uliczek wyszli na Old Brompton Road, gdzie panował znajomy gwar, ruch i hałas.

- Ta Lavinia jest niesamowita, prawda?

57.

Bez przekonania kiwnął głową.

Była lekko zaskoczona.

- Niejest?

- Jest piękna.

Ale zbyt doskonała.

To tak, jakby porównać Cindy Crawford z Julią Roberts.

Obie sąszalając, ale tylko JuliaRobertsjest prawdziwa.

- Cmoknął ją w policzek.

- Tak samo jak ty.

Przytuliła się jeszcze mocniej.

- Ciekawe, czy Max też uważa, że jest zbyt doskonała.

- Pewnie nie.

Są gusta i guściki.

- Myślisz, że dobrze się bawił?

- Kto?

Max?

Dlaczego pytasz?

- Nie wiem.

Rozmawiając z Walerią, uważnie go obserwowałam.

Trudno go było nie widzieć.

Rzucił się oczy, był gwiazdorem, duszą towarzystwa.

Nic dziwnego.

Jest bogaty, czarujący i wszyskichą z nim porozmawiać.

Cały czas się śmiechał, cały czas był bardzo miły i przyjacielski, ale w jego zachowaniu dostrzegłam coś dziwnego.

On trzyma ludzi na dystans.

Nawet Lavinie.

Nie zauważyłeś?

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową.

Zbliżył się do baru z latynoamerykańską muzyką.

Okna były otwarte.

W środku wesoło pokrzykiwali ludzie.

Pomyślał o minionym tygodniu, o potwornym tygodniu, który go czekał, i nagle poczuł, że musi się odprężyć.

- Chodźmy na kielicha - powiedział.

- Mam ochotę się urząść.

Roześmiała się.

Poprowadził ją do drzwi.

Wtorek po południu.

Michael wszedł do biura, niosąc dwa kubki kawy.

Podał jeden Stuartowi i usiadł za biurkiem.

- Jak długo musisz gadać?

- spytał Stuart.

- Godzinę.

O zasadach tworzenia nowych firm.

Bitą godzinę!

Jak ja to zrobię?

. -

- Może będziesz wolnomówił?
- zasugerował Stuart.
- Ha, ha, ha.
Umieram ze śmiechu.
- Michael wypił łyk kawy Była za gorąca.

- Kto ma przyjść?
-Wszyscy stażyści.
To jeden z tych obiadowych wykładów.
- Kto ci gowcisnął?
Kate Kennedy.

Ale najbardziej wkurzyła mnie jej obłuda.
Przedstawiła to tak, jakby dawała mi cudowną sposobność do udoskonalenia moich
58
umiejętności prezentacyjnych.

Dlaczego poprostu nie przyznała, że nie ma ochoty zawracać sobie głowy i chce to na kogoś zwalić?

- Cóż, mogło być gorzej.
-Jak to?
- Mogło paśćna mnie.
- Stuart roześmiał się ze współczuciem.
-Przepraszam.

Chcesz, to ci pomogę.
Co dwiegłowy, i tak dalej.
Zadzwoił telefon.

Jego dziewczyna, doradczyni finansowa, nudziła się chciała pogadać.
Michael obserwował go kątemoka.
Stuart miał tydzieńprzerwy, był na kursie wyjazdowym.
Dobrze, że już wrócił.

Weszła Susan, ich tymczasowasekretarka.
Przyniosła kontrakt z Digitronem.
Była pulchna, znerwicowana i miała osiemnaście, najwyżej dziewiętnaściolet.
Michael podejrzewał, że tojej pierwsza praca.
- Zaznaczyłam miejsca, wktórych nie mogłam cię odczytać -powiedziała.
-Chcesz powiedzieć, że niewyraźnie piszę?

Zrobiła przerażoną minę.
- Tylko żartuję -powiedział szybko.
- Dzięki za pomoc.

Zaraz toprzejrzę.
Wyszła, a on zajrzał do dokumentów.
Wbrew złowróbnym przepowiedniom Fletchera, negocjacjeprzebiegały dość gładko iudało
mu się nawetbniżyć cenę zakupu.
W piątek mieli wreszcie podpisaćumowę i niemógł'się już doczekać,kiedyGraham
przestaniemiu dyszeć w kark.

Piąta.
Obiecał Rebecce, że wróci o wpół do siódmej.
Miał ochotę spytaćStuarta, czy nie poszedłby z nim na kielicha, ale zmienił zdanie.
Po dwóchdniach wojny nerwów zrodzicami Rebekibył niebezpiecznie wojowniczy.
Alkohol pogorszyłyby tylko sprawę.

Wszedł Jack Bennetti z niepewną miną stanął przy jego biurku.

- Jak się masz?
- Świetnie.
- Co z Digitronem?

Wszystko gra?

Michael kiwnął głową przypomniał sobie, że Max robił z nim interesy.

- Mike, ci z Azteca chcą skrócić harmonogram negocjacji.

- O ile?

- O tydzień, co znaczy, że do poniedziałku musimy przygotować komplet wyjściówek.

Materiały dostaniemy najwcześniej jutro po południu i wygląda na to, że będziemy musieli popracować w weekend.

Masz jakieś plany?

Owszem, miał.

Jeden z niezliczonych kuzynów Rebeki kończył w sobotę dwadzieścia jeden lat i wydawał przyjęcie w Winchesterze.

Inny chrzcił dziecko w niedzielę.

Mieli wziąć udział w obu uroczystościach i spędzić weekend jako goście jego przyszłych teściów.

Czterdzieści osiem godzin nieustającej przyjemności.

Atu proszę: praca.

Niema tego złego, co by na dobre nie wyszło.

59.

Z trudem stłumił uśmiech.

-Nie, Jack.

Absolutnie żadnych.

Dwadzieściami siódmej.

Stał w łukowatym przejściu między kuchnią i salonikiem.

Rebeka siedziała z rodzicami na sofie, pijąc herbatę i słuchając przechwałek Roberta. Na stole leżała sterta urodzinowych prezentów, które miano stworzyć podczas kolacji w Perle Orientu.

Robert, dwa lata starszy od Rebeki, odziedziczył po rodzicach zaborcze spojrzenie i ciężkie rysy twarzy.

- Youngmówi, że tylko tak dalej i za dwa lata weźmie mnie nawspólnika.

Ojciec się rozpromienił.

- Zuchchłopak!

Robert zerknął na Michaela ze złośliwym błyskiem w oku.

- Mówi, że jestem bardzo dobry technicznie i że moim największym atutem jest umiejętność nawiązywania dobrego kontaktu z klientami.

Twierdzi, że bez tego trzeba zapomnieć o karierze.

Michael uśmiechnął się z udawanym smutkiem.

- Może dasz mi kilka wskazówek?

- spytał.

Robert oklapł jak przekłuty balon.

- Żebyś wiedział, może i dam.

Był wyraźnie rozczarowany.

Spodziewał się pochwał.

Nic z tego.

Rebeka posłała Michaelowi współczujący uśmiech.

- Myślicie, że powinniśmy zaprosić Emilię?

- spytała pani Blake.

- Niech Bóg broni!

- wykrzyknął Robert.

- Jesteś dla niej za surowy, Robertcie - ofuknęła go matka.

- Nieprawda.

To są urodziny, a nie pogrzeb.

Dziewczynka z zapalkami jest ostatnią osobą, której tu potrzebujemy.

Stary Blake wybuchnął śmiechem.

Robert też.

Rebeka spiorunowała go wzrokiem.

Pani Blake miała cienką kreseczkę zamiast ust.

Michael ujrzał przed sobą smutną twarz Emilii i weszły w nim opiekuńcze uczucia.

Pospieszył jej na odsiecz.

- Jakim prawem z niej szydzicie?

- syknął.

- Dobrze wiecie, co przeżyła.

Powinniście dziękować Bogu, że nie jesteście na jej miejscu.

Gdybyście

byli, na pewno by z was nie szydziła.

Blake'owie poczuli się nieswojo.

Rebeka tylko pokręciła głową.

W oczach Roberta ponownie rozbłysły złośliwe iskierki.

-Uważaj,siostruniu - powiedział.

- Wygląda na to, że masz rywalkę.

Twój PerryMason czuje doniej miętę.

- Zamknij się -warknęła.

60

- Dlaczego?

Moim zdaniem, doskonale do siebie pasują.

Emilia uwielbia odgrywać męczennicę.

Gdyby musiała odwiedzać ukochanego w więzieniu, byłaby w swoim żywiole.

- Przestań!

-krzyknęła Rebeka.

- Wystarczy, Robercie - powiedziałaaz naciskiem matka.

Zapadła cisza.

Rebekamiąła zaczerwienioną twarz i łypała spode łba nabrata.

Blake'owie ostrożnie obserwowaliprzyszłego zięcia.

A Robert szyderczo się do niego uśmiechał.

Michael poprzysiął sobie, że pewnego dniazetrze muten uśmieszek z ust.

Wziął głęboki oddechi spojrzalna Rebeke.

- O której wychodzimy?

- spytał.

- O ósmej.

-Pójdę wziąć prysznic i się przebrać.

Wszedłdo sypialni.

Słyszał, jak Rebeka kłóci się z bratem, jak jej matka próbuje ichpogodzić.

Wszyscy czworo mówili przyciszonymi głosami.

Otworzył okno i odetchnął ciepłym wieczornym powietrzem.

Pomyślało nadchodzącej kolacji i zrobiło mu się niedobrze.

Miał przeciwko sobie starego Blake, jego żonę i syna.

A Rebeka?

Rebeka była jak rozdarta sosna.

Nagle poczułsię straszliwie samotny.

Popatrzył w niebo, pragnącchoćraz spotkaćw życiukogoś, kto byłby mu całkowicie wierny i oddany.

Ktonależałby wyłącznie do niego.

Nic z tego, niebo było za jasne.

Nie znalazł ani jednej gwiazdy, którąmógłby o to prosić.

Zamknąwszy okno, wszedł pod prysznic.

Nawet sięnie namydlił.

Po prostu stał w kabinie, wystawiając twarz dostrumienia gorącej wody i wdychałparę, ażzapiękło go w płucach.

Poprzez szum usłyszał dzwonek telefonu, a potem głos Rebeki.

Pewnie kolejny kuzyn z życzeniami dla kochanegotatusia.

Wyraźnie zdenerwowana, czekała na niego w sypialni.

- Dzwonił jakiś Bennett.

Mam ci przekazać, że dyrekcjaAzteca zwołała nadzwyczajne zebranie.

Czekają na ciebie w biurze.

Co za ulga.

Zaczął się ubierać.

I- O którejmam tam być?

- Jak najszybciej.

Powiedział, żebyś wziął taksówkę.

Otworzył szafę i wyjął spodnie.

- Przyszły więzień niezdąży zjeść kolacji.

Prawdziwaka katastrofa.

Jak tozniosą twoi rodzice?

- Nie zaczynaj.

-Dlaczego?

Czy Jack wspomniiał ci o weekendzie?

Nie?

Weekend teżmam zajęty, więc nie będę mógł pojechać do Winchesteru.

Powiedzto mamie i tacie.

Spędzą cudowny wieczór.

Zrobiłaurażoną minę.

61.

- A ja?

Zawstydził się.

- Przepraszam.

Nie powinienem na ciebie naskakiwać.

Ale wiesz, co domnie czują.

Beze mnie będziesz się lepiej bawiła.

Ktoś zapukał do drzwi.

Dziwne.

Nikogo się niespodziewali.

- Otworzę - powiedziała.

Michael zapiął pasek, wziął marynarkę i w tej samej chwili dobiegł goznajomy głos.

Zdumiony wyszedł z sypialni.

W korytarzu stał Max z butelką szampanaw ręką.

Wyjaśniał Rebecę, że nie skorzystał z domofonu tylko dlatego, że minął się z kimś w drzwiach.

- Michael wspomniał, że twój ojciec ma dzisiaj urodziny.

- Wręczył jej butelkę.

- Pomyślałem, że może się przydać.

- Dostrzegł Michaela i przyjaźnie skinął mu głową.

Zaskoczona Rebeka uśmiechnęła się nerwowo.

- To bardzo.

Jesteś bardzo miły.

Chciałbyś poznać moją rodzinę?

- Z wielką przyjemnością.

Zaprowadziła go do salonu i przedstawiła.

Rozpromienieni Blake'owie bardzo dziękowali mu za mieszkanie.

Max wysłuchał ich grzecznie, spytał Roberta o pracę i pogratulował sukcesów w tak znanej firmie.

Pani pani Blake wyglądała jak para łaszących się kotów.

Michael stał na uboczu.

- Mieszkanie jest prześliczne - wymruczała pani Blake.

- Rebeka i Mike są tu bardzo szczęśliwi.

- A ja jestem szczęśliwy, że znalazłem tak miłych lokatorów.

- Max spojrzał na zegarek.

- No, muszę już iść.

Umówiłem się na kolację z przyjaciółmi.

Życzę państwu udanego wieczoru.

- Byłby bardziej udany, gdyby Mike mógł z nami pójść - odrzekła Rebeka.

- Niestety, wezwano go do biura.

- Jaka szkoda.

- Max spojrzał na Michaela.

- Może wyjdziemy razem?

Na High Street zawsze są taksówki.

- Przeniósł wzrok na starego Blake'a.

- Na pocieszenie powiem panu, że moi wpływowi znajomi z kancelarii Coksa Stephensa przepowiadają Michaelowi oszałamiającą karierę.

Na pewno jesteście państwo dumni z przyszłego zięcia.

Blake wybałuszył oczy.

Max patrzył na niego wyczekująco.

Blake wykrzeszał z siebie uśmiech.

- O tak, bardzo.
- Zerknął na żonę.
-Prawda, kochanie?
Kochanie kiwnęło głową.
Michaelzagryzł usta, żeby nie wybuchnąćśmiechem.
- Było mi bardzo miło- powiedział Max.
Odwrócił się, puścił do Mike'a oko i ruszyli do drzwi.
62
Schodzili na dół.
- Byłeś koszmaranie złośliwy.
-Ja? - zdziwił sięMax.
- Dlaczego?
Dałem im tylko sposobność dowyrażenia zachwytonad roztaczającymi się przed tobą perspektywami.
Z drugiej strony, twój przyszły teść niezbyt się do tego kwapił.
Michael parsknął śmiechem.
- Niezbyt?
Zmusiłeś go do bluźnierstwa.
To tak, jakbyśkazał papieżowi odprawić czarną mszę!
Doszli do drzwi.
- No więc?
- spytał Max.
-Jak masz ochotę spędzić wieczór?
- Że co?
Max zrobiłrozbawioną minę.
- To ja poprosiłem Jacka, żeby do ciebie zadzwonił.
Niemasz żadnegopilnego spotkania, a ja nie jestem z nikim umówiony.
Mówiłeś, że ten rodzinny wieczór cię przeraża, więcpomyslałem, że pomogę ci sięz tego wywinąć.
Przez ułameksekundy Michael był oburzony, że Max zrobił to na własnąrękę.
Leczoburzenie natychmiast minęło, ustępującmiejsca wdzięczności,że aż tak się fatygował.
Jakby czytającw jego myślach, Max spoważniał.
- Widzę, że przesadziłem.
Tak, masz rację, powinienem był cię uprzedzić.
Spędź wieczór z rodziną, tak będzielepiej.
Wpadniemy na szybki koniak, a potem wrócisz do nich i powiesz, że spotkanie odwołano.
Michael pokręcił głową.
Przypomniała mi się ich rozmowa na przyjęciu poczuł się niezręcznie.
- Przepraszam, że nie zadzwoniłem.
Nie chciałem sięnarzucać.
- O czym ty mówisz?
Jeśli tak to odebrałeś, bardzo cię przepraszam.
- Nie,nie,ależ skąd.
Nie chciałem.
Boże, czy przestaniemy się wreszcie przepraszać?
- No więc?
Co chciałbyś robić?
- Wszystko jedno.
-Najpierw coś zjedzmy.
Gerrard Street definitywnie odpada,ale możemy pojechaćgdzie indziej.

Na przykład doLangana.

Albo do Savoya.

-Zawiesił głos.

- Moglibyśmy też pójść na Brick Lane izjeść pyszne taniecurry.

- Curry - odrzekłz uśmiechem Michael.

- Przepadam za curry.

- Ja też.

Siedzieli w piwnicy prywatnego klubu w Soho.

Z ruchliwej, jaskraworozświetlonej ulicy nad ich głowami niósł się gwar tysięcy głosów zniekształconych panującym na dworze upałem.

Ale tu, pod ziemią, było chłodno,

63.

ciemno i cicho.

Większość stołów była wolna.

Paliły się na nich świece i nakamiennych ścianach i niskim suficie tańczyły mroczne cienie.

Pili koniak.

Siedzieli tam już od godziny, kontynuując rozmowę, którą zaczęli w zatłoczonej restauracji przy Brick Lane.

Z tym, że nie była to właściwie rozmowa.

Milknąc - a milkł bardzo rzadko - Michael zdawał sobie sprawę, że cały czas monologuje.

Nie robił tego celowo.

Poprostunie mógł przestać mówić.

W uśmiechu Maksy, w jego kojącym głosie było coś, co skłaniało do zwierzeń z taką samą łatwością, z jaką igła przebija delikatny jedwab.

- Myślisz czasami o matce?

- Już nie - odrzekł Mikę.

- Żeby o kimś myśleć, trzeba go pamiętać, a ja jej nie pamiętam.

Miałem trzy lata, kiedy zabrano mnie do domu dziecka.

Z tamtego okresu pozostała mi tylko płatanina niewyraźnych wspomnień.

Sajak bezsensowne fragmenty snu.

- A dawniej?

Myślałeś o niej?

- Cały czas.

Nienawidziłem jej za to, że musiałem dorastać tam, gdzie dorastałem.

Za to, że nie miała siły, by walczyć i umarła.

Pamiętam, ktoś opieki społecznej powiedział mi, że matka nie żyje, a ja mu nato, że lepiej mi będzie bez niej.

- Roześmiał się chrapliwie.

- Boże, co ten facet sobie pomyślał?

Ośmioletni szczeniak i takie słowa.

I właśnie w tym rzecz.

Byłem mały.

Za bardzo próbowałem połapać się w swoim własnym życiu, żeby doszukiwać się sensu w życiu matki.

Wypił łyk koniaku.

Alkohol gładko spłynął gardłem i przyjemnie ogrzał mu żołądek.

Max palił cygaretkę, patrząc na niego ciekawie, lecz bez wścibstwa.

- Ale już go znalazłem - kontynuował Michael.

- To dziwne, ale pomógł mi w tym pobyt w Bow.

Max tylko się uśmiechnął.

- Większość nastoletnich dziewcząt, dziewcząt, które - tak jak moja matka - niemal całe życie spędziły w domu dziecka, bardzo pragnęła zajść w ciążę.

Wszystko jedno z kim.

Nie chciały mieć kochanka, bo nie ufały dorosłym.

Chciały mieć dziecko.

Kogoś, kto obdarzyłby je bezwarunkową miłością, jakiej nigdy nie zaznały.

Ale kiedy już urodziły, wiele z nich nie dawało sobie rady.

Same były dziećmi, choć chciały uchodzić za dorosłe kobiety.

Kończyło się to tak, że dziecko trafiało do tych z opieki społecznej.

Niektóre próbowały je odzyskać.

Inne, na przykład moja matka, ulegały i zaczynały ćpać, żeby zapomnieć o bólu.

Błędne koło.

Popatrzył na migotliweceienie na suficie.

- Wiesz?

- dodał cicho.

-Czasami chciałbym ją jeszcze raz zobaczyć.

Powiedzieć jej, że rozumiem, przezco musiała przejść.

Że nie obarczam jejwiną za to, jak potoczyło się moje życie.

64

- Gdybyto było możliwe -spytał łagodnie Max -myślisz, że byś potrafił?

-Nie wiem- odrzekł szczerze Michael.

- Mam nadzieję.

-Podniósłkieliszek i patrzył chwilę nazłocisty płyn skrzącysię w blaskuświec.

- A ty?

Myślisz o swoich rodzicach?

Max pokręcił głową.

- Wcale?

-Byłem bardzo mały, kiedy umarli.

Są dla mnie jak sen.

Jak twoja matkadla ciebie.

Pamiętam tylko Lexden Street.

I ten narożny sklepik- dodał lekkim uśmiechem.

Powietrze byłoprzesycone balsamicznymzapachem cygar.

I gwaremprzyciszonych rozmów.

Michael wiedział, że jest późno, i że czeka go ciężkidzień.

Mimo tochciał zostaći jeszcze trochę porozmawiać.

- Potrzeba miłości - zaczął powoli.

- To straszne.

Żebyją zaspokoić,ludzie robią rzeczy, których się potem brzydzą.

- Na przykład?

-W Bow mieszkał z nami niejakiCook.

Miał twarz dziecka, rudą brodęi wyglądał jak pluszowy miś.

On wiedział wszystko o potrzebie miłości.

Wiedział, jak ją wykorzystać.

Widzisz,Cooklubił dzieci.

Lubił się z nimizabawiać.

Ale nie, nigdy ich do niczego nie zmuszał.

Byłna toza sprytny.

Większość wychowanków była taka jak ja.

Ciągle przierzucano nas odrodziny do rodziny,bo rozrabialiśmy i nikt nas nie chciał.

Dom dziecka byłnaszą ostatnią deskąratunku.

Ale było tamkilku takich, którzy do tego miejsca nie pasowali.

Którzywogóle niepowinni się tamznaleźć.

Dzieci, które po wielu latach naglestraciły rodziców, tych prawdziwych alboprzybranych.

Cook polował właśnie na nie.

Rozpieszczałje.

Dawał im prezenty.

Zachęcałdo rozmowy.

Byłdla nich jak dobry wujek.

A kiedyjuż zdobył ich zaufanie, pytał, czy może się z nimi pobawić.

Wiesz jak.

Jeśli odmówiły, nigdy nie wpadał w złość.

Po prostu przestawał je zauważać.

A ponieważ tamci byli bardzo samotni i brakowało im miłości, zwykle kończyło się to tak, że na wszystko mu pozwalali.

Zacisnął palce wokół kieliszka.

Mówił głosem cichymi posepnym.

- Był taki chłopak, Sean.

Rok młodszy ode mnie.

Kiedy przywieźli go do Bow, miał osiem lat.

Jego matka umarła na raka i nie miał kto się nim zająć.

Mieszkaliśmy w jednym pokoju.

Sean cały czas płakał i dzieci mudogryzały.

Wpatrzył go Cook.

Chciał się z nim zaprzyjaźnić.

Ale pokrzyżowałem mu plany.

Nie wiem, dlaczego.

Nigdy przedtem się nie wtrącałem - każdy walczył o swoje - ale w Seanie było coś takiego, co kazało mi go chronić.

Nie pozwalałem mu nigdzie chodzić bez mnie.

Nigdy nie zostawiałem go sam na sam z Cookiem.

Pewnego dnia wyjechał do rodziny zastępczej i już nie musiałem go bronić.

5 - Marionetki

65.

- I co?

Nikt nic nie powiedział?

Niksię nie poskarżył?

- Raz.

Pewna dziewczynka.

Ale nikt jej nie uwierzył.

Był początek lat osiemdziesiątych, a wtedy nie mówiło się tyle o molestowaniu seksualnym dzieci.

Wszyscy pracownicy domu uważali, że Cook jest aniołem.

Gdybyś go spotkał, też byś tak uważał.

- Mikęciężko westchnął.

- A dla większości z nas dorosli byli częścią systemu, w który przestaliśmy wierzyć już dawno temu.

Potem, kiedy miałem jedenaście lat, przyszła do nas Sara Scott, dziewczynka w moim wieku.

Nie pamiętam, skąd pochodziła ani dlaczego trafiła do domu dziecka.

Była bardzo cicha i spokojna.

Jedną z tych, co to muchynie skrzywdzą.

Oczywiście Cook natychmiast do niej uderzył.

Pamiętam, któregoś dnia zobaczyłem ją w pokoju.

Siedziała w kącie i płakała.

Powinienem być coś zrobić.

Jakoś jej pomóc.

Ale miałem na głowie własne problemy.

I nie zrobiłem nic.

Z trudem przełknął ślinę.

- Po jakimś czasie doszła do wniosku, że dłużej nie wytrzyma i skoczyła z naszego dachu.

Przeżyła.

Dom był dość niski.

Ale została kaleką.

Resztę życia spędzi na wózku.

Wybuchł wielki skandal, bo wyszło najaw, dlaczego to zrobiła.

To był prywatny dom.

Ciz opieki przysyłali tam dzieci, ale nigdy nie pomyśleli, żeby sprawdzić, co się tam dzieje.

Sprawdzili dopiero po tym wypadku.

Był śledztwo i Cook wyładował w więzieniu.

A kiedy śledztwo się skończyło, wiesz, co zrobili?

Max pokręcił głową.

- Zabrali nas na cały dzień do Alton Towers.

- Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Pięć godzin w wesołym miasteczku, a w drodze powrotnej ryba z frytkami!

Kurwamać!

Jakby mogli zrekompensować nam tragedię Sary!

Nagle urwał, spoglądając na Maksa.

Po co ja mu to mówię?

Zakłopotany zwiesił głowę.

Ktoś wyciął literę "R" w blacie stołu.

Powiodł po niej czubkiem palca.

Drewno było gładkie i chłodne.

Zerknął na zegarek.

Za piętnaście dwunasta.

Powinien już iść.

Ale niewyszedł.

- Dom dziecka nie był dla ciebie ostatnią deską ratunku- powiedziała ciichoMax.

- Kiedy skończyłeś trzynaście lat, wszystko się zmieniło.

- Tak, wszystko.

Michael podniósł wzrok.

Max patrzył na niego ze współczuciem i bezosądzaniem.

Niewiedzieć dlaczego, znowu zaczął mówić.

Pamiętasz, podczas wojny w Jugosławii wyszło mnóstwo książek napisanych przez żołnierzy, którzy uratowali jakąś sierotę i zabrali ją ze sobą do Anglii.

Pamiętasz?

Max kiwnął głową.

66

- W tych książkach zawsze były zdjęcia.

Fotografie sprzed i po.

Po lewej stronie zdjęcie zmalretowanego dzieciaka w jakiejś bośniackiej dziurze, a po prawej zdjęcie tego samego dzieciaka stojącego z puszystym szczeniakiem w pięknym ogrodzie i uśmiechającego się jak bobas z reklam mleka w proszku.

Nie twierdzą, że ci ludzie ich nie kochali, ale czasami zastanawia mnie, po co pisali o tym książkę.

Dlaczego musieli trąbić o tym na cały kraj?

Przypuszczam, że motywem adopcji nie była chęć umożliwienia dziecku nowego życiowego startu, tylko pycha, samochwalstwo.

Tacy sami byli moimi zastępczymi rodzicami.

On był bankierem.

Ona nie pracowała.

On też nie musiał pracować, bo oboje odziedziczyli duże pieniądze.

Wiedli uprzywilejowane życie i myślę, że mieli z tego powodu wyrzuty sumienia.

Czuli, że powinni zwrócić coś społeczeństwu.

Dlatego postanowili przyjąć na wychowanie jakąś sierotę.

Trudne dziecko o popapranym życiu.

Biednego, zdeprawowanego nieszczęśnika, którego mogliby sprowadzić na drogę cnoty.

Wybrali mnie i rzeczywiście, moje życie uległo całkowitej zmianie.

Zamieszkałem w pięknym domu nad rzeką.

Chodziłem do dobrej szkoły i doniczego mnie nie zmuszano.

Rodzice chcieli odemnie tylko jednego: żeby im nie zawracał im głowy swoimi problemami i pokazywał się na kolacjach i przyjęciach, by rozpowiadać wszystkim, jak świetnie idzie mi w szkole i jak bardzo jestem wdzięczny.

- Nie chcieli cię adoptować?

- spytał Max.

- Status rodziny zastępczej był bezpieczny.

Ciążyła na nich mniejsza odpowiedzialność.

Gdybym zaczął sprawiać kłopoty, mogli odesłać mnie z powrotem: zagrożba była skuteczniejsza niż najgorszy bat.

To tak, jakbyś kupił pralkę z gwarancją, że jeśli nie będziesz zadowolony z tego, jak pierze, w każdej chwili możesz odesłać ją do sklepu.

- Musiało ci być ciężko.

-Ciężko?

Dlaczego?

Kiedy wyjechałem z Bow, miałem trzynaście lat.

Nie byłem naiwny.

Wiedziałem, co jest grane.

Było to coś rodzaju transakcji handlowej, na której korzystają obie strony.

Oni - ich zadziwiająca hojność - zyskiwali poklask przyjaciół, a ja kosztowne wykształcenie, wyrafinowany akcent i miejsce w Oksfordzie.

I co?

Powiesz, że źle na tym wyszedłem?

- Fakt.

Masz nawet grób, który możesz odwiedzać.

- Odwiedza się groby osób, których ci brakuje, a ja nie poznałem przybranego ojca na tyle, żeby zaczęło mi go brakować.

Nie dano mi okazji.

- Westchnął.

- Ale masz rację, powinienem pójść na cmentarz.

Gdyby nie on i Jego żona, nie zdobyłbym tego, co zdobyłem.

- To znaczy czego?

- Dyplomu ukończenia studiów.

Dyplomu wykwalifikowanego prawnika z niezłymi perspektywami na przyszłość.

- Uśmiechnął się smutno.

-No

67.

i nie stać by mnie było na czynsz dla bogatego właściciela mieszkania w eleganckiej dzielnicy Londynu.

Max też się uśmiechnął.

- Dla właściciela, który jest straszliwym zdziercą?

-To oczywiście.

- Nie musicie wyprowadzać się po czterech miesiącach.

Jeśli chcecie, zostańcie dłużej.

- Dzięki.

Max zapalił kolejną cygaretkę.

- Uważaj - powiedział Michael.

- To cię kiedyś zabije.

Max zaciągnął się głęboko i wypuścił dym.

- Tak, ale jakaż to rozkoszna śmierć.

Zapadło pozbawione skrępowania milczenie.

Max dopił koniak i wskazał kieliszek Mikę'a.

- Jeszcze jednego?

Michael spojrzał na zegarek.

- Nie powinni już zamykać?

-Mają przedłużoną licencję.

Zamykają dopiero nad ranem.

- Jutro pracuję.

-To nieproblem.

Prosiłem Jacka, żeby powiedział komu trzeba, że masz rano spotkanie i że przyjdiesz dopiero w południe.

- Zawiesił głos.

-Nowięc?

Chcesz zostać i jeszcze trochę pogadać?

Michael kiwnął głową.

Max wstał i ruszył do baru.

Nazajutrz rano Mikę zrobił sobie kawę i poszedł do Jonathana Uphama.

Jonathan był wykwalifikowanym prawnikiem o sześcioletnim stażu, który przyszedł do firmy razem z Bennetem.

Wkrótce potem zaprosili go na lunch dwaj nowi współpracownicy.

Jonathan opisał im szczegółowo wszystkie kontrakty, które przeprowadził, i wyraził pogląd, że jeśli chce się dobrze pracować, trzeba brać wszystko, co dają, i harować od świtu do nocy.

Jego słuchacze mądrze pokiwali głowami, po czym szybko wrócili do kancelarii, by rozgłosić wszem i wobec, że Jonathan to kutas nad kutasy.

Jednakże już dwa miesiące później opinia ta uległa zmianie.

Okazało się mianowicie, że, z jednej strony, Jonathan jest straszliwym pracusiem i wypełnienie zna się na żartach, z drugiej jednak, że jest człowiekiem bardzo skromnym, nie zrozumiałym i chętnie doradza młodszym prawnikom we wszystkich problemach natury technicznej.

Michael zapukał do jego drzwi.

- Zajęty?

68

Jonathan podniósł wzrok.

Nosił grube okulary, za którymi jego małe, poważne oczy były jeszcze mniej niż normalnie. Niedawno skończył trzydzieści lat, ale wyglądał dużo starszej.

- Jak zwykle.

Jak ci idzie z Digitronem?

- W piątek podpisujemy, i dzięki Bogu.
Mogę cię o coś spytać?
- Michael usiadł.
-Znasz Maksa Somertona?
A - Bo co?
A ty go znasz?
- Wynajmuję od niego mieszkanie.
- Aha.
No, proszę.
- Jonathan był pod wrażeniem.
- Ponoć zrobił kilka interesów z Jackiem Bennettem.
Ciekawi mnie, co
to za facet.
- Kilka interesów?
-powtórzył zaskoczony Jonathan.
- Cóż, ostatecznie można tak powiedzieć.
- Jak to?
-Max naraił mu większość klientów.
- Poważnie?
-Poważnie.
Gdyby nie on,Jack nie byłby dzisiaj gwiazdorem.
Michael parsknął śmiechem.
Skonsternowany Jonathan zmarszczył czoło.
- Przepraszam -wyjaśnił Mikę.
- Wyobraziłem sobie, jak Jack wbijasię we frak, wkłada cylinder i tańczy z Ginger Rogers.
Jonathan nic z tego nie rozumiał.
- Jack nie uprawia tańca towarzyskiego.
-Wiem,nieważne.
- Mikę wypił łyk kawy.
-Jak się poznali?
- Jakieś dziesięć lat temu Max zlecił mu robotę.
Miał udziały w firmie komputerowej i chciał spisać umowę licencyjną.
Jack dopiero zaczynał, alemusił nieźle wypaść, boMax zaczął przedstawiać go ludzom z
branży i potencjalnym klientom.
A było ich od groma.
Właśnie to jest w nim najcenniejsze: on wszystkich zna.
Jak większość tych, którzy mają duże pieniądze.
i; -Na czym się dorobił?
Jonathan popadł w zadumę.
- Dokładnie nie wiem.
Ale chyba zaczynał jako makler.
Zbił trochę szmalu.
Mądrze zainwestował.
Zbił jeszcze więcej, znowu zainwestował, i tak
v kółko.
Tak, to by miało sens.
" - Jakisens?
-Jack mówił, że największym atutem Maksa jest umiejętność przewidywania nowych
trendów ekonomicznych i społecznych.
Właśnie na tym zbija największe pieniądze.

Dam ci przykład.

Miał udziały w wielu firmach, ale pod koniec lat osiemdziesiątych, tuż przed recesją, większość z nich zlikwidował i podczas gdy wszyscy próbowali opchnąć akcje za pół ceny, on siedział na kupie forsy.

Był jednym z pierwszych, którzy zdali sobie sprawę, jak szybko rozwinie się przemysł komputerowy, i że największe pieniądze

1

69.

będzie można zrobić nie na sprzęcie, tylko na oprogramowaniu.

Jego akcją muszą być wartę fortunę.

- Lubisz go?

- Trudno powiedzieć.

Znam go tylko ze słyszenia.

Kilka razy powiedzieliśmy sobie dzień dobry, ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

- Dlaczego?

- Ilekroć otrzymujemy zlecenia od Maksa, zajmuje się nimi Jack.

Owszem, pomagam mu w papierkowej robocie, ale nigdy nie zapraszają mnie na spotkania czy narady.

- Uśmiechnął się smutno.

- Jack to świetny kumpel, ale jeśli chodzi o Maksa, zawsze był trochę osobliwy.

- Osobliwy?

- Nie, to nieodpowiednie słowo.

Zaborczy.

Jak niektórzy współpracownicy stosunki do swoich najlepszych klientów.

Przyjaźnicie się?

- Z Maksem?

Tak jakby.

- W takim razie uważaj.

- Zadzwoił telefon.

Jonathan spojrzął na wyświetlacz.

- Muszę odebrać.

Pogadamy później.

Michael wyszedł.

Idąc korytarzem, zobaczył Jacka Bennetta, który stał przy ekspresie do kawy i rozmawiał z Kate Kennedy.

Jack dostrzegł go i przybrał dziwny wyraz twarzy.

Trwało to ułamek sekundy, bo gdy tylko spotkali się wzrokiem, posłał mu lekki uśmiech.

Michael odpowiedział tym samym i czując się trochę nieswojo, wrócił do biura.

Czwartek.

Dziewiąta wieczorem.

Rebeka stała w garderobie.

Garderoba była zupełnie pusta, nie licząc sztalug, farb i pędzli.

Michael zasugerował, żeby urządziła w niej tymczasową pracownię.

Zaraz po college'u przez pewien czas dzieliła studio z trzema koleżankami, ale kiedy dwie z nich zaczęły odnosić pierwsze sukcesy, Rebeka stwierdziła, że nie wytrzyma z nimi psychicznie i się wyprowadziła.

Na sztalugach stał blejtram z naciągniętym płótnem.

Mike namawiał ją, żeby zaczęła coś nowego, ale zamiast sięgnąć po pędzel, najpierw sprzątnęła mieszkanie, zadzwoniła do kilku przyjaciółek i spakowała torbę na weekendowy wyjazd.

Kiedy w końcu trafiła do garderoby, uznała, że jest już za późno, żeby cokolwiek zaczynać.

Otwarte okno oddychało ciepłym majowym powietrzem.

Ściany wielkich domów wzdłuż Cromwell Road skutecznie tłumiły uliczny hałas.

Słyszając szcęk klucza w zamku, krzyknęła "Cześć".

Michael wszedł i stanął w drzwiach.

Miał rozpięty kołnierzyk; z szyi zwisał mu przekrzywiony krawat.

- Lecisz z nóg.
Jesteś głodny?
70
- Nie.
- Wskazał płótno.
- Świetne.
- Nie miałam czasu.
Zpowątpiewaniem przekrzywił głowę.
- No dobrze, miałam - przyznała.
- Czasami zastanawiam się, czy to ogóle ma sens.
Nic z tego nie będzie.
Po co się oszukiwać?
- Będzie.
To tylko kwestia czasu, nic więcej.
- A jeśli nie?
Jest tylu utalentowanych artystów.
Tylurywali.
Niby dlaczego miałabym być lepsza od nich?
- Bo jesteś dobra.
Imocno w ciebie wierzę.
g Uśmiechnęła się.
H- Cieszę się, że już wróciłeś.
- Ja też.
- Szkoda, że z nami nie jedziesz.
Zmarszczył czoło.
- Chciałabyś, żebym pojechał?
- Przecież wiesz, żetak.
- Wywoływałbym tylko tarcia i awantury.
Westchnęła.
- Wszystko się jakoś ułoży, zobaczysz.
Nieprawda.
Będzie jeszcze gorzej.
Twoja rodzina uważa, że popełniasz życiowy błąd.
Spojrzała mu w oczy,
- Ale ja taknie uważam.
Odwrócił się gwałtownie.
- Może powinnaś - odrzekł cicho.
- To twoja rodzina.
Zawsze cię wspierała i wspiera.
Rodzina to najważniejsza rzecz w świecie.
Nikt nie wie tegolepiej niż ja.
- Ty też się liczysz.
- Teraz tak mówisz, ale kiedy się pobierzemy, rozdzielę was jak klinem.
Chcesz zaryzykować?
- Nigdy do tego nie dojdzie.
- Ale może.
A jeśli każą ci wybierać?
- Nikt mnie do niczego nie zmusi.
- Ale jeśli spróbują?
Co wtedy?

Jeśli nawet się od nich odwrócisz, znienawidzisz mnie zato, że w ogóle musiałaś wybierać.
Tak czy inaczej, źle to się skończy.

; -O czym ty mówisz?

Chcesz zemnązerwać?

- Nie.

Oczywiście, że nie.

Po prostu czasami się boję, to wszystko.

Kocham cię.

Bardzocię kocham.

Odwrócił się z oczami pełnymi łez.

- Boże, Mikę.

71.

Pokręcił głową i wykrzywił usta w bladym uśmiechu.

- Nie zwracaj namnie uwagi.

Jestem zmęczony.

Kiedy jestem zmęczony, zawsze plotę bzdury.

- Nieprawda.

Spuścił oczy.

- Wiem, że bywam trudny.

Wiem, że nie należę do najłatwiejszych wespółzyciu.

Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobił.

Patrzył na niego, wspominając pierwsze spotkanie.

Poznali się przed półtora rokiem w Chiswick, na przyjęciu u jej szkolnej przyjaciółki Jennifer i jej chłopaka Paula.

Gawędząc z Jennifer, obserwowała uderzająco przystojnego chłopaka o kruczoczarnych włosach i niespokojnych niebieskich oczach, który stał samotnie w kącie, obracał w rękę kieliszek i z nikim nie rozmawiał.

- Ma na imię Michael- powiedziała Jennifer.

- Chodził z Paulem do college'u.

- Wyniosł arogant.

Jennifer pokręciła głową.

- Nie.

Jest bardzo zamknięty w sobie.

Nieprzenikniony.

W tym samym momencie spotkali się wzrokiem.

Patrzył jej prosto w oczy, butnie i wyzywająco.

- Założysz się, że zmuszę go do uśmiechu?

- szepnęła Rebeka.

Czekało ją trudne zadanie.

Irytująco trudne.

Mijały miesiące i wielokrotnie miała ochotę zrezygnować, zwłaszcza że kręcili się wokół niej inni.

Nigdy nie narzekała na brak wielbicieli.

Ale nie zrezygnowała.

Instykt podszeptwał jej, że jest to coś wyjątkowego, że jeśli od niego odejdzie, bardzo tego pożałuje.

Powoli, stopniowo pozwolił jej przebić mur, który wokół siebie zbudował, i ujrzeć oblicze człowieka gniewnego, samotnego i wystraszonego.

Mężczyzny, który pokochał ją z wprost przerażającą pasją, zżarliwością tym większą, że pierwszy raz w życiu znalazł dla niej ujście.

Mężczyzny, który w sytuacjach tymnych tulił ją do siebie tak mocno, jakby bał się, że bez niej zginie.

Podeszła do niego i pogładziła go po skroniach; już dawno temu odkryła, że ten zwykły gest koi go jak najlepszy balsam.

- Dlaczego akurat ja?

- spytała.

- Mogłeś mieć każdą.

Co ty we mnie widzisz?

Złagodniała mu twarz.

- Nic - szepnął z uśmiechem.

- Nic?

- Wszystko.
Objęli się i przytulili do siebie.
Tam, w pustej garderobie.
72
5
Piątek, dwadzieścia po piątej.
Michael, który wrócił przed chwilą z miasta, siedział przy biurku, sprawdzając popołudniowe e-maile.
Wszedł Stuart z plikiem dokumentów.
w - Już jesteś?
Noi co?
Podpisali?
- Tak, ale mało brakowało i guzik byz tego wyszło.
Jedziemy taksówką, a klient nagle oznajmia, że nie podobajęmu się dwa zastrzeżenia w kontrakcie.
- Michael wzniosł oczy do nieba.
- Były zupełnie nieszkodliwe.
Sprawdzałem jedwa razy w zeszłym tygodniu i nic wtedy nie mówił.
Atu nagle
masz.
- Przekonałeś go?
- A skąd, nie mogłem.
Tuż obok siedział Fletcher.
Reszty mozesz się
domyślić.
Stuart kiwnął głową.
-
- Tak jest, proszę pana.
Słucham, szanownego pana.
Wedle życzenia,
szanowny panie.
- Otóż to.
Skutek?
Spóźniliśmy się dwadzieścia minut.
Wprowadzają nas do wielkiej sali konferencyjnej, a tam?
Pół zarządu Kinnetiki, wszyscy doradcy i prawnicy.
Uśmiechają się, poklepują nas po ramieniu i mówią, że najwyższa pora podpisać ten przeklęty kontrakt.
A co robi Fletcher?
Wstaje i oznajmia, że kontrakt wymaga kilku zmian.
- Mikę wybuchnął śmiechem.
- Prezes Kinnetiki dostał szału.
Zaczął krzyzczeć, że nie zmieni ani słowa, że jeżeli natychmiast nie podpiszemy, z kontraktu nici.
Naszego klienta też szlag trafił, wyglądała to, że cały układ diabli wezmą.
Na szczęście jeden z doradców poprosił wszystkich o ciszę i spokojnie zapytał, na czym te zmiany miałyby polegać.
Wyprowadził prezesa do drugiego pokoju, a po powrocie oświadczył, że jedno zastrzeżenie przyjmują, drugie odrzucają.
Kupiliśmy to i podpisaliśmy.

Potem wszyscy poszli na wino i się urznęli.

- Ty nie poszedłeś?

-Żartujesz?

Chwała musi spaść naFletchera.

Nie chce się nią dzielić,

a już na pewno nie ze mną.

Kilka razy z naciskiem podkreślił, że mam w biurzemnośćwo pracy.

Kusiło mnie, żeby zaprzeczyć, ale pomyślałem, kij ci w oko.

Jesteś taki sam kutas jak twój klient, róbci sobie, cochcecie.

Stuartparsknął śmiechem.

Michael usiadł wygodnie i założył ręce zagłowę.

W pokoju było duszno.

Nie pozwalano im otwierać okien, podobno

psuła się od tego klimatyzacja.

Wziął głębokioddech, powoli wypuścił powietrze i nagle stanął mu przed oczami obraz Rebeki jadącej zbratem do Winchesteru.

Spuścił głowę.

73.

Perspektywa samotnego weekendu przygnębiła go i przez chwilę żałował, że z nią nie pojechał.

Ale zaraz potem przypomniał sobie ich jedyne- i kompletnie nieudane - przyjęcie rodzinne i doszedł do wniosku, że dla dobra układów z Rebeką powinien zostać w domu.

Tylko czy aby na pewno dla dobra.

Podczas jego nieobecności cieć, matka i brat będą mogli bezżadnego skrepowania podjudzać przeciwko niemu.

Zatruwać jej umysł wątpliwościami i obawami, zasiewać ziarno niepewności z nadzieją, że wykiełkuje i zapaści korzenie.

Czuł, że cokolwiek zrobi, i tak z nimi przegra.

Westchnął.

Stuart zmrużył oczy.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, jestem tylko zmęczony.

Działo się coś, kiedy mnie nie było?

- Kate Kennedy pytała o zaległe rozliczenia z klientami.

Chciała z tobą rozmawiać Catherine Chester z nieruchomości, ale powiedziała, że sprawę może zacząć dopiero przyszłego tygodnia.

To wszystko.

Michael wstał.

- Chcesz kawy?

- Nie, już wychodzę.

Jedziemy z Heleną do Bristolu i musimy złapać pociąg o szóstej.

Do poniedziałku.

Michael wyszedł na korytarz.

Sekretarki wyłączały komputery i sięgały po torebki.

Podksoyctowane nadchodzącym weekendem, rozmawiały głośniej i z większym ożywieniem niż zwykle.

Usłyszał, że ktoś go woła i zobaczył Jacka Bennetta.

Poczuł się nieswojo, podobnie jak ostatnim razem, kiedy się spotkali.

Cześć - rzucił z uśmiechem.

- Jak poszło z Digitronem?

- Dobrze.

Dziś po południu nareszcie podpisaliśmy.

- Chciał dodać "Idźmy Bogu", ale zrezygnował.

- To świetnie.

- Jack uśmiechnął się, lecz w jego oczach widać było dziwne napięcie.

Może jego też dopadło zmęczenie.

Michael czekał.

Z lękiem i niecierpliwością.

- Mike, jeszcze raz przejrzałem papiery z Azteca i stwierdziłem, że niepotrzebnie panikowaliśmy.

Roboty jest znacznie mniej niż myślałem, dlatego zamiast psuć ci cały weekend, zrobię listę dokumentów wyjściowych, a ty przyjdiesz w poniedziałek rano i machniesz krótki projekt.

Co ty na to?

Michaelowi ponownie stanął przed oczami obraz Rebeki w samochodzie brata.

Pojechać do Winchesteru czy nie?

- Jesteś pewien, że zdążymy?

- spytał.

- Absolutnie.
- W takim razie dzięki.
- Nie masz sprawy.

74

Nie było nic więcej do powiedzenia, mimo to żaden z nich nie odszedł.
Minęła ich jedna z sekretarek, nucąc podnosem piosenkę Spice Girls.

Michael odchrząknął.

- Dzięki za wtorek.

Za to, że do mnie zadzwoniłeś.

Tobardzo miło z twojej strony.

- Zawsze do usług.

- Zrobił krótką pauzę.

- Co słyhać u Maksa?

"U Maksa?

".Mike poczuł się niezręcznie.

- U pana Somertona?

Wszystko w porządku.

Zjedliśmy coś, wypiliśmy kielicha.

- Musiał, po prostu musiał to wyjaśnić.

- Dopiero coś się poznaliśmy.

- Aha - mruknął Jack.

Znowu zamilkli i stali tak, czekając, aż któryś odezwie się pierwszy.

- No, dobra - powiedział w końcu Jack.

- Dzięki za pomoc.

Mike.

Digitron nie należy do najłatwiejszych klientów.

Odważyłeś kawał znakomitej roboty.

- Mam nadzieję.

- A kontrakt z Dial-a-Car?

Nie było żadnych problemów?

Nie zastrzegli, że do zmiany właściciela nie może dojść bez ich zgody?

- Nie, sprawdzałem.

W klauzulach własności nie było żadnych zmian.

No, muszę już iść.

Doponiedziałku.

- Mike ruszył w stronę swego pokoju.

- Zmiany mogą być ukryte w postanowieniach końcowych.

Ale na pewno do nich zajrzałeś, prawda?

Michael przystanął.

Odwrócił się i uśmiechnął, próbując zapanować nad gwałtownym uciskiem w żołądku.

- Oczywiście.

Jack odszedł.

Mike długo stał jak skamieniały.

Ożył dopiero wtedy, gdy Bennett zniknął mu z oczu.

Biuro.

Było puste.

Z walącym jak oszalałe sercem, otworzył szafkę i odszukał wzrokiem kontrakt z Dial-a-Car.

Postanowienia końcowe, koszt naśmiec, doktorę górzucano najmniej istotne uwagi załączniki: terminy zgłoszeń, adresy, numery faksów i masę innych drobiazgów.

Koszt, do którego w pośpiechu i natłoku zajęć zapomniał zajrzeć.

Nic tu nie będzie -myślał.

- Nic tu nie będzie, nie będzie, nie będzie.

Ale było.

Krótki, oschły, trzylinijkowy akapit zastrzegął, że jeśli Pegaz zmieni właściciela bez pisemnej zgody Dial-a-Car, Dial-a-Car będzie miał prawo zerwać kontrakt, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności.

Zasłomę w gardle.

Nieprzyjemnie pulsowało w żołądku.

Czuł, że zaraz zwymiotuje.

Digitron kupił Pegaza tylko ze względu na kontrakt z Dial-a-Car.

Kontrakt, dzięki któremu Digitron miał nadzieję zdominować rynek.

Kontrakt,

te

75.

który przed niespełna dwiema godzinami podpisali, płacąc Kinnetice olbrzymie pieniądze.

Kontrakt, który ci z Dial-a-Car mogli w każdej chwili zerwać.

Z jego winy.

Wiedział, co powinien zrobić.

W przypadku katastrofy takiej jak ta istniało tylko jedno wyjście: wyznać wszystko któremuś ze współników.

Była to straszna perspektywa, ale nie miał wyboru.

Wstał.

I powoli usiadł.

Nie, nie mógł tego zrobić.

To byłby koniec.

Niedalej jak przed dwoma miesiącami dostał oficjalne ostrzeżenie.

Cały czas stąpał po kruchym lodzie.

Wiedział, że popełniwszy błąd - a zwłaszcza błąd tego kalibru - natychmiast pograży się w czyhającej pod lodem otchłani.

Że Graham Fletcher na pewno mu w tym pomoże.

Równie dobrze mógł pakować manatki.

Nawet gdyby go nie wyrzucili, u Coksa Stephensa nie miałby już nacoliczyć.

Digitron wniósłby sprawę o zaniedbanie i chociaż odszkodowanie zostałoby uiszczony z ubezpieczenia od odpowiedzialności zawodowej, składki skoczyłyby jak jasna cholera i wszyscy dowiedzieliby się, komu to zawdzięczają.

Nad jego głową zawisłaby czarna chmura, a wszelkie nadzieje na zostanie współnikiem przysły jak mydlana bańka.

Oczywiście mógłby odejść.

Ale nawet to nie rozwiązywało problemu.

Ludzie by się dowiedzieli.

Zawsze się dowiadywali.

Ktoś szepnąłby coś komuś do ucha, i już.

Dokądkolwiek by poszedł, ciągnęłoby się to za nim jak smród, burząc wszelkie plany i zamiary.

Nie, nie mógł nikomu powiedzieć.

Najlepszym wyjściem było milczeć.

Trzymać język za zębami.

I modlić się, żeby sprawa nie wyszła na jaw.

Bzdura.

Wiedział, że wcześniej czy później wyjdzie.

Wystarczyło, żeby ktoś zauważył to przekłete zastrzeżenie.

Ktoś z Digitronu.

Albo, co gorsze, z Dial-a-Car.

Uświadomił sobie, że od tego dnia przyjdzie mu żyć w ciągłym strachu przed wpadką.

Żeby dać ujście frustracji i wściekłości, zacisnął pięści i z całej siły kilkakrotnie grzmotnął nimi w skronie.

Ból chwilowo zagłuszył myśl, która kołatała mu w głowie.

Co ja teraz zrobię?

Bożeświaty, co ja teraz zrobię?

Dwie godziny później wyłączył komputer i wstał.

Nie powiedział nikomu ani słowa.

Postanowił, że przez weekend się zastanowi.

Szedł w stronę Liverpool Street.

Ulice tętniły życiem.

Z barów tłumnie wychodzili mężczyźni w rozpiętych garniturach.

Odprężeni, o rozluźnionych

alkoholem twarzach, z uśmiechem witali perspektywę kolejnego spokojnego weekendu.

76

Stacja.

Hol i tłumy ludzi zdążających na pociąg, który miał ich zawieźć do domu.

Bilet, bramka, schody, peron linii Circle Line.

Tego wieczoru nie było żadnych opóźnień.

Byli jedynie ci ludzie.

Uśmiechnięci, weseli i podekscytowani.

Jakże ich nienawidził.

W mieszkaniu było ciemno.

Rebeka odpoczywała już w Winchesterze z rodziną.

I dobrze, przynajmniej nikt nie psuł im zabawy.

Otworzył przeszkłone drzwi balkon, bo w salonie panował zaduch.

Stół.

Na stole list.

Zadzwoń jutro.

Nie przepracuj się.

I jeśli możesz, koniecznie przyjedź.

Kocham Cię.

R.

Usiadł na sofie.

Z mieszkania na górze dochodził czyjś śmiech.

Richard!

i Susan urządzali przyjęcie.

Dobijali trzydziestki i pracowali w zarządzie jakiegoś funduszu inwestycyjnego.

Wiedziała od Rebeki, która złożyła im sędziwką wizytę.

Nikt nie umiał zawierać znajomości tak szybko i łatwo jak ona.

Był tym znakomita.

Chciałby ją zobaczyć i zastanawiał się nawet, czy nie złapać ostatniego pociągu do Winchesteru.

Zwierzyc się komuś z kłopotu to jeden kamień u szyi, a Rebeka była jedyną osobą na świecie, której bezgranicznie ufał.

Tylko czyaby na pewno mógłby się jej zwierzyć?

A gdyby spanikowała i wypaplała wszystko rodzicom?

To dla niej nie pierwsza.

Dostarczyłaby im potężnej broni i tym łatwiej by mu ją odebrali.

Nie, nigdzie nie pojedzie.

Zostanie w domu i spróbuje poradzić sobie sam.

Zadzwoń telefon.

To pewnie ona.

Chce go zawiadomić, że bezpiecznie dojechali.

Nie, lepiej nie podnosić słuchawki.

Głos.

Zradzi go głos.

Ale nie, to nie była Rebeka.

Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, z korytarza dobiegł dźwięczny, głęboki głos.

- Mike?

Mówi Max.

Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku.

Dzwonię z Suffolk.

Wspominałem ci, że mam tudom?

- Krótka pauza.

- Wszystko jedno.

Jestem z Lavinia.

Zostaniemy tu do niedzieli.

Musiałem zadzwonić do Jacka i przy okazji dowiedziałem się, że masz wolny weekend.

Pewnie pojedziesz do Rebeki, ale gdybyś zmienił plany, serdecznie cię zapraszam.

Czekam na wiadomość pod numerem.

Michael siedział i słuchał.

Głos Maksa był taki ciepły, taki zapraszający.

Przyciągał gojak cmentem do światła.

Podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Mike!

- Max był zachwycony.

- Myślałem, że cię nie ma.

Słyszałeś, co mówiłem?

77.

- Tak.

-Przyjedziesz?

- Nie wiem.

To daleko?

- WCottleston, na wybrzeżu.

Znasz tę część Suffolk?

- Nie.

-Świetnie, w takim razie żadnych wymówek.

Kiedy przyjedziesz?

Nie doszedł jeszcze do siebie, nie mógł trzeźwo myśleć.

- Nie wiem.

Nie wiem, czy dam radę.

Musiałbysprawdzić pociągi.

- Po co?

Rano przyślę po ciebie samochód.

O której wstajesz?

Powiedział to tak, jakby sprawa była już przesądzona.

Mikę zagrał naczas.

- Jesteś tam z Lavinia?

-Tak.

Z Lavinia.

Nie, to kiepski pomysł.

Gorączkowo szukał jakiegoś wykrętuipowiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

- Nie mam wieczorowego garnituru.

-Bożedrogi, myślisz, że polujemy tu na kuropatwy i sączymy koktajle

kryształowychkieliszków?

- Wybuchnął śmiechem.

-Spokojnie,nie matu żadnych elegantów.

Nałóż coś wygodnego, i tyle.

Przypomniało mu się przyjęcie przy Arundel Crescent i obojętna, pełnapogardy

Lavinia.

- Nie chcę się narzucać.

-Narzucalbyś się, gdybyś się do mnie wprosił.

Wprosić się zostaćzaproszonymdo kogoś na wieś to duża różnica.

Przyjedź.

Zobaczysz, jak tupięknie.

Pokażę ci okolicę.

Uświadomiłsobie, że wciąż trzyma list od Rebeki.

- Max, jesteś bardzo miły, ale chyba pojedę do Rebeki.

-Chybaczy na pewno?

- Na pewno.

-Dobry wybór.

Weekend z teściami.

Znakomitysposób na rozładowanie napięcia po tygodniu ciężkiej pracy.

Naprawdę tego chcesz?

Chciał tylko jednego: znaleźć rozwiązaniemodręczających go problemów.

Sposóbna tennieszczęsny kontrakt.

Max wiedziałby, co zrobić.

Bzdura.

Głupota.

Szaleństwo.

Próbował ten pomysł odrzucić, ale nie mógł wybić go sobie z głowy.

- Naprawdę tego chcesz?

- powtórzył Max.

- Nie.

- Tak myślałem.

Na którą podstawić samochód?

Wciąż się wahał.

Coś - a może wszystko - było nie tak.

- Max, nie wiem, czy.

78

- Na dziesiątą.

Nieza wcześnie?

Nic z tego.

Max był zbyt stanowczy, a on zbyt przybity, żeby stawić muczoło.

Zresztą całkiem możliwe, że wyjazd dobrze mu zrobi.

- Nie, może być.

- Świetnie.

W takim razie do zobaczenia.

Odłożywszy słuchawkę, pomyślał o Rebecce i powiedział sobie, że tak będzie lepiej.

Gdyby pojechał do Winchesteru, zepsułby jej weekend.

Czuł, że przegrataczy inaczej.

Bez względu na to, jak postąpi.

Resztę wieczoru spędził przed telewizorem.

Głową zaprzętały mu tysiące myśli i kiedy położył się spać, nie pamiętał nawet, co oglądał.

Siedział na tylnym siedzeniu jaguara.

Był szary londyński ranek.

Mżyły i po szybach spływały krople wody.

Podróż się przedłużała.

W Stratfordzie doszło do jakiegoś wypadku i samochody sunęły w ślimaczym tempie.

Steve, mówiący londyńską gwarą szofer z głową łysą jak bilardowa bila, nie przestawał wesoło gawędzić.

- Miły facet z tego Somertona.

Często go wożę.

Ma piękny dom.

Był pan tam kiedyś?

Michael odpowiadał uprzejmie, acz krótko.

Było duszno i rozboleła go głowa.

Leciał z nóg.

W nocnym zmrużył oka, bo cały czas myślał o wydarzeniach poprzedniego dnia.

Rozwiązania jeszcze nie znalazł, ale na pewno je znajdzie.

Nie miał wyboru.

Lecz nie tylko to go trapiło.

Dręczyło go również pytanie, na które - przynajmniej jak dotąd - nie potrafił sobie odpowiedzieć.

Dlaczego Max tak bardzo mnie wyróżnia?

Czego ode mnie chce?

Nie mógł zaprzeczyć, że sprawia mu to przyjemność, jednak trochę go toniepokoiło.

W Stratfordzie utknęli w korku na dobre.

Steve puścił taśmę z muzyką New Age, cichą, łagodną i relaksującą.
Michael oparł się o zagłówek i zamknął oczy.

Kiedy jeotworzył, samochód pędził jak strzała.

Na twarzy czuł powiew świeżego powietrza.

Ochłodziło się.

Mżawka ustała i Steve uchylił okno.

Mike przeciągnął się i rozejrzał.

Londyn został daleko z tyłu i z obu stron otaczał ich gęsty las.

Naglesie skończył, by ustąpić miejsca lśniącej po deszczu równinie, która falowała w oddali jak szmaragdowy ocean.

Ale zaraz za lasem była prawie idealnie gładka, nie licząc rosnących tu i ówdzie drzew o gałęziach poskręcanych chmurnym udręczone dusze.

Widok, choć surowy, był bardzo piękny.

- To już Suffolk?

79.

- Tak - odparł Steve.

- Ladachwila będziemy na miejscu.

Przypomniały mu się lekcje historii.

Przed trzystoma laty na terenach tych polował na czarownice słynny Matthew Hopkins.

Sceneria była jak w samraz, Mike wyobraził sobie przerażoną kobietę rozsierdzony tłum

wlokący ją do jednego z drzew, które sterczały z ziemi niczym artretyczne szubienice.

Nie była to Angliaz widoczków, jakie zamieszczają na bombonierkach producenci czekoladek.

Mimo to bardzo mu się tu podobało.

Minęli bramę, wjechali w wysadzaną drzewami aleję i ujrzeli piękny georgiański dom z białego kamienia.

Wielkie okna, czyste linie - dom pochodził z czasów, kiedy Anglia wierzyła jeszcze w swoją przyszłość.

Trawa otaczających go trawnikach kładła się na wietrze.

Gdy podjechali bliżej, ktoś otworzył frontowe drzwi.

Michael wysiadł aż się zachwiał od podmuchu słonego wiatru, który tu, nawybrzeżu, wiał z niesłychaną wprost siłą, by osłabnąć dopiero na zatłoczonych ulicach Londynu.

Steve podał mu torbę.

- Życzę miłego weekendu.

- Dziękuję, wzajemnie.

- Ruszył w stronę domu.

Czekała na niego Lavinia.

Bez słów wprowadziła go do środka.

Marmurowa posadzka holu, wielki salon o kremowych ścianach, sofy, w których można zapaść się po czubek głowy i zniknąć.

Wskazała mu jedną z nich.

Usiadł.

Ona przysiadła elegancko na podłokietniku fotela, zapaliła papierosa i wydmuchała dym przez nos.

Miała na sobie dzinsy i zwykły sweter, lecz nosiła go z wrodzonym wdziękiem zawodowej modelki.

Michael wytrzymał słuch.

W domu panowała głuchota.

- Gdzie Max?

- spytał.

- Rozmawia przez telefon.

- Jej oczy przypominały dwie bryłki kobaltu.

- Piękny dom - rzucił niezręcznie.

Lekko skinęła głową.

Mike uśmiechnął się, żeby pokryć zdenerwowanie.

- Miałem dzisiaj pracować - powiedział.

- Na szczęście okazało się, że szef mnie nie potrzebuje.

- Niezupełnie - odparła.

- Słucham?

- To Max do niego zatelefonował i kazał mu dać panu wolne.

Pański szef bardzo protestował, ale doskonale pan wie, że Max ma dar przekonywania.

Mike zaniemówił.

Był oburzony, jednocześnie gest Maksa bardzo mu schlebiał.

Nie wiedział, jak zareagować i poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

Lavinia świdrowała go wzrokiem.

Zdołała się uśmiechnąć.

- Cóż, mamszcześnie.

Ona też się uśmiechnęła - pierwszy raz, odkąd otworzyła mu drzwi -lecz tylko samymi ustami.

Oczy wciąż miała lodowate.

80

- Owszem - odrzekła.

-I to duże.

- Przepraszam, nie chciałem wam przeszkadzać.

Uniosła brew.

- Czy to znaczy, że nie chciał pan przyjechać?

- Wydmuchała dym w jego stronę.

-Max będzie rozczarowany.

Zaczynała go irytować.

Potał nos.

- Nie to miałem na myśli.

-A co?

- Piąte koło u wozu.

-Czwarte.

Zaraz przyjedzie moja przyjaciółka.

- Nie wiedziałem.

-Nibyskąd miałby pan wiedzieć?

A może bym powinienem był spytać pana o pozwolenie?

- Nie to chciałem powiedzieć.

Uśmiech.

Już drugi.

- Czy kiedykolwiek mówi pan to, co pan chce?

Czyjeś kroki.

Do salonu wszedł uśmiechnięty Max.

Co za ulga.

Michael wstał.

Max klasnął w dłonie.

- Przyjechałeś!

Przepraszam, że nie wyszedłem ci na spotkanie.

Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt ponura.

Nie powinienem dzwonić do Jacka - pomyślał Mike.

Nie miałeś prawa.

- Chodź, pokażę ci twój pokój.

Zostawisz torbę, a potem oprowadzę cię do domu.

, Lavinia zgasił papierosa.

'- Słusznie.

Pora na wielkie zwiedzanie.

::- Nie musisz z nami iść, kochanie - powiedział Max.

Twarz jej pociemniała.

- Skoro tak uważasz.

-Tak uważam.

Zostań.

Lavinia przeszła Michaela wzrokiem.

Potem szybko się odwróciła.

Poprowadził go przez hol.

Kamienne schody, puszysty czerwony dywan w korytarzu, duża sypialnia z wielkim oknem i łazienką.

Michael postawił torbę i spojrzał na długi trawnik, który sięgał aż do klifu nad szarym, zimnym, bezkresnym morzem.

Stał przy nim Max.

- Możebyć?

Mike nie odpowiedział.

- Nie podoba ci się?

- Nie, dlaczego?

Jest wspaniały.

Wszystko tu jest wspaniałe.

Dom i cała reszta.

- Ale?

- Marionetka

81.

Michael milczał.

- Ale?

- powtórzył Max.

Mike powoli wypuścił powietrze.

- Nie powinienes byłtego robić - rzekł, nie odwracając głowy.

-Czego?

- Zwalniać mnie u Jacka.

To nieuczciwe.

Mają dużo pracy.

Max zrobiłzaskoczoną minę.

- Skąd wiesz?

- Westchnął.

-Nie, nic nie mów.

Już się domyślam.

Przepraszam.

Miałeś o tym nie wiedzieć.

- To nieważne.

Ważne, że wiem.

Ja tampracuję, Max.

Jack jest ważnym wspólnikiem.

- A ja ważnym klientem.

-Todlatego mnie tu ściągnąłeś?

Mam spisać jakąś umowę?

- Ależ skąd.

Jesteś tu, bo nie chciałem, żebyś harował w weekend.

- Nie mogę zrazić do siebie Jacka.

Nie mogę go wkurzyć, rozumiesz?

- Jacka zostaw mnie.

-Łatwo ci mówić.

Jesteś klientem.

Wpływowym klientem.

A ja nędznym wyrobnikiem.

Jackma nade mną władzę i jeśli mu się niespodobam,może spieprzyć mi karierę.

- Jack cię lubi.

-No, jasne.

Lavinia też.

Chryste, w życiu nie miałem cieplejszego powitania.

Rodzice Rebeki wysiadają.

Zamilkł i ponownie spojrzął w okno.

Dął silny wiatr.

Cichutko brzęczały szyby.

W oddalidostrzegł kuter rybacki, maleńkinicznym owad podskakujęcyna skórze gigantycznej szarej bestii, która szykowała się, by go pożreć.

- Przepraszam.

Uprzedzałem cię, że czasami zachowuję sięjak ostatniidiota.

Max odpowiedział dopiero po chwili.

- Nie powinienemci tego mówić - zacząłpowoli - ale Lavinia miałaostać ważny kontrakt na reklamę jakichś kosmetyków.

Dziśrano dowiedziała się, że wytwórnia wybrałainnąmodelkę.

Młodsza.
Kolejny znak, że
 jej kariera dobiega nieuniknionego końca.
Dlatego tak cię powitała.
Nie byłow tym nic osobistego.
 Michael wciąż patrzył w dal.
Przed oczamimiał plakat sprzed pięciu czysześciu lat.
Lavinia.
Zupełnie nieoczekiwanieogarnęło go współczucie.
Jejmajątkiem była twarz.
Całe życie uważała, że to oczywiste.
A teraz, ilekroćspojrzy wlustro, będzie widziała, jak majątek ten topnieje.
 - Chcesz wyjechać?
- spytał Max.

 Chciał.
I nie chciał.
Czuł się jeszcze gorzejniż poprzedniegodnia.
Jednocześnie - mimo wszystko - cieszył się ze spotkania z Maksem.
Poza tymodbył zbyt długą podróż, żeby przyjechać i od razu wrócić.

82

 Pokręcił głową.
- Nie.
Po prostu szkoda, że mnie nie spytałeś.
 - Przepraszam.
Następnym razem na pewno spytam.
- Max spojrział na zegarek.
-Podano do stołu.
Chodźmycośzjeść.

 Kiedy zeszli na dół, okazało się, że przybył kolejny gość: przyjaciółka Lavinii, Suzanne.

 W salonie czekał zimny bufet: mięsa, ryby i sałatki.
Michael jadł, gawędząc z Suzanne, uderzającej urody Euroazjatką w wieku okołotrzydziestulat.
PoznałaLavinie, będąc modelką, ale teraz mieszkała w Norwich: miała męża, który był inżynierem dźwięku, i pracowała dorywczo jakotłumaczka.
 - Cieszę się, żerzuciłam ten zawód - powiedziała.
- Ta nieustanna wojna nerwów, te zdradzieckie ciosy w plecy.
Nie wiem, jak Laviniato wytrzymuje.
- Była ciepłai przyjacielska.

Czuł się tak, jakby znał ją od lat.

 Max iLavinia stali po drugiej stronie salonu iprowadzili cichą, ale bardzo ożywionąrozmowę.

W końcu wyszli z pokoju.

Pewny, że to on jest powodemkłótni, Michaelobserwował ich, żałując, że dał się namówić na przyjazd.

Potem Suzanne spytała go o pracę i musiał skupić uwagę na niej.

 Wrócili pół godziny później.

Lavinia usiadła obok Suzanne.

Jakby trochę złagodniała.

Uśmiechnęła się słabo do Mike'a i zaczęławypytywać Suzanne o wspólnychprzyjaciół.

Max został przydrzwiach.

Gdy spotkali się wzrokiem, dał Michaelowi znak, żeby do niego dołączył.

Wyszli przed dom.

Na podjeździe stał srebrzysty porsche.

- Obiecałem ci pokazać okolicę.

Wskakuj.

Przez kilkadziesiąt kilometrów jechali przed siebie pozornie bez celu.

Wypogodziło się.

Max otworzył szyberdach, puścił muzykę i ponad cichym mrużeniem silnika popłynęła muzyka Elgara.

Max był zamyślony i wyglądało na to, że z przyjemnością wyszedł z domu.

Prawie cały czas milczeli, mimo to Michael nie odczuwał skrępowania.

W samochodzie pachniało dymem z cygaretek.

Był to zapach, który kojarzył się z Maksem, i który zaczynał lubić.

W końcu dojechali do Southwoldu, pięknego, nadmorskiego miasteczka z starym hotelem na śródmiejskim placu i rozległym widokiem na morze.

Weszli do zatłoczonego pubu na skraju stromego klifu i zamówili miejscowe piwo.

Max spytał go o pracę i opowiedział kilka anegdot o Jacku.

Jak zwykle, mówił powoli, głosem ciepłym i kojącym.

Słuchając go, Mike pragnął wyznać prawdę, zwierzyć się mu z problemu i poprosić o radę.

Mimo to milczał.

Nie, nie mógł zrzucić kłopotów na Maksa.

Ani na

Maksa, ani na nikogo innego.

Do domu wrócili pod wieczór.

Przed kolacją zadzwonił do Rebeki, żeby zawiadomić ją, gdzie jest.

Nie chcąc przyznać, że wołał towarzystwo Maksa,

83.

powiedział, że są tu również koledzy z biura, że wszyscy goście są potencjalnymi klientami, że wizyta ma służyć budowaniu chwały kancelarii Coksa Stephensa, i że po prostu nie miał innego wyjścia.

Uwierzyła.

Natychmiast.

Aż się zawstydził.

Wmówił sobie, że to dla jej dobra.

Kolację jedli w przestronnej jadalni, przy świetle z kandelabrow na ścianach i świec na mahoniowym stole.

Jedzenie podawali pan i pani Avery,

miejscowemu małżeństwu w średnim wieku.

Mieszkali w zachodnim skrzydle domu i opiekowali się posiadłością.

Kolacja trwała dwie godziny, a przy każdym daniu łączyli się strumieniem wina.

Na jednym końcu stołu siedział Max, na drugim Lavinia.

Morskie powietrze dodało Michaelowi apetytu, dlatego dużo jadł i pił.

Najwięcej mówiła Suzanne; opisywała beznadziejne zespoły, które nagrywały w studiu jej męża.

Lavinia śmiała się wraz z nimi.

Była swobodna i odprężona.

Czasami

mu się przypatrywała, ale ponieważ jadalnia tonęła w półmroku, nie widział, co czyha w jej oczach.

Z kawą przeszli do salonu.

Mike usiadł na sofie; od wina kręciło mu się w głowie.

Pozostali kontynuowali rozmowę, lecz on nie miał siły się do nich przyłączyć.

Z trudem tłumiąc ziewnięcie, doszedł do wniosku, że pora spać.

Jednakże w tej samej chwili usiadła koło niego uśmiechnięta Lavinia.

Chociaż był mocno wstawiony, poczuł się nieswojo.

Lavinia mieszała kawę.

Piła czarną bez cukru.

- Dokąd pojechaliście z Maksem?

- spytała.

- Do Southwoldu.

Mnie też tam kiedyś zabrał.

Jedliśmy kolację w hotelu.

Pod Łabędziem?

Chyba tak.

W Suffolku jest pięknie, ale dla mnie za spokojnie.

Wolę Londyn.

- Oblizła łyżeczkę.

- A pan?

- Ja chyba też.

- Czy to znaczy, że się pan znaminudzi?

- Tegonie powiedziałem.

Roześmiała się cicho.

Zabrzmiało to jak mrużenie leniwej kotki.

- Spokojnie, tylko się z panem droczę.

- Zamieszała kawę.

- Łatwo wpada pan w gniew.

Czy Rebeka też się z panem droczy?
Miałochotę powiedzieć, że to nie jej sprawa.
Zamiast tego bez słowakiwnął głową.
- Nie wierzę.
Jest taka słodka - rzuciła prowokująco.
- I ładna.
Ładniejsza ode mnie?
Zjeżyły mu się włosy na karku.
Skrepowanie ustąpiło miejsca złości.
Spojrzał jej prosto w oczy.
- Tak - odrzekł.
- O wiele.
Myślał, że przestanie się uśmiechać, ale nie przestała.
Wprost przeciwnie, roześmiała się głośno i dotknęła jego ramienia.
84
- Jaki pan rycerski.
Jaki wierny damie swego serca.
Godne podziwu.
]Nie powitałam pana zbyt miło.
Czy uważa mnie pan za starą sekutnicę?
Był zbyt zmęczony na taką rozmowę i wolałby, żeby dała mu święty spokój.
Pokręcił głową.
- Kłamca - powiedziała, nie przestając się uśmiechać.
- No, dobrze.
Początkowo tak uważałem, ale potem Max powiedział mi
o tym kontrakcie.
- Kochany Max.
Cudowny człowiek.
Tworzymy wspaniałą parę, nie sądzi pan?
Ponownie kiwnął głową.
Dużo bydał, żeby być gdzie indziej.
- Ja też.
- Posada łyżeczkę, oblizwała wydatne, czerwone wargi i z ukontentowaniem westchnęła.
- Taka, jak trzeba.
Nie zagorąca.
W przeciwnym razie mogłabym się poparzyć.
Chyba by pan tego nie chciał, prawda?
Już miał odpowiedzieć, gdy wtem chlusnęła mu kawą w twarz.
Oślepiiony poczuł, że parująca ciecz wypełnia mu usta i nos.
Paliła gorką.
Zaczęła się krztusić.
Lavinia zerwała się na równe nogi.
- Ty brudna świnio!
- krzyknęła.
- Myślałeś, że pozwolę ci się dotknąć?
Za kogo mnie masz?
Piekły go oczy.
Przetarł je, szybko mrugając i próbując skupić na niej
wzrok.
- Pewnie chciałbyś, żebyśmy zrobili to na sofie, na ich oczach, co?

Na

miłość boską, jesteś gościem Maksa!

Jak mogłeś tak do mnie mówić?

Pokręcił głową, niewierząc własnym uszom.

- Nie próbuj zaprzeczać!

Chcesz zrobić ze mnie nie tylko dziwkę, ale

i kłamczynię?

Wstał.

Serce waliło mu jak młotem.

Przemokła mukoszula, kawa parzyła mu skórę.

Lavinia cofnęła się o krok.

Suzanneobjęła ją i przytuliła.

Z trudem odnalazłgłos.

-Kłamiesz.

- wychrypiał.

- Nieprawda - odparła Suzanne.

- A może imnie nazwiesz kłamczynią?

Wytrzeszczył oczy.

- Co takiego?

Spojrzała na niego pogardliwie.

- Dobrze słyszałeś.

- Popatrzyła na Lavinie.

-Przykro mi, Vinnie.

Nie chciałam ci psuć weekendu, ale ten obmierzły zboczeniec zaczął mniepodczas lunchu.

Byłam zbyt zażenowana, żeby ci powiedzieć.

Boże - prychnęła.

- Teraz bardzo tego żałuję.

Pokój zawirował.

Michael chciał coś powiedzieć, lecz gwałtowny szoki alkoholodebrały mu zdolność myślenia.

Bez słowa pokręciłgłową.

Zadrżały mu nogi.

Zachwiało się potracił stół, na którym stała porcelanowa

85.

figurka.

Spadała na podłogę jak w zwolnionym tempie.

Jak w nocnymkoszmarze.

Popatrzył na Maksa.

Spotkał się wzrokiem.

Na jego mrocznym obliczu malowało się mnóstwo odczuć, których Mikęnie potrafił zidentyfikować.

Raptem wszystkie zniknęły i na jego twarzy zastygła kamienna maska.

Oni wszyscy nosili maski.

Wszyscy troje.

Wszyscy troje byli aktorami wpokrętej sztuce, której sensu nie rozumiał, i w której grał wbrew własnej woli.

Wpadł na korytarz i uciekł na górę.

Do sypialni, do azyłu.

Zamknąwszy drzwi na klucz, oparł się o nie i mocno objął za brzuch, nie chcąc zwymiotować.

Z dołu dobiegł go czyjś śmiech, wesoły i cichy jak westchnienie.

Niedziela rano.

Wpół do ósmej.

Ze spakowaną torbą zszedł cicho do holu.

Przy telefonie leżała kartka z numerem miejscowego radio-taxi.

Niespodziewany łut szczęścia.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

Po sześciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka: "Dziękujemy za telefon.

W tej chwili nie pracujemy, ale jeśli zechcą państwo zostawić wiadomość, na pewno oddzwonimy".

Sfrustrowany przerwał połączenie.

- W niedzielę pracuję dopiero od dziesiątej.

Wzrost Maxa.

Miał na sobie traperki i sportową marynarkę, jakby szedł na spacer.

Przyłapał gona gorącym uczynku.

Tak samo jak wtedy, w bibliotece.

Wskazał torbę.

- Wyjeżdżasz.

- Tak.

- Bez pożegnania?

- A jaki to miałoby sens?

- I bez śniadania.

- Nato wygląda.

Max spojrzął na zegarek.

- Lavinia i Suzanne jeszcze śpią.

Pani Avery poda śniadanie dopiero za dwie godziny.

Parę kilometrów stąd jest hotel.

Mają niezłą kuchnię.

Na myśl o jedzeniu zrobiło mu się niedobrze.

- Nie jestem głodny.

- Po spacerze zgłodniejesz - odparł stanowczo Max.

- Zostaw torbę i chodź.

Bez słów szli plażą.

Nocą padało.

Stopy zapadały się w mokry piasek upstrzony wodorostami i kawałkami wyrzuconego na brzeg drewna.

Po lewej stronie wznosił się

86

łagodny klif, po prawej było morze, prawie niewidoczne pod grubym całunem mgły.

Wiatr, poprzedniego dnia silny i porywisty, złagodniał do słabej bryzy.

W stężonym bezruchu rozbrzmiewał krzyk krążących wysoko mew.

Michael chciał coś powiedzieć, lecz niemógł.

W końcu to Max odezwał się pierwszy.

- Miałem osiem lat, kiedy przyjechałem tu pierwszy raz.

Dom dziecka zorganizowałam majówkę.

Było trochę ładniej niż dzisiaj.

Mieszkałem w Bow od dwóch lat.

Na dwa lata pogrzebano mnie żywcem w tych wąskich huliastkach.

Niemal zapomniałem, jak wygląda normalny świat.

Zapędzili nas do autobusu i przywieźli do Southwoldu.

Po drodze kazali mi śpiewać piosenki.

Mieliśmy być zadowoleni i szczęśliwi.

Kiedy przyjechaliśmy namiejsce, zaprowadzili nas parami na plażę, dali wiaderka i szpadelki, i kazali budować zamki z piasku.

To były zawody: ten, kto zbuduje najładniejszy, dostanie tabliczkę czekolady.

Odczekałem, aż przestanę nas obserwować i odłączyłem się od grupy.

Przeszedłem plażę wiele kilometrów, w końcu dopadło mnie zmęczenie.

Wspiałem się na klif i stałem tam, patrząc na największe niebo, jakie w życiu widziałem.

Nie mogłem uwierzyć, że jest takie duże.

U moich stóp leżała cała świat, czułem się jak Bóg.

I poprzysiągłem sobie, że pewnego dnia zbuduję w tym miejscu dom.

Piękny dom na brzegu morza, większy niż ten w Bow.

Moje królestwo.

Mój świat.

Miejsce, gdzie będę ustanawiał wszelkie prawa.

A tego, kto je złamie, wygnam stamtąd na zawsze.

- Masz dom i sam ustanawiasz prawa - powiedział Michael.

- Masz pieniądze i władzę.

Masz wszystko, czego chciałeś.

Tak - odrzekł zeskutkiem Max.

- Moje marzenia się spełniły.

- No i?

- spytał Michael.

- Wygnasz mnie?

Max nie odpowiedział.

Urażony Mike kopnął piasek, jakby chciał się ten sposób ukarać za swoją słabość.

- Nic nie zrobiłem.

One kłamią.

Możesz mi nie wierzyć, ale one kłamią.

- Wierzę ci.

- Wierzysz?

Max patrzył w dal.

Szedł powoli, równym krokiem.

- Nie myśl źle Layinii.

Zazdrość to okropna rzecz.

Może obudzić potwora drzemiącego w każdym z nas.

- Zazdrość?

Czego może mi zazdrościć?

- Fakt, czego?

- powtórzył łagodnie Max, jakby mówił do siebie.

- A Suzanne?

Dlaczego kłamała?

- Suzanne jest jej najlepszą przyjaciółką.

Próbuje pomóc jej w walce o utrzymanie przy życiu czegoś, co umarło na długo przed tym weekendem.

Jeśli w ogóle kiedykolwiek żyło.

87.

Plaża stała się kamienista.

Michael podniósł kamień i cisnął go w morze, patrząc, jak znika we mgle.

Z oddali dobiegł cichy plusk.

- Naprawdę wszystko między wami skończone?

-Tak.

Mike podniósł kolejny kamień i ponownie ujrzał przed sobą pięknotwarz z miliona plakatów.

Wmawiał sobie, że Lavinia niezasługująca współczucie, mimo to bardzo jej współczuł.

- Powiedziała, że tworzycie dobrą parę.

-Bo tworzymy -odrzekł ze smutkiem Max.

- Piękno i bogactwo.

Kombinacje do pobicia.

- Myślisz, że da sobie radę?

-W Londynie jest mnóstwo bogatych mężczyzn, a uroda otworzy przednią wszystkie drzwi.

Szybko kogoś znajdzie.

- Nie wiem, co bym zrobił, gdyby Rebeka mnie zostawiła.

Max spojrzał na niego pierwszy raz od chwili, kiedy zeszlina plażę.

- Naprawdę?

- spytał ze współczuciem.

-Jesteś odważniejszy ode mnie.

Więcej zaryzykowałeś emocjonalnie.

Ale warto było.

Łączy was coś specjalnego, coś wyjątkowego.

Dostrzegłem to już podczas naszego pierwszego spotkania.

Nie wiem, co to jest.

Alena pewno jest.

Bardzo ci zazdroszczę.

Mike pomyślał o Rebecce.

Chciałby ją zobaczyć.

Teraz, zaraz.

Jednocześnie pragnął być tutaj.

Z Makssem.

- Kiedy byłem dzieckiem - powiedział - bałem się śmierci.

Była to najstraszniejsza rzecz, jaką mogłem sobie wyobrazić.

Teraz najbardziej boję się tego, że Rebeka mogłaby umrzeć i zostawić mnie samego.

Potarł kark.

W drugiej ręce wciąż trzymał kamień.

Rozluźnił palce.

- Dopóki jej nie spotkałem, byłem sam.

Nikomemu na mnie nie zależało i mnie też nikt nie obchodził.

To było straszne życie, ale wbrew pozorom dużo łatwiejsze.

Tak, ludzie mogli mnie skrzywdzić, ale zawsze mogłem się bronić, odpowiedzieć ciosem na cios.

Przed Rebeką się nie bronię.

Nie potrafię.

Tak już jest, kiedy się kogoś kocha.

Ulegasz mu, ma nad tobą władzę.

Twój los spoczywa w jego rękach.

Może cię wielokrotnie zranić, a ty nie robisz nic, żeby go powstrzymać.

-Oddychał głośno i szybko.

- Czasami jej za tonienawidzę.

Czasami mamochotę głęboko ją zranić, zanim ona zdąży zranić mnie.

Przystanął i spojrzął na ziemię.

Był w miękkich płóciennych butach i kamienie gniotłygo w stopy.

Dreńczyła go jedna myśl.

Rozbolała go od niejgłowa.

Chryste, dlaczego się przed nim wywnętrzam?

To możeżycie, onnie maz tym nic wspólnego.

Nic.

Absolutnie nic.

Podniósł wzrok.

Max obserwował go zkojąącym zainteresowaniem i współczuciem.

Mikę nie wytrzymał.

88

- Co ty ze mną wyprawiasz?

Z nikim tak nie rozmawiam.

Nawet Rebecce nie powiedziałbym rzeczy, które mówię tobie.

Nie wiem, czego ode mniechcesz.

Niewiem nawet, co tu robię.

- Przyjechałeś,bo twoje towarzystwo sprawia mi przyjemność.

Przepraszam za wczorajszy wieczór.

To moja wina.

Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Michael milczał.

Nie mógł mówić.

Za bardzo dławiło go w gardle.

- Masz dwawyjścia - kontynuował Max.

- Albo przyjmiesz moje przeprosiny i zostaniesz do końca weekendu, albo ich nie przyjmiesz, a wówczas wezwę taksówkę i pojedziesz do Wmchesteru czy do Londynu.

Tam, gdzie zechcesz.

Mierzyli się wzrokiem.

Michael słyszał syk i huk łamiących się fal.

Miał

słono w ustach.

- Niemożesz wezwać taksówki.

Pracują oddziesiątej.

- Od ósmej - odrzekł z uśmiechem Max.

- Grałem naczas.

Mikę się nie uśmiechnął.

- Przyjmuję przeprosiny, ale niemożę zostać.

Nie po tymwieczorze.

Przykromi.

- Dlaczego?

Krepują cię Lavinia i Suzanne?

Poproszę, żeby wyjechały.

- Wyjął z kieszeni mały telefon komórkowy.

- Zadzwoń do pani Avery.

Kiedy wrócimy, już ich nie będzie.

- Niemożesz tego zrobić!
- wykrzyknął zaniepokojony Mike.
- Nie?

Sam powiedziałeś: to mój dom i to ja ustanawiam tu prawa.
Jesteś moim gościem.

Jeśli czujesz się przez nie nieswojo, natychmiast wyjadaj.

Michael pokręcił głową.

- Nie musisz tego robić.
- Czy to znaczy, że zostaniesz?

Mike uśmiechnął się.

Pierwszy raz tego ranka.

- Zostanę.
- To dobrze.

- Max schował telefon do kieszeni.

- A teraz, ponieważ tak chętnie się przede mną otwierasz, powiedz mi, proszę, co cię tak gnębi.
Bo coś cię gnębi, i to od przyjazdu.

- Nie mogę.
- W takim razie niech zgadnę.

Wątpię, czy chodzi o sprawę osobistą.

Może sobie pochlebiam, lecz myślę, że o tym byś mi powiedział.

Podejrzewam, że ma coś wspólnego z pracą.

- Pytając uniósł brew.
- Popelniałeś jakiś błąd i nie wiesz, jak go naprawić?
- Ja nie popełniam błędów.
- Oho, widzę, że jesteś lepszy ode mnie.

Nie musimy używać nazwisk.

Spółka A kupuje spółkę B, i tak dalej.

Wiesz, jak to idzie.

Mike pomyślał o Jacku.

Digitron był jego klientem, a Max jego przyjacielem.

Nie, to zbyt niebezpieczne.

Nie mógł ryzykować.

Ale chciał.

Odsamego początku.

- Nikomu nie powiesz?

-Niepotrzebnie pytasz.

Możesz mi zaufać.

Chyba o tym wiesz, prawda?

Michael długo nie odpowiadał.

Potem powoliskinał głową.

- Zgłodniałem - rzucił Max.

- Opowiesz mi po drodze.

Ruszyli przed siebie.

Hotel Pod Koroną mieścił się w posępnej wiktoriańskiej kamienicy z widokiem na morze.

W restauracji było pustawo.

Usiedli przy stoliku w rokusali.

Wśród nielicznych gości przeważały pary w starszym wieku.

Rozmawiano przyciszonym głosem.

Między stolikami krążyły kelnerki w staromodnych fartuchach, przyjmując zamówienia i roznosząc jedzenie na przeładowanych ozdobami porcelanowych półmiskach, które tak uwielbiała babcia Rebeki.

Max nabił na widelec ostatni kawałek smażonego bekonu.

Michael skończył już jeść i pił herbatę.

Musiała się za długo parzyć, bo smakowała ohydnie.

Odstawił filiżankę i sięgnął po sok.

- Ta klauzula.

- spytał Max.

-Dobrze ją zinterpretowałeś?

Na pewno?

- Na pewno.

Niemam pojęcia, jak mogłem nie zauważyć tej roszczeniówki.

Max przełknął kęs chleba.

- Pośpiech, stres.

Błąd to ludzka rzecz.

- To niebłąd, to monumentalna wsypa.

Klient zapłacił fortunę za spółkę, która straci dwie trzecie wartości, jeśli tamci zerwą kontrakt.

Akt rezygnacji powinien być wpłynąć dużo wcześniej, jeszcze przed wymianą dokumentów.

A już na pewno powinni dołączyć go do warunków końcowych.

-Westchnął.

- Boże, co za burdel.

- Nie osądzaj siebie zbyt surowo.

-Łatwo powiedzieć.

To klasyczne zaniedbanie.

Klient poda nas do sądu i moja reputacja trafi do kibla.

A Graham Fletcher natychmiast spuści wodę.

Nie zostanę współnikiem ani u Coksa Stephensa, ani nigdzie indziej.

Max dołożył sztućce i zapalił cygaretkę.

- To szczyt twoich marzeń, prawda?

Zostać współnikiem w znanej firmie prawniczej, tak?

Michael zmrużył oczy.

Tego się nie spodziewał.

- A co w tym złego?

-Wszystko.

To trucizną złotym pucharze.

Wiąże cię i uzależnia od innych.

Pamiętaj, że jako wspólnik będziesz dzielił odpowiedzialność z innymi wspólnikami.

Któryś z nich popełni błąd i wszystko stracisz.

Posłuchaj mojej rady: nigdy nie składaj swego losu w ręce innych.

Nigdy nie rzucaj na szalę więcej niż masz.

Zawsze tak postępowałem.

Ty też powinieneś.

90

Michael wzruszył ramionami.

- Może.

- Po co marnować sobie życie w kancelarii?

Prawnik to zwykły najemnik.

Ktoś, kto rozwiązuje problemy innych.

Nie wolałbyś te problemy tworzyć?

- Pokręcił głową.

- Nie, moim zdaniem powinieneś mierzyć znacznie wyżej.

Na twoim miejscu nie wahałbym się ani chwili.

- Ale nie jesteś na moim miejscu.

Max przybrał dziwny wyraz twarzy.

- Kiedyś byłem - odrzekł cicho.

Mikę wypił łyksoku.

Max wydymuchał dym, westchnął i spowaźniał.

- Dość mędrkowania.

Zastanówmy się, co robić.

Michaelowi zrobiło się gorąco w żołądku.

- Czy wie o tym ktoś z kancelarii?

- Nie.

- W takim razie masz dwa wyjścia, podobnie jak na plaży.

Mikę niecierpliwie czekał.

- Wyjście pierwszeto milczeć.

- Wiem, zresztą nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Ale jeśli to zrobię, codziennie będę panikował, że ktoś zauważy to przekłete zastrzeżenie.

- Dlaczego ktoś miałby je zauważyć?

Nie znam się na prawie, ale wiem, że zawierając tego rodzaju transakcje, obie strony muszą informować się wzajemnie o wszelkiego rodzaju obwarowaniach.

To, że tego nie robią, nie wynika ze złej woli, tylko ze zwykłego przeoczenia.

Mówiłeś, że negocjowano ten kontrakt od pięciu lat, że przez ten czas nigdy nie podnoszono kwestii zmiany własności, i że to zastrzeżenie ukryto w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu, gdzie nikt nie będzie go nigdy szukał.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wszyscy, łącznie ze stroną przeciwną, o nim zapomnieli.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak.

Założę się o duże pieniądze, że nikt twego przeoczenia nie zauważy.

A jeśli nawet, to dopiero po wielu latach, kiedy nie będziesz już prawnikiem.

- Zakładając, że nie będę.

Nie możesz tego wiedzieć.

- Naturalnie, ale tak podejrzewam.

Michael uśmiechnął się smutno.

- Jeżeli ktoś się dowie, mogą mnie wyrzucić.

-Ale dlaczego?

Dlaczego druga strona miałaby zrywać kontrakt?

Warunki są chyba dobre, prawda?

Więcej niż dobre.

O tym nie pomyślał.

-Nie wiem.

Max pokręcił głową.

- Nie rozumiesz.

To nie było pytanie.

To było stwierdzenie faktu.

91.

- O czym ty mówisz?

-Widzisz, pięć lat temu, kiedy Pegaz podpisał kontrakt z Dial-a-Car, byłem udziałowcem Kinnetiki, firmy macierzystej Pegaza.

Uczestniczyłem nawet w negocjacjach.

Mam rację, prawda?

Mówimy o sprzedaży Pegaza Digitronowi, czyż nie tak?

Michael rozdziawił usta.

- Skąd wiesz?

Nie możesz o tym wiedzieć.

Oficjalna wiadomość zostanie podana do prasy dopiero jutro.

Max nie przestawał się uśmiechać.

- Jack Bennett to porządny człowiek, acznie grzeszy dyskrecją, przynajmniej ze mną. Lubi opowiadać o ważnych kontraktach, które aktualnie negocjuje.

Pewnie chce mi zaimponować.

Trochę to niebezpieczne, bo klienci mają prawo żądać dochowania tajemnicy, ale ponieważ, jak dotąd, mnie nie rozgniewał, nie widzę powodu, żeby rozpowiadać o jego niedyskrecjach.

!

Michael przeciągle zagwizdał.

;

- Co z kolei prowadzi nas do wyjścia numer dwa - kontynuował Max.

- To znaczy?

;

- Że mogę skontaktować się z Henrym Marshalllem, dyrektorem administracyjnym Dial-a-Car, i poprosić go, żeby wysłał ci antydatowaną prośbę o zniżkę.

Henry jest na urlopie w Devon, ale może zrobić to tam, namiejsku.

Wystarczy jego podpis na kawałku papieru.

Michael odruchowo pokręcił głową.

- Dlaczego nie?

Boisz się, że wszystko się wyda?

Że Dial-a-Car wykorzysta to jako pretekst i zażąda lepszych warunków?

- Właśnie.

- Niepotrzebnie się martwisz.

Mam dla ciebie kolejną perełkę: każdy z nas ma swój słaby punkt.

Trzeba go tylko odkryć i umiejętnie wykorzystać.

W ten sposób zdobywa się prawdziwą władzę.

Słabym punktem Henry'ego jest hazard.

Ostatnimi laty przegrał bardzo dużo pieniędzy.

Nie tylko swoich, ale i firmowych, awiesz, że to poważne przestępstwo.

Wielokrotnie ratowałem go finansowo.

Jest mi coś winien i dobrze o tym wie.

Poranamały rewanz.

..

Za szybko.

Wszystko działa się za szybko.

Michael ponownie pokręcił

głową.

- Mógłbyś mieć ten dokument już jutro - mówił Max.

- Odzyskałbyś spokój ducha, na którym tak ci zależy.

Zaufałeś mi raz, zaufaj i drugi.

Mikę popatrzył na swój talerz.

Został na nim tylko kawałek pomidora.

- Tak - odrzekł powoli.

- Zaufałem ci i odkryłem mój słaby punkt.

Masz na mnie władzę.

- Podniósł wzrok.

Max zrobił dziwną minę.

- Nie musisz się o to martwić.

92

- Taksamo jak Jack nie musi martwić się o swój długi język.

Dopóki się nam nie wściekniesz, truppen zostanie w szafie, tak?

- Jack to Jack, a ty to ty.

Zażenowany Michael obserwował kelnerkę krążącą między stolikami.

Z kuchni dobiegł głośny trzask pękającego talerza.

- Komuś się oberwie - mruknął.

- Może, ale nie tobie.

- Nie?

- Nie.

Jak mówiłem, masz dwa wyjścia.

Jeśli nie powiedz nikomu ani słowa, wątpię, czy ktokolwiek zauważy twoje niedopatrzenie.

Zachowasz nieposzlakowaną reputację, choć będziesz musiał żyć w ciągłym strachu przed wpadką.

Jeśli chcesz mieć tę roszczeniówkę, mogę ją zdobyć.

Miałbyś z głowy swojego klienta, i przelożonych, itych z Dial-a-Car.

Zyskałbyś spokój ducha i jeszcze lepszą reputację.

Wybór należy do ciebie.

Ja nie wahałbym się ani chwili.

- Zrobiłbyś to dla mnie?

- Możesz mi zaufać.

Nie zawiodę.

Michael westchnął.

Ponownie poczuł dziwne ciepło w żołądku.

Tym razem silniejsze.

- Dzięki - szepnął.

- Nie musisz decydować od razu.

- Max wstał.

- Idę do toalety.

Przestań się już zamartwiać.

Wszystko będzie dobrze.

Mikę został sam.

Patrzył naparującą herbatę.

Czuł się lekko, jakby zdjętomu z barków wielki ciężar.

Przysiadł do stolika i siedziały dwie starsze panie.

Jak na dobrze wychowane Angielki przystało, każda z nich chciała zapłacić rachunek.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Przywołał kelnerkę.

- Poproszę o rachunek.

- Pański ojciec już zapłacił - odrzekła z uśmiechem.

- Kto?

Momentalnie spoważniała.

- Ten pan.

Przepraszam.

Myślałam, że to pański ojciec.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Wrócił Max.

Szedł krokiem pewnym
i statecznym.

Silny, opanowany, pogodzony z sobą i ze światem.

I naglewszystko to, co między nimi zaszło - łatwość, z jaką mu się
zwierzał, skomplikowane i obce uczucia, jakimi go darzył - zaczęło nabierać sensu.

Poczuł się bezbronny.

Tak samo jak tam, na plaży.

Lecz tymrazem wrażenie było znacznie intensywniejsze.

Próbował je odpędzić, lecz przywarło
jak pijawka.

Maxusiadł.

- To co?

Idziemy?

- Zmieniłem zdanie - rzuciłostro i zdecydowanie.

- Zadzwoń do domu
i każ im wyjechać.

93.

Max był zaskoczony.

- Mówiłeś, że nie trzeba.

-Nie zadzwonisz?

Świetnie.

Wiedziałem, że to kit.

Max wyjął telefon i wystukał numer.

- Pani Avery?

Przykro mi, ale musi pani poprosić moich gości, żebywyjechali.

Nie, nie, Lavinia i jej przyjaciółka.

- Cały czas patrzyła na Mike'a.

-Jak najszybciej.

Wrócimy za godzinę i chcę, żeby do tej pory ichniebyło.

Michael zabrał mu telefon.

Przytknął go do ucha i dobiegł go wzburzonygłos pani Avery.

- Mówi Michael Turner - powiedział.

- Niemusi pani tegorobić.

Tylko głupi żart.

Przepraszam, że zawracałem pani głowę.

- Wyłączył telefon i zwrócił goMaksowi.

- Co to było?

-Nic.

Chciałem sprawdzić, czy zadzwonisz.

Zamilkli.

- Grasz w golfa?

- spytałMax.

- Bo?

-Pytałem, czy grasz w golfa.

Mike głęboko odetchnął.

- Czy jestemaż tak smutny i stary?

-Golfto bardzopożyteczna gra.

Nie uwierzysz, ile kontraktów zawierasię przy osiemnastym dołku w niedzielny poranek.

Chcesz mnie nauczyć?

- spytał zśmiechem Michael.

- Czemu nie?

Jestemczłonkiem pobliskiego klubu.

Trochę pogramy,a potem zjemy lunch w klubowejrestauracji.

Jedzenie jest obrzydliwe, mająza to przednie wino.

- A Lavinia i Suzanne?

Nie powinniśmy wracać?

- Jaza nimi nietęsknię.

A ty?

- Ja też nie.

-Świetnie.

Zatem golf.

Przygotuj się na totalne poniżenie.

Michael wstał.

- To tyzostanieszponiżony.

Imię me Ozymandias, król murawy wspaniały: Spójrzcie na me kijej gińcie w rozpacz, Mocarze!

Shelley^ Tak, jesteś smutny i stary.
Śmiejąc się, wyszli z restauracji.

Późnym wieczorem podrzucił go do domu.

Wracał z Suffolkiem sami.

Prawie cały dzień spędził na polu golfowym, kiedy wrócili, okazało się, że Lavinia i Suzanne już wyjechały.

94

Mieszkanie tonęło w ciemności.

Rebeka nie było.

Zostawiła mu wiadomość na automatycznej sekretarce: złapała grype.

Zadzwoń do Winchestera i odbył względnie cywilizowaną rozmowę ze starym Blake'em, który zgodził się przekazać jej pozdrowienia.

Wziął butelkę piwa z lodówki i wyszedł na balkon.

Noc była ciepła i cicha.

Patrzył na światła w oknach domów naprzeciwko, zastanawiając się, kto tam mieszka, jak żyje i jakie ma problemy.

On już ich nie miał, powinien czuć się szczęśliwy.

Alesię nie czuł.

To, co proponował Max, było zwykłym szantażem.

Czy postępował mądrze, ulegając i dając się wykorzystać w tej przestarzałej grze?

Właśnie rozpoczęli nową partię, oni Max, z tym że to Max miał wręku wszystkie atuty.

Człowiek, o którym nic nie wiedział, który bez najmniejszych skrupułów wykorzystywał innych dla osiągnięcia swoich celów.

Jak można komuś takiemu ufać?

A jednak mu ufał.

I właśnie to było w tym najdziwniejsze.

Odpędził obawy.

Wszystko będzie dobrze.

Na pewno.

Dopił piwo i poszedł spać.

6

Poniedziałek.

Wpół do jedenastej.

Michael wnosił poprawki do listu przewodniego, który napisał zaraz po przyjściu do pracy.

Jack Bennett chciał go mieć najdalej o pierwszej.

Wszystko grało.

W kancelarii panował spokój.

Półowa pracowników była na konferencjach i naradach z klientami.

Sekretarki rozmawiały o filmach, które obejrzały podczas weekendu, i wydzwaniały do przyjaciółek.

Jego sekretarka Kim wróciła już z urlopu.

Pokazała im zdjęcia z Salonik.

Niemal na wszystkich była z przystojnym greckim kelnerem.

Docinali jej, a ona śmiała się do brody, ukrywając rumieniec pod opalenizną.

Zadzwoń telefon.

Max.

- Rozmawiałem z Henrym.

Napisze tę roszczeniówkę i przyśle ci ją faksem najpóźniej dziś po południu.

Może być?

- Jasne.

Dzięki.

Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Nie ma sprawy.

Możesz przełączyć mnie do Jacka?

Muszę z nim pogadać.

Zobaczymy się?

- Oczywiście.

- Wcisnął odpowiedni guzik.

Skończył godzinę później i postanowili pójść ze Stuartem na szybki lunch.

Przed wyjściem zajrzał do Jacka, ale go nie zastał.

Położył list na biurku

95.

i ruszył z powrotem.

Właśnie mijał toaletę, gdy wyszedł stamtąd Graham Fletcher.

I wtedy wszystko się zaczęło.

- Rozmawiałem z Bennettem.

Dziwi się, że nie potrzebowaliśmy żadnych roszczeńówek od tych z Dial-a-Car.

Mam cię spytać, czy na pewno sprawdziłeś, co trzeba.

Sprawdziłeś?

Michael przestąpił znogi na nogę.

- Potrzebowaliśmy.

- Urwał.

- Potrzebowaliśmy jednej roszczeńówki.

Zastrzeżenie było w postanowieniach końcowych.

Zapomniałem mu o tym powiedzieć.

Graham struchlał.

- Bożeświęty!

W postanowieniach końcowych?

Aw tekście głównym?

Niema go w tekście głównym!

- Bo nie musi tam być.

Już to załatwiłem.

Graham odetchnął i podejrzliwie zmrużył oczy.

- Jak?

- Zadzwoń do Dial-a-Car - improwizował Michael - do dyrektora administracyjnego.

Obiecał ją przefaksować.

- Dlaczego nic o tym nie wiem?

- Przepraszam.

Myślałem, że ci powiedziałem, g.

Graham świdrował go oczami.

- No, dobrze.

Przyślij mi kopię i następnym razem o wszystkim mnie informuj.

- Nie sprawiaj wrażenia zadowolonego.

Michael wrócił po Stuarta.

Poszli do małej, obskurnej knajpki przy Liverpool Street i zamówili kurczaka po ukraińsku.

Stuart opowiadał wesoło swoim weekendzie w Bristolu.

Mike jadł niewiele, mówił jeszcze mniej.

Że też musiał wpaść na Fletchera.

Wiedział, że wszystko będzie dobrze, mimo to dręczył go dziwny niepokój.

Druga.

Wrócili do kancelarii.

Na krześle leżał faks.

Roszczeńówka.

Nareszcie.

Co za ulga.

Ale to nie była roszczeńówka.

To był faks z filii w Hongkongu.

Nieważne.

Dopiero druga.

Max mówił "po południu".

Wszedł Fletcher.

- Powiedziałem Jackowi o tej roszczeniówce.

Zawiadomiliśmy zarząd Digitronu.

Zażądali kopii.

Prześlij ją faksem.

Mike'owi zaburczało w żołądku.

Naszły go mdłości.

- Kiedy?

Jutro?

Graham spojrzął na niego jak na kretyna.

- Zwariowałeś?

Dzisiaj.

- Nie ma sprawy.

96

Bo sprawy nie było.

Po południu roszczeniówka trafi na jego biurko.

Maxnie zawiedzie.

Telefon.

Dzwonił ktoś z procesówki.

Mike z trudem skupił się na rozmowie.

Trzecia.

Ani śladu roszczeniówki.

I znowu ten przeklęty Fletcher.

- Wysłałeś?

- Nie.

Fletcher nachmurzył czoło.

- W takim razie na co czekasz?

- Przepraszam, rozmawiałem przez telefon.

Już wysyłam.

Po raz czwarty zajrzał dopokojuz faksem.

Wciążnic.

Nagle przyszło mu do głowy, że Max podał Henry'emu zły numer faksu, że zamiast wydziałowego, podał mu numer ogólny.

Zadzwoił na dół.

Sprawdzili.

Nie, nic do niego nie przyszło.

Zatelefonował do Maksa.

Słuchawkę podniósł starszy mężczyzna mówiący ze środkowoeuropejskim akcentem, niejaki pan Laszł, Węgier, który wraz z żoną prowadził mu dom.

Uprzejmie poinformował Michaela, że Max wyszedł, i że wróci dopiero późnym wieczorem.

- Może mi pan podać numer jego komórki?

- Pan Somerton zostawił komórkę w domu.

Mike'łośnie przełknął ślinę.

- Czy możemy pan powiedzieć, dokąd wyszedł?

To bardzo pilna sprawa.

- Ośmej je kolację w Sugar Club przy Warwick Street.

Nie wiem, gdzie będzie przedtem.

- Jeśli zadzwoni, proszę mu przekazać, że czekam pod telefonem.

Toniemiernie ważne.

- Oczywiście, proszę pana.
Odłożył słuchawkę i cicho zaklął.
- Wszystko w porządku?
- spytał Stuart.
Mike kiwnął głową.
W jego umyśle zaległo się straszliwe podejrzenie, które próbował od siebie odpędzić.
Nie, to niemożliwe.
Jeszcze wcześniej.
Faks na pewno przyjdzie.
Maxdotrzyma słowa.
Wpół do piątej.
Gdzie ta pieprzona roszczeniówka?
Nie mógłusiedzieć na miejscu.
Wychodził z siebie, umierał z niepokoju.
- Mike - niewytrzymał Stuart.
- Co się dzieje?
- Marionetka
97.

- Nic.

Nie denerwuj mnie.

Fletcher.

Wpadł jak burza do pokoju.

- Przed chwilą dzwonili do mnie ci z Digitronu.

Dlaczego nie wysłałeśroszczeniówki?

Michael postanowił zagrać na czas.

- Nie mogę jej znaleźć.

Kim była na urlopie i przeddziesięć dni zastępowała jajakaś dziewczyna.

Pewnie gdzieś ją wsadziła.

Niewiele brakowało Grahamowi oczy wyszłyby z orbit.

- Nie możesz jej znaleźć?

-Spokojnie, znajdę.

Graham dźgnął go palcem.

- Za dwadzieściaminut ma leżeć na moim biurku, jasne?

I żadnych wymówek!

-Wymaszerował z pokoju.

Stuart zmarszczył brwi.

- Mogęw czymś pomóc?

- Nie.

- Mikeprzeczesał ręką włosy.

-Tak.

Muszę zadzwonić.

Mógłbyśpójść sprawdzić, czy nie przyszedł do mnie żaden faks?

Jeszcze raz zadzwonił doMaksa.

Odebrał pan Laszló.

Nie, Max się nieodezwał.

Nie,nie wiadomo, gdzie jest.

Wrócił Stuart.

- Nic nie ma.

Przykro mi.

Mike zadzwonił nadół.

W sekretariacie ogólnym też nicdla niego niemieli.

Był zlany potem.

Koszula kleiła mu się do ciała.

Weszła Kim.

- Dzwonił Fletcher.

Chce sięz tobą widzieć.

Natychmiast.

Z trudem wyszedł na korytarz.

Nogi miał jak zołowiu.

Drzwi do gabinetu były otwarte.

Obok Fletchera stał Jack Bennett.

Jackrobił wrażenie poruszonego, Fletcherumierającego naapopleksję.

Michaelowi zrobiłosię niedobrze.

Blefuj - pomyślał.

Blefowałeś z klientami, blefuj i teraz.

- Przed chwilą miałem telefon zDigitronu - zaczął Fletcher.

- Ktoś od nich zadzwonił do dyrekcji Dial-a-Car, żeby podziękować im za tę cholerną roszczeniówkę okazało się, że ci z Dial-a-Car nie mają zielonego pojęcia, oczym facet gada!

Michael przełknął ślinę.

- Niechspytają dyrektora administracyjnego - odrzekł, z trudem panując nad głosem. Graham posiniał.

- Dyrektor administracyjny jest na urlopie.

Rozmawiali z dyrektorem finansowym, który o żadnej roszczeniówce nic nie wie!

- Twierdzi - wtrącił Jack - że przed wysłaniem roszczeniówki dyrektor administracyjny musiałby się z nim skonsultować.

Dodał, że jeśli prawo do włas-

98

ności Pegaza uległo zmianie bez ich zgody, przyjmą to bardzo źle i będą domagali się zmian w warunkach kontraktu.

- Pokręcił głową.

- Fatalnie to wygląda.

Blefuj.

Blefuj!

- To nieprawda.

Niech porozmawia z Henrym Marshalllem.

On mu wszystko wyjaśni.

Jack posłał musmutne spojrzenie.

- Rozmawiał z jego sekretarką.

Marshall nigdy o sobie nie słyszał i nic nie wie o żadnej roszczeniówce.

Michael poczuł się tak, jakby ktoś przyłożył mu pięścią w brzuch.

Zrobił krok do tyłu.

Ugięły się pod nim nogi.

Fletcher kipiał wściekłością.

- Co ty, do diabła, knujesz?

Niedość, że przeoczyłeś to pieprzone zastrzeżenie, to jeszcze wymyślasz jakieś bzdury, żeby ratować tyłek?

Na miłość boską, umieścili to zastrzeżenie w postanowieniach końcowych!

Niktby go nie zauważył!

Kurwa mać, po co w ogóle otwierałeś gębę?

Jesteś doniczego!

Twoje dni są policzone!

Michaelowi zawirowało w głowie.

Nie, to niemożliwe, to tylko zły sen.

Jack miał pogrzebową minę, lecz w jego oczach w kącikach ust błąkał się szyderczy uśmiešek.

Max.

Michael znowu usłyszał głos Maksa.

Łagodny, aksamitny, zwodniczy i śmiertelnie niebezpieczny.

"Każdy z nas ma swój słaby punkt.

Trzeba go tylko odkryć i umiejętnie wykorzystać.

W ten sposób zdobywa się prawdziwą władzę".

Przejrzał na oczy.

Nagle wszystko zrozumiał.

Max powiedział, że Lavinia kłamała: to też było kłamstwo, z góry ukartowana gra, która miała osłabić jego czujność i wzbudzić zaufanie.

I wzbudziła.

Zaufał Maksowi i ujawnił swój słaby punkt.

"Ponieważ jak dotąd mnie nie rozgniewał, nie widzę powodu, żeby rozpowiadać jego niedyskrecje" - to o Jacku.

Myślał, że jego niedyskrecje pozostaną w dyskretnym ukryciu, ale sięmylił.

Rozgniewał Maksa.

I Max się na nim mścił.

Zadzwoń do Bennetta i powiadom go o niedopatrzaniu.

Ale to nie wystarczyło.

Michael musiał się pogрузić, wykopać sobie grób, dlatego Somerton powiedział mu o istnieniu fikcyjnej roszczeńki.

Mike w to uwierzył, demonstrując światu tylko swoją niekompetencję, ale i oblicze niebezpiecznego łgarza gotowego zrobić wszystko, żeby ukryć porażkę.

Jack wypełnił polecenie - miał swoje powody.

To nie on przeprowadzał transakcję, dlatego nie musiał się bać, że straci reputację.

Poza tym, z przyjemnością zdyskredytował kogoś, kogo zaczynał uważać za rywala o względy Maksa.

Wszystko to, co między nimi zaszło, było kłamstwem.

Jednym wielkim kłamstwem.

Zaufał Maksowi i musiał za to zapłacić.

99.

Graham wrzeszczał, ale on już go nie słuchał.
Odwrócił się i wyszedł z gabinetu.
Na korytarzupanowała martwa cisza.
Wszyscy zastygli bezruchu jak posągi, patrząc, jak idzie.
Nie zwracał na nich uwagi.
Kipiał wściekłością.
Czuł, że lada chwila wybuchnie.

Warwick Street.

Szedł do Sugar Club.

Kilka godzin spędził w kącie zatłoczonego pubu na Piccadilly, pijąc piwo i sycąc gniew.

Powinien być wstawiony, lecz nim alkohol zdążył dotrzeć do mózgu, spalała go złość.

Tak byłolepiej.

Żeby zrobić to, co zamierzał, musiał być trzeźwy.

Wszedł do środkai kakofonicznych ulicy ustąpił miejsca przyciszonemu, zharmonizowanemu rozgwarowi restauracji.

Bar inabita sala-przeważali goście młodzień modnieubrani.

Kelnerzy w czarnych uniformach i białych fartuchach krążyli między stołami, roznosząc tace zjedzeniem.

Gwar rozmów, brzęk sztućców, intymnie przyćmione światła, świece, małe reflektorki i atmosfera bliskości - znakomite miejsce na awanturę.

Max siedział pośrodku sali.

Towarzyszyli mu dwaj Japończycy w wiekuokoło czterdziestu lat: obaj palili takie samecygaretki jak on.

Czarującousmiechnięty Max mówił coś z wielkim ożywieniem.

Tamci z podziwem mupotakiwali.

Podszedłdo nich kelner z przystawkami.

Zgasili cygaretki i zaczęli przygotowywać siędo jedzenia.

Teraz.

Z walącym jak bębenserem ruszył w ich stronę.

Dostrzegł go Max.

Przez chwilę był zaskoczony, potemsię uśmiechnął.

- Mike!

Co za miła niespodzianka.

Przysiądziesz się do nas?

Michael odpowiedział mu uśmiechem.

- Prędejj piekło zamarznie niż usiądę z tobą do jednego stołu - odrzekłpodniesionym głosem.

Max wytrzeszczyłoczy.

- Słucham?

-Zaufałem ci jak ostatni kretyn.

Wyszło lepiej niż się spodziewałaś,co?

- Przysądiednich stolikach powoli zamierałyrozmowy.

- Obawiam się - odrzekł spokojnie Max - że nie wiem, o czym mówisz.

Michael nie przestawał się uśmiechać.

- O tak, dobry jesteś, bardzo dobry.

Taki przymilny, taki czarujący.

Niktby się nie domyślił, że cyniczny zciebie chuj.

- Popatrzyl najego gości:

wybałuszali oczy, zeszywniali z szoku.
Cieszył się, że należą do rasy gardzącej ludźmi, którzy tracą twarz.
- Nie ufajcie mu - powiedział.

-Przypierwszej okazji zrobi was na szaro.

100

- To jakieś nieporozumienie - odparł Max.

- Lepiej będzie, jeśli stądwyjdiesz.

-Mówił bardzo spokojnie.

W innych okolicznościach Mikę zacząłby bić mu brawo za opanowanie.

Winnych,ale nie w tych.

I nie teraz.

Teraz chciał go zniszczyć.

Podniósł talerze stołu.

Małże wgęstem, kremowym sosie.

Cisnął nimiw Maksa, ochlapując mu twarz i ubranie.

Jakaś kobieta głośno sapnęła.

Mikepodniósł kieliszek i chlusnęła Maksacerwonym winem.

- Ty sukinsynu!

- wrzasnęła.

-Myślisz, że możesz wpieprzać się wczyjeś życie?

Popełniłeś wielki błąd, bo w mojesię nie wpieprzysz!

- Odwrócił się na pięciei wymaszerował z restauracji.

Narogu ulicy przystanął, oparł się o ścianę i nie zwracając uwagi namijających go ludzi, popatrzyłna dachy domów i naskrawek londyńskiegonieba.

Dzieńgaśł.

Błękit i szkarłat wczesnego wieczoru tonęły w szarości,która pochłaniała barwy, tak jakrzeczywistość pochłania nadzieję.

Złość jużminęła.

Odczuwał jedynie urazę i nienawiść do samego siebie.

Zawsze myślał, że życie,które wiódł, uczyniło go silnym.

Że niedasie nikomu oszukać.

Jakże się mylił.

Max zaoferował mu iluzję emocjonalnej intymności, a on rzucił się na niąjak ślepiec, nie dostrzegając czyhającej po drodze pułapki.

I chociaż nienawidził goza przewrotnyfalsz,jeszcze bardziej nienawidził siebie za słabość, za łatwość, z jaką dał się

podejść.

Tuż obok przechodziła lekkowstawiona para.

Mężczyzna potracił go

i przeprosił.

Mikę nie odpowiedział i odszedł w noc.

Nazajutrzrano.

Dziewiąta.

Leżał w łóżku, gapiąc sięw sufit.

Kotary byłyzaciągnięte.

Normalnego dnia od pół godziny siedziałby za biurkiem.

Ale to

nie był normalnydzień.

U CoksaStephensa nie miał już czego szukać.

Absolutnie, bezdwóchzdań.

Gdyby trzymał język za zębami, pewnie by sięjakoś uchował.

Gdyby.

Gdyby.

Gdyby.

Poprzedniego wieczoru dzwoniła Rebeka.

Nie podniósł słuchawki i zostawiła wiadomość: czuła się jużlepiej i po południu wracała doLondynu.

Będzie musiałjej powiedzieć - miał nadzieję, że niczego to między nimi nie
zmieni.

Nie zmieni.

Przecież bardzosię kochali.

To wystarczy.

Na pewno?

Wstał i poszedł do łazienki.

Wziął prysznic, ogolił się, włożył garnitur.

Koszula była wymięta, więc ją wyprasował.

Ot tak, z nawyku.

Teraz nie miało to już żadnego znaczenia - po prostu zrobił to, co robił rano odprawie
trzechlat.

101.

Zaparzył kawę i wyszedł na balkon, żeby popatrzeć na szary poranek.
Niebo było zaciągnięte ciemnymi chmurami.

Przed lunchem lunie deszcz.

Ciekawe, czy otej porze będzie jeszcze miał pracę.

Metro.

Godzinaszczytu już minęła i peron był pusty.

W wagonie panował cisza, nie licząc szelestu gazet i cichego syku walkmanów.

Na jegokolanach leżał złożony "Times".

Mike patrzył przed siebie, próbując wiać się garścią przed tym, czego czekało.

Kancelaria.

Schody.

Poprzysiągł sobie, że bez względu na to, co się zdarzy, nie okaże ani żalu, ani skruchy.

Że nie da im satysfakcji.

Hol. Posłał recepcjonistę promienny uśmiech, wcisnął guzik windy, wsiadł i pojechał na piąte piętro.

Wydział żył normalnym życiem.

Za biurkami siedziały sekretarki, między pokojami krążyli prawnicy, wszędzie dzwoniły telefony.

Kilku pracowników spojrzęło na niego, gdy przechodził, lecz pozostali robili swoje, jakby nic się nie zdarzyło.

Parł przed siebie uśmiechem na twarzy.

Kancelaria

Coksa Stephensa.

Harował dla nich jak wół, poniosą dużą stratę.

I kiedyś tego pożałują.

Pokój.

Rozpromieniony Stuart pomachał kartką papieru.

- Gdzieś ty był?

Przyszła roszczeniówka.

- Co?

- Twoja roszczeniówka.

Ta, przez którą tak panikowałeś.

Przysłał ją wczoraj, kiedy byliśmy na lunchu.

Nie, to jakiś żart.

- Niemożliwe.

Przecież sprawdzałem.

Powiedzieli, że nic nie ma.

- Wiem.

Podziękuj naszemu kochanemu personelowi i głupim zarządzeniom.

- Jakim zarządzeniom?

- Zamiast imion i nazwisk każą im używać inicjałów.

Ma to przyspieszyć obieg informacji i poprawić efektywność działania.

Skutek?

Odwrotny do założonego.

Ci od faksów źle spisałitwoje inicjały i odesłali roszczeniówkę do Matthew Taylora z nieruchomości.

Facet przesiadł całą dzieńną konferencję, a jego sekretarka jest chora.

Zorientowali się dopiero niedawno.

A ponieważ zmieniają się czternastej, kiedy z nimi rozmawiałem, było już po herbacie: ci z drugiej zmiany o niczym nie wiedzieli.

Michael wyrwał mu kartkę zrzęki.

Roszczeniówka.

Antydatowana roszczeniówka.

Dokładnie to, o co muchodziło.

Dokładnie to, coobiecał mu Max.

Zakręciłomu się w głowie.

Usiadł.

- To nie masensu - wychrypiał.

- Dyrektor administracyjny Dial-a-Carpowiedział, że nigdy o mnie nie słyszał.

102

Stuart wybuchnął śmiechem.

- To jeszcze nic.

Byłtu Jack Bennett.

Godzinę temu dzwonił do niego Marshall.

Bardzo skruszony Marshall.

Wygląda na to, że jego sekretarka mającą fobię i boi się przeszkadzać mu w czasie urlopu.

Kiedyś zatelefonowała do niego z jakąś drobnostką okrutnie ją zwrzeszczał.

Pewnie poprzysięgła sobie, że więcej doniego nie zadzwoni, chyba że firmie będzie groziła pajta albo napad terrorystów.

Założyła, że dyrektor finansowy nic nie wie o roszczeniówce, a ponieważ nie miała u siebie kopii, powiedziała Bennettowi, że zmyślasz.

Została odpowiednio pouczona.

Michael też się roześmiał.

Chrapliwiei histerycznie.

Wiadomość była cudowna, lecz namysł o wynikających z niej implikacjach zrobiło mu się niedobrze.

- Pytał o ciebie.

Jack.

Chyba chce cię przeprosić zawczorajsze.

Ponoć Marshall śpiewał peany na twoją cześć.

Wychwalał cię, mówił, jakim to jesteś cennym nabytkiem dla firmy, i w ogóle.

Usłyszeli czyjeś kroki i dopokoju wszedł Graham Fletcher.

Wyglądał dość niewyraźnie.

- Widzę, że już wiesz - mruknął.

Michael kiwnął głową.

Zadzwonił telefon.

Niech dzwoni.

Od czego miał

Kim.

Fletcher powoli wypuścił powietrze i zacisnął usta.

- Cóż, wszystkodobrze, co się dobrze skończy.

Prześlij kopię klientowi.

- Wszedł.

Stuart parsknął śmiechem.

Chyba cię przeprosił.

Chcesz kawy?

- Nie, dzięki.

Stuart ruszył do drzwi i omal nie zderzył się z Kim.

- Mike, Rebeka czeka na linii.
Przełączyć?
- Tak, tak.
- Kim wyszła i telefon zadzwonił ponownie.
Mike podniósł słuchawkę.
- Halo?
- Mówiłem, żebyś mi zaufała.
Michael z trudem przełknął ślinę.
Zaschło mu w gardle.
- Jesteś tam?
- Tak.
- Zamówiłem stół u Cadogana przy Seething Lane.
Bądź o wpół do pierwszej.
Cichy rzask.
Max się rozłączył.
Michael szedł na spotkanie.
Z Monument skrzył w kierunku Tower Hill.
Po prawej stronie miał London Bridge i szarą płacę brudnej wody, którą zwano Tamizą.
Na

ulicach panował tłok; ludzie uciekali przed deszczem.

W oddali majaczyły posepnie wieże Tower.

Odpowiednia sceneria.

Czuł się jak skazaniec przedegzekucją.

Klub mieścił się w podziemiach po lewej stronie Seething Lane.

Mike wszedł do pustego baru o kamiennych ścianach i niskim suficie.

Tam zatrzymałgo natrętny jegomość w muszce.

Michael wyjaśnił mu, że jest umówiony z Makssem, podziękował za drinka, usiadł i powiódł wzrokiem po sali.

Stoliki stały blisko siebie, tak samo jak w Sugar Club.

Prawie połowabyła zajęta.

Zasiadali przy nich sami mężczyźni.

Garnituryw jodełkę, dyskretna, ekskluzywna atmosfera, gwar rozmów

prowadzonych przyciszonymi, acz pewnymi siebie głosami - kolejne miejsce, gdzie można by zrobić komuś piękną awanturę.

Wpół do pierwszej.

Zaczął bawić się spinkami do mankietów, parą srebrnych tarcz z wygrawerowanymi inicjałami "MT".

Dostał je od Rebeki.

Żałował, że nie jest z nią.

Wolałby być wszędzie, byle nie tutaj.

Za dwadzieścia pierwsza.

Wbarze zrobiło się tłoczno, lecz Maksajaknie było, tak nie było.

Może nie przyjdzie, chcąc dać mudo zrozumienia, jak bardzo jest zły?

Nie, próżne nadzieje.

Czuł, że tak łatwo się z tegonie wywinie.

Po występie w Sugar Club musiało dojść do jakiegoś finału.

Za kwadrans pierwsza.

Do baru wszedł Max.

Był bezpłaszczka i przemókl.

Michael wstał i otworzył usta, żeby go przeprosić, choć wiedział, że ona nic się to nie zda.

I nagle zdał sobie sprawę, że Max się uśmiecha.

Trochę krzywo, z lekkim rozbawieniem, jak to on.

- Przepraszam zaspóźnienie.

Musiałem zaparkować kilometry stąd i złapał mnie deszcz.

- Raptem cofnął się o krok i podniósł ręce.

- Niczym wemnienie rzucisz?

Na pewno?

Michael kompletnie zbaraniał.

Bez słowa pokręcił głową.

- Dzięki Bogu.

Lubię tę koszulę inie chciałbym, żeby wylądowała naniej porcja latających małż.

- Otarł czoło.

- Muszę się wytrzeć.

Chodź.

Jadalnia, schody, korytarz.

Idąc, Mike próbował stłumić strach, skupiając się na jednej, jedynej myśli: czy kiedykolwiek będzie w stanie porozmawiać tym człowiekiem, za nic go nieprzepraszając.

Toalety.

Max przepuścił go przodem.

Pomieszczenie było duże, większe niż się spodziewał: pisuary, po lewej stronie umywalki, po prawej kabiny.

Usłyszał, że Max zamyka drzwi i się odwrócił.

- Posłuchaj.

- zaczął.

- Naprawdę.

Max grzmotnął go pięścią w twarz.

Jakna pięćdziesięciolatka, był zadziwiająco szybki.

Mike zdażył tylko zarejestrować jakiś ruch i ułamek sekundy potem.

Jakby oberwał żelaznym łomem.

Straciwszy równowagę, zatoczył się do tyłu, potknął o swoje nogi,

104

uderzył głową w ścianę i upadł.

Widział jak przez mgłę.

Max szedł ku niemu.

Michael chciał się cofnąć, ale nie mógł, boi gdzie.

Z jednej z kabin wyszedł jakiś mężczyzna.

Wyszedł i przerażony znieruchomiał, niewiedząc, co robić.

- Precz!

- ryknął Max.

Tamtego wymiotło na korytarz.

Max ruszył wzdłuż kabin, kopniakiem otwierając wszystkie drzwi.

Kabiny były puste.

Chwyć krzesło, zablokował nimi klamkę drzwi i odwrócił głowę.

Mike poczuł się jak królik oślepiiony reflektorami rozpędzonego czołgu.

Max stanął nad nim.

Kipiał wściekłością.

Cały się trząsał.

Podniósł rękę, jakby chciał go ponownie uderzyć.

Michael drgnął i zasłonił twarz.

Lecz cios nie padł.

Max zrobił krok do tyłu i stanął przy umywalce.

Oparł się o nią i spojrzał w lustro.

Oddychał ciężko, z wyraźnym trudem.

Mike zadygotał i dotknął odrętwiałego policzka.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj.

- Muszę.

Zrozum.

- Niby co?

- Myślałem, że to jedno wielkie kłamstwo.

To, co mówiłeś, wydawało się takie łatwe.

Dla mnie łatwe nie było.

- Myślisz, że tego nie wiem?

- Zaufałem ci.

A potem wszystko się pieprzyło.

Myślałem, że to gra, że chcesz się na mnie zemścić.

- Uważasz, że mogłbym to zrobić?

Michael miał oczach łzy.

Zdawał sobie z tego sprawę i było mu wstyd.

- Dlaczego nie?

Na jakiej podstawie miałem cizaufać?

Nic o tobie niewiem!

Niewiem nawet, kim jesteś!

- Nie wiesz?

- Max przeszłygo spojrzeniem.

Twarz miał już spokojniejszą, lecz dziwnie zbolała.

Mikę zwiesił głowę.

Milczał.

- To ci powiem.

- Ponownie spojrzał w lustro i delikatnie dotknął szkła, jakby pieścił swoje odbicie.

- Urodziłem się w Budapeszcie w wigilię Bożego Narodzenia pięćdziesiątego roku.

Mój ojciec miał na imię Tibor, matka Ilona.

Istvan Selymes, syn Ilony i Tibora.

Ich jedyne dziecko.

Mieszkaliśmy w małej klitce w wielkim betonowym bloku.

Od czasów wojny Węgry były pod sowiecką okupacją.

Rodzice pracowali w fabryce.

Byli nacjonalistami i pragnęli, żeby Węgrzy odzyskali całkowitą niezależność.

Ich przyjaciele też.

Wieczorami przychodzili do nas, żeby porozmawiać o wolności i o tym, że nie obejdzie się bez ogólnonarodowego powstania.

Często podkładałem się pod drzwi, żeby posłuchać, jak snują swoje marzenia.

Po ich słowach można było sądzić, że wolne Węgry będą prawdziwym

te 105.

rajem.

Oni w to wierzyli.

Ja też.

Noc w noc prosiłem Boga, żeby zesłał nampowstanie.

Żeby marzenia przestały być tylko marzeniami.

Powstanie wybuchło w październiku pięćdziesiątego szóstego.

Naszemodły zostały wysłuchane i nadeszła ta wyśniona chwila.

Tylko, że szybkoprzerodziła się koszmara.

Ludzi wyszli na ulice, wymachując węgierskimi flagami atakując czołgi gołymi rękami.

- Max roześmiał się z goryczą i bezsilną wściekłością.

- Padli od kul jak muchy.

Rosjanie szukali prowodyrów i wysiekli ich, nie patrząc, do kogo strzelają.

Matka zginęła, kiedy biegliśmy chodnikiem.

Upadła, trzymając mnie za rękę.

Jak tysiące innych, uciekłem z ojcem z kraju.

Zapłaciliśmy zawodowemu przewodnikowi i przeprowadził nas przez austriacką granicę.

Zabrał nam ostatnie pieniądze i kiedy dotarliśmy do oboziska uchodźców, nie mieliśmy za co żyć.

Ojciec był ranny i podróż pozbawiła go sił.

Nie dość, że straciłem matkę, to jeszcze musiałem siedzieć przy nim i patrzeć, jak umiera.

W obozie był mój wujek.

Brat matki.

Miał na imię Michael, tak jak ty.

Został mi trochę pieniędzy.

Ojciec kazał mu przysiąc, że mnie stamtąd wywiezie.

Nie chciał, żebym został w Austrii.

Austria leży za blisko Rosji bał się, że dopadną nas Sowieci.

Tuż przed jego śmiercią wujek obiecał, że się mną zaopiekuje.

Przyrzekł, że dopóki żyje, nie zostawi mnie samego.

Dotarliśmy do Anglii.

Wujek mówił trochę po angielsku i chciał rozpocząć nowe życie.

Do Londynu przybyliśmy w lutym pięćdziesiątego siódmego i kilka dni mieszkaliśmy w bursie w Shoreditch.

Pieniądze szybko się skończyły.

Wujek coraz częściej patrzył na mnie dziwnym wzrokiem, ale ilekroć ja patrzyłem na niego, uśmiechał się i mówił, że wszystko będzie dobrze.

Max znowu się roześmiał, lecz tym razem bez złości.

I ani na chwilę nie przestał wodzić palcem po lustrze.

- Pewnego wieczoru kazał mi się spakować.

Powiedział, że idziemy do nowego domu.

Szliśmy godzinami, wreszcie dotarliśmy do Lexden Street, do wielkiej, szarej kamienicy, która wyglądała jak więzienie.

Wujek wyjaśnił mi, że mieszkają tam sieroty, dzieci bez rodzin, i że przez kilka dni będziemy z nimi.

Tylko przez kilka dni, do czasu, aż zdobędziemy pieniądze.

Płakałem.

Błagałem go, żeby mnie nie zostawiał, ale on powiedział, że nie ma się czego bać.

Że przeżyję fajną przygodę, że zanim się spostrzę, że

znowu będziemy razem.

Mijały dni, tygodnie, miesiące, a on nie wracał.
I jużnie wrócił.

Zostawił mnie tam, w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

Nie znałem języka.

Niepotrafiłem się znikim porozumieć.

Miałem sześć lat.

Straciłem wszystko to, co w życiu najważniejsze.

Byłem zupełnie samw obcymkraju.

Mogłem polegaćtylkona sobie.

Michaelpodniósł wzrok.

Max odwrócił się od lustra.

- A ty mówiszmi ozaufaniu.

106

Mikę zamrugął, żeby odpędzić łzy.

- Nie chciałem.

-Myślisz, że byłbymdo tego zdolny?

- Ja tylko.

-Takmyślisz?

Mikę ponownie zwiesiłgłowę.

- Wiem, że mną pogardzasz.

Masz do tego pełne prawo.

Przepraszam.

-Serce biło mu coraz wolniej.

Sprawabyła zamknięta.

Czuł, że Max zarazwyjdzie.

Ale onniewyszedł.

Wciąż stał przed lustrem.

- To ja powinienem cię przeprosić - odrzekł cicho.

- Nie miałem prawacięuderzyć.

Nie mam też prawa prosić cię o wybaczenie.

Alejeśli miwybaczysz, daję ci słowo, że nigdy więcej niezrobię ci krzywdy.

- Ale dlaczego?

- szepnął Michael.

- Dlaczego?

-Masz wszystko.

Po co ci moje wybaczenie?

Dlaczego ci tak na tymzależy?

- Dlatego, że cię rozumiem, Mikę.

Wiem, jakie byłotwoje życie.

Wiem,co znaczy dorastać bez miłości i nadziei, bez tego, co nadaje życiu pięknoi znaczenie.

Wiem też, że brak miłości i nadziei zabija zaufanie, obraca jew najstraszniejszą,najbardziej przerażającą rzecz na świecie.

- Niejesteś mną.

Nie wiesz,jak sięczuję.

- Mylisz się.

Ilekróćna ciebie patrzę, widzę siebie.

Człowieka, jakimbyłem przed ponad dwudziestu laty.

Człowieka,który tłumiać urazę i gniew,próbował oszukać świat uśmiechem.

Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz,nie mogłem uwierzyćwłasnym oczom.

Jakbym zobaczył ducha.

- Max westchnął, boleśnie i z żalem.

- To było niesamowite.

Michael wziął głęboki oddech.

Nie ufał swemu głosowi, lecz musiał mujeszczecóż powiedzieć.

- Przepraszam.

Za wczorajsze.

Zrobiłem z siebie głupca.

- Nieważne, nie o to chodzi.

- Wiem.

Max przykucnął i spojrzał mu w oczy.

- Och, Michael - szepnął.

- Wyobrażasz sobie, jakie drzwi mógłbyś przed tobą otworzyć?

Drzwi, do których dobiegałbyś się latami, zanim ktoś by je uchylił.

A tak było ze mną.

- Co mi tam drzwi.

Może kiedyś mi na tym zależało.

Ale już przestało.

- Wiem.

Tama pękła i popłynęły.

Płynęły swobodnie, bo już się nie wstydził.

Max położył mu rękę na ramieniu w zwykłym geście współczucia i pocieszenia.

107.

Trwali tak kilka chwil.

Powoli docierało do niego jakiś hałas i zdał sobie sprawę, że ktoś łomocze do drzwi.

Otarł twarz i oparł się o ścianę.

- Mamytowarzystwo.

- Głos trząsał się mu z emocji.

- Niech sobie wali.

-Może wyłamać drzwi.

- Wykrzesał z siebie słaby uśmiech.

-Właściciel klubu będzie miał ci za złe.

Skreśli cię z listy członków.

- Jakoś przeżyję.

Jedzenie mają tu jeszcze podlepszenią w klubie golfowym.

Sam nie wiem,dlaczego jeszcze się stąd nie wypisałem.

- On też wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

-Chyba przestało padać.

Kupmy po kanapce, pójdźmy nad rzekę i popatrzmy na świat.

Wstali.

Mike uświadomił sobie, że będą musieli przejść przez salę.

- Zaczekaj.

Nie chcę, żeby widzieli, że płakałem.

Muszę się umyć.

- Po co?

Są zbyt pochłonięci sobą, żeby zauważyć młodego człowieka w pomiętym garniturze, który ma przed sobą całe życie.

Zadziwić lat zostaną daleko w tyle i będą ścigać twój cień.

- Jasne.

-Tak będzie.

Sam się przekonasz.

Ruszyli do drzwi.

Do mieszkania weszła Rebeka z podrózną torbą.

Usłyszała cichą muzykę.

The Cranberries, Być z tobą.

Jej ulubione nagranie, cudowna trzyminutowa oda do miłości.

Kiedy usłyszała tę piosenkę pierwszy raz, cieszyła się samymi rytmemi drzemiącą w nim energią.

Potem poznała Mike'a i nagle stwierdziła, że The Cranberries śpiewają niej.

Tęskniła do tej chwilały dzień.

Chociaż uwielbiała swoją rodzinę, jej dom był teraz tam, gdzie Mike.

Dzieliła z nim życie i nie znosiła, kiedy się rozstawali.

Michael stał na balkonie.

W dzinsach i w podkoszulku, wystawiał twarzą do południowego słońca.

Nie słyszał, że weszła.

Zawołała go.

Odwrócił się, uśmiechnął i podszedł bliżej.

- Już jesteś?

O tej porze?

- Okropnie rozboleła mnie głowa.

Przynajmniej tak powiedziałem Fletcherowi.

- A jaki jest prawdziwy powód?

-Chciałem być w domu, kiedy wrócisz.
- Dlaczego?
- Postanowiła się z nim trochę podręczyć.
- Dlatego, że cię kocham.
I dlatego, że czasami, wbrew wszystkiemu, cudownie jest żyć.
-Roześmiał się, wyraźnie czymś podekscytowany.
- Stało się coś?
- spytała.
Nie odpowiedział.

108

- Mikę, czy coś się stało?
Otworzył usta, zamknął je i pokręcił głową.
- Nie, nic.
Może tylko to, że w pracy idzie mi coraz lepiej.
Zła passaminęła.
Niemusisz się już martwić.
- Nie martwiłam się ani przez chwilę.
-Naprawdę?
- spytał ze sceptycznym uśmiechem.
- Naprawdę.
-Dlaczego?
- Bo cię kocham.

I wiem, że mnie nie zawiedziesz.
Spowaźniał.
- Nie, nie zawiodę.

Nigdy.
- Znowu się uśmiechnął.
-Będzie piękny wieczór.
Chodźmy gdzieś.
- I?
-I nic.

Chcę z tobą być jak w naszej piosence.
Resztą się nie liczy.
Poczuła się jak po zastrzyku adrenaliny.
Nigdy dotąd nie kochała go tak mocno, tak intensywnie.
- Masz rację - odrzekła.

- Reszta się nie liczy.
Objęła go za szyję i pocałowali się, niespiesznie i czule.

Była mu potrzebna.
Była jego dopełnieniem.
Jego oczy przypominały dwie plamy czystego błękitu z ciemnymi krążkami pośrodku-
patrzyła w nie, a w jej głowie odezwał się cichutki szept.

"Twoja miłość jest jak domek z kart na piasku: runie przy najbliższym powiewie wiatru".

Jakby ktoś przeszedł po jej grobie.

Dziwne uczucie.

Nieprzyjemne.

Lecz trwało tylko chwilę.

Nie, to się nigdy nie zdarzy.

Byli połówkami jednej całości.

Ich dom stał na opoche starej jak świat, na fundamencie, którego nie zburzynie ani nikt.

Uśmiechnęła się.

Ich piosenka dobiegła końca i rozpoczęła się następna.

Minęła północ.

Leżało Rebeki i myślał.

Przegadali wiele godzin, rozmawiając o wszystkim i o niczym, oplatając się ramionami i nogami, przyciskając do siebie dzikiego wina rosnące tak blisko siebie, że mogą się tylko wzajemnie wspierać albo zginąć.

Rebeka oddychała równo i spokojnie.

Już spała.

Michael nie spał.

Patrzył w sufit, czekając na demony, które przychodziły w tej czarnej, stężącej godzinie, by dręczyć go wizjami najmroczniejszych obaw.

Tej nocy też przyszły.

Tak samo jak wiele razy poprzednio.

Żeby cichymi, zniwelującymi głośną ciszę do umysłu jad, słodki jak zatruty miód.

Lecz tym razem było inaczej.

Tym razem to on był inny.

109.

Strata Rebeki: najgorsza rzecz, jaką mógł sobie wyobrazić.
Bez niej byłby niczym.

Nikim.

Wrakiem, szczątkiem człowieka.

Ale nie byłby już sam.

Tego dnia jego życie uległo zmianie.

Zmianie, o jakiej nawet niemarzył.

Którą powitał z radością.

Leżał w ciemności, słuchając demonów.

Powoli znikwały, jakby przestraszone jego nowo odkrytą siłą.

Część 2

Konflikt.

Środa.

Godzina jedenasta.

Wydziałowe zebranie sprawozdawcze.

Zebrania sprawozdawcze odbywały się co drugą środę.

Wszyscy członkowie zespołu zasiadali wokół olbrzymiego stołu w sali konferencyjnej na dole, pili paskudną kawę i składali sprawozdanie z tego, co aktualnie robili, tak żeby ci, którzy mieli mniej pracy, mogli odciążyć tych, którzy mieli jej w nadmiarze.

Przynajmniej takie było założenie.

Ogólnie rzecz biorąc, pomysł był świetny i miał tylko jedną wadę.

Tego, kto przyznałby, że nie dogorywa z przepracowania, natychmiast obarczony był papierkową robotą, przy której umierały nawet najżywościwsze komórki mózgu.

Dlatego każdy członek zespołu robił wszystko, by wykazać, że to, nad czym pracuje, jest zadaniem godnym Herkulesa.

Tak więc w sumie zebrania sprawozdawcze były niczym innym jak wprawkami z samochwalstwa, okazją do zademonstrowania wydziałowych mięśni i zaimponowania zwykłym śmiertelnikom.

To zebranie było szczególnie irytujące, przynajmniej dla Michaela.

Nieprzygotował jeszcze slajdów, a w porze lunchu czekał na wykład o zasadach tworzenia spółek.

W sali konferencyjnej nie było okien i odszuczonego oświetlenia rozboleła go głowa.

Cenny czas błyskawicznie uciekał, a on siedział bezczynnie obok Stuarta, mazał długopisem w notatniku i bezskutecznie dławiąc złość, słuchał monotonnego sprawozdania Jonathana Uphama.

Jonathan skończył swój pięciominutowy monolog i przekazał pałeczkę Belindzie Hopkins.

Belinda była ich najstarszą stażem, najbardziej doświadczoną asystentką: sto pięćdziesiąt dwa centymetry wyaerobikowanej ambicji. Pracej do celu niczym samonaprowadzający się pocisk, wżakiecie od Arma"iego.

Cel?

Zostanie współniczką, to oczywiste.

Jej największym rywalem był

8 --Marionetka 3.

Jonathan i nie miała zamiaru dać się mu wyprzedzić.

Zaczął mówić, wypluwając nazwiska klientów z szybkością karabinu maszynowego.

Julia, zahukana stażystka Grahama, zbladła jak ściana.

Miała stenografować i nigdy za nią nie nadążała.

Nie dalej jak przed dwoma tygodniami Graham udzielił jej publicznej reprimendy za

niedokładność i wyglądała to, że udzieli jej kolejnej.

Michael, który wiedział, nad czym Belinda pracuje, zaczął spisywać listę klientów, żeby przekazać ją Julii po zebraniu.

Nagle wyczuł, że ktoś na niego patrzy.

Z drugiej strony stołu obserwował go Jack Bennett.

Mike poczuł się nieswojo.

Ostatnio zawsze się tak czuł w jego obecności.

Od dramatu z Dial-a-Carminem było dziewięć dni, mimo to wciąż pamiętał ten szyderczy uśmiech triumfu na jego twarzy.

Triumfu?

A może źle to interpretował?

Prawie przez cały tydzień Jack był w rozjazdach, lecz ilekroć się spotkali, zachowywał się wobec niego bardzo uprzejmie, nie okazując ani cienia złej woli.

Belinda bombardowała ich dowodami swojej pracowitości.

Jack ukradkiem wywracał oczami.

Michael posłał mu szybki uśmiech.

Jack odpowiedział tym samym i odwrócił głowę.

Tak, mógł go źle ocenić.

To całkiem możliwe.

Belinda skończyła i głos zabrał Stuart.

Michael wbił wzrok w notatnik, próbując ułożyć listę slajdów.

Tymczasem Rebeka siedziała samotnie za ladą w księgarni Chattertona.

Klara była na zapleczu; przeglądała nowe zamówienia.

Zanosilo się na senny poranek.

Jak dotąd, odwiedziło ich nie więcej niż dwunastu klientów i tylko jeden coś kupił.

Na ladzie leżała nowa książka podręcznicza o Fidzi.

Rebeka chciała zadzwonić do Mike'a, ale musiałby ją ktoś zastąpić.

Myślała o nim od rana.

Wkrótce miał wygłosić wykład i napewno się denerwował.

Niepotrzebnie.

Był w tym dobry.

Wiedziała, że jeśli tylko zapanuje nad temperamentem, czeka go świetla przyszłość.

A jeżeli za sześć lat Cox Stephens nie weźmie go na wspólnika, przejdzie do innej firmy, i już.

To dopiero początek.

Całkowicie w niego wierzyła.

Miał talent, siłę przebicia, ambicję i na pewno dużo osiągnie.

Tak, zrobi wielką karierę.

A ona?

Wszedł jakiś mężczyzna w sfatygowanej marynarce.

Nie śmiało skinął głową i ruszył w stronę półek działu historycznego.

Obserwowała go, bawiąc się zaręczynowym pierścieniem.

Kim będę?

114

Znała odpowiedź.

Słynną malarką.
Wszyscy tak uważali: rodzice, brati Michael.
Zwłaszcza Michael.
Swego czasu ona też w to wierzyła.
Bez zastrzeżeń.
Zanim nie poznała smaku pierwszej porażki.
Popatrzyła na rzędy książek.
Czuła się wśród nich jak w trumnie, z której nie było ucieczki.
Nie taką przyszłość sobie umyśliła.
Nietakieżyciepragnęła wieść.
Mężczyzna wychynął na chwilę zza półki i spotkali się wzrokiem.
Uśmiechnęła się.
Uśmiechała się cały dzień, lecz czasami miała ochotę krzyknąć.
Poprzedniego wieczoru zadzwoniła do niej Liza z wiadomością, że z wystawy w Crouch End mogą być nicy.
Mimo początkowego braku entuzjazmu perspektywa zademonstrowania swoich prac coraz bardziej Rebekę podniecała, dlatego rozmowa z Lizą bardzo ją przybiła.
Wmawiała sobie, że musi być cierpliwa.
Że wkrótce nastąpi jakiś przełom.
Że praca w księgarni jest jedynie wstępem do prawdziwego życia.
Jeśli tylko to życie w ogóle się rozpocznie.
Rozpocznie się.
Na pewno.
Wiedziała, że jest świetną malarką, a pewnego dnia dowie się o tym cały świat.
Tak, była dobra.
Naprawdę dobra.
W takim razie dlaczego od wielu tygodni nie namalowałaś ani jednego obrazu?
Żałowała, że nie ma z nią Klary.
W samotności za dużo myślała.
Roztrząsała możliwości, których lepiej byłoby nie roztrząsać.
Wieczorem Emilia zabierała ją na jakiś zagraniczny film do Swiss Centre.
Rebeka nie miała nastroju, ale wiedziała, że Emilii bardzo na tym zależy.
Poza tym była jej najlepszą przyjaciółką.
Od czasów piaskownicy, odkąd skończyły siedem lat.
Czasami, kiedy o niej myślała, powtarzała to sobie jak mantrę.
Czyżby bała się, że może o tym zapomnieć?
Mężczyzna w sfatygowanej marynarce szedł kuniej z książką w rękę.
Wciąż uśmiechnięta Rebeka podeszła do kasy.
Drugi raz tego dnia.
Wpół do trzeciej.
Michael wszedł do biura.
- Jak poszło?
- spytał Stuart.
- Dobrze.
- Mikę usiadł przy biurku.
- Przeszkadza mi tylko ten mały kutas z włosami i Hugh Grant.
Ten, który siedzi z Karen w podatkowym.
Ciągłe się ze mnie podśmiewał.
- I co?
Powiedziałeś mi coś?

- Nie.

Kazałem mu przeprowadzić ćwiczenie praktyczne do prezentacji zrobił z siebie durnia.
Zemsta jest słodka.

Przejrzał wiadomości.

Wszystkie były "pilne", ale co tam.

Wykład miał już za sobą inie musiał się niczym przejmować.

115.

Weszła nerwowo uśmiechnięta Julia z kartką papieru.

- Zapomniałeś podpisać listę obecności.

-Dzięki.

Przynudzałem?

- Nie, to był świetny wykład.

Wszyscy tak mówią.

- Nie musisz się podlizywać - wtrącił Stuart.

- Tonia on będzie cię oceniał.

- Wcale mu się nie.

-Dotarło do niej, że Stuart się z nią droczy i spiekła raka.

- Wykład był naprawdę dobry.

Stażyci zasypią cię pytaniami z prawa o spółkach.

- Ruszyła do drzwi i przystanąła.

-I dzięki za pomoc.

Nigdy za nią nie nadążam.

- Nie ma sprawy.

-Moim zdaniem, Belinda to android - powiedział Stuart.

- Mówi jak robot i w ogóle nie oddycha, zauważyliście?

Pewniema wielorybie płuca.

Parsknęli śmiechem.

Stuart zaczął wypytywać Julię o najświeższe plotki.

Michael podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do Rebeki.

W tym samym momencie zapiszczał komputer i ekran monitora wyświetlił wiadomość.

E-mail od Maksa.

"Mam nadzieję, że dobrze Ci poszło.

". Doczytał do końca i szybko wystukał odpowiedź.

Wpół do ósmej.

Rebekai Emilia mijają Pelham Gardens.

Z kina nic niewyszło.

Kiedy przyjechały do Swiss Centre, powiedziano im, że projektora się spalił.

Projektor i taśma.

Dom. W holu spotkały emerytowanego pianistę z parteru, który akurat wyjmował listy ze skrzynki.

Rebeka przedstawiła mu Emilię, modląc się do ducha, żeby jej kwiatek wyglądał lepiej niż rano.

Michael podlewał go tak obficie, że biednej roślinie groziła śmierć przez zachłyśnięcie wodą, dlatego ostatnio wystawiała doniczkę na balkon z nadzieją, że na słońcu i świeżym powietrzu kwiatek trochę odżyje.

Mieszkanie.

Drzwi do salonu były zamknięte.

Dochodził zza nich głos komentatora sportowego, który wykrzykiwał, że na stadionie panuje wprost niezwykła atmosfera.

Rebeka przypomniała sobie, że wieczorem miał się odbyć ważny mecz piłki nożnej.

Michael zamierzał iść na siłownię, ale najwyraźniej zmienił zdanie.

- Mikę już jest.

-Otworzył drzwi.

I natychmiast poczuła intensywny, dziwnie znajomy zapach.

-Nie wiedziałam, że zaczął palić - powiedziała Emilia.

Na sofie siedział Max Somerton.

Na stole stała butelka szkockiej i dwie
w połowieopróżnione szklaneczki.
Max uśmiechnął się łagodnie i bezskrepowania.

Biła z niego swobodna
elegancja, jak podczas ich pierwszego spotkania.
116

- Przepraszam.

- Wstał, wskazując popielniczkę, w której dymiła cygaretką.

-Mike powiedział, że mogę.

Rebekabyła zaskoczona równie mocno jak wtedy, gdy przyszedł do nichz szampanem
dla jej ojca.

Co on tu robił?

Szybko ogarnęła wzrokiem pokójz nadzieją, że Mike nie narobił bałaganu.

Nie, wszystko było w porządku.

A stojący na stole kwiatek jakbytrochę ożył.

-Max!

Jakże się cieszę.

- Ja również.

- Spojrzał ponad jej ramieniem.

-A to jestchyba.

Emilia?

Emilia weszła do salonu i nieśmiało skinęła głową.

- Pan Somerton -przedstawiła go Rebeka.

- Nasz gospodarz.

- Mam nadzieję, że i przyjacieli- dodał Max.

-Naturalnie - odrzekła lekko zażenowana Rebeka.

,

- Pracuje pani w agencji literackiej, prawda?

Skąd o tym wiedział?

Pewnie odMike'a.

Mike.

Gdzie on jest?

Jakbyw odpowiedzi usłyszała szum wody w muszli klozetowej.

- Zajmuje się panipisarstwem?

Emilia bez słowa pokręciła głową, bawiąc się kosmykiem włosów.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, przemówiła:

- Ale kiedy byłam dzieckiem, trochę pisałam.

Miałam wtedy wielką wyobraźnię.

Wyobraźnię wciąż mam, lecz zabrakło mi talentu.

- Wyobraźnia jesttalentem samym w sobie- odrzekł uprzejmie Max.

-Większość ludzi zatracają w szarzyźnie dnia codziennego.

Proszę jejpilnować.

To prawdziwy skarb.

Emilia spojrzała na niego z rozpromienioną twarzą.

Uśmiechnęła sięniepewnie spuściła oczy.

Max przeniósł wzrok na Rebeke.

/

- Mam nadzieję, że czujesz się lepiej.

-Lepiej?

- Miałś grupę.

-Ach, grypę.
Tak,tak, o niebo lepiej.
- Wybacz,żepytam o to dopiero teraz.
Pewnie uważasz mnie za gbura.
- Ależ skąd.
-Nie było mnie kilkadni.
- wyjaśnił, sięgając po cygaretkę.
Otworzyły się drzwi ido salonu wszedł Michael.
- Cześć -rzucił.
- Co się stało?
Opowiedziała mu o pożarze projektora.
- Chciałyśmyobejrzeć filmna wideo, ale.
- Spojrzała na ekran telewizora.
Tysiące kibiców robiło meksykańską falę.
- Nie chcemy wam przeszkadzać.
Michael zerknął na Maksa.
- Nie przeszkadzacie nam, tylko.
117.

- Mecz rozpoczyna się dopiero za kilka minut - wyratował go Max.
- Chodźmy do mniei pozwolmy paniom spokojnieobejrzeć film.
- Nie, nie, nie trzeba - zaprotestowała Rebeka, nie chcąc wyjść na niegościnną heterę.
- Zostańcie.
- Nawet nie śmiałbym otym marzyć.
- Wskazał kasetę.
- Co to?
- "Elizabeth".
- Zaryzykowała niewinny żart.
- Wybrałyśmy go, bo Emilia kocha się w JosephieFinnesie.
Emilia zrobiła przerażoną minę.
- Nieprawda!
- Przepraszam, w Danielu Craigu.
Emilia zaczerwieniła się jak piwonia.
Michael objął ją i powiedział:
- Nie zwracaj na nią uwagi.
Ona kocha się wsir Johnie Gielgudzie.
Max zgasiłcygaretkę, wziąłze stołu butelkę szkockiej i ruszył do drzwi.
Pocałował Rebekę w policzek.
- Do zobaczenia-rzucił.
Zabrzmiało to jak stwierdzenie.
- Nic nie mówiłaś o jego głosie - rzekła Emilia, gdyzostały same.
- Mapiękny głos.
- Myślisz?
- A ty nie?
Rebeka włączyła magnetowid.
- Tak.
Chyba tak.
Emiliausiadła na sofie.
- Są bardzo zaprzyjaźnieni.
To miłe.
- Mike i Max?
Nie są.
Prawie się nie znają.
- Skororazem oglądają mecz.
Tym ją rozdrażniła.
- Aty co?
- warknęła.
- Jesteś ekspertką odprzyjaciółMike'a?
Emilia poruszyła się niespokojnie.
- Nie,oczywiście, żenie.
Rebekę momentalnie naszły wyrzuty sumienia.
- Przepraszam, niechciałam.
Jeszcze nie doszłam do siebie.
Wchodzei widzęmojego gospodarza.
Mogłam myśleć tylko o tym, że nie umiem dobrze odkurzać.
Emilia roześmiała się.
Rebeka też.
W pokoju czuć było dymem.

Otworzyła drzwi na balkon,lecz wieczórbył bezwietrzny i zapach nie chciał ulecieć.

Michael wrócił po jedenastej.

Emilia już wyszła.

Rebeka czytała w łóżku.

- Kto wygrał?

- spytała, gdy wszedł do sypialni.

- Naprawdę cię to interesuje?

118

- Niezbyt.

Zaczął się rozbierać.

- Świetny film - powiedziała.

- Będzieci się podobał.

Wszedł do łazienki.

Zamknęła książkę i przez chwilę nasłuchiwała, jak myje zęby.

W sypialni byłoduszno, więc powachlowała sięręką.

- Kiedy wraca George?

-W przyszłym tygodniu.

- Zaprosimy go na kolację i poznamy z Emilią.

A Klara mogłaby przyprowadzić swego nowego amanta.

Może i jej pomożemy.

Wrócił do sypialni.

- Swatka - rzekł z uśmiechem.

- Niepoprawna swatka.

- Nie mogę siępowstrzymać.

Położył się obok niej.

- On mówi ci Mikę.

-Co?

- Max mówi ci Mikę.

Myślałam, że mu nie wolno.

- Teraz już wolno.

Dotknęła jego ramienia.

Był spocony.

- Weźmiesz prysznic?

-Chciałem zaczekać z tym do jutra.

Nieprzyjemnie pachnę?

Pocałowała go.

- Lubię twój zapach.

- Miałmiętowy oddech.

Na czoło opadł mu kosmyk włosów.

Odgarnęła go.

- Nie wiedziałam, że się przyjaźnicie.

Pogłaskał ją po ramieniu.

- W tamten weekend dużo rozmawialiśmy.

Tomity facet.

Nie przepada za towarzystwem.

Wbrew pozorom to odludek.

Kiwnęła głową.

- W przyszłym tygodniu chce zaprosić nas na kolację.

Do Savoy Grilla.

Powiedziałem mu, że zawsze chciałaś tam pójść.

Co ty na to?

Polubiszgo.

- Ale on może nie polubić mnie.

-Bzdura.

Ciebie nie możnane lubić.

Przypomniało jej się, jak warknęła na Emilię.

- Myślisz?

-Jasne.

To co?

Pójdziemy?

- Dobrze.

Wtorek wieczorem.

Sześćdni później.

Na ulicach panował tłok.

Szli powoli, ponieważ bolały ją stopy.

Wszystko przez te nowe buty:w sklepie pasowały jak ulał, a teraz okazały się zaciasne.

Żałowała, że nie włożyła wygodniejszych.

119.

Na kolacji miał być jeszcze jeden gość: Karolina, nowa przyjaciółka Maksa.

- Pracuje w reklamie - powiedział Michael.

- Nie znam jej, ale nie może być gorsza od Lavinii.

- Rebeka, która nie zapalała do Lavinii sympatią, ucieszyła się, że jej nie będzie.

Dom Maksa.

Pan Laszłó wprowadził ich do salonu.

- Pan Somerton zaraz przyjdzie - powiedział.

Wrogustał duży telewizor, którego podczas ostatniego przyjęcia tamnie było.

Pewnie wyniesiono go, żeby zrobić więcej miejsca.

- Tu oglądaliście mecz?

- spytała.

- Tak.

- Piłka nożna w takim salonie?

Wzruszył ramionami, podszedł do barku i nalał sobie whisky.

- Mike!

To nie nasz dom.

Nie możesz tak po prostu.

Zrobił zdziwioną minę.

- Max nie będzie miał nic przeciwko temu.

Nalać ci?

- Nie.

Michael pstryknął pilotem i włączył telewizor.

Wytrzeszczyła oczy.

- Boże, czujesz się tu lepiej niż w domu.

Mike zdziwił się jeszcze bardziej.

- O co ci chodzi?

Pokręciła głową i spojrzała na ekran.

Polityk, którego nastoletniakochanka sprzedała prasie swoje intymne wspomnienia, mówił, że jest całkowicie oddany żonie.

Otarte stopy bolały jeszcze bardziej niż przedtem.

Do salonu wszedł Max.

Pocałował ją w policzek.

Skórę miał jędrną, lekko pachnącą wodą kolońską.

- Wyglądasz uroczo.

Ale widzę, że nic nie pijesz.

Mogę cię czymś poczęstować?

Grzecznie odmówiła.

- Karolina już jedzie - dodał.

Michael wyszedł do toalety.

Max wyłączył telewizor.

- Dziękujemy za zaproszenie - powiedziała.

- Jest pan.

Jesteś bardzo miły.

Uśmiechnął się ciepło.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Jak wypadły urodziny ojca?

Dobrze?

- Tak.

Szampan bardzo mu smakował.

Niepotrzebnie zawracałeś sobie głowę.

Patrząc jej w oczy, machnął ręką.

- Przepraszam za opóźnienie.

Karolina nie mogła odwołać jakiegos spotkania.

Mam nadzieję, że nie miałaś zbyt ciężkiego dnia.

- Nie.

Jeśli nie liczyć.

pewnego autora.

Przyszedł do nas podpisywać swoją książkę i nie mieliśmy żadnej na składzie.

Był bardzo urażony - dodała ze śmiechem.

- Oto rozkosze mojej pracy.

120

- Kiedy świat się na tobie pozna, zaznasz innych.

- Mam nadzieję.

- Napewno.

Patrzył na nią tak dziwnie, że poczuła się skrępowana.

Dobiegł ją przytłumiony dźwięk dzwonka do drzwi.

- Czy to Karolina?

- Tak.

Muszę cię ostrzec: ona trochę się boi.

- Czego?

- Spotkania z tobą.

- Nie ma we mnie nic przerażającego.

- Nie?

- odrzekł Max, nie przestając się uśmiechać.

Karolina była wysoką, elegancką, bardzo subtelną kobietą w wieku trzydziestu pięciu, trzydziestu siedmiu lat.

Miała bładoniebieskie oczy, ciepłe, lecz taksujące.

Wniosła do domu zapach kwiatów i atmosferę wyciszonej przedsiębiorczości.

Przypominała Rebecę aktorkę Alice Krige.

Max dokonał prezentacji.

- Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać - powiedziała niskim, gardłowym głosem.

- Wiem od Maksa, że jesteś małarką.

- Jeszcze nie.

Ale pilnie czytaj gazety.

- Nie omieszka.

Pewnego dnia będziesz chwalić, że jadłam z tobą kolację.

Drwina czy pochlebstwo?

Rebeka nie była tego pewna.

Zarumieniła się, słysząc kroki.

- Wątpię.

-- odrzekła.

Lecz Karolina już jej nie słuchała.

Wyczekująco patrzyła na drzwi.

Kiedy stanął w nich Michael, z oszalełymi uśmiechem podniosła rękę.

- Michael, prawda?

Max dużo mi o tobie opowiadał.

Mike uśmiechnął się nieśmiało.

- Mam nadzieję, że nie we wszystko uwierzyłaś.

- Tylko w to, co najgorsze - wtrącił Max.

Michael roześmiał się.

Rebekateż.

Mikę.

Nareszcie wrócił.

Wzięła gopod rękę.

- Nieprawda -zaprotestowała Karolina.

- Zasypywał cię komplementami.

Pracujesz uCoksa Stephensa?

Mikę kiwnął głową.

Rebeka też.

Zdawało jej się, że Karolinie lekko drzygłos.

Może jednakMax miałrację, może lękała się tego spotkania.

Dziwne -wyglądała na kobietę bardzo pewnąsiebie.

- Mój znajomy adwokatmówi, żeto najlepsza kancelaria w mieście.

Musisz być dobry.

ZażenowanyMikę przestąpił z nogi na nogę.

- Przesada - odrzekł.

-Nie słuchajgo - powiedziała Rebeka.

- To ich gwiazdor.

121.

- Moje słowa - rzekł Max.

- Moje słowa.

Rebeka uśmiechnęła się do niego, ściskając Mike'a za rękę.

- Chcesz związać się z nimi na stałe?

- spytała Karolina.

- Nie wiem.

Może.

Na razie dobrze mi tam.

- Na razie - powtórzył Max.

- Dopóki nie zaplanujemy czegoś nowego.

Rebeka ażdrnęła.

To jego przyszłość.

Mike'a.

Co mu do tego?

Zerknęła na Mike'a, myśląc, że ten coś powie.

Lecz Michael nie zareagował.

Musiała się przesygnąć.

Max spojrziała zegarek.

- No, musimy iść.

Ruszyli do drzwi.

Trzy czwarte miejsc w Savoy Grillubyłozajętych.

Rebeka siedziała między Maksem i Michaeliem przy okrągłym stole w rogu sali.

Wołowina byłapółsurowa,taka, jaką lubiła.

Jedzeniedobrze wypieczonej, czyli takiej, jaką lubił Mike,było dla niej tym samym, co przeżuwanie kawałka twardej skóry.

Jadła niespiesznie, delektując się smakiem.

- Widzę, że lubisz ryzyko - zauważył Max.

-Tak?

- Wszędzie pełno wściekłychkrów, a tyjesz befsztyk.

- Nabił na widelec kawałek łososia.

-Znam ludzi, którzy nie tkną nawet chipsów o smakupieczonej wołowiny.

- Mojamama też się boi.

Gdyby mnie teraz zobaczyła, dostałaby atakuserca.

- Siedzącapo jejprawej stronie Karolina wypytywała Mike'a opracę.

Twarz Maksa tonęła w półmroku.

Oświetlenie było intymnie przyćmionei czasami wydawało się, że sąjedynymi gośćmi w restauracji.

Między stolikamikrażył wyfraczony kelner - poruszał się takpłynnie i elegancko, jakby jeździł na łyżwach.

W tle niósł się cichy szmer rozmów.

Stołyustawiono tak przemyślnie, że chociażmówili głośno, nie słyszałich nikt postronny.

!;

Rebeka sączyła francuskie czerwone wino.

Max twierdził, że będziepa-sowałodo wołowiny.

Rzeczywiście pasowało.

- Dobrze?

- spytał.

- Znakomite.

Jesteś prawdziwym koneserem.

- Szczerze mówiąc, spytałem o radę kelnera, kiedy szedłem do toalety.
Gdyby to ode mnie zależało, pilibyśmy jabłecznik.

Roześmiała się.

Dolał jejwina.

- Jak wam się mieszka?

-Cudownie, ale nie chcemy się przyzwyczajać.

W tym tygodniu mamzadzwoić do pośrednika.

Zdziwiony uniósł brew.

122

- Po co?

Mówiłem Mike'owi, że możecie zostać, jak długo chcecie.

Pewnie zapomniał ci powtórzyć.

Poczuła się niezręcznie.

- Nie chcielibyśmy nadużywać twojej gościnności.

-Zapewniam cię, że do tego nie dojdzie.

On patrzyła nią, ona na niego.

Przypomniało jej się ich pierwsze spotkanie.

To, jak kojąco podziałał na nią jego głos.

Był czarujący imiał ciepłe, przyjazne oczy.

Pragnął, żeby go polubiła i tak się stało.

Oczy nadal miał ciepłe i przyjazne, lecz w jego zachowaniu coś się zmieniło.

Niepotrafiła tego nazwać, lecz zmieniło się na pewno.

- Mike mówi, że urządziłaś pracownię w garderobie.

-Tak.

Ale jeśli masz coś przeciwko temu.

- Ależ skąd.

-Mogę trochę nabałaganić.

- Śmiało.

Chcę, żeby szła się tam, jak u siebie w domu.

- I się czuję.

-To dobrze.

Odkroiła kawałek befsztyka.

Mike opowiadał Karolinie anegdotę o kimś od Coksa Stephensa.

Ta głośno się śmiała.

Może nawet odrobinę za głośno.

W jej śmiechu było coś znajomego.

Tylko co?

- Kiedy byłem u was ostatni raz - kontynuował Max- Mike pokazał mi twoje obrazy.

Masz talent.

- Taksamo jak milion innych.

Fakt.

Konkurencja jest bardzo duża.

Można być najbardziej utalentowanym malarzem w świecie, ale bez odpowiednich znajomości.

Bez słowa kiwnęła głową.

- Słyszałaś o Hampton Connaught?

-Nie.

- To galeria sztuki przy Cork Street.

Całkiem spora.

Karolina promowała u nich jakąś wystawę i jest bliską przyjaciółką Richarda Markhama, jejwłaściciela.

Jesienią Richard urządza miesięczną wystawę młodych talentów.
Każdy malarz ma pokazać sześć prac.
Pięciu już ma i szuka szóstego.
Co byś powiedziała, gdyby wybrał ciebie?
Przez chwilę brakowało jej słów.
Odstawiła kieliszek.
- Cork Street.
- Rozumiem twoje wahanie - dodał szybko Max.
- Tłoczno tam i trochę pompatycznie, ale to bardzo prestiżowy adres.
Cieszy się coraz większą popularnością wśród debiutantów.
Na pewno by cię zauważono.
Pokręciła głową.
- Nie, nie, ja się nie waham.
Byłoby fantastycznie, tylko czy mnie tam zechcą?
Moje obrazy mogą nie pasować tematycznie i.
123.

- Wystawa nie ma określonego tematu.

To po prostu okazja do zademonstrowania prac, z których jesteś najbardziej dumna.

Ot, choćby tego cykluz ludźmi patrzącymi w lustro i widzącymi swoje prawdziwe oblicze.

Mikemówi, że to świetnie płótna.

Karolina ma jutro spotkanie z Richardem.

Mogłaby mu je pokazać.

Rebekę zalała fala mieszanych uczuć: podniecenia, że mógłby to być przełom, o którym marzyła, strachu, że obrazy zostaną odrzucone, i oszołomienia, że wszystko dzieje się tak szybko.

Nagle dostrzegła pewien problem.

- Oryginały są w Winchesterze.

Tu mam tylko slajdy.

Mogą nie wystarczyć.

- Na pewno wystarczą.

Proszę, powiedz, że się zgadzasz.

Wiem, ile to dla ciebie znaczy i chcemy ci pomóc.

Oboje.

Serce waliło jej jak młotem.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- Dobrze, zgadzam się.

- Cudownie!

- Wykrzyknął Max.

Spojrzeni na niego Karolina i Michael.

- Rebeka powiedziała "tak".

Możesz porozmawiać z Richardem.

- Oczywiście, jeśli nie sprawi ci to kłopotu - dodała szybko Rebeka.

- Ależ skąd - odrzekła Karolina.

- Zrobię to z prawdziwą radością.

Wiem, jak trudno jest się przebić.

Naturalnie niemożę zagwarantować, że Richard cię zaprosi, ale postaram się go namówić.

- Zerknęła przelotnie na Maksa i przeniosła wzrok z powrotem na Rebekę.

- Dam z siebie wszystko.

- Zaprosi ją - oznajmił Max.

- Na pewno ją zaprosi.

Mogę się o to założyć.

- Podniósł kieliszek.

- Za sukces!

Rebeka trąciła się z Michaelem.

Mikę roześmiał się głośno.

Ona też.

Maxi Karolina uśmiechali się do niej.

Karolina miała ciepłe, życzliwe oczy.

Max również.

Życzliwe i sympatyczne.

Bardzo chciał, żeby go polubiła.

O coś ją pytał.

Wróciła na ziemię.

- Byłaś w Suffolk?

- Nie.

- Jedziemy tam z Karoliną na weekend.
To prawdziwy raj dla artystów.
Źródło niewyczerpanego natchnienia.
Musisz kiedyś przyjechać i sama się przekonać.
- Chętnie.
- Zaprosiłbym was, ale wiem, że jesteście zajęci.
Mike zrobił zdziwioną minę.
- Nie.
Nie mamy żadnych planów.
Max zmarszczył czoło.
- Przepraszam, musiałem coś pokręcić.
W takim razie może byście przyjechali?
r-
124
Rozpromieniony Michael spojrział na Rebeke.
- Co ty na to?
W sobotę nie pracujesz.
- Tak, ale.
Nie będziemy przeszkadzać?
- Ależ skąd - zapewnił ją Max.
- Serdecznie zapraszamy.
Prawda, Karolino?
Lekko poszerzyły jej się oczy.
Uśmiech zgasł.
Ale tylko na ułamek sekundy.
- Oczywiście - odrzekła.
- Dziękujemy, jesteście bardzo mili.
Skończyli jeść.
Kelner zebrał talerze.
Max opowiadał Rebecce o swoim domu w Suffolk, a ona piła wino, próbując stłumić wrażenie, że została wymanewrowana.
Bardzo subtelnie i układnie.
Pomoc.
Michael nalał sobie szklanek wody.
Rebeka obserwowała go, stojąc w drzwiach.
W kuchni paliło się światło.
Reszta mieszkania tonęła w ciemności.
- Wiedziałaś, prawda?
O tej galerii.
Pijąc, kiwnął głową.
- Kiedy ci powiedział?
- W piątek, podczas lunchu.
Prosił, żebym zachował to w tajemnicy.
/Chciał zrobić ci niespodziankę.
- I zrobił.
- Myślałem, że będziesz zadowolona.
- Jestem.
- Jakoś tego nie widzę.
- Nie, nie, po prostu zupełnie tego nie oczekiwałam.
Miał mokrą usta.

Otarł je wierzchem dłoni.

- Nie wiedziałam, że jedliście razem lunch.

-Raczej przekąskę.

Był w pobliżu, zadzwonił.

- O czym rozmawialiście?

Wzruszył ramionami.

- O takich tam.

-Jakich?

- Nie wiem.

O pracy.

Osensie życia.

- I o mnie.

Zmieszany spojrzął na szklanke.

- O tobie też.

Pytał, jak ci idzie.

Chciał pomóc.

- Lubisz go, prawda?

-A ty nie?

Zawahała się.

Zmarszczył brwi.

125.

- Dlaczego?

-Nie, to nie to.

Lubię go, ale wyjazd do Suffolk to zły pomysł.

Karolinanas tam nie chce.

- Co ty mówisz?

Gdyby tak było,Max by nas nie zaprosił.

- Odstawiłszklanę.

-Nie możemy się terazwycofać.

Byłoby niegrzecznie.

Zwłaszcza,że chcą ci pomóc.

Kiwnęła głową.

Wyraźnie mu ulżyło.

- Jeśli niebędzie ci się podobało, wymyślimy coś i wyjedziemy wcześniej.

Ale wiem, że zostaniesz.

Będzie fajnie.

Obiecuję.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Poza tym to tylko jeden weekend.

Nie będziemytam jeździć co tydzień.

- No, właśnie.

Spuściła głowę.

Za oknem wiał wiatr.

W drzwi balkonowe bębnił deszcz.

Burza przybierała na sile.

Okropna pogoda, jakna początek czerwca.

Ciekawe, czy i w Suffolk będą burze.

- Co sądzisz o Karolinie?

- spytał.

- To ty rozmawiałeś z nią caływieczór.

-Podobami się.

Nie wygląda na taką,co to poluje na bogatego sponsora, jak Layinia.

- Nie wiadomo.

-Myślisz, że poluje?

- Może.

A może nie.

Tak czy inaczej, to nie nasza sprawa, prawda?

Zrobił dziwną minę.

I natychmiast przybrał normalny wyraztwarzy.

- Idę spać.

A ty?

- Za chwilę.

Zniknął w sypialni.

Ona została w kuchni.

Karolina.

Poluje na forszę czynie?

Może ipoluje.

Niech Max się oto martwi.

Dla nich nie miało to żadnego znaczenia.

Zgasiła światło i poszła spać.

Środa.

Za kwadrans dwunasta.

Michael czekał, aż zaparzy się kawa.

Tużobokstały dwie sekretarki, rozmawiając o nadchodzących świętach.

Zewsząd dochodził stukot maszyn do pisania, wszędzie dzwoniły telefony.

Mike był pogrążony w myślach.

Jeden z klientów przysłał mu projekt umowy akcyjnej.

Na końcu zamieścił dopisek: „Jestem przekonany, że niczego jej

126

nie brakuje”.

Akurat.

Klauzula o zakazie współpracy z konkurencją była bezprawna, a zastrzeżenia dotyczące systemu głosowania zbiłyby z tropu samego Einsteina.

Całość wymagała wielu poprawek.

Michael stał i układał w głowie tekst.

Nadeszła Julia.

- Wszędzie cię szukam.

Musisz wiać.

- Wiać?

Dlaczego?

- Graham miał telefon od Addletonsa z Hull.

Facet negocjuje umowę zaopatrzeniową i chce, żeby przyjechał do niego któryś z młodszych asystentów.

Rozmowy mają potrwać do końca tygodnia i Graham szuka ofiary:

Kogo wybierze?

Ciebie.

- Cholera jasna!

- Zadekuj się w bibliotece.

Powiem ci, kiedy będziesz mógł wyjść.

- Ostrzeżesz Stuarta?

- Tak.

Szybko!

Doskoczył do drzwi wychodzących na schody, pewien, że zaraz ktoś go zawoła.

Ale nie, zdążył.

Wznosząc w duchu dziękczynne modły, ruszył na dół.

I wpadł prosto na Grahama.

Zamarło mu serce.

Z trudem zduśił przekleństwo.

- Dokąd idziesz?

- Do biblioteki - burknął zgorzkniały i zrezygnowany; było mu wszystko jedno.

Stali i patrzyli na siebie.

Michael miał rozpięty kołnierzyk i przekrzywiony krawat.

Graham nie znosił niechlujów.

Zaraz palnie mu wykład.

Ale on tylko podrapał się w policzek.

Niedawno wrócił z dziesięciodniowego urlopu na Cyprze i oblaził ze skóry.

- Byłem u Keitha Harpera - powiedział.

- Spytałem go o pewien przepis bankowy.

Prosta rzecz: można go zastosować czy nie?

Myślisz, że usłyszałem coś konkretnego?

- Pogardliwie prychnął.

-Prędzej krewz kamieniautoczysz.

Michael milczał.

Gdyby się z nim zgodził, Fletcher rozpowiedziałbywszystkim, że obgaduje wspólników.
Czekał nacios.

Graham spojrział na zegarek.

- No, muszę iść.

- Minął goi zniknął za drzwiami.

Mikę skamieniał.

Niewierzył własnemuszcęściu.

Roześmiał się głośno i nagle.

spowaźniał.

Dlaczego go nie wysłano?

Robota była parszywa, on był młodszym asystentem, Fletcher go nienawidził - wszystko pasowało.

Co więcej, znał Addletonsa, bo kiedyśpisywał dlańiego umowę.

Gdzie znajdą lepszego kandydata?

CzyżbyGraham uznał, że sobie nie poradzi?

Nie, to niemożliwe.

Ostatecznie powierzył mu prowadzenie negocjacji z Digitronem.

127.

Już miał przestać o tym myśleć, gdy wtem o czymś sobie przypomniał.
Wczesnym rankiem widział, jak dogabinetu Fletchera wchodzi Jack Bennett.
Rozmawiali co najmniej pół godziny.

O czym?

Onim?

Czyżby Jack go obgadywał?

Próbował podważyć jego reputację?

Nie, to czysta paranoja.

Jack nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Mimoto.

Powiedz Maksowi.

Pomysł przyszedł mu do głowy zupełnie nagle i niespodziewanie, i Mike analizował go z dokładnością jubilera oglądającego cenny kamień.

Niepokój powoli opadał.

Tak, trzeba poczekać na rozwój wydarzeń.

Na pierwszy rzutek wszystko grało, przynajmniej na razie, ale gdyby kiedykolwiek przyszłemu stoczyć bitwę, dobrze by było mieć pewność, że nie musi walczyć sam.

Wrócił na górę z nadzieją, że Julia zdążyła ostrzec Stuarta.

Pierwsza.

Rebeka otworzyła frontowe drzwi i weszła do holu.

Michael zawiózł Maksowi slajdy.

Wyjęła je z samego rana, by natychmiast dojść do wniosku, że mają się nijak do oryginałów, i że właściciel galerii na pewno je odrzuci.

Mike trochę ją uspokoił, mimo to w pośpiechu zapomniała torebki.

I teraz po nią wróciła.

Schody, drzwi, a pod drzwiami.

jakiś pakunek.

Piękny papier, koperta, jej nazwisko na kopercie.

Przekręciła klucz w zamku.

W mieszkaniu było duszno.

Otworzyła okno, potem paczkę.

W środku był kosztowny, bogato ilustrowany album malarstwa prerafaelickiego.

Na okładce zamieszczono jeden/jej ulubionych obrazów: Millais'ego romantyczny obraz małej księżniczki w Tower.

Ciemne schody, mroczne cienie na ścianach i dwa blond niewiniątka zaciskające ze strachu rączki.

Album wyszedł bardzo niedawno.

Miały go w księgarni zastanawiała się nawet, czy nie skorzystać z przysługującej sprzedawcom zniżki i nie zaszaleć.

Teraz już nie musiała.

Otworzyła kopertę.

Rebeka

Dziękuję Ci za cudowny wieczór - mam nadzieję, że pierwszy z wielu.

Zechciej przyjąć ten album z wyrazami wdzięczności za to, że tak ciepło odnosiłaś się do Karoliny.

Nie mogę się już doczekać, kiedy pokażę Ci Suffolk.

Szczerze oddany Max

Miał piękny charakter pisma.
Eleganckii wymowny.
Tak samo jak jego
głos.
128
Z Karoliną prawie nie rozmawiała.
To Michael się nią zajmował, nieona.
Ale prezent był wspaniały.
Dokładnie otym marzyła.
Tylko jaksię tegodomyślił?
Może Michaelmu podpowiedział?
"Dziękuję Ci zacusdowny wieczór - mam nadzieję, że pierwszy z wielu".
Czy to rzeczywiście ażtak straszna perspektywa?
Był bogaty, był czarujący i chciał zostać ich przyjacielem.
Michael go lubił.
Ona chciała go polubić.
Niebyło powodu, żeby go niełubić.
Mimo to.
Spojrzała na album.
Położyłago na stoliku przy sofie.
Doskonale siękomponował, ajednak miała wrażenie, że zupełnie do nich nie pasuje.
Byłniczymintruz, który burzy spokój domu.
Poszła po torebkę.
Sobota.
Piąta popołudniu.
Rebeka stała przy otwartym oknie sypialniw domu Maksa w Suffolk, czeszącmokre włosy.
Był piękny dzień: słońce mocno przypiekało,ale ponieważ od morzawiała lekka bryza,
na dworze panowałmiłychłód.
Patrzyła na wznoszące się opadające na falach żagłówki.
Max miałw porcie łódzi zaproponował,żebynazajutrz popływać - oczywiście, jeśli pogoda się
utrzyma.
Rebeka próbowałanadrabiać miną, lecz żeglarstwo nigdy jej nie pociągało.
Miała nadzieję, że nie okazała po sobie niechęci.
Przyjechali we czworo opólnocy,zatrzymując się po drodze na szybkąkolację.
Rano Max zabrał ich na przejażdżkę po okolicy.
Dojechali aż doAldeburgha, gdzie poszła z Michaelem na spacer kamienistą plażąi kupiła
[pocztówki, które zamierzała wysłać przyjaciołom i rodzicom.
Morskie powietrze było rześkie i ożywcze, ale ponieważ w dzieciństwie często jeździłado
Konwalii, tutejsze wybrzeże wydałojej się nagie iopustoszałe.
Po południu grali w debla na korcie za otaczającymi domdrzewami: onai Max
przeciwko Michaelowi i Karolinie.
Max grał szybko i taktycznie, cobardzo jej odpowiadało.
Tamci nie mieliz nimi szans, bo Karolina nie należała do sportsmenek, a Mike, który wołał
siłowego squasha, regularnie posyłał piłkę naaut.
- Dobra z nas para - powiedział Max, gdy skończyli ostatniego seta.
-Drzyjcie, oprzeciwnicy!
Usłyszała kroki.
Z łazienki wyszedł Mike owinięty ręcznikiem.
- No i jak?
- spytała.

-Lepiej się czujesz?

- Po tejponizującej klęsce?

-Przesadzasz - odrzekła z uśmiechem.

- Przesadzam?

W ostatnim secie nie oddaliście nam ani jednego gema.

Moja męskość legła w gruzach.

- Zrzucił ręczniki zaczął się ubierać.

:%'. - Marionetka

129.

Ogarnęła wzrokiem olbrzymie łoże z baldachimem, sofę, krzesła, antyczny sekretarzyk i miękki kremowy dywan.

Czuła się jak w ekskluzywnym hotelu, za który nie musieli płacić.

Suszarka dmuchała w nią chłodnym powietrzem i rozwiewała włosy.

- Ostatnim razem też tu spałeś?

- Tak.

- Jak w prawdziwym pałacu.

Cały czas boję się, że coś zbiję.

Włożył koszulę.

- Spokojnie, Max by cię za to nie powiesił.

- Myślisz?

- Absolutnie.

Gdybyś zawisła na stryczku, musiałby partnerować Karolinie.

Włosy wyschły.

Odłożyła grzebień.

- Ona mnie chyba nie lubi.

- Karolina?

Dlaczego tak mówisz?

- Bo widzę, jak się zachowuje.

Zapiął pasek.

- To znaczy?

- Kiedy jesteś mysz, wszystko jest w porządku.

Ale kiedy się zjawiasz, przestajesz dla niej istnieć.

Zmarszczyło czoło.

- Nieprawda.

- Prawda.

To z tobą chce rozmawiać.

To z twoich dowcipów się śmieje.

- Może twoje nie są śmieszne?

Natychmiast wpadła w popłoch.

- Tak powiedziała?

Ukląkł przy niej.

- Hej - powiedział - to tylko żart.

Ona cię lubi.

Gdyby było inaczej, czy proponowałaby, że porozmawia z Markhamem o twoich obrazach?

Może lepiej czuje się w towarzystwie mężczyzn.

Tak samo jak niektórzy mężczyźni lepiej czują się w towarzystwie kobiet.

- Może.

Pogłaskała ją po ramieniu.

- Chcesz wyjechać?

Chciała.

Ale to był też jego weekend.

- Nie - odrzekł z lekkim uśmiechem.

- Znasz mnie.

Lubię być pepkiem świata.

Cmoknął ją w policzek.

- Blamnie zawsze jesteś.

Chodźmy na dół.

- Ścisnął jej rękę.

-Będziedobrze, zobaczysz-szepnął.

Odwzajemniła się lekkim uściskiem i pomyślała, że Mikę ma rację.

130

Ale nie miał.

Nikt nie zrobił jej przykrości.

Nikt nie dał jej do zrozumienia, że jest niemiłe widziana.

Wprost przeciwnie, wieczór był bardzo miły i udany.

Lecz tylko pozornie.

Przyjechali kolejni goście: współniczka Karoliny Sara, jej mąż Tom, bankowiec, oraz ich przyjaciel Alan, ilustrator z agencji reklamowej.

Wszyscy dobijali czterdziestki.

Rebeka była zaskoczona, myśląc, że Karolina chce spędzić spokojny weekend sam na sam z Maksym, jednak natychmiast uświadomiła sobie, że skoro już przyjechała tu z Michałem, obecność Sary, Toma i Alana nie robi żadnej różnicy.

Przed kolacją zebrali się w salonie.

Kiedy zostali sobie przedstawieni, okazało się, że Tom pracuje w tym samym banku co jeden z przyjaciół jej brata.

Spytała, jak mu idzie.

Tom mówił, tymczasem ona ukradkiem obserwowała Karolinę i Sarę, które rozmawiały i śmiały się z zażyłością starych przyjaciółek.

Karolina czuła się lepiej w towarzystwie mężczyzn?

Zupełnie to nie wyglądało.

Przeszli do jadalni.

Na szczycie stołu zasiadł Max, a po jego lewej i prawej stronie Michael i Karolina.

Rebekę i Toma posadzono na drugim końcu stołu, naprzeciwko Sary.

Wielkie okna jadalni wychodziły na morze, które wraz z gasnącym niebem wkrótce poszarzało, a potem szerniało.

Rebeka sączyła wino, delikatne, białe i znakomicie pasujące do pstrąga.

Gładką powierzchnię wody smagał coraz silniejszy wiatr.

Chciała popatrzeć na rodzącą się burzę, ale Sara, kobieta agresywnie przyjacielska, cały czas próbowała wciągnąć ją do rozmowy.

Ktoś zapalił świecei na ścianach zatańczyły cienie.

Okazało się, że chodził Alanem do tego samego college'u. Słuchała go, zerkając na szczyt stołu.

Michael opowiadał Maksowi i Karolinie o koszmarnych wakacjach, które spędził w Grecji jako student.

Max uśmiechał się dobrodusznie.

Karolina głośno się śmiała i Rebeka ponownie stwierdziła, że jest w tym śmiechu coś znajomego.

Tylko co?

Nie wiedziała.

I nagle coś jej się przypomniało.

Dawno temu Robert przyprowadził do domu nową przyjaciółkę, cichą, miłą i ładną dziewczynę imieniem Kathleen.

Siedziała na sofie z nerwowym uśmiechem natwarzy i prawie się nie odzywała.

Rozmowa była lekka, dowcipna, pełna czułych, żartobliwych przytyków i co pewien czas Kathleen wybuchała śmiechem.

Śmiechem odrobinę głośniejszym, za serdecznym i Rebeka odniosła wrażenie, że dziewczyna próbuje w ten sposób zyskać ich sympatię i przychyłność.

Tak samo jak Karolina próbowała zyskać sympatię i przychyłność Michała.

Cośutknęło jej w gardle.

Ośc.

Zbyt mała, żeby ją zadławić, niemniej wystarczająco duża, by podrażnić gardło.

Przełknęłaślinę i sięgnęła po sztuce.

131.

Mijał czas.

Rozmawiano w parach.

Max z Michaeliem, Tom z Karoliną.

Alan opowiadał Rebecce o swoim nowym domu w Ealing.

Stał blisko domu jej przyjaciół, znała nawet tę ulicę.

- Jak wam się mieszka?

- spytała Sara.

- Wspaniale.

- Odkroiła kawałek kruchego, pikantnego sera.

- Gdzie to jest?

- wtrącił Alan.

- Przy Pelham Gardens.

- Drogo - zauważył.

- Mamy szczęście.

Płacimy bardzo niski czynsz.

- Baaardzo niski.

- powtórzyła z uśmiechem Sara.

Alan uniósł brew.

- Naprawdę?

- Wynajmujemy mieszkanie od Maksa, stąd niżka.

- Rebeka chce przez to powiedzieć, że w ogóle nie płacą czynszu - wyjaśniła Sara.

Zaskoczona Rebeka znieruchomiała.

- Kto ci to powiedział?

- Karolina.

- Bzdura.

Karolina się myli.

Sara przestała się uśmiechać.

- Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

- Nie szkodzi - odparła zmieszana Rebeka.

- Max jej powiedział i myślałam, że.

Poczuła silny ucisk w czole.

Po drugiej stronie stołu Michael rysował coś na kawałku papieru.

Nie widziała, co to jest, lecz po ruchach jego ręki domyśliła się, że szkicuje schemat organizacyjny jakiejś spółki.

Skończyli spojrzeć wyczekującą na Maksa, jakby szukał u niego aprobaty.

Max pokręcił głową, powiedział coś i postukał palcem w papier.

Michael sposepniał.

Max uśmiechnął się dobrodusznie, jakojciec dodający otuchy synowi.

Rozpromieniony Mike zaczął nanosić poprawki.

Wyczuwając, że Rebecce się przygląda, Max posłał jej uśmiech.

Jak zawsze ciepły.

Z trudem odpowiedziała tym samym.

Nie, to niemożliwe, to jakieś nieporozumienie.

Oczywiście, że płacą.

czynsz.

W takim razie, dlaczego powiedział Karolinie, że nie płacą?

Sięgnęła po kieliszek.

Alan opisywał swój dom.

Burza przybierała na sile.

Dopadła go na korytarzu.
- O co chodzi z tym czynszem?
Wyraźnie się zmieszał.
132
- Kto ci powiedział?
- Nieważne.
To prawda?
- Tak.
- Powiedział, że możemy tam mieszkać za darmo?
Kiedy?
- Kilka dni temu.
- Nie dowiary!
Niemiałeś prawa zgadzać się beze mnie!
Pozostali pili kawę w salonie.
Michael odciągnął ją od drzwi.
- Na nic się nie zgodziłem - szepnął.
- Zrezygnował z czynszu i zabronił bankowi przyjmować moje przelewy.
Powiedział, że jeśli tak bardzo chcemy płacić, możemy wesprzeć finansowo jakąś organizację charytatywną i zamierzam to zrobić.
Na East Endzie powstała nowa fundacja na rzecz dzieci upośledzonych umysłowo.
Zmienię zlecenie i.
- Równie dobrze możemy się wyprowadzić.
Zamilkł.
- Ale po co?
Mieszkanie mi się podoba.
Tobie też.
- Mike, nie możemy tam zostać, jeśli nie płacimy czynszu.
- Dlaczego?
- Pomyśl tylko, jakienakłada to na nas zobowiązania.
- Zobowiązania?
- Robił wrażenie szczerze zdumionego.
- Posłuchaj, to nie tak, źle go zrozumiałaś.
Z salonu wyszedł Max.
Rebeka ugryzła się w język.
- Mike już ci powiedział?
Kiwnęła głową.
- To bardzo hojny gest, ale.
- Nie- przerwał jej Michael.
- Ty jej powiedz.
Skonsternowana Rebeka nie wiedziała, o co chodzi.
- O czym wy mówicie?
- Tuż przed kolacją - wyjaśnił Max - do Karoliny zadzwonił Richard Markham.
Twoje obrazy bardzomu się spodobały i chce, żebyś wzięła udział w wystawie.
Momentalnie zapomniała o czynszu.
Zabrakło jej tchu.
Michael objął ją i szepnął:
- Gratulacje.
Nie mówiłem, żebyś nie traciła wiary w siebie?
Zalała ją fala euforii.

Z podniecenia zawirowало jej w głowie.

Roześmiała

się, zachichotała.

- Czy to znaczy, że jesteś zadowolona?

- spytał rozbawiony Max.

- Żartujesz?

- Prawie krzyknęła.

- To fantastycznie!

Niewiem, co powiedzieć.

Max podniósł rękę.

- Nie musisz nic mówić.

Twój talent w pełni zasługuje na nagrodę.

Wystawa będzie w październiku.

Wkrótce spotkasz się z Richardem, żeby omówić

133.

pro wizję i sprawy techniczne.

- Spojrzał na Michaela.

-Uprzedziłem go, że negocjacje będzie prowadził twój prawnik.

Wciąż chichotała, nie mogła przestać.

Max patrzył na nią z wyrozumiałością.

I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno żywiła do niego co najmniej dwuznaczne uczucia - bardzo się zawstydziała.

Pod wpływem nagłego impulsu objęła go za szyję.

Przytulił ją mocno.

Poczuła się bezpieczna.

Jak w objęciach ojca.

Zwolnił uścisk i uśmiechnął się łagodnie.

Oczy miał jasne i kojące, niczym światełka na bożonarodzeniowej choince.

Wskazał Michaela i spytał:

- Pożyczysz mi gonachwilę?

-Nie.

Jest mój.

- Powiedziało ostro i zaczepnie.

Mikę wytrzeszczył oczy.

Rebeka zarumieniła się.

Co ją napadło?

- Tylko żartowałam - dodała szybko.

-Obiecuję, że zwrócę w nienaruszonym stanie- zapewnił z uśmiechem Max.

Roześmiała się nerwowo.

- Byłabym ci wdzięczna.

-Może napijesz się kawy?

Zaraz wrócimy.

Zniknęli w korytarzu po drugiej stronie holu.

Patrzyła za nimi, próbując dławić zazdrość.

Nie lubiła dzielić się Michaeliem.

Z nikim.

Nawet na godzinę.

Wróciła do salonu.

Karolina zobaczyła, że jest sama i jej uśmiech lekko przygasł.

Kiedy Rebeka dziękowała jej za wstawienie u Markhama, cał czas zerkała na drzwi.

Pozostali też złożyli jej gratulacje.

Niespiesznie piła kawę, czując, że do nich niepasuje.

Próbowali wciągnąć ją do rozmowy, ale ponieważ znali się od wielu lat, nieuchronnie powracali do tematów, które były jej zupełnie obce.

Powoli zaczynała mieć tego dość.

Pół godziny później wymówiła się zmęczeniem i uciekła z salonu.

Korytarz, hol - dom był piękny, lecz obcy i nie chciała się spać sama.

Poszła poszukać Mikę'a.

Zastukała obcasami po parkiecie.

Z oddali dochodził odgłos zderzających się bil.

Znieruchomiała, nie chcąc zdradzić swej obecności.

Nie słyszała słów.

Mogła wychwycić jedynie ton głosu Michaela, niezdecydowany, ufny i zdradzający słabość ukrytą pod maską pewności siebie.

Słabość, którejnikomu nie okazywał.

Nikommu, zwyjątkiem jej.

Weszła do pokoju.

Stalipo przeciwnych stronach wielkiego stołu bilardowego, oświetlonego rzędemnisko zawieszonych lamp.

Uśmiechnęli się.

Wyczuła, że im przeszkadza.

- Kto wygrywa?

134

- Ja - odrzekł Mike.

Myślała, że Max też coś powie, lecz on milczał, nacierająckij kredą i obserwując jaz nieodgadnioną twarzą.

- Jestemzmęczona.

Idę spać.

- W takim razie kończymy - rzekł Max.

-Nie, nie, nie musicie.

Chciałam tylko powiedziećwam dobranoc.

- Odprowadzić cię?

- spytał Mike.

- Nie, nie trzeba.

-Zarazdo ciebie przyjdę.

Wracająckorytarzem do holu, usłyszała stłumionytrask bil.

Sypialnia tonęła wdusznym, gorącym mroku.

Szyby drżały pod naporem wiatru ideszczu.

Rebeka leżała pod cienkim prześcieradłem, wsłuchującsię w odgłosy burzy.

Choć była naga, skórę miała lepłą od potu.

Myślała o wystawie.

Przełom.

Szczęśliwy przełom, októrymod dawnamarzyła.

Szansa, żektos ją zauważy.

Że nareszcie będzie mogła zabłysnąć.

Powtarzała tosobie znadzieją, że ponownie ogarnie ją euforia.

Nic z tego.

Zwyciężyły uczucia posępne iprzygnębiające.

Przed oczami stanąjjej obraz rodziny.

Pośrodku rodzice, za nimi brat,a wokół nich dziadkowie, wujkowie,ciotki i kuzyni.

Wszyscy się do niejśmiechali.

Wszyscyją kochali.

Przyjmowała tę miłość jako coś normalnego ioczywistego,i w razie potrzebywykorzystywała ją, jak zimą wykorzystuje się ciepły, przytulny koc.

Ilekróć Michaelopowiadał jej o swoim dzieciństwie, próbowała wyobrazić sobie świat, w którymnikomu nanim nie zależało.

Próbowała, lecz niemogła.

Nie potrafiła.

Dzieciństwo już minęło i miał teraz ją.

Była jedyną osobą, która go kochała.

Na tę myśl czasamiogarniał ją smutek.

Ulegała mu, gdyż pomagałprzezyciężyć miłą świadomość, że Mike nie manikogoinnego,żenikogoinnego nie kocha tak bardzo jak ją.

Tak byłodo niedawna.

Błysnęło i przez ułamek sekundy sypialnia przypominała scenerię starego czarno-białego filmu.

Tego wieczoru w Chelsea wyświetlano Żądę, niemy klasyk z Erichem von Stroheimem. Przeczytała o tym w "Co jest grane" - zamierzała kupić bilety i zrobić Michaelowi niespodziankę.

Ale zaprosił ich Max.

Duchota otulała ją niczym grubym kocem.

Miała wrażenie, że dusi się w luksusowej złotej klatce.

To dobrze, że Mike zaprzyjaźnił się z Maksymem.

Że znalazł kogoś, komu może zaufać i się zwierzyć.

Kogo może traktować jak ojca, którego nigdy nie miał.

135.

Bardzo się z tego cieszyła.

Tym lepiej dla niej, bo nawet gdyby było inaczej, nie mogłaby zrobić nic, żeby temu zapobiec.

Boniby jak?

I kiedy?

Teraz, kiedy Max był dla niej taki dobry?

Kiedy miała wobec niego zobowiązania?

Kiedy musiała się uśmiechać i okazywać wdzięczność za to, że wtargnął w ich życie?

Myśli kłębiły się w głowie, niczym czarne pająki snujące sieć gniewu i podejrzeń.

Czuła do siebie tak wielką odrazę, że kiedy przyszedł Michael, udawała, że śpi.

Do rana burza minęła, pozostawiając po sobie szare, udreżone niebo.

Rebeka otworzyła okno, wpuszczając do sypialni chłodne, ożywcze powietrze.

Michael wykapał się pierwszy i kiedy wyszła z łazienki, był już ubrany.

Usiadł na łóżku i zaczęła wycierać włosy ręcznikiem.

- Idź - powiedziała.

- Zaraz przyjdę.

- Poradzisz sobie?

- Oczywiście.

Nie musisz mnie trzymać za rękę.

- Narazie - rzucił z uśmiechem i zamknął za sobą drzwi.

Dostosowując się do nieoficjalnego charakteru ich weekendowego spotkania, włożyła dzinsy i bluzkę, po czym zeszła do jadalni.

Karolina i Alan czytali niedzielne gazety przy kawie i grzankach.

Pozostałych nie było.

- Michael poszedł z Maksem - wyjaśniła Karolina.

- Dokąd?

- Do hotelu na plaży.

Na pełne angielskie śniadanie.

Co za afront.

Rebeka poczuła się urażona.

- Nie wiedziałam, że mieli jakieś plany.

- Max wpadł na to pod wpływem chwili.

- Karolina wskazała stół.

- Jedzenie im nie odpowiadało.

Ale nam odpowiada.

Rano jemy mało, ty chyba też.

Afront czyni afront, uraza pozostała.

Ciekawe, jak odebrał to Karolina.

Jakby czytając w jej myślach, Karolina roześmiała się oschle.

- A niech sobie idą.

Niech blokują tętnice smażonym tłuszczem.

Usiądziesz?

Rebeka nie była głodna, ale do reszty straciła apetyt.

Po krótkiej wymianie uprzejmości pożyczyła od nich kilka gazet, wyszła do salonu i zaczęła przeglądać je, pijąc kawę.

Przeczytała artykuł o słubie jakiejś gwiazdy filmowej.

Oni mieli pobrać się dopiero za rok, w Winchesterze, i zaraz potem wyjechać na Fidżi - jeśli tylko wszystko pójdzie zgodnie

z planem.
Listy gości jeszcze nie ułożyli.
Zastanawiała się, czy zaproszą
Maksa.
[Ktoś wszedł do salonu.
Karolina.
; - Nie przeszkadzam?
-Nie.
- Rebeka wstała.
-Chcesz gazety?
Karolinapokręciła głową.
Jej bladoniebieski sweterek pasował kolorem do oczu, przyjaznych, lecz niespokojnych.
- Przyszłam sprawdzić, czy nie czujesz się samotna.
-Nie.
- Zawahała się.
-A ty?
- Trochę.
-Przykro mi.
- To nietwoja wina.
Wszystko przez Maksa i jego nienasycony żołądek.
- Miałam na myśli ten weekend.
Nie chcieliśmy wam przeszkadzać.
- Nie przeszkadzacie.
- Zmarszczyła brwi.
-Czy to przeze mnie odnosisz takie wrażenie?
- Ależnie, poprostu.
- Przepraszam.
Naprawdę cieszę się, że przyjechaliście.
- Żałuję tylko, że nie miałyśmy okazji porozmawiać.
- Nie szkodzi, przecież rozmawiamy.
-Słusznie.
Karolina trochę się odprężyła.
Odmłodziła jej twarz.
Rebeka doszła do wniosku, że w innych okolicznościach mogłaby jęszczyerze polubić.
- Tak czy inaczej, poznałam waszych przyjaciół.
-Podobają ci się?
- Bardzo.
-Max to przewidział.
Przewidział?
Rebeka była zaskoczona, lecz zachowała kamienną twarz.
- Kiedy go poznałaś?
-Rok temu, u wspólnych znajomych.
Widywaliśmy się bardzo rzadko i zupełnie przypadkowo, aż tu nagle, jakieś dwa tygodnie temu, zadzwonił i zaprosił mnie na kolację.
- Pewnie było ci miło.
Karolinazarumieniła się leciutko.
- Bardzo.
-Kiedy Mike zaprosił mnie na pierwszą randkę, wpadłam w zachwyty.
Myślałam już, że nigdy tego nie zrobi.
Ale warto było czekać.

- Gdyby tylko nie ta panika, prawda?
Co na siebie włożyć, jak się uczesać.
Mężczyźni.
Takim to dobrze.
Ubiorą się byle jak, narzucają marynarkę, i już.
A kobiety muszą się stroić.

\

- W dodatku, jeśli mężczyzna jest choć trochę podobny do Mike'a, niema żadnej gwarancji, że raczy to zauważyć.

Roześmiały się.

Obie.

- To miłe, że tak się zaprzyjaźnili.

Rebeka kiwnęła głową, zastanawiając się, czy Karolina nie jest obłudna.

- Przynajmniej Max jest zadowolony.

Myślę, że widzi w Mike'u młodszego siebie.

Kogoś, kogo może natchnąć swoją bezgraniczną mądrością.

- Uśmiechnęła się.

- Jeśli chodzi o ego, nie mamy do mężczyzny startu.

Rebeka milczała.

Karolina spojrzała na zegarek.

- Sara chce iść na spacer.

Pójdiesz z nami?

Rebecce przypomniały się wieczorne rozmowy i tematy, na które nie miała nic do powiedzenia.

- Chyba zaczekam na Mike'a.

- Na pewno?

Serdecznie cię zapraszamy.

- Dziękuję, ale wolałabym zostać.

Wróciła do lektury.

Potem zadzwoniła do rodziców, żeby powiedzieć im o wystawie.

Byli wniebowzięci.

Matka omal sienie popłakała.

Rebeka z trudem udała, że onateż jest zachwycona.

W domu ucichło.

Powoli szła korytarzami, wsłuchując się w stukot obcasów i czując się jak mała rybka w brzuchu wieloryba.

Pokój do gryw bilard.

Wykładane dębową boazerią ściany, na ścianach reprodukcje obrazów Hogartha.

Jak staromodny klub, gdzie dżentelmeni mogą spokojnie wypalić cygaro i podzielić się swoimi sekretami.

Bile były przygotowane do gry.

Potoczyła białą w stronę ustawionych w trójkąt czerwonych, lecz chybiła.

Biała uderzyła w obitą filcem krawędź, nie burząc panującego na stole porządku.

Okno z widokiem na trawnik ciągnący się aż do morskiego klifu.

W stronę domu szli Michael i Max.

Stała za kotarą.

Szli powoli, krokiem tak równym i zgranym, że postronny obserwator pomyślałby, iż znają się od wielu lat.

Michael coś mówił.

Twarz miał niespokojną jak wówczas, kiedy pytał o radę.

Twarz, którą dotychczas pokazywał tylko jej.

Max odpowiedział.

Mike wyraźnie się odprężył.

Roześmiał się.

Max muzawtórował.

Zalałają fala zazdrości.

Czarne nasienie gniewu wypuściło korzonki, zaczęło pęcznieć i rosnąć.

Tamci byli coraz bliżej.

Rebeka stała za kotarą, patrząc w niebo.

Rozpogadzało się.

Zza chmur wyrzało słońce i morzerozbłysło milionami świetlistych refleksów.

Piękny widok.

Nie zabrakłoby jej weekendów, żeby przenieść go na płótno, tego była pewna.

Ktoś ją wołał.

Wróciła do salonu z uśmiechem maskującym wrogość.

138

3

Agencja literacka Bakera i Connolly'ego mieściła się na czwartym piętrze dużej szarejkamienicy naprzeciwko katedry świętego Pawła.

Zatrudniała trzech agentów, dwie asystentki, sekretarkę i recepcjonistkę.

Jedną asystentek była Emilia Fielding.

Siedziała w swoim małym, narożnym gabinecie, przeglądając włoskikontrakt Susie Sandelson.

Susie była ich nową klientką.

Reprezentowała ją Kevin Ashford, najmłodszy stażem agent, dla którego Emilia najczęściej pracowała.

Kevin zajmował się sprzedażą jej pierwszej książki, powieści pod tytułem Nowa Bridget Jones. Bridget była "nowa", czyli nowoczesna: nosiła kolczyk w języku, z entuzjazmem propagowała lekkie narkotyki i zaliczała faceta za facetem.

Przed miesiącem Kevin podpisał lukratywną umowę na rynek brytyjski i chociaż Amerykanie wciąż okazywali dużą rezerwę, prawa autorskie na Europę szły jak ciepłe bułeczki.

W głębi serca Emilia uważała, że powieść jest mierna, lecz bardzo lubiła Susie i cieszyła się jej sukcesu.

W gabinecie było gorąco.

Nie mieli klimatyzacji i nad biurkiem wirowała wentylator.

Przez otwarte okno widziała grupę japońskich turystów fotografujących się przed katedrą.

Kevin powiedział, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce przeprowadzą się do nowej siedziby na West Endzie.

Miała nadzieję, że nie.

Brakowało jej widoku.

Spojrzała na zegarek. Za kwadrans pierwsza.

Przed południem dzwonił Michael.

Był wokolicy - kolejny klient, kolejne spotkanie - i zaprosił ją na lunch.

Miał wpaść kilka minut po dwunastej i wszystko wskazywało na to, że już nie przyjdzie.

Była rozczarowana, lecz podeszła do tego ze zrozumieniem: wiedziała, że tego rodzaju spotkania mogą się przedłużyć.

W skupieniu przeglądała umowę.

Stawki za prawa do wydania w miękkiej oprawie były bardzo zaniżone.

Zajrzała do umowy wstępnej i naniósł odpowiednie poprawki.

Pomyślała o powieści, którą napisała przed dwoma laty.

Rozesłała ją do wszystkich możliwych agencji i wydawnictw, ale nikt jej nie chciał.

Wspomnienia.

Emilia posmutniała.

Chociaż z przyjemnością pomagała Susie, nie mogła jej nie zazdrościć.

Ktoś zapukał do drzwi.

Podniosła głowę i natychmiast odzyskała humor.

W progu stał Michael z dyplomatką w ręku i marynarką na ramieniu.

-Udało się!

Gotowa?

- Zdązysz?

-Mam telefon.

W razie czego mogą domnie zadzwonić.

-Wyjął z kieszeni komórkę udając przerażonego, wytrzeszczył oczy.

- Chryste!

Zapomniałem włączyć!

139.

- Przestań, Mike!

-Nic się nie martw.

Zresztą trochę się u nas uspokoiło.

Kupmy sobie pokanapce i chodźmy do Temple Gardens.

Poszliw kierunku Ludgate Circus i skręcili w Fleet Street, wstępując po drodze do sklepu.

- Kup trochę ciasta - powiedział.

- Czekoladowego.

Apetycznie wygląda.

- Żebyś mógł podskubywać je ode mnie, jak od Rebeki?

-Może.

Uśmiechnęła się i kupiła.

Z Temple Gardens mieli widok na Tamizę.

Na trawie rojono się od młodych adwokatów, prawników i biznesmenów, którzy pożerając drogie kanapki, narzekali na swoich szefów i nawał pracy.

Było gorąco i bezwietrznie - Michael i Emilia usiedli w cieniu drzewa.

Dostrzegła pot na jego czole.

- Nie zazdrozczę ci tego garnituru.

-W metrze jest koszmarnie.

Jak w saunie na kółkach.

- Otworzył puszkę coli bez cukru i jednym zamachem wypił połowę.

-Gorzej może być tylko w Nowym Jorku.

Odgryzła kawałek kanapki i zlizwała z palców pikantny sos.

Nie zdawała sobie sprawy, że jest aż tak głodna.

Obserwował ją, udając, że nie ma ochoty na jedzenie.

Poczuła się zakłopotana jego troskliwością.

- W Nowym Jorku?

-Chcą tam kogoś wysłać.

Jeff Speakman, jeden z naszych wspólników, pytał mnie w zeszłym tygodniu, czy byłby zainteresowany.

- No i?

Byłbyś?

- Z trudem panowała nad głosem.

- Powiedziałem, że tak.

- Otarł usta.

-Ale nic z tego.

Okazało się, że szukają kogoś o dłuższym stażu.

Cały Jeff.

Zawsze coś przekreśli.

Nie dała sobie poznać, jak bardzo jej ulżyło.

- Rozczarowany?

Pokręcił głową.

- Nie chcę wyjeżdżać z Londynu.

Zwłaszcza, że Rebeka ma szansę na zrobienie kariery.

- Ty też.

-Może.

- Jak było w Suffolk?

-Mnie się podobało.

Rebecce chyba też, ale nie jestem pewien.

Dużoczasu spędzałem zMaksem i pewnie czuła się zaniedbana.

Od rzeki powiał lekki, chłodnywiatr.

Zaszumiały liście.

Emilia oparła się o pień.

- Bardzo go lubisz, prawda?

- Jeśli nawet, to co w tym złego?

- spytał zaczepnie.

140

- Nie zamierzałam cię krytykować.

Cieszę się.

Naprawdę.

Rebeka też.

Natychmiast się rozchmurzył.

- Tak powiedziała?

- Nie rozmawialiśmy o tym, ale myślę, że tak.

Jeśli chcesz, mogę ją wy badać.

- Dzięki.

- Skończył kanapkę i zwinął papier w kulkę.

- Kiedy się widzicie?

- Jutro.

Idziemy na lunch.

Z Lomą.

Aż się skrzywił.

- Loma nie jest taka zła - dodała bez przekonania Emilia.

- Nie, jest cudowna, wspomniała.

Uwielbiam ją.

Uwielbiam wszystkie przyjaciółki mojej żony.

- Czule pogłaskał ją po ramieniu.

- Wszystkie, z wyjątkiem jednej.

Przypominała jej się chwila, gdy ujrzała go pierwszy raz.

Na przyjęciu, podczas którego poznał Rebeke.

Stała i patrzyła, jak rozmawiają, żalując, że nie podeszła do niego pierwsza.

Że nie ma w sobie choćby odrobiny jej wiary w siebie.

Tamtego dnia dużo straciła.

Ale i zyskała, bo okazało się, że Mikę jest nieoczekiwanym dobrym przyjacielem.

Że staje się dla niej coraz ważniejszy.

- Cieszę się, że nie wyjeżdżasz.

- Ja też.

Milczeli bez skrępowania jak ludzie, którzy dobrze się ze sobą czują.

Emilia powiodła wzrokiem po ogrodzie.

W pobliżu siedziała młodopara.

Obejmowali się, a on szeptał jej coś do ucha.

Kobieta uśmiechnęła się promiennie i jej nijaka twarz momentalnie wypiękniała.

Miłość.

I nagle pustka w sercu.

Jakby czytając w jej myślach, Michał popatrzył na nią ze współczuciem.

Posłała mu słaby uśmiech.

- Musisz już iść?

- Nie.

- Ja też nie.

-To dobrze.
- Podniósł gałązkę i zaczął grzebać nią w trawie.
- Podzielisz się zemną, jeśli znajdziesz skarb?
-Jasne.
Pień drzewa był chłodny.
Pragnęła by przesiedzieć tu cały dzień.
Z nim.
I tylko z nim.
Nie musieliby nawet rozmawiać.
Mogliby po prostu być.
- Dzwoniłaś do niego?
Marzenia pierzchły.
Wolałaby, żeby o to nie zapytał.
Milczała, lecz on wyraźnie czekał na odpowiedź.
Pokręciła głową.
- Mówiłaś, że zadzwonisz.
-Wiem.
141.

- To dlaczego nie zadzwoniłaś?

-A jak myślisz?

- To twój ojciec.

Zawsze będzie twoim ojcem.

Bez względu na to, co się stało.

Ścisnęło ją w gardle.

Przełknęła ślinę.

- To też wiem.

-Zadwoń.

Nie możesz tego odkładać.

- Nie?

Nie odpowiedział.

Prostu na nią patrzył.

Wiedziała, że ma rację, lecz bardzo się bała, a strach wywołał agresję.

- Dobry jesteś- warknęła.

- A kiedy ty dzwoniłaś do swego biologicznego ojca?

-Natychmiasttych słów pożałowała.

Zaczerwieniła się, jakby jąspoliczkował.

- Celnie.

Bardzo celnie.

- Przepraszam.

To było głupie.

Wziął głęboki oddech.

- Nie.

Masz rację.

Mówię jak hipokryta.

- Nie chciałam.

-Ale jest między nami duża różnica.

Mójojciec nie odegrał w moimżyciu żadnej roli.

Jest po prostu kimś, kto wygląda jak ja.

Twójojciec byłdlaciebie wszystkim.

Całym światem.

Nie warto o to zawalczyć?

Ucisk w gardle powrócił.

Był jeszcze silniejszy.

- Nie umiem - szepnęła.

- Kiedy walczę, jest jeszcze gorzej.

- Bo dotąd walczyłaś sama.

Teraz niemusisz.

Masz mnie.

Pomogę.

- Nie.

-Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

- Dlaczego?

- powtórzył.

- Bo się boję.

-Myślisz, że o tym nie wiem?

Do oczu napłynęły jej łzy.

Szybkoje otarła.

- Nie chciałem cię zdenerwować - dodał łagodnie.

- Chcę tylko, żebyś tym pomyślała.

Pamiętaj, że ci pomogę.

- Wiem - odrzekła ze słabym uśmiechem.

Ponownie zamilkli.

Bez skrepowania, jak przedtem.

On grzebał gałązką w trawie.

Ona mu się przypatrywała.

Była przy nim taka bezpieczna.

Niemiała pojęcia, co by bez niego zrobiła.

Oby tylko Rebeka pozwoliła migo zatrzymać.

Spojrzała w niebo.

Było czyste i błękitne.

Lecz w jej głowie zbierały się chmury.

Powiedział coś zabawnego.

Uśmiechnęła się, odpędzając obawy.

142

Dwadzieścia po ósmej.

Rebeka miała za sobą ciężki dzień.

W księgarni ruch.

Musiała kogoś zastąpić, a kiedy już wracała do domu, zepsuł się elektrowóz i przesiadła godzinę w dusznym, zatłoczonym wagonie metra.

Zamykała za sobą drzwi zmęczona i poirytowana.

Z salonu dochodziła muzyka.

- Mike?

Odpowiedział z sypialni.

Nalała sobie szklankę wody i wyszła na balkon.

Było parno i bezwietrznie.

W ogrodziedwaj mali chłopcy grali w piłkę.

Zazdrościła im energii.

Dołączył do niej Michael.

Miał na sobie jej ulubiony niebieski podkoszulek.

Od razu poczuła się lepiej.

- Co za niespodzianka - powiedział.

- Myślałem, że umówiłaś się z Jenny.

- Nie wypaliło.

Musiała zostać w pracy.

- I dlatego jesteś taka rozdrażniona?

- Nie.

To zasługa londyńskiego metra.

Objął ją z uśmiechem i przytulił.

Zaczął mu opisywać swój powrót do domu.

Mali piłkarze wesoło pokrzykiwali.

- Robert dzwonił.

- Po co?

- Musiał mieć jakiś powód?

- Gdyby chciał pogadać, na pewno byś mi o tym nie powiedziała.

Fakt.

- W niedzielę robi grilla.

-I chcesz, żebyśmy pojechali?
Kiwnęła głową, przygotowując się nastryprotest.
- Dobrze.
Ukryła zaskoczenie.
- Wpadniemy tylko na chwilę.
Nie musimy zostawać na cały dzień.
- Jeśli chcesz, możemy zostać.
Najważniejsze, żebyś się dobrze bawiła.
Była wzruszona.
- Dzięki.
Pogłaskał ją po głowie.
- Ale to jeszcze tyle dni.
Ten wieczór mamy tylko dla siebie.
Lekko się zmieszał.
- Widzisz, rzecz w tym, że
umówiłem się z Maksymem.
Dobry nastrój przysnął.
- Kiedy?
-Po południu.
Zadzwoił do mnie do pracy.
- Aha.
143.

- Masz coś przeciwko temu?

-Nie.

- Miałaś spotkać się Jenny, więc.

-Wiem.

- W takim razie skąd ta mina?

-Jaka mina?

Uniósł brew.

- Nie,tylko.

- Szukała odpowiednich słów.

- Tylko co?

-Spędziliśmy u niego weekend.

- I?

-Nie musimy się z nim tak często widywać.

- Przecież się nie widzujemy.

-Ale takimam uczucie.

- Za późno.

Nie zdążyła ugryźć się w język.

Nachmurzył czoło.

- Ja nie.

Zresztą wcale nie musisić.

To ja jestem umówiony, nie ty.

- Aha,więc nie jestem zaproszona?

Czarujące.

- Nie to miałem na myśli.

Po prostu założyłem, że cię nie będzie.

Byłaśumówiona.

- Ale ponieważ nic z tego nie wyszło, czeka mnie upojnie nudny i samotny wieczór.

- Zrobiła krótką pauzę.

Chyba, że pójdziesz tobą.

Milczał odrobinę za długo.

- Jasne, oczywiście.

Jeśli chcesz.

Nie miała pojęcia, dlaczego z tym wyskoczyła.

Ostatniarzędzą, jakiejpragnęła,była pogawędka onicznym, przytulny uśmiech i wymuszone okazywanie wdzięczności.

Nie, odpada.

Wszystko, byle nie to.

Zwłaszcza, że Mikę woli iść sam.

Spojrzała nakamienną podłogę.

Balkon był taki mały.

Gdyby zechcieliustawić tu rożen, nie starczyłoby miejsca.

Nie, żeby miało to jakieśznaczenie.

Max na pewno pozwoliłby im skorzystać z ogrodu.

Wystarczyłoby poprosić.

Podniosła głowę.

Michael patrzył na nią wyczekująco.

- No więc?

- spytał.

- Nie.

Nie mam ochoty.

- Jak chcesz.

Nie okazał po sobie ulgi, ale czuła, że mu ulżyło.

- Mógłbyś zostać.

Spojrzał na zegarek.

- Za późno.

Niezdążę odwołać.

- No to biegnij.

I cudownie się baw - dorzuciła jadownicie.

- Dlaczego tak jesteś?

144

Bo jesteś mój.

Tylko mój.

- To znaczy jaka?

Westchnął.

- Idziemy coś wypić, to wszystko.

- I pogadać.

- Też.

- O mnie?

- Nie.

- To o czym?

- Nie wiem.

- Musisz wiedzieć.

Będziecie rozmawiać pogodnie?

- Nie, to nie tak - odparł nagle.

- My nierozmawiamy.

A przynajmniej nie tak, jak myślisz.

Kiedy się spotykamy, mówię głównie ja.

Nie chcę, ale zawsze tak jest.

Ja mówię, on słucha.

Max umie słuchać.

To ją zabolalo.

- A Janie?

- Tego nie powiedziałem.

- Alenie umiesz rozmawiać ze mną, tak jak z nim.

- Nie o to chodzi.

Dobrze wiesz, że umiem.

Ale z nim jest inaczej.

Tak, jakbyś rozmawiała z matką.

Ty mówisz, ona słucha.

- Uśmiechnął się łagodnie.

- To nic wielkiego.

Nie chciała robić awantury.

Nie z powodu dwóch godzin w pubie.

Miał rację.

To nic wielkiego.

Na razie.

- Posłuchaj.

Max ma komórkę.

Jeśli .

chcesz, zadzwonię i powiem, że nie przyjdę.

Że coś mi wypadło.

Napewno zrozumie.

Przez chwilę krciło ją, żeby powiedzieć "Zadzwoń".

Nie, nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

- Nie.

Idź.

- Niedługo wrócę.

Dobrze?

- Dobrze.

Wyszedł.

Ona została na balkonie.

Pochłodziło.

Chłopcy skończyli grać nad ogrodami zapadła kojąca cisza.

Centrum Londynu - zdumiewające.

Urocze miejsce.

Mielisz szczęście.

Nawet jeśli ostatnio coraz częściej czuła się jak w klatce.

Bzdura.

Jak mogła tak myśleć?

Maksa i Michaela łączyło coś dobrego.

Kochała go i pragnęła jego szczęścia.

Nie chciała zachowywać się jak rozpuszczone dziecko, które musi pożyczyć komuś ulubioną zabawkę.

Próbowała wmówić sobie, że jest niemądra.

Lecz nie potrafiła.

ró Marionetka

145.

Dziewiąta.

Michael był pół godziny spóźniony i biegł Old Brompton Road.

Pub mieścił się w bocznej uliczce, naprzeciwko rzędu przylegających do siebie domów.

Max siedział przy drewnianym stole na chodniku, czytając "Evening Standard" i sącąc szkocką.

W popielniczce dymiła cygaretką.

Nadrugim końcutołu stał kufel jasnego piwa.

Michael usiadł.

- To dla mnie?

Max powitał go uśmiechem.

- Tak.

Zlany potem Mikę pociągnął kilkadziesiąt łyków.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nie szkodzi.

Rebeka uprzedziła mnie, że coś cię zatrzymało.

- Rozmawiałaś z nią?

- Przed chwilą.

- Co powiedziała?

- Że się spóźnisz, ale że już wyszedłeś.

- Aha.

- Z ulgą wypił kolejny haust piwa.

- Tego mi brakowało.

Dzięki.

Max przypatrywał mu się ciekawie.

- Myślałeś, że powie coś jeszcze?

- Nie.

Dlaczego?

Max wydmuchał dym.

- Jesteś trochę nieswój.

Coś się stało?

- Nie.

- Na pewno?

- Oczywiście.

- Rebeka miała jakieś plany.

- Nie wypaliły.

Max wypił łyk szkockiej.

- Mimo tonie dała się zaprosić.

- Źle się poczuła.

- Lepsza taka wymówka niż żadna.

Max pogrążył się w zadumie.

Że też musiał zadzwonić.

Siedzący przy

śasiadnim stoliku mężczyźni przechwalali się ilością alkoholu wypitego na jakiejś imprezie.

- Nie chciała cię puścić?

- Ależ skąd.

Nalegała, żebym przyszedł.

Nie, żebym nie chciał.

- Chciałeś przyjść, chociaż zachorowała?

Boże, co za niewypał.

- Nie, nie zachorowała.

Boli ją głowa.

- Aha.

Teraz już rozumiem.

- Co?

-Dlaczego była taka spięta.

146

- Spięta?

Mówiła coś?

- Tylkoto, co ci powiedziałem.

Czyżbyś mi nie wierzył?

- Oczywiście, że ci wierzę.

- Że też musiałś tym wyskoczyć.

Przyglądał mu się niespokojnie, sprawdzając, czy niczego nie podejrzewa.

Ale nie, Max patrzył na niego ciepło i dobrotliwie.

Ruchem głowy wskazał tych przy sąsiednim stoliku.

- To zadziwiające - szepnął.

- Wypili po dwa kufle piwa i po kieliszkuszampana dla dzieci, a mówią tak, jakby wyłopali morze wody i mogli obdzielić kacem pięć tysięcy chłopca.

Michael parsknąłśmiechem.

Piwo poszło mu do głowy i trochę się odprężył.

Kufel był prawie pusty.

Szklanka Makska też.

- Wypijesz jeszcze jedną?

-Za chwilę.

- Wydmuchał dym, puścił kółko i uśmiechnął się z zadowoleniem.

-To był udany weekend, prawda?

- Fantastyczny.

-Musimy to powtórzyć.

Tym razemtylko we czworo.

- Chętnie - odrzekł Mike, nie wiedząc, co powinienato Rebeka.

-Karolinabardzo ją polubiła.

- Rebeke?

A Rebeka ją.

-Tego też nie wiedział, ale nie miał zamiarupsuć dobrego wrażenia.

- Ciągłe myśli o tej wystawie, nie może dojść dosiebie.

Mówi, żepełniają się jej marzenia.

- W pełni na to zasługuje.

Cieszę się, że mogłem pomóc.

Bardzoją

lubię.

- Ona ciebie też.

- Dopił resztkę piwa.

- Chociaż myśli, że jej zagrażam.

(Piwo momentalnie zgorzkniało i spłynęłodo żołądka niczymgęsta breja.

- Dlaczego tam mówisz?

-Bo to prawda.

- Nie.

Ona cię lubi.

Max nie przestawał się uśmiechać.
Oczy miał przyjazne, lecz przebiegłe.
Oczy, których nie sposób oszukać.
Michael czuł, że serce wali mu jak młotem.

- Nie jestem głupi, Mike.
- Nie, ale tym razem się mylisz.
- Nie zrozum mnie źle.

Wiem, co ona czuje.

Poznaliśmy się ledwie przed dwoma tygodniami, a zachowujemy się tak, jakby łączyła nas wieloletnia przyjaźń.

Nic dziwnego, że patrzy na mnie podejrzliwie.

- Nieprawda.
- Nie chciałem, żeby doszło między nami do niesnasek.
- I nie doszło.

Mówiłem ci, ona cię lubi.

A ja ci mówiłem, że nie jestem głupi.

147.

Sondował go wzrokiem.

Ciemnymi oczami, które przyciągały jak magnes.

Potrzask.

Utkwił w potrzasku i nagle ogarnęła gozłość, że musi miotać się między dwojgiem ludzi, którym powinno na nim zależeć.

Dlatego niemyśląc, wypalił:

- Posłuchaj: nie masz racji.

Niby kto mógłby jej zagrozić?

Ty? Ty jejnie zagrozsiz.

Nigdy.

Chryste, przeciez ona ma zostac moja zona!

Nikt niebedzie dla mnie wazniejszy od niej, nawet ty.

Myslales, ze moze byc inaczej?

To czysteszaleństwo!

Serce walilo mu jak mlotem.

Powoli wypuscil powietrze.

I dopiero wtedy zdal sobie sprawe, co powiedzial.

Max nie przestawal sie usmiechac.

I wciaz patrzyl na niego swymi dobrymi, nieruchomymi oczami.

Mike przelkнал slinę.

- Przepraszam.

Nie chcialem tak tego powiedziec.

- Otarl ustai spojrzal na stol, na krople rozlanego piwa.

Rozmazal je palcem, zalujac, zeniezostal w domu.

- Nie musiszmi nic tłumaczyc - odrzekl Max.

- Rozumiem.

- Bardzo mi natobie zalezy.

Chce, ze bys o tym wiedzial.

- Ale nie tak bardzo jak na Rebecę.

-To bylo glupie.

Nie chcialem.

- Nie, to nie bylo glupie -zaprzeczyl lagodnie Max.

- Takpowinnobyć.

Ona jest twoja przyszloscia, a ja.

- Westchnal.

-Ja jestem tylko epizodem.

Jaktwoi zastepczy rodzice.

Zaboloło.

Pewnie tego nie chcial, ale zaboloło.

Tak samo jak jego slowamusialy zabolec Maksa.

Poetyckasprawiedliwosc.

- Nieprawda.

- Nie odrywajac wzroku od stołu, patrzyl na swój paleckreślacy figury w zlocistym plynie.

-Mówilem ci, zekiedy mnieprzygarnęli, nie miałemżadnych złudzeń, prawda?

Ze dobrze wiedziałem, o co w tymwszystkimchodzi.

- Mówileś.

-Kłamałem.

Miałem złudzenia.

I marzenia.

Wielkie, świetliste marzenia.
Byłem pewien, że tobędzie to.
Rodzina.
Moje miejsce.
Ludzie, którymnamnie zależy.
Ale sięmyliłem.
Kiedy na mnie patrzyli, nie widzieli syna,tylko deklarację socjalną.
Nikt nie traktował mnie tak jak ty.
Z tobą czuję się jak zojcem.
Rebekanie rozumie, ile to dla mnie znaczy.
Nie może i nie ma w tym nic dziwnego.
Ona zawsze miała rodzinę.
Ojciec, matka i brat to dla niej coś oczywistego.
Myślał, że Maxcoś powie.
Ale onniepowiedział nic.
Wyczekująco milczał.
- Próbuje ciwytlumaczyć, że naszaprzyjaźń nie jest epizodem.
Przynajmniej dla mnie.
Dla mnie znaczy dużo więcej i nie chcę jej stracić.
148
- I nie stracisz- odrzekł Max.
- Obiecuję.
Jesteś dla mnie jak syn,a ktochciałby stracić syna.
Michaelowi przypomniał siępewien wieczór w londyńskim pubie.
Wieczór zczłowiekiem,który wyglądał identycznie jak on.
Który nie poczułbynic, gdyby jego własny syn umarł na zawał z kuflem w ręku.
Spojrzał Maksowi w oczy, dostrzegłw nich bogactwo uczuć i odmówiłw duchu
dziękczynną modlitwę.
- Nie martw się,Mikę.
Wszystko będzie dobrze.
To też ci obiecuję.
-Max spoważniał.
Lecztylko na chwilę.
Odprężył się, uśmiechnął i powiedział: -No, ale dość tego.
O ile dobrze pamiętam, chciałeś postawić miwhisky.
Podwójną, jeśli łaska,i to biegiem.
Michael roześmiał się i wstał.
- Jeszcze jedno -dodał Max.
-Tak?
- Nie mówRebecce, że o tym rozmawialiśmy.
Poczuj się wobec mniezręcznie, a bardzo bym tego nie chciał.
Niechajto będzie nasza tajemnica.
Zgoda?
- Zgoda.
-Świetnie.
Mikę ruszył do baru.
Patrząc za nim, Max powoli przestałsię uśmiechać.
Oczy miałsmutnei zamyślone.
Zaciągnął się dymem.
Żar sięgał ustnika.

Maxzgasił cygaretkę wyjął kolejną,

4

Środa w południe.

Rebekasiedziała w zatłoczonym bistro przy High Holbom, jedząc sałatkę isłuchając, jak jej szkolna przyjaciółka Loma narzeka na swego nowego szefa.

Trzecie miejsceprzy stole wciąż było puste.

Wypiła łyk wody.

na- Ciekawe, co się z nią stało.

- Mam nadzieję, że zabłądziła.

- Loma wywróciła oczami.

Drobnai szczupła, miała rude włosy, szelmowską twarz i okropne poczucie humoru.

- Po cholere ją zaprosiłaś?

- Jest moją przyjaciółką.

- Bógwie, dlaczego.

Toż to życiowa kaleka.

Dlaczego nie jeździ na wózku?

Powinnaśbyłaż nią zerwać w przedszkolu.

Wiem, że jesteś masochistką, ale następnym razem wolałabym spotkać się bez niej.

- Przełknęła kęs kurczaka

149.

w warzywach i rozejrzała się po sali.

- Co za nora.

Ale lepsze to niż knajpa, doktoraj zaciągnął mnie wczoraj Phil.

Płacisz pięć funciaków i jesz, ile chcesz:

curry z psiego truchła i salmonella za friko.

- Roześmiała się ochryple.

Mrużąc oczy wsłóncu, Rebeka patrzyła na przechodniów za oknem.

Aniśladu Emilii.

- Ta wystawa - wymlaskała Loma.

- Dla mnie bomba!

Rebekamilczała.

- Lubie, kiedy się cieszysz.

Nie kapuję.

Od lat gędzisz oszcześnie, a kiedy wreszcie nadchodzi, masz pogrzebową minę.

Powinnaś kakać z radości.

- Nie przy jedzeniu.

Rozrzucałabym talerze.

Kiedy skończymy, zrobisz salto do tyłu.

- No myślę.

Masz fart.

Ekstra mieszkanie, ekstra gospodarz.

Manna z nieba.

Rebeka dzgnęła widelcem listek zwiędłej sałaty.

- Manna z nieba - powtórzyła z goryczą.

- Tak, mam fart.

- Oho.

Czyżby problemy?

Nieemożliwe.

W tym raju?

- Problemy?

- odparła zmieszana Rebeka.

-A skąd.

- Mnie nieoszukasz.

Jeśli masz jakieś kłopoty, chcę o tym wiedzieć.

- Nie mam żadnych kłopotów.

Szła ku nim Emilia.

Rebeka z ulgą pomachała jej na powitanie.

Emilia usiadła i uśmiechnęła się do Łomy.

Ta bez przekonania odpowiedziała tym samym.

Przy stoliku wyrósł kelner z menu.

Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Emilia.

- Niewiele straciłaś - odrzekła Loma.

- Rebeka narzekała na swego gospodarza!

- Nieprawda!

- Prawda.

- Nieprawda.

Lubie go.

To bardzo miły człowiek.

- Słyszając swój głos, zdała sobie sprawę, że na ich miejscu nigdy by w to nie uwierzyła.

- Ale?
- nie ustępowała Loma.
- Samanie wiem.
-Wiesz, wiesz.
- Lomazerknęła na zegarek.
-Mam jeszcze kilka minut.
Mów.
Jesteśmy twoimi przyjaciółkami.
- Spojrzała na Emilię.
Prawda, drogaEmalio?
Czerwona jak burak Emilia kiwnęła głową.
Nie znosiła, kiedy przekręcano jej imię.
- Oczywiście - szepnęła.
-No? Gadaj.
- Ale nikomuani słowa, zgoda?
-Coś ty!
Zaraz wszystkowypaplamy.
Jesteśmy dziennikarkami w przebraniu.
Chryste,zaczniesz wreszcie czy nie?
150
Rebeka odsunęła talerz.
- Początkowo golubiłam.
Nie ma powodu, żeby go nie lubić.
Aleznamy się ledwiekilka tygodni, a on traktuje nas jak najlepszychprzyjaciół.
Wszędzie nas zaprasza, proponuje wspólne weekendy, aja na wszystko sięzgadzam, bo nie
chcę go obrazić.
Wolałabym, żeby dał nam święty spokój.
Kelner przyniósłdla Emilii zapiekankę z serem.
Loma zapaliła papierosa.
- I dobrze, lepiej go nie wkurzać - powiedziała.
- Przynajmniej jeszcze teraz.
Rzuca szmałem?
Świetnie.
Czemu z tego nie skorzystać?
Zalicznm najdroższe knajpy w mieście, a po wystawiezacznij odmawiać.
W końcu coś do niego dotrze.
- To nietakie proste.
-Niby dlaczego?
Chyba, że chcecie zostać w tym mieszkaniu,alemówiłaś, że zamierzacie kupić własne.
- Bo zamierzamy.
-No to w czym problem?
- Mikeuważa, że on jest cudowny.
Ilekróć go skrytykuje,patrzy na mniejak na idiotkę.
- Mówiąc, czuła na sobie wzrok Emilii izastanawiała się, czyona teżtak myśli.
-A ja niejestemidiotką.
- Oczywiście, że nie - skrzętnie potwierdziła Loma.
-Bardzo się zaprzyjaźnili.
Mike traktuje go jak zastępczego ojca.
Loma głośno prychnęła.
-'Pewnie uważasz, że to głupie, ale taka jestsytuacja - kontynuowałaRebeka.

- Mikę z nim niezerwie.

- To gozmuś.

-Jak?

- Normalnie, wyłóż kawę na ławę, i już.

Chcesz, żeby facet zniknął z waszego życia, tak?

Tak.

Mikę będzie musiało to pójść.

Ostatecznie, jeśli ciękocho, powinien pragnąć twego szczęścia.

- A jego szczęście?

- spytała nagle Emilia.

-Jego szczęście nie liczy?

Loma zmarszczyła brwi.

Nielubiła, kiedy ktoś jej przerywał, zwłaszcza

ktoś, kim pogardzała.

- Niemówimy o Mikę'u -fuknęła.

-A jeśli natonie pójdzie?

-spytała Rebeka.

- Postaw mu ultimatum.

Albo przyjaźń z Makssem, albo wasze narzeczeństwo.

To powinno gootrzeźwić.

- Zwariowałaś?

- wykrzyknęła zaszokowana Rebeka.

- Nie.

Phil ma świniętego kuzyna, który wszędzie z nami łąził.

Nie mogłam go znieść i kazałam Philowi wybierać: albo on, albo ja.

Wierz mi, działa bezpudła.

Twarz Emilii spurpurowiała.

Rebeka pokręciła głową.

151.

- Bo?

- Loma wydmuchała dym, patrząc na nią ze złośliwym błyskiem w oczach.

- Boisz się, że wybierze jego?

- Nie!

Oczywiście, że nie!

- W takim razie co czekasz?

Mike przeżyje.

Zastępczy tatuś mu niepotrzebny.

Ma dwadzieścia cztery lata.

Najwyższa pora wyjąć zbecika.

Emilia wybuchnęła śmiechem.

Głośnym, chrapliwym i zupełnie doniejniepasującym.

- Łatwo ci powiedzieć - wycodziła.

- Ojciec bankier, matka zawsze w domu, wielka willa, wakacje i prezenty.

Czy coś ci w życiu nie wyszło?

Czy coś ci kiedyś odebrano?

Co ty wiesz o stracie i cierpieniu?

Nic.

Absolutnie nic.

Żyje ci się jak w raju, mimo to ciągle chcesz więcej, więcej i więcej.

Rebeke przeszedł zimny dreszcz.

Czuła, że skierowano do Łomy słowatrafiaj ą do niej.

- Emilio.

- zaczęła.

Lecz ona jej nie słuchała.

- Robi mi się niedobrze, kiedy na ciebie patrzę.

Jesteś taka obyta, taka światowa, ale nie wiesz nic o prawdziwym życiu.

Jesteś najbardziej zadufana w sobie, najbardziej zarozumiała osobą, jaką kiedykolwiek znałam, i żal mi Phila.

Naprawdę mi go żal.

Tak samo jak byłoby mi żal każdego głupca, który marnowałby sobie życie na kogoś równie próżnego jak ty.

Loma pobiła.

Emilia siedziała sztywno, patrząc na nią z pogardą i bezcieni strachu.

Ta nieśmiała, wiecznie zalękniona dziewczyna zmieniła się w przeciwnika,

która pomyślała, że Lorna nie miała żadnych szans.

Przynajmniej chwilowo.

Na ustach Łomy powoli wykwitł!

szydlerczy uśmiech.

- Nie przejmuj się Philem, Emilio.

Być może, jestem zarozumiała, zadufana w sobie i próżna, ale na pewno nie jestem oziębłą wywłoką, która rzyga jak kotka, ilekroć jakiś desperat urznie się na tyle, żeby mu przy niej stanął.

Emilia szybko zamrugała i oklapła jak przekłuty balon.

- Loma!

- wykrzyknęła przerażona Rebeka.

Loma spojrzała na nią, nie przestając się uśmiechać.

- Nie pouczaj mnie.

Jeśli nie lubi gorąca, niech nie wchodzi do kuchni.

A raczej do sypialni.

Czyż nie mam racji, droga Emalio?

Emilia patrzyła z wyrzutem na Rebeke.

Ta była zbyt zawstydzona, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Nie musiałś tego mówić - szepnęła.

- Też mi wielkie mecyje - prychnęła Loma.

- No, muszę lecieć.

Następnym razem umówmy się tylko we dwie.

- Rzuciłana stół pieniędzy wyszła.

- Dlaczego?

- spytała Emilia.

- Posłuchaj.

152

- Jak mogłaś jej powiedzieć?

-Przepraszam.

- Przepraszam!

Uważasz, że to załatwia sprawę?

Dobrze wiesz, co ona o mnie myśli.

Że jestem ostatnią ofiarą, z której można się tylko śmiać.

- Nieprawda.

-Prawda!

Zawsze tak myślała.

Skorzysta z każdego pretekstu, żeby mnie dobić.

- Właśnie dlatego jej o tym powiedziałam.

Żeby.

- Urwała, żałując, że ogóle się odezwała.

- Żeby zaczęła mi współczuć, tak?

Nie chcę, żeby mi współczuła.

Aniona, ani nikt inny!

Rebeka zwiesiła głowę.

Obruszył wypłowiały i poplamiony.

Zbrukany jak ona.

- To było głupie, wiem- szepnęła.

- Ale nie chciałam cię urazić.

Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Emilia milczała.

- Bardzo mi przykro.

Naprawdę.

Cisza.

- Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

-Nieważne.

Dajmy temu spokój.

- Byłam głupia.

Nie powinnam.

- Chciałaś dobrze.

Rebeka westchnęła.

- Tak, chciałam dobrze.

-Wszystko mi jedno.

Niech sobiemyśli, co chce.

Kogo to obchodzi?

Jest szczęśliwa tylko wtedy, kiedy pomyślała o innych.

Rebeka zaryzykowała dowcip.

- Pewnie myślisz, że papież jest transwestytą.

Kamienna maska na twarzy Emilii powoli pękła i na jej ustach zagościł lekki uśmiech.

Napięcie opadło.

Zamówiły kawę.

Rebeka włożyła łyżeczkę do filiżanki i zamieszała.

Emilia też.

- Nie stracisz go.

Bo o to w tym wszystkim chodzi, prawda?

- Chybatak.

To śmieszne, ale czuję się zagrożona.

- Miko cię uwielbia.

To ty jesteś dla niego najważniejsza.

Max niczego w tym układzie nie zmieni.

- Można by pomyśleć, że jesteś największą egoistką w świecie, ale to nieprawda.

Cieszę się, że Miko znalazł sobie przyjaciela.

- Urwała.

Emilia patrzyła na nią wyczekująco.

- No, dobrze: chcę się z tego cieszyć.

Ale wszystko dzieje się dla mnie za szybko, nie zdążyłam przywyknąć.

- Przywykniesz.

153.

- Oby.

Potoczyła wzrokiem po sali.

Przed dwoma miesiącami jadła tu z Michaeliem lunch.

Zanim przeprowadzili się do nowego mieszkania.

Zanim w ich życie wtargnął Max.

- A jeśli nie przywyknę?

- spytała nagle.

-Jeśli nadal będę czuła się tak, jak się czuję?

- Nie będziesz.

-Ale jeśli mi nie przejdzie?

Jeśli się tylko pogorszy?

Będzie piekło.

- Nie, chyba że do tego dopuścisz.

-Boże, żałuję, że wynajęliśmy to mieszkanie.

Że go poznaliśmy.

- Czasu nie cofniesz.

Możesz jedynie korzystać z tego, co masz.

- Albo postawić mu ultimatum.

-Nie.

- Dlaczego?

-Bo go stracisz.

- Myślisz, że wybierze Maksa?

-Nie.

Wybierze ciebie, i dobrze o tym wiesz.

Ale znenawidzi cię za to, że kazałaś mu wybierać.

A wtedy będzie jeszcze gorzej.

Rebeka przełknęła ślinę.

- Nie rób mu tego- mówiła Emilia.

- To niesprawiedliwe.

Obojętnie, co o tym myślisz, Max dużo dla niego znaczy.

Czy Mike zaznał w dzieciństwie ojcowskiej miłości?

Nie.

Nie odbieraj mu jej, daj mu szansę.

Nie musisz mi tego tłumaczyć- przerwała jej urażona Rebeka.

- Znamgo lepiej niż ty.

Zamilkły, mierząc się wzrokiem.

Nie każ mu wybierać między dwojgiem ludzi, którzy tyle dla niego znaczą - powiedziała cicho Emilia.

- To najgorsze wyjście.

Nikogo nie można do tego zmuszać.

Nigdy.

Rebeka przypomniała się jej matka.

Łagodna kobieta o kasztanowych włosach, długich rzęsach i nieśmiałym uśmiechu.

Emilia była do niej bardzo podobna.

I jak zawsze w takich chwilach naszły ją wyrzuty sumienia.

Miała ich dość.

Pragnęła od nich uciec.

Tak samo jak czasami pragnęła uciec od Emilii.

Alenienie mogła.

Były przyjaciółkami.

Łączyła je silna więź.

Więź trwała.

Nierozzerwalna.

- Nie martw się - odparła.

- Nie zamierzam tego robić.

Jeśli mu z tym dobrze, będzie dobrze imnie.

Między stolikami krążył kelner.

Poprosiła o rachunek i wyszła do toalety.

154

Emilia została sama.

Patrzyła na ścianę, lecz jej niewidziała.

Mysłała o pewnym zimowym wieczorze.

Miała wtedy siedem lat.

Tego dnia umarł jej matka.

Mgliste wspomnienia.

Potworny szok roztrzaskał je na pojedyncze obrazy.

Oszołomiony wyraz twarzy ojca.

Nerwowe uśmiechy ludzi, których prawie nie znała, i których nie chciała tam widzieć.

Szalejąca cały dzień śnieżycą.

I straszliwa świadomość, że jej dobry, bezpieczny świat nagle runął w gruzy.

Był wśród tych wspomnień obraz dziewczynki w jej wieku.

Wyjątkowo pięknej siedmiolatki o długich blond włosach i zielonych oczach, która złożyła jej wyuczone na pamięć kondolencje.

Boże, przecież powinno być odwrotnie.

Co z niesprawiedliwość.

Czasami miała ochotę wyc.

Lecz wyciem niczego by nie zyskała.

Los - tak samo jak historia - nie miał nic wspólnego z niesprawiedliwością i rozdawał karty na chybił trafił.

Wybór był prosty: albo nimi zagrasz, albo wstaniesz odstolika.

Nadszedł kelner z rachunkiem.

Odpędziła wspomnienia i sięgnęła potorebkę.

Czwarta popołudniu.

Michael wrócił z narady, by zastać w pokoju Stuarta, który pocieszał przybitą Julię

- ...

dostał szalu i powiedział, że się lenię.

A to nieprawda!

- Niezwracaj na niego uwagi - łagodził Stuart.

- Wszyscy wiedzą, jak ciężko pracujesz.

Michael usiadł.

- Znowu Graham?

- Nie - odrzekł Stuart.

- Tym razem Jonathan Upham.

Co za kutas.

- Kutas?

To do niego niepodobne.

Cosiętało?

- Jeden z klientów Bennetta przysłał nam nową umowę.

Podobno najlepszą od wielu miesięcy.

Bennett zlecił ją Belindzie, ale Belinda jest na urlopie, dlatego zajął się nią Upham z nadzieją, że Jack zmieni zdanie i pozwoli mu dokończyć.

Plotka głosi, że w przyszłym roku wspólnikiem zostanie tylko jeden asystent z naszego wydziału i dobra umowa podwoi jego szansę.

- Dlatego wezwał mnie - kontynuowała Julia - i kazał mi zrobić wyciąg ze wszystkich materiałów wstępnych.

Na dziś wieczór.

Prosiłam, mówiłam, że mam pilną robotę dla Grahama, ale nie chciał mnie słuchać.

- Co to za materiały?

- spytał Michael.

Gdy mu powiedziała, uśmiechnął się i odrzekł:

- Spokojnie, nie panikuj.

Przeglądałem je w zeszłym roku.

- Otworzyłeś szafkę, wyjął akta i podał jej numery odpowiednich dokumentów.

- Wszystkie dotyczyły jednej sprawy i powinny być aktualne.

Na wszelki wypadek

155.

sprawdź w bibliotece.

Jeśli są, skseruj je i daj Jonathanowi.

Będzie skakał radości.

Uśmiechnęła się tak promiennie, że miło było popatrzeć.

- Dzięki.

Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

- Pobiegła do biblioteki.

Stuart wywrócił oczami.

- Ot, szara codzienność.

Michael roześmiał się i włączył komputer, żeby sprawdzić e-maile.

- Nick dzwonił - powiedział Stuart.

- Pytał, czy nie skoczylibyśmy naszym szybkiego drinka.

Co ty nato?

Raczejco na to Rebeka.

Doszedł do wniosku, że wszystkomu jedno.

- Chętnie.

-Ekstra.

O szóstej u Comeyai Barrowa.

E-maile - Mikę skupił wzrok na ekranie monitora.

Ktoś szedł korytarzem.

Szybko, energicznym, zdecydowanym krokiem.

Otworzyły się drzwi i w progu stała Kate Kennedy.

Złote guziki, sztywne od lakieru włosy i szyderczy uśmiezek uwielbiany przez głosicieli złychnowin.

- Trzeba uzupełnić precedensy - oświadczyła.

- Przejrzeć je, usunąć przestarzałe i wprowadzić nowe.

Tonie była zła nowina - to była nowina koszmarna.

Niektórzy woleliby skoczyć z dachu wieżowca niż uzupełniać precedensy.

Praca przy precedensach wlokła się tygodniami, a ponieważ wynagrodzeniem niemożna było obciążyć żadnego klienta, zarobki nieszczęśnika, który ją wykonywał, spadały na łeb na szyję.

To z kolei wywoływało niezadowolenie Grahama, a niezadowolenie Grahama znajdowało swoje odbicie w premiach na końcu roku.

Chryste - pomyślał Michael.

Nie dalej jak kilka dni temu mówiła, że wspaniale kompiluję iredaguję teksty.

Zamarło mu serce.

Potrzebował tego jak dziury w łbie.

- Dlatego też.

- Zawiesiła głos.

- Mógłbyś do mnie wpaść, Stuart?

Najlepiej jutro rano.

Wszystko sobie omówimy.

Stuart?

Biedny Stuart kiwnął głową.

Wyglądało to tak, jakby wzruszył ramionami.

Mikę myślał, że Kate wyjdzie, ale nie wyszła.

- Jak sprawy, Michael?

- Boże, nigdy dotąd tak się do niej nie uśmiechała.

A jednak.

Ani chybi, zaraz mucoś przywali.

Na pewno.

Oby tylko niekolejny wykład.

- Świetnie.

Jestem.

Mam dużo pracy.

- Właśnieto chciałam usłyszeć.

Digitron.

Znakomita robota.

Tylko takdalej.

Mikę oniemiał.

Kate prawila komplementy równie często, jak częstowłóczęga daje na tacę.

156

- Dzięki.

- Z trudem ukrył zaskoczenie.

- A u ciebie, Stuart?

Wszystko dobrze?

Stuart, zbyt przybity, żeby cokolwiek powiedzieć, skinął głową.

- Świetnie.

Nie ma to jak wielka szczęśliwa rodzina.

- To był żart.

Katezażartowała!

Po czym wyszła.

- Kurwa mać!

- Stuart ukrył twarz w dłoniach.

Michael, który odczuwał wielką ulgę i miał lekkiewyrzutysumienia, próbował go pocieszyć.

Dziesięć po szóstej.

Siedział z Nickiem Randallem przy oknie wwiniami U Comeya i Barrowa.

Sala była nabitą.

Wszędzie rozbrzmiewał głośnyśmiech i krzyki podpitych gości, zamawiających kolejnego drinka.

Nick był drobnym, delikatnym blond dwudziestokilkulatkiem, któremupozorna zniewieściałość nie przeszkodziła w zebraniu obfitych żniw pośród damskiej części personelu Coksa Stephensa.

Zaczął pracę tego samego dniaco Michael i Stuart: we trójkę zaliczali kolejne szczeble drabiny służbowej i wkrótce się zaprzyjaźnili.

Nick zapalił papierosa i wydmuchał dym przez nos.

- Co słychać?

- spytał z uśmiechem.

- Jakież ploteczki?

Nowe pogłoski?

- Mnie pytasz?

To ty się ciągle obijasz.

Nick był asystentem w dziale nieruchomości handlowych, a ponieważ kancelaria Coksa Stephensa nie miała w tej dziedzinie najlepszej reputacji, rzadko kiedy musiał przysiąść fałdów.

- Nieprawda.

Jestem bardzo zajęty.

Wczoraj przepracowałem dziewięć godzin.

- I jeszcze stoisz?

-Ledwo.
Musiałem się potem położyć.
Ale przez chwilę czułem, coznaczy być prawdziwym mężczyzną.
Roześmielisię.
Nadszedł przybity Stuartz butelkąBeaujolaiss i trzemakieliszkami.
- Nick mówi, że jest przepracowany - powiedział Michael.
-A ja jestemkrólem Anglii.
- Naprawdę - upierał się Nick.
-I to dzięki waszemu wydziałowi.
- No jasne.
- Stuart rozlał wino.
-Nie na darmo nazywająnas motoremfirmy.
- Który z naszych kolegów zachwiał waszym światem?
- spytałMichael.
Nick się przeżegnał.
- Tak, tak, zdrowaś Mario, i tak dalej.
A teraz odpowiedz na pytanie.
- Już odpowiedziałem.
Stuart i Michael wymienili spojrzenia.
157.

- Człowiek, który chadza na spacerzy z Bogiem i umawia się z archaniołami.

-Kto?

- Mesjasz.

Zbawca Coksa Stephensa.

Jack Bennett.

- Ha,ha, ha.

- Mikę wypił łyk wina.

-Bardzo śmieszne.

- Ja niezartuję.

-Fakt, ściągnął do nas kilku klientów, ale do zbawcy mu jeszcze daleko.

- Bynajmniej.

Zawdzięczacie mu pracę.

,

- O czym ty gadasz?

Nick rozejrzał się po sali; U Comeya iBarrowaczęsto bywali koledzyz pracy.

Upewniwszy się, że okolicajest czysta, spytał:

- Znacie zeszłoroczne wyniki finansowe kancelarii?

-Wiem tylko tyle, że były kiepskie.

- To wersjaoficjalna.

W zeszłym tygodniu jadłem lunch z Sarą Hill, sekretarką dyrektora administracyjnego.

Podąła miprawdziwe.

- Znacząco zawiesił głos.

- "Kiepskie" to małopowiedziane.

Były katastrofalne.

Czynsz zabicura nie opłacony, filia w Hongkongu ledwo zipie, pensje wspólników spadają na łeb na szyję: było tak źle, że chcieli już pozwalniać ludzi w nieruchomościach, w prawnym, a nawet u was.

Ba! Kilku członkówzarządu uważało,żeto za mało, że jedynym wyjściem jest dać się wchłonać jakiemuś gigantowi.

Stuart przeciągle zagwizdał.

Wtedy przyszedł Jack Bennett ze swoją czarodziejskąlistą i naglewszystko ruszyło z kopyta.

Wielu klientówzlecało robotę swoim prawnikom, ale wraz z rozrostem

firmpowstawałykoszmarne zaległości, które trafiały do nas.

Jesteście specami od fuzji inabytków, i może tegonie zauważyliście, ale my tak, ci z prawnego też.

I nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki,w finansowym ogródku rozkwitłyróże.

-Podniósłkieliszek.

- Dlatego wypijmy za Jacka,panowie.

- Za Jacka- zawtórował mu Stuart.

Michael milczał.

Nick zmarszczył czoło.

- Cojest?

Nie lubisz go?

Mikęwzruszył ramionami.

- To miły facet - dodał Nick - wszyscy u nasgo lubią.

W czym problem?

- Sam mówiłeś, żeto święty.

Problem?

A skąd.

Nie ma żadnego problemu.

- I obynie było.

- Nick strząsnął popiół z papierosa.

-Uważaj, Mike.

Wiem, że lubisz się stawiać, a szefostwozrobi wszystko, żeby go zadowolić.

Jeśli przestaniesz mu się podobać, pokażą ci drzwi.

- Już przestałem.

Nick uniósł brwi.

Stuart też.

- Bzdura.

Dlaczego tak myślisz?

158

Michael tylko wzruszył ramionami.

- Chodzi ci o kontrakt z Dial-a-Car?

Jack mówił, że odwalileś kawalfantastycznej roboty.

- Nie, to nie to.

-A co?

Przez chwilę zastanawiał się, czy im nie powiedzieć, lecz uznał, że lepiej nie mieszać spraw prywatnych i służbowych.

- Nic.

Nie zwracajcie na mnie uwagi.

- A kiedyśmy zwracali?

- rzucił z uśmiechem Nick.

- I ciesz się, że to nie ty będziesz siedział w precedensach - dodał Stuart.

Fakt, nie on.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

Myśl była zupełnie idiotyczna, mimo to.

- Dobrze się czujesz?

-spytał Nick.

i - Świetnie.

-Wypił wino i sięgnął po butelkę.

Czwartek w południe.

Stały za ladą.

Rozpoczęła się pora lunchu i klientów przybywało.

Rebeka czekała, aż maszyna wypłuje rachunek dla starszej pani, która kupiła książkę kucharską.

- Cztery - szepnęła Klara.

Rebeka podniosła wzrok.

Ostatni romans nie wypalił, mimo to Klara wciąż polowała na wyśnionego amanta i żeby nie stracić wprawy, zaczęła oceniać odwiedzających księgarnię mężczyzn wedle skali od zera do dziesięciu.

Czwórka dała szczupłemu okularnikowi wyrazistych rysach twarzy, który zszedł po schodach z płócienną torbą na plecach.

Wyglądał całkiem, całkiem, ale Klara wołała mężczyzn silnych i nieokiełzanych.

Maszyna skończyła drukować rachunek i Rebeka podsunęła go klientce do podpisania.

- Dziesięć - syknęła Klara.

-Ciii.

'- Spójrz!

Do działu z literaturą rozrywkową szedł bliźniak Russella Crowe' a w garniturze od Armaniego.

- No i co?

-Przestań!

Miejsce starszej panizajął nastolatek o długich, prostych włosach.

Byłw podkoszulku i w rękuściskał biografię Nicholasa i Aleksandry RobertaMassiego.

- Czytałam to - powiedziała Rebeka.

- Fantastycznaksiążka.

Nastolatek rozpromienił się, błogo nieświadomy, że Klara dała mu nędzną trójkę.

AK 159.

- Lektura na zaliczenie - wyjaśnił.

-Studiujesz w college'Li?

Kiwnął głową.

Na schodach pojawił się kulawy łysielec w zielonych okularach.

- Zero - szepnęła Klara.

Rebeka zagryzła usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Nastolatek patrzył na nią ciekawie.

Wydała mu resztę.

- Będzie ci się podobało.

Przyszedł Keith z beletrystyki; miał ją zastąpić.

Właśnie obsługiwała ostatnią klientkę, znerwicowaną kobietę, która kupiła książkę o wystroju wnętrza.

- Osiem - szepnęła Klara.

Rebeka nie śmiała podnieść głowy.

Wiedziała, że nie wytrzyma i parsknie śmiechem.

- Poprawka: dziewięć.

Zaintrygowana zerknęła w lewo.

I zobaczyła Maksa.

Jak zwykle elegancki - był w lnianej sportowej marynarce i wlnianych spodniach - stał przy schodach.

Zobaczył ją i ruszył do lady.

Nagle poczuła się jak w potrzasku.

- Właśnie tędy przechodziłem.

Czy mogę mieć nadzieję, że dasz się zaprosić na lunch?

Chciała się wykręcić, lecz czuła, że Max natychmiast zwietrzy kłamstwo.

- Oczywiście odrzekła z wymuszonym entuzjazmem.

-Cudownie.

Czy to odpowiednia pora?

Kolejkichwilowo nie było.

Rebeka spojrzała na wyraźnie zaciekawioną Klarę.

- To jest Max Somerton.

Nasz gospodarz.

I przyjaciel.

A to jest Klara.

To ona przedstawiła nas twoim poprzednim lokatorom.

- A więc to pani muszę podziękować za tak wspaniałych następców - rzekł z uśmiechem Max.

Mówił powoli, swobodnie, głosem gładkim jak jedwab.

Rebeka dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak uwodzicielski to instrument.

I jak skuteczny.

Klara zarumieniła się i zalotnie odrzekła:

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Max spojrzał na Rebeke.

- Przy Chancery Lane jest dobra francuska restauracja.

Pójdziemy?

Fatalny pomysł.

Nie miała ochoty na ciągnący się w nieskończoność lunch.

Tymczasem znalazła dobrą wymówkę.

- Mam tylko godzinę, chyba nie zdążymy.

-To może gdzieś bliżej?

160

Co za ulga.

- Nieprzejmuj się czasem -powiedziała nagle Klara.

- Wrócisz, kiedy

wrócisz.

- A ty?

-Zjem kanapkę.

Baw się dobrze.

- Jest pani bardzo miła - powiedział Max.

Klara zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

Dno. Rebeka wzięła torebkę i weszli na schody.

Pół godzinypóźniejsiedzieli w Chez Gerard, czekając na przystawki.

' restauracji było tłoczno.

Niemal wszystkie stoliki zajmowały kobiety w sto-

nowanych żakietach i mężczyźni w ciemnych garniturach.

Max wyjął papierośnicę.

- Pozwolisz?

Kiwnęła głową.

- Na pewno?

Mogę bez nich wytrzymać.

- Nie, nie, pal.

Zapalił.

Rebeka przyglądała się gościom.

Poszedł za jej wzrokiem.

- Wypatrujesz grubych ryb w morzu londyńskiej finansjery?

-Nie, znajomych twarzy.

Po drugiej stronie ulicyjest Denton Hali.

Pracuje tamkolega Mike'a.

- Nie wiedziałem.

-Bo niby skąd?

- Właśnie.

Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to ordynarnie.

Nie chciała gourazić.

może i chciała.

Pomyślała o Mike'u.

Wieczorem był trochę nieswój, ale kiedy spytała, czy wszystko w porządku, powiedział, że tak.

\ Kątem oka dostrzegła kelneraz tacą.

Czyżbyjuż?

Niestety, przystanął'kilka stolików dalej.

Cóż, nic jej nie goniło.

Dziękujęci, kochana Klaro.

Kieliszek był prawie pusty.

Rzadko kiedy piła wino do lunchu, ale musiała się jakoś odprężyć.

Max smarował masłem kawałek chleba.

- Czy mogę prosić cię o radę?

-Jaka?

- Chodzi oMike'a.

Zesztywniała.

- Za tydzień ma urodziny i chciałbym mu coś kupić.
Jakiś drobiazg, nicksztownego.
Może przyda mu się jeden z tych elektronicznych organizatorów?
Co o tym myślisz?

U -Marionetka

161.

Nie musiała myśleć.

Wiedziała, że mu się nie spodoba.

Często żartował, że ludzie, którzy ich używają, są uzależnionymi idiotami, że nie wyjdą dokibla, jeśli organizator nie uwzględni przerwy na siusiuka.

Przypominała muwtedy, że Robert nie może się bez niego obejść, a wówczas on wymownie nanią patrzył.

To, że Max wpadł na tak chybiony pomysł, bardzo ją zdziwiło.

I mile zaskoczyło.

Miała ochotę powiedzieć: Tak, zawsze o czymś takim marzył, ale doszła do wniosku, że Max natychmiast ją przejrzy.

- Szczerze mówiąc, Mikę za nimi nie przepada.

Był rozczarowany.

- Hnun, w takim razie zacznijmy od początku.

- Wydmuchał dym i spojrzał na nią niepewnie.

- Masz jakiś pomysł?

Przepraszam, że tak cię wypytuję, ale znasz go jak nikt inny.

- Tak.

Chyba tak.

- I nigdy o tym nie zapominaj!

- Niedawno przeczytał Gravesa, Ja, Klaudiusz.

Książka bardzo mu się podobała, a kilka lat temu w BBC szedł serial z Derekiem Jacobi.

Niedawno wypuścili komplet kaseti chciałam mu je kupić.

Może to?

- Spodobają mu się?

- Na pewno.

- Dobrze.

W takim razie kasety.

Dziękuję za radę.

- Nie ma za co.

Uśmiechnęła się do siebie.

- A ty?

- spytał.

- Co mu dasz?

- Marynarkę.

- Jakiego koloru?

- Granatową.

Będzie dobrze w niej wyglądał.

- Lubisz kupować mu ubrania, prawda?

- Mikę cito powiedział?

- Tak.

- Ktoś musi.

Gdybym nic mu nie kupowała, całe życie chodziłby w podkoszulku i w dżinsach.

- Nie chciałam cię krytykować, wprost przeciwnie.

Mikę mówił, że jesteś cudowna.

Że zawsze wiesz, w czym będzie mu wygodnie i jednocześnieo twarzy.

Uśmiechnęła się skrzepowana.

- Po prostu, żeby ładnie wyglądał.

- Alenie tylko o to chodzi, prawda?

- Nie rozumiem.

-Umiejętność dobierania odpowiednich ubrań tonie wszystko.

- No.

-Przynajmniej nie dla Mike'a.

Jego bezpośredniość zbiła ją z tropu.

Spuściła oczy.

162

- Bardziej zależy mu na kimś, kto potrafi czytać w nim jak w otwartej księdze.

Kto zna go lepiej niż on sam.

Komu może bezgranicznie zaufać.

Jakby słyszała Michaela.

Jakby słyszała jego słowa.

Słowa, których nigdy nie traktowała poważnie w obawie, że to tylko zwykłe komplementy.

Teraz już wiedziała, że mówił szczerze.

Zalała ją fala miłego ciepła.

Buńczuczność, a może raczej żłość, poszła w zapomnienie, ustępując miejscem abłągiej przyjemności.

- Staram się - odrzekła niezręcznie.

Podniosła głowę.

Max wciąż się uśmiechał, lecz oczy miał smutne.

Zaciągnął się i wydmuchał dym.

- Pamiętasz garnitur, który miałem na sobie podczas tego przyjęcia?

- Pamiętam.

- To był prezent od Lavinii.

Lubiła kupować mi ubrania.

Lavinia.

Boska Lavinia.

- Pewnie miała lepszy gust niż ja.

Myślała, że Max zażartuje albo puści tę uwagę mimo uszu, ale nie.

Wciąż był smutny.

- Tak, miała dobry gust - odrzekł.

- Bardzo dobry.

Wszystkie ubrania, które kupiła, leżały doskonale, ale w żadnym nie czułem się wygodnie.

- Westchnął.

- Cóż, to zrozumiałe.

Blichtr bez żadnej głębi.

Nie było między nimi nawet odrobiny porozumienia, jakie istnieje między wami.

Zaskoczyła ją ta szczerść.

Zaskoczyła i mile polectała.

Nieoczekiwanie stwierdziła, że mu współczuje.

- Teraz masz Karolinę - powiedziała ostrożnie.

- Możeś nią będzie inaczej.

- Oby szepnął.

- Oby.

Nadszedł kelner z przystawkami.

Max zgasił cygaretkę.

Rebeka spróbowała zupy, dodała szczyptę soli, zamieszała i spróbowała ponownie.

Pyszna.

Obserwował ją uważnie, wyraźnie zadowolony, że jej smakuje.

Z jego oczu biło ciepło, troska i smutek.

Zdała sobie sprawę, że jest niemądra.

Jakie zagrożenie?

Mikę należał do niej inigdygo nie straci.

Nigdy.

Byli sobiepisani.

Zagrożenie?

Co za głupota.

- Łączy was wyjątkowawież - powiedział, jakbyczytając w jejmyślach.

- Tylko nieliczni mają szczęście ją znaleźć.

- Chyba tak.

-Mikę też tak uważa.

Ilekoć o tobie mówi, dosłownie płoną mu oczy.

Widziałem wielu zakochanych, aleon.

Gdybyś go opuściła, jego świat ległbyw gruzach.

- Nigdzie się nie wybieram - odparła z uśmiechem.

-Cieszę się, że ciebie ma.

Po tym, co przeszedł,zasługuje na odrobinęmagii.

Strata matki.

Przybrani rodzice.

Dom dziecka.

- Znowu westchnął.

-Ta okropna sprawa z Harringtonami.

163.

Przestała się uśmiechać.

- Biedny chłopak.

Musiał to bardzo przeżyć.

Ale przecież ty o tym wiesz.

Z Harringtonami?

Z jakimi Harringtonami?

Oczym onmówi?

- Nikomu tego nie życzę.

To niesprawiedliwe.

Ale cóż, przeszłość, toprzeszłość.

Teraz macie siebie itylko to się liczy.

- Nabił na widelecblyszczącego od masła ślimaka i zmarszczył czoło.

-Nie jesz?

Niedobra?

Rebeka milczała.

- Jeśli ci nie smakuje, zawołamkelnera i.

Pokręciła głową.

- To żaden problem.

Mamy czas.

Podadzą coś innego.

Fakt, mieli czas.

Dużoczasu.

Mogli przesiedzieć tamcałe popołudnie.

Gadaliby o niczym, podczas gdy ona zadreślaaby się myślami oMike'ui o tym, co jeszcze przed nią zataił, wołąc zwierzyć się Maksowi.

- Nie, nie, jest bardzo dobra.

- Kolejny łyk.

Ziarenka soli drapały jąw gardle jak piasek.

- W takimrazieporozmawiajmy o czymś weselszym.

Richard Markhamchce się z tobą spotkać.

Do końca tygodnia będzie za granicą, ale może napoczątku przyszłego?

Coty na to?

- Oczywiście.

-Świetnie.

Nalał jej wina.

Straciłaapetyt i kelner zabrał ze stołu prawie pełny talerzzupy.

Wpół do dziewiątej wieczorem.

Cichy szcęk zamka.

Czekała w salonie.

Spaghetti, które mieli zjeść na kolację, stałow lodówce.

Najpierw musiał jej coś wyjaśnić.

Było parno.

Wszedł do salonu w rozluźnionym krawacie, ocierając pot z czoła.

-Kim byli Harringtonowie?

- wypaliła.

- Kto?

-Nie udawaj głupka.

Chcę wiedzieć, kim byli Harringtonowie.

Postawił dyplomatkę.

- Co się stało?

Dlaczego jesteś taka spięta?

- Byłam z Maksymem na lunchu.

Rozmawialiśmy o twoim dzieciństwie.

Wspomniał o jakichś Harringtonach, o strasznych przeżyciach, których unik doświadczyłeś, zakładając - jakżeby inaczej?

- że o tym wiem.

Sęk w tym, że nie miałam zielonego pojęcia, o czym on gada, dlatego chcę wiedzieć, kim, dodiabła, byli Harringtonowie!

- Była o krok od hysterii.

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

Nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

164

- Nie ma o czym mówić.

- Kim oni byli?

- Takimi tam.

- Jakimi tam?

- Zastępczymi rodzicami.

Zabrali mnie, kiedy miałem sześć lat.

- I co?

Źle cię traktowali?

Molestowali cię?

Wytrzeszczyły oczy.

- Nie.

Nie, nie.

- W takim razie, o co chodzi?

Skąd te tajemnice?

Nie odpowiedział.

- Mike!

- To przez nich trafiłem do domu dziecka.

- Dlaczego?

Co się stało?

Potał kark.

- Zanim mnie przygarnęli, zaliczyłem pięć czy sześć innych chrodzin.

Byłem niegrzeczny, wybuchowy, dlatego długo ze mną nie wytrzymywali.

Tamterodziny miały chmary innych dzieci.

Wszystkie musiały walczyć, zabiegać o względy starszych.

Harringtonowie dzieci nie mieli.

Byłem pierwszym, którego wzięli na wychowanie.

Bardzo o mnie dbali.

Mówili, że jestem dla nich kimś wyjątkowym, kimś, kogo zawsze pragnęli.

Dwa miesiące później przygarnęli drugiego chłopaka.

Miał na imię Nigel.

Tak, chyba Nigel.

Miał tyle samo lat co ja, ale był spokojniejszy i o wiele lepiej wychowany.

O niego też bardzo dbali.

Byłem zazdrosny i cały czas się biliśmy.

Nie chciałem się nimi dzielić.

Pewnego dnia przyszła do mnie pracownica socjalna.

Powiedziała, że Harringtonowie chcą zaadoptować Nigela, bo nie mogą mnie znieść.
Nazajutrz przeniesiono mnie do innej rodziny.

- Ciężko westchnął.

- Co za ironia.

Fakt, przedtem byłem niegrzeczny, ale potem stałem się niedo zniesienia i już nikt mnie nie chciał.

Skutek?

Wylądowałem w domu dziecka.

- Zamilkł.

Powoli wypuścił powietrze.

- Przez Harringtonów.

Teraz już wiesz.

Uśmiechnęła się łagodnie.

Chciała odpowiedzieć tym samym.

Mogła się tylko domyślać, jak bardzo musiało go to zboleć.

Chciała, ale cały czas dręczyła ją świadomość, że zamiast z nią, podzielił się tym bólem z kimś innym.

- Dlaczego musiałam dowiedzieć się o tym od Maksa?

Przestał się uśmiechać.

- Na miłość boską!

- Dlaczego?

- Miałem wtedy sześć lat!

Wiesz, ile wody w Tamizie upłynęło od tamtego czasu?

Nie myślałem o nich od stu lat.

',' - Chyba przesadzasz.

Max zna cię ledwie od kilku tygodni i zdążył już; to z ciebie wyciągnąć.

165.

- Nie zamierzałem mu o nich mówić.

- W takim razie jak się dowiedział?

Jest telepatą?

Specem od postrzegania pozazmysłowego?

- Nie.

To było.

nieświadome.

Po prostu rozmawialiśmy i.

- Aha.

Te wasze cudowne rozmowy: ty mówisz, a on słucha, tak?

Wpadł w gniew.

- Jeśli już musisz wiedzieć, spytał mnie o najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa.

Mówiłem im, mówiłem, i nagle wszystko wróciło.

Tamterodziny, przeżycia, Harringtonowie.

Wszystko.

Byłem pewien, że już to pogrzebałem.

Jak każde bolesne wspomnienie.

Roześmiała się ironicznie.

- Na szczęście miałeś pod ręką świętego Maksa.

I co?

Pobłogosławiłaś kłótnię?

- Dobrze, że ty jej nie pobłogosławiłaś!

Poczuła się tak, jakby ją spoliczkował.

Posiniał z wściekłości.

- Jesteś niewiarygodna!

Opowiadam ci o czymś, co sprawia mi koszmarny ból, a ty dostajesz szału, że nie dowiadujesz się o tym pierwsza!

- Kto tu dostaje szału?

- Ty! Posłuchaj swego głosu!

Nic, tylko ja, ja, ja!

Pieprzyć innych!

Najważniejsza jestem ja!

- Nieprawda!

- Prawda!

Przełknęła ślinę.

Wciąż drapało ją w gardle.

Pewnie zupa była zasłona.

Zapadłacisza.

Namacalna i groźna niczym burzowy obłok.

- Nie chciałem tego powiedzieć - szepnął.

Chybaszczerze.

Pragnęła mu wierzyć.

I wiedziała, że to ona powinna przeprosić jego.

Ogarnął ją wstyd.

- Przepraszam, Mike.

Nie powinnam była się tak zachować.

To naturalne, że próbujesz zapomnieć.

Przykro mi, że musiałeś jeszcze raz przez toprzechodzić.

Nie chciałam.

Wzruszył ramionami.

- Od tamtej pory minęło prawie dwadzieścia lat.

- Alena pewno wciąż boli.

- Nie.

- Zależy mi na tobie.

Wiesz o tym, prawda?

Kiwnął głową.

- Chciałabym ci ulżyć.

Dałabym wszystko, żebyś tyłkonie cierpiał.

- Zamilkła.

Wydawało jej się, że to dobre, celne słowa, lecz kiedy je wypowiedziała, zabrzmiały płytko i banalnie.

Czekała na odpowiedź.

Ale odpowiedź nie padła.

166

- Przepraszam - szepnęła.

- Naprawdę mi przykro.

I nagle.

- To nie są zawody, Rebeko.

Zawsze będziesz dla mnie najważniejsza.

Ty też o tym wiesz, prawda?

- Wiem.

Zaryzykowałanieśmiały uśmiech.

Uśmiechnął się i on.

Samymi ustami, bez przekonania.

Ale przynajmniej spróbował.

- Idź się przebrać.

Zrobię kolację.

- Dobrze.

Wyszedł.

Ona została, pragnąc wymazać tę rozmowę z pamięci.

Ale nie mogła.

Wszystko przez nią.

Przez nią.

Nie jestem samolubna.

Jestem dobra.

Dobra.

Dobra.

Wiem, że jestem dobra.

Potem poszła do kuchni odgrzać spaghetti, na które żadne z nich nie miało ochoty.

5

Piątek.

Wpół do jedenastej przed południem.

Michael siedział przy biurku, gapiąc się w pustkę.

Kazalimu przejrzeć

jakaś umowę, ale nie mógł się skupić.

Cały czas myślało kłótni z Rebeką.

Żałował, że poniosły go nerwy.

Wiedział, że ją zranił, i miał wyrzut sumienia.

Była ostatnią osobą na świecie, którą chciałby urazić.

Jednocześnie cieszył się tego.

Jego drugie, to mroczniej sze ja protestowało przeciwkojej egoizmowi i z tym większą przyjemnością zburzyło jejspokój ducha.

Poczucie winy izadowolenia - niezbyt to miła kombinacja,a już na pewno nie sprzyjająca koncentracji.

Zadzwoniłtelefon.

Nie podniósł słuchawki.

Spojrzał na umowę, leczwidział jedynie rzędyczarnych linii.

Linie zaczęły się ze sobą łączyć, zamazywać, wreszcie rozlałysiępo całej stronie niczym czarna plama.

- Mikę.

Podniósł głowę.

W drzwiach stała Kim.

- Sonia dzwoniła.

Myślami błędził gdzie indziej.

- Kto?

-Sonia, sekretarka Jacka Bennetta.

Jack chce się z tobą widzieć.

Natychmiast.

Obraz Rebeki pierzchnął.

- Po co?

- spytał zaniepokojony.

167.

- Nie wiem.

Powiedziała tylko, żebyś wziął tyłek w garść i przyszedł.

Korytarz, gabinet.

Nie przerywając rozmowy przez telefon, Bennett wskazał mu fotel naprzeciwko biurka.

Michael usiadł.

W pokoju panował niesamowity porządek.

Jack miał fobię na punkcie porządku: nie potrafił pracować, dopóki wszystkie dokumenty, akta i książki nie leżały na swoim miejscu.

Mikę wiedział o tym od Kim.

A Kim od Soni.

Z drugiej strony nie było wiadomości poufnej.

Jack odłożył słuchawkę.

- Dziękuję, że tak szybko przyszedłeś.

- Sonia powiedziała, że to coś pilnego.

- Niezupełnie.

- Zmarszczył czoło.

- Pracowałeś nad czymś ważnym?

- Nie.

- To dobrze.

- Uśmiechnął się.

Michael też.

Z korytarza dobiegał ryk Grahama wrzeszczącego na sekretarkę.

Naburku stało zdjęcie ładnej blondynki.

Huśtała się na ogrodowej huśtawce, trzymając nakołanach dwóch podobnych do niej chłopców.

Żona Jacka, Liz i jego synowie, Ben i Sam.

Sam nie słyszał na jedno ucho.

Kiedy Liz byław ciąży, Jack miał krótki romans i jako człowiek głębokowierzący uważał, że częściowa głuchota syna jest karą za grzech niewierności.

Liz mocno przeżyła jego zdradę.

Jack ją uwielbiał bał się rozwodu.

Sękw tym, że miał duży temperament seksualny, a od narodzin Sama sypiali z osobą bardzo rzadko.

Przerażała go myśl, że sfrustrowany, może któregoś dnia zbłądzić ponownie i stracić żonę na zawsze.

Max mu to powiedział.

Toi wiele innych rzeczy.

Michael poczuł się nieswojo.

Jak podglądacz.

- Dostaliśmy nowy kontrakt - powiedział Jack.

- Firma komputerowa chce kupić inną firmę komputerową.

Skąd my to znamy?

Jonathan Upham zebrał już materiały wstępne.

Mikę kiwnął głową.

Wszystko jasne.

Pewnie chce, żeby impomógł.

Miał tylko nadzieję, że zlecił kontrakt Jonathanowi.

Nie znosił Belindy.

- Ktoś musisię tym zająć i wybrałem ciebie.

-Mnie?

- Tak.

Oczywiście, jeśli chcesz.

Mike'owi zabrakło słów.

- Chcesz?

-A Belinda?

Myślałem, że.

Jack machnął ręką.

- Belinda się nie martw.

Będą inne kontrakty.

A ten jest dobry.

Pracowałeś nad umową z Digitronem i poznałeś tę branżę.

Masz okazję poznać ją jeszcze lepiej.

168

Michael milczał.

- Przemysł komputerowy ma wielką przyszłość.

Jako nasza wschodząca gwiazda powinieneś skoncentrować się na tym polu.

- Wschodząca gwiazda?

- Tak cię widzimy.

Czekacie wielką karierę.

- Jack zrobił krótką pauzę i dodał: - Ale pewnie o tym wiesz.

Zażenowany Mike spuścił oczy.

Przypomniała mu się rozmowa z Nickiem i Stuartem.

I ta idiotyczna myśl, która go wtedy dręczyła.

Myśl jakże.

prawdziwa?

; - Tak - kontynuował Jack.

- Dzięki temu kontraktowi nabędziesz więcej doświadczenia.

I przy okazji nieźle się zabawisz.

To dobrze.

Chcemy, żeby nasi pracownicy byli zadowoleni.

Miał rację czy nie?

Miał.

Na pewno.

Ale musiał to sprawdzić.

Podniósł wzrok.

- Ja jestem - odrzekł.

Jack się rozpromienił.

- Tylko, że.

Bennett niespokojnie zmrużył oczy.

- Tak?

-Widzisz, odwałam kupę roboty dla Yadeksu; to ci od Jeffa Speakmana.

Przekładałam papierki, poprawiam umowy, słowem rutyna i nuda.

Pora, żeby zajął się tym ktoś inny.

Nie sądzisz?

Jack się zawahał.

Lecz trwało to tylko chwilę.

- Słusznie.

Zostaw to mnie.

Tak, teraz wiedział już na pewno.

Jack Bennett.

Mesjasz.

Ich zbawca.

Człowiek z czarodziejską listą klientów.

Których przekazał mu Max.

I których Max może w każdej chwili przekazać komuś innemu.

Wszystko pasowało.

Dlaczego Kate Kennedy nie udupiła go w precedensach?

Dlaczego Graham Fletcher nie wysłał go do Hull?

Dlaczego niektórzy współpracownicy spoglądali na niego łaskawiej niż przedtem?

I Dlatego, że nie chcieli go rozdrażnić.

Bo gdyby go rozdrażnili, mógłby szepnąć słówko komuś, kto był w stanie przynieść kancelarii niepowetował ne straty.

Naprawdę myśleli, że byłby do tego zdolny?

Poczuł się urażony.

Nigdy.

Przenigdy.

Nawet gdyby powiedział coś Maksowi, ten na pewno nie chciałby.

Na pewno?

Wziął głęboki oddech.

- Jack, bardzo się cieszę, że chcesz mi to zlecić, ale powinna zająć się tym Belinda.

Dlaczego?

Uważasz, że to przekracza twoje możliwości?

169.

- Nie.

-Też tak myślę.

Jesteś dobry.

Bardzodobry.

Zresztą cały czas będę trzymał rękę na pulsie i jeśli wynikną jakieś problemy, chętnie ci pomogę.

- Nie, Jack.

Gdybym wziął ten kontrakt, w kancelarii doszłoby do nieprzyjemnych tarć, czego wolałbym uniknąć.

Sam powiedziałeś: będą inne kontrakty.

Poczekam.

- Naprawdę tak wolisz?

-Tak.

- Cóż.

Dobrze.

- Dzięki.

-Nie ma sprawy.

Michael ponownie spojrzał na zdjęcie.

Liz, Ben, Sam.

Zwykła rodzinai jej tajemnice.

Wyczułna sobie wzrok Jacka i uśmiechnął się z zażenowaniem.

Jack też.

- Dziękuję - powtórzył,

-To ja dziękuję tobie.

Belinda na ścieżce wojennej to koszmarna perspektywa.

- Coś ci poradzę: nawszelki wypadek miej pod ręką ząbek czosnkui osikowykołek.

Roześmiali się.

Jak dwaj kumplez dowcipu.

Jeszcze przed miesiącemby tak było.

Ale nieteraz.

- I daj sobie spokój z Yadeksem.

Jakoś z nimi wytrzymam.

- Skoro chcesz.

Wstał iruszył do drzwi.

- Michael.

„Odwrócił się z ręką na klamce.

- Będziesz widział się z Makssem?

-Tak.

- Pozdrów go ode mnie.

-Dobra.

Korytarz.

I Kate Kennedy pogrążona w rozmowie zewspólnikiem.

Posłała mu przyjazny uśmiech.

Kate, która zauważała ludzi tylko wtedy, kiedyczegoś od nich chciała.

Poszedł napić się wody.

Przy ekspresie do kawy stała Julia, plotkując z jakąś stażystką.

Pomachała mu na powitanie.

Z ulgą przyłączył się do rozmowy.

W niedzielę brat Rebeki Robert robiłgrilla.
Robert mieszkałw domunaprzeciwko Clapham Common.
Michael i Rebekawysiedli przy ClaphamSouth i ostatnią część drogi musieli przebyć
piechotą.

170

Było parneletnie popołudnie.
Od wielu dni nie spadła ani kropla deszczui miasto dusiło się w upale.
Naskwerze roilo się od ludzi bawiących sięzpsami, grających we frisbee, czytających
niedzielne gazety i leżących plackiem na słońcu.

Szli powoli.
Rozmawiali niewiele.
Napięcie po wtorkowej kłótnijeszcz nie opadło.
Rebeka spojrzała w niebo i powiedziała, że wieczorem spadniedeszcz.
Michael bez przekonania kiwnął głową.
Myślami błądził gdzieindziej.

Niepokoila go sytuacja w pracy i chciałby o tym z kimś porozmawiać.
Najchętniej zRebeka, lecz Max był tematemtak drażliwym, że nie śmiał, coz kolei wprawiało
go w złość ibynajmniej nie polepszało atmosfery.

W takim razie z Makssem.
Nazajutrz wieczorem mieli spotkać się w prywatnym klubie pływackim, a potem zjeść
kolację.

Rebeka nie zaprotestowała, lecz wiedząc, co o tym myśli, denerwował się jeszcze bardziej.

Dotarłina miejsce.
Rebeka wcisnęła guzik dzwonka.
Otworzył Robert.
Był w obszernych szortach, hawajskiej koszuli i w ciemnych okularach.
Jużna sam jego widok Michaelowi zrobiło się niedobrze.
Żałował, że przyszedł.
Uciec?
Za późno.

Rebeka cmoknęła brata w policzki dała mu butelkę wina.
- Jak tam?
-Ekstra.

Są już znajomiz pracy, zaraz przyjdą kumple z college'u.
- Dziękuję za zaproszenie - powiedział Michael.
Robert uśmiechnął się złośliwie.

- Fakt, początkowo trochę się wahałem.
Po twoim ostatnimwystępie naurodzinowym przyjęciu ojca miałem powody, prawda?
Ale mojasiostrzyczka mówi, że ostatnio złagodniałeś.
- Robert!

- wykrzyknęła Rebeka.
- Tylko żartuję.

Znasz się na żartach, prawda, szwagrze?

W normalnych okolicznościach Michael puściłby te uwagi mimo uszu, bo nie chciałby
denerwować Rebeki.

Ale ten dzień trudno było nazwać normalnym.

- Jasne - odparł wylewnie.
- A jeśli nawetcoś mi odbije i skopię komuś dupę, pocieszamnie świadomość, że będę miał
ciebie do pomocy.
Rebeka była przerażona.

- Spokojnie- zapewnił ją z uśmiechem Mike.

- My tylko żartujemy.

Nie ma to jak dobry żart.

Prawda, szwagrze?

Robert spochmurniał.

Najwyraźniej nie spodziewał się, że Michael odszczeknie i zabrakło mu celnych ripost.

- Oczywiście - mruknął.

Usłyszeli czyjeś kroki.

Nadchodzili kolejni goście.

- Może wejdziemy?

- rzuciła Rebeka.

1 171.

Robert kiwnął głową.

- Aha - powiedział.

- Emilia tu jest.

Wczoraj wieczorem zadzwoniłam mama.

Bardzo nalegała.

Rebeka zmarszczyła brwi.

- David też przyjdzie?

- Nie.

Wyjechał.

- Będziemy mieli na nią oko.

- Tak - dodał znacząco Michael.

- Poczuj się jak u siebie w domu.

- Co cię napadło?

- warknęła Rebeka, gdy przechodzili przez dom.

- Nie wiesz?

- Czasami cię nie rozumiem.

- Najwyraźniej.

Uraził ją.

I zrobiło mu się przykro.

Ale nie do tego stopnia, żeby ją przeprosić.

Idąc za zapachem dymu i pieczonego mięsa, trafili do maleńkiego ogródka, gdzie tłoczyło się kilkunastu gości w wieku od dwudziestu do trzydziestukilku lat.

Wszyscy pili piwo albo wino.

Ze stojącego na krześle magnetofonu płynęła muzyka Oasis.

Wzięli po stekui dołączyli do kolegów Roberta, których znała Rebeka.

Michael rozejrzał się i dostrzegł Emilię.

Miała na sobie bladoniebieską sukienkę z długimi rękawami.

Na kimś innym wyglądałaby staromodnie, lecz do niej, do jej prerafaelickiej elegancji, pasowała znakomicie.

Sączyła wino, słuchając jakiejś kobiety, która poważną miną snuła wywód na temat londyńskiego rynku nieruchomości.

Emilia z uwagą potakiwała, lecz było widać, że umiera z nudów.

Spotkali się wzrokiem.

Uśmiechnęła się do niego.

On do niej.

Słońce powoli opadało, na trawie kładły się coraz dłuższe cienie, a ponieważ gości było coraz więcej, zajęli nie tylko ogródek, ale i dom.

Michael spostrzegł, że Emilia została sama.

- Pójdę do niej - szepnęła do Rebeki.

I poszedł.

- Dobrze się bawisz?

- spytał, wychynąwszy z tłumu.

- Niezbyt.

- Żałuj, boja wspaniale.

- Naprawdę?

- Jasne.

Ciepłe słońce, ciepłe piwo, miły, ciepły gospodarz.

Czegoż chce więcej?

Roześmiała się cicho, tak jak lubił.

Kiedy ostatni raz zdołał ją rozbawić?

Nie pamiętał.

- Pozwól.

- Sięgnął po butelkę.

- Należę ci ciepłego wina.

- Dzwoniłam do ciebie w piątek.

- Wiem.

Przepraszam, że nie oddzwoniłem.

Miałem fatalny dzień.

172

O nic nie pytała.

Po prostu spojrzała na niego z niepokojem i współczuciem.

Powiedzieć jej?

Nie.

Kilka kroków dalej stała Rebeka.

- Ale już wszystko w porządku - dodał.

Wypiłyk wina.

Smakowało jabłkami.

- Chciałaś coś powiedzieć?

Uciekła wzrokiem w bok.

- O czym?

- Wiesz o czym.

- Jeszcze do niego nie dzwoniłam.

Ale zadzwonię.

Może dzisiaj.

- Zadzwoni.

A jutro przekreśl do mnie.

Nawet jeśli go nie zastaniesz.

- Znowu będziesz miał zły dzień.

- Wszystko jedno.

Przepraszam za piątek.

Naprawdę było fatalnie.

Ale i wiesz, że pamiętałem.

, Uśmiechnęła się.

Powoli, ładnie.

Jakby ujrzał słońce po deszczu.

Bardzo ją lubił.

Zawsze potrafiła wzbudzić w nim to, co najlepsze.

Jak nikt inny.

Popatrzyła ponad jego ramieniem i struchlała.

Poszedł za jej wzrokiem.

Z kuchni wychynęło dwóch wysokich dwudziestokilkulatków, blondyni brunet.

Blondyn był szczupły imiał na głowie czapkę baseballową.

Brunet był potężnie zbudowany, miał nalaną twarz, małe oczy i cienką kreskę zamiast ust.

i, - Ten ciemny to David - szepnęła Emilia.

I David, kumpel Roberta, pracował w towarzystwie ubezpieczeniowym.

': Na początek roku zabrał ją dwarazy na kolację i uparł się, żeby za wszystko zapłacić.

Po drugiej kolacji odprowadził ją do domu, wprosił się nagórę i dał do zrozumienia, że chciałby zostać na noc.

Kiedy odmówiła, stał się napastliwy i wypomnił jej, że kosztowała go dużo pieniędzy.

Kiedy to nie poskutkowało, oznajmił, że nie wyjdzie, dopóki nie pocałuje jej na dobranoc.
I Gdy chciał ją objąć, przestraszona Emilia podrapała mu twarz.
,wpadła w hiI sterię ichciała dzwonić na policję.

Ledwo jej towyperswadował.

Od tamtejpory się nie widzieli.

I Niektórzy - a przede wszystkim Robert - uważali, że jestprzewrażliwio1 na,

żeprzesadza, że nic takiego sięnie stało.

Lecz Michaeldonich nie należeli patrząc, jak Davidżartuje z kumplem, czuł, że jeszcze trochę i trafi go szlag.

Do Emilii podeszła Rebeka.

- Tak mi przykro.

Miało go nie być Chcesz wejść do domu?

- Nie,jakoś wytrzymam.

-I słusznie- powiedział Michael.

-Nie pozwól, żeby bylegnój psuł ciE zabawę.

I Rebeka zaczęła wypytywać ją o pracę.

David szepnął coś do ucha blondkumplowi, a ten natychmiast wślepił się w Emilię.

Ruszyli w stronę barku.

Szli chwiejnie, niepewnie.

Musieli już trochę wypić.

173.

Michael czuł na sobie wzrok Rebeki.

Odpuśćto sobie.

Niczego nie zaczynaj.

Tamci stanęli przy barku.

David znowu coś szepnął i blondyn prychnąłszyderczym śmiechem.

Emilia drgnęła.

Michael zacisnął palce nakieliszku.

Gwar rozmów i odległy szum ulicy tonął w muzyce Petera Gabriela.

David otworzył butelkę piwa.

Teraz z koleikumpel coś szepnęli Davidtracił go łokciem.

Blondynzachwiał się wpadł na Michaela.

- Przepraszam - wybełkotał z szyderczym chichotem.

Rebeka struchlała.

Mikę uśmiechnął się do niej.

On też nie chciał kłopotów.

- Nie szkodzi - odrzekł.

-Jakiuprzejmy.

Blondyn wyraźnie szukał zaczepki, ale Mikę postanowił go zignorować.

Emilia opowiadała Rebecce o nowym autorze, z którym agencja podpisałaumowę.

Drżającej głos.

Michael udał, żetego nie słyszy.

I wtedy David powiedział:

-Uważaj, Al.

Podejdiesz do niej na półtora metra i oskarżysz cię o gwałt.

Dobre intencje przysły.

Michael odstawił kieliszek.

- Myślisz, że jesteś zabawny?

-Mikę!

- szepnęła Rebeka.

- A tobie co do tego?

- spytałzaczepnie David.

- Właśnie - zawtórował mu Al.

- A tobie co do tego?

- Nie wtrącaj się- ostrzegł go Michael.

-Patrzcie, patrzcie!

Taki z ciebie chojrak?

- Aldźgnął gopalcem w pierś.

Mikę roześmiał sięgłośno.

Al zrobił skonsternowaną minę.

Michael chwycił go za jądra, mocno ścisnął, a kiedy tamten piskliwie krzyknął i chwycił się za krocze, odepchnął go na bok i spojrzał na Davida.

- No więc?

- spytał.

-Myślisz, że jesteś zabawny?

Otóż nie,niejesteś.

Zabawne jest tylko twoje bezgraniczne chamstwo.

- Mikę!

- To znowu Rebeka.

Nie zwracał na nią uwagi.

Serce waliło mujakmłotem.

Powoli oddychał przez nos, żeby się uspokoić.

Świńskie oczka Davida pałały wściekłością.

- Niepotrzebnie to powiedziałaś.

Był cięższy od Mike'a i masywniejszy, lecz był też mocno wlany.

Czując, że uniknie fizycznej konfrontacji, Michael szerzej rozstawił nogi.

- Naprawdę?

No i co teraz zrobisz?

Uderzysz mnie jak Emilię?

Nieosiężne.

Myślałem, że bijesz tylko kobiety.

Tamten wypuścił krótkiego haka w głowę.

Mike zrobił unik i dwa razy grzmotnął go w nerki.

David ryknął z bólu i zgiął się w pół.

Mike znieruchomiał, gotów uderzyć ponownie.

- Mike!

Przestań!

- Upokorzona i załamana Rebeka chwyciła go za rękę.

174

Gapili się na niego.

Wszyscy.

Łącznie z Robertem, który stał w kuchennych drzwiach.

Na jego twarzy gościł szeroki uśmiech.

- Wychodzimy - oznajmiła Rebeka, popychając Michaela w stronę domu.

Emilia poszła za nimi.

Robert zaprowadził ich do pustego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Przepraszam, Emilio - powiedział.

- Nie zapraszałem go.

Nie wiem, skąd się tu wziął.

- Kłamiesz!

- krzyknął Mike.

- Zrobiłeś to specjalnie!

- Nieprawda.

Chyba mu nie wierzysz?

Przez chwilę Emilia tylko na niego patrzyła.

Oczymiała puste, twarzą nieprzenikniętą.

Wreszcie powoli pokręciła głową.

Robert przeniósł wzrok na Michaela.

- Lepiej uważaj z tymi oskarżeniami.

Robisz z siebie durnia.

Mike wciąż kipiał złością.

- Uważaj, bo oberwiesz jak tamci.

- Przestań, Mike!

Proszę.

- Rebeka była zdruzgotana.

- Właśnie, przestań - dodał Robert.

- Nie dość zdenerwowałaś Emilię?

- Nikogo nie zdenerwowałem.

- Nie?

To, co zaszło między nią i Davidem, jest jej prywatną sprawą, a ty przed chwilą roztrąbiłeś to wszem i wobec.

Na jej miejscu trochę bym się denerwował.

Wściekłość zaczęła ustępować miejsca wstydowi.

- Przepraszam, Emilio.

- Nie trzeba - szepnęła.

- Mam tylko nadzieję, że nie zepsuje ci to reszty przyjęcia - powiedział Robert.

- Chyba będzie lepiej, jeśli pójdę już do domu.

- Nie dziwię ci się.

Po wyczynach naszego Rambo?

Chodź, odprowadzę cię.

Ruszyła do drzwi.

- Przepraszam - powtórzył Michael, gdy przechodziła obok.

Wciąż milczała, ale w progu odwróciła się, powiedziała bezgłośnie:

"Dzięki" i posłała mu uśmiech.

- Co cię napadło?

- spytała Rebeka, gdy zostali sami.

- Dlaczego go uderzyłeś?

- Sprowokował mnie.

- Nie powinien być do tego dopuścić.

Przemocą nic nie osiągniesz.

Wyszłaś na bandziora.

- To David jest bandziorem.

Mnie bicie kobiet nie podnieca.

Była załamana.

Wrócił Robert.

175.

- Biedna Emilia.

Co ci odbiło?

- Przestań - warknęła Rebeka.

- Dość tej fałszywej troski.

Mnie nienabierzesz.

Zrobił urażoną minę.

- Jak możesz.

I toty, rodzona siostra.

- Zaprosiłeś ją celowo.

To podłe!

Wiesz, jak onasię czuła?

- A kogo toobchodzi?

-Powinnoobchodzić.

- Ale nie obchodzi.

Ani mnie, ani ciebie.

- Tonieprawda!

-Przestań udawać.

To ja, twój brat.

Przedemną nie musisz.

Zapomniałaś już, jak to było w dzieciństwie, kiedy snuła się za nami jak nieprzyjemny zapach?

Tolerowaliśmy ją tylko dlatego, żeby matka się od nas odczepiła.

- Emilia jest moją przyjaciółką!

-Widujesz się z nią, bo masz wyrzut sumienia.

Co to zaprzyjaźni?

- Nieprawda!

-Prawda, i uważam, że to ostatnia głupota.

Mnie wyrzuty sumienia nie dręczą, bo niby dlaczego?

Wiesz co?

- prychnął.

-Czasami myślę, że lubisz odgrywać męczennicę.

- Może i tak - wtrącił Michael - ale lepsze to, niż sprawianie ludziom bólu.

-Myślę, że już pójdziemy - powiedziała szybko Rebeka.

- Martwi mnie twój temperament, szwagrze - rzucił złośliwie Robert.

-Nie musi - odparł Michael.

- Musi.

Mieszkaś z moją siostrą.

- Nic mi niegrozi - warknęła Rebeka,

-Nie?

Zapomniałaś już, co się stało na urodzinach ojca?

Jak byś się poczuła na jego miejscu?

- Rebeki nigdy bym na to nienaraził.

-Zresztą ty to wszystkokuartowałeś - dodała Rebeka.

- Tak samo jak dzisiaj.

W oczach Roberta ponownie rozbłysły złośliwe iskierki.

-Musisz nad sobą panować, szwagrze.

Żeby zrobić karierę, trzeba mieć silne nerwy.

- Dzięki - odrzekł z uśmiechem Michael - ale jeszcze nie upadłem tak nisko, żeby prosić cię o radę.

Iskierkinie zgasty.

- Wiem, dlatego pozwoliłem sobie zacytować Maksa.

Powiedział mi topodczas lunchu, a kto jak kto, ale on się na tym zna.

Michael przestał się uśmiechać.

Nie wierzył własnymusom.

- Jedliście razem lunch?

176

- Tak, w piątek.

Zadzwońirano i zaprosił mnie doekskluzywnej tajskiejrestauracji; nawiasem mówiąc, niedaleko twojej kancelarii.

Siedzieliśmy tamkilka godzin i świetnie się bawiliśmy.

Pytał, czy mam szansęzostać współnikami obiecał mi pomóc.

Umówiliśmy się na przyszły tydzień, żeby to obgadać.

Mikę poczuł się tak, jakbyktoś kopnął gow krocze.

Nieznosił Robertai Max doskonale o tym wiedział.

Zabrakło mu słów.

Wbił wzrok w podłogę.

- Wychodzimy - oznajmiła Rebeka szorstko i chrapliwie.

Milcząc, wyszedł z pokoju.

Dwadzieścia minut później siedzieli w zatłoczonym przedziale metra.

Było dusznoi cuchnęło stęchlizną.

Przepocona koszula lepiła mu się do ciała.

W normalnych okolicznościachtrafiłby go szlag, ale teraz nie zwracał na to uwagi.

Myślał o Maksie i Robercie.

- Dlaczego poszli razem na lunch?

- spytał po raz trzeci.

Rebeka milczała.

- To bez sensu.

Przecież oni się nie znają.

- Już sięznają.

Stacja.

Wsiadło dwóch pasażerów i pociąg ruszył.

W przedziale ponownie zawarczałoi zaklekotało.

- Ale przedtem się nieznali.

Po co Max miałby do niego dzwonić?

- Skąd mam wiedzieć?

-Bzdura, nie mogli dobrze się bawić, nie wierzę.

Nie mają zesobą nicwspólnego.

On nie lubi takich typów jak Robert.

Pociąg zatrzymał się w tunelu.

Klekot ustał i w przedziale zapadła cisza.

- Zupełnie dosiebie nie pasują.

-Zamkniesz się wreszcie czy nie!

- Rebeka poczerwieniała zwściekłości.

Michael aż podskoczył.

Pozostalipasażerowie też.

- Max, Max, Max!

O niczym innym nie mówisz!

Patrzyszna niego tak, jakby z tyłka świeciło mu słońce i mam tego dość!

Wiem, że był dla nas dobry i jestem mu wdzięczna, ale szlag mnie trafił, kiedy widzę, jak
wpięprzają się w nasze życie!

Szkoda, że nie został w tym swoim zasranym Budapeszcie!

Przynajmniej mielibyśmy święty spokój!

Pasażerowie dzielnie udawali, że czytają, że patrzą na reklamy na ścianie, że
przyglądają się swoim butom.

Jakiś nastolatek z trudem tłumił chichot.

Czerwona jak burak Rebeka spuściła głowę.

Michael patrzył na nią bez słowa.

Miał przed sobą zupełnie obcą kobietę, kogoś, kogo widział pierwszy raz w życiu.

W głowie kołatała mu tylko jedna myśl, ciemna i niepokojąca.

Czy ja ją w ogóle znam?

Pozostała część drogi przejechali w milczeniu.

g (2 - Marionetka

177.

Dziewiąta wieczorem.

Tu, w mieszkaniu, ruch uliczny, tak głośny na Streatham High Street, był cichy niczym szept.

Dom- stara kamienica w stylu Edwarda VII - stał w spokojnym zaułku.

Niegdyś jednorodzinny, został podzielony na sześć mieszkań.

Jedno z nich należało do Emilii.

Nie miało korytarza.

Z klatki schodowej wchodziło się prosto do saloniku, a z saloniku do małej kuchni, sypialni i do łazienki.

Emilia siedziała na sofie z telefonem na kolanach.

Robiło się ciemno, ale nie zapaliła światła.

Przez otwarte okno patrzyła na dachy sąsiednich domów i na zapadającą noc.

Powoli wykręciła numer, przytknęła słuchawkę do ucha i położyła palce na widełkach nawypadek, gdyby ktoś odebrał.

Sześć sygnałów.

Napnęła palec.

Ale nie, usłyszała jedynie cichy syk taśmy, a potem jego głos.

Miękki, łagodny głos, który ranił ją jak strzyżenie nóż.

Echo dawnego życia.

Piętnożycia obecnego.

Symbol tego, co straciła.

Odłożyła słuchawkę i przeczesła ręką włosy.

Długie, grube i gęste.

Włosy jej matki.

Była jej ulubienicą.

Słyszała to całe życie.

Wszyscy próbowali ją pocieszyć, zapominając, że matkę mogła widywać jedynie w snach.

Powiodła wzrokiem po saloniku.

Tanie meble, szary dywan, białeściany.

Mieszkanie było bardzo skromnie urządzone, ale należało do niej.

Tylko do niej.

Tu mogła ukryć swoje tajemnice.

Tu nie musiała żyć w ciągłym strachu przed ośmieszeniem, pogardą i szyderstwem.

Marzyła o takim miejscu od dzieciństwa i po tym, co przeszła, dobrze było wiedzieć, że niektóre marzenia się spełniają.

Lecz niedawno zdała sobie sprawę, że nie tego pragnęła.

Bo chociaż mieszkanie było małe i ciasne, czasami, gdy siedziała tu sama, wydawało się, że olbrzymie jak katedra.

Jak pusta hala, którą mógł wypełnić tylko ktoś, kto by z nią zamieszkał.

Thoreau napisał, że wielu ludzi żyje w cichej rozpacz.

Ona żyła w otępiełej rezygnacji.

Była sama, odkąd skończyła siedem lat.

Przywykła do samotności, a przynajmniej uparcie to sobie wmawiała.

Lecz czasami poczucie pustki zżerało ją od środka niczym rak, zabijając duszę i chęć życia.

Z góry dobiegł jakiś hałas.

Sąsiedzi mieli gości.

Patrzyła w mrok, chorząc pragnieniem kontaktu z innym człowiekiem.

Z kimś, do kogo mogłaby należeć, i kto mógłby należeć do niej.

Ty jesteś mój, a ja jestem twoja.

Łączy nas przestarzała więź, której nic nigdy nie rozewnie.

Ponownie wykręcił numer.
I ponownie odezwała się automatyczna sekretarka.
Ze słuchawką przy uchu, patrzyła, jak z nieba spływają ostatnie krople koloru.
178
6
poniedziałek.
Za kwadrans dwunasta.
Rebeka, która pracowała na drugą zmianę, szła Strandem do księgarni.
Wracała z West Hampstead.
Susie, jej szkolna koleżanka, pracownica banku handlowego, wyjechała służbowo do Madrytu i prosiła ją, żeby zaopiekowała się mieszkaniem.
Był piękny lipcowy dzień.
Ludzie szli wolno, ciesząc się słońcem.
Ona się nie cieszyła.
Miała na głowie inne sprawy.
Jak choćby lunch Roberta z Makssem.
Od niedzieli nie mogła znaleźć sobie miejsca.
Nie mogła znieść myśli, że Max chce zaprzyjaźnić się z jej bratem.
Niedość, że zepsuł jej układy z Mike'em, to próbował jeszcze wtargnąć w życie jej rodziny.
Nie chciała tak do tego podchodzić.
Kariera była dla Roberta bardzo ważna.
Rebeka kochała go i pragnęła, żeby odniósł sukces.
Max mógł mu pomóc, więc skąd ta zazdrość, ten gniew, ta podejrzliwość?
Powinna być mu wdzięczna.
Księgarnia.
Zeszła na dół skręciła doszła na zaplecze.
- Rebeko!
- Biegła ku niej szeroko uśmiechnięta Klara.
- Co się stało?
- Chodź, zobacz.
Zaprowadziła ją do biura.
Na podłodze stały pudła z najnowszymi nabytkami, naburkująco piętrzyły się terty zapowiedzi wydawniczych, którym mizasy pywali ich agenci.
W kącie stał stół.
Na stole komputer.
A obok komputera leżał brzydlawy bukiet białych lilii.
Lilie, jej ulubione kwiaty.
Przed czterema miesiącami, po wyjątkowo
I zaartej kłótni, Michael przysłał jej podobny bukiet i list, w którym przeproszał i zapewniał, że bardzo kocha.
Od tamtej pory się nie kłócili.
Do teraz.
Zalała ją falami ciepła.
- Jakie piękne.
- Musiały kosztować majątek.
- Nie powinien być taki rozrzutny.
- Nie jesteś zaskoczona?
- Trochę - odrzekła, czując, że się rumieni.
- A co dopiero ja?

Boże, nie mogę w to wierzyć.

- Klara też się zarumieniła.

- Myślisz, że mi się podobam?

- Komu?

- Jak to komu?

Somertonowi.

"Z podziękowaniem za nowych lokatorów".

Tak napisał, ale ten bukiet, i w ogóle.

179.

- Dostałaś go od Maksa?

-Nie, on pewnie tylko tak.

Nie dlapsa kiełbasa.

Z drugiej strony, ktowie?

Może do niego zadzwonić?

Rebeka pokręciła głową.

Słyszała tylko pulsowanie krwi.

- Chyba powinnam.

Żeby podziękować.

- Nie.

-Ale on wyraźnie chce.

Gdyby nie chciał, po co dołączałby liścik?

-Zachichotała jakdzierlatka przed pierwszą randką.

- Jest ode mnie starszy, to fakt, ale ma naj seksowniej } szy głos, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Łup-łup-łup- coraz głośniejszy, coraz silniejszy.

Omam nie rozsądziło jej głowy.

- Kiedy zaprosił cię na lunch, myślałam o nim całe popołudnie żałowałam, że nie jestem na twoim miejscu.

- Znowu zachichotała.

-Zadzwonię.

Nigdy nie wiadomo.

- Nie!

Klara drgnęła i znieruchomiała.

- To tylko kwiaty.

To nic nie znaczy.

Wierz mi, nie jesteś w jego typie.

Jeśli zadzwonisz, wyjdiesz na idiotkę.

Urażona Klara zbladła jak ściana.

- Rozumiem.

;

Wstyd.

Co za wstyd.

Była dobrą przyjaciółką i nie zasługiwała na takie słowa.

Chociaż to właśnie ona znalazła im to przeklęte mieszkanie.

- Przepraszam.

Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało.

Ale on już kogoś ma i nie powinnaś robić sobie nadziei.

Klara kiwnęła głową.

- Cóż, miło było pomarzyć - odrzekła z chłodną godnością.

- Pójdź zmienić Keitha.

Pewnie ma dość.

- Wyszła.

Rebeka wbiła wzrok w podłogę.

Jakże się nienawidziła.

Ale jeszcze bardziej nienawidziła Maksa.

Nienawidziła go i nie potrafiła przed nim uciec.

Nie mogła uciec przed kimś, kto z taką łatwością wdzierał się w każdy aspekt jej życia.

Popatrzyła na kwiaty.

Chociaż były zapakowane, pachniały tak mocno, że dławilo ją w gardle.

Apennine Club mieścił się w wysokim szarym budynku przy Berkeley Square.
Był to prywatny klub z pokojami do wynajęcia, restauracją!
barem.

Personel, a zwłaszcza starzy jak świat kelnerzy, wypełniali swe obowiązki apatycznie, acz z wyszukanyimi manierami.

Członkami klubu byli głównie zagraniczni biznesmeni, którzy przedkładali staromodny czar nad bezosobową wydajność hotelowej obsługi.

Max zapisał się do Apennine przed dwudziestu laty tylko dlatego, że jego biuro mieściło się wówczas przy Berkeley

180

Square.

Chociaż już dawna nie miał z tą okolicą nic wspólnego, bywał tam z czystego sentymentu.

i Basen był w podziemiach.

Kamień marmur, jak w starożytnym willi.

Mozaikane dnie przedstawiała skaczące przez fale delfiny.

Siedzący na brzegu Michael próbował je policzyć, lecz przeszkadzała mu wzburzona woda.

Max wciąż pływał.

Ruchy miał długie, pewne i silne.

Natomiast rozleniwiony Mike czuł się jak kryba wyrzucona na piasek.

Zawsze tak było.

Radośnie wskakiwał do basenu, mknął jak strzała przed siebie, szybko się spalał, a potem już tylko patrzył, jak wyprzedzają go starsi.

Na przykład Max.

Zadrżał.

W podziemiach było chłodno, a krople wody na nagiej skórze chłoneły ciepło jak gąbka.

- Dlaczego nie pływasz?

- Max przytrzymał się drabinki.

- Mam dość.

Wskakuj.

Pościgamy się.

Mike pokręcił głową.

- Nie masz ochoty?

- Uhm.

- Nic dziwnego.

- Bo?

- Bo jesteś nabzdyczony.

Co się stało?

Mógłby mu powiedzieć, ale chciał, żeby Max sam przyznał się do błędu.

To dziecinne, ale tak wołał.

Wzruszył ramionami.

- Chodź.

Tylko dwie długości basenu.

Potem pogadamy.

Niechętnie wśliznął się do zimnej wody, zaczepiając o coś palcem u nogi.

Skrzywił się z bólu i zaklął pod nosem.

- Gotowy?

- spytał Max.

- Tak.

- Wystarczy dziesięć sekund?

- Dziesięćsekund czego?
- Forów.
- Nie potrzebujęforów.
- Max uśmiechnął się prowokacyjnie.
- Chcesz wygrać bez forów?
- I wygram.
- W takim razie trzy.

Licz.

Michael spojrział na drugi koniec basenu i nagle zapragnął wygrać.

Wziąłgłęboki oddech i napiął mięśnie.

- Raz.

Dwa.

Trzy!

181.

Zanurkował, przepłynął kilka metrów pod wodą, wynurzył się i przeszedł na cawla.
Wpadł w rytm, oddychając cocztery podciągnięcia rękami zostawiając Maksa w tyle.

Jedną długość basenu miał już za sobą.

Ściana, nawrót przewrotką.

Zrobił to za szybko, za gwałtownie i do głowy uderzyła mu krew.

Lekko oszołomiony i zdezorientowany próbował odzyskać rytm, ale opił się wody i żołądek podjechał mu do gardła.

Bezsilnie walił nogami, tracąc szybkość i patrząc, jak Max go wyprzedza.

Był zły i poniżony.

Max nie miał nawet zadyszki.

- No i kto wygrał?

- Schrzanilem nawrót.

Na jego ustach zagościł ten sam prowokacyjny uśmiezek.

- Trochę boli, co?

Nerwy, Mike.

Nerwy trzeba trzymać na wodzy.

Podpuściłem cię.

Jeśli dasz się podpuścić, przestaniesz nadsobapanować, a wtedy każdy ci dokopie.

- Uśmiechnął się z czułością.

- I co ja mam z tobą zrobić?

Tak łatwo cię sprowokować.

Ale chyba już o tym wiesz.

Wiedział.

Robert też mu udowodnił.

- Przestań mnie wreszcie pouczać, dobra?

Max cichutko zagwizdał.

- Jasne.

Idę się przebrać.

Zostań, jeśli chcesz.

Propozycja była kusząca, ale nie: Max musiał go przeprosić.

Mike wyszedł na brzeg.

W przebieralni było tylko dwóch starszych panów, którzy właśnie zamykali szafki.

Otoczony zapachem potu i brudnych ręczników, usiadł, nałożył koszulę i zaczął zmagać się ze spinkami do mankietów.

- Musisz więcej ćwiczyć.

- Max już się ubrał i był gotowy do wyjścia.

- Naprawdę?

- Znowu się wkurzasz.

Spokojnie, to nie krytyka.

- Pracuję od rana do nocy.

- Mimo to powinieneś znaleźć czas.

W zdrowym ciele zdrowy duch.

- Czy to kolejna złota myśl, którą podzieliłeś się z Robertem?

- Aha, już rozumiem.

To dlatego jesteś w parszywym humorze.

Michael wrzucił ramionami.

Spinkanie chciała przejść przez dziurkę.

- Uważasz, że powinienem był cię uprzedzić?

- Co mi do tego?

Totwoje życie.

Robisz,co chcesz.

Max westchnął.

- Och, Michael.

-Przestań!

Wiesz, jak się czułem,kiedy z tym wyskoczył?

- Zdumiałogo rozdrażnienie,z jakim to powiedział.

To samo rozdrażnienie, któresłyszał wgłosie Rebeki, gdy kłóciła się z rodzicami.

Rozdrażnienie podsycone frustracją,że matkai ojcietraktują ją jak dziecko, chociaż jest już

182

doroślą kobietą.

Nie przypuszczał, że kiedykolwiek doświadczytego samego.

- Nie wiem.

- Max usiadł na ławce naprzeciwko.

Może mi powiesz?

- Niedomyślasz się?

-Gdybym się domyślał, o nic bym cię nie pytał.

Mike zapiałjedną spinkęi sięgnął podrugą.

- Wiesz, że go nie znoszę.

-Wiem też, że Robert jest bratemRebeki.

Bardzo lubięRebeke.

KiedyUjedliśmy razem lunch, dużo o nim opowiadała.

Mam znajomości chcęmupomóc.

- Prosiła cię o to?

Nie.

- Nie bezpośrednio.

-Pośrednio też nie.

- Pomogę mu tak czy inaczej.

Czy to zbrodnia?

Michaelnie odpowiedział.

- Czy Rebeka jest niezadowolona?

Niezadowolona?

Delikatnie powiedziane.

Już otwierał usta, ale ugryzł się w język.

Dyplomacja to sztuka milczenia.

Pokręcił głową.

- Świetnie.

Sam widzisz, że dobrze zrobiłem.

Mike wziął głęboki oddech, dławiąc się cuchnącym powietrzem.

- Szkoda tylko, że mnie nie uprzedziłeś.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

- Teraz już wiesz.

-Tak, terazjuż wiem.

- Wbił wzrok w podłogę, pragnąc jakiegoś pocieszenia i nie wiedząc, jak o nie poprosić.

Żart.

Postanowił zażartować.

-Jesteś bardzo dzielny iszlachetny.

Dwie godziny z tym samochwałą?

Nie każdy to wytrzyma.

- Jesteś dlańiego za surowy.

Nie było tak źle.

Jest trochę za bardzo zadowolony z siebie, ale miło się nim rozmawia.

Umiął dogryźć, oj, umiał.

- Milej niż ze mną?

- Wiesz, kiedy jesteś w takim nastroju.

- Nie znasz go tak dobrze jak ja.

- Może w środę poznam go lepiej.

- W środę?

- Jesteśmy umówieni.

- Zawiesił głos.

- Chyba, że masz coś przeciwko temu.

Michael nie odpowiedział.

- Rozumiem, że nie.

- On wykorzystuje ludzi.

- Mike, wszyscy ich wykorzystujemy.

Jeszcze na to nie wpadłeś?

183.

Poczuł się jak naiwne dziecko.

Jak dziecko potrzebujące ochrony przed zewnętrznym światem.

Nie- pomyślał.

Po moim trupie.

Jajestem silniejszy.

Potarł skaleczony palec nogi.

- Musisz go opatrzyć - powiedziała łagodnie Max.

- Chyba tak.

- Jak tylko wrócisz.

Wda się infekcja.

Druga spinka.

Nie wiedzieć czemu, był bardzo zmęczony.

Dzień minął spokojnie.

Punktem kulminacyjnym było kolejne SOS od Alana Harrisa z centrum prawniczego w Bethnal Green.

Mike chciał zlecić sprawę Nickowi Randallowi, ale Nick był zawałony robotą i zaproponował, żeby wciągnąć do spisku niejaką Catherine Chester.

- Można jej zaufać - mówił.

- Nikomu nie powie.

Oby.

- Jack jest ostatnio jakiś taki.

dziwny.

- To znaczy?

- Ostrożny.

Jakby bał się, że jeśli mnie wkurzy, pójdę na skargę do ciebie, a ty dasz mi nauczkę.

Głupie, co?

Max nie zareagował.

- Głupie, prawda?

- Bardzo.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

Ukrył rozczarowanie.

- Tak myślałem.

Cisza.

- Posłuchaj, coś mi wypadło - powiedział w końcu Max.

- Moglibyśmy odpuścić sobie kolację?

- Oczywiście.

- Był zbyt dumny, żeby okazać, jak bardzo jest zawiedziony.

- Pójdziemy innym razem.

- Jasne.

Wyszli z przebieraalni.

Przechodząc przez Berkeley Square, zobaczył czerwony sportowy samochód.

Harrington też miał sportowy samochód, taki z opuszczanym dachem.

Pamiętał, jak siedząc z przodu z torebką cukierków na kolanach, wystawiał twarz do wiatru i krzyczał z podniecenia, podczas gdy Harrington, wysoki, łysiejący mężczyzna o łagodnej twarzy, uśmiechał się do niego pobłaźliwie zza kierownicy.

Harringtonowie.

Drzemiące od lat wspomnienia nagle ożyły ostatniomyślał o nich codziennie.

O czułości, jaką go obdarzyli, o poczuciu bezpieczeństwa, o Nigelu, który mu to wszystko odebrał.

Tak samo jak Robert mógł odebrać mu Maksa.

Stał i patrzył za samochodem, dopóki maszyna nie zniknęła mu z oczu.

Wtorek.

Rebeka szła na lunch.

Od tygodnia każdą przerwę w pracy poświęcała na zakupy urodzinowe dla Mike'a.

Wszystko było zapięte na ostatni guzik.

Urodziny wypadły w czwartek.

Wielki dzień.

Zaplanowała cichy, intymny wieczór tylko we dwoje.

Po południu chciała wziąć wolne i ugotować ajdarskie curry.

Przepis zalecał tak dużą ilość chili, że na samą myśl o tym, paliło ją w brzuchu, ale ponieważ Mike miał żołądek z betonu, była pewna, że zje wszystko i poprosi o dokładkę.

Po kolacji otworzy prezenty, a potem obejrzą razem film.

Całą sobotę chodziła po sklepach, polując na Wesolą wdówkę von Stroheima z Mae Murray w roli głównej.

Już miała zrezygnować - była pięć po południu - gdy znalazła kasety w małym sklepie przy Tottenham Court Road.

Jeśli Michael będzie chociaż w połowie tak zachwycony jak ona wtedy, prezent na pewno się uda.

Nie mogła się już doczekać czwartku.

Martwiła się tylko, że Max znów wszystko zepsuje.

Ale poprzedniego wieczoru jej obawy trochę zniknęły.

Mike wrócił do domu wcześniej niż zapowiadał, w dodatku po jego minie poznała, że spotkanie z Maksem poszło fatalnie.

Nie skomentowała tego ani słowem, ale miała ochotę tańczyć z radości.

Potem zadzwoniła Emilia i zaprosiła ich na przedurodzinowy drinka.

Zaproponowała środę i zgodzili się tym chętniej, że wciąż mieli wyrzut sumienia po grillu u Roberta.

Może nawet zaproszą George'a, kumpla Michaela.

Ostatnio była zbyt zajęta, żeby zrobić jakąś imprezę u siebie, mimo to bardzo chciała przedstawić go Emilii i nadarzała się doskonała okazja.

Trafalgar Square, Piccadilly Circus.

Trochę pochlodziło i miło było spacerować bez konkretnego celu.

Ale gdy dotarła do Piccadilly i skręciła w Burlington Arcade, zdała sobie sprawę, że dobrze wie, dokąd idzie.

Cork Street.

W galerii Hampton Connaught trwała wystawa polskiego malarza, którego nazwisko znała, ale którego prac nigdy dotąd nie widziała.

Po chwili wahania otworzyła drzwi i weszła.

W środku było zupełnie pusto, nie licząc elegancko ubranej pary w średnim wieku i atrakcyjnej Azjatki za ladą.

Rebeka przyjrzała się obrazom, ciemnym akrylom na płótnie.

Z bliska były bezładną plątaniną kształtów, ale wystarczyło zrobić krok do tyłu i natychmiast ożywały, układając się w oszałamiająco piękne wizje.

Co za talent.

Talent tak wielki, że aż irytujący.

Jej prace były znacznie mniej nowatorskie - jak będą wyglądały na tych ścianach?

- Czy my się kiedyś znamy?

Patrzyła na nią kobieta zza lady.

Eleganckoubrana para zniknęła.
185.

- Chyba nie - odrzekła Rebeka i w tym samym momencie zdała sobie sprawę, że już ją gdzieś widziała.

Tylko gdzie?

- Czy nie studiowała pani w St Martin's?

- spytała Azjatka.

- Tak.

-Tak myślałam.

Malarstwo, prawda?

Ja też.

Była pani na niższym roku.

- Świat jest mały - odrzekła z uśmiechem Rebeka.

-Jak się pani wiodło po dyplomie?

- Nieźle.

- Miała ochotę powiedzieć jej o wystawie.

-A pani?

- Już nie maluję.

W college'u nauczyli mnie jednego: że nigdy nie będąc tyle dobra, by wyrobić sobie nazwisko.

Rebeka poczuła się niezręcznie.

- Przykro mi.

-Niepotrzebnie.

I tak brakowało mi pasji.

Mam na imię Indira.

- Rebeka.

-Rebeka.

Blake?

Już otworzyła usta, żeby powiedzieć "Tak", lecz zażenowana zmieniła zdanie.

- Nie.

-Zna ją pani?

- Znałam, ale tylko trochę.

Dlaczego?

- Bierze udział w październikowej wystawie.

-Naprawdę?

Widać, jej się powiodło.

- Powiedzmy odrzekła ze śmiechem Indira.

Usłyszały czyjeś kroki.

Przed drzwiami przystanąły dwie starsze kobiety.

Oglądały plakat.

Wydawało się, że zaraz wejdą, ale nie.

Poszły dalej.

- To znaczy?

-Ma wystawiać sześciu malarzy.

Pięciu namierzyliśmy już w zeszłym roku, po letnich plenerach, ale szukaliśmy szóstego.

Dwa miesiące temu dostaliśmy ciekawe slajdy od młodej dziewczyny ze Siadę.

Pojechałam obejrzeć jej prace i były fantastyczne.

Naćpany William Blake, wyobraża to pani sobie?

Namówiłam Richarda, właściciela galerii, żeby też je obejrzał.

Pojechał i zważyło go z nóg.

Zaproponował dziewczynie uczestnictwo w wystawie, a ona naturalnie się zgodziła.

I nagle, kilka tygodni temu, przyszła przyjaciółka Richarda z nowym mamantem. Okazało się, że facet jest krewnym Rebeki Blake, chyba teściem. Tak czy siak, chciał, żeby Richard wystawił jej prace. Obejrzelismy ją.

Były niezłe, ale bez polotu, więc powiedzieliśmy, że mamy już komplet.

I wtedy teściu wyjął portfela i przekazał bankowy płaćny w dniu otwarcia wystawy. Zagwarantował również, że wszystkie obrazy synowej zostaną wykupione bez względu na cenę.

Skutek był taki, że William Blake w spódnicy dostał kosza, a jego miejsce zajęła Blake Rebeka.

186

Rebeca zaschło w gardle.

- Ile zapłacił?

- Dużo.

- Pięćset funtów?

- Wzięła kwotę z powietrza.

Indira wybuchnęła śmiechem.

- Proszę dodać dwa zera.

- Żartuj pani!

- Absolutnie.

Nie warto się denerwować, takie rzeczy się zdarzają.

Ale fakt, było mi trochę smutno, bo czułam się jak odkrywczynie nowego Williama Blake'a, a ona myślała, że los się do niej uśmiechnął.

Bardzo to przeżyła.

- Nic dziwnego.

- Zabrzmiało to jak najcichszy szept.

- Jest młoda, ma czas.

Na pewno zrobi karierę.

Tacy jak ona zawsze wpływają.

Drażni mnie tylko to, że miernota z dużą forszą wypycha z kolejki ludzi naprawdę zdolnych. Cóż, robimy to dla pieniędzy: Richard powiada, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

Rebeka bez słowa kiwnęła głową.

- Dobrze się pani czuje?

Bardzo pani pobladła.

- Muszę już iść.

Przepraszam, że zajęłam tyle czasu.

- Ależ skąd.

Proszę zostać, zaparzę kawę.

Rebeka nie odpowiedziała.

Z trudem zachowując spokój, wyszła na ulicę.

Podczas gdy ona rozmawiała z Indirą, Michael siedział przy biurku, wpatrując się w telefon.

Rano zadzwonił do Maksa i pan Laszlo poinformował go, że Maksa nie ma, ale że wkrótce wróci.

"Powie mu, że by natychmiast oddzwonił".

Mijały godziny, a telefon uparcie milczał.

Michael wyszedł po kawę.

Czekając, aż zagotuje się woda, usłyszał, że woła go Jack Bennett.

- Mike, mam umowę ubezpieczeniową klient z Bristolu.

Przejrysz?

- Jasne.

-Świetnie.

- Podał mu dokument.

-Sonia założyła już akta, przekaże ci szczegóły.

- Dobra.

Jack odwrócił się, żeby odejść.

Podwplywem nagłego impulsu, zaskoczony tempem rozmowy Michael postanowił ją przedłużyć.

- Widziałem się wczoraj z Makssem.

-Tak?

- Przekazałem mu pozdrowienia.

-Dzięki.

- On też cię pozdrawia.

Jackkiwnął głową.

- Był w świetnej formie.

-To dobrze.

t 187.

- Poszliśmy do Appennine Club.

Niesamowite miejsce.

Zupełnie jakz Dickensa.

- Uważnie obserwował jego twarz.

Ostatnim razem Jack byłbardzo przymilny.

Teraz ani trochę.

A może totylko paranoidalne przywidzenia?

- Świetnie się bawiliśmy.

Jack spojrział na zegarek.

Mike poczuł siętak, jakby oberwał od niego twarz.

Skoro zaczynał tracić względy Maksa, Bennettmógł sobie pozwolić na kilka policzków.

- Byłeś tam?

To niedaleko.

- Mike, przepraszam cię, ale za chwilę mam ważnąrozmowę z Chicago.

Cieszę się, że dobrze się bawiliście.

Zdążysz przejrzeć umowę do czwartku?

- Jasne.

Jack szybko odszedł.

Rozmowa z Chicago.

Po prostu.

Towszystko wyjaśniało.

W takim razie dlaczego Max nie oddzwonił?

Bo coś go zatrzymało.

Zarazzadzwni.

Nic się nie zmieniło.

Nic.

Absolutnie nic.

Mimo to, niepokój pozostał.

Szósta.

Rebeka weszła domieszkania.

Zamknawszy drzwi, wzięła głęboki oddech, filtrując powietrze nozdrzami,by wychwycić zapach papierosowego dymu.

Robiła to, ilekroćwracałado domu.

Szukała śladów jego obecności.

Śladów obecności człowieka, który okazałjej tyle życzliwości.

Który zapłaciłmajątek, żebypomóc jej w zrealizowaniu ambicji.

KtóryzdominowawszyMike'a, próbował uzależnić od siebie jej przyjaciół i członków rodziny.

Którywzbudzał w niej więcej nienawiści niż ktokolwiek innyw jej dotychczasowym życiu.

Nie mogło tak dłużej być.

Musiała coś zrobić.

Ale co?

7

Środa, kwadrans po siódmej wieczorem.

Rebeka szła Strandem do pubu,w którym się umówili.

Szła.

szybko, chcąc dotrzeć tam przed Michaelemi opowiedzieć Emilii otym, czego dowiedziała się w galerii sztuki.

Musiała komuś powiedzieć.

Po prostu musiała.

Najchętniej zwierzyłabysię rodzicom, ale, niestety, wyjechali.

Zaraz po rodzicach był Robert, lecz

188

zdeenerwowana jego nagłą przyjaźnią z Maksem, wiedziała, że rozmowa doprowadziłaby do kłótni.

Po Robertcie była Emilia, po Emilii Loma, ale gdy zadzwoniła, żadnej z nich nie zastała w domu.

Pozostał jej tylko Mike.

W normalnych okolicznościach pomyślałaby najpierw o nim.

W normalnych, ale nie w tych.

Sytuacja była zbyt delikatna.

Zamierzała wykorzystać jego urodziny do usunięcia rys, które pojawiły się w ich związku, i nie chciała tego zepsuć, mówiąc mu o czymś, co wzięłoby za kolejny dowód wielkiej dobroci Maksa.

Zakładając oczywiście, że jeszcze o tym nie wiedział.

Dlatego postanowiła zwierzyć się Emilii.

Robił to z wielkimi oporami.

Była tak dumna, że jej obrazy są dobre na tyle, by zawisnąć w renomowanej galerii.

Teraz musiała przyznać, że zawdzięczał to jedynie pieniądzom Maksa.

Była jednak zbyt zaniepokojona, by zachować te obawy dla siebie.

Weszła do pubu, wielkiej, gotyckiej sali o wysokim suficie i ciemnym, sepejnym wystroju, którego nie zmieniono od czasów, gdy mieścił się tam bank.

Przy barze kłębił się tłum młodych japiszonów rozprawiających o triumfach dnia.

Wypatrzyła Emilię i stwierdziła, że Mike ją uprzedził.

- Emilia postawiła szampana.

- Podaj jej kieliszek.

Podziękowała przyjaciółce i przeniosła wzrok na Michaela.

- Miałeś być później.

Odwołał spotkanie.

- Wypił do dna i sięgnął po butelkę.

- Rozmawiałaś dzisiaj z Robertem?

- Nie.

Dlaczego?

- Po prostu pytam.

- Nie rozmawiałam.

Robił wrażenie rozczerwanego.

Tego dnia brat miał widzieć się z Maksem i wiedziała, że myśl ta bardzo go niepokoi.

Tak samo jak ją.

- Tłoczno tu - zauważyła Emilia.

Mike wychylił kolejny kieliszek szampana.

Nigdy dotąd tak szybko nie pił.

- I głośno - dodała Emilia.

- Możemy pójść gdzie indziej?

- zaproponowała Rebeka.

- Powiedziałam barmance, że pijemy z okazji urodzin.

Mówi, że możemy przejść do sąsiedniej sali.

Tam, na zapleczu.

Zajrzymy?

- Dobrze.

Bar, obok baru drzwi w płytkiej niszy.

Rebeka weszła do środka za Emilią.

Pomieszczenie tonęło w ciemności.

- To na pewno tu?

-Niespodzianka!

Zapaliło się światło.

Rebeka rozejrzała się i szybko zamrugła.

Nie wierzyła własnym oczom.

189.

Pośrodku sali stał olbrzymi stół, a wokół niego zbity tłum ludzi. W masietwarzy dostrzegła twarz Klary, Łomy i jej chłopakaPhila, Lizy i Johna,twarz George'a i Tima, z którym Mikę przyjaźnił się od czasów college'u,twarz Stuarta i jego aktualnej dziewczyny Heleny.

A przed nimi wszystkimi stał Max.

Zszerokim uśmiechem postąpiłkrok naprzód.

Myśląc, że chcejąobjąć, Rebeka omal się nie cofnęła.

Ale nie, podszedł do Emilii i pocałowałją w policzek.

- Dzięki za pomoc.

Bez ciebieby z tego niewyszło.

Rebeka wytrzeszczyła oczy.

- Wiedziałaś?

- spytała piskliwiei szybko zapanowała nadgłosem.

-Mogłaś mnie uprzedzić.

Emilia miała niewyraźną minę.

- Zepsułaabymnieszpodziankę.

-Właśnie - dodał Max, patrząc z uśmiechem na Rebeke.

- Mikę mówiliśmy, że nie mieliście jeszcze zaręczynowego przyjęcia, więc pomyślałem, że nadarzasie podwójna okazja.

Chciałem zrobić wam niespodziankę.

Mam nadzieję, że się nie gniewacie.

Omala nie wybuchnęłaśmiechem.

Oczywiście, że nie mieli zaręczynowego przyjęcia.

Michael nieznosił przyjęć.

Tego rodzaju imprezy odstręczały go bardziej niż ją.

Spojrzała na niego, dziękując Bogu za to, że Maxchoć raz źle rozegrał karty.

I zamarło jej serce.

Wyraz szczęścia na twarzy Michaelabyłniemal żalorny.

Jej przyszłymaż wyglądałjak małe dziecko, które zasnęłoi zapomniawszy o świętym Mikołaju, obudziło się między stertami prezentów podchoinką.

Przyjęcie?

Przyjęcie go nieobchodziło.

Obchodził go tylko jego gospodarz.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- szepnął nieśmiało.

- Nie musisz nic mówić - odrzekł dwornie Max.

- Poprostu dobrze siębaw.

To wasz wieczór.

- Tylko obiecaj - wtrącił George- że niebędzieszgadał o niemych filmach.

Śmiech.

Oklaski.

- Ani o nowych umowach odBennetta- dodał Stuart.

-Odwalcie się ode mnie, co?

- Mikę też się roześmiał.

Wszycysię już śmiali.

Rechotalijak stado żab.

Rebeka stałaobok niego w gronie przyjaciół, czując się jak męczennica rzucona lwom na pożarcie.

Miała ochotę uciec, ale to nie wchodziło w rachubę.

Ona i Mikę byli honorowymi gośćmi.

Podeszli do stołu.

Na każdym talerzu leżała ozdobna wizytówka z tłoczonego papieru.

Stwierdziła, że posadzono ją między Stuartem i chłopakiem Łomą, Philem.

Obok Phila siedziała Loma, potem Max i Klara.

Michaelowi przydzielono miejsce po drugiej stronie stołu, między Emilią i przyjaciółką

190

Maksa Karoliną.

Emilia zasiadła obok George'a.

Rebecce do głowy by nie przyszło, że tych dwoje pozna się w takich okolicznościach.

Roberta nie było.

Może nie został zaproszony.

Może za dużo zjadł na lunch.

Weszli wyfraczeni kelnerzy z przystawkami.

Jak w wielu innych pubach w mieście, serwowano tu jedzenie, którego nie powstydziliby się niejednak ekskluzywna restauracja.

Rebeka dziobała widelcem wędzonego łososia, próbując się uśmiechać, wiedząc, że ma być szczęśliwa, że tego się po niej spodziewają.

Płynął alkohol: szampan, przednie wina, wódka i whisky dlatych, którzy chcieli czegoś mocniejszego.

George powiedział coś zabawnego Emilii, Michael Karolinie.

Nigdy dotąd nie był taki szczęśliwy i odprężony.

Jakżego za to nienawidziła.

Karolinie odrywała od niej wzrok.

Ciekawość mieszała się w jej oczach z współczuciem.

Może wyczuła, że Rebeka ma ochotę wstać i wyjść.

Może ona też miała.

Uprzątnięto talerze.

Czekając na główne danie, Max zapalił cygaretkę.

Nad stołem wykwit!

obłok ciemnego gęstego dymu.

Rebeka odruchowo wstrzymała oddech, żeby nie czuć zapachu.

Nie mogła jednak nie słyszeć jego głosu.

Docierało do niej nie przez gwari śmiech, czystymi melodyjnymi dźwiękami kościelnych dzwonów spływającym zabójczym jadłem.

Tak, był cudownym gospodarzem, niedościgłym mistrzem ceremonii.

Z każdym zamienił kilka słów, każdemu posłał uśmiech tak ciepły, że zauroczony tym gość czuł się kimś wyjątkowym i wyróżnionym, patrzył na niego z podziwem długo po tym, gdy on przestał już zwracać na niego uwagę.

Łomę i Phila spytał o ich zawodowe aspiracje.

Cierpliwie ich wysłuchał, rzucił kilka rad, dodał otuchy, rozbawił żartem i oczarował.

Loma, ta sama Loma, która radziła jej kiedyś wykreślić Maksa ze swego życia, jadła mutera z ręki niczym oswojony ptaszek.

Potem zajął się Klarą, która niebawem zaczęła chichotać jak wtedy, gdy dostała od niego kwiaty.

Podano główne danie.

Kaczkę po kasztelańsku.

Rebeka próbowała jeść, lecz w ustach miała pełno dymu.

Mięso smakowało jak papierosowy popiół, zrobiło jej się niedobrze.

Dopiero za kwadrans dziewiąta.

Boże, jeszcze tyle godzin.

Nie wiedziała, czy to zniesie.

Uprzątnięto talerze.

Swój przykryła serwetką, żeby nie widzieli, jak małożjadła.

Zemdliło ją.

Wypiła szklankę wody mineralnej igłęboko odetchnęła, żeby nie zwymiotować.

Chociaż okna były otwarte, w sali panowała nieznośnaduchota.

Już miała uciec do szatni, gdy wstał Max i wszyscy umilkli.

Max odchrząknął.

- Chciałbym coś powiedzieć, zanim podadzą nam deser - zaczął z uśmiechem.

- Tylko kilka słów, więc nie musicie sięgać po noże.

Odpowiedział mu wesoły śmiech.

191.

- Rebeke i Mike'a mam przyjemność znać od niedawna, ale na pewno zgodzicie się ze mną, że wystarczy jedna chwila, by stwierdzić, jak bardzo są wyjątkowi.

-Dobrze mówi!

- zakrzyknął George.

-Dobrze mówi!

- Goście mu przyklasnęli.

- W trakcie tej krótkiej znajomości bardzo się z nimi zżyłem, dlatego dowód przyjaźni, jaką ich darzę, chciałbym dać im mały prezent.

- Wyjął kieszeni cienką, białą kopertę.

- Roczną prenumeratę "Wiadomości giełdowych"!

- zawołał Stuart.

W sali ponownie wybuchnął śmiech.

Głośniejszy niż przedtem, ochrypli od alkoholu.

Rebeka wbiła wzrok w stół, obawiając się najgorszego.

- Rebeko - kontynuował Max.

- Myślę, że to ty powinnaś ją otworzyć.

Stały jej włoski na karku.

Powolipodniosła głowę.

W wyciągniętej ręce Max trzymał kopertę i uśmiechał się do niej uśmiechem, który pamiętała z ich pierwszego spotkania.

Przybrała stosownie wdzięczną minę.

Nienawisć trawiła ją niczym ogniem.

W kopercie była pojedyncza kartka papieru.

Jakiś.

rachunek?

- Co to?

- spytał Michael.

Wszyscy się na nią gapili, a ona patrzyła na kartkę nic z tego nie rozumiała.

"Cel podróży?

". Coto jest?

- Właśnie, co to?

- rzucił ktoś inny.

- Nie wiem.

-W takim razie pozwól, że wyjaśnię- rzekł Max.

-To rezerwacja miejsc na trzy tygodniowe wczasy na Wyspach Fidżi.

Rezerwacja jest otwarta, więc możecie jechać, kiedy chcecie.

Wiem, jak bardzo chciałaś zwiedzić tę część świata.

Mam tylko nadzieję, że rzeczywistość cię nie zawiedzie.

Przez chwilę w sali panowała cisza.

Potem rozległy się oklaski.

- Fantastyczne!

- krzyknął któryś z gości.

Tak, fantastyczne.

Prezent doskonały.

Nie mogłaby marzyć o niczym lepszym.

Z wyjątkiem tego, by wrócić do dawnego życia.

Spojrzała na Mike'a z nadzieją, że jest oburzony czy choćby trochę zdenerwowany.

Modliła się, żeby był.

Ale nie.

Patrzył na Maksa z pełną oszołomienia wdzięcznością.

- Zadoleni?

- spytał Max.

Boże, Michael, powiedz coś.

Powiedz mu, żeby się od nas odczepił!

Mikę kiwnął głową.

Max przeniósł wzrok na nią.

- Aty?

Patrzyła na kartkę, lecz nic nie widziała.

Litery i cyfry były rozmyte, rozmazane.

Wystarczyłoby krótkie "Dziękuję", jedno słowo, lecz nie mogła go wypowiedzieć.

Nie potrafiła się zmusić.

192

Loma wyciągnęła rękę przez stół i dała jej lekkiego kuksańca.

- I co ty na to, szczęściaro?

Loma, jej przyjaciółka z piaskownicy.

Ta sama Loma, która twierdziła, że tak dobrze ją rozumie.

Wystarczyło kilka odpowiednio dobranych słów, jeden ciepły uśmiech, i już ją podbił.

Tak samo jak podbił Michaela, Roberta i Emilię.

Jak mógł podbić każdego.

Tama pękła.

- Nie możesz tego zrobić!

Wstała i porwała kartkę na strzępy.

- Nie możesz wkupywać się w nasze życie!

Za kogo ty się, do diabła, uważasz?

Gości zatkało.

Max przestał się uśmiechać.

- Przepraszam.

- zaczął.

- Nie chcemy twoich przeprosin!

Ani twoich prezentów!

Chcemy tylko, żebyś dał nam święty spokój!

- My?

- spytał Max, patrząc na Michaela.

- Ty też tego chcesz?

Michael zbladł jak ściana i wbił wzrok w stół.

- Jeślitak, wystarczy jednosłowo.

- Powiedz mu, Miko!

- krzyknęła.

Spotkali się wzrokiem.

Chwilę siedział nieruchomo, potem pokręcił głową.

Patrzyła nań wyrzutem i potępieniem.

Tak samojak pozostali.

Wybałuszalioczy, zaszokowani jej niegrzeczną reakcją na niezwykle szcudrobliwosćMaksa.

Nie mogąc tego znieść, wybiegłz sali.

Weszła dosaloniku i usiadła na sofie.

Żeby się uspokoić, oddychała głęboko i powoli.

Nie pomogło.

Rozpłakała się.

Mijał czas.

W końcu usłyszała szcęk klucza w zamku i stanął przed nią Michael.
Patrzyła nań takim samym wyrzutem jak w pubie.

- Odejdź -powiedziała.

- Wracaj na swoje przyjęcie.

Tam chcesz być, nie tutaj.

- To było nasze przyjęcie, a tyje zepsułaś.

Co cię opętało?

- To ciebie opętało.

-O czym ty mówisz?

- O nim.

Owinął cię wokół małego palca.

Tak cię zauroczył, że oślepieśninie widzisz, o comu chodzi.

- O nic mu nie chodzi.

Jest naszym przyjacielem.

Wstała.

13 - Marionetka

193.

- Boże, Miko, dlaczego ty tego nie widzisz?

Max macie gdzieś.

Jesteś dla niego kukielką, marionetką.

A on pociąga za sznurki.

- Nieprawda!

- Prawda!

Ten człowiek jest chory, chory na punkcie władzy.

To jakieś zboczenie.

Wkupuje się w czyjeś życie pieniędzmi i czarem, a potem baw się ludźmi jak marionetkami.

- Bzdura!

- Nie!

On już to zrobił.

Obrócił nas przeciwko sobie, a teraz próbuje obrócić mnie przeciwko Robertowi.

Jeden Bóg wie, co zrobi potem.

- Mnie kupił!

- Nie oszukuj się.

On uważa, że nas wszystkich można kupić.

Przynajmniej za mnie dużo zapłacił.

Pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Tyle będzie kosztowała moja wystawa.

Wytrzeszczyłoczy.

- Nie wiedziałeś, prawda?

Pięćdziesiąt tysięcy.

Jeśli mi niewierzysz, spytaj właściciela galerii.

Robert też będzie dużo kosztował.

Ma zostać współnikiem, a to wymaga kontaktów i pieniędzy.

Klara była tania.

Dał jej bukiet kwiatów.

Ale najlepszy interes zrobił na tobie.

Nie musiał wydawać ani funta.

Wystarczyło, że poklepał cię po głowie i pozwolił, żebyś nazywał go tatusiem!

Zaczerwienił się, jakby go spoliczkowała.

Naszły ją wyrzuty sumienia.

Przed dwoma miesiącami nie byłaby zdolna do takiej zjadliwości.

Ale od tamtego czasu dużo się zmieniło.

Wyszedł z pokoju.

Pobiegła za nim.

- Miko, zaczekaj.

Nie odpowiedział.

- Przepraszam.

- Przepraszam?

I myślisz, że to wystarczy?

- Boję się tego, co z nami robi.

- On nic nie robi!

- Robi!

Skaczemy sobie do gardła.

Przedtem nigdy się nie kłóciliśmy.

- Czyja to wina?

Wszystko przez twoją zdrość.

- Co ty mówisz?
Tu niechodź o mnie, tylko o niego.
- Czyżby?
Przełknęła ślinę.
- Jesteś taką hipokrytką.
Ciebie zawsze ktoś kochał.
Rodzice, brat, dziadkowie, ciotki.
Lista nie ma końca.
A ja mam tylko ciebie.
Dopóki się nie poznaliśmy, nie miałem nikogo.
Zawsze żałowałam, że oprócz ciebie nikomu mnie nie zależy, a teraz, kiedy ktoś taki się trafił, nie możesz tego znieść, prawda?
Pokręciła głową.
194
- Ten człowiek traktuje mnie jak syna.
Nie rozumiesz, ile to dla mnie znaczy?
Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak się dzięki temu czuję?
- Oczywiście, że potrafię!
- W takim razie, dlaczego nie cieszysz się razem z nim?
Dlaczego muś wszystko psuć?
- Dlatego, że tym kimś jest on, Max!
Zgoda, przyznaję, że początkowo byłam zazdrosna.
Jeśli mną za to pogardzasz, proszę bardzo, pogardzaj, bo nato zasługuję.
Ale teraz niechodź o zazdrość.
Mówisz, że Max jest naszym przyjacielem, ale się mylisz.
Jego nie interesuje przyjaźń.
Jego interesuje władza.
- Nieprawda.
- Musimy się od niego uwolnić, Mike.
Zanim zabniemy za daleko.
- Wykluczone.
- Musimy.
- Przeczesała ręką włosy.
- Wiem, co do niego czujesz i nie; chcę cię zranić, ale nie mamy innego wyboru.
To niebezpieczny człowiek i chcę, żeby zniknął z naszego życia.
Pokręcił głową.
- Nic nie rozumiesz.
Popadłaś w paranoję.
Miał zimne oczy.
Czuła, że go nie przekona.
Że niema na to żadnej nadziei.
Ale był jeszcze inny sposób.
Zawahała się.
Wiedziała, że jeśli przejdzie na drugą stronę tego mostu, nie będzie odwrotu.
Lecz inne wyjście nie istniało.
- Może i tak - odrzekła powoli.
- Niemniej fakt pozostaje faktem: chcę, żebyś z nim zerwała.
Jeśli nie, ja zerwę z tobą.
- O czym ty mówisz?
- On albo ja.

Wybieraj.

Nie możesz mieć nasobojga.

Zbladł.

- Nie wierzę.

-Zostań tu, jeśli chcesz.

I niech Max dalej orze cię pazurami.

Ale japakuję manatki isię wyprowadzam, jeszcze dzisiaj.

Jeśli ze mną nie pójdziesz, wszystko między nami skończone.

- Żartujesz.

-Tak?

To uważaj.

Wyszła z pokoju z walącym sercem.

W uszach pobrzmiwało jej ostrzeżenie Emilii, że wszystko tym zniszczy.

- Rebeko!

Sypialnia.

Wzięła walizkę.

Stanął w drzwiach.

- Co ty robisz?

-A jak myślisz?

-Otworzyła szufladę i wyjęła stertę bluzek.

- Przestań.

To nie jest zabawne.

195.

Włożyła bluzki do walizki.

- Dopóki czegoś nie znajdę, będę mieszkała u Susie.

Prześlesz mi pocztę, podamci adres.

- Nie możesz mi tego zrobić!

-Ale robię.

Nierozumiem, dlaczego jesteście zdenerwowani.

Przecież masz jego, a on jest o wiele lepszy i szlachetniejszy ode mnie.

Jest pewna, że będzie dla ciebie bardzo dobry, dopóki się nie znudzi, nie zostawię, nie znajdź kogoś innego i nie wyrzuci mu życia do góry nogami.

Chwył ją z ramienia.

- Proszę, nie rób tego.

Coś wymyślę.

Porozmawiam z nim.

Poproszę, żeby się nie narzucał, żeby tak bardzo cię nie przytłaczał.

On zrozumie.

Wiem, że zrozumie.

- Już zapóźno, Mike.

Chodź ze mną.

Kocham cię i chcę z tobą być, ale nim nie przetrwamy.

Musimy się odniegować, to jedyne wyjście.

Wbił wzrok w podłogę.

- Zadzwoń do niego.

Powiedz mu, co postanowiliśmy pójdziemy.

Obserwowała go i miała ochotę krzyknąć.

Początkowo nie zareagował.

Potem powoli pokręcił głową.

- Jak chcesz.

- Zdjęła pierścionek zaręczynowy.

-Masz.

Weź go sobie.

- Dobrze!

Wygrałaś.

Zadzwoń do niego.

Miał w oczach łzy.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- To słuszna decyzja, Mike.

Zobaczysz.

- Przestań - powiedział.

- Przestań.

Nie teraz.

Wyszedł.

Słyszała, jak podnosi słuchawkę i wybiera numer.

Nie drgnąwszy miejsca, nałożyła pierścionek.

Zaryzykowała i wygrała.

Wybrał ją.

"Wybierz cię, i dobrze o tym wiesz.

Ale nienawidzi cię za to, że kazałaś mu wybierać.

A wtedy będzie jeszcze gorzej".

Nieprawda.

Nigdy do tego nie dopuści.

Są silni, przetrwają.

Na pewno?

W pokoju było ciepło, mimo to przeszedł ją silny dreszcz.

Odsunawszyobawy na bok, zaczęła pakować rzeczy.

Swoje i jego.

8

Leniwyponiedziółkowy poranek.

Od feralnego przyjęcia w pubie minęłodwanaście dni.

Michael wrócił z wewnętrznej niasiadówki.

Na sekretarce czekały trzy wiadomości: dwie od klientów, jedna od Rebeki.

Miała nadzieję, że dzień upłynął mu dobrzei obiecywała zrobićna

196

kolację zapiekankę z kurczaka.

Nie znosiła zapiekanki, tymczasem on jąuwielbiał.

Kolejny gest pokoju.

Mówiła szybko i zbyt pogodnie, cowskażywało na lekkie podenerwowanie, i prosiła, żeby w wolnej chwili zadzwonił.

Wolną chwilę miał, jednak zadzwonić, nie zadzwonił.

Przyszła Kate Kennedy, żeby sprawdzić, jak Stuart radzi sobie z precedensami.

Przystanęła przy biurku Michaela i - miłajak przed dwoma tygodniami - zamieniła z nimkilka słów.

Miał ochotępowiedzieć jej, żeby dałasobie spokój, że niejest już osobą wpływową, jaką kiedyś - i krótko - był.

Wszyscy współpracownicy wciąż obchodzili się z nim, jak z jajkiem.

I własnieto byłonajdziwniejsze.

Pod koniec tygodnia Jack Bennett wezwałgo dosiebiei z dobrodusznym uśmiechem na twarzy oznajmił, że dostali nowykontrakt, coś w sam razdlaniego.

"Todla ciebie znakomite doświadczenie -mówił.

- Podniesie twoją rangę".

Mike siedział przed biurkiem, próbującokazywać należny entuzjazm izastanawiając się, czy Jack wie.

Może nie wiedział nic.

Może Max zatrzymał to dla siebie.

Wrócił myślą do rozmowy telefonicznej, którą odbyli tamtego strasznego wieczoru.

Chciał mu wyjaśnić sytuację, szukał odpowiednich słów, byszzybko stwierdzić, że nie musinie mówić.

Max wszystkiego się domyślili przyjął to z wyciszoną godnością.

Było mu przykro, żetak wyszło, i życzyłmu sukcesów wprzyszłości.

"Nie miej wyrzutów sumienia, Mikepowiedział na koniec.

- Zawszewiedziałem, że nasza przyjaźń jestdlaciebie tylko kolejnym etapem życia.

Pora iść dalej".

Możei miał rację.

Mimoto, uczucie było fatalne.

Kate wyszła.

Stuart, jedyny pracownik kancelarii, który był na przyjęciu, patrzył na niego z wyraźnym niepokojem.

Już miał zaproponować wspólny lunch,gdy zajrzała do nich Kimz wiadomością, że w recepcji czeka Peter Brown.

- Kto?

-Peter Brown.

Mike zajrzał do terminarza, ale nie, na ten dzień nikim się nie umówił.

- Napewno czekana mnie?

- Twierdzi, że sięgo spodziewasz.

- Gdzie pracuje?

- Nie wiem.

Mówi, że chodzi o sprawę osobistą, nieo interesy.

W recepcji siedziało mnóstwo klientów.

Wszyscy wgarniturach, wszyscy czytali gazety albo rozmawiali przez telefon.

Spytał recepcjonistkę Petera Browna i wskazała mu młodego mężczyznę wieku około dwudziestupięciu lat.

Miał na sobie trzyczęściowy garnitur i czytałksiążkę w miękkiejoprawie.

Mikepodszedł do niego i powiedział:

- Michael Turner.

Dzień dobry.

197.

Brown wstał i z uśmiechem wyciągnął do niego rękę.

- Miło mi pana poznać.

- Był wysoki, przystojny blondynem i miał w sobie coś z zawodowego modela.

- Macie wspaniałą kancelarię.

- Tak, niezłą.

Przepraszam, ale.

/

- Nie ma pan za wiele czasu.

Rozumiem.

Proszę.

- Podał mu książkę, którą czytał: zbiór opowieści o duchach M.

R. Jamesa.

- Też je lubię.

Zna pan Sheridana Le Fanu?

- Dlaczego mi pan to daje?

- Została w mieszkaniu.

Skonsternowany Michael zmarszczyło.

- Mieszka pan w Camberwell?

- Tak, w kawalerce Maksa Somertona.

- Już ją wynajął?

- Nie miał do tego żadnych podstaw, mimo to poczuł się zdradzony.

Brown kiwnął głową.

- Wprowadziliśmy się w sobotę.

- My?

- Jenny i ja.

Jenny to moja narzeczona.

Max panu nie mówił?

- Nie.

- No to wszystko jasne.

- Brown uśmiechnął się przepraszająco.

- Myślałem, że pan wie.

Znaleźliśmy tę książkę za sofą i Max powiedział, że należy do pana.

Pracuję niedaleko, w banku inwestycyjnym na końcu ulicy, więc zaproponował, że bym wpadł tu i oddał ją panu osobiście.

Myślałem, że pana uprzedził, ale pewnie go nie zrozumiałem.

- Jak dowiedzieliście się o tym mieszkaniu?

- Szef mi powiedział.

Odnajmował nam swoją kawalerkę w Fulham, ale sam musiał się do niej wprowadzić.

Na szczęście wiedział, że Max ma wolne mieszkanie; są przyjaciółmi.

Dzięki temu mamy dach nad głową.

- Poznaliście go?

- Maksa?

- spytał rozpromieniony Brown.

- Tak.

Wspaniały facet, prawda?

- Myśli pan?

- rzucił obojętnie Mikę.

- Absolutnie.

Jest dla nas bardzo hojny.

- Jako?
Brown wzruszył ramionami.
- Po prostu.
- Aledlaczego?
Co takiego zrobił?
- Kiedy się wprowadziliśmy, wpadł do nas z butelką szampana i zabrał nas na kolację.
- Kolacja i butelka szampana?
I to mabyć hojność?
- Wiedział, że jest gryźliwy.
Nienawidził siebie za to, ale nie mógł się powstrzymać.
Brown zrobił zdziwioną minę.
198
- No, nie - odparł.
- Jennyskończyła konserwatorium i chce zostać pianistką, a lena razie pracuje jako kelnerka i udziela lekcji.
Max zna kogoś, kto mógłby jej pomóc.
W tym tygodniuujemy razem lunch, żeby to omówić.
Mike poczuł się tak, jakby oberwał w brzuch.
- Rozumiem.
- Muszę już iść.
Było mi bardzo miło.
Odprowadził go do drzwi.
Uścisnęli sobie ręce.
- Jeszcze jedno - rzucił.
- Dokąd zabrał was na kolację?
- Max?
Do Savoy Grilla.
Był pan tam?
Mike z trudem przełknął ślinę.
- Tylko raz.
Wrócił do biura.
Stuarta już nie było.
Zostawił wiadomość, że poszedł na lunch z Nickiem Randallem i prosił, żeby Mike się do nich przyłączył.
Na telefonie mrugało czerwone światełko.
Kolejna wiadomość od Rebeki.
Wciąż miała zbyt pogodny głos i po raz drugi prosiła go o telefon.
Podniósł słuchawkę, lecz zaraz ją odłożył.
Lepiej trochę odczekać.
Mógłby po wiedzieć coś, czego później by żałował.
i Spojrzał na książkę, którą przyniósł mu Brown.
Nie pamiętał, żeby taką mieli.
Niewykluczone, że należało do poprzednich lokatorów, do Alison i Neila.
[Dołączył do Stuarta i Nicka, którzy zamówili już zapiekankę kurczaka.
'Poszedł wichślady.
Środa, pora lunchu.
Rebeka była w połowie Fleet Street, gdy usłyszała, że ktoś ją woła.
Odwróciła się i ujrzała zdyszana Emilie.
- Dzwonię do ciebie i dzwonię.

Dlaczego nie oddzwaniaasz?

- A jak myślisz?

Emilia zbladła.

Rebekę naszły znajome wyrzuty sumienia, lecz odsunęła je na bok.

- Spieszę się - rzuciła krótko.

- Wiem, że jesteś zła.

- Powiedzmy.

Raczej zdradzona.

- Nagle się roześmiała.

- Wiesz, co jest w tym najbardziej ironiczne?

Tamtego wieczoru chciałam powiedzieć ci, co o tym myślę, i spytać cię o radę.

Boże, jaką ja byłam głupia.

- Możesz powiedzieć mi teraz.

- Szkoda słów.

Stały naprzeciwko siebie pośród spieszących się wokoło ludzi.

Emilia miała urażoną minę.

Zamiast podsycić kipiący w niej gniew, Rebeka stwierdziła, że znowu wspomina wystraszoną siedmioletnią dziewczynkę, którą właśnie straciła matkę.

199.

Dziewczynkę, którą równie dobrze mogła być ona sama.

Powróciły wyrzuty sumienia i poczucie obowiązku.

Emocjonalna kulaw nogi, której w żaden sposób nie mogła się pozbyć.

Na twarzy poczuła pierwsze krople ciepłego letniego deszczu.

- To głupie.

Jeśli mamy się kłócić, chodźmy gdzieś, gdzie jest sucho.

Pięć minut później siedziały w zatłoczonej kafejce.

- Max zatelefonował do mnie dopracy - wyjaśniła Emilia.

- Powiedział, że chce zrobić wam niespodziankę i zorganizować przyjęcie.

Niewiedziały, kogo zaprosić i spytały, czy nie mogłaby zrobić tego w jego imieniu.

- Dlaczego się zgodziłaś?

Przecież wiedziałaś, co o nim myślę.

- Tak, ale wiedziałam również, co myśli o nim Mike, ile to dla niego znaczy.

Do głowy mi nie przyszło, że tak zareagujesz.

Ostatnim razem powiedziałaś, że dla jego dobra będziesz robiła dobrą minę do złej gry.

Że jeśli mu z tym dobrze, będzie dobrze i tobie.

Rebeka obserwowała strużkę pary nad filiżanką.

- Próbowałam, ale nie dałam rady.

- Westchnęła.

- Kazałam mu wybierać i z każdym dniem jest między nami coraz gorzej.

Robię, co mogę, żeby mu to wynagrodzić, ale bez skutku.

Nie wiem, jak to wszystko naprawić.

- Możesz zmienić zdanie.

Rebeka pokręciła głową.

- Ale jeśli jest aż tak źle.

- Nie chcę go widzieć.

Nigdy.

- Ale Mike chce.

- Zresztą już za późno.

Wynajęła mieszkanie jakiejś parze.

Ledwie się wprowadzili, przyniósł im butelkę szampana i zaprosił na kolację.

Ta dziewczyna jest pianistką!

Chce koncertować, więc naobiecowała jej Bóg wie czego.

Głupia baba, myśli pewnie, że podbiję cały świat.

Nie mapojęcia, ile to ich będzie kosztowało.

- Skąd wiesz?

- Od Mike'a.

- Mówił coś jeszcze?

- Nie.

Nie musiał.

- To zrozumiałe, że jest urażony.

Próbowałam cię ostrzec.

- Szkoda, że nie ostrzegłam cię co do Roberta.

Po tym nieszczęsnym przyjęciu Max postanowił mu nie pomagać.

Oświadczył, że szanujemy odczucia i się wycofuje.

On szanuje moje odczucia!

Śmiechu warte.

Oczywiście Robert jest wściekły i pozarlił się przez telefon.

Koszmar niesię zdenerwowałam, a Mike stał i patrzył na mnie, jakbym na tozasłużyła.

Wypiła łyk kawy.

Już przestygła.

Emilia patrzyła na nią wyczekująco.

200

- Matkai ojciec też się w to wmieszali.

Jutro przyjeżdżają, żeby porozmawiać.

Próbowałam ich powstrzymać, ale się uparli.

Myślą, że uda im się coś naprawić, tymczasem tylko pogorszą sprawę.

Zwilgotniały jej oczy.

Szybko otarła łzy.

- Tak, ostrzegałaś mnie i wiedziałam, że będzie ciężko, ale nie wiedziałam, że aż tak.

Mike nie chce o tym rozmawiać.

Mówi, że mamy to już pozasobą i trzeba żyć dalej.

- Przełknęła ślinę.

- Czasami mam wrażenie, że mieszkam z obcym człowiekiem.

- Musisz dać mu trochę czasu.

- Ile?

Dłużej tak niewytrzymam.

- Musisz - odrzekła stanowczo Emilia.

- Wiem, że ci ciężko, ale wierz mi, jemu jest ciężiej.

Przyjaźń z Maksem dużo dla niego znaczyła, a ty kazałaś mu z nim zerwać.

To naturalne, że jest zły, a po tej historii z Brownem czuje się również odrzucony.

Rebeka zamieszała kawę, obserwując czarny wir w filiżance.

I nagle uderzyła ją pewna myśl.

- Skąd wiesz, że on nazywa się Brown?

Emilia miała niewyraźną minę.

- Rozmawialiście o tym, prawda?

Emilia milczała.

- Prawda?

Emilia kiwnęła głową.

- Kiedy?

- Przez telefon.

I dwarazy byliśmy razem na lunchu.

Rebeka poczuła się oszukana i zdradzona.

- I pewnie cały czas narzekał, że musi żyć z wredną suką, co?

- Nie.

- Akurat!

- Po prostu chciał z kimś porozmawiać.

- Mógł porozmawiać ze mną.

- Nie w tym stanie.

Próbuję go przekonać, ale to musi potrwać.

- Przekonać?

Do mnie?

Zakogo ty się uważasz?

Kto cię prosił o wstawiennictwo?

- Nikt.

Jesteście moimi najbliższymi przyjaciółmi i.

- To jest nasz związek!

Mike'a imój!

Nie masz z tym nic wspólnego, więc przestań się wtrącać!

- Jasię niewtrącam!

Próbuję wam pomóc!

W kafejce zapadła cisza.

Ludzie zaczęli odwracać głowy.

Rebekabyła zbyt zła, żeby ją to obeszło.

- Pomóc?

Chyba żartujesz!

Twoje związki kończyły się kompletnym fiaskiem!

Wszystkie razem i każdy z osobna!

201.

- Nieprawda!

-Prawda!

Jesteś ostatnią osobą, która powinna udzielać nam rad, i jeśli chcesz utrzymać naszą przyjaźń, lepiej przestań umawiać się z nim na miłopogawędki o naszych prywatnych sprawach!

Emilia nachyliła się ku niej nagle i niespodziewanie.

- Świetnie, jak sobie życzysz.

Rebeka chce, Rebeka ma.

Tylko przedtem uprzedź Mike'a.

Najlepiej zagroź mu, że jeśli jeszcze raz do mnie zadzwoni, natychmiast zerwiesz zaręczyny.

Poskutkowało przedtem, na pewno poskutkuje teraz.

Oczy miała zimne i osądzające.

Obce.

Tak samo jak Michael.

Zawstydzona Rebeka spuściła głowę.

W kafejce ponownie rozbrzmiał gwar rozmów.

Przedstawienie się skończyło.

Życie wracało do normy.

- Myślisz, że specjalnie go ranie?

Że jestem tego dumna?

Nienawidzę siebie za to, a lenie mam wyboru.

Gdybym nie zareagowała, Max by naszniszczył.

Nie mogłam do tego dopuścić.

Odczekała chwilę z nadzieją, że przyjaciółka się z nią zgodzi, lecz Emilia milczała.

- Ale nigdy bym z tobą nie zerwała.

Nigdy.

Przepraszam, że na ciebie krzyczałam.

Po prostu się boję.

- Nie musisz.

Wszystko będzie dobrze.

- Myślisz?

-Tak.

Ostatecznie rozmawiamy o twoim życiu, nie o moim.

Ogarnęły ją jeszcze większe wyrzuty sumienia.

Nie mogła stawić im czoła.

Nie teraz.

Nie w tych okolicznościach.

- Spóźnię się - powiedziała szybko.

- Muszę iść.

-Wstała.

Emilia ani drgnęła.

I wciąż miała zimne oczy.

Po chwili skamieniała jejtwarz.

Była niczym maska.

Gładka i spokojna jak grecka rzeźba.

Wyszły z kafejki razem.

Nazajutrz wczesnym popołudniem Michael siedział przy biurku, próbując kupić się nad poprawką do umowy kupna udziałów.

Ktoś zapukał do drzwi do pokoju wszedł zdenerwowany Jeff Speakman z jakimś dokumentem w ręku.

- Bruce Hammond ma spotkanie z klientami w siódemce.
Musi to szybko dostać, a wszyscy stażyszciposzli na ten pieprzony wykład.
Zrób mi przysługę i zanieś to nadół, dobra?
Sale konferencyjne mieściły się na parterze.
Mike wszedł do windy.
W holu byłopusto, nie licząc Jacka Bennetta, który wydawał dokumenty dwóm klientom.
Michael ruszył w stronę korytarza.
Nagle jeden z klientów się roześmiał.
Był to śmiech ciepły i serdeczny.
Głęboki, dźwięczny i melodyjny.
Aksamitny.
202
Mike się odwrócił.
W drzwiach stał Max.
Podpisywał papiery, które podał mu Jack.
Tużobok niego czekał Peter Brown zrozanieloną minączłowieka, który wypiłdo lunchu za dużo wina, i który po południu ciężkotoodpokutuje.
Mike zapomniało Hammondzie.
Stał i patrzył.
Jack zadał Peterowi jakieś pytanie.
Peter odpowiedział, a Maxenergiczniekiwnął głową z miną dobrego wujaszka poklepał go po ramieniu.
Jack zauważyłMike'a.
Pozdrowił go gestem ręki.
Ten odruchowo odpowiedział tym samym.
Peter i Max zerknęli przez ramię.
Peter uśmiechnął się jowialnie i powiedział "Cześć".
Max popatrzył naMichaela obojętnie, po czymprzeniósłwzrok na dokumenty.
Mike ruszył dalej, przystanął przed drzwiami do sali numer siedem, zapukał i wszedł do środka.
Bruce Hammond, wspólnik powszechnie znany ztrudnegocharakteru, siedział przystole ztrzema klientami.
Na blacie wałały się dokumenty i resztkikanapek.
Okno było zamknięte, a powietrze gęste od dymu.
- Długo to trwało - warknął Bruce.
Mike podałmu dokument.
- Potrzebujemy czterech kopii - rzuciłzirytowany Hammond.
Mike wzruszył ramionami.
- Nie stój tak.
Idź i skseruj.
- Kto ja, kurwa, jestem?
Twoja sekretarka?
Bruce aż podskoczył, klienci też.
Michael miał poważne kłopoty.
Za taką odzywkę można było wylecieć z pracy.
Wyszedł z sali i ruszył do windy.
Hol opustoszał.
Siedział tam tylko znudzony strażnik.
Kim zostawiłamu wiadomość, że dzwoniła Rebeka.
Popatrzył na karteczkę, wziął długopis i zaczął rysować kółka wokół jej imienia.

Robił tocoraz szybciej i szybciej, wreszcie podarł papier nastrzępy.

Ósma wieczorem.

Wyszedł ze stacji metra w West Hampstead i ruszyło nowego domu.

Szedł chwiejnie.

Zacęli ze Stuartem od kieliszka wina, i skończyli na butelce i dwóch szkockich.

Rebeka nieznosiła, gdy wracał pijany, dlatego czuł, że czeka go awantura.

Ta perspektywa napawała go rocznym podnieceniem.

Popołudnie upłynęło spokojnie i bez wydarzeń.

Bruce Hammond nie zareagował.

Może jeszcze nie skończył spotkania i nie zdążył wnieść zażalenia.

Ale na pewno nie, a wówczas Mike Turner wyleci z hukiem z pracy.

Powinien się tym martwić, lecz się nie martwił: głowę miał zajęta zupełnie innymi myślami.

203.

Mieszkanie Susie mieściło się na parterze piętrowego domu przy AshLane, cichej uliczce odchodzącej od Finchley Road.

Susie miała wrócić już zamiesiąc, tak więc wkrótce czekała ich kolejna przeprowadzka.

Rebeka wciąż szukała i opowiadała mu o mieszkaniach, które mogliby wynająć.

On słuchał i próbując wykrzesać sobie choć odrobinę entuzjizmu, miał ochotę krzyknąć, że właśnie zrezygnował z doskonałej kawalerki.

Z mieszkania, które przepadło już na zawsze.

Inie tylko z mieszkania.

Przed domem stał niebieski Saab starego Blake'a, błyszcząc w promieniach zachodzącego słońca.

Blake mył go i polerował dwa razy w miesiącu.

Nad samochodem przeleciał ptaszek.

Mike próbował go zahipnotyzować i skłonić do napaskudzenia na karoserię, a ponieważ nie zdołał, splunął na lśniąca maskę.

Korytarz.

Z salonu wyszła Rebeka.

Uśmiechnęła się do niego, nie mogąc ukryć napięcia i zdenerwowania.

- Przepraszam - szepnęła.

- Próbowałam ich powstrzymać, ale się uparli.

Nie musisz tam wchodzić.

Pozbędę się ich i zrobię kolację.

- Nie jestem głodny.

Uśmiech zbladł, ale tylko na chwilę.

- I tak zrobię.

Może zmienisz zdanie.

- Jak chcesz.

- Wszedł do kuchni i naleł sobie szklankę wody.

Kuchnia była duża.

Taka, w której nie jest tłoczno nawet wtedy, gdy siedzi w niej sześć osób.

Ta w kawalerce Maksy była mała, tak mała, że nie mogli tam razem gotować.

Zastanawiał się, czy Peter i Jenny już to odkryli.

Z salonu dochodziły głosy.

Robert oskarżał, Rebeka się broniła, jej matka uspokajała, a ojciec milczał i tylko od czasu do czasu prychnął.

Szczęśliwa rodzinka podczas bojowej narady.

Nie było tam dla niego miejsca.

Popatrzyła na sufit.

Tynk pękł i powstała w nim mała rysa, tak samo jak w kuchni Maksy.

Max zażartował kiedyś, że z ciasnoty, a on się roześmiał.

Może Peter Brown też się z tego śmiał.

Szklanka wciąż była pełna.

Upuścił ją do zlewki i roztrzaskała się na kawałki.

Głosy ucichły.

Rebeka zawołała: "Mike?"

".

Czekała na niego w salonie.

Ona siedziała z matką na sofie i miała zatroskaną minę, jak zawsze, gdy czekała go rozmowa z rodzicami.

Blake stał z Robertem przy oknie.

Obaj łypali na niego spode łba.

Wszedł i posłał matceoszałamiający uśmiech.

- Co panimyśli onaszym nowym mieszkaniu?

- spytał.

- Jest bardzo ładne.

-Urocze, prawda?

Jesteśmy tu tacy szczęśliwi, że można się zesrać.

Pani Blake drgnęła.

- Mikę!

- To Rebeka.

- Spokojnie - odparł ze śmiechem.

- Oboje dobrze wiemy, że twoi rodziceświata za mną nie widzą.

Jedno brzydkiesłowo tegonie zmieni.

204

- Jesteś pijany - oznajmił pan Blake.

-Owszem,a pan parska jak starymors.

Kolejny dowód na to, że niknie jest doskonały.

Blake rozdziawił usta.

Robert też.

Pyszenie.

1 - Przytyłeś, Robercie.

Pewnie przez te lunchy w ekskluzywnych restau racjach.

Szkoda, że już się skończyły, ale wszyscy wiemy, czyja to wina.

Robert poczerwieniał z gniewu.

Rebeka zwiesiła głowę.

- Jesteś nietaktowny - warknął Blake.

-Poza tym - dodał Robert - to,o czym rozmawiamy, ciebie nie dotyczy.

- Wprost przeciwnie.

Dotyczy, i to bardzo.

- Przysiadł na oparciu sofyi uśmiechnął się do Rebeki.

-Prawda, kochanie?

- Rozmawiamy o rodzinnych sprawach - powiedziałBlake.

-Śmiało, niezamierzam wamprzeszkadzać.

Ostatecznie ja też należędo rodziny.

Dobrze mówię, skarbie?

Już rozumiem!

Zanim weźmiemy ślub,mam przestać się z kimś widywać, tak?

Kto jest następny na liście?

- Wystarczy, Mikę - rzuciła pani Blake.

Wstał.

- George?

Jest Żydem,zepsujenam ślubne zdjęcie.

Nie możemy do tego dopuścić.

- Powinieneś stąd wyjść - powiedział Robert.

-A może Stuart?

To miły facet, ale mówi z paskudnymakcentem.

Chyba przestanęsię do niego odzywać.

Wiecie co?

Zróbcie listę wszystkichtych,którzy coś dla mnie znaczą, a potem każcie mi się ich pozbyć.

Rebeka miała łzy w oczach.

Proszę, Mike.
Rozumiem, co czujesz, ale.
Roześmiał się chrapliwie.
- Jakim cudem?
Nigdy w życiu nikogo nie straciłaś, więc nie mów mi, że rozumiesz.
- Max ma do ciebie rację - powiedział Robert.
Zaskoczony Mike spojrział w jego stronę.
- Jak to?
Robert rozciągnął usta w szyderczym uśmiechu.
- Szkoda, że nie słyszałeś, co o tobie mówił.
- A co mówił?
- Robert - wtrąciła pani Blake.
- To nie polepszy sprawy.
- I co z tego?
Niech się dowie.
- Robert zrobił krok w stronę Mike'a i próbując naśladować niski głos Maksa, zaczął mówić:
- Hmm, Michael.
Nawet miły z niego facet, ale ciągle tylko jęczy i narzeka.
Nie można z nim normalnie pogadać.
Nic, tylko dzieciństwo i dzieciństwo.
Nieprawda!
205.

Robert miał błyszczące oczy.

- Prawda, prawda.

Chcesz posłuchać dalej?

Powiedział, że jesteś jakrzewna płyta z rysą pośrodku.

Że z ciebiemięczak.

Żenie masz kręgosłupa.

Że próbujesz zachowywać się jak mężczyzna, ale że tak naprawdę jesteś małym płaczącym chłopczykiem, który doprasza się o zrozumienie.

Że lubię cię tak samo, jak lubi się zbłąkanego szczeniaczka.

- Łżesz, kutasie!

- Oczy przesłoniła mu czerwona mgła.

- Uważa, że nie dorosłeś.

Że jesteś emocjonalnym kaleką.

Kimś, ktonigdy niczego nie osiągnie, bo winą za wszystkie życiowe niepowodzenia ciągle obarcza swój ąząćpaną matkę i ojca-kanciarza.

Mgła zgęstniała.

Zaprawił go głową, z byka.

Był tak wściekły, żenieczuł bólu.

Usłyszał tylko miękkie, przytłumione mlaśnięcie i chrzęst pękającej kości.

Robert upadł na plecy, przeraźliwie krzycząc i trzymając się za nos.

Teraz krzyczeli już wszyscy.

Robert.

Rebeka.

Jej matka.

Chyba nawet ojciec.

Miał mokre czoło.

Otarł je ręką i stwierdził, że tokrew.

Mgła ustąpiła miejsca szokowi i niedowierzaniu.

Wybiegł z pokoju.

Godzinę później stał w salonie Maksa.

Pan Laszłó objął się wpół, jakbysię go bał, i kazał muzaczekać.

Max wszedł, spojrzał na niego i wytrzeszczył oczy.

- Boże miłosierny!

- Dlaczego mówiłeś omnie te wszystkie rzeczy?

- Jakie rzeczy?

- Dobrzewiesz, jakie!

- Chryste, cały się trzęsiesz.

- Max położył mu rękę na ramieniu.

Michael spojrzał mu w oczy, szukając w nich oznak pogardy, lecz znalazł tylko ciepło i zatroskanie.

Ból ciął niczym nóż.

Nie, nie śmiał mu teraz zaufać.

- Mój błąd.

Nie powinienem tu przychodzić.

- Coty mówisz?

Uspokój się i powiedz, co się stało.

- A ty co zrobisz?

Spotkasz się z Robertem, Jackiem czy Karoliną i będziesz ze mnie szydził?

Tym dla ciebie byłem?

Kimś, z kogo można się pośmiać?

Nad kim można się politować?

Max był przerażony.

- Co typleciesz?

Ktoci naopowiadał tych bzdur?

- Tonie są bzdury!

-Robert, tak?

Małostkowa złośliwość.

Tego się po nim spodziewałem.

- Zaufałem ci!

Opowiadałem ci o rzeczach, o których nie mówiłem nikomuinnemu!

Rebeka miała rację!

Nie można ci wierzyć, a to, że tego niewyczułem, świadczy o mojej bezdennej głupocie!

206

Max położył mu na ramieniu drugą rękę.

Mike próbował się wyszarpnąć, lecz on zacisnął palce.

Stali tak blisko siebie, że prawie dotykali się głowami.

- Posłuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz: nigdy nie powiedziałem nikomu tego słowa na twój temat.

Co więcej, gdyby ktoś był na tyle głupi, żeby oczernić cię w mojej obecności, zrobiłbym wszystko, żeby tego pożałował, nawet jeśli musiałbym poświęcić na to resztę życia.

Taka jest prawda.

Możesz ją przyjąć albo odrzucić.

Ale jeśli ją odrzucisz, wyjdiesz z tego domu i już nigdy się nie zobaczymy.

Mike'a ścisnęło w gardle.

Nie mógł przełknąć śliny.

- Tylko słowa.

- Ufasz Robertowi bardziej niż mnie?

Komuś, kogo zawsze nienawidziłeś tak samo, jak on nienawidził ciebie?

Jeśli tak, naprawdę jesteś bezdennym głupcem.

- To żadna odpowiedź, wszystko przekręcasz.

- Ponownie spróbowałeś wyszarpnąć.

Lecz Max go nie puścił.

- Przeciwnie.

Robert chciał cię zranić, dostrzegł szansę i ją wykorzystał.

Widzę, że skutecznie, prawda?

Michael miał łzy w oczach.

Bał się odezwać, nie dowierzał swemu głosowi.

- Prawda?

Kiwnął głową.

- Naprawdę tak nisko mnie cenisz?

- Chcę ci wierzyć.

- W takim razie wierz.

Nigdy dotąd nikt dla mnie nie znaczył tyle co ty.

Nie ufaj innym, ale we mnie nie wątp.

Niski, miękki głos owijał go niczym jedwab, powoli rozpraszając złość i łagodząc niepokój.

- No więc?

Wierzysz mi czy nie?

- Wierzę.

-To dobrze.

Patrzyli na siebie.

W głębidomu zadzwonił telefon.

Usłyszeli kroki, głos pana Laszlo, potem ciche pukanie do drzwi.

- Nie teraz!

- zawołał Max.

- Może to coś ważnego - powiedział Mike.

- Ty jesteś ważny.

- Ważniejszy od Petera i Jenny?

Max westchnął idotknąjącego czoła.

- Będziesz miał siniaka.

To Robert?

- Tak jakby.

- Pomyślał o tym, co zrobił, i się zawstydział.

- Zachowałem się jak idiota.

207.

Nie musisz się usprawiedliwiać.

Jestem i zawsze będę po twojej stronie.

Opowiedział mu, co się stało.

Max uważnie słuchał, od czasu do czasu kiwając głową.

- Comam teraz robić?

- A co chcesz?

- Chyba tam wrócić.

Spróbuję się z nimi dogadać.

- Moim zdaniem, popełniłbyś błąd.

Lepiej zostań tu parę dni, zaczekaj, aż ochłona.

- Nic z tego.

Jej rodzice tylko czekali na taką okazję.

Pewnie poszli już na policję i oskarżyli mnie o napaść i pobicie.

- Wątpię.

Nawet gdyby poszli, policja uznałaby to za rodzinną kłótnię, która wymknęła się spod kontroli.

- Nie należę do rodziny.

Zresztą to bardziej skomplikowane.

Max cierpliwie czekał.

Poprzedni chłopak Rebeki miał na imię Eryk.

Był szkolnym kumplem Roberta.

To facet bezwyobraźni i niezbyt roztropny, jak większość jego przyjaciół.

Robert takich lubi, bo może ich zdominować i błyszczeć przynależnością do inteligencji.

Jej rodzice zanim przepadali.

Uwielbiał Rebekę, zawsze śmiał się z dowcipów Blake'a, a co najważniejsze, mieszkał w Winchesterze.

Pewnie miał skrytą nadzieję, że się pobiorą, że Rebeka wróci do Winchesteru i da im tuzin wnuków, których będą mogli codziennie widywać.

Może im dała, gdybym wszystkiego nie zepsuł.

Przedstawiła mnie najpierw Robertowi.

Poszliśmy we troje na kolację.

Koszmar.

Próbowałem być miły, ale on cały czas mnie podpuszczał, gadając o Eryku.

Eryk to, Eryk tamto, Eryk, Eryk, Eryk.

Chyba chciał mi zaimponować i kiedy spostrzegł, że nic z tego, natychmiast mnie znieubił.

Kilka tygodni później Rebeka zabrała mnie do Winchestera na spotkanie z rodzicami.

Byli bardzo chłodni.

Robert naopowiadał im bzdur i znieubił imnie tak samo jak on.

Podczas naszej wizyty Blake wydał wielkie przyjęcie urodzinowe.

Robert zaprosił Eryka.

Cały wieczór poił go winem i opowiadał, czegoż to o nimnie wygadawałem.

Spółgo, urobił i skończył się na tym, że Erykiem mnie rzucił.

To rosły facet.

Krzepki.

Musiałem się bronić i wybiłem mu ząb.

Oczywiście rodzice Rebeki uznali, że to moja wina i doszli do wniosku, że ich ukochana córka zadała się bandziorem.

A to, co się dzisiaj stało, utwierdzi ich w przekonaniu, że mieli rację.

Za nic mi nie darują.

- Darują - odrzekł Max.

Zaskoczyła go pewność, z jaką to powiedział.

208

- Nie.

- Czyżby.

- Skąd wiesz?

Max machnął ręką.

- Nieważne.

Po prostu nie lubię, kiedy się tak martwisz.

Zabrałeś z domu jakieś rzeczy?

- Nie.

- W takim razie pojedziemy tam i sięspakujesz.

Skonsternowany Mike zmarszczyłczoło.

- Przecież mówiłeś, żeby lepiej tam nie wracać.

- Jeśli złamałeś Robertowi nos, Rebeka i państwo Blake piją teraz podłą kawę w szpitalnej poczekalni.

Teren jest czysty.

- Nie wiem, czy.

- Ale ja wiem.

Niejesteś sam.

Mike.

Masz mnie, a ja obiecujęci, że wszystko będzie dobrze.

Zaparkowałam przeciwko domu.

Siedzący w fotelu pasażera Mike zauważył, że jeszcze niedawno w tym samym miejscu stał wóz Blake'a.

Max zapaliłcygaretkę, a on ruszył w stronę drzwi.

W oknie paliło się światło.

Wszedł do środka.

...

istanałoków oko z rozwścieczonym ojcem Rebeki.

- Myślałeś, że udaci się tu wśliznąć, co?

- syknął z czerwoną, nabrzmiałą od gniewu twarzą.

- Masz pecha!

Wiedziałem, że wrócisz!

Pobiłeś mego syna i bardzo tego pożałujesz!

Mike'a ścisnęło w dołku.

- Chciałbym.

- Milcz, bandyto!

- Zapadnięte oczy omal niewyszły mu z orbit.

Już otwierał usta, żeby ponownie ulać złości, gdy do korytarza wszedł Max.

- Kogóż ja widzę!

- rzekł czarującym głosem.

- Cóż zabiła niespodzianka.

Mam nadzieję, że urodzinowe przyjęcie się udało.

Kompletnie zbity z tropu Blake zapanował nad sobą wielkim trudem.

Max posłał Mike'owi pokrzepiający uśmiech.

- Pójdiesz się spakować?

- rzucił i przeniósł wzrok na starego.

- Chciałbym zamienić panem kilka słów na osobności.

Najlepiej gdzieś, gdzie jest popielniczka.

- Wskazał drzwi do salonu.

- Może tam?

Blake nabrał powietrza.

- Czy pan wie, co on zrobił?

- Wiem.

Piękna opalenizna.

Słyszałem, że byli państwo w Barcelonie.

To jedno z moich najbardziej ulubionych miast.

Gdzie się państwo zatrzymali?

- Mówiąc, wprowadził go do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

14- Marionetka

209.

Michael został w korytarzu.

Chciał podłuchać, o czym rozmawiają, lecz nagle przestraszył się tego, co mógłby usłyszeć. Wszedł do sypialni, spakował do torby przybory toaletowe i trochę ubrań, po czym wrócił na korytarz.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i tamci wyszli z salonu.

Max wciąż się uśmiechał.

Blake też, choć płochliwy, pełen poczucia winy uśmiech nie pasował do jego nalanej twarzy.

- Dasz mi torbę?

- rzucił Max.

Pochłonięty widokiem przyszłego teścia, Mike nie wiedział nawet, kiedy mu ją podał.

Blake patrzył na niego i milczał.

Z dobrze znajomą niechęcią, lecz i z uśmiechem.

Max wyciągnął do niego rękę.

- Proszę przekazać ukłony uroczej małżonce.

- Przekażę - odrzekł Blake.

Michael otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Max pokręcił głową, położył mu rękę na ramieniu i poprowadził go w stronę wyjścia.

- Zgłodniałem z podniecenia - rzekł, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Na co masz ochotę?

Kuchnia indyjska czy tajska?

- Nie jestem głodny.

- Musisz coś zjeść.

Jeśli nie chcesz, pani Laszłó coś nam ugotuje.

- Wyjechali na ulicę.

- Tak będzie chyba najlepiej.

Masz jutro ciężki dzień.

- Nie.

- Nie?

W takim razie zatelefonujesz do kancelarii, powiesz, że jesteś chory i pojedziemy do Suffolk nadługi weekend.

Tylko we dwóch.

- Nie mogę.

Muszę porozmawiać z Rebeką.

- I porozmawiasz, ale nie teraz.

Zaufaj mi.

Jest roztrzęsiona tak samo jak ty i gdybyście się teraz spotkali, moglibyście zerwać ze sobą na zawsze.

Chcesz tego?

- Oczywiście, że nie.

- Zawahał się.

- To znaczy.

- Nie wiesz, czego chcesz.

Bo iskad możesz wiedzieć?

Wszystko stało się zbyt nagle.

Musisz się trochę zdystansować, pogadać z samym sobą.

Zmiana klimatu dobrze ci zrobi.

Przystanąli na czerwonym świetle.

Max uśmiechnął się zachęcająco.

- Wyjedziemy jutro rano.

Pogramy w golfa, pouczujemy, pospacerujemy po plaży i pogadamy.
Wszystko sobie poukładasz i ustalisz.

Co ty nato?

- Myślisz, że tak będzie najlepiej?

-Tak.

A jeśli chcesz porozmawiać z Rebeką, zawszemożesz doniejjadzwonić.

Przestań się już martwić.

Zielone światło.

Ruszyli przez cichą dzielnicę, zmierzając w kierunkujasnych, hałaśliwych ulic śródmieścia.

Max puścił płytę.

Adaggio nasmyczki Barbera.

Jeden zjego ulubionych utworów.

Mike chciałby posłuchać, aleprzedtem musiałgo o coś spytać.

210

- Co powiedziałeś Blake'owi?

-Złożyłem mu propozycję nie do odrzucenia.

- Jaka?

-Że jeśliwniosą oskarżenia,załatwię Robertowityluklientów,żepod koniecroku na pewno zostaniemspólnikiem.

- Izgodził się?

-Naturalnie.

Mówiłem ci: każdyz nas ma swojęsłabość.

Słabością Blake jest miłość do dzieci.

Zaniepokoił go ten dobór słów.

- Miłość nie powinna byćsłabością.

Max patrzył przed siebie.

- Ale jest.

Największą słabością człowieka.

Pozbawia go sił szybciejniż jakakolwiek choroba, i nie ma na to żadnego lekarstwa.

' Mike wyczuł, że chociaż słowa te były skierowane do niego, Maxmówiłdo siebie.

Ufał mu, mimo to czuł się trochę nieswojo.

Usiadł wygodniej i spróbował skupić się na muzyce.

9

Niedziela wieczorem.

Właśnie wrócili z Suffolk.

Do domu wszedł Mike,a za nim Max z podróznątorbą w ręku.

i Na spotkaniewyszła im paniLaszló, niska, pulchnakobieta o miłej twarzy.

Oznajmiła, że kolacja będzie gotowa za kwadrans.

- Uprzedzałem męża, żeżjemy coś po drodze - zaprotestowałałagodnieMax.

-Za kwadrans - powtórzyła iwróciłado kuchni.

Maxjęknął.

- Może jej niepowiedział?

-Akurat.

Ta kobieta żyje gotowaniem.

Każdego, kto waży mniej niż stosześćdziesiąt kilo, uważa za chronicznieniedożywionego.

Mike tylko się uśmiechnął.

- Byłeś dzisiaj bardzo małomówny.

-Nic minie jest.

- Zawsze możesz mi sięzwierzyć, przecież wiesz - odrzekł zatroskanyMax.

-Monologowałem przez trzy dni.

Dość się nasłuchałeś.

- Po to tu jestem.

Chcesz zadzwonić do Rebeki?

- Tak.

211.

- Możesz stąd.
- Zawiesił głos.
- Jeśli tylko wiesz, co chcesz jej powiedzieć.

W tym problem.

Po trzech dniach ciągłych rozmów w dalszym ciągu niewiedział.

Miotany wyrzutami sumienia, bojąc się, że może stracić ją na zawsze, chciał zadzwonić już w piątek w południe.

A Max, który miał wszelkie podstawy do tego, żeby źle oniej myśleć, niespodziewanie wystąpił rolifierzecznika i stwierdził, że to najlepsze wyjście.

Swoim pięknym, spokojnym głosem mówił, jak jest wyjątkowa, jakie to szczęście, że Mike ją zna - "lazi, i jakie to byłoby straszne, gdyby ze sobą zerwali.

- Jeśli się pogodzicie, trudno nam będzie się widywać, to oczywiste.

Ale cóż.

Najważniejsze są życzenia Rebeki.

I wtedy w głowie Mike'a odezwał się cichutki głosik.

Dlaczego najważniejsze?

A on?

On się już nie liczył?

Skoro zawsze miał być na drugim miejscu, rozstając się z Rebeką wcale by dużo nie stracił.

Skrucha poszła w zapomnienie, ustępując miejsca złości i urazie, które minęły dopiero wieczorem, gdy zatelesknęła jej głosem.

Jak zawsze pełen współczucia Max ponownie zaczął go namawiać, żeby zadzwonił, przypominając mu, jak ważne są jej uczucia, co z kolei ponownie złagodziło gniew.

Przeżył weekend miotał się jak w klatce, popadał jednej skrajności w drugą i skonsternowany, nie bardzo wiedział, czego po tej rozmowie oczekiwać.

- Wiesz, co chcesz jej powiedzieć czy nie?

- spytał Max.

- Nie.

- W takim razie daj sobie spokój.

Zadzwonił do niej dopraczy.

Przynajmniej będziesz miał pewność, że nie odbierze nikt z rodziny.

A po dobrze przespanej nocy świat bywa piękniejszy.

Może i bywa, choć nie dałby za to głowy.

Wziął torbę i poszedł na górę.

Jego pokój mieścił się na drugim piętrze, nad pokojem Maksa.

Postawił torbę na łóżku, otworzył okno i wyrzucił naulicę.

Z mercedesa wysiadła kosztownie ubrana para, klócąc się głośno, chyba porośnięta.

Czytał gdzieś, że rosyjscy nuworysze masowo wykupują domy w centrum Londynu, płacąc agentom walizkami pieniędzy.

Dom tak jak ten musiał kosztować co najmniej kilka pełnych walizek.

Odwrócił się, chcąc zajrzeć do torby.

Popatrzył na ścianę i nogi wrosły mu w podłogę.

Obraz, który wisiał nad łóżkiem przed ich wyjazdem do Suffolk, zniknął.

Jego miejsce zajął oprawiony w ramkę plakat z Napoleonem.

Na pozostałych ścianach też wisiały plakaty, a na biurku, pod półkami uginającym się od jego książek, kaset i płyt, stał jego własny odtwarzacz.

Otworzył szafę.

Jego garnitury, jego koszule i spodnie.

W szufladach jego bielizna.

Na podłodze jego buty.

Usłyszał kroki i w progu stanął Max.

212

- Skąd tu mojej rzeczy?

Max zrobił przeproszącą minę.

- Wczoraj zadzwoniłem do Laszła.

Ponieważ wyglądało na to, że zostaniesz u mnie jeszcze kilkadziesiąt dni, poprosiłem go, żeby przywiózł ci z domu kilka koszul.

Za bardzo się przejął i przywiózł wszystko.

Mikę powiódł wzrokiem popokoju.

Jak długo to wszystko pakował?

I co myślała o tym Rebeka?

Pomagała mu?

Jeśli tak, czy chętnie?

- Przepraszam, Mikę.

Laszłó chciał, żeby niczego ci nie zabrakło.

- Teraz już nie zabraknie.

- Nie gniewaj się na niego.

Chciał dobrze.

- Rozmawiał z Rebeką?

Mówiła coś?

- Nie pytałem.

Kiedy zdał sobie sprawę, że zawałił sprawę, bardzo się zdenerwował i nie chciałem go zadreć.

- Max westchnął.

- Zresztą to chyba moja wina.

Powinienem być dokładniej go poinstruować.

- Przestań - odrzekł zażenowany Mikę.

- Byłeś fantastyczny.

Pan Laszłó też.

To miło z jego strony, że zwracał sobie głowę.

Nie mam doniegi pretensji.

- Napewno?

- Na pewno.

- To dobrze.

Chodź coś zjeść.

- Muszę?

Nie jestem głodny.

- Pani Laszłó zrobiła risotto z krewetek i małż.

Wie, że to lubisz.

Tylko spróbuj.

Zrobisz jej wielką przyjemność.

Mikę zdołał wykrzesać z siebie słaby uśmiech.

- Dobrze.

Zeszli na dół.

Wpół do dziewiątej nazajutrz rano.

Mikę przygotowywał się do wyjścia do pracy.

Był wyczerpany.

Spał źle i śnił, że biegnie labiryntem korytarzy

11 domu dziecka w Bowza głosem Rebeki, która ciągle mu się wymykała.

Większość nocy przeleżał, patrząc w ciemność i czekając na poranek, by jak najszybciej wszystko między nimi naprawić.

Do jadalni wszedł Max.

- Na pewno czujesz się nasilach?

Może zostać w domu i odpocznij?

- Nie, pójdę.

Muszę coś załatwić.

- Zadzwoń do Rebeki?

- Tak.

- Wiesz, co powiedzieć?

- Niezupełnie.

- Że chcesz ją odzyskać.

Bo chcesz.

Jamam oczy.

Mike, widzę.

I właśnie to musisz jej powiedzieć.

213.

- Ale jeśli się pogodzimy, co będzie z nami?

-Spokojnie.

Nigdzie nie wyjeżdżam.

Najpierw załatw swoje sprawy.

Zadzwoń do niej.

Najlepiej do pracy, kiedy nie będzie przy niej nikogo z rodziny.

- Tak.

-Na przykład Robert aż nożem w zębach.

- Właśnie.

-Ano właśnie.

Max powiedział to dziwnym tonem głosu.

- Coś się stało?

Max przestąpił z nogi na nogę.

- Coś przede mną krywasz.

-Nie.

- Tak.

Co?

- Nic.

-Kłamiesz.

Mówiłeś, że bym ci zaufała, a teraz kłamiesz?

- Nieważne.

Nie musisz o tym wiedzieć.

Serce waliło mu jak młotem.

- Chodzi o Rebeke, tak?

Max milczał.

- Robert.

Co ci powiedział?

- Nieważne.

To czysty absurd.

Wszyscy widzą, jak bardzo cię kocha.

Początkowo był zbity z tropu.

- Kto?

Rebeka?

Wiem.

Oczywiście, że mnie kocha.

I nagle go olśniło.

-Zdradza mnie?

To ci powiedział?

- Co za różnica?

To stek kłamstw.

Ugięły się pod nim nogi.

Musiał przytrzymać się blatu stolika z telefonem.

- Chcę wiedzieć, co ci powiedział.

-Bredził.

Coś ojej byłym chłopaku.

Inie o romansie, tylko o jednej nocy.

Ale nie możesz.

- O którym chłopaku?

O Eryku?

- Mike!

- Max wpadł w złość.

- To kłamstwo.

Przestań o tym myśleć.

- Skąd wiesz?

- Myślisz, że zaszedłbym w życiu tam, gdzie zaszedłem, gdybym niepotrafił odróżnić prawdy od kłamstwa?

- Złagodniała mu twarz.

- Musisz mi zaufać.

To kolejne łgarstwo.

Michael wbił wzrok w biały dywan, głęboko oddychając i próbując się uspokoić.

- Przepraszam.

Odbiło mi.

214

- Nie musisz się tłumaczyć.

Rozumiem.

- Nie wierzę, że Robert mógł coś takiego powiedzieć.

Co za sukinyś.

Max pokręcił głową.

- Wyzbądź się nienawiści.

Pod tą buńczuczną maską kryje się twarz samotnego człowieka, który dałby wszystko, żeby ktoś pokochał go tak bardzo, jak ciebie Rebeka.

- To żadne wytłumaczenie.

- Może i masz rację, bo sugerował nawet, że ten chłopak czymś ją zaraził.

Już miałem wyprosić go z restauracji, gdy okazało się, że chodzi mu o zwykłą gripę.

Rebeka miała gripę.

Po ostatniej wizycie w Winchesterze.

U rodziców.

I u Eryka.

Zaniepokojony Max zmarszczył brwi.

- Mike, to wierutne bzdury, musisz o tym zapomnieć.

Michael odwrócił się ruszył do drzwi.

Południe.

Siedział przy biurku ze słuchawką w ręku i z palcem na tarczy telefonu.

Przedtem zadzwonił do Emilii, żeby spytać, gdzie jej szukać.

Były przyjaciółkami, oni zaś przyjaciółmi.

Gdyby coś wiedziała, na pewno by mu powiedziała.

Niestety, Emilia wyjechała.

Do Yorku, na jakiś festiwal.

Tak więc musiał zadzwonić do Rebeki.

Nie miał wyboru.

Wystukał numer.

Odebrała po czwartym sygnale.

Poznał ją po głosie, otworzył usta i przycisnął widelki.

Nie, tego nie da się załatwić przez telefon.

Chciał, żeby odpowiedziała na kilka pytań i musiał widzieć jej twarz.

Pół godziny później siedł Strandem, pocąc się w wilgotnej spiekocie.

Mokra koszula przywarła mu do pleców niczym lep na muchy.

Kiedybył już blisko, z księgarni wyszły Rebeka i Klara.
Zawołała go po imieniu.
Odwrócił się, zobaczyła go i pojaśniała jej twarz.
Mimo gniewu, serce zabiło mu trochę szybciej.
Nachmurzyła czoło.
- Czego chcesz?
- A jak myślisz?
Klara szepnęła jej coś do ucha.
- Niemusisz - odrzekła Rebeka.
- Nie ma potrzeby.
- Chyba jest.
- Klara posłała mu pociągający uśmiech i wróciła do księgarni.
Stali i patrzyli na siebie wśród spieszących na lunch tłumów.
Pewnie chcesz porozmawiać - powiedziała.
215.

- Nie, iść na bal.

-Nie podnoś głosu, Michael.

Niepo tym,co zrobiłeś.

Wybuchnął śmiechem.

- Po tym,co ja zrobiłem?

Jesteś zabawna.

Może zostaniesz komikiem?

- Jeśli tak do tego podchodzisz, daj mi święty spokój.

Mam coś lepszego do roboty.

- Nie wątpię.

Zmrużyła oczy.

- To jakaś aluzja?

-Domyśl się.

- Nie mam nastroju na zgadywanki.

- Odwróciła się na pięcie, jakbychciała odejść.

- Nie odwracaj się ode mnie!

Przyglądali im się przechodnie.

Zachichotały dwie nastolatki.

Ona miała gdzieś, on też.

- Boco?

- syknęła z błyskiem w oczach.

-Ranie twoje uczucia?

Nibydlaczego miałyby to mnie obchodzić?

Wyraźnie dałeś mi do zrozumienia, że moje też cię nie obchodzą.

- Nieprawda.

-Michael Turner,którego kiedyś znałam, byłodważny.

Gdyby chciałże mną zerwać, powiedziałby mi to prostow oczy, zamiast uciekać do Suffolk i przysyłać po rzeczy służącego.

Złość minęła i nagle stwierdził, że nie wie gdzie przeszedł do obrony.

- To nie ja,toMax.

-No jasne.

Wszystko pasuje.

- Nie rozumiesz.

Laszłó miał zabrać tylko parę koszul.

Byłem przerażony, kiedy zobaczyłem, co zrobił.

Wiedziałem, że się zdenerwujesz.

- Guzik cię to obeszło.

-Właśnie, że obeszło!

- Minęły cztery dni.

Ani razu nie zadzwoniłeś.

Niespytałeś,co z Robertem.

Złamałeś mu nos,ale się wyliże, wielkie dzięki za zainteresowanie.

Niespytałeś, jak się czuję, a czuję siękoszmarnie.

Cztery dni i ani jednego telefonu.

Upał obezwładniał.

Mikę otarł czoło.

- Chciałem zadzwonić.

-Ale Max ci nie pozwolił, tak?

- Nie.

Mówił, że muszę.

- Namawiał cię, ale ty niepodniosłeś słuchawki.

Bomba.

O to mu właśnie chodziło.

- Bzdura!

- Spójrz prawdzie w oczy, Mike.

Zrobił cię marionetką.

Pociągają sznurki, a ty podskakuj esz.

216

- Nie jestem marionetką!

- Broniałam cię!

Pobiłeś mojego brata, mimo to nie przestawałam cię bronić.

Mama i tata krzyczeli, wrzeszczeli, chcieli, żebym z tobą zerwała, ale ja kazałam im się wypchać.

Powiedziałam, że Robert cię sprowokował, że to jegowina, że nie chcę słyszeć o tobie ani jednego złego słowa.

Matka przestała się do mnie odzywać!

Mówi, że wstydzi się takiej córki!

Miała łzy w oczach.

- A ty co?

Nic!

Nawet nie raczyłeś zadzwonić!

Wysłałeś po rzeczysłużącego.

Wiesz, jak się poczułam?

Zawstydzony, milczał.

W czyste błękitne niebo strzelała dumnie kolumna Nelsona.

- Zasługuję na coś lepszego.

Bardzo mnie zraniłeś.

Gdybym to jazraniła tak cię, zjadłyby mnie wyrzuty sumienia.

Nie mogąc znaleźć jej oskarży cię spojrzenia, zwiesił głowę.

Popatrzył na zakurzone buty i przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

- Spędziłaś noc z Erykiem i jakoś cię nie zjadły.

Podniósł wzrok.

Myślał, że Rebekasię zmiesza albo padnie w złość, tymczasem dostrzegł w jej oczach tylko zaniepokojenie.

Wykrzywił usta w sztucznym uśmiechu.

- Mówiłaś kiedyś, że był kiepski.

Widać się poprawił.

Przełknęła ślinę.

- To nie tak.

- A jak?

Spędziłaś noc z byłym chłopakiem.

Wszystko jest jasne.

- Zamiast wyciągać głupie i pochopne wnioski, mógłbyś mi zaufać.

- A więc jestem głupi, tak?

- Tego nie powiedziałam.

- Mów.

Chcę wiedzieć.

Zrobiliście to w Winchesterze?

Wtedy?

Widujesz się z nim?

Od kiedy?

- Oczym ty mówisz?

Do niczego między nami nie doszło!

- Nie?

Uspokoila go gestem ręki.

- Dobrze, powiem ci.

W tamten piątek poszłam do pubu ze szkolną koleżanką i wpadłyśmy na Eryka.

Miał jakąś dziewczynę, ale z nim zerwał.

Upił się i był w strasznym stanie.

Byłam samochodem mamy, więc podwiozłam go do domu i zrobiłam mukawę.

Siedzieliśmy i gadaliśmy.

To wszystko.

- Akurat!

- To prawda!

Współczułam mu.

Znam go od dzieciństwa i było mi go żal.

Chciał tylko z kimś porozmawiać.

- Więc dlaczego zostałaś na całą noc?

- Bo już prawie świtało i byłam zbyt zmęczona, żeby prowadzić.

Pościelił mi połowe łóżko.

Do niczego między nami nie doszło.

217.

- Skoro tak, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

-Bo wiedziałam, jak byś zareagował.

Uznałam, że lepiej zachować to dla siebie.

- No i się wydało.

-Ktoci powiedział?

Robert?

- Co za różnica.

-Max, prawda?

- Jeśli nawet, to co?

Teraz z kolei ona się roześmiała.

- Co cię tak śmieszy?

-Ty.Ktoś, kto myślał kiedyś własnym mózgiem, zanim Max nie rozkroił go na pół.

- Max niema z tym nic wspólnego.

Mówimy o tobie i Eryku.

Roześmiała się jeszcze głośniej.

- Wybacz.

O czym ja głupia myślałam?

Przecież Max jest doskonały.

On nigdy nie zawodzi.

- W przeciwieństwie do ciebie.

-Naturalnie.

Skoro Max tak twierdzi, na pewno ma rację.

- Przynajmniej wiem, że nigdy by mi nie skłamał.

Mimo upału, gwałtownie pobladła.

- Boże, Mikę - szepnęła.

- Czy aż dotego doszło?

Jemu ufasz, a mnie nie?

- Na to wygląda.

-W takim razie wygrał.

- Co to znaczy?

-Że wszystko między nami skończone.

- Już to przerabialiśmy.

Teraz każesz mi z nim zerwać, tak?

To też jest w scenariuszu.

- Już nie.

Teraz z kolei on pobladł.

- Kiedyśmy się poznali, uważałam cię za najbardziej ekscytującego mężczyznę, jakiego znałam.

Życie cię nie rozpieszczało, mimo to dałaś się sobą wybić.

Miałaś w sobie wewnętrzną siłę, parłeś naprzód i będąc toba, czułam, że naprawdę żyję.

Ale już nie czuję.

Max wszystko cię wyssał.

Zniszczył i ciebie, i nas.

- Zdjęła zaręczynowy pierścionek i wyciągnęła rękę.

- Nic z tego.

Nie tym razem.

- Janie gram.

Mikę.

To siedzieje naprawdę.

Tokoniec.

- Nie chcę.

-Ale ja chcę.

Popatrzył jej w oczy.

Tak, mówiła serio.

I nie zabrała ręki.

Podniósł swoją i wziął pierścionelek.

218

Patrzyli na siebie i zachciało mu się płakać.

Gniewnie potrząsnęła głową.

- Jeśli teraz odejdiesz, nie będzie powrotu.

Żeby nie wiem co.

- Wiem - odrzekła i odwróciła się.

-Rebeko!

Przystanąła.

- Nie rób tego.

Ujął jej otwartą w dłonie i spojrzała w oczy.

- Wierzę w ciebie - szepnęła.

- Zawsze wierzyłam, nigdy nie przestanę.

Pamiętaj.

Możesz być panem swego życia.

Nie pozwól, żeby ktoś nim zaważadnął.

Pocałowała go w policzek i odeszła.

Tym razem jej nie zatrzymał.

Mijałoby ludzkie, zapatrzeni w siebie i nieświadomi jego bólu, a on patrzył, jak Rebeka znika z jego życia.

10

Trzy dni później.

Czwartek, wczesne popołudnie.

Wróciwszy z biblioteki, Michael spojrzał na ekran monitora.

E-mail.

Niestety, tylko reklama funduszu emerytalnego.

Rebeka wydzwaniała do niego po kilkanaście razy dziennie, a to, żeby coś mu powiedzieć, a to, żeby tylko usłyszeć jego głos.

Czasami, kiedy był zajęty, bardzo go to denerwowało, ale teraz, kiedy telefony się nagle urwały, dałby wszystko, żeby ponownie odczuć znajome zdenerwowanie.

Kim zostawiła mu na krześle faks, dwudziestostronicowy i pilny.

Niemogąc się skupić, odłożył go na biurko.

Był sam.

Stuart siedział w sali konferencyjnej, na jednej z tych nie kończących się nasiadówek z klientem.

Do pokoju zajrzał Jack Bennett.

- Przeszkadzam?

-Nie.

- O wpół do piątej mamy konferencję telefoniczną.

Kontrakt Chassocka.

- Wiem.

-Jeśli jesteś zajęty, nie musisz przychodzić.

To nic ważnego.

- Przyjdę.

Jack niezdarnie przestąpił z nogi na nogę.
Postronny obserwator pomyślałby, że to on jest asystentem, a Mikę współnikiem.
- Na pewno jesteś przepracowany?
- spytał.
- Nie.
- Jeśli będziesz, to powiedz.
- Zamilkł.
- Co słyhać u Maksa?
219.

- Wszystko dobrze.

- To świetnie.

Jeśli go zobaczysz.

- Przekażę mu pozdrowienia.

Jack wyszedł.

Mike gapił się w biurko, przygnębiony myślą o konferencji.

Chassock był koszmarnym gadułą i rozmowa mogła potrwać wiele godzin.

Cóż, nie musiał tam iść.

Jack dał mu wybór, lecz rozkaz przyszedł od Maksa.

Od starcia z Hammondem upłynął tydzień.

Inic.

Nie dalej jak poprzedniego dnia wpadli na siebie w kantynie i Bruce uśmiechnął się do niego jowialnie, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

To na pewno też zasługa Maksa.

Świadomość ta zaczynała go niepokoić.

Wiedział, że ma talent i możliwości, że może odnieść sukces, lecz chciał zawdzięczać sobie, a nie pieniądзом i wpływom innych.

Nie znosił takich sytuacji, jednak starał się o tym nie myśleć, ponieważ myśląc, nienawidził Maksa, a tego z kolei nie chciał.

Przez trzy wieczory siedział nim godzinami w gabinecie, wyrzucając siebie wszystkie zmartwienia - często we łzach - a on słuchał w milczeniu i uśmiechał się ze współczuciem, które koło bardziej niż tysiąc słów pocieszenia.

Nie, nigdyby mu tego nie zrobił.

Zadzwoił telefon i na odczycie wyświetlił się numer jego komórki.

Prawdziwa niespodzianka, ponieważ miał być teraz na lunchu z Duńczykami, którzy chcieli kupić pakiet jego akcji.

Mike podniósł słuchawkę.

- Cześć.

Odwołali lunch?

- Niestety, nie.

Zostawiłem ich z tiramisem.

Najedzą się i może złożą mi lepszą ofertę.

Wieczorem byłeś bardzo przybity.

Martwiłem się o ciebie.

Był wzruszony.

- Niepotrzebnie.

- Masz coś przeciwko temu, że dzwonię?

Nie chcę się narzucać.

- Głos był ciepły i kojący.

- Nie.

Cieszę się.

- Robisz coś wieczorem?

- Nie.

- Jem kolację z Karoliną.

W tajskiej restauracji przy Bond Street.

- Aha.

- Przyjdź.

Chciałaby cię zobaczyć.

Zawahał się.

- Na pewno niebędę przeszkadzał?
Długo się nie widzieliście.
- Ależskąd.
Przyjdź.
Nie masz ochoty?
- Chyba nie.
- Musisz zacząć żyć.
Mike.
Od nowa.
Wiem, że ci ciężko, ale to najlepsze wyjście.
220
- Dobrze.
W takim razie przyjdę.
- Świetnie.
- Podał mu namiary restauracji.
- Umówiliśmy się o wpółdo ósmej w barze, więc przyjdź prosto do pracy.
A tymczasemnie daj się tyra- nizować Jackowi.
To nie wchodzi w rachubę - pomyślał i odłożył słuchawkę.
Leżącyna biurku faks byłniczym wyrzut sumienia.
Zamiast go przejrzeć, poszedłpo' kawę.
Wracając, zobaczył Julię.
Była smutna, nawet przybita.
Od Kim wiedział, że Graham jest w parszywym nastroju, i że się na niej wyżywa.
- Co jest?
Znowu Fletcher?
Bez słowa kiwnęła głową.
Spróbowałwymyślić coś pocieszającego, pocrzepiającego.
- Niedługo uciekasz do handlowego.
Powiadają, że Catherine Chesterto świetna dziewczyna.
Odbijesz sobie wszystkoto, co wycierpiałaś z Grahamem.
Uśmiechnęła się.
I nagle spoważniała.
Miała dziwny wyraz twarzy.
- Graham nie jest taki zły - odrzekła.
- Jeślina mnie krzyczy, na pewno na to zasługuję.
Odeszła w stronę windy.
Zaskoczony Mike, długo za nią patrzył.
Za kwadransósmą.
Wszedł do restauracji.
Kelnerka w tradycyjnym syjamskim stroju wskazała mu mały bar po lewej stronie sali jadalnej.
Byłpusty, nie licząc Maksa i Karoliny.
Dostrzegli go, zanim oni dostrzegli jego.
Oboje mieli spięte twarze.
W tle cicho grałaorientalna muzyka, mimo to potonie ich głosupoznał, że rozmowa niejest przyjemna.
W końcu go zauważyli.
Karolina uśmiechnęła się sztuczniei tylko ustami.
Zamówił piwo.
- Już myśleliśmy, że zabłądziłeś - powiedział Max.

-Przepraszam.
Narada się przedłużyła.
- Nie przepraszaj.
Nas goście przyjdą dopiero za kwadrans.
- Goście?
Max przypalił cygaretkę.
- Potencjalni klienci - wyjaśniła oschle Karolina.
- I potencjalny kontrakt.
Mike poczuł się trochę nieswojo.
- Nie chcę ci przeszkadzać.
Jej twarz natychmiast złagodniała.
- Nie przeszkadzasz.
Miłocię znowu widzieć.
- Dotknęła jego ramienia.
-Przykro mi z powodu Rebeki.
- Dziękuję.
221.

Do baru weszła jakaś para.

Myślał, że tojej klienci, ale nie.

Tamci zamówili coś do picia iusiedli z boku.

- Jestnadzieja, że się pogodzicie?

- spytała.

- Chyba nie.

-A chciałbyś?

Barman przyniósł piwo.

- Tak.

Restauracja zaczynała się powoli wypełniać i wraz z zapachem pikantnego jedzenia dochodził ich gwar rozmów.

Barman zostawił na stoliku miseczkę z krakersami.

Mike zjadł jednegoi stwierdził, że nie ma apetytu.

- W takim razie wszystko przed wami- powiedziała Karolina.

I znowusię uśmiechnęła, tym razem szczerze.

-Nie daj się.

Mike.

Pasowaliście dosiebie.

- Nie musisz mu o tym przypominać- warknął Max.

Karolina lekko zbladła.

- Chciałam tylko powiedzieć, że zakochani częstodo siebie wracają.

-Moje doświadczenie na to nie wskazuje - odparł szorstko Max.

- Odgrzewane kotlety, to odgrzewane kotlety.

Nie da się tego naprawić.

Mike drgnął, jakby użądliła go pszczoła.

Czuł, że Max ma rację, mimo tojego słowa bolały.

Ścisnęło go w gardle.

Wypił łyk piwa, żeby je przepłukać.

- To nieprawda, Max -powiedziała Karolina.

- Zawsze jest nadzieja.

Max tylko prychnął.

- Jest!

Max zgasił cygaretkę.

- Dlaczego to robisz?

- spytał.

- Co?

-Dlaczego próbujesz rozbudzić w nim jakieś oczekiwania?

Czy ty wiesz, jak mu ciężko?

Monolog o źródlewiecznej nadziei to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje.

- Położyłmu rękę na ramieniu.

-Wszystko w porządku?

- Tak, nicmi nie jest.

- Uśmiechnął się do nich swoim najlepszym uśmiechemi wypił kolejny łyk piwa.

Lecz Max wciąż musięprzypatrywał.

Ze współczuciem i zrozumieniem.

Jego spojrzenie podtrzymywało na duchu, ale i osłabiało.

- Napewno?

Gardło.

Znowu nie mógł mówić.

Nie ufał własnemu głosowi.

Kelner wprowadził do restauracji kolejnych gości.

- Przepraszam, Mike - powiedział Max.

- Chyba jeszcze nie pora.

Możesz pójść do domu?

Co za ulga.

Wstał.

- Nie chciałam cię zdenerwować.

- To Karolina.

Sama była zdenerwowana.

222

- Nie zdenerwowałaś mnie, naprawdę.

- Zerkał na zegarek.

Za pięćdziesiąt.

- Powodzenia z klientami.

Max dopił drinka i wstał.

- W takim razie chodźmy.

- Ty też idziesz?

- Nie zostawię cię w tym stanie.

Za kogo mnie uważasz?

Karolina ostąpiła.

- Max, nie możesz!

Chodzi o duże pieniądze.

Potrzebuję twego wsparcia.

- Mike też.

- Oczywiście, ale.

- Ale co?

Michael potarł czoło.

- Posłuchaj, dam sobie radę.

- Ale co?

- powtórzył Max.

- Jego życie rozpadło się w gruzy.

Naprawdę myślisz, że ważniejszy jest dla mnie jakiś kontrakt?

- Nie.

Po prostu.

- Chyba tak.

- Przeszył ją wzrokiem.

Oczy miał zimne jak lód.

- Myślałem, że uczucia mają dla ciebie jakąś wartość, ale najwyraźniej się myliłem.

Cóż, przykro mi, ale nie zamierzam tracić czasu na kogoś tak wynaturzonych priorytetach.

Żegnaj.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

Max się odwrócił.

Karolina chwyciła go za ramię.

- Max!

Proszę cię!

Nie możesz mi tego zrobić!

Odrzucił jej rękę.

- Zaraz przyjdą twoi goście.

Lepiej weź się w garść.

I wyprowadził oszołomionego Mike'a z restauracji.

Stali na ulicy, czekając na taksówkę.

- Niemożesz zerwać z nią w taki sposób.

Max wydmuchał dym w ciepłe wieczorne powietrze.

- Dlaczego?

Zresztą i tak źle się między nimi układało.

- Powiedział to bojętnie, jakby mówił o pogodzie.

Nadjeżdżała taksówka.

Machnął ręką.

- Jesteś głodny?

Możemy zjeść coś po drodze.

Oczy znowu miał ciepłe.

Michael przypomniał sobie, jakim wzrokiem patrzył na Karolinę i modlił się w duchu, żeby nigdy nie spojrział tak na niego.

Potrzebował go.

Wstyd przyznać, ale bardzo go potrzebował.

W ciągu minionego roku przywykł, że ktoś go kocha.

Uzależnił się od najbliższych.

Na przykład od Rebeki.

Lecz Rebeka odeszła i został tylko Max.

Taksówka zjechała do kierowcy.

Max otworzył drzwi i wszedł.

223.

Piątek rano.

Wróciwszy ze spotkania, Emilia zastała na biurku karteczkę z wiadomością, że były do niej dwa telefony: jeden od francuskiego wydawcy - dopytywał się o nowego pisarza, którego reprezentowali - drugi od ojca.

Ojciec prosił, żeby zadzwoniła.

Natychmiast zaczęła trząść się z podniecenia i zdenerwowania.

Podniosła słuchawkę.

Palce drżały jej tak bardzo, że trzykrotnie pomyliła numer i musiała zaczynać od początku.

Odebrał po pierwszym sygnale.

- Halo?

- spytał łagodnie.

- To ja.

Głośno westchnął.

Pewnie walczył z emocjami.

Tak samo jak ona.

- Jak się masz?

Mogła powiedzieć prawdę, lecz nie to chciała usłyszeć.

- Nieźle.

A ty?

- Też nieźle.

- To dobrze.

- Wiedziała, że powinna spytać o kogoś jeszcze, lecz nie mogła się do tego zmusić.

Wkońcu odpowiedział niepytany.

- Sheila też nie narzeka.

Milczenie.

Odkasznął.

Robił to, ilekroć był zdenerwowany.

Czekała.

- Postanowiliśmy pozbyć się kredensu.

Zajmuje za dużo miejsca.

- Rozumiem.

- Próbowała ukryć wzburzenie.

Wprawiała go w zażenowanie.

- Sheila uważa, że powinniśmy oddać go tobie.

Chcesz?

- Tak.

- W takim razie jest twój.

Za sześćset funtów.

Nie za dużo?

Opanowanie szlag trafił.

- Należał do matki!

Jak możesz prosić mnie o pieniądze?

Westchnął.

- Teraz należy do mnie.

- Nie, należy do niej.

Tak samo jak pozostałe rzeczy, które cenila.

- Roześmiała się chrapliwie.

- Z wyjątkiem jednej.

Cisza.

- Proszę, nie bądź taka - powiedział cicho.
-Dlaczego?
Czyżbym zakłócał ci spokój ducha?
Boże, nie śmiałybym tego zrobić.
Głośnoabrał powietrza.
Wiedziała, że boi się jej gniewu, że gniew jeszcze bardziej ich od siebie oddala, lecz nie mogła się powstrzymać.
- To nie twoja wina, prawda?
Ty zawsze jesteś niewinny.
Poczucie winy nie pogrąża w bezwładzie, wyzwala chęć działania.
- Emciu.
Drgnęła.
224
- Nie jestem żadną Emcią.
Nie dla ciebie.
Już od dawna nie masz prawa mnie tak nazywać.
- Dlaczego tak mówisz?
-Naprawdę muszę ci to tłumaczyć?
Zaczął coś mówić, protestować, wypierać się, zaprzeczać.
Nie chciał tego słuchać.
Zamknęła oczy, jakby silne zaciśnięcie powiek mogło go uciszyć, i pogrążywszy się w ciemności znowu odczuła ten stężyły bezruch.
Ten piękny, wyciszony bezruch, który ogarnął osiemnastoletnią dziewczynę będącą o krok od popełnienia największego błędu w życiu.
Wtedy ją to nieprzerazało.
Teraz tak.
Ukryła się pod maską etykiety i konwenansu.
- Sprzedaj ten kredens.
Nie mam go gdzie trzymać.
- Napewno?
-Tak.
Muszę kończyć.
- Do widzenia.
Chciała odłożyć słuchawkę, ale nie mogła.
- Tato!
- Obce słowo.
Tak rzadko je wypowiadała.
- Tak?
-Kocham cię.
- Wciąż jesteś dla mnie Emcią.
- Trząś sięmu głos.
-I zawsze będziesz.
Sygnał,
Odłożyła słuchawkę.
Miała ochotę zapłakać, lecz nie zapłakała.
Łzy niczego by nie załatwiły.
Przeszłość jest wykuta w kamieniu i nie da się jej zmienić.
Próbowała wzięść się w garść.
Musiała zadzwonić do tego Francuza, czekał na telefon.
Jednakże minęła godzina, a ona wciąż nie sięgnęła po słuchawkę.

Za dwadzieścia pierwsza.
Michael siedział przy oknie winiarni, tonącej
w cieniu katedry świętego Pawła, i czekał na Emilię.
[Spóźniła się.
Sprawdził, czy ma włączoną komórkę, modląc się, żeby nie zadzwoniła i nie odwołała
spotkania.
Chciał jej zadać tyle pytań.
Co u Re beki?
Czy choć raz o nim wspomniała?
Czy choć raz powiedziała coś, co
[sugerowałyby, że chce do niego wrócić?
Padało.
Przelotny letni deszcz.
Przestanie padać równie nagle, jak zaczął.
Przechodnie kryli się w bramach i sklepach.
Emilia weszła do baru i ruszyła w jego stronę.
Krople wody lśniły w jej włosach jak brylanty.
Kelner przyjął zamówienie na drinki i położył na stole dwa jadłospisy.
Odsunął swój na bok.
15 - Marionetka
225.

- Nie jestem głodna.

Niedobrze.

Próbował zamaskować niepokój.

- Na pewno?

Kiwnęła głową.

- Za toja jestem głodny jak wilk - zełgał.

- Zamówię dużą pizzę idamci kawałek.

Włosy opadały jej na twarz.

Gdy je odgarnęła, zobaczył, że ma zaczerwienione oczy.

- Cosięstało?

Opowiedziała mu o rozmowie z ojcem.

- Źle to rozegrałam, prawda?

-Byłaś zdenerwowana.

Następnym razem pójdzie ci lepiej.

- Zakładając, że do niego zadzwonię.

Wmawiam sobie, że warto o niego walczyć, ale jużw to nie wierzę.

Nie mogę zapomnieć.

Aniwybaczyć.

- Nie było mu łatwo.

Musisz o tym pamiętać.

Pociemniała jej twarz.

- Myślisz, że mnie było?

- spytałaz goryczą.

Zaniepokojony przykrył jej dłońswoją dłonią.

- Jestem po twojej stronie, Emilio.

Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

Proszę niechcę, żebyś się tak denerwowała.

Uśmiechnęła się.

Miała piękną twarz.

Klasyczny prerafaelickiował.

Rebeka często to powtarzała.

Posmutniał.

- Myślisz o niej, prawda?

Kiwnął głową.

Przepraszam.

Nie powinnam obarczać cię swoimi problemami.

Nadszedł kelner.

Przyjmując zamówienie, zażartował na temat pogody.

Michael roześmiał się sztucznie, obserwując grupę młodych bankowcówzasiadających do sąsiedniego stołu.

- Widziałaś się znią?

- spytał, gdy zostali sami.

- Tak.

-No i?

Cou niej?

- Wszystko dobrze.

Mówiła o tobie.

- Co?

-Że się cię martwi.

Bała się, że się wtedy za bardzo zdenerwowałaś.
Wstrzymała oddech, myśląc, że Emilia powie coś jeszcze.
Ale nie powiedziała.

- Tęskniła mną?

Spuściła oczy.

Deszcz spłynął z włosów na bluzkę.

- Muszę wiedzieć, Emilio.

Jest jakaś szansa?

- Niema.

Żadnej.

Dla niej to już koniec.

Niczym tego nie zmienisz.

Najlepiej o niej zapomnij.

226

Nagle znowumiał osiem lat i ten z socjalnego mówił mu, że matka nie żyje.

Był poważnym mężczyzną wokularach a la John Lennon miał na policzku wielkie znamię.

Mike patrzyła nie.

Skupiał na nim całą uwagę, chcąc zabić w sobie uczucie bezgranicznej pustki.

Miał wrażenie, że ktoś rozpruł mu brzuch i wyjął wnętrze.

Takie samo wrażenie miał teraz.

- Przepraszam - szepnęła.

- To nie twoja wina.

Dziękuję za szczerość.

- Nigdy bym cię nie okłamała.

- Wiem.

- Nie jesteś sam, Mike.

Masz mnie.

Bankowcy przy sąsiednim stoliku rozmawiali polityce firmy.

Jednego z nich chyba znał.

Chodził z nim do college'u.

- Pomogę ci - mówiła Emilia.

- Zawsze będę ci pomagała.

- Wiem - powtórzył.

- Mamszczęście.

- Nie, to ja mam szczęście.

Zdołał się uśmiechnąć.

Podniosła jego rękę, przytknęła ją sobie do policzka i pocałowała.

Gest czuły i

pełen pożądania.

- Kocham cię.

Mike.

Jesteśmy tacy sami, ty i ja.

Wiemy, co znaczy samotność.

Wiemy, co znaczy strach i ból.

Razem damy sobie radę.

Zakręciło mu się w głowie.

Odruchowo spróbował zabrać rękę, lecz ją

przytrzymała.

- Rozumiem cię lepiej niż ona.

Nie kazałabym ci zrywać z Makssem.

Nigdy nie zażądałabym od ciebie czegoś, z czego nie chciałbyś zrezygnować.

- Emilio.

-Ona już cię nie chce.

Porzuciła cię jak starą zabawkę.

Ja nigdy cię nieporzucę.

Mógłbyś być ze mną szczęśliwy.

I kochać mnie bardziej niż kiedykolwiek kochałeś ją.

- Nie!

Wyszarpnął rękę.

W winiarni zapadła cisza.

Goście patrzyli na nich, łącznie z facetem, z którym chodził do college'u.

Clive Southgate.

Studiował literaturę angielską i chciał zostać aktorem.

Teraz piął się z mozołem po szczeblach kariery urzędnika bankowego.

Życie jest dziwne.

- To nie tak, Emilio.

Kocham cię, ale tylko jako przyjaciółkę.

I jako

przyjaciółkę cię potrzebuję.

- A co ze mną?

- przerwała mu desperowana.

-Moje potrzeby cienie

obchodzą?

Nikomemu na mnie nie zależy.

- Mnie zależy.

-Dlaczego to musi być właśnie ona?

Od dzieciństwa zawsze ona.

Dlaczego choć raz tymkimś nie mogę być ja?

227.

Milczał.

Cóż mógł powiedzieć?

W winiarni ponownie zrobiło się gwarno.

Patrzyła na niego.

Jej oczy były niczym wielkie spodki bólu.

Pragnął ten ból złagodzić, lecz nie mógł.

Nie jejsposobem.

- Przepraszam.

Przykro mi.

- Trzy anemiczne słowa.

Innych nie znalazł.

Wzięła głęboki oddech.

- Nie musisz przeproszać.

Będę twoją przyjaciółką.

I powierniczką.

Kimkolwiek zechcesz.

Kelner przyniósł pizzę, którą miał się podzielić.

Kiedy wychodzili z winiarni, pozostała nietknięta.

- Na pewno jej nie macie?

- Nie.

- Ale na pewno?

- Na pewno.

Poniedziałek rano.

Stała za ladą z Klarą, uśmiechając się sztucznie donaburmuszonej staruszki.

- Miała być w tym tygodniu.

- Obawiam się, że nie nadeszła.

- Niech pani sprawdzi w komputerze.

- Sprawdziłam dwa razy.

- To niech pani sprawdzi jeszcze raz.

- Niema sensu.

- Nie podoba mi się pani postawa, młoda damo.

Powinna się pani nauczyć dobrych manier.

- Na miłość boską!

Niemamy tej cholernej książki, więc niech pani przestanie mnie wypytywać!

Staruszka rozdziawiła usta.

Do akcji wkroczyła Klara.

- Bardzo panią przepaszam.

Mój asystent zapisze pani adres i kiedy tylko książka przyjdzie, przyślemy ją pani bezpłatnie.

Tymczasem.

- Wzięła Rebeke pod rękę.

- Możemy porozmawiać?

Wyszły na zaplecze.

- Tylko mnie nie pouczaj.

Klara była wściekła.

- Jakś mies odzywać się tak do klientki!

- Zasłużyła.

- Wszystko jedno.

Płacę ci za to i jeśli nie potrafisz się opanować, możesz poszukać sobie innej pracy.

- Wielkiemi co.

- Przepraszam, zapomniałam.

Jesteś tu tylko chwilowo, bo wkrótce podbijesz świat swoimi obrazami.

Ale janie.

Ja pracuję tu na stałe.

Jestem kierowniczką tej księgarni.

Harowałam na to jakwół, a jeśli ta kobieta złoży skargę, wylecę razem z tobą.

Rebeka spuściła głowę.

- Nie wyleją cię.

To dzięki tobie tyle sprzedajemy.

Powiem im, że to moja wina.

Nie wyrzucą cię.

Musieliby zwariować.

Klara trochę złagodniała.

- Dajmy temu spokój.

Wiem, jak ci teraz ciężko, ale uważaj, dobra?

- Myślisz, że się poskarży?

- Pewnie tak.

Jest szurnięta.

Kiedyś kupiła u nas książkę kucharską Delii Smith.

Parę dni potem przyszła ponownie z ciastem, które upiekła.

Zażądała zwrotu pieniędzy, bo ciastonie wyglądało tak jak na zdjęciu.

Rebeka milczała.

- Śmieję się.

To najlepsze lekarstwo.

Spróbowała, ale z marnym skutkiem.

- Zawsze możesz donieść zadzwonić.

- I co bym mu powiedziała?

- Że nie śpisz i nie jesz.

Że koszmarnie wyglądasz.

I że serce mi się kraje na twój widok.

- Przeżyję.

- Przynajmniej pomyśl o tym.

Jeden telefon i znowu będę z ciebie zadowolona.

Na stoliku za Klarą stała taca.

Ilekcóż ktoś personelu obchodził urodziny, fundował pozostałym ciastka z kremem.

Taki mieli zwyczaj.

Swoje zawsze zanosila Michaelowi.

To był jej zwyczaj.

- Przecież tego chcesz.

Założę się o wszystko, że on też.

- Ale Max chce czegoś innego.

Pośrodku tacy leżał kawałek keksu.

Ulubione ciasto Michaela.

Nie tym razem.

Przełknęła ślinę.

- Lepiej wracajmy.

Przepraszam.

Obiecuję, że to się już nie powtórzy.

Wróciły załadę.

Środa, piąta po południu.
Michael wyszedł z biblioteki.
Myślał o Emilii.
Wielokrotnie do niego dzwoniła, prosiła o telefon, a on jeszcze nie oddzwonił.
Wmawiał sobie, że z braku czasu, ale tak naprawdę poprostu nie wiedział, co jej powiedzieć.
Prosiła, żeby zachować to w tajemnicy.
Ten jej wybuch w winiarni.
Obiecywała, że niczego to między nimi nie zmieni, że nie wpłynie na ich przyjaźń.
Nie bardzo w to wierzył.
Tego rodzaju deklaracji nie da się zapomnieć.
229.

W kółko zadawał sobie jedno pytanie: Sprowokował ją?

Czym?

Dał jej do zrozumienia, że chodzi mu o coś więcej niż przyjaźń?

Tak czy siak, wkrótce będzie musiał zadzwonić.

Nie mógł tego dłużej odwlekać.

Skoro chciał udawać, że nic się nie stało, musiał udawać i on.

Z pokoju dochodził głośny śmiech.

Przed biurkiem Stuarta stała Julia i Paul, jej kolega stażysta.

Pewnie z kogoś zartowali.

Wszedł z uśmiechem i spytał:

- Co wstak bawi?

Śmiech momentalnie ucichł i zapadła nerwowa cisza.

Poczuł się nieswojo, jak intruz w swoim własnym pokoju.

- Nic - odrzekła Julia.

Miała niewyraźną minę.

Paul też.

Naszły go niemiłe podejrzenia.

- Jak to nic?

- Miałem zebrać materiały - odparł Paul.

- Dla Kate Kennedy.

Ułożyłem kartki w złej kolejności.

- Co w tym śmiesznego?

Paul wzruszył ramionami.

- No, wiesz.

- Nie, nie wiem.

Wiem tylko, że kiedy wszedłem, zrywaliście boki ze śmiechu.

- To nic takiego, Mike - wtrącił Stuart.

- Czyżby?

Paul wbił wzrok w podłogę.

- Śmialiście się ze mnie, tak?

- Nie!

- Wykrzyknęła Julia z przerażeniem w oczach.

I nagle go olśniło.

- Lepiej już idźcie - warknął.

- Mam robotę.

- Nie śmiali sięz ciebie - powiedział Stuart, gdy zostali sami.

Michael ogarnął wzrokiem biurko.

Znalazł umowę i rzucił mu ją na kolana.

- Zrób dwie kopie.

- Co?

- Nie dyskutuj, tylko idź.

Stuart osłupiał.

- Dlaczego tak się zachowujesz?

- Bo mogę sobie na to pozwolić.

Już nie jestem taki jak ty.

Mam przewagę.

Jestem kimś wyjątkowym.

Wspólnicy mnie kochają i jeśli usłyszę, że onich plotkujecie, mogę na was donieść i spieprzyć wam karierę.

- Usiadła biurku i przeczesała ręką włosy.

- Chryste, Stuart, naprawdę tak myślisz?

- Przestań.

Co ty gadasz?

Przecież cię znam.

- Ale inni tak myślą.

Gdybym nie był zajęty Rebeką, zauważyłbym to już wcześniej.

Julia zachowuje się dziwnie, inni stażysci też.

Wczoraj

230

zadzwoił do mnie Nigel Wilson z jakimś trywialnym pytaniem i długo przeproszał, że zajmuje mi czas.

Zaczynaliśmy tu tego samego dnia.

Zawsze sobie pomagaliśmy.

Jak mógł tak o mnie pomyśleć?

Z korytarza dochodził czyjś podniesiony głos.

Sekretarka przeklinała szwankujący faks.

- Pamiętasz Susan Cobham?

- spytał Stuart.

- Nie.

- Byłem wtedy stażystą w handlowym, a ona wakacyjną praktykantką.

Wszyscy ją lubili i kiedy szliśmy na kielicha, zawsze ją zapraszaliśmy.

Ktoś odkrył, że jej wujek jest prezesem SaverCo, naszego najważniejszego klienta.

Zaproszenia natychmiast ustały, bo baliśmy się, żeby czegoś mu nie powtórzyła.

Na pewno by tego nie zrobiła, ale nikt nie chciał ryzykować.

Michael powoli wypuścił powietrze.

- Tak samo jak ze mną.

- Spróbuj spojrzeć na to z ich strony.

Zawsze byłeś wyszczekany buntownikiem.

Nasi wielcy, choćby Graham czy Kate, nigdy za tobą nie przepadali i nigdy nie kłaniają ci się w pas.

Krażą plotki, że masz potężne wpływy i ludzie nie wiedzą, czy można ci zaufać.

- Oczywiście, że można.

Poza tym nie mam żadnych wpływów.

- Aha.

A ja nie mam oczu.

- Nie prosiłem się o to.

Nie chciałem.

- Przestań się zadreć.

Jeśli chodzi o mnie, nic się między nami nie zmieniło.

Jesteśmy kumplami i całkowicie ci ufam.

Inni też zaufają.

Przekonają się, że nadal jesteś wyszczekany buntownikiem, i zaufają.

Daj im tylko trochę czasu.

- Spojrzał na zegarek.

- Wpół do szóstej.

Wyjdźmy wcześniej.

Wypijmy coś i pogadajmy.

- Dobra.

- Roześmiał się smutno.

-Ostatecznie nikt nas za to nieochrzani.

Mimo wczesnej pory U Comeya i Barrowa było już tłoczno. Stuart poszedł po wino, a Mike, który nie mógł znaleźć wolnego stolika, obserwował kłębiących się gości.

Do baru weszła pulchna, dziobata dziewczyna z plecakiem w ręku. Zawołała "Sean!

" i zaczęła przebijać się w stronę młodego mężczyzny w garniturze i młodej Azjatki w stonowanym żakiecie.

Oboje mieli po dwadzieścia kilka lat, oboje byli wysocy i eleganccy.

Azjatka miała ciemne, żywe oczy.

Oczy mężczyzny były niebieskie i spokojne.

Bez śladu strachu, który gościł w nich przed piętnastu laty.

Tamtego zimnego październikowego popołudnia, gdy kryjąc się za rogiem ulicy w Bówo obserwował wystraszonego dziesięcioletka stojącego przed samochodem, który miał go zawieźć do Canterbury.

231.

Bar zniknął i na chwilę zawładnęły nim wspomnienia: znowu doszedł goznajomy zapach domu dziecka - pasty do podłóg, przypalonego jedzenia i brudnych ubrań - znowu ogarnęła go tęsknota za spokojem i samotnością, i poczucie całkowitego odrzucenia.

Samochód odjechał.

Ścisnęło go w dołku.

Nie, tylko teraz.

Teraz nie da temu rady.

Odwrócił się szybko, chcąc uciec, wpadł na jakiegoś mężczyznę i omal niewytrącił mukieliszka z ręki.

Mężczyzna głośno zaklął i kilkorogoci odruchowo zerknęło przez ramię.

Między innymi Sean.

Popatrzył na niego z przyjazną obojętnością, jakby widział go pierwszy i ostatni raz w życiu. Wtem znieruchomiał.

Wytrzeszczył oczy.

Początkowo tylko się na siebie gapili.

Potem Seanniepewnie się uśmiechnął.

Mikę przeprosił mężczyznę i ponownie spojrzał w stronę baru.

Podekscytowany Sean powiedział coś towarzyszącym mu kobietom i podszedł bliżej.

- Nie wierzę - rzekł powoli.

- Nie przypuszczałem, że jeszcze cię zobaczę.

Zdezorientował go jego akcent.

Sean, którego pamiętał, mówił z zupełnie innym.

Tak samo jak on.

Cóż, minęło piętnaście lat.

- Najwyraźniej się pomyliłeś.

- Najwyraźniej.

- Nie przestając się uśmiechać, wskazał Azjatkę.

- To Maja, moja dziewczyna.

A ta z plecakiem to moja siostra Cathy.

- Ty nie masz siostry.

- Teraz już ma - odrzekła wesoło Cathy.

- Mamai tato adoptowali ją rok po mnie - wyjaśnił Sean.

Cathy parsknęła śmiechem.

- Że też musiałam na niego trafić.

- Niczego mi nie brakuje.

- Stare odruchy.

Znowu chciał go bronić.

Cathy się zmieszała.

- Tylko żartowałam.

Tuż za nim stanęło kilka kobiet.

Jedną z nich pachniała "Obsesją" Calvina Kleina, ulubionymi perfumami Rebeki.

- Sean gadał tobie i gadał.

Dostawali się myślała.

- Przepraszam.

Znowu się zmieszała.

- Nie, nie, bardzo lubiliśmy słuchać.

Stojąca za nią kobieta roześmiała się dźwięcznym, lotnym śmiechem.

Jak Rebeka.

Stracił ją, tak samo jak kiedyś stracił Seana, by po latach spotkać młodego, przebojowego urzędnika, który w niczym nie przypominał małego, przerażonego dziewięciolatka z Bow. Kogoś, kto był dla niego najważniejszą osobą w życiu.

Tamten chłopiec już nie istniał, a za piętnaście latnie będzie istniała dziewczyna, którą kochał: zmieni się szczęśliwą kure

232

domową, będzie miała męża, dzieci kilka mglistych wspomnień o mężczyźnie nazwiskiem Michael Turner.

- Mama i tato.

- powtórzył.

- Dużo się u ciebie zmieniło.

- Zabieramy ich dzisiaj na kolację.

Może przyjdiesz?

Bardzo by chcieli cię poznać.

- To nie ma sensu, Sean.

Nie jestem tym, o kim im opowiadałeś.

Już nie.

Patrzyli na siebie.

Obaj zdumieni zmianami, jakie w nich zaszły.

Maja zerknęła na Cathy i położyła jej rękę na ramieniu.

- Chodź - szepnęła.

- Zostawmy ich samych.

- Odeszły.

- Przyjdź, Mike.

Dużo by to dla nas znaczyło.

Dla nas wszystkich.

- Nie, wolę nie.

Nie myśl, że nie cieszę się z naszego spotkania.

Po prostu mam teraz ciężki okres.

Zmarszczył czoło.

- Mogę w czymś pomóc?

Michael uśmiechnął się smutno.

- Kiedyś to ja ci pomagałem.

- Może nadeszła pora, żebym ci się odwdzieczył.

- Nie jesteś mi nic winien.

- Jestem.

Gdyby nie ty, nigdy bym tam nie przeżył.

- Daj spokój.

Nasza znajomość jest dla mnie najwspanialszym wspomnieniem z dzieciństwa.

Cieszę się, że ci się powiodło.

Zasłużyłeś na to.

Zamilkli, podczas gdy winiarnia rozbrzmiewała śmiechem innych.

Rebeka tyle razy namawiała go, żeby odszukać Seana.

Ile razy wyobrażał sobie ich spotkanie po latach, zawsze stała wtedy u jego boku.

Ogarnęło go poczucie straszliwej pustki.

- Cóż - powiedział, siląc się na wesołość.

- Trzymaj się.

I uważaj na

siebie.

Był urażony.

- Może pójdziemy kiedyś na kielicha?

Żeby pogadać.

Mike pokręcił głową.

- Już mówiłem.

Zmieniłem się.

- Nie tak bardzo.

-Ale ty się zmieniłeś.

Seanwestchnął.

- Mogę ci coś powiedzieć?

-Skorochcesz.

- Pamiętasz to zdjęcie, które mi przysłałeś?

To, które zgubiłem, z matką

w ogrodzie.

-Pamiętam.

- Kazałem je oprawić.

Stoi na nocnym stoliku.

Mam nową rodzinę, ale nigdy jej nie zapomniałem.

Właśnie dzięki temu zdjęciu.

Gdyby nie ty.

233.

Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Zmieszany spuścił głowę.

-Chciałem, żebyśo tym wiedział.

- Dzięki, Sean.

To dla mnie dużo znaczy.

- Ty też na siebie uważaj.

Dobra?

- Dobra.

Odszedł do Mai i Cathy, które czekały na drugim końcu baru.

Michaeldługo zanim patrzył.

Stojąca za nim kobieta wciąż się śmiała.

Tym samymgardłowym śmiechem, jakim śmiała się Rebeka.

Nadszedł Stuart z kieliszkami.

- Pieprzony barman.

Wolny jestjak ślimak.

Z kimrozmawiałeś?

- Z nikim.

Zeznajomym.

Wypił łyk wina, ale w ustach miał smak perfum Rebeki i stęchły zapachdomuBow.

- Przepraszam, Stu,muszę wyjść.

Jutro ci wszystko wyjaśnię.

- Ruszył,przez tłum w stronę wyjścia.

Pół godziny później szedł Arundel Crescent.

Był już niedaleko domuMaksa, gdywtem zobaczył wysoką,szczupłądziewczynę o krótkich, sterczących blond włosach.

- Rebeko!

Popędził chodnikiem.

Nie widziała go, była pogrążona w myślach, więc kiedy położył jej rękę na ramieniu, odwróciła się gwałtownie i przerażona,głośno krzyknęła.

To nie była Rebeka.

- Przepraszam.

Wziąłem panią za kogoś innego.

Wzburzona, bezsłowa kiwnęła głową.

Przeprosił ją jeszcze raz i ruszyłw stronęschodów domu Maksa.

Nie musiałdzwonić.

Miał własne klucze.

Zamknął drzwi.

Na stoliku w holu leżały dwa listy.

Oba do niego.

Pewnieprzyszły nastary adres.

Z salonu wyszedł Max; zza jego pleców dobiegał głos prezentera wiadomości telewizyjnych.

-Widziałeś listy?

- Tak.

-Zadzwońieną pocztę.

Będą przysyłali je tutaj.

- Czyto konieczne?

Wkrótce się wyprowadzę.

- Wszystko jedno.
Mniej zamieszania, mniej kłopotów.
Dzwoniłem dokancelarii, ale powiedzieli, że już wyszedłeś.
- Tak, na wino ze Stuartem.
- Szybko pijecie.
- Nie miałem nastroju.
- Drzwi były przeszkłone.
Widział przeznienie tędziewczyne.
Przystanęła na chodniku.
234
- Co się stało?
- Nic.
Ta dziewczyna.
Jest podobna do Rebeki i przez moment myślałem, że.
- Już tym rozmawialiśmy - odrzekł łagodnie.
- Ona do ciebie nie wróci.
Musisz o niej zapomnieć.
- To nie takie łatwe.
- Wiem, nie ma nic trudniejszego.
Ale jakoś przeżyjemy, zobaczysz.
Masz moje słowo.
- My?
- Oczywiście.
Twoje problemy są moimi problemami.
Rozwiążemy je razem.
Poczuł się od niego zależny jak małe dziecko.
Szybko tęmyśl odpędził.
- Wolałbym sam.
- Każdy kogoś potrzebuje.
Najgorsza jest samotność, Mike.
Ale ty nie jesteś sam.
I dopóki żyję, nie będziesz.
Słowa te poruszyły zamglone wspomnienia, mroczne i niepokojące.
- To samo powiedział twój wujek.
Przysiągł twemu ojcu, że dopóki żyje, nie zostawi cię samego.
Max miał zboleć.
- To prawda.
A kilka tygodni później mnie porzucił.
Boisz się, że ja porzucę cię?
- Nie.
- Ani trochę?
Michael nie odpowiedział.
Wiadomości się skończyły i nadawano prognozę pogody.
Czekało ich jeszcze więcej słońca.
Kolejny piękny dzień.
- Odszukałem go, wiesz?
- powiedział Max.
- Mówiłem ci?
Tak samo jak ty odszukałeś kiedyś ojca.
W Manchesterze.

Miał tam firmę transportową.

Taksówki, i tak dalej.

Przez kilkanaście lat mu szło, ale potem wygryzło konkurencja.

Zachorował na raka.

Nie miał rodziny ani przyjaciół i ostatnie miesiące życia spędził samotnie w szpitalu.

Umarł narażony przed tym, gdy zacząłem go szukać.

- Przepraszam.

Nie chciałem.

- Janie jestem nim, a ty nie jesteś moim ojcem.

Oni dokonali swego wyboru, my dokonamy swego.

Niepopelnimy tych samych błędów.

- Nie.

- Chodźmy gdzieś.

Do teatru, do kina, gdziekolwiek.

Przestajesz o tym myśleć.

- Nie jesteś zajęty?

A ci duńczycy?

Nie przyjechali?

- Przyjechali.

Wciąż na mnie dybią, ale mogą trochę poczekać,

- Stracą zainteresowanie.

- I co z tego?

To tylko pieniądze.

235.

Michael spojrział mu w oczy i przez chwilę zdawało mu się, że życie jest proste i nieskomplikowane.

Ale tylko przez chwilę.

- Mam gazetę.

Chodź, zaraz coś wybierzemy.

Mikę popatrzył naprzekłone drzwi.

Chodnikiem ktoś szedł, ale jasnowłosej dziewczyny już tam nie było.

11

Środa rano.

Dwa tygodnie później.

Leżał w łóżku.

Chociaż nie było jeszcze siódmej, spodzłon wkradał się do pokoju promienie jasnego słońca.

Patrzyła plakat Dziesięciorga przykazań wiszący na przeciwległej ścianie.

Początkowo wydawało mu się, że tunie pasuje, lecz z czasem przywykł i teraz nie potrafił sobie wyobrazić, żeby mógł powiesić go gdzieś indziej.

Wstał i spojrział na błękitne niebo.

Z pobliskiego domu wyszedł mężczyzna.

Wsiadł do samochodu i odjechał.

David Bishop, prezes jednego z wiodących banków handlowych.

Zawsze wychodził dokładnie osiódmej.

Można było regulować według niego zegarek.

Łazienka, prysznic, skomplikowana aparatura grzewcza na ścianie.

Trochę trwało, zanim nauczył się obsługiwać, ale teraz robił to jak stary zawodowiec.

Strumień wody uderzył go w twarz zsiłą młota i odpedził resztkisnu.

Ponownie sypialnia.

Otworzył szafę.

Wisiał w niej rząd garniturów i koszul wyprasowanych przez panią Laszłó.

Powiedział jej, nie trzeba, że zrobisam, a ona uśmiechnęła się, kiwnęła głową i przestała zwracać na niego uwagę.

Wszystko jedno.

I tak wkrótce zamierzał się wyprowadzić.

Napewno?

i;

Wiedział, że powinien.

Max też go namawiał.

"Musisz mieć własny ką;

Mikę.

Ja cię przytłaczam, narzucam ci swój styl, a to ostatnia rzecz, jakiejbym chciał.

Będziemi cię brakowało, ale to dla twojego dobra".

Miast go zachęcić, słowate uświadomiły mu tylko, jak bardzo uzależnił się od niego emocjonalnie i chociaż skontaktował się już z kilkoma agencjami, nie obejrzał jak dotąd ani jednego mieszkania.

Nie, żeby miał ku temu zbyt wiele okazji.

Ilekcroć znalazł chwilę wolnego czasu, Max zabierał go na kolację, do teatru, kina czy do Suffolk, a on nieśmiało odmówił zobawy, że urazi człowieka, któremu tyle zawdzięczał.

Dni zmieniły się w tygodnie i nie wiedzieć kiedy, dom Maksa stał się jego domem.

Zapiął guzik koszuli i wyjął szafy włoski garnitur, który kupił przedrokiem u Braci Moss.

Rebeka uważała, że leży na nim jakulał.

Max wprost

236

przeciwnie.

"Zaczynasz bywać w wielkim świecie, Mike.

Koniec z masówką.

Zabiorę cię do mojego krawca".

Michaelnie chciał narażać go na koszty, lecz Max tylko machnął ręką.

"Zapomnij o pieniądzach.

Nazwijmy tospóźnionym prezentemurodzinowym".

Takich prezentów było dużo.

Jego stary, zużyty odtwarzacz relogowanodo pakamery izastąpiono najnowocześniejszą aparaturą.

Stała na biurku tużobok nowego laptopa, w szafie wisiały szyte na miarę ubrania, a na jejoreku błyszczał nowiutki Rolex.

Nauczył się jużnie patrzeć w stronę okienwystawowych: Max mógłby uznać, że podobamu się to, cona nich wyeksponowano, wpaść do sklepu i kupić mu to w prezencie.

Zapiął spinki, usiadł na łóżku i zaczął przeglądać prospekty

luksusowychsamochodów.

Poprzedniego wieczoru, w drodze do restauracji, Max zaciągnął go do salonu i kazał wybrać jakiś wóz.

Zgodnie z przewidywaniami, protesty na nic się nie zdały.

"Traktuję cię jak syna.

Gdybyś dorastał w moim domu, kupiłbym ci samochód już dawno temu.

Chcę nadrobić stracony czas".

Ponieważ słowom tym towarzyszył uśmiech i lekko urażona mina, poczuł się jak grubianin i skrętnie przyjął hojną propozycję.

Odłożywszy broszurę, ponownie spojrzął na plakat Dziesięciorga przykazań.

Dostał good Rebeci.

Przed trzema miesiącami najbardziej bał się tego, że ją straci i ponownie zostanie sam.

Rebeka odeszła, lecz sam nie został.

Miał Maksa, człowieka, który niespodziewanie wkroczył w jego życie i zaoferował miłość.

Miłość bezwarunkową.

Bezkrytyczną.

Niezłomną.

Zszedł do jadalni.

Max siedział w szlafroku przy stole, jadł grzanekę i czytał "Financial Timesa".

Spojrzał na Michaela i zmarszczył czoło.

- Źle leży.

Umówię cię z krawcem.

Na koniec tygodnia.

Mike nałósobie soku pomarańczowego.

Nadeszła pani Laszłó z dzbankiem kawy.

- Zrobić panu śniadanie?

- spytała.

- Nie, dziękuję.

Zjem grzanekę.

- Dobrze, zrobię panu śniadanie - odrzekła wesoło i zniknęła w kuchni.

- Boże.

Max parsknął śmiechem.

- Nie próbujz nią dyskutować.

Strata czasui energii.

- Święta prawda.

-Robisz coś jutro wieczorem?

- Bo?

-Przyjechał Sam Provsy, mój znajomy z Kanady Jest właścicielem sieci restauracji i chce rozpocząć działalność w Londynie.

Reprezentują go prawnicy z West Endu, ale ponieważ jest nimi zachwycony, chciałbym, żebyś zwerbował go do swojej kancelarii.

- Ja?

Jestem tylko młodszym asystentem.

237.

- Nic się nie martw.

Argumentację zostaw mnie.

Ty będziesz tylko siedział i się uśmiechał.

Wierz mi, ja Sam znam i dobrze wiem, które guziki nacisnąć.

Kiedy zechcesz zmienić pracę i pójść wyżej, klient taki jak on będzie ozdobą twego CV.

- Byłby klientem firmy, niemoim.

- Niechaj Jack tak myśli.

Prawdę znamy tylko my.

- Nie wiem, czy zechcę.

- Zmienić pracę i pójść wyżej?

- spytał z uśmiechem Max.

- Na pewno, na pewno.

Mike wiedział, że dyskusja nie ma sensu.

Nadeszła pani Laszłó.

Jaja nabekonie, pieczarki i kiełbaski.

Przełknął kilkakęsów, po czym zaczął grzebać w talerzu, żeby pomyślała, iż zjadł więcej niż naprawdę.

- Jesteś wyczerpany - zauważył Max.

- Musisz porządnie wypocząć.

Moi przyjaciele mają dom w Nassau, piękną nadmorską willę z basenem.

Wieczorem można się tam niezłe zabawić.

Moglibyśmy polecieć już w ten weekend.

Co byś powiedział na dwutygodniowy urlop?

- Mam dużo pracy.

Wkrótce podpisujemy ważne kontrakty nie mogę tak prosto.

- Ależ oczywiście, że możesz.

Dadzą sobie radę sami.

Pewnie tak.

A nawet gdyby nie dali, nikt by nie zaprotestował.

Bawił się jedzeniem.

- Nie musisz kończyć - powiedział Max.

- Wystarczy, że wykazałeś dobrą wolę.

Mike wstał.

- Zaczekaj.

- Max też wstał i podszedł bliżej.

- Jesteś zdenerwowany.

Powiedziałem coś nie tak?

- Nie.

- Tak.

Narzucam ci się, przytłaczam, mówię ci, co masz robić.

Zachowuję się czasem jak tyran, ale wierz mi, chcę, żebyś miał wszystko najlepsze.

- Na przykład garnitury na miarę - odparł z uśmiechem Michael.

Max też się uśmiechnął.

- Zwłaszcza garnitury.

- Trochę mnie to krępuje.

- Co?

- To, że mi wszystko kupujesz.

- Tylko rzeczy.

Mike.

Dawanie prezentów sprawia mi radość.

Czy totakie straszne?

- Tyle dla mnie zrobiłeś.

-To nic w porównaniu z tym, co dopiero zrobię.

- Spojrzał mu w oczy.

-Jesteśmy do siebie podobni.

Obaj wiemy, co znaczy samotność.

Wyszedłem

238

z Bow jako szesnastolatek.

Nie miałem nic oprócz kilku funtów w kieszeni pewności, że muszę się wybić.

Nikt mi nie pomógł.

Walczyłem sam, długoimozolnie.

Chcę, żeby tobie było łatwiej.

I będzie.

Moja w tymgłowa.

Michaelmilczał.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Nagle Max objął go i mocno przytulił.

Zaskoczony tymwybuchem emocji Mike zastygł bezruchu, myśląc, jakie toszczęście, że ma kogoś, komutak bardzo na nim zależy.

Max zabrał ręce i ponownie spojrziałmu w oczy.

Tak, kochał gojak ojciec,bezwarunkowo i z całkowitymoddaniem.

Kochał go, chociaż czasamimiłość ta przygniatała i dusiła.

Wrócił na górę po dyplomatkę.

Druga po południu.

Michaelwyszedł po kanapkę i własniewracał dokancelarii.

Był pogrążony wmyślach.

Rano dzwoniła Emilia.

Od tamtego spotkania w winiarni dwa razy jedli razem lunch.

Zakażdym razem atmosfera byłanapięta, ponieważoboje udawali, że nic się między nimi nie zmieniło.

Trochę go to martwiło.

Chciałbyćjeprzyjacielem, służyć pomocą, kiedy będzie go potrzebowała, sę w tym, że nie wiedział, jak to zrobić.

Był tak zamyślony, że dopiero po dłuższejchwilizdał sobiesprawę, że ktośgo woła.

Odwrócił się i zobaczył Petera Browna.

Chociażnie miał nastroju narozmowę, uśmiechnął sięsztucznie i powiedział:

- Witam.

Jak się państwumieszka?

- Świetnie.

Jesteśmy bardzo zadowoleni.

- Brown przestąpił z nogina nogę, jakby chciałcoś dodać i niebardzo wiedział jak.

- Coś się stało?

-Mogęo coś spytać?

- Naturalnie.

-Jest pan przyjacielem Maksa, prawda?

- Chyba tak.

-Czy Jenny i ja czymś go urażiliśmy?

- Dlaczego pan pyta?

Brown wyraźnie się zmieszał.

- Nieważne.

- Niech pan powie - nalegał zaciekawiony Michael.

- Może będę mógł pomóc.

- Odkąd tam zamieszkaliśmy, widywaliśmy go bardzo często, przynajmniej przez pierwszy tydzień.

Opowiadałem panu, jak wpadł do nas z butelką szampana i jak zaprosił nas na kolację.

Raz zjedliśmy razem lunch.

Postanowiliśmy

239.

mu się zrewanżować, podziękować, i pod koniec tygodnia my zaprosiliśmy jego.
Zadzwoiłem, ale odmówił.

Mike pomyślało tych wszystkich kolacjach i wypadach do teatru.

- Był ostatnio bardzo zajęty.

- Tak, ale chodzi mi o sposób, w jaki to zrobił.

Odpowiadał chłodno, zimno, jakbym mu przeszkadzał.

To dziwne, bo dzień wcześniej jedliśmy razem lunch i był bardzo serdeczny.

Odtamtąd pory dzwoniłem do niego dwa razy.

Michael zauważył jego krawat.

- ...

iza każdym razem reagował tak samo.

Niebieski w czerwone paski.

Brown nosił go, gdy spotkał się w holu kancelarii.

- Trochę mnie to zdeprymowało.

Musieli przyjść tam zaraz po lunchu.

Stali razem w holu, a Max dobrodusznie się do niego uśmiechał.

Zazdrość i wzburzenie, jakie go wówczas ogarnęło, doprowadziło do tego, że złamał
Robertowi nos i zerwał z Rebeką.

- ...

i zastanawiam się, czy.

' Książka.

Wciąż leżała na biurku w kancelarii.

Zbiór powiadań M.

R. Jamesa.

Nie należała ani do niego, ani do Rebeki.

Na sto procent.

Musieli zostawić ją poprzedni lokatorzy.

Ale to też niemożliwe.

Peter znalazł ją za sofą.

Kiedy wprowadzili się do kawalerki, on i Rebeka, przestawiali sofę kilka razy i niczego tam
nie było.

Tak, gdyby nie ta książka, nigdy by Petera nie poznał.

To Max kazał mi ją przynieść.

Oso biście.

Brown był wtedy pod wrażeniem jego serdeczności i hojności, i wzbudził w nim zazdrość.

Lecz cała serdeczność i hojność wkrótce ustała i teraz już nie musiał być zazdrosny.

A ustała dokładnie w dniu, kiedy zerwał z Rebeką.

Zrobiło mu się niedobrze.

- Niczym go nie urażiliście - odrzekł.

- Nie powinniście tak myśleć.

- Zamilkł i dodał: - Jestem pewien, że lubi was tak samo jak przedtem.

Siedział, myśląc o rozmowie z Peterem.

- Możesz coś dla mnie zrobić?

- spytał Stuart, który właśnie wychodził na spotkanie z klientem.

- Mam zadzwonić do naszej nowojorskiej filii.

Przysłali wycenę jakiejś amerykańskiej firmy, ale chyba pomylili się w rachunkach.

Będę zajęty całe popołudnie, więc może byś do nich przekreślił, co?

- Jasne.

Stuart podał mu dokumenty.

- Poproś Alana Bradleya.
Jest nowy, niedawno go ściągnęli.
Mike wystukał numer, ciesząc się, że może pomyśleć o czymś innym.
240
Alan, wesoły, jowialny Anglik, szybko poprawił błąd.
- Jaktam w Nowym Jorku?
- spytał Michael.
- Cudownie.
Ale jestem tu dopiero od tygodnia, więc wszystko możesz zmienić.
- Pracowałeś przedtem w Londynie?
- Tak, u Cartera Curzona.
Zacząłem zarazpo stażu.
- Kiedy?
W dziewięćdziesiątym piątym?
Szóstym?
- Nie, w zeszłym roku, we wrześniu.
We wrześniu?
- To tak samo jak ja.
- Naprawdę?
Jaki uniwersytet kończyłeś?
- Oxford.
- Mam kumpla, też skończył Oxford.
Brian Scott.
Może go znasz?
- Nie.
Alan, muszę już lecieć.
Miło się z tobą gadało.
Odłożył słuchawkę i przecesał ręką włosy.
Rozbolała go głowa.
Patrzyłaścianę, czekając, ażból minie.
- Mike.
Wdrzwiach stała Kim.
- Jack cię prosi.
Pilnasprawa, chodzi o kontrakt Chassocka.
Jack Bennett robił wrażenie zestresowanego.
- Dzwonił domnie ich dyrektor administracyjny - powiedział.
- Mająwewnętrzną naradę i zażądali sprawozdań finansowych ze swoich filii.
Wzeszłym tygodniu je kserowałeś.
Gdzie są?
- Tam.
- Wskazał niebieską teczkę na półce.
- Kazałem sporządzićjestażyście.
Przepraszam, powinienem był oznaczyć teczkę.
- Mógłbyś je przefaksować?
Mam od groma roboty.
- Jasne.
Jack zaczął przeglądać dokumenty i nagle wytrzeszczył oczy.
- Ile oni mają filii?
Ból narastał.
Mike próbowałsię skupić.

- Chyba dwadzieścia pięć.
-Ale tu jest tylko dwanaście sprawozdań.
- Przerzucił kilka kartek.
-A niektóre są sprzed trzech lat.
Nowszych nie ma?
Niemożliwe.
Który stażysta w tym grzebał?
We wrześniu.
Alan skończył staż we wrześniu.
- Mike?
-John Marshall.
- Sprawdziłeś po nim?
-Nie.
- Przecież toniechluj.
Powinieneś był sprawdzić.
- Zaraz siętym zajmę.
16 - Marionetka
241.

- Nie ma czasu!

Oni już czekają.

- Jack wypuścił powietrze.

-Zawaliłeś.

Wyjdziemy na niekompetentnych durniów.

Michael nie zareagował.

Myślało czymś innym.

- Ale ty masz to gdzieś, co?

Jack wstał.

Miał zaczerwienioną twarz.

- No Jasne.

Stoisz i milczysz, jakby nic cię to nie obchodziło.

I pewnie obchodzi.

Masz wpływowych przyjaciół, którzy nie dadzą zrobić ci krzywdy.

Ale nie zapominaj, że nas nie stać na taki luksus.

My zarabiamy tu na życie!

Nie płacą nam za zabijanie czasu między kolacyjkami w ekskluzywnych restauracjach!

Poczuł się jakby oberwał w brzuch.

Gwałtownie się odwrócił, wymaszerował z gabinetu, wrócił do swego pokoju, zamknął za sobą drzwi, stanął przed biurkiem i głęboko odetchnął, próbując się uspokoić.

Ktoś zapukał do drzwi.

Wszedł Jack.

Już się nie wściekał.

Gniew ustąpił miejsca lękowi.

- Przepraszam.

Nie miałem prawa tak mówić.

Mam nadzieję, że przypiszesz to stresowi, i że nie masz do mnie pretensji.

- Zwiesił głowę.

-I że.

- Nikomu nie powiem?

W jego oczach czaił się strach.

Mike poczuł się brudny, zbrukany, jednocześnie urażony, że ktoś mógłby tak o nim pomyśleć.

- Nic się nie martw.

Zasłużyłem na ochrzan.

Daję ci słowo, że nikt się o tym nie dowie.

Jack głośno wypuścił powietrze.

- Ale pod warunkiem, że opowiesz mi o Nowym Jorku.

- O Nowym Jorku?

- Dobrze wiesz, o czym mówię.

Jeff Speakman pyta mnie rano, czy nie chciałbym wyjechać do Stanów, a już popołudniu oświadcza, że jestem za młody i za mało doświadczony.

Powód był zupełnie inny, prawda?

Początkowo Bennett nie zareagował.

Potem powoli kiwnął głową.

- Max.

Jak się dowiedział?

- Ode mnie.

Tego samego dnia, kiedy Jeff ci to zaproponował.

Rozmawialiśmy o twoich postępach.

I, o ile dobrze pamiętam, tylko o tym.

Chciałem mu zrobić przyjemność i wspomniałem, że zamierzamy wysłać cię do Stanów.

Głupiec zemnie.

Max nie chciał o tym słyszeć.

Nagle ogarnęło go straszliwe zmęczenie.

Ręce nogi miał jak z ołowiu.

Były tak ciężkie, że nie mógł ich dźwignąć.

- Pogardzasz mną - szepnął Jack.

- Uważasz, że jestem miękki.

Mike z trudem pokręcił głową.

- Nie musisz udawać.

Masz to wypisane na twarzy.

- Jack uśmiechnął się smutno.

- Stażyści myślą, że wspólnik ma władzę.

Bzdura.

Jestem tylko dobrze płatnym wyrobnikiem i nie mam żadnej.

To klienci ją mają.

Tood

242

nich zależy nasza reputacja i gdybym ich stracił, wszystko to, na co tak ciężko pracowałem, runęłoby jak domek z kart.

Dlatego nie myśl o mnie źle.

Nie jestem siebie dumny, ale nie miałem wyboru.

Michaelowi przypomniał się dzień, w którym Jack zaczął u nich pracować.

Chodził po kancelarii, uśmiechał się do wszystkich, z każdym zamienił choć kilka słów.

Serdeczny i wylewny, nie znosił pompy i ceremonii.

Bardzo go zaskoczył.

Tego samego wieczoru opowiedziało nim Rebecce.

Siedzieli na zapadającej się sofie w wynajętym mieszkaniu w Camberwell, pijąc wino, jedząc chińską zupę i oglądając jakiś horror.

W pewnej chwili wyszedł do kuchni, a potem wrócił ukradkiem do pokoju, położył rękę na ramieniu i głucho jęknął.

Rebeka przeraźliwie krzyknęła i gwałtownie podskoczyła, rozlewając wino i rozrzucając jedzenie po całym pokoju, tak że przez resztę wieczoru czyścili ściany i dywan.

Jack.

Niski, krępy człowieczek o miłym wyrazie twarzy.

Mike mógłby ten wyraz zmienić.

I to znaczy.

Miał teraz władzę.

Ale nie chciał.

Pragnął tylko jednego.

- Daj sobie spokój z tymi sprawozdaniami - powiedział Jack.

- Znajdę kogoś innego.

- Muszę coś załatwić.

Puścisz mnie wcześniej?

Jack wzruszył ramionami.

Czyż miał inne wyjście?

Wszedł do księgarni.

W środku było pusto, nie licząc starszego pana przypólcę z historycznymi książkami.

Rebeka stała przy kasie z Klarą.

Zobaczyła go i zbladła.

Miał chłódnałwarz.

Pewnie też zbladł.

- Muszęz tobą porozmawiać.

Pokręciła głową.

- Tylko pięć minut.

Proszę.

Potem przestanę cię nachodzić.

- Idź - powiedziała cicho Klara.

- Sapuchy.

Rebeka wzięła torebkę.

- W takim razie chodźmy.

- Ruszyła w stronę schodów.

Siedzieli naławce na Trafalgar Square.

Mikę gapił się wzięmie, szukając odpowiednichsłów.

- Zaraz muszę wracać - powiedziała.

- Klara została sama.

To nie fair.

Wokół jego stóp dreptał gołąb i Mikę żałował, że nie ma czym go nakarmić.

- Nie, na pewno nie - rzuciła.

-Co nie?

- Gdybyś jadł teraz kanapkę, napewnobyś mu nie dał.

O tym myślałeś?

- Tak.

243.

- Ilekroć przychodziliśmy tu na szybki lunch, błyskawicznie zjadałaś swoją, a potem mówiłaś, że nasi skrzydlaci przyjaciele są bardzo głodni.

Oddawałam im swoją i wracałam do pracy głodniejsza niż wyszłam.

- A potem zjadałaś kilogram czekolady i wydzwaniałaś do mnie, narzekając, że psuję ci figurę.

Stuart nie mógł się nadziwić, że znajduję czas na pracę.

Mówił, że to cud.

- Co u niego?

-Dobrze.

Helena dostała awans.

O niczym innym nie gada.

- Pogratuluj jej w moim imieniu.

-Dobrze.

Zamilkli.

Gołąb uznał, że żona próżno się trzyma, i odszedł.

Przed kolumną Nelsona fotografowała się grupa japońskich turystów, śmiejąc się głośno i mrużąc oczy w jaskrawym słońcu.

- No więc?

Powiesz mi, dlaczego tu siedzimy?

- Chcę wracać?

-Jeszcze nie wróciłam.

Ponownie zamilkli.

I ponownie to ona odezwała się pierwsza.

- Posłuchaj, może to nie najlepsza.

-Chciałem ci powiedzieć, że miałaś rację.

- Co do czego?

Westchnął.

- Co do tego, że jestem marionetką Maksa.

Myślał, że zacznie się pyszczyć, że powie: "A nie mówiłam?

". Ale nie.

Patrzyła na niego z wyraźnym współczuciem.

".

- Nie jesteś zadowolona?

-Nie, bo widzę, że jesteś zdenerwowany.

Popatrzył w niebo.

Wciąż był czyste i błękitne.

Lato nie chciało odejść.

- Nie jestem zdenerwowany.

Milczała, lecz czuł, że mu nie wierzy.

- Nie musisz tu ze mną siedzieć.

Chciałem tylko, żebyś tym wiedziała.

- Westchnął.

-Przepraszam.

Już za późno, wiem, ale mówię szczerze.

Trzymała rękę na kolanach.

Przykryła ją dłonią.

- Powiedz, co się stało.

Musisz komuś powiedzieć, a kto zrozumie cię lepiej niż ja?

Więc opowiedział.

O wszystkim.

O tym, co zaszło w kancelarii, o rozmowie z Bennettem, o wnioskach, które z niej wyciągnął. Mówił powoli, nie chcąc niczego opuścić.

- I co teraz czujesz?

- spytała, gdy skończył.

- Nie wiem.

W głowie mam chaos.

Boję się.

- Niepowinieneś.

Max cię nie skrzywdzi.

Tak, powiedziałam, że cię wykorzystuje, ale byłam wtedy zła.

Robiło wszystko dlatego, że mu na tobie zależy.

244

- Co nie zmieniasz sprawy, prawda?

- To zależy.

- Od czego?

- Od ciebie.

Zawsze chciałeś odnieść sukces i osiągnąć coś w życiu.

Max też tego pragnie.

Jeśli będzie cię wspierał, podbijesz cały świat, wystrzelisz w niebo jak rakieta.

- Z Makssem u steru.

- Wszystko jedno.

Może być ciekawie.

- Tak, ale to nie byłoby moje życie.

Przestrzegałaś mnie, żebym nie dąsił mu kontrolować, a on mnie kontroluje.

- Więc czego byś chciał?

Tak naprawdę.

- Pamiętasz, jak pojechaliśmy do Hampton Court?

- Pamiętam.

- Szukaliśmy duchów w pałacu.

- Bezskutecznie.

- Godzinami krążyliśmy w labiryncie.

- Zabłądziliśmy.

Przez ciebie.

- Jedliśmy lody nad rzeką.

- Zjadłeś połowę mojego, a resztą kazałeś mi nakarmić kaczki.

- A wieczorem, kiedy czekaliśmy na pociąg, powiedziałaś, że mnie kochasz.

Cicho westchnęła.

- Nikt mi tego przedtem nie mówił.

Nigdy.

Nawet matka.

Od tamtej chwili przeszłość przestała mieć dla mnie znaczenie.

Liczyło się tylko to, żeby z tobą być.

Żeby z tobą żyć.

Nas dwoje przeciwko całemu światowi.

Zamilkł i czekał.

- Nie odpowiedziałaś na pytanie - szepnęła.

- Odpowiedziałem.

Wciąż patrzył w niebo.

Odwrócił głowę i zobaczył, że Rebeka płacze.

Wtedy on też się rozplakał.

Objęli się mocno, przytulili do siebie i zastygli bez ruchu.

U ich stóp dreptały wygłodniałe gołębie.

Wpół do ósmej.

Siedział na łóżku.

Był już spakowany i gotowy do wyjścia.

Musiał zrobić tylko jedno.

Powiedzieć Maksowi.

Wrócił przed dwiema godzinami, by stwierdzić, że Maksa nie ma, i że, będzie dopiero koło siódmej.

Powiedział panu Laszłó, że idzie do swego pokoju, i prosił go, żeby dał mu znać, kiedy tylko Max przyjdzie.

Usłyszał kroki na korytarzu i pukanie do drzwi.

- Proszę.

245.

Max miał zatroskaną minę.

- Źle się czujesz?

I wtedy zobaczył wypchane torby.

Michael wstał.

Zaschło mu w gardle.

- Widziałem się z Rebeką.

Przegadaliśmy kilka godzin i.

- Postanowiliście spróbować jeszcze raz.

- Tak.

Max powoli wypuścił powietrze.

Stał bez ruchu i czekał.

Ściana za jego plecami była naga.

Gotowana ponownie przyjęcie obrazów, które zawsze wyglądały tam lepiej niż plakaty filmowe,
i;

- Popelniasz błąd.

Mike.

- Chyba nie.

- To koniec.

Sam mówiłeś, że to już koniec.

Jego spokojny, kojący głos wijał go niczym wstęga dymu, otępiając myśli i paraliżując umysł.

Gniewnie pokręcił głową.

- Nie, to ty mówiłeś, nie ja.

- Narazasz się na jeszcze większy ból.

Pomyśl o tym, co między wami zaszło.

O słowach, którymi się wzajemnie raniliście.

- Położył mu rękę na ramieniu.

- Naprawdę chcesz jeszcze raz przez to przechodzić?

Mike wyszarpnął się i cofnął.

- Tonie fair.

- Nie odtrącaj mnie.

Mike.

Chcę ci tylko zaoszczędzić bólu.

Michael spojrzał na podłogę, na spakowane torby.

- Ale ja nie chcę.

To moje życie.

Nie możesz przeżyć go za mnie.

- Nawet nie próbuję.

- Czyżby.

Zapadła cisza.

Słyszał tylko bicie swego serca.

Max miał na sobie kosztowne włoskie buty.

On też, ale były nie w jego stylu.

- Dobrze.

Skoro chcesz, zacznij się z nią widywać.

Ale nie spiesz się.

Nie idź na całego.

Rób to powoli, stopniowo.

I na razie mieszkaj u mnie.

Miał taki spokojny głos.

Mikę nie słyszał w nim ani jednej gniewnej nutki.
Byłoby mu dużo łatwiej, gdyby Max się wściekł.

- Nie - odparł.

- Nie mogę.

- Nie musisz się wyprowadzać.

- Muszę.

Podniósł wzrok.

Max mówił cicho i spokojnie, lecz na jego twarzy zastygła maska bólu.

Mikę nienawidził siebie za to, lecz nie miał wyjścia.

Odchrząknął.

- Oddałbym wszystko, żeby mogło być inaczej.

Nikt nie znaczył dla niego, co ty i Rebeka.

Nigdy.

Niestety, nie rozedrę życia na pół, dlatego muszę wybierać.

246

Max nabrał powietrza.

- Posłuchaj.

Proszę cię, nie rób tego, dla swego własnego dobra.

Popelniasz błąd, którego będziesz żałował do końca życia.

Jeszcze nie jest za późno, jeszcze możesz zmienić zdanie.

- Nie.

Przykromi.

Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Traktowałaś mnie jak syna i zawsze będę ci za to wdzięczny.

Max uciszył go gestem ręki.

- Dość - powiedział spokojnie.

- Wystarczy.

Idź, jeśli chcesz.

- Popatrz na biurko.

- Nie zabrałaś swoich rzeczy.

- Spakowałem tylko to, z czym przyszedłem.

- Jak chcesz.

Kupiłem je dla ciebie.

Wezwę taksówkę.

- Max.

- Tak?

Mikę przełknął ślinę.

- Nie znienawidź mnie zato.

Wiem, że nie mam prawa cię oto prosić,

ale spróbuj.

Max nawet nie mrugnął.

A kiedyś odezwał, głos miał piękniejszy niż

kiedykolwiek.

- Nigdy cię nie znienawidzę, Michael.

Nigdy.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Co za ulga.

Już myślała, że Max znowu go przekabacił na swoją stronę.

Rozpromieniona otworzyła drzwi i ujrzała Emilię z butelką wina w ręku.

- Co ty tu robisz?

-Zaprosiłaś mnie.
W zeszłym tygodniu.
Rzeczywiście.
Była tak podniecona, że śmierć o tym zapomniała.
Emilia weszła do środka i podała jej butelkę.
- Co się dzieje?
-Pogodziłam się z Michaelem.
Spróbujemy od nowa.
- Nie wierzę.
-Ani ja.
- Zamknęła drzwi.
-Wszystko zdarzyło się tak szybko.
Przyszedł do mnie po południu i.
- Nie możesz do niego wrócić!
Nie możesz!
Jej twarz była studium gniewu i wzburzenia.
Rebekę przeszedł zimny dreszcz.
Sprawdziły się dawne podejrzenia.
- Emilio.
-Tobie na nim nie zależy.
Nigdy nie zależało.
- Nieprawda.
- Powiedziała to cicho i spokojnie.
- Prawda.
On jest dla ciebie zwykłą ozdóbką, kolejnym symbolem życia doskonałego.
247.

Rebeka poczuła, że ma zaczerwienioną twarz.

- Będzie lepiej, jeśli stąd wyjdiesz.

-Dlaczego?

Prawda boli, co?

- Podeszła bliżej.

-Bo to jest prawda.

Tynie masz pojęcia, co znaczy miłość.

Zmusiłaś go do zerwania z kimś, na kim mu zależało.

Jaki człowiek tak robi?

Rebeka nie wytrzymała i też postąpiła krok do przodu.

- Ale tobie na nim zależy.

O, tak, i to bardzo!

Todlategokarmiłaś gotymi wszystkimi kłamstwami.

To dlatego wmawiałaś mu, że już nigdy doniego nie wrócę.

Boja tego nie powiedziałam!

Zelgałaś!

Emilia gniewnie błysnęła oczyma.

- Teraz to już wszystko jedno.

Konieckońców wygrałaś.

Jak zawsze.

Ciągle mi kogoś odbierasz.

Nie męczy cię to?

- Nigdy ci nikogo nie odebrałam!

-A moją matkę?

Nie wierzyła własnym uszom.

Emilia nigdy dotąd z tym nie wyskoczyła.

- Może ty o niej zapomniałaś, ale ja nie!

Odebrałaś miją!

Potem odebrałaś mi ojca, a teraz jedynego człowieka, na którym mi zależało!

Kiedyś się wreszcie skończy?

Uderzyła jąw twarz.

Emilia głośno sapnęła i przytknęła dłoń dopoliczka.

Rebeka opuściłapięką rękę i spojrzała jej w oczy.

- Nie waż mi się tego zarzucać!

Nigdy!

Przykro mi, że umarła, ale to niemoja wina.

Od dzieciństwa czuję się przy tobie winna i mam tego dość.

Niemogę na ciebie spojrzeć, żeby nie miała wyrzutów sumienia, i pora z tym skończyć.

Nie jesteś moją córką i jeśli ci się nie układa, zamiast wiecznie jęczeć, narzekać i zrzucać winę na mnie, choć raz coś z tym zrób!

Emilia odwróciła się i wyszła.

Rebekaani drgnęła.

Powiedziała to, co musiała powiedzieć.

i nagle odczuła skruchę.

Odstawiwszy butelkę, wybiegła na schody.

- Emilio, przepraszam.

Proszę cię, wróć.

Przecież możemy o tym porozmawiać.

Wołała ją wołała, ale na próżno.

Jechał taksówką w kierunku West Hamstead.
Przez radio nadawano transmisję z meczu krykieta.
Taksjarski, najwyraźniej fanatyczny kibic, cały czas wtrącał własne komentarze.
Udając, że go to interesuje, Michael odpowiadał monosylabami, lecz błędził
myślami gdzie indziej.

Wciąż miał przed oczami zbolaną twarz Maksa.
Wiedział, że był marionetką.
Że Max nim manipulował.
Mimo to było mu wstyd.

248

Taksówka skręciła w Ash Lane.
Na schodach czekała Rebeka.
Robił wrażenie zdenerwowanej, ale kiedy samochód podjechał bliżej, na jej ustach zagościł
uśmiech.
Był niczym wiosna po długiej surowej zimie.
Wszystkie wątpliwości i obawy momentalnie zniknęły.

Stali na chodniku.
Miała zaczerwienione oczy.
- Płakałaś.
Martwiłaś się, że nie przyjadę?
- Może.

Trochę.
- Musiałem z nim porozmawiać.

Jakoś mu to wyjaśnić.
- Zrozumiał?

Mikę westchnął.
- Chyba nie.
- Uważasz, że źle wybrałeś?
- Nie.

Czuję się tak, jakbym przez ostatnie kilka miesięcy żył we śnie.
Jakbym lunatykował.
Chodziłem, pracowałem, ale cały czas ktoś mną zdalnie sterował.
Ale już się obudziłem.
- Dotknął jej policzka.
- Tym razem na

dobrze.
Objęli się i przytulili do siebie.
Potem wnieśli do mieszkania jego rzeczy.

Dziesiąta.
Emilia siedziała na ławce na Blackfriars Station.
Siedziała tak już od godziny, przepuszczając trzy pociągi do Streatham.
Poszła na koniec peronu, gdzie wyrastały z ziemi przęsła Blackfriars Bridge.
W toczących się nienawnie wodach Tamizy igrały refleksy światła z pobliskich budynków.
Woddali widniała kopia katedry świętego Pawła.
Oświeć tłona na noc, przypominała o majestacie i potędze Londynu.

Mieszkała tu od dwóch lat.
Jej sąsiadami było osiem milionów ludzi.
Mijali ją codziennie, niewidząc jej ani nie słysząc, tak że z czasem uznała, że jest
przezroczysta.
Bała się, że któregoś dnia w ogóle zniknie, rozmyje się

we mgle, iże rozproszyją wiatr.
Tylko Michael ją rozumiał.
Wyciągnęła do niego rękę po pomoc, ale on
wybrał Rebekeę i zostawił ją samą.
Dotknęła swego ramienia: było tak blade i ażurowe, że widziała przez
nie ziemię.
Zaczęło się.
Znikam.
Przestaję istnieć.
Nadjechał pociąg.
Wsiadła.
Przy drzwiach stała grupa młodych mężczyzn, pijący piwo i rozmawiając.
Niechcący potrącił kogoś w rękę i cicho przeprosił.
Nie przestał się śmiać.
Niewidział jej.
Była dla niego duchem.
Wpół do jedenastej.
Pani Laszłó zapukała do drzwi gabinetu.
Przyniosła kanapki i kawę.
249.

Max siedział w wygodnym fotelu z cygaretką między palcami.

Postawiła tacę tuż obok.

Patrzył na nią cieniem uśmiechu na ustach.

Nie prosiło jedzenie, lecz wiedziała, że jej nieskrzyczy.

Pracowała uniego od sześciulat i ani razu nie podniósł na nią głosu.

Zabolało ją w palcach.

Reumatyzm.

Znak, że siewstarzeje.

Niedługonieda już rady i będzie musiała odejść.

Ta myśl napawała ją smutkiem, lecz nielekkiem.

Nie mieli zbyt dużooszczędności, ale pan na pewno nie da im umrzeć głodu.

- Trzeba coś zjeść.

Tylko trochę.

Dobrze to panu robi.

- Mówiła powęgiersku.

Wiedziała, że jego rodzice byli z Budapesztu, i chociaż nierozumiałjęzyka, lubił jego brzmienie.

Teraz też kiwnął głową, jakby doskonaleza niąadażał.

- Przykro mi, że odszedł.

Wiem, jak bardzo będzie pan tęsknił.

Czekała z nadzieją, że odpowie, ale on milczał.

Po cichutku wyszłanakorytarz izamknęła za sobą drzwi.

Północ.

Max wciąż siedział w gabinecie.

Na stoliku stała taca z nietkniętymi kanapkami i kawą.

W popielniczce, pośród sterty niedopałków, tliła sięcygaretką.

Patrzył na kominek, lecz myślami błądził gdzie indziej.

Wspominałzimny lutowy wieczór tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego, kiedy to siedział w pełnym przeciągów pokoju, ściskając torbę ze skromnym dobytkiem.

Dorośli zasypywali go pytaniami w obcym języku, a za dorosłymi stały dzieci o wychudłych twarzach i błyszczącychwygłodniałych oczach: wiedzieli, że ten wystraszony dzieciak dostarczy im dobrej zabawy.

Próbowaliśmy powiedzieć, kim jest.

Wyjaśnić, że do nich nie pasuje.

Że ma wujka, który go kocha, i który wkrótce po niego wróci.

Ale dorośli tylko przekrzykiwali, tak że po pewnym czasie zamknął się w sobie i umilkł.

Patrzył łagodnie przed siebie, podczas gdy w głowie łął mu się strach i wściekłość, gwałtowna niczym huczący płomień.

Cygaretką zgasła.

Zapalił kolejną.

Powoli zaciągnął się dymem i wydmuchał go w stronę okna.

Tak samo jak wtedy, teraz też myśli należały wyłącznie do niego.

Część 3

Zawładnięcie.

Poniedziałek rano.

Pięć dni później.

Stał w gabinecie Jacka Bennetta.

Drzwi były zamknięte.

Przez okno wychodząca sąsiednie biurowce widział ołowiane wrześnie niebo.

Paromiesięczna fala upałów minęła, a chłodne, rześkie powietrze przypominało o zbliżającej się zimie.

- Odchodzę.

Jack nie był zaskoczony.

Dowód na to, że dobre nowiny szybko się rozchodzą.

- Pomyślałem, że powinieneś dowiedzieć się o tym pierwszy.

-Dziękuję.

- Milczał chwilę.

-I bardzo mi przykro.

Akurat.

- Naturalnie, odejdę dopiero po trzymiesięcznym okresie wypowiedzenia.

-Dokąd?

- Jeszcze niewiem.

Jack kiwnął głową.

- Cóż, pójdę powiedzieć innym.

- Odwrócił się do drzwi.

- Zaczekaj.

-Tak?

Jack wstał.

- Jesteś pewien, że podjąłeś właściwą decyzję?

-Nie mogę zostać.

Niepo tym, co zaszło.

- Nie mówię o pracy.

-A o czym?

- Przestań, Michael.

Nie udawaj idioty.

Nie spodziewał się takiej bezpośredniości.

- Dam sobie radę -odrzekł.

253.

- Maksa lepiej nie wkurzać.

-Ja go nie wkurzyłem.

- Na pewno?

-To nasza sprawa, jego i moja.

Nie wpłynię na liczbętwoich klientów.

Jackspuścił głowę i Mikę'owizrobiło się przykro.

- Przepraszam.

To było niepotrzebne.

- Należało mi się.

Musiał jużiść, lecz czuł, że przedtem powinien mu coś powiedzieć.

- Jack, nigdy nie chciałem utrudniać ci życia.

Polubiłem cię, kiedy tylko do nas przyszedłeś, iprzykro mi, że Max zepsuł nasze układy.

- Mnie też.

- Bennett uśmiechnąsię smutno.

-W innychokolicznościach stworzylibyśmy razem świetny zespół.

Jeśli będziesz potrzebował referencji, chętnie ci je wystawię.

Będą znakomite, masz moje słowo.

Uścisnęli sobie ręce.

- Powodzenia, Mikę.

-Dzięki.

Idąc korytarzem, minął gabinet Grahama Fletchera.

Julia uciekła do handlowego iza biurkiem siedziałnowy sekretarz, któremu Grahamdawał wykład na temat punktualności.

Zauważył go.

Jeszczeprzed dwoma tygodniami posłałby mu wymuszony uśmiech, aleteraz łypnął na niego spodełba, jak za dawnych czasów.

Togo rozweseliło.

A jednak.

Życie powoli wracało do normy.

Szedł przed siebie.

Zewsząd słyssał gwarrozmów, dzwonki telefonówi klekot klawiszy.

W kancelarii wszystko było po staremu.

- Orany!

Rozpromieniona Klara rozpakowała płyty.

Rebeka obserwowała ją zeszczerym zadowoleniem.

Siedziały na zapleczuksięgarni, pijąc kawę z wyszczerbionych kubków.

- Wszystkie?

Mikę mówi, że wszystkie.

- Wszystkieciutkie, cały komplet.

- Klara spojrziała na okładkę Seven andtheRagged Tiger.

-Nie dowiary.

Kiedyś uważałam, że John Tylorjestnajseksowniejszym mężczyzną w świecie, a teraz dałabym mu najwyżej trzypi półpunkta.

Mimo to wciąż ich uwielbiam.

Duran Duran.

Nie powinnaśbyła wydawać tyle pieniędzy.

- Nareszcie kupiłaś sobiesprzęt i musisz mieć co puszczać.

Poza tymchciałam ci podziękować,że tak długoznosiłaś moje humory.

- Przestań.

Jakie humory?

- Dobrze wiesz.

Jesteś wspaniałą przyjaciółką i bardzo ci dziękuję.

Zażenowana Klara odchrząknęła.

254

- Nie pochlebiaj sobie.

Nie robiłam tego tylko z dobroci serca.

Szczerze powiedziawszy, bez ciebie byłoby tu nudno.

- Zerknęła na zegarek.

- Dopijkawęi chodźmy podmienić Keitha.

Rebeka odstawiła kubek.

- Jesteś szczęśliwa?

- spytała z uśmiechem Klara.

- Tak.

I była.

No, może nie do końca.

Niemogła przestać myśleć o Emilii.

Pewnie z nawyku.

Ich przyjaźń się skończyła.

Nie miała co dotego wątpliwości.

Tłące się oddzieciństwa urazy rozgorzały jak płomień.

Wiedziała, że tak wielkich zniszczeń nie da się naprawić.

Jedynym i najlepszym wyjściem było rozstanie.

Wrócili załadę.

Rozpoczął się popołudniowy ruch.

Schodził donich żyłasty, przedwcześnie wyłysiały mężczyzna.

- Dwa - szepnęła Klara.

Rebeka zdławiła śmiech.

- Przestań.

- Jak to się przewali, pójdziemy na pizzę i spokojnie pogadamy.

Co tyna to?

Susan nas zastąpi.

Ucieszyła się.

Lubiła lunche z Klarą.

Nie była wtedy spięta, jak z Emilią.

Emilia.

Zastanawiała się, co teraz robi.

Umówiła się z kimś?

Poszła zjeść sama?

Czy w ogóle miała apetyt?

Do lady podszedł przystojny czterdziestolatek.

- Dziewięć - syknęła Klara.

Rebeka wsunęła kartę do czytnika, podała mu rachunek i długopis, poczym włożyła książkę doreklamówki.

Biografia George'a Elliota.

Coś w samraz dla Emilii.

Podaliśmy torbę i spróbowała skupić się na ich małej grze.

Tymczasem Emilia siedziała przy biurku w agencji.

Leżał przed nią otwarty maszynopis.

Arturiańskie posautorstwa inspektora podatkowego.

"Mogłabyś to przejrzeć?"

" - poprosił Kevin.

Przeżyła blisko połowę, lecz prawie nic z tego nie pamiętała, co odzwierciedlało nie tyle klasę tekstu, ile stan jej ducha.

Spojrzała w okno.

Od godziny było, lecz nareszcie zaczęła się wypogadzać.

W pokoju było duszno, musiała zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wzięła torebkę, wyszła śliską od deszczu ulicę i wchłonął ją tłum urzędników z kanapkami w torebkach.

Wiedziała, że powinna coś zjeść, ale nie miała apetytu.

Ruszyła w stronę kamiennych schodów katedry świętego Pawła.

Ogarnąwszy chłód i ciszę.

Chociaż w ławach siedziało sporo ludzi, katedra była tak olbrzymia, że robiła wrażenie zupełnie pustej.

I cudownie spokojnej.

255.

Główny ołtarz.

Był tak daleko, że nie doszłaby tam nawet za godzinę.

A wnie-'bo strzelała gigantyczna kopuła.

Chciała usiąść w jakimś zacisznym miejscu.

Miała swój ulubiony rząd, ten z przodu po lewej.

Idąc, patrzyła na ludzi, którzy tak samo jak ona szukali schronienia w katedrze: młoda para z plecakami i przewodnikiem w ręku, klęcząca staruszka pogrążona w cichej modlitwie, skupiony mężczyzna w ciemnym garniturze.

Na rękę miał płaszcz przeciwdeszczowy.

Patrzył w pustkę.

Max.

Wypowiedziała szeptem jego imię, ale nie usłyszał.

Nerwowo szepnęła ponownie.

Tym razem zareagował.

Miał szkliste oczy człowieka zagubionego w myślach i w pierwszej chwili jej niepoznał.

Potem uśmiechnął się, wskazując miejsce obok siebie.

;

- Nie chciałam ci przeszkadzać - powiedziała siadając.

;

- Nie przeszkadzasz.

Nawet tak nie myśl.

- Głos miał ciepły, lecz zdu-"szony.

- Nie wiedziałem, że jesteś wierząca.

,

- Nie jestem.

Pracuję naprzeciwko i często przychodzę tuw porze lunchu.

Żeby się odprężyć.

Kiwnął głową, mnąc płaszcz.

Pierwszy raz widziała go bez cygaretki!

Ktoś się za nimi modlił.

- A ty?

Jesteś wierzący?

- Nie wiem.

Ale nawet jeśli wierzę, trafiłem do nieodpowiedniego miejsca.

Jestem katolikiem.

Przypomniało jej się, że pochodzi z Węgier.

Michael jej powiedział.

- Nie byłem tu od lat.

Miałem spotkanie, złapał mnie deszcz, no i wszedłem.

Zapomniałem już, jak tu pięknie.

Z zewnątrz tego nie widać.

Mówiąc, uważnie się jej przypatrywał.

Chyba chciał ją o coś spytać.

Wyczuła o co, zanim otworzył usta.

- Widziałas ostatnio Michaela?

Pokręciła głową.

- Wrócił do Rebeki.

Widziałas?

- Tak.
Wbił wzrok w podłogę.
- Próbowałem mu to wyperswadować.
Przyznaję to ze wstydem, ale takbyło.
Uważałem, że robi błąd.
- Może miałaś rację.
- Ktoś przednimi usiadł.
Chłopak i dziewczyna.
Rozmawialio architekturze.
- Nie - odrzekł Max.
- To ja popełniłem błąd.
Wtedy tego nie widziałem, ale nareszcie przejrzałem na oczy.
Oni są dla siebie stworzeni.
Tylko głupiec mógłby myśleć inaczej.
256
Zakłuło ją w sercu.
- Wszystko dobre, co się dobrze kończy.
- Słusznie.
Popatrzyła w dal.
Katedra była tak olbrzymia, że nie wypełniliby jej wszyscy mieszkańcy świata.
Olbrzymia jak jej mieszkanie i równie pusta.
- Bardzo mi go brak - szepnęła.
Nie mogła rozmawiać z kimś o cierpieniu.
Rana była zbyt świeża.
- Muszę iść.
Przepraszam.
- Doszła do końca rzędu i szybko zawróciła w stronę wyjścia.
Ale w drzwiach się obejrzała.
Pogrążony w myślach Max wciąż siedział nieruchomo, jakby w ogóle ze sobą nie rozmawiali.
Na krześle znalazła karteczkę.
"Telefował Jude Hale.
Zadzwoń zadziesięć minut".
Serce jej zamarło.
Jude był młodym, zapatrzonym w siebie i pozbawionym poczucia humoru autorem.
Pisał wyłącznie o handlarzach narkotykami, którzy umierali z przedawkowania albo zostawali księżmi.
Kevin podpisał z nim umowę przed trzema laty, kiedy na ekrany kin wszedł Trainspotting.
Miał nadzieję, że Jude wypłynie - temat byłby bardzo popularny - ale stwierdziwszy, że ma do czynienia z pisarzem trudnym i kłopotliwym, przydzielił go Emilii.
W przyszłym tygodniu Jude miał wieczór autorski w małej księgarni przy Charing Cross Road i była pewna, że zrobi jej awanturę za brak reklamy.
Zadzwoił telefon.
Myśląc, że to on, wzięła się w garść i podniosła słuchawkę.
- Halo?
- Emilia?
To ty?
Ten piękny głos.
Głęboki i gładki.
Brzmiał tak samo jak tam, w katedrze.
- Tak.

-Przeszkadzam?

- Nie.

-Chciałem cię przeprosić.

Zdenerwowałaś się.

Zawirowało jej w głowie.

- Nie, ależ skąd.

Westchnął.

- Chyba tak.

Miałem podły nastrój, ale to żadne wytłumaczenie.

- Przeciwnie.

- Zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to tak, jakby go krytykowała.

-Zresztą naprawdę nie masz za co przeproszać.

To ja zachowałam się nieładnie.

Wybiegłam jak oparzona.

- Jesteś bardzo miła.

Wciąż pamiętam, jak pomogłaś mi zorganizować przyjęcie urodzinowe dla Michaela, choć wiedziałaś, że doprowadzono do kłótni między tobą i Rebeką.

Wierz mi, chciałem dobrze.

17 - Marionetka

257.

- Wierzę.

-Dziękuję.

Myślała, że powie "Do widzenia", lecz wciąż słyszała jego oddech.

Powiodła wzrokiem po biurku.

Pośrodku stał przycisk do papieru w kształcie Empire State Building.

Nigdy się jej nie podobał, ale ponieważ dostała goodRebeki, czuła się w obowiązku trzymać go na widoku.

Teraz już nie musiała, lecz trudno zwalczyć stare nawyki.

- Długo tam zostałeś?

- spytała.

- W katedrze?

Godzinę.

Masz rację, to odpręża.

Wychodząc, czułem się znacznie lepiej.

- To dobrze.

-Dzwonię, ale chciałbym przeprosić cię osobiście.

Jesteś wolna wieczorem?

- Nie musisz tego robić.

-Ale chcę.

Chyba, że masz jakieś plany.

- Nie, ale.

-Rozumiem.

Miałaś ciężki dzień.

Wolisz wrócić do domu i odpocząć nogami na krześle niż wysłuchiwać mojego głośnego głośnienia.

Dom. Kolejny wieczór w towarzystwie mrocznych myśli.

- Nie, chętnie cię zobaczę.

-Świetnie - odrzekł zachwycony.

- Zarezerwuję stolik i zadzwonię, Dobrze?

- Dobrze.

Odkładając słuchawkę, usłyszała cichutkie puk-puk.

Jakby ktoś dobijał się do okna.

Deszcz.

Znowu deszcz.

Oderwana od rzeczywistości patrzyła jak pada, a kiedy zadzwonił Jude, prawie nie zwróciła uwagi, że jak zwykle lenarzek.

Wpół do dziewiątej.

Siedziała z Maksym przy oknie w chińskiej restauracji przy Gerrard Street, sącząc wino, czekając na główne danie i obserwując tłumy zmierzające do teatrów przy Shaftesbury Avenue.

Max wziął naprzystawkę kaczki popekińskiej.

Zamiast ciemnego garnituru miał na sobie wygodną sportową marynarkę i białą lnianą koszulę.

Ona była w tej samej sukience.

Bładozielonej, ze stójką i długimi rękawami.

Nie zdążyła wrócić do domu i się przebrać.

Drobna blondynka przysiadła przy niej jak u boga krewna.

Emilia czuła się przy niej jak u boga krewna.

Max czytał w jej myślach.

- Dobrze ci w tej sukience.

-Jest trochę staromodna.

258

- Właśnie.

- Ruchem głowy wskazał sąsiedni stół.

-Rozebrać się może każdy.

Prawdziwa elegancja polega na tym, żeby wyeksponować strój.

Michael powiedział kiedyś to samo.

Pewnietylko z uprzejmości, tak samo

jak Max.

- Podoba ci się ta restauracja?

-Bardzo.

Jest bardzo skromna.

- Wolałabyś wytworniej szą?

-Nie, nie -odrzekła zażenowana.

- Źle się w nich czuję.

- Ja też.

Przez połowę życia jadłem rybę z frytkami i zapijałem kufle piwa, dlatego nawet teraz
zżymam się na myśl o posiłku, za który trzeba zapłacić kilkaset funtów.

Niestety, kiedy jest się bogatym, ludzie tego oczekują.

- Janie.

-To bardzo odświeżające.

Kelner zapalił świecę na stole.

Piła wino, obserwując dobrze ubraną parę, która wchodziła do restauracji po drugiej stronie
ulicy.

Perła Orientu.

- Mikej Rebece tam chodzą - powiedziała.

-Dokąd?

- Do Perły Orientu.

To ulubiona restauracja jej rodziców.

Jedzą tam kolację, ilekroć są w Londynie.

Kiwnął głową.

Na talerzu leżały resztki kaczki po pekińsku.

Ulubionego

dania jej ojca.

Piosenka nie kłamie.

"Zawsze mi cię coś przypomina".

- Przepraszam - szepnęła.

-Nie szkodzi.

Możesz o nim mówić.

Patrzył nianią ciepło i chyba ze współczuciem.

Zastanawiała się, czy się

domyśla.

Zwilżył palec zaczął wodzić nim nad płomieniem świecy.

Jej ojciec robił to samo, w restauracji w Winchesterze.

Siedziała między nimi, jedząc truskawki w lodach, a matka mówiła, żeby uważał.

To była mała, włoska knajpka.

Ulubione miejsce mamy.

Przestali tam chodzić po jej śmierci.

- Mogę zapalić?

-Oczywiście.

Zapalił cygaretkę i wydmuchał dym.

Jego zapach mieszał się z zapachem pikantnych potraw.

Siedzący w pobliżu gościenarzykali na pracę.

- Byłeś kiedyś w Szepczącej Galerii?

-Raz.

Bardzo dawno temu.

- Rodzice zabrali mnie tam, kiedy miałam sześć lat.

Mama wyjaśniła mi, jak zachodzi się dźwięk, a potem szeptałyśmy do siebie z ojcem.

Trochęświntuszyliśmy i podsłuchałyśmy dwi starsze panie.

Mama udawała, że jest szokowana, ale chyba dobrze się bawiła.

- Jesteś do niej podobna, prawda?

Mikę mi powiedział.

259.

Pokręciła głową.

- Nie?

-Tylko napierwszy rzut oka.

Mama była o wiele ładniejsza.

- To mnie nie dziwi.

Drgnęła.

- Że mojamabyła ładniejsza ode mnie?

-Nie, że tak uważasz.

Zaczerwieniła się.

Kelner przyniósł główne danie.

Kurczaka z orzechami dla niej i królewskie krewetki w pikantnym sosie dla niego.

Max zgasiłcygaretkę, a ona nałożyła sobie ryżu i spróbowała kurczaka.

Mimo sosu był trochę za suchy.

- A ty?

Dokogo jesteś podobny?

- Chybado ojca.

Oboje umarli, kiedy miałem pięć lat.

Nie mam żadnych zdjęć, tylko wspomnienia.

- Tomusiało być straszne.

Strata rodziców w tak młodym wieku.

Kiwnął głową.

- Masz na Węgrzech jakichś krewnych?

-Bardzo dalekich.

Nie próbowałem ich nawet odszukać.

Więzy krwi tonie wszystko, chociaż bardzo byśmy chcieli, żeby było inaczej.

Fakt.

Michael doszedł do tego samego wniosku, próbując odszukać swego ojca.

Opowiadał jej o tym.

Ona też opowiadała mu o różnych rzeczach.

Serce.

Znowu to bolesne ukłucie.

- A więc oboje jesteśmy sami.

Spojrzała niądziwiony.

,/-'

- Myślałem, że twój ojciec żyje.

-Tak, ale rzadko się widzimy.

Myślała, że zacznie ją pytać, mówić, jaka to szkoda, że nie utrzymują z sobą regularnych kontaktów.

Ale nie, Max milczał.

I była mu zato wdzięczna.

Nabił na widelec krewetkę i włożył ją do ust.

Jadł powoli i z rozmysłem.

Ładnie.

Na koszulę spadła mu kroplaciemnego sosu.

Plama zaczęła się rozszerzać, ale on jadł, jakby nigdy nic.

- Twoja koszula.

Wytarł plamę serwetką, ale jeszcze bardziej ją rozmazał.

- Przepraszam - powiedział, śmiejąc się z zażenowaniem.

- Wstyd się ze mną pokazywać.

Miał ładny śmiech.
Bała się tu przyjść, ale chyba niepotrzebnie.
- Musisz być bardzo dumny - powiedziała nagle.
- Z tego, co osiągnąłeś.
- Nie ma z czego.
- Jest.
Mike też tak uważa.
Podziwiacię bardziej niż kogokolwiek innego.
Mówił, że gdyby osiągnął tylko połowę tego co ty, to i tak byłoby to dwukrotnie więcej, niżby na to zasługiwał.
260
- Dziękuję, Emilio.
Jesteś bardzo miła.
- Emilko.
Emilia brzmi tak oficjalnie.
- Dobrze, w takim razie Emilko.
Chętnie bym ci się zrewanżował, ale moje imię trudno zdrobnić.
Może Maksio?
Co ty na to?
Parsknęliśmy śmiechem.
Wskazał jej talerz.
- Mogę spróbować?
Wziął kawałek mięsa, w skupieniu przeżuł i zmarszczył czoło.
- Zbyt łagodny.
Bez smaku.
- Nabił na widelec krewetkę.
- Spróbuj tego.
Pokręciła głową.
- Proszę, zrobisz mi przysługę.
Mam przepastny żołądek, w dodatku pochodzę ze środkowej Europy i przybieram na wadze szybciej niż aktor przygotowujący się do roli Grubaska Arbuckle'a.
Roześmiała się.
Widelec czekał tuż przy ustach.
Rozgryzła krewetkę, delektując się silnym, aromatycznym smakiem.
Max uśmiechnął się do niej.
W kąciu ust miał trochę sosu.
To też się jej podobało.
- Pyszna.
Podał jej następną.
Tym razem zjadła bez protestu.
Potem zjadła kolejną, i jeszcze kolejną, wreszcie talerz był pusty.
Kelnersprzątnął ze stołu.
Trzymała rękę na obrusie.
Nagle przykrył ją swoją.
- Tak się cieszę, że przyszłaś.
Ranoczułem się paskudnie.
Podniosłaś mnie na duchu.
Zaczerwieniła się.

- A ty mnie.
Ścisnął jej dłoń i zabrał rękę.
Kelnerpodał im kartę z deserami.
- Jajem - oznajmił Max.
- A ty?
Rzadko kiedy jadała słodycze.
Ale tym razem nie odmówiła.
Max sięgnął pocygaretkę.
Miał duże, silne ręce, lecz poruszał nimi z zadziwiającym wdziękiem.
Przypominały dwa orły, które krążą tuż nad płomieniem, nie przypalając sobieskrzydeł.
Ojciec też miał silne ręce, lecz tylko pozornie, gdyż byłyto ręce człowieka słabego.
Kochała go bardziej niż kogokolwiek w świecie, wiedząc, że nigdy w życiu nie osiągnąłby
nawet cząstki tego, co osiągnął Max.
Kelner przyniósł deser.
Jadłapowoli.
Wpół do jedenastej.
Stała na Shaftesbury Avenue, przytłoczona jaskrawymi światłami i hałasem.
Czekała, aż Max złapie taksówkę.
W końcu złapał.
- Streatham - rzucił do kierowcy, wciskając jej do ręki dwa
dwudziestofimtowe banknoty.
- Na taksówkę.
- Był głuchy na jej protesty.
- Nalegam.
261.

- Dziękuję.

Pocałował ją w policzek.

Skórę miał szorstką, lecz ciepłą.

- Mówiłem poważnie.

Naprawdę podniosłaś mnie na duchu.

Szerokiej drogi.

- Tobie też.

Taksówka odjechała w kierunku Cambridge Circus.

Stał nakrawężnik z podniesioną ręką, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Gdzieś przed nimi był wypadek.

Ruch najpierw zwolnił, potem utknął w korku.

Kierowca zaczął posępnie mruczeć.

Zanosił się na długą jazdę, ale było jej wszystko jedno.

Miała pieniądze.

Aż za dużo pieniędzy.

Patrzyła na tłumy ludzi krzątających się wokół swego życia.

Nikt jej nie znał.

Gdyby to ona miała wypadek, nawet by tego niezauważyli.

Mimo to było jej w środku ciepło i przyjemnie.

I przez krótką, króciutką chwilę nie czuła się tak samotnie.

2

Piątek.

Wpół do ósmej wieczorem.

Michael wyszedł ze stacji metra i skręcił w Ash Lane.

Miał za sobą ciężki dzień.

Myślał, że kiedy złoży rezygnację, będzie mniej obciążony pracą.

Większe kontrakty rzeczywiście odpadły, za to wszyscy za-

częli zrzucić na niego cały ten papierkowy chłam, którym nie mieli ochoty się zajmować.

A Graham Fletcher nieustannie mu dogryzał.

Jego uwagi doprowadziłyby go kiedyś do furii, ale teraz spływały po nim jak woda po kaczce.

Trochę żałował, że odchodzi.

Wiedział, że kumple tacy jak Stuart nadal pozostaną kumplami, lecz czuł, że z innymi też zażył.

Trudno.

Zmienił pracę i poznał nowych przyjaciół.

Jeden rozdział się kończył, zaczynał się następny.

Tak to już jest.

Wieczór był chłodny i spokojny.

Szedł West End Lane, mijając puby i restauracje.

W stoisku z gazetami kupił duży baton Toblerone.

Na kuchennym stole czekała kasetka - Nosferatu z dwudziestego drugiego - w

lodówce chłodziło się wino, a Rebeka na pewno ugotowała coś pysznego na kolację.

Kolejny piątkowy wieczór w domu.

Nie mógł się już doczekać.

Korytarz, salon i The Pet Shop Boys na stereo.

Rebeka kłóciła się z kimś.

przez telefon.

Sądząc po jej głosie, pewnie z matką.

Wiedział, o czym rozmawiają, inaszczy go wyrzuty sumienia.

Miała spiętą twarz, lecz gdy tylko podniosła wzrok, zagościł na niej promienny uśmiech.

262

- Muszę kończyć, mamó.

Mike wrócił.

- W słuchawce gniewnie zapiszczało.

Kłótnia trwała.

Rozejrzał się po pokoju.

Wszędzie jaskrawe kolory, wszędzie koronki i frędzelki, wszędzie porcelanowe figurynki.

Kompletny miszmasz, Laura Ashley i Mój mały kucyk.

Na ich rzeczy nie starczyło miejsca, dlatego większość trzymali w pudłach w sąsiednim pokoju.

Wystrój wnętrza był koszmarny, lecz musieli gdzieś mieszkać, a Susie wracała z Madrytu dopiero na Boże Narodzenie.

Rebeka odłożyła słuchawkę i usiedli razem na sofie.

Miał ochotę położyć nogi na stoliku do kawy, ale stało tam kilka małych świnek.

- Jak poszło?

- Lepiej nie pytaj.

- To poprawi ci humor.

- Pokazał jej baton.

I rzeczywiście.

Zjedli po kawałku, potem po jeszcze jednym.

- A teraz połóż go poza zasięgiem ręki - wymlaskała.

- Byle niena stolik.

Świnki go zjedzą.

- Nie zjedzą.

Są bardzo miłe.

- Okropne.

Kiedy się tu wprowadziliśmy, ta różowa z pręgą na pysku była dwa razy chudsza.

Dlaczego niemożemy mieć myszy jak normalni ludzie?

Roześmiała się.

Objął ją i przytulił.

- Wiem, że ci ciężko.

Tak mi przykro.

- Niepotrzebnie.

- Nie?

- Jeśli nas nie zaakceptują, ich strata.

- To twoi rodzice.

Nie możesz wykreślić ich z życia.

- Przed pół rokiem zaprzedałby duszę diabłu, żeby to zrobiła.

Ale od tamtego czasu dużo się zmieniło.

- W końcu się z tym pogodzą.

Ostatecznie jestem ich jedyną córką.

A jeśli nie, trudno.

To ty jesteś najważniejszą osobą w moim życiu.

Kiedyś nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale teraz zdaję.

Zapadał zmierzch i pościanach pełzały cienie.

Usiadła mu na kolanach i przytuliła się w mroku.

Ze stoickim spokojem patrzyły na nich świnki zasłuchane w piosenkę o cnotach dziewcząt z West Endu.

- Jesteś zmęczona.

- Miałam ciężki dzień.

Nie chce mi się gotować.

Weźmiemy coś na wynos?

- Zadzwońmy do tej pizzerii na rogu.

- Dobra.

Nie będziesz musiał nigdzie wychodzić.

- Objęła go mocniej.

- Masz czekoladę na zębach.

- Ty też.

- Spróbował ją zlizać.

Chciała wstać nie chcący strąciła na dywan jedną ze świnek.

263.

- Boże!

Rozbiła się?

- Nie.

- Podniósł nogę.

-Może ja spróbuję?

Roześmiali się.

- Chryste, jak ja ich nie znoszę-powiedział.

-Wsadźmy je do jakiejśzuflady, co?

- Dobrze.

-Ale sofa jestekstra.

- Aha.

Wygodniejsza niż tamta.

- O wiele.

-Tęsknisz za tamtym mieszkaniem?

- Nie.

Pogłaskała go po głowie.

- Ale jegoci brakuje.

-Nie.

..

- Przecież wiem.

Westchnął.

- Czasami.

Ale jakoś to przeżyj ę.

- A wiesz,kogo mnie brakuje?

Wiedział.

- Tyle razy chciałam pozbyć się jej raz na zawsze.

Miałam dość wiecznego poczuciawiny.

A teraz, kiedy jej nie ma, zamartwiam sięjak głupia.

Nigdy nieprzypuszczałam, żetak będzie.

- A ja nie przypuszczałem, że ona się we mniekochoa.

Byłemślepy.

Potarła mu kark.

- Nie prosiłeś się o to.

-Nie,ale jest w tym trochęmojej winy.

- Mojej też, Mikę.

Mojej też.

Wtorek.

Wpół do dwunastej.

Wracając, wstąpiła do kafejki przy GreatPortland Street.

W środku było prawie pusto.

Na sofie przy ścianie siedziała młoda para,a przy narożnym stoliku dwie kobiety w średnim wieku.

Zamówiławodęmineralną, przysiadła na stołku przy oknie i wyjęła z torbymaszynopis, arturiański epos, który zaczęła czytać przed tygodniem.

Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że jest całkiem niezły.

Straszliwy styltylko dodawał muuroku.

Lancelot wyglądał i mówił jak surfer z Los Angeles,a Guinevere - mogłaby występować w filmach spółkiMerchant-Ivory, gdyby nie to,że ani przez sekundę nie potrafiła wytrzymać w ubraniu - ciągle padałamu w muskularne ramiona.

Jeśli zaś chodzi o samego Artura - sądząc po akcencie, farmera z Yorkshire - on też miał wyraźną skłonność do surferów i ciągle

264

wypatrywał Merlina - wiecznie zaćpanego hipisa, który nie doszedł do siebie odczasów festiwalu w Woodstock - żeby poprosić go o kilka małżeńskich rad.

Przewracała kartki, pijąc wodę i z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Emilko.

Stał przed nią skruszony Max.

- Przepraszam, utknąłem w korku.

Długo czekasz?

- Nie, dopiero co przyszedłam.

Podszedł do lady, zamienił kilka miłych słów z młodym barmanem i poprosił o cappuccino.

Wskazała tacę z ciastkami i pytająco uniósł brew.

Pokręciła głową.

Uśmiechnął się i mimo to zamówił jedno.

Patrzyła na niego zdziwiona, że los kazał im się zaprzyjaźnić.

Nazajutrz po pierwszej kolacji wysłała mu kartkę z podziękowaniami.

Zrobiła to odruchowo, nie oczekując odpowiedzi.

Zadzwonił jeszcze tego samego dnia.

W trakcie rozmowy wspomniał, że w porze lunchu będzie w okolicy i zaprosił ją na kawę.

Zgodziła się i się spotkali.

Pod koniec tygodnia spotkali się ponownie.

Dzisiaj też.

Przysiadł na stołku i postawił przed nią talerzyk z ciastkiem i dwoma widelcami.

- Jedz.

- Nie, nie jestem głodna.

- Proszę, musisz mi pomóc.

Z dnia na dzień podabniał się do Chubby Checkera.

Roześmiała się, odkroiła kawałek i spróbowała.

- Dobre?

- Pyszne.

Wypił łyk kawy.

- Jak poszło zebranie?

- spytała.

- Udziałowców?

Obyło się bez wymiany ognia.

- Często się kłócicie?

- Nie, tylko wtedy, kiedy nie ma dzielić.

A twoja narada?

- Nieźle.

- Wydawcy nigdy się nie kłócą?

- Rzadko.

Tego dnia też się nie kłócili.

Bo nie było żadnej narady.

W redakcji powiedziała, że idzie do dentystki.

Skłamała.

Wszystko, byle uciec stamtąd choć na parę godzin.

"Te spotkania dużo dla mnie znaczą - powiedział jej przed tygodniem.

- Jesteś jedyną osobą, z którą mogę rozmawiać o tym, coaszło.

Podnosisz mnie na duchu".

Miała nadzieję, że to prawda.

265.

Zdawało się jednak, że mówi głównie ona.

O wszystkim i niczym.

Opracy.

O kłopotach z transportem publicznym.

Odrobnych wydarzeniach dnia.

Ale od czasu do czasu, zupełnie niechcący, poruszała też inne tematy.

Wspominała dzieciństwo.

Rodziców.

Mówiła o swoich nadziejach i obawach.

Tylko przez kilka sekund, bo uświadomiwszy sobie, co robi, natychmiast powracała na neutralny grunt.

A on patrzył na nią swymi ciemnymi oczami, nigdy nie zadając trudnych pytań i upewniając ją w przekonaniu, że jeśli postanowisz przed nim otworzyć, nie osądzi jej zbyt surowo.

- Mikę do mnie dzwonił - powiedziała.

- Co u niego?

- Nie wiem.

Zostawił wiadomość.

Nie miałam czasu oddzwonić,

- A oddzwonisz?

- Dlaczego miałabym nie oddzwonić?

- Bo to bardzo boli.

Ścisnęło ją w żołądku.

- Myślisz, żetego nie widzę?

Milczała.

Nie odrywał od niej wzroku.

Na górnej wardze miał odrobinę piany po kawie.

Miała ochotę wyciągnąć rękę i delikatnie otrzeć mu usta.

Zmieszana poszukiwała schronienia w bezpieczniejszych tematach.

- Jeden z naszych autorów ma jutrowieczór autorski.

Muszę wesprzeć go duchowo.

- Nigdy nie byłam na takim wieczorze.

Zapewniam cię, że ten będzie straszny.

Jude jest do niczego.

Chcemy zerwać z nim umowę.

Zapadła cisza.

Słyszała tylko bicie swego serca.

- Chciałbyś pójść?

- Tak.

Dostrzegła jakiś ruch po lewej stronie.

To ci młodzi.

Już wychodzili.

Chłopak miał ciemne, błyszczące włosy.

Jak Michael.

Michael.

Spróbowała wyobrazić sobie, jak by wyglądał ze szpakowatą czupryną.

Ciekawe, czy dobrze.

Max wyglądał świetnie.

Dopił kawę.

- Nieczekają na ciebie w pracy?

Pokręciła głową.
Dobrze wiedzieli, ile może trwać wizyta u dentysty.
- W takim razie zaszalejmy.

Wezmę gorącą czekoladę.
Co tyna to?
Pora, żebyś zaczęła żyć niebezpiecznie.
Roześmiała się.
Otarł ustami ruszył do lady.

266

Południe.

Michael siedział w biurze pośrednictwa pracy Cartera Clarka.
Biuro mieściło się w suterenie o nagichścianach.
Byłociasne, zbyt jaskrawo oświetlone i przypominało policyjną salę przesłuchań, czym
wpewnym sensie było.

Naprzeciwko niegosiedział konsultant Brian Pince.

Niedawno skończył studia i tryskał entuzjazmem.

Przeglądał jego CV.

- Imponujące.

Jak na młodszego asystenta z rocznym stażem pracyciepan na koncie mnóstwo kontraktów.

- Dzięki.

- Mikę wypił tykbiurowej kawy.

- Chciałby pan pracować w jakiejś firmie czy prywatnie?

- Wolalbym w firmie.

- Słusznie.

- Brian odchrząknął.

- Dlaczego chce pan odejść od Coksa Stephensa?

Był na to pytanie przygotowany.

- Nasza kancelaria węża pole działania i skupia się na przemyśle komputerowym.

Nie chcę być specjalistą w jednej dziedzinie.

Wolalbym mieć co najmniej z kilkoma branżami.

- Ma pan szczęście.

To dobra pora na zmianę pracy.

Przychodzi midogłowy kilka naszych firm, które mogą się panem zainteresować, i wiele
firm amerykańskich, które szukają dobrych fachowców.

Pokażę panu, czym w tej chwili dysponujemy.

Dwadzieścia minut później stała Blackfriars Bridge, patrząc nawyladowane turystami
statki płynące Tamizą.

Pogoda była paskudna, mimo to turyści wesoło do niego machali.

Zadzwoił do Rebeki, ale była na zebraniu kierownictwa, dlatego postanowił
przekreślić do Stuarta.

- Jak poszło?

- spytał Stuart.

- Nieźle.

Omawialiśmy różne możliwości.

- Na przykład?

- Saunders Bishop, Randall, Watts i Hooper.

- Tylko nie Hooper.

Kiedyś pracowaliśmy razem nad jakimś kontraktem.

To palanty.

- Darowanemu koniowi nie zagłada się zęby.

- Powiedziałeś im, że już złożyłeś rezygnację?

- Nie.

Pomyślałem, że bezpieczniej będzie zatrzymać to dla siebie.

Zacząliby zadawać trudne pytania.

Na szczęście dwie z tych firm poszukują kogoś, kto mógłby zacząć od zaraz, więc chyba nie będzie problemu.

Cou was?

- Koszmar.

Grahamowi odbiło, wszystkich opieprza.

Wychodzi dopiero o wpół do drugiej, więc wcześniej nie wracaj.

267.

- Dobra.

Dzięki, Stu.

- Już miał przerwać połączenie, gdy wtem o czymś sobie przypomniał.

- Posłuchaj, co robicie w sobotę wieczorem?

Może wpadniecie do nas na kolację?

Rebeka bardzo chciałaby was zobaczyć.

- Ekstra.

Zapytam Helenę, ale jestem pewien, że jest wolna.

Na razie,.

stary.

Wstąpił do jakiejś kafejki, kupił kanapkę, poszedł na wybrzeże i usiadł na ławce.

Od rzeki wiała lekka bryza.

Patrzył w dal, na stalowoszarą wodę.

Na drugim brzegu w niebo strzelała wieża Oxo.

Przypominała wysmukłą iglicę w stylu Art Deco.

Tak samo jak wtedy.

Po tym, gdy Max znokautował go toalecieu Cadogana.

Przyszli tu, usiedli na identycznej ławce i rozmawiali.

Był wtedy szczęśliwy, myślał, że w jego życiu wydarzyło się coś cudownego.

Nieprzeczuwał, czym to się skończy.

Max. Zastanawiał się, co teraz robi.

Był zajęty?

Wrócił do Karoliny?

Poznał kogoś innego?

Czy mu nie brakuje?

Miał nadzieję, że nie.

Pragnął, żeby Max jak najszybciej o nim zapomniał.

Czy aby na pewno.

Ludziom brakuje jedynie tych, na którym im zależy.

A on chciał, żeby ktoś za nim tęsknił.

Wyjął z kieszeni komórkę.

Jeden telefon nie zaszkodzi.

Tylko się z nim przywitam.

Jeszcze raz go przeproszę.

Udowodnię, że wciąż o nim pamiętam.

Powoli wystukał numer.

Usłyszał sygnał i w tym samym momencie przypomniał sobie wszystkie kłamstwa, te wszystkie podstępne zagrywki.

Wystraszył się i szybko wyłączył telefon.

Tak, chciał, żeby ktoś za nim tęsknił.

Aleni takim kosztem.

Jeszcze raz zadzwonił do księgarni.

Rebeka wróciła już z narady i bardzo się ucieszyła.

- Myślało tobie od samego rana.

Mów.

Jak poszło?

Jej głos działał jak balsam.

Rozmawiając, wstał i ruszył w kierunku Fleet Street, do części miasta, która nie kojarzyła mu się z Maksem.

Wieczór przebiegał fatalnie.

Jude Hale stał przy ścianie w sali niezależnej księgarni przy Charing Cross Road i czytał fragment swojej najnowszej powieści zatytułowanej Ópyny śmierci.

W sali ustawiono czterdzieści krzesel.

Zajętych było siedem:

trzy przez pracowników księgarni, dwa przez publiczność i dwa przez Maksai Emilię.

Emilia nieustannie zerkła na zegarek.

Jude czytał już od pół godziny i coraz częściej zamykały jej się oczy.

Maksowi chyba też.

268

Żałowała, że go zaprosiła.

Było gorzej niż się spodziewała.

Jude pracował kiedyś w tej księgarni i namówił właściciela, by ten zasugerował wydawcy zorganizowanie wieczoru.

Wydawca uznał, że to kiepski pomysł i próbował go zniechęcić, lecz Jude się uparł.

Miała przyjść przedstawicielka działu reklamy i promocji, ale w ostatniej chwili zadzwoniła i powiedziała, że skrzyła nogę w kostce.

Emilia zazdrościła jej tupetu.

Nerwowo spojrzała na Maksa.

Rozbawiony posłał jej konspiracyjny uśmiech.

Odpowiedziała tym samym i trochę się odprężyła.

Jude skończył.

Po ogłuszającym aplauzie spytał, czy są jakieś pytania, a gdy nikt się nie odezwał, zażenowany właściciel księgarni postawił mu dwa zarzuty co do charakterystyki głównego bohatera.

Naburmuszony Jude odparł je krótko, po czym zaprosił wszystkich do prowizorycznego barku na zapleczu, gdzie czekało wino i krakersy.

- Max - szepnęła Emilia.

- Nie musisz zostawać, naprawdę.

- Oczywiście, że zostanę.

Jestem samochodem.

Odwożę cię do domu.

- Nie matakiej potrzeby.

- Potrzeba nie ma z tym nic wspólnego.

Stali w kącie, pijąc Lambrusco.

- Na tego rodzaju imprezach zawsze podają podłe wino - powiedziała.

Popatrzyła na nią z krzywym uśmiechem.

- Emilko, przestań wreszcie za wszystko przeproszać.

- Zapalił cygaretkę i poszedł poszukać popielniczki.

Sączyła wino, pragnąc, żeby publiczność - w liczbie dwóch osób - zasypała Jude'a komplementami.

Niestety, bardziej interesował ich darmowy alkohol, tak że musiał zrobić to właściciel księgarni.

Nagle Jude przeprosił go i ruszył w jej stronę.

Schowała się za występ w ścianie, nie chcąc, żeby ktoś usłyszał, jak zmywa jej głowę.

- Bardzo udany wieczór - powiedziała z największym przekonaniem, na jakie mogła się zdobyć.

Jude łypnął na nią spod łba.

Był wysoki, miał wyraziste rysy twarzy i wyglądał jak młodszy, tyle że anemiczny, brat Kevina Spacey.

- Kompletne dno - odparł.

-Nieprawda.

- Tu jest jak w kostnicy!

Mówiłem ci, że bez reklamy niczego nie będzie, ale nie chciałaś mnie słuchać.

- Jude, reklama to sprawa właściciela księgarni i wydawcy.

Pogardliwie prychnął.

- Zresztą reklamowali cię.

W gazetach.

I w lokalnym radiu.

- Ale za słabo.

Nie wiem, za co wam płacę.

Bierzcie prowizję i nic nie robicie.

Chuj wam wszystkim w dupę!

Aż się cofnęła.

Chciała go uspokoić i rozpaczliwie szukała odpowiednich słów.

269.

I wtedy dobiegł ją ciepły głos Maksa.

-To niefair.

Niesłyszała, kiedynadszedł.

Zaskoczona spojrzała w jego stronę.

Judeteż.

- A pan kto?

- warknął.

- Ktoś, komu nie podobasię sposób, w jaki zwraca się pan do Emilii.

-Płacę jej.

Mogę się doniejzwracać, jak mi się podoba.

- Teoretycznie tak.

Ale spójrzmj na to inaczej.

Sądząc po dzisiejszymwieczorze, jej agencja oddała panuolbrzymią przysługę, promując dziełomierne i straszliwie grafomańskie, dlatego uważam, że powinien pan byćtrochę grzeczniej szy.

Jude wybałuszył oczy.

- Max.

- wtrąciła Emilia.

Uciszył ją łagodnym gestem ręki.

- Dlatego uważam - kontynuował z serdecznym uśmiechem - że powinien ją pan przeprosić.

-Pierdol się, kutasie!

Nie przestając się uśmiechać, Max zgasił cygaretkę.

A potem grzmotnąłgo pięścią w brzuch.

Jude zgiął się wpół.

Maxchwycił goza włosy, szarpnął do góryi spojrzał muw oczy.

- Przeprosisz ją- powiedział cicho.

- A jutro rano zadzwonisz do jejszefa, powiesz, że jesteś zachwycony tym,co dla ciebie zrobiła, idodasz, zema wielkie szczęście, że pracują uniego tak zdolniagenci.

Jeśli tego niezrobisz, będę bardzo niezadowolony, a wiedz- pozwól, że użytętego czarującego określenia - że niezadowolony kutasniełubi, jak go pierdoła.

Czywyrażamsię jasno?

Przerażony ruch głową.

- Świetnie.

W takim razie przeprosją i zaraz wrócisz do swoich rozentuzjzmowanych wielbicieli.

Czekamy.

Jude przełknąłślinę i spojrzał naEmilię.

- Przepraszam, że byłem niemiły.

Dziękuję ci za wszystko, co dla mniezrobiłaś.

Już nie był arogancki.

Ani butny.

Byłwystraszony i poniżony.

Patrzyła na niegoz prawdziwąprzyjemnością.

- Nie maza co - odrzekła.

Max puściłgo i wziął ją pod rękę.

- Idziemy?

Ruszyli do wyjścia.

270

Kwadrans po jedenastej.

Max zaparkował przed jej domem.

Rozpięła pas.

Wieczór dobiegł końca i musieli się pożegnać.

Czekała, aż coś powie, lecz on milczał.

- Dziękuję za uroczą kolację - odezwała się w końcu.

- Rozumiem, że restauracja nie była zbyt elegancka.

- Absolutnie.

Była w sam raz.

- Cieszę się.

- Wstąpisz?

Milczał.

Bawiła się nerwowo kosmykiem włosów, żałując, że z tym wyskoczyła.

- Przepraszam.

To głupi pomysł.

Jest późno, chcesz wracać.

- Nie, jeszcze wcześniej.

Drzwi, hol, schody.

Wykładzina była wypłowiała, ściany obdrapanie brudne.

Od Kensingtonu i świata, który zamieszkiwał Max, dzieliło ich tysiące kilometrów.

Wprowadziła go do mieszkania i zapaliła światło.

Stanął pośrodku pokoju i się rozejrzył.

Szukała w jego twarzy śladów zdumienia czy choćby zaskoczenia, lecz nie znalazła.

Zaczął oglądać jej książki, a ona poszła do kuchni zaparzyć kawę.

Kuchnia była mała, ale wesoła.

W zieleniach błękitach.

Sama ją urządziła.

Drzwilodówki wykleiła pocztówkami, głównie od Rebeki i Michaela.

Przyniosła kawę.

Usiedli na małej sofie przy oknie.

Z mieszkania na górze dochodziły przytłumione dźwięki muzyki.

Rock and roli.

- Przepraszam zahałas.

- Opowiadałem ci o swoim pierwszym mieszkaniu?

- Nie.

- Mieściło się nad sklepem rybnym w Lewisham.

Miało tylko dwa pokoje, a ściany były tak wilgotne, że nie pomagało żadne malowanie.

Właściciel sklepu uwielbiał Hermans Hermitsów i na krągłopuszczal ich płyty.

Co rano budziłmnie zapach makreli i koszmarnie zawodzenie: "Pani Brown, ma pani śliczną córkę".

Dodzisiaj nie znalazłem budzika skuteczniejszego niż ta piosenka.

Uśmiechnęła się.

Wziął ze stolika oprawione zdjęcie.

- To twoja mama?

- Tak.

- Miałem rację.

- To znaczy?

- Że jesteś dla siebie zbyt surowa.

- Nieznałeś jej.

Była wyjątkowa.

Miała, łagodna i miała najpiękniejszy uśmiech w świecie.

To pamiętam najlepiej.

Jej uśmiech.

Urwała, bojąc się, że wprawia go w zażenowanie.

Ale nie.

Patrzył na fotografię wzrokiem pełnym nostalgii i żalu.

271.

- I ładnie śpiewała.
Ojciec grywał na skrzypcach melodie ludowe, a ona śpiewała.
Ślicznym, niskim głosem.
Prawie nie pamiętam jej twarzy, aletengłos dźwięczy mi w uszach jak dzwon.
Bardzo mi jej brakuje - dodała cicho.
- Nawet teraz, po tylulatach.
Togłupie, ale nicnie mogę na to poradzić.
Nie ma dnia, żebym oniej niemyślała i nie żałowała, że już odeszła.
Spojrzał na nią łagodnie.
- Dlaczego tak bardzo się nienawidzisz?
Ścisnęło ją w gardle.
- Max, proszę, nie.
-Kiedyna ciebie patrzę, widzę kobietę inteligentną, współczującą, hojną i lojalną.
Elegancką kobietę o twarzy jak z obrazu.
O pięknej duszy i pięknym ciele.
- O pięknym ciele?
- Powtórzyła te słowa powoli i z wysiłkiem, jakby ich nie znała.
Kiwnął głową.
Podciągnęła rękawy sukienki, odsłaniając wystrzępione blizny na przedramionach.
- Czy to jest piękne?
Nawet niemrugnął.
Odstawił zdjęcie na stolik i powoli powiódł po nich czubkami palców.
- Boże, Emciu.
- szepnął.
Tylko ojciec ją tak nazywał.
Max mówił cicho i łagodnie.
Poczuła się bezbronna i poszukała schronienia w szyderstwie.
- Nie jestem ani piękna, ani hojna, ani współczująca.
Nie znasz mnie.
Nie powinieneś tak zakładać.
- Ale ty zakładasz, że znasz mnie.
Od dnia, kiedy spotkaliśmy się w katedrze.
Zaskoczona pokręciła głową.
- Ilekroć się widzimy, przepraszasz mnie, że jesteśmy razem.
Uważasz, że ktoś, kto ma pieniądze, nie potrafi szczerze cieszyć się towarzystwem kogoś, kto ich nie ma.
Cały czas widzisz moje bogactwo i na tej podstawie mnie osądzasz.
- Nieprawda.
Uśmiechnął się smutno.
- Wszyscy tak robią.
Ale żaden bogacz nie powie ci, czym to się kończy.
A kończy się tym, że pieniądze zaczynają go określać.
Że związki, w które się angażuje, przekształcają się w zwykłe transakcje handlowe.
Że w zamian za status, wpływy i część władzy ludzie proponują mu siebie.
I właśnie to było w Michaelu najpiękniejsze.
Zależało mu nie o wielkich domach i luksusowych samochodach, ale o człowieku, który za nimi stoi.
Dlatego tak bardzo mi go brakuje.

To ją trochę zabolalo.
- Mnie też zależy tylko na człowieku.
- W takim razie pozwól, żeby mnie zależało na dziewczynie, która kryje się za bliznami.
- Nie jest tego warta.
- Pozwól, że samto osądzę.
Popatrzyła na przedramiona.
Blizny przypominały maleńkie węże żyjące w ciele.
Powoli opuściła rękawy.
- Pójdę już.
Zdenerwowałem cię, przepraszam.
Ale wierz mi, oddałbym wszystko za twoją przyjaźń i nigdy bym cię świadomie nie uraził.
Spojrzała mu w oczy.
Były ciemne i łagodne jak oczy ojca.
Jednak patrząc w oczy ojcu, nigdy nie czuła się tak bezpieczna.
Dotknęła jego ciepłego policzka.
Pocałował ją w otwartą dłoń.
Eksplodowały jej wszystkie nerwy.
Omal nie zasłabła z pożądania.
- Proszę cię, nie idź - szepnęła.
- Na pewno tego chcesz?
- Tak.
- Chociaż jestem dużo starszy od ciebie?
- Nie widzę lat.
Ani samochodów, ani domów.
Widzę człowieka.
Przyciągnął ją do siebie.
- I jesteś piękna.
Obudziła się w ciemnej sypialni.
Leżała na boku, opleciona jego ramionami, czując ciepło jego ciała i lekki oddech muskający jej ucho.
Byli tak blisko.
Tak blisko.
Westchnęła.
Budzik wskazywał szóstą czterdzieści siedem.
- Muszę iść - szepnął.
- Iść?
- Jestem umówiony na śniadanie.
Mówiłem ci.
Może i mówił.
Nie pamiętała.
Zrobiło jej się niedobrze.
- Nie wstawaj - powiedział.
- W łóżku jest ciepło.
Zapaliła lampę, usiadła i patrzyła, jak się ubiera.
Był potężnie zbudowany, mimo to cudownie czuły.
Kochała się drugi raz w życiu.
Pierwszy raz zrobił to z przyjacielem z college'u, który nie miał pojęcia, jak zadowolić kobietę.
Zawsze uważała, że seks jest czymś brudnym i obleśnym.

Max udowodnił, że może być czymś pięknym.

Przynajmniej dla niej.

Ogarnęła ją tak wielka euforia, że ani razu nie pomyślała o nim.

- Zobaczymy się?

- spytała, z trudem panując nad głosem.

- Oczywiście.

- Zawiązał krawat.

-Zadzwoń.

18 - Marionetka

273.

Pewnie zadzwoni.

Był człowiekiem miłym i światowym.

Zbyt światowym dla kogoś takiego jak ona.

Przełknęła ślinę.

Wciąż czuła jego smak.

- Nie dzwoń, jeśli nie chcesz.

Nie musisz.

Nałożył marynarkę i przysiadł na łóżku.

- Jeszcze wcześniej.

Śpij.

Pocałowała ją w czoło.

Szybko.

Niewinnie.

Jak przyjaciel.

Jeśli chciałofiarować jej tylkoprzyjaźń, będzie musiała się z tym pogodzić.

Tylko czy przyjaźń ta przetrwa?

Wyszedł.

Słyszała, jak zamykadrzwi.

Potem dobiegł ją stłumiony warkot odjeżdżającego samochodu.

Siedziała w łóżku z rozpuszczonymi włosami, obserwując zimne, bezduszne światło poranka wpełzające do sypialni.

Wpół do dwunastej.

Biurko, sterty próbek i maszynopisów od początkujących autorów.

Bolała ją głowa, mimo to cieszyła się, że ma zajęcie.

Dzięki temu mogła przestać myśleć o innych rzeczach.

Kroki.

Do pokoju wszedł Kevin, wesoły, przedwcześnie wyłysiały trzydziestokilkulatek z dużą kopertą w ręku.

- Przed chwilą przynieśli cudowny bukiet kwiatów.

Drgnęło jej serce.

- ...

dla Janet.

I list z podziękowaniami od tego nowego autora, którego sprzedała Transworldowi.

Dlaczego wszyscy klienci nie mogą być tacy?

Ukryła rozczarowanie.

- Właśnie.

Ruchem głowy wskazał maszynopisy na biurku.

- Znalazłaś coś ciekawego?

- Historyczny dreszczowiec.

Nieźła atmosfera i mnóstwo szczegółów.

Autor ma doktorat.

- Dobra.

Daj, przejrzę.

Leżał gdzieś pod stertą papierów.

Kiedy zaczęła szukać, przypomniała sobie o kopercie.

- Masz.

Kurier ci to przyniósł.

Pewnie nowa okładka książki Baxtera.

Módlmy się, żeby była lepsza od poprzedniej.

Otworzyć?

- Tak.

- Znalazła kilka pierwszych rozdziałów i szukała następnych.

- Przepraszam, nie wiedziałem.

To prywatna przesyłka.

Podniosła wzrok.

Kevin podał jej dwa bilety lotnicze pierwszej klasy do Paryża i potwierdzenie rezerwacji miejsc w hotelu.

Bilety były owinięte kartką papieru, a na kartce widniały słowa skreślone ładnym, zdecydowanym charakterem pisma.

274

Emciu

Le Tremoille to hotel w uliczce odchodzącej od Champs-Elysees.

Nie należy do najstojniejszych w Paryżu, ale moim zdaniem jest najpiękniejszy.

W ten weekend Ty i ten, kogo zaprosisz, przekonacie się o tym sami.

..Całuję

Max

PS. Nie, żebym chciał wpłynąć na Twoją decyzję, ale w ten weekend jestem wolny.

Przepełniła ją radość.

Nagle się rozplakała.

Kevin był przerażony.

Rozpaczliwie próbowała nad sobą zapanować.

- Dobra wiadomość - wychlipała.

- Cudowna.

- Boże, co będzie, jeśli kiedyś dostaniesz złą.

Wybuchnęła śmiechem.

- Chyba zostawię cię samą, dobra?

- spytał rozbawiony.

- Dzięki.

Wyszedł.

Głęboko oddychając, próbowała wziąć się w garść.

Nie mogła sobie pozwolić na histerię.

Nieteraz.

Teraz musiała go zaprosić.

Na biurku stała szklanka z wodą.

Piła wolno, czekając, aż przestanie jej walić serce.

Potem otarła łzy i podniosła słuchawkę telefonu.

3

Sobota wieczorem.

Michael szedł West End Lane z butelką wina w ręku.

O Była siódma z minutami, a Stuart i Helenamieli przyjąć kolację o wpół do ósmej.

Zostawiwszy Reбекę w kuchni - robiła spaghetti z bekonem i serem - wyszedł rozprostować nogi i zwrócić kasetę do wypożyczalni.

W lodówce chłodziło się sześć puszek piwa i dwie butelki wina, ale wiedząc, że Stuart pije jak smok, nawszelki wypadek wstąpił do sklepu po trzecią.

Kiedy przed kilkoma minutami wychodził z domu, miejsce parkingowe przy krawężniku było puste, lecz teraz stał tam srebrny Vauxhall Astra.

Helena będzie musiała zaparkować na sąsiedniej ulicy, ponieważ wzdłuż chodnika ciągnęła się rząd samochodów.

Trudno, postanowił nie mówić o tym Rebecce, która czekając na gości, robiła się coraz bardziej spięta.

Drzwi, korytarz.

Byli w salonie, rozmawiali.

Miała nadzieję, że zaskoczona wcześniejszym przyjazdem gości Rebeka zdążyła już ochłonąć.

Wszedł do środka przez uchylone drzwi.

275.

- Cześć.

Gdzie zaparkowaliście?

Rebeka stała przy oknie z bombonierką w ręku.

Obok niej ujrzał Seana i Maję.

- Niespodzianka - rzuciła niepewnie Rebeka.

Michael milczał.

Po prostu patrzył.

- Przepraszam, że nie przynieśliśmy wina - odezwał się Sean.

- Rebeka powiedziała, żeby nie zawracać sobie głowy, więc.

Mike z trudem odzyskał mowę.

- Słusznie.

Wina mamy dość.

- Nie chcieliśmy przyjeżdżać tak wcześnie - dodała Maja.

- Ruch był mniejszy niż się spodziewaliśmy.

- To dobrze.

- Mieszkał tu kiedyś mój kumpel - powiedział Sean.

- Chodził do Generale Arms.

To taki pub, minęliśmy go po drodze.

Mówił, że jest niezły.

- Fakt.

Zapadła cisza.

Atmosfera była tak napięta, że dałoby się kroić ją nożem.

Michael odchrząknął.

- Może zjedźmy coś i wpadnijmy tam na kielicha.

Ulga.

Namacalna ulga.

Uśmiechnęli się do niego.

On do nich.

- Siadajcie.

Otworzę wino.

Aha.

Jeśli zbijecie jakąś świnkę, stawiam pierwszą kolejkę w pubie.

Wszedł do kuchni, wyjął z lodówki schłodzone wino i wstawił to, które przed chwilą kupił.

Tuż za nim stanęła Rebeka.

- Stuart i Helena nie przyjdą - powiedziała.

- Po twoim wyjściu z winiarni Stuart zagadnął Seana, dowiedziawszy, kim jest i kiedy do siebie wróciliśmy, o wszystkim mi opowiedział.

Powinno być cię uprzedzić, ale bałam się, że nie zechcesz.

Zakrył jej usta dłonią.

- Kocham cię - szepnął.

- Nie wiesz nawet, jak bardzo.

Zwilgotniały jej oczy.

Objęli się i mocno do siebie przytulili.

Po chwili lekko odepchnęła go i zajęła się jedzeniem.

Michael wziął wino i wrócił do gości.

Ósma.

Emilia siedziała przy toalecie w bladoniebieskiej sukience, którą kupił jej specjalnie na wyjazd do Paryża.

Miastorozkoszowało się końcówką pięknego lata i przez otwarte okno słyszała śmiech ludzi meandrujących między trąbiącymi samochodami w drodze do kafejek i restauracji przy Champs-Elysees.

Szli niespiesznie, pragnąc do maksimum wykorzystać, być może, ostatni balsamiczny wieczór roku.

Powoli przeczesła włosy.

Zwisały jej do ramion, nawpół przesłaniając bladą, owalną twarz i ocienione długimi rzęsami oczy.

Zawsze jej mówiono,

276

że są jej największą ozdobą, tak samo jak były największą ozdobą matki.

Matka nosiła je na pewno z większą elegancją, lecz nigdy nie mogła zademonstrować ich w otoczeniu równie pięknym jak to.

Chociaż hotel miał tylko osiem pokoi, dzięki paradującemu w szaro-złoty uniformach personelowi wyglądał jak dom bogatego arystokraty.

A ich apartament?

Lustra w złożonych ramach, blade tapety na ścianach, antyczne meble - szyk i wykwiśnięcie przedrewolucyjnej Francji.

Bolały ją nogi.

Rano zwiedzili Luwr; Mona Lisa i Wenus z Milo poruszyły ją mniej niż Trójca Meduzy, niesamowite płótno Gericaulta.

Po południu zaliczyli ogrody Tuileries i Ile de la Cite: stanęła przed Notre-Dame, zadarła głowę i wyobraziła sobie, że spogląda na nich garbaty Quasimodo.

Max chciał zabrać ją na zakupy, lecz zamiast do sklepów, poszli na spacer brzegiem Sekwany.

"Na pewno nie wolisz zajrzeć do paru butików?"

" - spytał.

"Na pewno" - odrzekła i chociaż westchnął i pokręcił głową, po jego śmiechu poznała, że jest zadowolony.

Kolację zjedli w małej hotelowej restauracji.

Chciała zaprosić do najbardziej ekskluzywnego lokalu w mieście, lecz znacznie bardziej odpowiadała jej spokojna i cicha atmosfera Le Tremoille.

Max znowu westchnął i pokręcił głową, mimo to wyczuła, że jej decyzja sprawiła mu wielką przyjemność.

Otworzyły się drzwi i w salonie rozległy się kroki; wyszedł tylko na chwilę, po cygaretki.

- Znalazłeś?

- spytała.

- Tak, z trudem.

W małym algierskim sklepie na rogu ulicy.

- Usiadła na łóżku, a raczej wielkim łożu z ozdobnym baldachimem, które - wedle słów kierownika hotelu - należało niegdyś do kuchni króla Ludwika XVI.

- Ślicznie wyglądasz.

Co chciałabyś robić jutro?

- Może pojedziemy do Wersalu?

Wiem, że zachowuję się jak smętna naturystka, ale bardzo bym chciała.

- Nigdy tam nie byłaś?

Wspominałaś coś o szkolnej wycieczce.

Zarumieniła się i kiwnęła głową.

- Tak, ale chciałabym pojechać tam z tobą.

- W takim razie pojedziemy.

-Podszedł do lustra, objął ją i pocałował w policzek.

Pachniał wodą kolońską i tytoniem.

- To twój weekend, Emilko.

Chcę, żeby był najwspanialszy.

Tak, to był jej weekend.

I był rzeczywiście wspaniały.

Miała nadzieję, że przeżyje więcej takich chwil.

Że jest to początek czegoś magicznego, czegoś, co połączy ich na zawsze.

Gdyby jednak skończyło się tylko na tym, i tak otrzymałaby od Makska więcej, niż się spodziewała.

Nie zapomni o tym weekendzie aż do śmierci.

277.

Pocałował ją jeszcze raz.

- Idziemy coś zjeść?

- Tak.

Wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi.

Za kwadrans dziesiąta.

Michael odgarnął mokre od deszczu włosy i dopchnął się do baru.

Pub tętnił życiem.

Pośrodku stał stół bilardowy, w kącie podest i mikrofon dla gości, którzy chcieli sobie pośpiewać, a w wystroju wnętrza dominowała zieleń przemieszana z czerwienią.

Mike zapłacił, wziął dwa kufle piwa i poniósł je przez zadymioną salę do stolika przy drzwiach, gdzie czekał Sean.

Rebeka i Maja zostały w domu.

Piły kawę i rozmawiały.

Skosztowały piwa.

Na podeście stała pozbawiona słuchu kobieta, bezlitośnie katując *Bridge over Troubled Water*.

- Oby tylko nie *My Way* - mruknął.

- *Albo/ Will Survive* - dodał Sean.

- Boże, jak ja nie znoszę tej piosenki.

- Ale najgorsze jest *Seasons in the Sun*.

Sean pokręcił głową.

- Sława.

Pamiętasz?

Koszmar.

- Oglądaliśmy to co tydzień.

- Siedząc na rozlatujących się krzesłach w sali telewizyjnej.

Miałeś świra na punkcie tego programu.

Nic tylko Sława i Sława.

Raz pobiliśmy się z jakimś skinem, pamiętasz?

Bałem się, że dostaniesz konwulsji, jeśli zmieni kanał.

- Tak.

Jak on miał na imię?

Terry?

- Nie.

Terry był rudym grubasem i lubił ten program prawie tak samo jak ty.

Nie pamiętasz?

Uwielbiał *Leroya* i naśladował jego nowojorski slang.

Slang i chód.

Chodził jak alfonsi ludzie się za nim oglądali.

Wybuchnęli śmiechem.

Pozbawiona słuchu kobieta zaatakowała *The Power of Love*.

Kilkoro nastolatków klóciło się przy stole bilardowym, siedzący obok mężczyźni narzekali na publiczną służbę zdrowia.

Za oknem lał deszcz.

- Mam nadzieję, że w *Norfolk*nie pada - powiedział Sean.

- *Cathy* pojechała na wycieczkę z przyjaciółmi i wyobrażam sobie, jak je zimną fasolę w przemakającym namiocie.

- Jesteście bardzo zżyci, prawda?

- Tak, chociaż potrafi zaleźć człowiekowi zaskórę.

Jest bardzo pewna siebie i lubi się za mną wstawiać.

Kiedy mnie broni, czuję, że jestem doniczego, ale szczerze powiedziawszy, nie mam nic przeciwko temu.

278

- Przymnie też się tak czułeś?

- Cały czas.

I też nie miałem nic przeciwko temu.

- Pewnie byłeś zazdrosny, kiedy ją zaadoptowali.

- Nie.

Mama i tato świetnie to rozegrali.

Wmówili mi, że wszystko zależy ode mnie, że to ja muszę stworzyć jej dom.

Wzbudzili we mnie opiekuńcze uczucia.

- Trudno ci było zacząć nazywać ich mamą i tatą?

- Bardzo.

Najtrudniej było mi z Sue.

Bardzo tęskniłem za swoją prawdziwą matką i uważałem, że to nielojalne.

Ale dotego też świetnie podeszli.

Nie nalegali i przez długi czas mówiłem im po imieniu, Sue i Tony.

Pewno gdzieś dałem sobie sprawę, że naprawdę ich kocham, że są ludźmi, których wybrałaby dla mnie matka.

Od tamtej pory zwracam się do nich jak do prawdziwych rodziców.

- Cieszę się - rzekł z uśmiechem Michael.

- Spodobałoby się.

To dobrzy ludzie.

Pokochali nas, dali nam swoje nazwisko, ale nigdy nie zrobili niczego, żebyśmy zapomnieli, kim naprawdę jesteśmy.

Zawsze powtarzali, że jeśli Cathy zechce odszukać swoich rodziców, zrobią wszystko, żeby jej pomóc.

Mnie chcieli pomóc odszukać ojca, ale ja się do tego nie paliłem.

Moim prawdziwym ojcem jest teraz Tony.

Innego nie chcę.

Michael kiwnął głową.

Przy sąsiednim stoliku ktoś palił cygaretkę.

- Ja odszukałem swego, kiedy skończyłem osiemnaście lat.

Mój zastępczy ojciec zmarł, a matka wyjechała na Bahamy.

Chociaż zawsze trzymałimni dystans, poczułem się odrzucony.

Zostawili mi trochę pieniędzy, więc wynająłem prywatnego detektywa, żeby go wytropił.

No i wytropił.

Mój ojciec nazywał się John Matthews.

Siedział w więzieniu za kradzież i handel narkotykami, i był kolejnym produktem naszego cudownego systemu opieki społecznej.

Kiedy go szukałem, żył z zasiłku i mieszkał w Catford.

Zadzwoiłem, przedstawiłem się i zaproponowałem spotkanie.

Myślałem, że każe mi się odwalić, ale nie.

Był zachwycony.

Umówiliśmy się w pubie.

Wyglądał dokładnie tak samo jak ja.

Patrzyłem na niego i widziałem siebie, tyle że dwadzieścia lat starszego.

Dziwne uczucie.

Jakbym patrzył w czarodziejskie lustro.

Było mi miło.

Ciepło.

Ale tylko przez chwilę.

Nie obchodziło go, że jestem jego synem.

Niemiął kwadrans, jak zaczął dawać mi do zrozumienia, że jest kompletnie splukany.

Wtedy zrozumiałem, że przyszedł na spotkanie tylko dlatego, że słysząc mój akcent, uznał, że mam pieniądze.

Na koniec wypisałem mu czek na połowę sumy, którą zostawił mi zastępczy ojciec, i powiedziałem, że nie chcę go więcej widzieć.

Chyba się tego ucieszył.

Nawet się ze mną pożegnał.

Sean cichutko zagwizdał.

- Musiało cię zboleć.

279.

Michael bawił się podkładką pod kufel.

Dym z cygaretki był coraz gęstszy.

- Wiesz, co najbardziej boli?

- spytał.

-Świadomość, że ktoś potrzebuje cię tylko dlatego, że coś masz albo coś sobą reprezentujesz.

Dla moich zastępczych rodziców byłem symbolem statusu.

Dla ojca prywatną kopalnię złota.

Tylko przy jednej osobie czułem się jak syn.

Niestety, to też nie wypaliło.

Sean uniósł brew.

- Przy matce?

Myślałem, że jej nie pamiętasz.

- Bo nie pamiętam.

-W takim razie przy kim?

- To długa historia.

-Jestem dobrym słuchaczem.

- Zostawmy to na inny wieczór.

-Będą jeszcze inne wieczory?

- spytał z uśmiechem Sean.

- Mam nadzieję.

-Ja też.

Piętnaście lat to kawał czasu.

Nie rozstawajmy się już.

Michael uniósł kufel jak do toastu.

- Wypijmy za to.

Wypili.

Głusi i pijani śpiewacy katowali znane piosenki, a w szyby wciąż bębnił deszcz.

Obudziła się, słysząc jego głos.

Wstał już rano, mimo toczyła się tak, jakby w ogóle nie spała.

W sypialni panowała ciemność.

Rozpraszał ją jedynie blask ulicznych latarni, przed którym nie chroniły nawet kotary.

Max coś mówił, lecz nie doniej.

Leżał na plecach, rzucał się przez sen, wykrzykiwał coś gardłowo w języku, którego nie rozumiała, i młócił pięściami prześcieradło, jakby walczył niewidzialnym przeciwnikiem.

Niebezpiecznie było go budzić, lecz męczył się tak bardzo, że nie miała innego wyboru.

Położyła mu rękę na czoło i stwierdziła, że jest lekko od potu.

Cichutko wypowiedziała jego imię.

Ocknął się gwałtownie i wytrzeszczył, oczy, nie wiedząc, gdzie jest.

- Już dobrze - szepnęła - już dobrze.

Jesteś w hotelu.

Nikogo innego tu nie ma.

Tylko ja.

Odepchnął ją, usiadł, zrzucił na podłogę prześcieradło i poduszkę.

Oparł się ciężko o zagłówek, przeczesał ręką włosy i boleśnie westchnął.

Obserwowała go niespokojnie.

- Przynieść ci wody?

Może przyniosę?

Nie odpowiedział.

Siedział bez słowa i oddychał jak ranne zwierzę.

Lękliwie się od niego odsunęła, a wówczas chwycił ją nagle, przyciągnął do siebie i przycisnął do piersi.

280

- Nie odchodź - wychrypiął, tuląc ją tak mocno, że prawie nie mogła oddychać.

- Zostań.

Trwali tak przez jakiś czas.

Noc była cicha i do Emilii docierało jedynie dudnienie jego serca, które waliło jak młot. Zwolnił dopiero po kilku minutach.

- Co ci się śniło?

- spytała.

- Rodzice?

- Nie.

Opowiadał jej o swoim dzieciństwie.

- Powstanie?

Obóz dla uchodźców?

- Nie, coś gorszego.

Nie ma straszniejszego snu.

Śniło mi się, że jestem zupełnie bezsilny.

- Jak to?

Westchnął.

- Nieważne.

To tylko sen.

- Rozluźnił uścisk i delikatnie pogłaskał ją po głowie.

- Drżysz.

Wystraszyłaś się.

Przepraszam.

Pocałowała go w policzek i otarła mu pot z czoła.

- Nie szkodzi.

- Jutro ci to wynagrodzę.

Pojedziemy do Wersalu.

Zrobimy wszystko,

co zechcesz.

- Nie musimy, Nagle posmutniał.

- Boże, Emilko, co ty tu ze mną robisz?

Zasługujesz na kogoś lepszego

niż ja.

- Nieprawda.

Wsunął jej rękę we włosy.

- Jesteś jak małe dziecko, nic nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem?

- Tego, że ja kocham inaczej niż zwykli ludzie.

Sama miłością niewystarcza.

Kiedy kogoś kocham, chcę mieć nad nim władzę.

Chcę, żeby był moim więźniem, żeby nigdy ode mnie nie uciekł.

Ponownie otarła mu czoło.

Na policzku czuła jego ciepły oddech.

- Jeśli naprawdę cię pokocha, nie zechce uciekać.

- Dużo bym dał, żeby w to uwierzyć.

Michael mnie kochał.

To powinno było wystarczyć, ale nie wystarczyło.
Próbowałem go do siebie przywiązać widzisz, jak to się skończyło?
Moja miłość jest zła, Emilko.

Moja miłość

dławi i przytłacza.

- Ale jest przynajmniej silna.

Ten czy ta, którą kochasz, wie, że jeśli odejdzie, twój świat legnie w gruzach.
Mój ojciec kocha mnie bardziej niż kogokolwiek innego, ale mnie nie potrzebuje.
Gdybym jutro umarła, żyłby dalej jak żyje.

Max pokręcił głową.

- To prawda.

On nie potrzebuje miłości.

Jest słaby.

Inny.

281.

- Myślisz, że ja jestem silny?

Nawet po dzisiejszej nocy?

- Tak.

-Boję się odtrącenia.

Gdzie tu siła?

- Tkwiw tym, że potrafisz się do tego przyznać.

Siedzieli w ciemności.

Masowałamukark, on delikatnie pieścił jej plecy.

Nigdy dotąd niebyła nago z kimś, z kim czułaby się tak bezpiecznie.

- Któregoś dnia - zaczęłacicho - zachorowałam na grypę.

To było jeszcze w college'u.

Leżałamw łóżku i słuchałam radia.

Nadawaliprogram o tym,jak dziwna i nielogiczna może być miłość.

Prowadzący dyskusję odczytałanonimowy list od jakiejś kobiety.

Pisała, żejest szczęśliwą mężatką, i zema cztery córki.

Wszystkie kochała jednakowo z wyjątkiem jednej, tej, która przyszła na świat jako druga.

Dziewczynka była równie ładnai utalentowana jakjej siostry, mimo tomatka kochała ją do szaleństwa.

Wstydziła siętego i nikomu o tym nie mówiła, jednak wiedziała, że gdyby

kiedykolwiekprzyszło jej wybierać, bez wahania poświęciłaby pozostałe dzieci i wybrałaby

Ją.

I właśnie tego pragnę.

Pragnę, żeby ktoś pokochałmnie tak, jak tamtakobieta kochała swoją córkę.

Nieważne, czy tenktoś miałby nade mną władzę, czy bymnie kontrolował i więził.

Chciałabym być ośrodkiem jegowszechświata.

Mieć pewność, że gdyby mnie zabrakło, nie mógłby dalejżyć.

Zanim umrę, chciałabymwiedzieć, jakieto uczucie.

- Dowiesz się - szepnął.

- Obiecuję.

Pocałowali się czule i niespiesznie.

- Jesteś zmęczony?

Chcesz spać?

- A popilnujesz mnie?

-Tak.

Odpędzę wszystkie koszmary.

- Wiem.

Ale niechcę spać.

- Ani ja.

Kochali się w ciemnej sypialni, a noc była tak cicha i spokojna, jakbyświat nagle opustoszał.

Piąta rano.

Michael miałzaczerwienione od płaczuoczy.

Siedział na sofie, a Rebeka krzątała się w kuchni.

Górne światło byłozgaszone.

Palila siętylko małańka lampka w kącie pokoju.

Rebeka przyniosła mu szklankę wody.

Pił zprawdziwą przyjemnością,bo od mówienia zaschłomuw gardle.

Rebeka zaciągnęła kotary i usiadłaobok niego.

Na stoliku leżałanietknięta bombonierka.

- Ityle z naszego obżarstwa.
-Schowaj ją do szuflady - odrzekł.
- Świnki będą miały radochę.
-Delikatnie dotknął jej ucha.
- Biedactwo.
To cud, że jeszcze je masz.

282

Sean i Maja wyszli o północy, a oni oglądali jakiś film.
Michael mówił.
O dzieciństwie, o Seanie, o tym, jak bardzocieszysz się ze spotkania po latach.
Im dłużej mówił, tym głębsze odżywały wspomnienia.
Wspomnienia o matce, o tym, jak bardzoprzeżył ich rozstanie.
Wspomnienia, które dotychczas od siebie odpędzał, ponieważ były zbyt bolesne.

- Ale to już koniec - powiedziała cicho.
- Koniec.
Dzisiaj pożegnałem się z nią tak, jak trzeba.
Pogodziłem się i pożegnałem.
Zamiast odpowiedzieć, przysunęła się jeszcze bliżej.
- I chcę ci coś obiecać.
-Co?
- Że jeśli kiedykolwiek będziemy mieli dziecko, zrobię wszystko, co mojej mocy,
żeby było szczęśliwe.

Że codziennie będę chronił je przed bólem, samotnością!
strachem.
Że kiedy nadejdzie pora, będę najlepszym ojcem w świecie.
Pocałowała go w rękę.
I położyła ją sobie na brzuchu.
-Już nadeszła - szepnęła.

- Powiedziałabym ci wcześniej, ale czekałam na odpowiednią chwilę.
Taką jak ta.
Milczał.
Zabrakło mu słów.
Miała niespokojne oczy.
- Powiedz coś.

Cokolwiek.
Proszę.
Próbował, ale niemógł.
Do oczu ponownie napłynęły mu łzy.
Złagodniała mu twarz.
Rebeka uśmiechnęła się i też się rozplakała.
- Dziękuję szepnęła.

- Właśnie to chciałam usłyszeć.
Nie zabrał ręki i siedzieli tak jeszcze długo, patrząc, jak odchodzi stary i wstaje nowy dzień.
Niedziela wieczorem.

Emilia stała w kuchni.
Max podrzucił ją do domu przed godziną.
Tym razem nie wszedł na górę.
Po prostu odprowadził ją do drzwi.
Nie umówili się na spotkanie, lecz wiedziała, że wkrótce się zobaczą.
Wpółdo jedenastej.

O tej godzinie zwykle już spała, jednak od powrotu
nie zbliżyła się do łóżka nawet na krok.

Lodówkę ozdobiły dwie nowe pocztówki; obie kupiła rano, w Paryżu.

Galerie de Glace i Petit Trianon.

Dobra pogoda utrzymała się do końca weekendu, tak że mogli zwiedzić nie tylko
wersalski pałac, ale i przepiękny ogród.

Rozmawiali mniej niż poprzedniego dnia.

Po tamtej nocy znacznie ważniejsze było samo poczucie bliskości.

Zaterkotał telefon.

Domyśliła się, kto dzwoni, zanim podniosła słuchawkę.

Chociaż cała się trzęsła, ogarnął ją wewnętrzny spokój.

283.

- Mieszkam w tym domu od dziesięciu lat - powiedział.
- Kocham gobardziej niżwszystkie inne domy, jakie dotąd miałem.
Ale bez ciebie niemogę tu mieszkać.
Jużnie.
- Nie musisz.
- Zabrzmiało to jak cichewestchnienie.
- Przyjadę pociebie.
Najdalej za godzinę.
- Wezwę taksówkę.
Będzieszyciej.
- Niczego ze sobą nie zabieraj.
Przywieźtylko siebie.
Przycisnęła widełki i wykręciła numer radio taxi.
Czekając na samochód,
spakowałała torbę, ledwie kilka rzeczy.
O resztę niemusiała się troszczyć.
Taksjarzem była krępa, przysadzista Rosjanka w średnim wieku, która
klęła jak szewc, ilekroć ktoś ją wyprzedził.
- Ci kierowcy.
Co za debile.
Niechich wszystkich szlag trafi!
Ogrzewanie nie działało, lecz Emilia na to niezważała.
Było jej ciepłoz podniecenia.
- Dokąd jedziesz?
-Do przyjaciela.
Na twarzy Rosjanki wykwit!
krzywy uśmiech.
- Do swego mężczyzny?
-Tak, do mojego mężczyzny.
- Miłe słowa.
Dobrziesieje wypowiadało.
- Droga dzielnica.
On bogaty, tak?
- Drogę zajęchało im niebieskie audi.
Rosjankazatrąbiła klaksonem i pogroziłakierowcy pięścią.
- Debile.
Samidebile.
Niech ich szlag trafi!
Ile masz lat?
- Dwadzieścia cztery.
-Tyle samo coMagda.
Magda to moja córka.
Została w Rosji.
- Rosjanka uśmiechnęła sięz rozczuleniem.
-Moja maładziewczynka.
Jesteśpiękna jak ona.
Arundel Crescent.
Max czekał na schodach.
Rosjanka zmrużyła oczy.

- To on?
- Tak.
- Starszy od ciebie.

Wszystko mi jedno.

- Pewnie, bo jesteś zakochana.
- Otaksowała go spojrzeniem.
- Przystojny jest.

Miły.

Emilia podała jej pieniądze.

Rosjanka popatrzyła na nią z uśmiechem.

- Bądź szczęśliwa, córeczko.
- Dziękuję.
- Wysiadła.

Max stał nieruchomo przed drzwiami.

Spojrzała na niego i omal nie zasłabła ze szczęścia.

Otworzył ramiona, a ona weszła na schody.

284

4

Poniedziałek.

Za kwadrans dziewiątano.

Kotary były zaciągnięte.

Owinięta prześcieradłem Emilia leżała samotnie w łóżku.

Sypialniabyła urządzona skromnie i z prostotą.

Białe ściany, brązowy dywan, ciemne antyczne meble.

Spodziewała się czegoś bardziej wyszukanego i luksusowego.

Nie, żeby miała coś przeciwko prostocie.

Surowość pokoju ją spokajała, utwierdzała w przekonaniu, że dotego miejsca pasuje.

Kroki na korytarzu.

Wszedł Max w czerwonym szlafroku w chińskie smoki.

Wniósł do pokoju tacę, zapach kawy i świeżych grzanek.

Rozsunął kotary, zalewając sypialnię szarym światłem dnia, postawił tacę na łóżku i położył się obok Emilii.

Przesunęła dłoń po szlafroku.

- Ładnie wyglądasz.
- Naprawdę?
- Skąd go masz?
- Dostałam od Lavinii.
- Rebeka mio niej opowiadała.

Była bardzo piękna, prawda?

- Była wzorem piękna doskonałego.

Emilia ponownie ogarnęła wzrokiem pokój, zastanawiając się, czy jej też odpowiadała prostota, z jaką go urządzono.

Max objął ją i pocałował w czoło.

- I właśnie to było jej przekleństwem.

Żyła wyłącznie dla piękna.

Nigdy nie mogła o tym zapomnieć.

Kiedy się kochaliśmy, ona pozowała przed wymyśloną kamerą, a ja czułem się jak drugoplanowy aktor.

Słuchała tego z radosną ulgą.

Pogładziła go po policzku.

Miał szorstki poranny zarost.

Lavinia by się pewnie wzdrygnęła.

Jej zarost nie przeszkadzał.

Blizny na przedramionach.

Wciąż tam były.

Kiedyś się ich wstydziła, lecz on ich niezauważał, dając jej do zrozumienia, że by też nie zwracała na nie uwagi.

Spojrzała na tacę.

Dzbanek kawy.

Sok grejpfrutowy.

Grzanki i kiść winogron.

- Pani Laszlo chciała coś ugotować, ale jej nie pozwoliłem.

To moje dzieło.

Rozlała kawę do filiżanek.

Była gęsta i zabójczo mocna.

- Widzę.

- Po węgiersku.

Jeszcze ją polubisz.

- Spóźnię się.

Pokręcił głową.

285.

- Za dziesięć minut muszę być w pracy.

-Nigdzie nie pójdziesz.

- Max.

-Ani słowa.

- Objął ją i przytulił.

-Zostaniesz ze mną.

- Mam obowiązki.

-Twoim jedynym obowiązkiem jestmnie ogrzewać.

Terazzjedz coś,bo pomyślę, że nie smakuje ci moje śniadanie.

- Posmarował grzankę masłem idżemem.

Ona jadła, on patrzył na nią z niepokojemw oczach.

- Zaczyna się- szepnął.

- Co?

-Rozkazujęci.

Próbuję na ciebie wpłynąć.

Nie odpowiedziała.

- Nie boisz się?

-Nie.

I naprawdę się nie bała.

Jeśli tylko szczerze jej pragnął.

Czy pragnąłby mnie, gdybywiedział, że znikam?

Ta nagła i niespodziewana myśl zakłóciła jej spokój ducha.

Ale tykonachwilę, bo szybko ją odpędziła.

Maxnigdy się o tymniedowie.

To jej sekretnikomu go nie zdradzi.

Uśmiechnęła się.

Wypiła łykkawy.

Była za mocna, ale takąłubił.

Onateż na pewno polubi.

Południe.

Michael odłożyłsłuchawkę telefonu.

- No i?

- spytał Stuart, odrywając się od swoich precedensów.

- Dwa spotkania na początkuprzyszłego tygodnia.

Saunders Bishop ijacyś Amerykanie.

Ci od Randalla,Wattsa i Hoopera też o mnie wypytyją.

- Ekstra!

Tylko tak dalej i na moim kawalerskimweekendzie będziemymieli co oblewać.

Po dziesięciu latach życiana kocią łapę Stuart iHelena postanowili siępobrać.

Michael miałbyć jego drużbą bardzo się z tego cieszył.

- Wiesz już, dokąd pojedziemy?

- spytał.

- Do Cardiff.

-Do Cardiff?

- Zasadniczym celem weekendu jest urznąćsię w trupa i zabalować.

Ponieważ nigdy z życia nie byłemw Cardiff i raczejjuż nie będę, nie ma żadnego znaczenia, czy zakazami wstępu do tamtejszych pubów czy nie.

Zadzwoiłtelefon,lecz Michael nie odebrał.

- Słusznie.

Poza tym jeśli przykujesz się do latarni w samych pończochach i staniku, nikt cię nie rozpozna. Stuart zmrugał oczy.

286

- Do tego nie dojdzie.

- Założysz się?

Wybuchnęli śmiechem.

Michael miał ochotę powiedzieć mu o dziecku, ale Rebeka chciała zachować tę wiadomość w tajemnicy.

Przynajmniej na razie.

Do pokoju zajrzała Kim.

- Mike, Rebeka do ciebie.

Podniósł słuchawkę.

- Jesteś kosmopolitką.

Co wiesz o Cardiff?

- Przed chwilą dzwoniłam do Emilii.

Musimy się zaraz zobaczyć.

Pół godziny później siedzieli w zatłoczonym barze kanapkowym przy Liverpool Street.

- Nie wierzę - powiedział.

- Widziano ich razem na wieczorze autorskim.

Opis pasuje.

To Max.

Zabębnił palcami w plastikowy blat.

- To jeszcze nieznaczy, że coś ich łączy.

- Zabrał ją na weekend do Paryża.

Czy można być bardziej romantycznym?

Od kilku tygodni Emilia żyje jak we śnie, jest rozmarzona, i w ogóle.

Sue, ich recepcjonistka, zasypała mnie pytaniami.

Myślała, że coś wiem, ponoć jestem jej najlepszą przyjaciółką.

Mike pokręcił głową, próbując to wszystko ogarnąć.

- Dzisiaj wzięła wolne.

Dzwoniłam do niej, ale nikt niepodnosi słuchawki, co znaczy, że jest z nim.

Boże, Mike, co my teraz zrobimy?

- Jak to "zrobimy?"

"

- Przecież musimy coś zrobić.

To Max, chodzi o Maksę.

- Miała zaczerwienioną twarz i ciężko oddychała.

Pogłaskał ją po ramieniu.

- Nie denerwuj się tak.

Pamiętaj, że jesteś w ciąży.

Powoli wypuściła powietrze.

- Przepraszam.

Po prostu nie mogę znieść myśli, że są razem.

Wiesz, jak łatwo ją zranić.

Wiedział.

Jego też to niepokoiło.

I wzbudzało w nim zazdrość.

Wbił wzrok w stół.

Rebeka westchnęła.

- Muszę iść.

Klara czeka.

Wyszliż baru.

Na chodniku kłębił się tłum ludzi spieszących na lunch.

Mike rozpoznał wśród nich sekretarkę z kancelarii pomachał jej ręką.

Uliczny sprzedawca gazet podawał "Evening Standard" jakiemuś mężczyźnie.

Mężczyzna był podobny do pracownika opieki społecznej, który zawiadomił go

287.

o śmierci matki.

Michael zerknął na nagłówek.

Cięcia wydatkówna edukację.

Niebo było zachmurzone.

Znowu zanosilo się na deszcz.

Objął ją i lekko przytulił.

- Porozmawiamy wieczorem.

Coś postanowimy.

Tymczasem obiecuj, że nie narozrabiasz.

- Ty też.

- Obiecuję.

Patrzył, jak Rebeka znikaw tłumie i powoli rozprostował skrzyżowanepalce.

Wiedział, co trzeba zrobić i niechciał jej do tego mieszać.

Nazajutrz wieczorem siedział z Maksym w tym samym klubie w Soho, który odwiedzili w urodziny starego Blake'a.

Na stoliku stał nietknięty kieliszekwina.

Z napięciarozbolała go głowa.

Max niespiesznie sączyłkoniak.

- Co powiedziałeś Rebecce?

- Że mam rozmowę z klientem.

- Aha.

- A ty Emilii?

- Rozumiem, że to ona jest powodem naszego spotkania.

- Mówił chłodno i oficjalnie.

- A któżby inny?

Max przypalił cygaretkę płomieniem świecy na stoliku.

- Nic jej nie powiedziałem.

Jestzajęta.

Poszła do koleżanki na urodziny.

- A jednak.

Puściłeś ją do pracy?

Max zerknął na zegarek.

- Będzie w domu o ósmej.

Chcę tam być, kiedy wróci, więc skończmyz insynuacjami i przejdźmy do rzeczy.

Michael spojrział na zadrapany blat.

Siedzieli przy tym samym stoliku cwotedy.

Powiódł palcami po wyciętej w drewnie literze "R".

Zajmujący sąsiednistolik biznesmeni roześmiali się ochryple z jakiegoś kawału.

- Czekam - powiedział Max.

- Wiesz, jakie miała życie.

Max bezsłowa skinąłgłową.

- Nielatwe.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Nie rań jej, żeby się na mnie odegrać.

Podniósł wzrok.

Max patrzył mu w oczy.

Dym z cygaretki i dym z kopcącejświecy splatały się w powietrzu niczym roztańczone duchy.

- Myślisz, że chcę ją zranić?

- Ty mi to powiedz.

- Nie przyszło ci do głowy, że Emilia może coś dla mnie znaczyć?

A może uważasz, że nie potrafię kochać?

Że nie jestem do tego zdolny?

Michael milczał.

Migotliwy blask świecy raził go w oczy.

- Ciebie kochałem.

Już zapomniałeś?

- Nie.

- A może troszczysz się o moje dobro?

Emilia nie odpowiadała ci, dlaczego miałaby odpowiadać mi?

To go zabolalo.

- Nigdy tak o niej nie myślałem.

Emilia jest cudowną dziewczyną.

Ten, kogo wybierze, będzie miał wielkie szczęście.

- Moje słowa - odparł z uśmiechem Max.

- Przynajmniej w jednym się zgadzamy.

Ta rozmowa do niczego nie prowadziła.

Michael próbował ukryć frustrację.

- Większość kobiet, z którymi miałem do czynienia, była płytka i chciwa.

To, że znalazłem kogoś, kto taki nie jest, komu na mnie naprawdę zależy, jest po prostu niewiarygodne.

I jeśli myślisz, że zerwę z nią tylko dlatego, że mnie o to prosisz, jesteś w wielkim błędzie.

Przeszywał go wzrokiem, wprawiał w zażenowanie.

- O nic cię nie proszę.

- Chcesz, żebym był szczęśliwy?

- Oczywiście.

- Wobec tego wiedz, że jestem.

Emilia też.

Dlatego pozwól, że coś ci zaproponuję.

Żyj swoim życiem i nie wtrącaj się do mojego.

Co ty na to?

Poczuł się przyparty do muru.

Kiwnął głową.

Nie miał innego wyboru.

- Muszę już iść.

- Max dopił resztkę koniaku i wstał.

- Rebeka jest w ciąży.

Powiedział to spontanicznie, bez namysłu.

Żeby podtrzymać rozmowę do chwili, kiedy będzie gotowy się nim pożegnać.

Max powoli usiadł.

- Od kiedy tym wie?

- Od kilku tygodni.

Niedawno mi powiedziała.

- I jak się czujesz?

- Jestem.

podekscytowany.

- Umilkł.

- I przerażony.

- Dlaczego?

- W głosie Maksa zabrzmiała znajoma nutka, ciepła i serdeczna.

-Boisz się, że popełnisz błąd?

Jak twoi rodzice?

Początkowo nie zareagował.

Potem powoli skinął głową.

- Niepotrzebnie.

Mówiłem ci: nie jesteś swoim ojcem, a ja nie jestem swoim wujkiem.

Sami dokonujemy wyborów, dlatego jestem przekonany, że kiedy nadejdzie
pora, będziesz wspaniałym tatusiem.

- Dzięki.

19 - Marionetka

289.

Uśmiechnęli się do siebie.

Przez chwilę wszystko zdawało się proste i łatwe.

- Ale nie powinieneś być rzucać pracy.

Mikę natychmiast spoważniał.

- Skąd wiesz, żerzuciłem?

Max wydmuchałdym.

- Znałem Jacka, kiedy ty chodziłeś jeszcze w krótkich spodenkach.

To, co się między nami wydarzyło, tego nie zmieni.

- To moja decyzja.

- Naturalnie.

- Ponownie wstał.

- No, muszę iść.

Zachowajmy tę rozmowę tajemnicą.

Ani słowa Rebecce, ani słowa Emilii.

Zgoda?

- Zgoda.

- Zostań i dopij wino.

Trzymaj się.

I pozdrów ode mnie Rebece.

Został.

Sfrustrowany siedział przy stoliku, patrząc na rozedrgany płomień świecy.

Wokoło rozbrzmiewał śmiech, wszędzie unosił się zapach alkoholu i papierosowego dymu.

Czwartek rano.

Rebeka weszła do holu.

Sue, młoda recepcjonistka - czarny tusz do powiek, kolczyki w kształcie krzyżyka - siedziała za stertą maszynopisów i korespondencji.

- Niewiedziałam, że pani przyjdzie.

Michael też nie wiedział.

Uważał, że nie powinni się do tego wtrącać.

Cóż, Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

- Miałam tu coś do załatwienia i postanowiłam wpaść.

Jest Emilia?

Sue zerknęła na tablicę centrali.

- Rozmawia przez telefon, ale na pewno zechce się z panią zobaczyć.

Rebeka miała co do tego wątpliwości, mimo to ruszyła korytarzem w stronę małego narożnego pokoju.

Podszedłszy bliżej, usłyszała jej cichy głos.

I śmiech.

Lekki, zalotny śmiech.

Przystanąła za uchylonymi drzwiami, nie chcąc zdradzać swej obecności.

Emilia siedziała przy oknie z widokiem na katedrę.

Miała podwinęte nogi, słuchawkę podtrzymywała ramieniem.

Jej zazwyczaj bladą twarz zdobił lekki rumieniec.

Cicho zachichotała.

- Nie!

W słuchawce zasyczało.

- Najpierw muszę coś skończyć.

O pierwszej.

Głos w słuchawce stanowczo zaprotestował.

- W takim razie za kwadrans pierwsza.
Ale nie wcześniej.
-Roześmiała się wesoło.
- Ty pierwszy.
-Odczekała chwilę i dwa razy głośno cmoknęła.
290
Odłożywszy słuchawkę, nie drgnęła z miejsca.
Na jej ustach błędził rozmarzony uśmiech.
- Emilko.
Uśmiech momentalnie zgasł.
- Co tytu robisz?
Rebeka zamknęła drzwi i usiadła na wolnym krześle.
- Chciałam cię zobaczyć.
-I uznałaś, że możesz przyjść bez uprzedzenia.
- Nie dałaś mi wyboru.
Nie odpowiadasz na moje telefony, więc co mogłam zrobić?
Na zasłanym papierami biurku stała filiżanka.
Emilia powiodła palcami jej krawędzi i zlizwała z nich kroplę kawy.
Kawa była czarna, co Rebekę zaskoczyło.
Emilia zawsze piła kawę z mlekiem.
- Wszystko jedno.
Wiedziała, że przyjdiesz, kiedy tylko nowiny sięgną.
- Jakie nowiny?
-Nie udawaj.
Może i byłam dla ciebie ciężarem, ale głupoty mi chyba nie zarzucisz.
Mierzyły się wzrokiem.
Rebeka myślała, że dojdzie do kolejnej awantury, ale nie.
Emilia oddychała lekko i powoli.
Oczy miała spokojne niczym dwa głębokie stawki w bezwietrzny dzień.
- Denerwujecie, że jestem szczęśliwa?
-Nie.
-- W takim razie co cię gryzie?
Powiesz mi, że on jest zły?
Że mnie skrzywdzi?
Tak się składa, że jestem przeciwnego zdania.
A nawet jeśli się mylę, nicci do tego.
-Westchnęła.
Lekko i z wyraźną beztroską.
- Dlatego dziękuję, że wpadłaś, ale bądź tak dobra i więcej tu nie przychodź.
Nie mam sobie nic do powiedzenia.
- Emilko.
-Do widzenia, Rebeko.
Oczy wciąż miała spokojne.
I zimne.
Nie było w nich śladu dawnej bezbronności czy zależności.
Rebeka poczuła się tak, jakby coś jej odebrano.
Spróbowała przedłużyć rozmowę.
Na pliku listów stał przycisk do papieru w kształcie Empire State Building.
- To ode mnie.
Pamiętasz?

Emilia podniosła przycisk i obróciła go wręku.

- Piękny.

- Tak.

Niedbałym ruchem rzuciła go stroną drzwi.

Przycisk poźegłował łukiem nad głową Rebeki i rozbił się z trzaskiem za jej krzesłem.

W korytarzu rozległy się zaniepokojone głosy.

291.

- Wszystko w porządku - zawołała Emilia.

- Upuściłam kubek.

- Anina chwilę nie oderwała wzroku od Rebeki.

Pięknymi, długimi palcami gładziła rękaw sukienki.

Potem powoli go podciągnęła i pieszczotliwie dotknęła blizn na przedramionach.

- Emilko!

- Boisz się, że ktoś się dowie?

- Wzruszyła ramionami.

- Pochlastałam się, i co z tego?

Byłam zła.

Miałam ku temu sporo powodów, nie sądzisz?

- Wiem.

Nie twierdzę, że.

- Mimo to chcesz, żebym nadal się tego wstydziła.

Żeby nadal była twoją wycieraczką.

Rebeka zadrżała.

- Co ty mówisz?

Nigdy taka nie byłaś!

- Widzisz?

Już się nie wstydzę.

On mnie tego nauczył.

A teraz wyjdź.

Zapół godziny jestem umówiona na lunchi mam jeszcze sporo pracy.

Cóż mogła powiedzieć?

Wstała i pośliznąwszy się na szczytkach przycisku, ruszyła do drzwi.

Piątek wieczorem.

Emilia stała w kuchni, mieszając sos w garnku.

W duchówce odgrzewały się kawałki kurczaka, na blacie czekała sałatka, w lodówce chłodził się wielki baton Toblerone, a w jej torbie leżała kasetka z Zakochanym Szekspirem.

Kuchnię można by było przenieść na wystawę luksusowych mebli i wzornictwa przemysłowego.

Pani Laszlo utrzymywała ją w nieskazitelnej czystości, ale ponieważ tego wieczoru miała wolne, królowała w niej Emilia.

Ciągle coś wycierała i polerowała, nie chcąc zostawić po sobie ani jednej plamki.

Większość pomieszczenia tonęła w półmroku.

Pracowała przy pojedynczym świetle nad kuchenką, ciesząc się poczuciem intymności, jakie jej zapewniało.

Kuchnia Maksa była co najmniej sześć razy większa od maleńkiej kuchni w Streatham, lecz ilekroć je ze sobą porównywała, przed oczami stawał jej obraz kuchni w domu ojca, widok bładoniebieskich ścian i zniszczonego drewnianego stołu, przy którym ona, ojciec i macocha wieczór w wieczór jadal kolację.

Ale nie, nie zamierzała o tym myśleć.

Nie teraz.

Max chciał jechać wieczorem do Suffolk, lecz namówiła go, żeby poczekał do soboty.

Michael i Rebeka mieli swój piątkowy rytuał.

Ona też pragnęła spędzić tę noc na swój sposób.

Choć raz.

Z garnków biła para i zrobiło jej się gorąco.

Włączyła wyciąg i odgarnęła z twarży kosmyk włosów.

- Ani się waż.

292

Stała z założonymi rękami, opierając się o framugę drzwi tonących w promieniach światła z holu.

Miała na sobie znoszone spodnie i koszulę z krótkimi rękawami.

Przykryła garnek pokrywką.

- Hm?

- Ścinać włosów.

O tym myślałaś, prawda?

Myślała o czymś innym, mimo to skinęła głową.

- Uwielbiam twoje włosy.

Zetnij chociaż jeden kosmyk i wszystkim między nami skończone.

- Nigdybym nie śmiała - odrzekła z uśmiechem.

- To dobrze.

Zagotowała się woda na ziemniaki.

- Miałaś czytać gazetę.

- Chciałem na ciebie popatrzeć.

- Wykluczone.

Zawołałam cię, kiedy wszystko będzie gotowe.

Ani drgnął.

Stali patrzył.

Skrepowana upuściła połówkę ziemniaka.

- Widzisz?

- rzuciła.

- To przez ciebie.

Roześmiał się.

Ciepło iserdecznie.

- Zaczekaj, pomogę ci.

Opłukał ziemniak pod kranem.

Nie musiał.

Podłoga była tak czysta, że

mogliby z niej jeść.

- Nakryć do stołu?

- Już nakryłam.

Skonsternowany uniósł brwi.

- W jadalni - dodała.

- Aha.

Czy to aby nie za oficjalnie?

- Może.

- Zawahała się.

- Nie lubię jadać w kuchni.

Obiecuję, że dokładnie posprzątam.

Pani Laszłó nie będziemy nic robić i.

- Ciii.

- Podeszedł bliżej i mocno ją przytulił.

Musnęła dłonią jedwabistego włoski na jego przedramionach, a on połaskotał ją wargami w ucho.

Zachichotała.

- Przestań.

- Jestem głodny.

- Cierpliwości.

Na deser dostaniesz pudding.

Jęknął.

- Emilko, chcesz, żebym jeszcze bardziej się roztył'

- Śmiało, tyj.

Dla mnie możesz być najgrubszy na świecie.

Zadowolony westchnął, pieszcząc jej kark ciepłym oddechem

- Cóż, zaryzykuję.

Ostatecznie droga do serca mężczyzny wiedzie przez

żołądek.

- Mój ojciec tak mówił.

293.

Max zamilkł.

Wciąż ją obejmował, lecz wyczuła, że już się nie uśmiecha.

Z zapomnianych garnków buchała para.

- Nie lubisz, kiedy o nim mówię.

Nie odpowiedział.

- Prawda?

- Nie lubię, kiedy nawet onim myślisz.

- Tomój ojciec - odrzekła łagodnie.

- Ojciec?

Cóż z niego za ojciec?

Z kogoś takiego nie warto być dumnym, kogoś takiego nie warto darzyć żadnym uczuciem.

- Max!

Boleśniezaciśnięła palce na jej ramionach i gwałtownie ją odsiebieodsunął.

Twarz pociemniała mu z gniewu.

- Nie warto, słyszysz?

Nie chcę dzielić się tobą nawet w myślach.

W jego oczach skrzyły się czerwono-zielone iskierki zaborczej miłości.

Ktoś inny mógłby się ich wystraszyć.

Aleni ona.

- Nie musisz - odparła.

- Należę tylko do ciebie.

Objął ją ponownie i mocno przytulił.

Nad skrytym w półmroku stołem tańczyły wieczorne duchy, o których tak bardzo pragnęła zapomnieć.

Ale już się ich nie bała.

5

Poniedziałek.

Wczesne popołudnie.

Kancelaria prawnicza Saundersa Bishopa.

Jej biura zajmowały górną połowę wieżowca przy Barbakanie, skąd roztaczał się wspaniały widok na miasto i Tamizę.

„ Jesteśmy bardzo dumni z tego widoku - powiedziała recepcjonistka.

- Nasi pracownicy spędzają tu prawie cały dzień, dlatego uważamy, że od czasu do czasu powinni popatrzeć na coś ładnego i ciekawego”.

Nie wiedząc, czy to żart, Michael roześmiał się układnie.

Przesłuchiwałgo dwuosobowy zespół wspólników: Peter Hislop i Wendy Scott, oboje poczerdziestce.

Peter - starannie ufarbowane włosy i aparycja prymusa elitarniej szkoły - był serdeczny i jowialny.

Wendy była pulchna i skromna.

Łatwo się uśmiechała i mówiła z akcentem typowym dla mieszkańców środkowej Anglii.

Próbował odgadnąć, które z nich będzie tym złym agresywnym, lecz nie potrafił, gdyż oboje zachowywali się bardzo miło i przyjaźnie.

On popijał wodę, a Peter opowiadał mu o firmie: o jej historii, obecnej pozycji na rynku, o pracownikach, o perspektywach, jakie się przed nimi roztaczają, i o korzyściach, na jakie mogą liczyć.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat podwoiliśmy zakres działalności i jeśli utrzymamy bieżące tempo przyrostu liczby klientów, za trzy lata będziemy najbardziej dochodową firmą w mieście.

To, co mówił, było niezmiernie interesujące, lecz nie przyszedł tu, żeby wysłuchiwać autoreklamy.

Wolałby, żeby skupili się na jego CV.

I w końcu się skupili.

Wendy zapaliła papierosa.

Zły znak, który natychmiast zneutralizowała, mówiąc:

- Powinien pan być z tego dumny.

- I to bardzo - dodał Peter.

Wprawili go w zakłopotanie.

- Miłośzczęście - odparł.

- Jestem przekonana, że szczęście nie ma z tym nic wspólnego.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, po prostu milczał.

Wendy wczytała się w listę kontraktów, które przeprowadził.

Nad jej głową wisiał abstrakcyjny obraz przedstawiający londyńską Tower i Michael zastanawiał się przez chwilę, dlaczego niemal we wszystkich kancelariach wiszą tak koszmarnie kicze.

Wendy skończyła czytać i zerknęła na Petera.

- Jeśli można, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań - powiedziała.

Pora na egzamin.

- Oczywiście - odrzekł, modląc się w duchu, żeby odpuścili sobie umowy zakonariuszami i kontrakty zwrotne.

- Jakim klientem jest Max Somerton?

Michael przeszył ją wzrokiem.

Zrobił niewyraźną minę.

- Przepraszam, źle to zabrzmiało.

Po prostu chcielibyśmy wiedzieć, czy

ma jakieś specjalne wymagania.

- Choć napewno im sprostamy - wtrącił szybko Peter.

- Nasz klient, nasz pan, pod warunkiem, że regularnie płaci rachunki.

- Roześmiał się nerwowo.

- Nie, nie, jesteśmy przekonani, że pan Somerton nas nie zawiedzie.

Michael poczuł się tak, jakby ktoś dzielił go młotem w głowę.

Zamrugał, żeby otrzeźwieć.

- Czy wymaga jakiejś konkretnej formy prowadzenia rachunków?

Michael z trudem odzyskał głos.

- Przenosi się do was?

- Tak - odrzekła Wendy.

- Aprzynajmniej dał nam do zrozumienia, że zamierza.

W zaufaniu, rzecz jasna.

Wspomniał również, że w jego ślady mogą pójść inni klienci Coksa Stephensa.

- Uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Ale na

pewno pan o tym wie.

- Szczęściar z pana - dodał Peter.

- Z takim przyjacielem daleko pan
zajdzie.

Wendy wypła łyk kawy.

- Wyraźnie zazaczył, że to pan powinien zajmować się jego sprawami, a ponieważ będzie ich coraz więcej, na inne zapewne nie starczy panu czasu.

Miał wrażenie, że wali się na niego sufit i ściany.

Brakowało mu tchu.

Zaniepokojony Peter przekrzywił głowę.

- Coś się stało?

Źle się pan czuje?

- Jeśli Max Somerton zostanie waszym klientem, nie będę tu pracował.

Wendy zmarszczyła czoło.

- O czym pan mówi?

- O Somertonie.

Nie zamierzam dla niego pracować.

- Ale dlaczego?

- spytał Peter.

- A co to was, do diabła, obchodzi?

Nie będę, i już!

Peter drgnął.

Wendy też.

Michael przecesał ręką włosy, na próżno próbując się opanować.

Zapadła cisza.

Przerwał ją Peter.

- Cóż, dziękujemy, że zechciał pan nam wyjaśnić.

Michaelowi zaschłów gardle.

Szybko wypił resztkę wody.

Wendy ponownie sięgnęła po jego CV.

- Bardzo imponujące - powiedziała.

Fakt.

Dobrze o tym wiedział,

Tylko, że teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Ci ludzie chcieli sięgnąć do siebie Maksa, nie jego.

Wendy spytała go o jakiś kontrakt.

Peter zainteresował się innym, a potem najmił, że chętnie odpowiedzą na jego pytania, jeśli takowe ma.

Michael odparł, że wszystko już chyba omówili.

Czekał, aż odprowadzą go do drzwi.

Podczas gdy on rozmawiał z Wendy i Peterem, Emilia kupowała spinki w sklepie przy Jermyn Street.

W wyborze pomagał jej usłużny sprzedawca.

- Czy któreś z tych przypadły pani do gustu?

Wskazała dwa granatowe owale w srebrnej obwódce.

- Poproszę te.

On pakował spinki, ona patrzyła na półki i gabloty.

Staromodny sklep dla mężczyzn - nie było tam nic, co mogłoby przykuć uwagę kobiety.

Ilekcio wychodzili razem do miasta, Max zawsze próbował jej coś kupić.

Nauczyła się już nie patrzeć na witryny sklepowe, bo gdy tylko naktóráś spojrzęła, natychmiast pytał, co ją zainteresowało.

Ale w tym sklepie nie kusiloją absolutnie nic.

Co zaironia.

Sprzedawca zwrócił jej kartę kredytową i podał rachunek.

- Jestem pewien, że się spodobają - powiedział.

Miała taką nadzieję.

296

Podpisała się piórem marki Mont Blanc z wygrawerowanym napisem:

"Mojej kochanej Emci".

Prezent od Maksa.

Dopóki niewkroczył w jej życie, nazywał ją tak tytkoojciec.

Ojciec.

Jeszcze niedawno myślała o nim nieustannie, a teraz prawie nigdy.

Od czasu do czasu próbowała, lecz mózg niesłuchał jej poleceń, jakbybał się sprawić przykrość Maksowi.

Sprzedawca podał jej płaszcz.

Leciutko zabolaly ją posiniaczoneramiona.

Miała bardzo wrażliwą skórę i wiedziała, że upłynie co najmniej tydzień, nimsińce znikną.

Nic to.

Nosiła je z dumą.

Sprzedawca stał przed nią z poważną, pełnązacunku miną.

Miała ochotę mu je pokazać.

Otak, żebyzobaczył.

Ale nie.

Na pewno byłby zaszokowany, a nie o to jej chodziło.

Podziękowała mu i ruszyła do drzwi.

Szła Piccadilly w kierunku Leicester Square, leniwie torując sobiedrogęw tłumie spieszących na lunch ludzi.

Powiał wiatr, więc objęła się wpółi szczelniej otuliła płaszczem.

Sklep HMV.

Przed witrynąon i ona.

Trzymali się zaręce.

Kobieta, młoda, drobna blondynka, miała chciwe oczy.

Mężczyzna, ciemnowłosy i potężnie zbudowany, miał nalaną twarz i drapieżne usta.

David.

Ten sam David, który próbował ją zgwałcić, iktóryszydziłz niejnaprzyjęciu u Roberta.

Kiedys by się go przestraszyła.

Terazbyłdla niej tylko prymitywnymchamem.

Jednym z tych, którychMax jadał tuzinami na śniadanie, nie tracąc przy tym apetytu.

- Hej!

Twardzielu!

Pamiętasz mnie?

Odwrócili się.

David wybałuszył oczy.

- Oczywiście, że pamiętasz.

To ja.

Ta, która dała ci kosza.

A ty, jaknadżentelmena przystało, odpowiedziałeś wszystkim, że jestemoziębła.

Przechodnie zwalniali kroku, żeby na nich zerknąć.

Emilia poczuła, żejest silna, potężna, że ma nad nimi władzę.

- O co ci chodzi?

- spytała blondynka.

- O niego.

O twego zafajdanego chłopaka.

Czy już próbował ciężgwałcić?

Jeszcze nie?

Niedługo spróbuje.

Tylko wtedy czuje się mężczyzną.

- Przestań -warknął David.

Miał zaczerwienioną twarz.

- Nie bij mnie, kochanie.

Twój penis przez to nie urośnie.

- Spojrzała objuczona torbami kobietę, która aż przystanęła z wrażenia.

-Może go znaleźć tylko przy pomocy mikroskopu i pęsety.

Turkuć podjadę kto przynim dobrze obdarzony buhaj.

Kobietą zrobiła krok do tyłu, lecz na jej ustach wykwitł

lekki uśmiech.

Pozostali gapie też się uśmiechali.

David był czerwony jak burak.

Blondynką chwyciła go za rękę.

- Nie zwracaj na nią uwagi.

To wariatka.

Chodźmy.

297.

- Pa, rozwielitko.

Pa, pa, podjadku.

Uśmiechając się, poszła w kierunku Leicester Square.

Podczas gdy Emilia pozbawiała Davida męskości, pan Laszłó wprowadzał Michaela do salonu.

Max siedział na sofie, czytając "Financial Times" i słuchając Prokofiewa.

Lekko skinął głową i Laszłó zostawił ich samych.

- Usiądziesz?

-Nie.

- Nalać ci czegoś?

- Max wstał i podszedł do barku.

-Czego?

Szkockiej?

Brandy?

- Przestań!

- Michael drżał z gniewu.

Oddychał głośno i chrapliwie.

-Dlaczego mi to robisz?

Max nalał sobie whisky.

- Co ci robię?

-Wracamz rozmowy u Saundersa Bishopa.

Są przekonani, że się donich przenosisz.

Max zrobił zdziwioną minę.

- Przesadny optymizm.

-Doprawdy?

- Owszem, są na mojej liście, ale są tam również Randall, Watts i Hooper, a także amerykańska firma, której nazwy nigdy nie mogę zapamiętać.

-Zmarszczyłczoło.

- Steinman Barth i.

ktoś tam.

Znasz ich?

Znał.

Kancelaria SteinmanaBartha McAllistera.

Miał się z nimi spotkaćw przyszły poniedziałek, tuż przed rozmową u Randalla, Watta i Hoopera.

Miał wrażenie, że z pokoju uszło powietrze.

Znowu nie mógł oddychać.

- Dlaczego?

- spytał.

- Dlaczego co?

-Rebeka jest w ciąży.

Szukam pracy, a ty mi to uniemożliwiasz.

- Raczej ci pomagam.

- Max wypił whisky i ponownie napełnił szklaneczkę.

-Dobra.

Na pewno nie dasz się skusić?

- Nie chcę nic pić!

Zdziwiony Max uniósł brew.

- Dlaczego jesteś taki agresywny?

Czyżbyśmybyli wrogami?

- Ty mi to powiedz.

- Mam nadzieję, że na rozmowie u Saundersa Bishopa byłeś spokojniejszy.

Michael milczał.

- Zrobiłeś im scenę?

- spytał rozbawiony Max.

- A co?

Miałem ich wycalować?

298

Max wybuchnął śmiechem.

Oparł się o barek, pochylił głowę i dosłownie trząsł się ze śmiechu.

Michael obserwował go bez słowa.

Myślał tylko o jednym.

Czyżby aż tak mnie nienawidził?

- Wyobrażam sobie tę tyradę.

Biedactwa.

Pewnie nie mielipojęcia, za coich to spotyka.

Chyba cię jednak nie zatrudnią, wkażdym razie bardzo w towąpię.

Oto kolejna ofiara twojej impulsywności.

To jest jaknie kończąca sięsaga.

- Westchnął.

-Michael, Michael.

I co ja mam z tobą zrobić?

- Zrobić?

Ze mną?

Maxpodniósł głowę.

Uśmiechał się, a zjego oczu biła pobłażliwości czułość.

Przerażało go tobardziej niż największa furia.

Miał ochotę wyjść, leczy siępowstrzymał.

- Posłuchaj.

Nie chcę, żebyś się wściekał.

Chcę tylko zapewnić przyszłość Rebecy i naszemu dziecku.

Max nie zareagował.

Nawet nie mrugnął.

- Zostawiłem cię i rozumiem, że możesz mnie nienawidzić.

Ale masz teraz Emilię.

Czy to się nie liczy?

Uśmiech zgasł.

Czoło pokryło się zmarszczkami.

- Mówiłeś, że jesteś z nią szczęśliwy.

Cisza.

- Kłamałeś?

-Nie.

Nie wyobrażałem sobie, że można być tak szczęśliwym.

- Właśnie tego pragnę.

Dla niej i dla ciebie.

Dla was obojga.

Macie przed sobą dobrą przyszłość, dlatego błagam cię, nie niszczonej.

Max dopił whisky.

- Nie powinieneś być tu przychodzić.

Wyjdź.

- Proszę cię.

- Jeśli nie chcesz mojej pomocy, nie zamierzam ci się narzucać.

Od tej pory jesteś zdany na własne siły.

Michael przełknął ślinę.

- Szkoda, że tak to się ułożyło.

- Odejdź.

Po prostu wyjdź.

Dziewiąta wieczorem.

Siedziała z Maksymem w salonie.

Byli już przy kolacji.

Pilikawę oglądali dziennik.

Ona opierała się o jego ciepłą pierś, on ją obejmował.

W mankietach koszuli miał nowe spinki.

Powiodła palcem po srebrnej obwódce.

- Naprawdę ci się podobają?

Kiwnął głową, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora.

Komentator mawiał ostatnie zmiany w polityce rządu.

299.

Wypiła łyk mokki.

Wciążbyła dla niej za mocna, lecz powoli przywykała do nowego smaku.

Starła kroplę kawy z jego ust.

Zwykle chwycił ją wtedy zębami za palce, lecz tym razem tylko poklepał ją czule po dłoni.

- Gniewasz się na mnie?

- szepnęła.

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Objął ją jeszcze mocniej.

- Nie mógłbym się na ciebie gniewać.

Nigdy.

- W takim razie co się stało?

- Chcę cię coś spytać.

Niecierpliwie czekała.

- Dobrze się bawiłaś w ostatni weekend?

- Tak.

- Podobaci się Suffolk?

I mój dom?

- Bardzo.

Spojrzał na nią.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy przeprowadzili się tam na stałe?

Próbowała sobie uzmysławić, czym by się to wiązało.

- Chciałbyś?

- Tak.

- Dlaczego?

- Ponieważ jestem z tobą szczęśliwy.

Skonsternowana nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Tu, w Londynie, robiłem tylko jedno: goniłem za pieniędzmi i władzą.

Zawsze wierzyłem, że liczy się jedynie bogactwo, że cel uświęca środki.

Tymnie odmieniłaś.

Dotąd nie wiedziałem, co znaczy prawdziwe szczęście, dlatego chciałbym zamieszkać gdzieś, gdzie nie czułbym się zbrukany przeszłością.

Zalał ją fala błogiego ciepła.

- W takim razie.

dobrze.

- Nie chcesz sobie tego przemyśleć?

- O czym tu myśleć?

Pragnętego samego co ty.

W jego oczach zagościł dziwny żal.

- Emilko, Emilko.

- wyszeptał.

- Robi mi się smutno, kiedy tak mówisz.

Jesteś jak małe dziecko.

Nie znasz życia.

Niewiesz, czego od życia oczekiwać.

- Nie?

Dotknął jej twarzy.

- Myślisz, że jestem silny, prawda?

Zdecydowany i pewny siebie.

Mylisz się.

Jestem tylko mężczyzną w średnim wieku.

Mężczyzną o brudnej przeszłości, który próbuje ukraść ci młodość, żeby zapewnić sobie lepszą przyszłość.

- Myślisz, że ja mam czystą przeszłość?

300

- Nie da się porównać jejz moją.

Pomyślała o znikaniu, o stężelej ciszy.

Przez chwilę niemal ją słyszała.

Ale nie, znikanie i cisza należały do przeszłości.

I w przeszłości pozostaną.

Na zawsze.

- Mówisz, że nieznam życia.

Być może.

Ale jedno wiem na pewno:

nigdy dotąd nie pragnęłam niczego bardziej jak tego, żeby być z tobą.

Przytknął jej rękę do swego policzka.

Napięcie byłotak silne, że głos telewizyjnego komentatora rozmyślię w oddali.

- Czekaloby nas zupełnie inne życie.

Bardzo samotne.

- Teraz też żyjemy samotnie.

Rzadko wychodzimy.

Nikogonie widzujemy.

- Uśmiechnęła się.

- I chcę, żebytak pozostało.

- Ja też.

Wyłączył telewizor i posadziłją sobie na kolanach.

Zaczęlisnuć plany.

Środa rano.

Rebeka stała z Klarą za ladą.

Myślałao Michaelu.

Był ostatnio dziwniemarkotny, ale ilekroć pytała, czy coś się stało, odpowiadał, że nic.

Podejrzewała, że ma kłopoty ze znalezieniempracy i że ze względu naciążę nie chce obarczać jej dodatkowymi problemami.

Była wzruszonajegotroską, alewolałaby, żeby powiedział jej prawdę.

Klaratrąciła ją w ramię i wskazała półki z książkami historycznymi.

- Czy to niedziewczynaMaksa?

Rebeka spojrzała w tamtą stronę, spodziewając się ujrzeć Emilię.

Alenie: to byłaKarolina.

Jak zawszeelegancka - miała na sobie żakiet od Armaniego - przeglądałaich nowe nabytki.

- Była dziewczyna.

Już się rozstali.

Karolinaszła niespiesznie między półkami.

W księgarni panował mały ruch, jak to rankiem.

Rebeka niezamierzała początkowo do niej podchodzić, leczpochwili zmieniłazdanie.

Przeprosiła Klarę i wyszła zza lady.

- Dzień dobry.

Karolina poznała ją i powitała ciepłym uśmiechem.

- Tak, pamiętam: mówiłaś, że tu pracujesz.

Co słycać?

- Głos miała takisam jak wtedy, niski i gardłowy.

Zdażyła już coś wybrać.

Biografię Nelsona.

- Wszystkodobrze.

A u ciebie?

- Nieźle.

- Zawahała się.

-Jak tam zMichaellem?

- Znowu jesteśmy razem.

-Tak się cieszę.

Zawsze uważałam, że do siebie pasujecie.

- Weszłodwoje klientów.

Ruszyli do działu z książkamikucharskimi.

- Dzięki.

Przykro mi, że.

żeście się rozstali.

Karolina obróciła książkę w rękach.

301.

- Bywa - odrzekła beznamiętnie.
- Widuję się teraz z kimś innym.

Todła niego.

- Uśmiechnęła się, dając jej do zrozumienia, że swoją poprzedniową nie chciała wprowadzić jej w zażenowanie ani tym bardziej urazić.

Był to gest kobiety wyrafinowanej i światowej.

Kobiety jakże niepodobnej do Emilii.

- Max spotykasz z moją przyjaciółką.

Miała nadzieję, że Karolina zareaguje, lecz ta milczała.

- Ona jest w moim wieku.

Karolina lekko skinęła głową.

- Nie ma doświadczenia z mężczyznami.

Obojętna mina, obojętne oczy.

- Ale chyba muna nie zależy.

Karolina roześmiała się.

Krótko i z goryczą.

- Myślisz, że nie?

Wzruszeniem ramionami.

- To nie moja sprawa.

- Tak, ale chciałabym wiedzieć, co o tym sądzisz.

- Hmm.

No, dobrze.

Myślę, że Max rozbudował w sobie niezwykle skuteczny mechanizm obrony emocjonalnej. Skuteczniejszego nigdy dotąd nie widziałam.

Nikom nie pozwala się do siebie zbliżyć.

Jedyną osobą, którą naprawdę kocha, jest on sam.

- Nieprawda.

Kochał Michaela.

- Oczywiście, w tym rzecz.

Kiedy na niego patrzył, widział siebie samego.

- Podał jej książkę.

- Chyba jednak tego niewzięła.

- Odwróciła się poszła w stronę schodów.

W głowie Rebeki - niczym osa w zamkniętym pokoju - krążyła tylko jedna, jedyna myśl.

W takim razie co widzi, kiedy patrzy na Emilię?

Godzinę później siedziała na zapleczu, patrząc na telefon.

Wiedziała, że nie powinna do niej dzwonić.

Podczas ostatniego spotkania Emilia wyraźnie dała jej do zrozumienia, co i jak.

Ich wieloletnią przyjaźń szlag trafił.

Rozpadła się nakawalki, jak ten przycisk do papieru.

Najrozsądniej by było dać temu święty spokój.

Próbowała, lecz nie mogła.

Musiała coś zrobić.

Zbierając siły, powiodła palcem do słuchawki.

I nagle telefon zadzwonił.

Sfrustrowana odebrała.

- Halo?

- Rebeka?

302

- Emilia?

To ty?

- Nie mogłam to uwierzyć.

- Zaskoczona?

-Tak.

- Nie dziwię się.

Ostatnim razem zgotowałam ci bardzo miłe powitani-- Mówiła głosem dziwnie cichym i apatycznym.

- Nieważne.

- Miała nadzieję, że zabrzmiało to w miarę obojętnie.

Nie chciała, żeby Emilia odłożyła słuchawkę.

- Dużo się od tamtego czasu zmieniło.

Wyprowadzam się z Maksem z Londynu.

Do Suffolk.

- Do Suffolk?

A twoja praca?

- Max będzie mnie utrzymywał.

-A przyjaciele?

Cichy śmiech.

- Jacy przyjaciele?

Nikt za mną nawet nie zatęskni.

- Zapomniałaś o mnie.

Cisza.

- Będzie mi ciębrakowało.

Bardzo.

- Tak, możliwe.

Ostatecznie znamy się od dzieciństwa.

Nawet z ojcemnie byłam tak blisko jak z tobą.

Ale teraz zaczynam nowe życie i myślę, że zanim pójdziemy swoją drogą, powinniśmy się spotkać.

Raz.

Tylko raz.

Pogodzimy się i rozstaniemy.

Rebeka z trudemopanowała podniecenie.

Spotkanie.

To lepsze niż rozmowa przez telefon.

Emilia będziemy ją jej wysłuchać.

- Spotkam się z tobą, kiedy tylko zechcesz - odrzekła.

-W sobotęwieczorem.

Ummie.

Muszę się spakować, pomożesz miwybrać rzeczy.

- Dobrze.

- W piątek Michael wyjeżdża ze Stuartem na kawalerski weekend do Cardiff i będzie mogła skupić się tylko naniej.

-O której?

- O ósmej.

-Doskonale.

- Do zobaczenia.

-Emilko.

- Tak?

-Cieszę się, że zadzwoniłaś.

W głosie Emiliizabrzmiała znajoma ciepłanotka.

-Ja też.

Odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę była bardzo, bardzoszczęśliwa.

Nagle przypomniałsobie, po co się spotykają i ponownie ogarnął jąniepokój.

303.

Piątek wieczorem.

Michael i Stuart szli Fleet Street, torując sobie drogę wśród setek szczęśliwych, podekscytowanych weekendem przechodniów.

Nawet powietrze było przesycone poczuciem niecierpliwego wyczekiwania.

Szli na spotkanie z Richardem, kumplem Stuarta, który miał ich zawieźć do Cardiff.

Podniecony Stuart cały czas gadał, snuł plany.

Michael próbował wyrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu, lecz myślał zupełnie o czymś innym.

Max. Kroczył za nim niczym gigantyczny cień, od którego nie było ucieczki.

Brian Price, konsultant z biura pośrednictwa pracy Cartera Clarka, był bardzo urażony rozsierzdzoną sugestią, że ci z kancelarii Saundersa Bishopa mogli dowiedzieć się od nich o jego związkach z Maksem.

"Całkowita poufność - powiedział - jest dla nas najważniejsza.

Nigdy naszych klientów nie zawiedliśmy i nie zawiedzimy".

Mimo to Max znał jego plany.

Skąd?

Nie wiadomo.

Obiecał, że przestanie się wtrącać.

"Od tej pory jesteś zdany na własne siły".

Jego słowa.

I cóż były warte?

Zmienić pracę?

Przejsć do innej firmy?

Bzdura.

Max mógłby się tam w każdej chwili przenieść, nic by go nie powstrzymało.

Otworzyć prywatną praktykę?

Prywatna praktyka też była niebezpieczna.

"Nic na to nie poradzisz - powiedział mu kiedyś John Upham.

- Max wszystkich zna.

Ci, którzy mają duże pieniądze, muszą wszystkich znać".

Znał prezesów spółek.

Dyrektorów naczelných.

Dyrektorów administracyjnych.

Każdy z nich chętnie poszedłby na rękę bogatemu klientowi, który zapokażny wkład finansowy żąda tylko drobnej przysługi.

Nie. Czuję, że mu nie ucieknie.

Nigdy.

Bez względu na to, gdzie będzie pracował.

Chancery Lane.

Na roguczekąła Rebeka z jego portfelem w rękę; ranotak bardzo się spieszył, że na śmierć onim zapomniał.

Naszcześnie, ona pamiętała za niego.

Pocałował ją w policzek.

Przy krawężniku stała taksówka, którą zablokował wóz kempingowy.

Taksjarsz wystawił głowę przez okno i głośno zaklął.

- Jakież nowiny?

- spytała.

- Nie - skłamał, nie chcąc psuć jej weekendu wiadomością, że ci od Saundersa Bishopa już go niechcieli.

-Nie szkodzi.

Na pewno coś znajdziesz.

Niepodzielał jej optymizmu, mimo to kiwnął głową.

Stuart klepnął go w ramię.

- Chodźmy, stary, chodźmy.

Taksjarsz kłął jak szewc.

- Dobrze się bawcie - rzuciła Rebeka.

- Tylko nie upijcie się za bardzo.

Pisk hamulców, przeraźliwy krzyk i głuchy odgłos uderzenia.

Taksówkarz nie wytrzymał: nie zachowując ostrożności, wyjechał z za wozu kempingowego i potracił młodziutkiego rowerzystę, nastolatka, który leżał teraz bez ruchu na jezdni.

304

Rebeka głośno sapnęła.

Stuart zagwizdał przez zęby.

Samochody stanęły.

Przechodnie zamarli.

Wszyscy patrzyli na rowerzystę.

Nadjechał radiowóz z dwoma policjantami.

Starszy z nich przykucnął przynieszczymskim nastolatku, młodszyczął przesłuchiwać taksówkarza, który twarzą miał białą kredą.

W oddali zawodziła syrena karetki pogotowia.

Samochody rozstępowały się przed nią niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

- Jest młodszy od nas - wyszeptła Rebeka ze łzami w oczach.

- Pomyślcie o jego rodzicach.

Boże, oby tylko przeżył.

- Wiedząc, o czym myśli, Michael objął ją i przytulił.

Z karetki wysiadł dwóch sanitariuszy.

Policjant zagadnął jednego z gapiów.

Stojący obok niej mężczyzna palił papierosa.

Był w okularach a la John Lennon i Michael nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie jego uderzające podobieństwo do pracownika opieki społecznej, który powiadomił go o śmierci matki.

Stuart westchnął.

- Mike, musimy iść.

To ten sam mężczyzna.

Ten, który kupował "Evening Standard" na ulicy przed barem zaraz po tym, kiedy Rebeka powiedziała mu, że Emilia i Max.

,Czyżby Max kazał go śledzić?

- Mike?

Absurd.

Czysty absurd.

Przecież ten bar jest niedaleko, to tylko zwykły zbieg okoliczności.

Mimo to lęk pozostał.

- Richard czeka.

Michael pokręcił głową.

- Nie mogę jej tak zostawić.

- Możesz, możesz.

- Rebeka pchnęła go delikatnie w stronę Stuarta.

- Dam sobie radę.

Ja też już idę.

Nie mogę na to patrzeć.
Miałochotę ponownie ją przytulić, ale nie było czasu.
Idąc, spojrział przez ramię.
Zniknęła w tłumie.
Piękna, szczupła dziewczyna o krótkich blond włosach.
Potrącony rowerzysta wciąż leżał na jezdni.
Zajmował się nim sanitariusze.
Mężczyzna w okularach a la John Lennon dopalił papierosa, rzucił go na ziemię i rozgniół obcasem.

6

obota.
Tuż przedświtem.
Emilia obudziła się, bystwierdzić, że jest sama.
Wyciągnęła rękę.
W pościeli wyczuła tylko ciepłe wgłębienie.
- Tu jestem.

20 -Marionetka

305.

Jego głos zburzył stężoną ciszę panującą w sypialni.

Max stał w szlafroku przy oknie i patrzył na uśpione miasto.

- Co ty tam robisz?

- Czekam na świt.

Usiadła i przetarła oczy.

- Śniłoci się coś?

Dlaczego mnie zbudziłeś?

- Spałaś tak spokojnie.

Nie chciałem ci przeszkadzać.

- Nic by się nie stało.

Ulicą przejechał samochód i światło reflektorów wyłowiło z mroku jego twarz.

Tylko na chwilę, mimo to zdążyła dostrzec, że ma zatroskane oczy.

- Biedactwo - szepnął.

- Jesteś najczulszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem.

Życie powinno obejść się z tobą łagodnie.

- Nieprawda.

Dało mi ciębie.

- Zaslugujesz na kogoś lepszego.

- Taki ktoś nie istnieje.

Nie chciałabym go, nawet gdyby istniał.

- Nałożyła szlafrok i podeszła do okna, a on owinał ją ramionami niczym ciepłym pledem.

Niebo pojaśniało.

- Świta.

Kiwnął głową.

- Tak, już świta.

- Powiedział to z dziwnym lękiem.

Stali i patrzyli na wstający dzień.

Za kwadrans dziewiąta.

Rebeka jechała metrem na West End.

Za piętnaście minut miałybyć w pracy.

Nie znośiła pracować w sobotę i tracić dnia z Michaeliem, lecz Michael wyjechał do Cardiffi było jej wszystko jedno.

"Naliczyła tylko kilkunastu pasażerów.

Miała odmianę po codziennym tłoku.

Na kolanach miała otwartą książkę, lecz nie czytała.

Wciąż myślała o tym młodziutkim rowerzyście z nadzieją, że przeżył i że odniósł tylko powierzchowne rany.

Jakże kruchą istotą jest człowiek.

Wystarczy jedna chwila i.

Zawsze ją toprzeżało.

Pomodliła się do Boga, żeby miał w opiece tych, których kochała.

Jedną rękę trzymała na brzuchu.

Było to wcześniej, żeby dziecko się poruszyło, ale kto wie.

Poprzedniego wieczoru zagryzłazęby, wzięła się w garść i zadzwoniła do rodziców, żeby przekazać im nowinę.

Myślała, że popadną w złość albo w przerażenie, ale nie: ochłonawszy z szoku, byli zachwyceni.

Matka się popłakała, a ojciec prosił ją, żeby jak najszybciej przyjechała do domu na wielkie obłowanie.

"I zabierz Michaela - dodał.

- Nie pasujemy do siebie, to fakt, ale ze względu na wnuka jestem gotów spróbować ponownie".

Rebekamiła lzy w oczach.

Wiedziała, że Mikę też chętnie spróbuje i tliła się niejnieśmiała nadzieja, że będzie to nowy początek dla nich wszystkich.

Tak samo jak Suffolk był nowym początkiem dla Emilii.

306

Znowu pomyślała o czekającym ją wieczorze, poraz setny zastanawiając się, czy przyjaciółka dokonała dobrego wyboru.

Ostatecznie była dorosła i odpowiadała za to, co robi.

Nikt nie miał prawa wtrącać się w jej sprawy.

Pociąg wjechał na stację.

Rebeka ruszyła do drzwi.

Wpół dodwunastej.

Michael i Stuart, wraz z resztą towarzystwa, jedli późne śniadanie w małej knajpce naprzeciwko zamku.

W powietrzu unosił się intensywny zapach smażeniny.

Chociaż było ich aż ośmiu, rozmawiali mało i niechętnie.

Większość z nich leczyła rany po poprzednim wieczorze i wołała tkwić w kokonie Czarnej niedoli i poczucia ludzkiej marności.

Ktoś poprosił o więcej kawy.

Michael rozkroił grzanekę z serem.

- Obrzydliwe - rzekł Stuart.

- Ale smaczne.

- Skoro tak mówisz.

- Stuart, jak zawsze odporny na kaca, przełknął ostatni kawałek bekonu i splótł dłonie.

- Szybciej, panowie, szybciej.

Za kwadrans idziemy zwiedzać zamek.

Odpowiedział mu zbiorowy jęk.

- Jesteście odrażający.

Olewacie naszą spuściznę narodową?

- Spadaj, faszysto - mruknął błady, sponiewierany Richard, przed którym stało nietknięte śniadanie.

Stuart nabrał na widelec trochę jajecznicę z fasolą.

- Otwórz usta.

Jedzie pociąg ze specjalną przesyłką.

Richard bładł jeszcze bardziej, szybko wstał i wybiegł do toalety.

Koledzy wybuchnęli śmiechem.

Michael pił kawę, patrząc na ludzi spieszących na sobotnie zakupy.

Cardiff było miastem ładnymi przyjaznym.

Tak, mógłby tu zamieszkać.

Poza

tym leżało daleko od Londynu.

Tylko czy odległość, nawet największa, powstrzymałaby Maksa?

Wśród tłumy przechodniów dostrzegł nierzucającego się w oczy inężczyznę, który stał po drugiej stronie ulicy z cygarem w ustach.

Czyżby

Przeszedł go zimny dreszcz.

Nagle do mężczyzny podeszła kobieta i dwie obciążone torbami nastolatki.

Śmiejąc się i rozmawiając jak zgodna rodzina, weszli do ich knajpki i usiedli przy sąsiednim stoliku.

Mężczyzna zamówił grzanki z serem, tak samo jak on.

- Mike?

- Stuart zmarszczył czoło.

- Odplynąłeś.

- Nie, po prostu myśle.

Wrócił do nich Richard, wciąż blady i przezroczysty jak pergamin.

- O tym, gdzie wolałbyś teraz być?

Zaskoczony Michael uniósł brew.

307.

- Hm?

-Odkąd tu przyjechaliśmy, jesteś dziwnie nieswój.

Pewnie masz nas dość.

- Coś ty - odparł zawstydzony Mike.

- Ależ skąd.

Brian, kolega Stuarta z Liverpoolu, zabawiał pozostałych opowieścią o swoim kacu. Większego ponoć nigdy dotąd nie miał.

- Na pewno?

Wiem: Rebeka.

Niedawno do siebie wróciliście i wolałbyś spędzić weekend z nią, tak?

Powiedz.

Zrozumiem.

Michael pokręcił głową.

- Miałbym teraz wyjechać?

Za nic.

Nie, ciągle myślę o tym wypadku.

Koszmar.

Jeszcze teraz ciarki mnie przechodzą.

Stuart uśmiechnął się ze współczuciem.

- Mniesz.

-No więc?

Idziemy na zamek?

- Tylko dopiję kawę.

Mike próbował skupić uwagę na opowieści Briana, lecz nie potrafił.

Cały czas patrzył nakłębiony się za oknem tłum.

Pierwsza.

Emilia jadła lunch, stek z ziemniakami.

Była sama.

Max wyszedł, ale miał niebawem wrócić.

Powiedziała pani Laszłó, że nie jest głodna, lecz zapewnienia na nic się nie zdały.

Odsunęła na wpół pełny talerz.

Choć nie prosiła o jedzenie, miała wyrzuty sumienia.

Kac z dzieciństwa, kiedy to zpieniędzmi było krucho i nawszelkie marnotrawstwo patrzono krzywym okiem.

Z kuchni dochodziły odgłosy żywej krzątania.

Pudding?

Boże, oby tylko nie pudding.

Gdyby jadła w kuchni, może zdołałaby się wykręcić, lecz kuchnia wciąż budziła wspomnienia, o których wolałaby zapomnieć.

Dlatego kazała podać w jadalni.

Pani Laszłó chyba się trochę zirytowała, choć nie dała tego posobnie poznać.

Nic to.

Max by ją zrozumiał.

Rozejrzała się.

Piękny pokój.

Puszysty, czerwony dywan, obrazy na białych ścianach, mahoniowy stół.

Rozczarował ją tylko widok z okna, który wychodził na ogrodzony murem ogród.

W Suffolk jadła, patrząc na morze.

Niebawem znowu będzie.

I to codziennie.

Niebawem rozpocznie nowe życie.

Max miał wyrzuty sumienia, że zmusza ją do wyjazdu.

Chciałaby go uspokoić, ale przecieźniemogła mu powiedzieć, że chce wyjechać z Londynu, żeby zapomnieć o przeszłości.

Żeby zatrzeć z sobą ślady i zacząć wszystko od nowa.

W drzwiach stała pani Laszłó.

-Już?

- Tak.

Było pyszne, ale naprawdę nie jestem głodna.

- Myślała, że kucharka zmarszczy brwi czy nachmurzy czoło, a lenie.

-Zaraz będzie pudding.

- Zebrała talerze.

-Za dziesięć minut.

308

- Dziękuję.

Jest pani bardzo miła.

Pani Laszłó uśmiechnęła się i wyszła.

Drobniutka, zasuszona kobiecina o mocno pomarszczonej twarzy.

Miała pięćdziesiąt sześć lat.

Jej matka byłaby tylko cztery lata młodsza od niej.

Podniosła kieliszek i przyjrzała się swoim dłoniom.

Miała długie, eleganckie palce.

Palce pianistki jak jej mama.

Wciąż pamiętała, jak bełnił ryzem w klawiaturę zdezelowanego pianina, wygrywając melodie Beethovena.

"Muszę posłać cię na lekcje" - powiedziała mama, a ona ochoczo kiwnęła głową, zastanawiając się, czy Rebeka, której muzyka zupełnie nie interesowała, też będzie uczyła się grać.

Już wtedy żyły jednym życiem.

Ich matki, przyjaciółki z piaskownicy, chciały stworzyć między nimi więź podobną do tej, jaka istniała między nimi, nie zważając na to, że żywa, energiczna i otwarta dziewczynka, do której ludzie lgną niczym pszczoły do miodu, nie ma nic wspólnego z cichą, zamkniętą w sobie introvertką, najlepiej czującą się sama.

Od najmłodszych dzieciństwo chodziły razem na wycieczki i zabawy, tolerując się wzajemnie i niecierpliwie wypatrując dnia, kiedy nareszcie będą mogły zacząć żyć własnym życiem.

Tendźień na pewno by nadszedł, gdyby los nie zrzucił inaczej.

Miała wtedy siedem lat.

Był wietrzny czwartek.

Tego dnia szły na lekcję tańca do centrum rozrywki w Winchesterze.

Rebeka uwielbiała tańczyć i chociaż Emilia za tym nie przepadała, ich matki uparły się, żeby i ona tańczyła z ryzem.

Odprowadzić ich miała pani Blake, lecz Rebeka, której po lekcji obiecano czekoladowe ciastko, urządziła ziką scenę, dowiedziawszy się, że nie starczy na to czasu.

Matce Emilii zmiało serce i zgodziła się zastąpić przyjaciółkę.

Odprowadziła ich do centrum i poszła coś załatwić.

Po lekcji dziewczynki czekały na nią na schodach budynku wraz z innymi początkującymi primabalerinami.

Czekały i czekały, a Rebeka narzekała, że spóźnią się na jej ulubiony program telewizyjny.

W końcu ku swemu zaskoczeniu ujrzały panią Blake.

Podbiegł do nich zaczerwienionymi od płaczu oczami i powiedziała, że kiedy mama Emili przechodziła przez ulicę, potrafił ją samochód.

Przyjaciele i znajomi powtarzali jej wnieskończoność, że nie cierpiała, że umarła natychmiast.

Chcieli zaoszczędzić jej bólu, lecz nie zaoszczędzili.

Strata matki była początkiem końca.

Ojciec, urzędnik rady miejskiej, człowiek cichy i bierny, nie miał w sobie ani krzty energii czy siły życiowej, której matka miała pod dostatkiem.

Wraz z jej odejściem zubożała jeszcze bardziej; pograżając się w samotność i pomijając o córcę.

Z upływem czasu Emilia utwierdziła się w przekonaniu, że doświadczył większej straty niż ona, i że nie powinna obciążać go dodatkowo swoimi problemami.

Powoli nauczyła się ukrywać gniew i poczucie osamotnienia za fasadą spokojnej rezygnacji.

Nie, żeby cały czas przebywała z ojcem.

Miotana wyrzutami sumienia pani Blake nalegała, żeby Emilia jak najczęściej bywała u nich.

"Nasz dom jest twoim drugim domem - mówiła.

- Ostatecznie jesteś najlepszą przyjaciółką Rebeki".

Ponieważ udręczona poczuciem winy Rebeka robiła co mogła, żeby tę iluzję podtrzymać, ich znajomość przekształciła się niebawem w gordyjski węzeł, którego nikt nie potrafił przeciąć.

W tamtych latach odwiedziny w domu Blake'ów były dla niej niczym krótkie wakacje w innym świecie.

W ich domu zawsze gościło szczęście, zawsze rozbrzmiewał śmiech i chociaż pragnęła, żeby traktowali ją jak drugą córkę, najczęściej czuła się tam jak duchna wesołej uczcie.

Pani Blake była dla niej bardzo miła, za to Robert jej nie lubił i nie próbował nawet tego ukrywać, a raz podsłuchiwała, jak pan Blake narzeka na jej częste wizyty.

A potem?

Potem wracała do cichego jak grób domu.

Chodziła na palcach wokół ojca, próbowała go uszczęśliwić, a przynajmniej niezakłócać mu spokoju, i cały czas myślała o Rebecce, bezpiecznej łonie rodziny.

W takich chwilach chciało jej się wyć.

Kiedy skończyła jedenaście lat, w jej życiu nastąpiła kolejna znacząca zmiana.

Ojciec się ożenił.

Ze swoją sekretarką, wysoką, kanciastą kobietą o surowej twarzy, która od pierwszego spotkania okazywała jej wszystko, z wyjątkiem ciepła i serdeczności.

"Jestem pewna, że zostaniemy znakomitymi przyjaciółkami"- oznajmiła.

Emilia nie miała do niej zaufania, lecz widząc radosną minę ojca, potulnie kiwnęła głową.

Przedsmak nowego życia poznała dopiero po ich powrocie z podróży poślubnej.

Kiedy wyjechali, zamieszkała u Blake'ów i wróciwszy do domu, spotkała w holu ojca.

"Twoja macocha poszła się położyć - powiedział.

- Zaniesiesz jej filiżankę herbaty?

". Idąc na górę, usłyszała jakiś hałas.

Dobiegał z kładziku, gdzie przechowywali rzeczy matki.

Stanąc w drzwiach izobaczyła Sheilę, która buszowała wśród pudeł, uważnie oglądając ubrania irzucając jena wielki stos pośrodku pomieszczenia.

Emilia nerwowo odchrząknęła i macocha odwróciła głowę.

Oczy miała zimne, bezduszne i zaborcze.

- Co ty robisz?

-Przebieram stare szmaty.

- To są rzeczy mojej mamy.

-Jużnie.

Wszystko w tym domu należało teraz do mnie.

Po latach, kiedy opuściła już dom i zaczęła żyć własnym życiem, wielokrotnie zastanawiała się, jakie demony opętały Sheilę i kazały jej robić to, co robiła.

Może demon nienawiści do samej siebie albo demon bezwartościowości na tyle silny i agresywny, że musiała podzielić się nim z kimś innym.

Lecz były to jedynie domysły.

Sheila nie miała rodziny i nigdy nie mówiła o swojej przeszłości.

Praktycznie rzecz biorąc, Emilia wiedziała o niej tylko to, że macocha przytłacza ojca osobowością i jest kobietą niezwykle destruktywną.

310

Nie minęło kilka tygodni i jej słowo stało się rozkazem.

Ojciec, który odśmiercił pierwszej żony był niczym okręt bez steru, chętnie poddał się całkowitej kontroli.

Jadł to, co kazała mu jeść.

Ubierał się to, wco kazała mu się ubierać.

Widywali się z tymi, z którymi kazała mu się widywać.

Jeśli zaś chodzi o córkę, wyrobił sobie poglądy, jakie kazała mu sobie wyrobić.

Toczyła tę kampanię powoli i z rozmysłem.

Nieustannie judziła, krytykowała, a wszystko ciepłym, przyjaznym głosem.

Jednego dnia zganiała go zawygląd.

Innego za nieumiejętność nawiązywania odpowiednich znajomości.

"Pamiętaj, że ludzie cię nie lubią, Emilio.

Patrzą na ciebie jak na kogoś, kogo mogą wykorzystać.

Mówię to z prawdziwą przykrością, ale bardzo mi na tobie zależy i po prostu muszę".

Kawałek pokawałku pozbawiała ją już itak bardzo ograniczonego poczucia pewności siebie i w końcu Emilia uwierzyła, że jest dziewczyną brzydką, głupią i bezwartościową.

Wkrótce uwierzył w to i ojciec.

Minał rok i wojna przybrała na sile.

Kuchennystół stał się gladiatorską areną, na której wieczór w wieczór musiała staczać wielogodzinne pojedynki ze swoimi rozlicznymi wadami.

Sheila znalazła napamięć.

"Nie wiem, cosię z tobą stało, Emilio - mówiła sfrustrowana i zatroskana.

- Naprawdę niewiem.

Co z ciebie wyrośnie?

Czasami myślę, że lepiej by było postawić na tobie kreskę, ale ze względu na twego ojca jeszcze sienie poddam".

Bywało, że szukała ucieczki we łzach, ale nie, nic z tego, tamci nie ustępowali.

Wciąż słyszała szorstki głos macochy, wciąż widziała nieme rozczarowanie w oczach ojca.

Wieczne nasiadówki kończyły się zawsze tak samo.

Marsz dołóżka kilka gorzko-słodkich słów na pożegnanie: "Masz mnie za heterę, ale pewnego dnia jeszcze mi za to podziękujesz".

Cały ten czas regularnie odwiedzała Blake'ów.

Cicha i milcząca, pokornie znosiła szyderstwa Roberta i obojętność starego Blake'a, patrząc, jak otoczone bezwarunkową miłością Rebeka wyrasta na piękną, utalentowaną i pewną siebie dziewczynę.

Na kogoś, kto nie wie i nigdy się nie dowie, co znaczy nienawidzić samego siebie.

Na symbol wszystkiego tego, czym Emilia pragnęłaby być.

Chciała studiować anglistykę i skończywszy osiemnaście lat, dostała się na York University.

Nikt - a już na pewno nie ona - nie oczekiwał, że zdobędzie odpowiednią liczbę punktów.

Ojciec był z niej bardzo dumny, lecz wkrótce do ataku przystąpiła Sheila.

"Sporo dziewcząt z tej klasy zdało na Cambridge i Oxford.

Ale cóż, należało się tego spodziewać, prawda?

Ona zawsze zadowalała się drugim miejscem".

Emilia uciekła do sypialni.

Przesiedziała tam do wieczora, płacząc i czując się jeszcze bardziej bezwartościowa niż zwykle.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Dzień przed wyjazdem spędziła na ostatnich zakupach w Winchesterze.

Do domu podrzuciła ją Sheila, która właśnie wracała od przyjaciół.

I wtedy wybuchła bomba.

311.

- Ojciec i ja podjęliśmy decyzję co do twojej przyszłości - oznajmiłamacocha.
- Uważamy, że za bardzo się od nas uzależniłaś.
Jesteś już młodą kobietą i musisz się usamodzielnąć.
Dlatego doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, jeśli na święta zostaniesz w Yorku.

Emilia nie wierzyła własnym uszom.

- Jak to?

Znaczy, że.

że nie mogę wrócić?

- Byłoby niewygodnie.

Zamierzamy przeprowadzić się do mniejszego domu.

Jeden już nawet wypatrzyliśmy.

Jest idealny, ale, niestety, nie ma tam dla ciebie miejsca.

Emilia z trudem odzyskała głos.

- Tatanapewno tego nie chce.

Sheila ciężko westchnęła.

- Chce, skarbie, chce.

- Tylko dlatego, że mu kazałaś, prawda?

- Zaczęła krzyczeć, głośno i piskliwie.

- To mój ojciec!

Mamtylko jego!

Nie możesz mi tego zrobić!

Zapaliło się czerwone światło i musiały zwolnić.

Sheila spojrzała na nią z triumfalnym uśmiechem.

- Ależ mogę, mogę.

Nadal masz mnie za heterę, co?

Pewnego dnia jeszcze mi za to podziękujesz.

Cisza.

Na chwilę zapadła martwa cisza.

Wszystkie dźwięki gdzieś odpłynęły.

Głos Sheili.

Ryk silników.

Przeraźliwe wycie, które wypełniało jej głowę.

Ogarnął ją stęży bezruch.

Słyszała tylko rytmiczne bicie swego serca.

Dojechały do domu.

Sheila poszła do kuchni.

Ona stała w holu, upajając się nagłym spokojem i towarzyszącą mu jasnością myśli.

Już wiedziała, co trzeba zrobić.

Weszła do kuchni.

Sheila myła filiżankę nad zlewem.

Emilia otworzyła szufladę i wyjęła najostrzejszy nóż.

Macocha odwróciła się.

W jej oczach, zawsze zimnych i pełnych pogardy, czaił się strach.

Emilia nigdy dotąd nie widziała jej przerażonej.

Widok ten podziałał na nią niczym religijne doznanie.

Rzuciła się naprzód.

W tym samym momencie do jej świadomości dotarł głośny krzyk.

Zanim zdążyła zadać cios, chwyciły ją czyjś ręce.

Zamroczone morderczy instynktem, nie dostrzegła siedzącego przy stole ojca.

Nóż wypadł jej z rąk.
Stężały bezruch zaczął ustępować.
Sheila cofnęła się, przeraźliwie krzyząc.
Emilia zdała sobie sprawę, że też krzyczy, że wyje jak rozwścieczone, sfrustrowane zwierzę.
Sheila wpadła w histerię, chciała wezwać policję.
- Śmiało, wzywaj!
- wrzasnęła Emilia i podciągnęła rękawy.
- Pokażę im te sznyty i powiem, żeto przez ciebie!
Powiem im takie rzeczy, że się przekręcisz, ty zasranadziwko!
I na pewno mi uwierzą!

312

Ojciec rozplakał się, ukrył twarz w dłoniach i zaczął zawodzić jak zaszokowane dziecko.

Kiedyś myślała, że jest silny.
Kiedyś myślała, że zawsze będzie ją kochał i chronił.
A on?
Był słaby jak niemowlę i porzucił ją po śmierci matki.
Pogardzała nim.
Człowiekiem, którego nigdy kochała.
Spojrzała na Sheilę.
- Wygrałaś.

Jest twój.
Już nie będę o niego walczyć.
Wyjechała i już nigdy tam nie wróciła.
Przez te wszystkie lata czuła się samotna, często się bała i pragnęła go odzyskać.
Ale miała to już za sobą.
Max ją wyleczył.
Być może opowie mu kiedyś o znikaniu, o ciszy i stężym bezruchu.
On nie osądzi jej zbyt surowo.
On ją zrozumie.

Do jadalni weszła pani Laszlo z czekoladowym musem.
Emilia zaczęła jeść.
Kucharka obserwowała ją z uśmiechem.
Drobna pięćdziesięciosześcioletnia kobieta.
Ciekawe, jak wyglądałaby w tym wieku moja matka.
I czy byłaby szczęśliwa, że w końcu odżyła.

Miała nadzieję, że tak.
Delektując się musem, czekała na powrót Maksa.
Wpół do drugiej.
Rebeka, która właśnie zjadła lunch z Mają, dziewczyną Seana, mijając National Gallery, uciekając przed nadchodzącą burzą.

Czuła się szczęśliwa.
Lunch był bardzo udany i utwierdziła w przekonaniu, że znalazła nową przyjaciółkę.
Już na samym początku rozmowy Maję zaprosiła ich na kolację.
Rebeka bardzo się z tego ucieszyła, wiedząc, że Michael będzie zachwycony.
Umówili się na sobotę.

Strand.
Mężczyzna czekający na taksówkę.
Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o jasnobrązowych, lekko szpakowatych włosach.
Max.

W jednej ręce trzymał niebieską torbę od Tiffany'ego.
Emilia zawsze wielbiła biżuterię.
Kiedyś dostała od niej skromny naszyjnik na urodziny.
W drugiej ręce miał duży bukiet.

Róże.

Ulubione kwiaty Emilii.

Zauważył ją.

Znieruchomiał.

Stali tak, patrząc na siebie, a wokół nich kłębiły się tłumy ludzi.

Spadły pierwsze krople deszczu.

Max uśmiechnął się, lekko i nieśmiało.

Odruchowo odpowiedziała tym samym.

Nadjechała taksówka.

Max wszedł.

Patrzyła, jak samochód rusza w kierunku Trafalgar Square, gdzie w przyszłym tygodniu miała zjeść lunch z Michałem.

Na pewno znowu każe jej nakarmić gołębie.

Trudno.

Najważniejsze, że go odzyskała.

313.

Że z nią był, tak jak Max był z Emilią.

Przypomniała jej się rozmowa z Karoliną.

Jej uwaga, że Max nie potrafinikogo kochać.

Michaela kochał.

Chciwiei zaborczo, dlatego musiał przegrać.

Mikę była silny, by skapitulować.

Karolina też.

Ale nie samotna i pełna nienawiści do samej siebie Emilia.

Ulec zachłannej miłości, oddać się jej bezgranicznie i do końca: to dla niej spełnieniewszystkich marzeń, to prawdziwa bajka.

Czy Karolina była zazdrosna?

Zazdrosna, że Emilia potrafiłazwiązać się z Maksem mocniej niż ona?

A ona, Rebeka?

Czy było jej przykro, że przyjaciółka już jej niepotrzebuje?

Że nie jest niezastąpiona?

Księgarnia.

Pogrążona wmyślach, nie zwróciła uwagi namężczyznę w okularach a laJohnLennon, który stał przy drzwiach.

Mężczyznaodczekał, ażRebeka wejdzie dośrodką, po czym wyjął z kieszeni telefoni wystukał numer.

Wpół do szóstej.

Zdenerwowana Emilia krążyłapo salonie.

Max powinien był wrócić dawno temu.

Zawsze dzwonił,by uprzedzić,że się spóźni.

Ale tym razem telefon milczał.

Za oknemlało, jezdnia była śliska.

Może miał wypadek, jak jej matka.

Może los zabierze ijego.

Potrząsnęła głową, usiadła na sofiei zabębniłapalcami w stolikdo kawy,jakby ćwiczyła palcówki, których nauczyła się w dzieciństwie.

W tym domunie było pianina, ale w Suffblk będzie.

Max obiecał.

Zadzwoił telefon.

Wybiegłana korytarz.

- Gdzie ty jesteś?

Co sięstało?

To nie on.

Jakiśmężczyzna spytał o kogoś, kogo nie znała.

Pomyłka.

Gniewnie trzasnęła słuchawką.

Ogarniała ją coraz większa panika.

Szczęk kluczaw zamku.

Wszedłdo holu w przemoczonym ubraniu, z bukietem róż w ręku.

Uśmiechnęła sięprzez łzy.

- To dla mnie?

Kiwnął głową.

- Był i pierścionek.

Od Tiffany'ego.

Ale zostawiłem torbę w taksówce.

Mówił powoli, głosem monotonnym i obcym.

I miał dziwnie obojętną twarz.

Jakby zastygła na niej kamienna maska.

- Co ci jest?

Co się stało?

Nie odpowiedział.

Minał ją i wszedł do salonu.

Wystraszona ruszyła za

nim. Stał pośrodku pokoju z kwiatami w ręku, a u jego stóp zbierała się kałuża wody.

314

- Gdzie byłeś?

- Siedziałem na ławce w Hyde Parku.

To nie miało sensu.

- Przecież leje.

- Musiałem pomyśleć.

- O czym?

- O tym, że wyrządzą ci wielką krzywdę.

Odwrócił się do niej.

Był blady, miał udreżone oczy.

- Max, proszę cię, nie nierozumiem.

- Wmawiałem sobie, że tak będzie dla nas najlepiej.

Ale już nie możesz szukać.

Muszę stawić czoło prawdzie.

- Jakiej prawdzie?

Westchnął.

- Emilko, jesteś bardzo młoda.

Twoje życie dopiero się rozpoczyna, możesz z nim zrobić, co zechcesz.

Nie zdążyłaś poznać świata, a ja ci go odbieram.

I świat, i możliwości, jakiego oferuje.

- To mnie nie obchodzi.

Chcę tylko być z tobą.

- Teraz w to wierzysz, ale wkrótce przestaniesz.

Nadejdzie taki dzień, kiedy zrozumiesz, że cię okradłem i zniechęcisz mnie za to.

Wolę cię uwolnić i stracić niż dożyć tej chwili.

Podłoga.

Podłoga drgnęła i się poruszyła.

- Oszukiwałbym się dalej, ale Rebeka pomogła mi dostrzec prawdę.

- Rebeka?

Co ma z tym wspólnego Rebeka?

- Widziałem ją dzisiaj, kiedy czekałem na taksówkę.

Nic nie powiedziała.

Wystarczyło, że na mnie spojrzała.

Z odrazą, z krańcową pogardą.

Jak na starca, który wykorzystuje piękną, naiwną dziewczynę.

Patrzyłem na nią i nagle zrozumiałem, że pewnego dnia ty też tak na mnie spojrzysz.

A tego bym nie zniósł.

Emilko, chcę, żebyśmy się rozstali.

Jeszcze mnie lubisz, żywisz dla mnie ciepłe uczucia, dlatego zróbmy to teraz.

Z jej ust buchnął przeraźliwy krzyk.

Zarzuciła mu rękę na szyję i przywarła do jego piersi tak mocno, jakby zaraz miała runąć w otchłań.

- Jesteś moim światem, żyję tylko dla ciebie.

Proszę, błagam, nie rób mi tego.

Upuścił kwiaty i dotknął jej twarzy, delikatnie i czule.

- Emisiu - szepnął.

- Wierz mi, nie chcę cię skrzywdzić.

Ale nie mam wyboru.

Rozszlochała się.

Szloch, głęboki i gardłowy, dochodził z miejsca, które nie znało godności, w którym mieszkało tylko pragnienie przeżycia.

Pogłaskał ją po głowie.

- Nie płacz.

Dam ci wszystko, co zechcesz.

Pieniądze.

Dom.

Żeby tylko

złagodzić ból.

Przywarła do niego, zasypała pocałunkami jego twarz.

A on tulił ją do siebie tak mocno, że prawie nie mogła oddychać.

315.

I nagle ją odepchnął.

-Idź.

Wyjdź.

To za bardzo boli.

Wezwę taksówkę.

- Nie!

Nie wyjdę!

- Musisz.

Zadzwoń wieczorem.

- Miał łzy w oczach.

-Proszę, pomóżmi być silnym.

Próbowała go zatrzymać.

Wyszarpnął się i wybiegł z pokoju, a ona upadła na podłogę.

Jej łzy spłynęły na bukiet róż i mokry dywan.

Wpółdo siódmej.

Michael zostawił telefon w hotelu, dlatego musiał zadzwonić z zatłoczonego pubu w centrum miasta.

Powietrze było przesycone.

zapachem piwa i papierosowego dymu.

Wystukał numer.

Rebeka mówiła, żeby nie dzwonił, że nie musi, ale myślała, że cały dzień chciał usłyszeć jej głos.

Sygnał.

Jeden, drugi, trzeci.

Dochodziło gopijackie zawrozczenie Stuarta i jego kumpli.

Śpiewali piosenki kibiców.

Słowa były prymitywne i wulgarne, ale Walia to ojczyzna rugby i miejscowi przymykali na tooko.

Minał go jakiś mężczyzna w drodze do toalety.

Inny stał tuż za nim z kuflem piwa i monetą w ręku, czekając na swoją kolej.

Przyjrzał im się.

Przyglądał się ludziom cały dzień.

Nie, nie znał ich.

Nikogo mu nie przypominali.

Rebeka nie odbierała.

Może wyszła, choć nie pamiętał, żeby uprzedzała go o jakimś spotkaniu.

Trudno.

Miał nadzieję, że dobrze się bawi.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do kolegów.

Siódma.

Emilia stała samotnie w swoim mieszkaniu.

U jej stóp leżała torba.

Ta sama torba, którą przed dwoma tygodniami z taką radością pakowała.

Zapuszczono ściany, tanie meble.

Wszystko się chwiało, rozmazywało i wyginało, jak wczarodziejskim lustrze w lunaparku.

Jej wzrokcpczął na stoliku do kawy przy sofie.

Stała tam mała chińska waza.

Prezent od kolegów z agencji, na nowe mieszkanie.

Ujęła ją ostrożnie i podniosła.

Waza była chłodna.
Obróciła ją w rękachi.
 cisnęła wścianę.
 Zdjęciematki.
Podarła je na kawałki i zmiażdżyła ramkę obcasem.
 Stolik.
Kopnęła go, przewróciła i z trzaskiem odłamała wszystkie nogi.
Półka.
Biorąc po dwie, po trzy książki, rozrzuciła je po pokoju, potem weszła do kuchni i chwyciła nóż.
Zaczęła od sofy.
Rozpruła siedzenie i oparcie, pocięła materiał na paski i zasłania nimi całą podłogę.
Wreszcie przytknęła ostrze do nadgarstka i zaczęła kreślić na nim szkarłatne wzory.
 Gdy zabrakło jej siły, opadła na dywan pośród książek, połamanym mebli i roztrzaskanej porcelany.
Wszystko zniszczone.
Jak jej życie.
 316
 Leżała tak jakiś czas.
Z góry dobiegły ją kroki i stłumiona muzyka.
Rock and rolli.
Wrócili sąsiedzi.
Przyjrzała się poharatanym rękóm.
W ostrym świetle krew i rany zdawały się blednąć.
Miała przezroczystą skórę.
Sprawdzały się jej najgorsze obawy.
Zaczynała znikać.
 Zaterkotał telefon.
Jedyny przedmiot, którego celowo niezniszczyła.
Niemogła.
Max powiedział, że zadzwoni.
 Podpełzła do aparatu, podniosła słuchawkę i ścisnęła ją z siłą tonącego, któremu rzucono linę.
 - Emilko?
 - Tak.
 - Muszę ci coś powiedzieć.
 Milczała.
Po prostuczekała.
Mówił powoli, głosem czystym idźwięcny jak dzwon.
 - Nie miej żalu do Rebeki.
Wiem, że trudno wto uwierzyć, ale pewnego dnia jeszcze miza topodziękujesz.
 Głos się rozmył.
Rozmyła się muzyka i ryk w jej głowie.
Pochłonęła ją cisza i bezruch.
Jasność myśli.
Spokój.
 Odłożyła słuchawkę.
Cisza otulała świat niczym gruby pled.
Nie dochodził do niej żaden dźwięk, słyszała jedynie rytmiczne bicie swego serca.
 Nagle zarejestrowała pojedynczy odgłos.

Natarczywe dzwonięcie.

Ktoś przyszedł.

Wstała, opuściła rękawy sukienki i płynąc jak we śnie, ruszyła do drzwi.

Postanowiła zrezygnować.

Emilii niebyło w domu, to oczywiste.

Napewno coś ją zatrzymało i się spóźnia.

Bywa.

W Streathamroilo się od kawiarenek, gdzie możnabyło posiedzieć izaczekać.

Pół godziny.

A potem?

Najwyżej wróci dodomu.

Była trochę rozczarowana, ale przed dwudziestoma czterema godzinami przeżyłaby to znacznie bardziej niż teraz.

Przez całopopołudnie rozmyślała o układzie między Emilią i Maksem, i nareszcie doszła do konkretnego wniosku.

Wiodł szczęśliwe życie, lepszegonie potrafiła sobie wyobrazić.

Po latach niepowodzeń Emilia też odnalazła szczęście.

Jeśli nawet jego źródłem był Max, Rebeka nie miała prawa się do tego trącać.

Mogła jedynie życzyć jej samych radości na przyszłość izapewnić ją, że bez względu na to, comiędzy nimi zaszło, zawsze będzie jej przyjaciółką.

Chciała powiedzieć jej to osobiście, twarzą w twarz, ale cóż, będzie musiała skorzystać z telefonu.

Trudno.

Emilia już jej nie potrzebowała.

I oby tak pozostało.

Oby miłość Maksa zabiła ból, którego ich przyjaźń zabić nie' zdołała.

Odwróciła się i zajrzała do torebki, żeby sprawdzić, czy ma drobne na telefon.

317.

I nagle drzwi się otworzyły.
Wprogu stała Emilia.
Włosy ubranie miała w takim nieładzie, jakby przestawiała meble.
- Cześć.
Myślałam, że cię niema.
Emilia nieodpowiedziała.
I patrzyła na nią dziwnie nieobecny wzrokiem.
Schody.
Rebeka chciała coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedziała co.
Emilia szła tuż za nią.
Półpiętro.
Drzwi do mieszkania były otwarte.
Rebeka przekroczyła próg i szokowana znieruchomiała, patrząc na zdewastowane meble.
Włamywacze.
Włamywacze, którzy nie zadowolili się kradzieżą, postanowili wszystko zniszczyć.
Biedna Emilia.
Jakże jej współczuła.
- Boże, Emilko, tak mi przykro.
Cisza.
Rebeka przecesała ręką włosy, spoglądając na porwane książki.
Szarydywan ginął pod warstwą papierów, strzępów materiału i porcelanowych skorup.
Nagle dostrzegła jakieś plamy.
Czerwone.
Przypominające plamy krwi.
Takie same plamy widniały na ścianach.
Zjeżyły jej włosy na karku.
Za plecami wyczuła jakiś ruch.
Dostrzegła błysk metalu.
Odwróciła się.
W jej piersi ugrzązł nóż.
Ostrze ominęło serce i przebiło płuco.
Ugięły się pod nią nogi.
Chciała krzyknąć, lecz nie mogła.
Emilia.
Popatrzyła jej w oczy.
Były puste jak oczy robota, zdalnie sterowanej maszyny.
Głos też miałam monotonny i mechaniczny.
- Wszystkich mi odebrałaś.
Wszystkich, których kiedykolwiek kochałam.
Najpierw matkę.
Potem ojca, ponieważ ten, którego kochałam, umarł razem z nią.
Potem Michaela, a teraz Maksa.
Ale dość, wystarczy.
Rebeka próbowała wstać, lecz za bardzo osłabła.
Nie czuła bólu.
Przerażenie to najlepszy środek znieczulający.
Na podłogę stał telefon.
Wyciągnęła rękę.
Nóż opadł, obcinając jej palce.

Do ust napłynęła jejkrew.
Nie mogła oddychać.
Przed oczami przesuwały jej siemigotliwe obrazy.
Przyjęcie, na którym poznała Michaela.
Rodzicew wigilijny poranek.
Robert, taki przystojny w uniwersyteckiej todze.
Onai Emilia w szkolnej ławce.
Kiedy wreszcie zadzwoni ten dzwonek?
A potem ujrzałaobraz, który przesłonił wszystkie pozostałe.
Dziecko.
Było podobne do Michaela i miało jej karnację.
Bardzo krzychało.
Jakbyktoś chciał odebrać mu życie, zanim się jeszcze rozpoczęło.
Nóż opadł ponownie i pochłonęła ją ciemność.
318
Emilia upuściła nóż.
Stężała cisza zaczęła powoli ustępować.
Do jejeszu docierałypierwszedźwięki.
Dudniąca na górze muzyka, warkot samochodów na ulicy, chrapliwy oddech i głośny ryk w jej głowie.
Leżała przednią szmaciana lalka, rozpruta i okaleczona.
Krew spływała nadywan i na plamy jej własnej krwi.
Popatrzyła naswoje dzieło i się rozszochoła.
U jej stóp spoczywał błyszczący od krwi nóż.
Opadła nakolana i odpełzła do tyłu, szukając miejsca, gdzie mogłaby się schronić.
Szukała, lecz nieznalazła.
Takie miejscenie istniało.
Nie tu, nie w tym mieszkaniu.
I nagle ją olśniło.
Tak, mógł ją uratować tylko jeden człowiek.
Chwiejnie weszła do łazienkii z trudem powstrzymując mdłości, zaczęła zmywać krew z rąk i twarzy.
Siedziaław salonie,dygocząc jakopętana.
Obok niejsiedział Max.
- Jesteś tego pewna?
- spytał.
- Absolutnie.
Zaszlachtowałamjajak prosię.
- Zachichotała.
Dziwne.
Nie mogła powstrzymaćśmiechu.
- Zimno ci.
Przyniosę koc.
Piekiły ją ręce.
Rany były głębokie i świeże.
Przykleiły się do nich rękawy sukienki.
Oderwała jedenz nich, krzywiąc się z bólu.
Po nadgarstku spłynęła pojedyncza kropla krwi.
Emilia obserwowwała ją jak urzeczona.
Wrócił Max.

Owinął ją kocem, przytulił i ukoił.
Był takiciepły.
Pachniałwodą kolońską i cygaretkami.
Czuła się przy nim bezpieczna.
 W domubyłocichojak w grobie.
Mijał czas i drzenie powoli ustawało.
 - Co ze mnąbędzie?
-wyszeptała.
 Nie odpowiedział.
Pogłaskał ją tylko po głowie.
 - Wiem, żemnie obronisz.
Wiem.
Na pewno.
 - Ciii.
Nic nie mów.
 - Nie chciałamjej zabić.
Wy tłumaczysz im to, prawda?
Powiesz im, że nie jestem potworem.
 - Nie, Emilko, niejesteś.
Chcesz tylko, żeby ktoś cię pokochał.
To najważniejsza potrzeba każdego z nas.
A ja całe życie próbowałem sobie udowodnić, że tak nie jest.
 Przyłgnęłado niego i objęłago za szyję, pragnąc, żeby dodał jej siły i odwagi.
 - Nie pozwólim mnie zabrać.
 -Nie chcę tego.
Naprawdę chcę.
Czule popatrzył jejw oczy.
 - Opowiem ci coś - dodał głosem cichym i miękkimjak najdelikatniejszapieszczota.
- Historię z mojego dzieciństwa.
Nikomujejdotąd nieopowiadałem.
Emilia czekała.
319.

- W domu dziecka, w którym zostawił mnie wujek, pracowała niejakapanna Wheeler, drobna, chuda kobiecina o twarzy chimery.

Była opiekunką maluchów.

Pamiętam ją nawet teraz, po tylu latach.

Uważała, że życie ją szukało i postanowiła się zemścić.

Na obiekt zemsty wybrała grupę niechcianych dzieci, wśród których mogła dać upust swojemu frustracjom.

Stałem się jej faworytem.

Prawie nie mówiłem po angielsku i często nie rozumiałem jej poleceń, dlatego zaszufladkowała mnie jako chłopca krnąbrnego i nieposłusznego.

Biła mnie za najmniejsze przewinienie, ale szybko nauczyłem się sobie z tym radzić.

Ostatecznie był to tylko ból fizyczny.

Tym, czego naprawdę nie widziałem, była cęla.

Cęla, a raczej składzik, w którym przed laty miał się ktoś powiesić, i w którym od tamtego czasu straszło.

Zamykano mnie w nim na wiele godzin.

Bez okna i bez światła siedziało się tam jak w grobie.

Przyśniło mi się w Paryżu, pamiętasz?

I będzie mi się śniło do końca życia.

Podczas odbywania kary nie wolno było krzyczeć.

Jeśli choć raz krzyknąłem, panna Wheeler wypuszczała mnie dopiero nad ranem.

Kiedyś bardzo chciało mi się siusiu.

Zawołałem, ale nikt nie przyszedł i zmoczyłem sobie spodnie.

Pamiętam, że siedziałem w ciemności, wiedząc, że panna Wheeler wlepi mi za to dodatkową karę.

I wtedy coś sobie poprzysiągłem.

Poprzysiągłem, że pewnego dnia zdobędę władzę.

Władzę tak wielką, że już nikt nigdy mnie nie skrzywdzi.

Właśnie dlatego miłość jest taka straszna.

Całkowicie odbiera władzę, bo kiedy kogoś kochasz, pozwalasz mu zadawać sobie największy ból, ból, na który nie ma żadnego lekarstwa.

Chyba, że nad tym kimś zapanujesz.

Pokręciła głową.

- Nigdy bym cię nie skrzywdziła.

- Wiem, Emilko, wiem.

- Westchnął.

- Gdyby tylko Michael myślał tak samo jak ty.

Słowa te przeszły jej mózg niczym ostry nóż, niszcząc najważniejszą energię.

Pogłaskał ją po głowie.

- Biedny Michael.

Rebeka była jego światem.

Teraz będzie mnie potrzebował bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Wciąż go obejmowała.

Zabrudziła mu szyję krwią, lecz nie zwracał na to uwagi.

Patrzył jej w oczy ze współczuciem i zrozumieniem.

- Moje biedactwo.

Zasługujesz na kogoś lepszego niż ja.

Na kogoś, kto kochałby cię z bezgranicznym oddaniem.

Jak matka, o której mi opowiadałaś, ta, która ukochała jedną z czterech córek.

Mógłbym cię tak kochać, Emilko.

Mogłabyś mieć nade mną całkowitą władzę, gdyby Michael nie zdobył jej pierwszy.

Zaczęła gubić myśli.

Jakby rozpadała się nakawałki.

Powoli traciła formę i kształt.

Powoli przestawała istnieć.

320

- Jestem niczym - wyszeptła.

Przed dom zajechało kilka samochodów.

- Nie- odrzekł cicho.

- Jesteś tym, kim był jej mąż i trzy pozostałe córki.

Zadzwoń! dzwonek u drzwi.

- Zrobię, co będę mógł.

Wynajmę najlepszych i najdroższych adwokatów.

Nie zapomnę o tobie.

Masz moje słowo.

Lecz ona słyszała już tylko kakofonię dźwięków.

Zabrała ręce i zwinęła się w kłębek na sofie niczym płód pragnący wrócić do łona.

Jej ciało i umysł zapadły się w siebie, skurczyły i rozplynęły.

Zawsze się tego bała, lecz teraz stwierdziła, że tak jest lepiej, że nareszcie znalazła schronienie.

Bezpieczne schronienie, do którego nikt nie ma wstępu.

Nikt, nawet Max.

Przestała szlochać.

Leżała cicho i spokojnie.

Do policyjnego radiowozu szła potulnie jak małe dziecko.

Dzwonek telefonu.

Michael obudził się w ciemności hotelowego pokoju i walcząc z przytępienymi alkoholem myślami, czekał, aż dzwonięcie ustanie.

Nie ustało.

Nawpół śpiąc, niechętnie podniósł słuchawkę.

I momentalnie wytrzeźwiał.

7

Grudzień.

Dwa miesiące później.

Brockley, podobnie jak pozostałe dzielnice Londynu, była zasypana śniegiem.

Na ukrytej za torami kolejowymi Rushden Street, przy której stał rząd zapuszczonych wiktoriańskich domów, śnieg zalegał spłachetkami wzdłuż chodnika, powoli zamieniając się w szarą breję, oświetloną blaskiem choinkowych lampek wywieszonych w oknach przez najemców o najdłuższym stażu.

W oknach domu numer siedemnaście lampek nie było.

Michael wprowadził się tam prawie przed dwoma miesiącami i zdążył już zaliczyć trzech współlokatorów.

Obecnie mieszkał z programistą komputerowym nazwiskiem Neil, z którym można było rozmawiać wyłącznie o piłkarzach z Newcastle United, i z Billem, urzędnikiem rady miejskiej, który w każdej wolnej chwili puszczał heavy metal tak głośno, że trzęsły się wszystkie ściany. Czwarty pokój czekał na kolejnego lokatora.

W pokoju Michaela stała wąskie łóżko, mała umywalka, rozlatująca się szafa i krzesło przy oknie, na którym często siadywał, żeby popatrzeć na

21 - Marionetka

321.

pociągi przejeżdżające tamtędy od wczesnego rana do późnej nocy.
Szarelinoleum było upstrzone śladami po niedopałkach, a ściany plamami wilgoci.
Mimo zimna często uchylał okno, żebyw pokoju nie cuchnęło stęchlizną.
Na łóżkiem wisiał plakat zNapoleonem, lecz poza tym nic nie wskazywałaona to, że właśnie tu spędzał większość czasu.

Nie był w kancelarii od powrotu z Cardiff.
Początkowo wydzwaniał doniego Jack Bennett, który chciał podrzeć jego rezygnację, ale Mikę nie skorzystał zpropozycji.
Wydzwaniałrównież Brian Price, konsultant zbiurapośrednictwa pracy Cartera Clarka, z listąfirmzainteresowanych ewentualną współpracą, lecz Michael zignorował i jego, tak że w końcu telefon przestał dzwonić.
Na wiszących w szafie garniturach osiadałkurz.
Nawszystkich, z wyjątkiem włoskiej dwuczęściówki, ulubionegogarnituru Rebeki,którywłożył, żeby się z nią pożegnać.

Nabożeństwo żałobne odprawiono w normandzkim kościółku w Winchesterze, gdzie chodziła do niedzielnejшколы, i gdzie ją bierzmowano.
Przyszło mnóstwo ludzi.
Krewnych, przyjaciół z college'u i z pracy,sąsiadów,którzy znali ją od dziecka.
Większośćpłakała.

Dopiero wtedy w pełni uświadomiłsobie, jak bardzo była lubiana ikochana.

Siedziałw pierwszej ławie, obok jej rodziców i Roberta.
Nie zwracającuwagina ich milczącą wrogość, bezgłośnie powtarzał słowa ulubionych pieśni Rebeki i słuchał wikarego, który wyraziwszy uznanie dla jej dobroci italentu,podkreślił wielką stratę, jaką była jej przedwczesna śmierć.
Potem,wraz z Seanem i Stuartem, stał na cmentarzu skapanym w zimnym jesiennym słońcu, patrząc,jak Rebekaodchodzi na wieczny spoczynek.

Wzdłuż ścianykościółki ustawiono wieńce.
Spojrzał na nie i zaległo sięwnim straszliwe podejrzenie.
Szybko przejrzał doczepione do nich kartoniki i znalazłszywieniec od Maksa - różany krzyż - zaczął go rozszarpywać.

Próbowano go powstrzymać.
Robert, z nosem zniekształconym od ich ostatniego spotkania, uderzyłgo w twarz, powalił na ziemię i skopał.
Michaelsięnie bronił.
Leżał spokojnie, dopóki Stuart i staryBlake nie odciągnęli Robertana bok.
Potemwstał, otarł krew z twarzy i nie zważając na zaszokowane minyżałobników, dokończyłswego dzieła.
Dokończywszy, ponowniestanął nadgrobem Rebeki i nisko pochylił głowę, by szeptem się z nią pożegnać.

Blake'owie niezostawili mu nic.
Zabrali wszystko.
- Jej rzeczy należą do nas- oświadczył ojciec.
- Nie masz do nichprawa.
- Zostało mu ledwie kilka zdjęć i drobiazgów, które mukiedyś dała.
Niewiele.

Lecz po Emilii zostało jeszcze mniej.
Pragnąłjej nienawidzić.
Tak byłoby łatwiej.
Pragnął, lecz nie potrafił.

Policja nie zdołała nic z niej wyciągnąć.
Emilia popadła w katatonię, zamknęła się w swoim własnym świecie.
Miał nadzieję, że pozostanie tam nazawsze.
W miejscu, gdzie nikt nie mógł jej skrzywdzić.
Gdzie byłaby bezpieczna.

322

Ludzie nie mogli uwierzyć, że to zrobiła.
Nie, wszyscy, tylko nie ona, nie Emilia.
To taka miła, spokojna dziewczyna.
Nieśmiała duszyczka, która muchy by nie skrzywdziła.
Przynajmniej tak myśleli.
Dopóki nie wystąpiła jej macocha, która ciągnąc za sobą męża, opowiedziała zebranym,
jak to któregoś dnia Emilia bez powodu zaatakowała ją nożem.
- Gdyby nie jej ojciec, mnie też by zabiła.
Powinniśmy byli wszystkich przedzić, ale nie mieliśmy serca.
To nasze dziecko, bardzo ją kochaliśmy.
- Uroniła kilka łez.
- Jak ona mogła?
Po tym, co dla niej zrobiliśmy.

Inni też mówili.

David, który hojną ręką przyznał sobie miano jej byłego chłopaka, uważał, że pierwsze oznaki
obłądzenia pojawiły się już dawno temu.

- Raz chciałem ją pocałować, a ona podrapała mi twarz.

A kilka dni przed tym morderstwem zwymyślała na ulicy mnie i moją nową dziewczynę.
Kompletnie jej odbiło.

Ludzie patrzyli na nią jak na wariatkę.

- Roześmiał się głucho.

- Wygląda nato, że mieli rację.

Loma, koleżanka Rebeki zeszkoły podstawowej, twierdziła, że jej tragicznie zmarła
przyjaciółka też coś podejrzewała.

- Trochę się jej bała.

Emilia była bardzo dziwna.

Niby spokojna jak myszka, aż tu nagle wybuchała jak wulkan.

Kiedyś naskoczyła na mnie w winiarni.

Myślałam, że umrę ze strachu.

Mówiłam Rebecce, żeby przestała się nią zadawać, ale nie chciała mnie słuchać.

On też mógłby przyłączyć się do tego chóru.

Mógłby, ale nie chciał.

- Dobrze pan ją znał, prawda?

- spytał go jeden z policjantów.

- Zauważył pan coś dziwnego w jej zachowaniu?

Coś niepokojącego?

- Emilia była dobrą dziewczyną.

Wbrew temu, co zrobiła.

Zaskoczony policjant wytrzeszczył oczy.

- Jak to?

Mówimy o kobiecie, która zamordowała pańską narzeczoną.

Nie czuje pan do niej nienawiści?

Mike pokręcił głową, walcząc z uczuciami, których tamten nigdy by nie rozumiał.

- Rebeki już nie ma - odparł.

- Nienawidząc Emilii, nie wrócę jej życia.

O wyjaśnienie motywów zbrodni pokusił się tylko Max, jedyny człowiek - nie licząc Mikę'a - który współczuł dziewczynie określanej przez wszystkich mianem potwora.

- Zerwałem z nią, uznawszy, że jestem dla niej zastary.

Pewnie wbiłaś sobie do głowy, że to przez Rebekę.

- Westchnął.

- Trudno w to uwierzyć.

Emilia, którą znałem, była miła i łagodna.

Chociaż zrobiła rzecz straszną, zasługuje na litościwy osąd.

Michael i Max.

Rycerze Emilii.

I cóż jej po nich?

323.

Nad torami i stojącymi za nimi domami, identycznymi jak te przy Rushden Street, powoli zapadał zmierzch.

Domy miały popękane ściany.

Znałtenwidok na pamięć.

Boże Narodzenie.

To już za dwa dni.

Neil iBili wyjeżdżali.

Będzie miał dla siebie cały dom.

Będziemógł się weselić, jak tylko zechce.

Spojrzał na zegarek.

Siódma.

Wziął płaszcz i ruszył do drzwi.

Godzinę później siedział z Seanem w pubie przy Leicester Square.

W pubie było tłoczno.

Urzednicy - wielu z nich w karnawałowych kapeluszach - pili za nadchodzące święta, zalewając piwem podłogę i oblewając swoim sąsiadów.

Mike i Sean dołączyli do wolnego stolika przy drzwiach.

Stał w przeciagu, ale przynajmniej nikim nie przeszkadzał.

Od pogrzebu Mike z nikim się nie widywał.

Konsekwentnie odrzucał wszystkie zaproszenia, czując, że nie poradzi sobie z pytaniami i kondolencjami.

Było tak do tego ranka, kiedy to stwierdził, że brakuje mu widoku przyjaznej twarzy i kontaktu z żywym człowiekiem.

- ,

- Długo to trwało - powiedział.

- Przepraszam.

-Któryś z gości podszedł do szafy grającej i puścił Last Christmas.

:

- Nie ma sprawy - odrzekł Sean.

- Przepraszam, że tak często do ciebie dzwoniłem.

Zawsze możesz na mnie liczyć i chciałem, żebyś o tym wiedział.

- I wiem.

- Widziałeś się z kimś?

Mike pokręcił głową.

- Wydzwania do mnie George, mój kumpel.

I Stuart, odkąd wrócili z Heleną z miodowego miesiąca.

Podobno mieli ładny ślub.

Miałem pójść, ale nie dałem rady.

- Stuart to rozumie - odrzekł z uśmiechem Sean.

- Rozmawiałeś z nim?

- Dzwoniłem doniego, żeby spytać, czy się z tobą widział.

Bardzo się ciebie martwił.

Jak wszyscy.

Michael pociągnął łyk piwa.

Było słabsze niż zwykle, może dlatego, że ostatnio dużo pił.

Sean zmarszczył czoło.

- Ile schudłeś?

Mike wzruszył ramionami.

- Znalazłeś pracę?

-Nie.
- Szukasz?
Michael nie odpowiedział.
Od drzwi powiało i zadrżał.
Dziwne.
Zimnonigdy mu nie przeszkadzało, a teraz cięło jak nożem.
324
- Potrzebujeszforsy, Mikę.
Musisz z czegoś żyć.
- Międzystolikamipreciskała sięuśmiechnięta dziewczyna w czapie świętego Mikołaja.
Zbierała datki.
- Co z procesem?
- Proces mi jej nie wróci.
-Ale może pomóc.
Sprawiedliwości musi stać się zadość.
- Sprawiedliwości?
- Michael wybuchnął śmiechem.
Sean patrzył na niego z wyraźnym niepokojem.
Jakwtedy, gdy bylidziećmi.
Wtedy teżnieustannie go obserwował, szukającaprobaty w jegooczach.
Boże, jakże pragnął się przed nim otworzyć.
Jakże pragnął zrzucić z siebie ten ciężar i wszystkimuopowiedzieć.
Ale nie mógł.
Ani jemu, ani nikomu innego.
Niechciałryzykować.
Dziewczyna w czapie świętego Mikołaja podeszła do nich i z napastliwą wesołością potrzęsnęłaaskarbonką.
- Dzieci wpotrzebie!
- zakrzyknęła głosem doświadczonej naganiaczki.
Michael sięgnął do kieszeni po drobne.
Zostało mu tylko parę miedziaków.
Wrzuciłje do puszki.
Dziewczynanachmurzyła czoło.
- Niezbyt pan hojny.
Sean dał jej pięć funtów.
- Wybrała pani zły moment - powiedział.
Zlekceważyła ostrzeżenie.
Jej twarz płonęła fanatycznym zapałem i gorliwością.
- Nie dla dzieci wpotrzebie.
Powiedz pan tejsknerze, żeby następnymrazem o tym pamiętał.
- A co ty, do diabła, wiesz odzieciach w potrzebie?
Michael wstał.
Dziewczyna cofnęła się, a w pubie zapadła cisza.
- Ty głupiadziwko!
Nico tym nie wiesz!
Nic!
- Wskazał Seana.
-Tomy moglibyśmy coś o nichpowiedzieć, oni ja.
Wiemyo tych biedakachwięcej niż ty, kretyńko!
- Wyjął portfel i cisnął jej w twarz wszystkimi banknotami, jakie miał.

-A teraz spierdalaj!

Chwycił płaszcz, pchnął drzwi i wypadł na dwór.

Sean dogonił go w połowie Leicester Square.

- Mike, zaczekaj!

Stał naprzeciwko siebie wśród jaskrawych świateł i tłumu rozradowanych przechodniów.

Przed pobliskim sklepem kołędowała grupa chłopców z płonącymi latarniami.

Śpiewali ostatnią strofę *Once in Royal David's City* z ich ust buchały obłoczki białej pary.

- Zostaw mnie, Sean.

- Chcę ci pomóc.

- Nie wiesz, co jest grane.

325.

- Ale wiem, że kiedy byliśmy dziećmi, zawsze mi pomagałeś.

Teraz moją koleją.

Jutrojadę do rodziców.

Jedź ze mną.

Pogadamy i coś wymyślimy.

Mike nie mógł mówić.

Dławił go w gardle.

- Za późno- wychrypiał.

-Nieprawda.

- Prawda.

Wierz mi.

- Odwrócił się, żeby odejść.

Sean chwycił go za ramię.

- Zaczekaj.

-Zadzwoń do ciebie.

Jutro.

Obiecuję.

I dzięki za przyjaźń.

Jestem ciwdzięczny.

Wchłonął go tłum.

Kołodnicy skończyli śpiewać i przechodnie nagrodzili ich rzęsyistymi brawami.

Wszedł do domu.

W holu paliło się światło, a w pokoju Billa dudnił heavymetal.

Ale ciszej niż zwykle.

Zawsze to coś.

Neil krzyknął do niego z kuchni.

Niemając ochoty na rozmowę.

Mike uciekł do sypialni.

Zobaczył dym, nim zdążył wciągnąć go do płuc.

Błękitnosinawy wisiał w powietrzu niczym obłok trującego gazu.

-- Co słyszeć u Seana?

Michael znieruchomiał, czując się jak zając w świetle reflektorów rozpedzonej ciężarówki.

Max siedział na krześle przy oknie, strząsając popiół do wyszczerbionego kubka.

Miał wymizerowaną twarz.

On też schudł i się postarzał.

Przez ułamek sekundy Mike'owi było go żal.

Boże.

Przeklął siebie w duchu.

- Ładnie mieszkasz.

Ogarniamnie nostalgia.

Też tu kiedyś mieszkałem.

Niedaleko.

Mówiłem ci o tym?

- Głos miał dźwięczny i piękniejszy niż zwykle.

- Nikt nie wiedział o moim spotkaniu z Seanem.

-Nikt oprócz mnie.

Znam każdy twój krok.

Ale chyba się tego domyśliłeś.

Michael przełknął ślinę.

- I co?

Przyszedłeś się ze mnie wyśmiewać?

- Taką miałeś nadzieję?

Że posiedzę tu pół godzinki, pożartuję i raz nazawsze zniknę z twego życia?

- Wykrzywił usta w smutnym uśmiechu.

- Michael, Michael, gdyby tylko było totakie proste.

Mike zwiesił głowę.

Od dudniącej muzyki wibrowała podłoga i czuł się tak, jakby przez stopy przebiegał mu lekki prąd.

- Poprosiłem go, żeby trochę ściszył.

Ale nie za bardzo.

Ostatecznie niechcilibyśmy, żeby ktoś podsłuchał naszą rozmowę.

- Nie będzie żadnej rozmowy.

Nie mam ci nic dopowiedzenia.

- Odwrócił się do drzwi.

326

- Siadaj!

- Max nawet nie podniósł głosu, mimo to nutka żelaznej stanowczości, z jaką wyrzekł to jedno słowo, osadziła Mike'a w miejscu.

Powoli opadł na łóżko.

- Tak jest znacznie lepiej.

- Max zgasił cygaretkę i zapalił kolejną.

- Teraz ja o wszystkim decyduję.

Zechciej o tym pamiętać.

Lampa, a raczej żarówka, nie miała klosza.

Naga i nie osłonięta, z trudem oświetlała pokój i kiwając się w podmuchach wpadającego przez okno wiatru, rzucała na ściany złowrogie cienie.

Za domem przejechał pociąg do Kentu, gdzie Sean miał spędzić Boże Narodzenie.

Sean, lecz nie Mike.

Zadrżał.

Surowa twarz Maksa natychmiast złagodniała.

- Włóż płaszcz.

Przeziębisz się.

Michael pokręcił głową.

- Schudłeś.

Musimy cię trochę podkarmić.

- Ty też kiepsko wyglądasz.

Pewnie tęsknisz za Emilią, co?

Tym razem w westchnieniu Maksa była odrobina szczerego żalu.

- Zrobiliśmy coś strasznego.

- My? Ja nic nie zrobiłem.

- Biedna Emcia.

Tak bardzo się wstydziła, że nie śmiała nikomu o tym wspomnieć.

Nikommu z wyjątkiem ciebie, człowieka o przeszłości równie traumatycznej, jak jej przeszłość.

Prosiła, żebyś zachował to w tajemnicy, i zachowałeś.

Zwierzyłeś się tylko mnie.

Oczywiście teraz wiedzą o tym wszyscy.

Michael wbił wzrok w podłogę.

Linoleum wyglądało jak skóra chorego na ospę.

Właściciel domu powinien je zmienić.

Może zażąda tego następny lokator.

- No i nie wolno nam zapominać o rodzicach Rebeki.

Myślisz, że coś podejrzewają?

- Tu nie ma nic do podejrzewania.

- Słusznie, konkretnych dowodów brak.

Chyba, że Emcia.

- Nie nazywaj jej tak.

Nie masz prawa.

- Chciał powiedzieć to gniewnie, lecz w swoim głosie usłyszał tylko strach.

Max nawet nie mrugnął.

- Chyba, że Emcia zacznie coś sobie kojarzyć.

Ale to mało prawdopodobne.

Lekarze twierdzą, że z tego nie wyjdzie.

Zresztą nawet gdyby wyszła, nie musisz się o nic martwić.

Moje usta będą milczeć.

Nik się nie dowie, jak zaplanowaliśmy to wyrafinowane morderstwo.

Po ścianach pełzałycienie.

Były niczym demony, które zbiegły się tu, żeby wyśmiać koszmar, w którym utkwiał jak w potrzasku.

- Opowiedziałem ci o Emilii, bo myślałem, że ją zrozumiesz.

Do głowymi nie przyszło, że.

Max cichutko zacmokał, jakby uspokajał zdenerwowane dziecko.

327.

- Naturalnie, że nie.

Dla mnie jesteś niewinny i czysty jak łąza.

Alemusisz pamiętać, że inni mogliby spojrzeć na to zupełnie inaczej.

Na przykładrodzice Rebeki ijej brat.

Nie uwierzyliby ci, mieliby coraz większe wątpliwości.

W dodatku ta ciąża.

Natychmiast by to wykorzystali.

Ale spokojnie.

Przeżyjemy.

Pod warunkiem, żebędziemy trzymaćsię razem.

Ty i ja.

- Gdybyś poszedł na policję, pogrążyłbyś się razem ze mną.

-Czyżby?

Przeraża cię myśl, że trafiłbyś do więzienia.

Mnie przerażajedyńieto, że mógłbym cię stracić.

Pasemka dymu wisiały w powietrzu niczymłańcuchy.

Drzwi były o krok- miał ochotę wybiec i zniknąć wciemności.

Ale noc miała setki oczu i niezdolałby się ukryć.

- Twoje słowo przeciwko mojemu - odparł.

-Słusznie, celne spostrzeżenie.

Mógłbyś ich przekonać.

Choć bardzow towątpię.

Zapominasz, że jestem po tysiackroć lepszym oszustem od ciebie.

Emiliauwierzyła, że ją kocham.

Inni też uwierzą.

We wszystko, co zechcę.

Michael wstałi zaczął krążyć nerwowopo pokoju.

Pokój był mały, leczwiększyniż więzienna cela.

Poza tym w drzwiach nie było zamka.

Sęk w tym, że nie mógł stąd wyjść.

Max pozostał przyoknie.

Roztańczonecienie znieksztalały mu twarz.

- Czego ty właściwie chcesz?

Żebym zniknął z twego życia?

Mikę kiwnął głową.

To niemożliwe.

Nie rozumiesz, że to niemożliwe?

Michael oparł się o ścianę, czując, jak ubranie wchłaniabijącą z niejwilgoć.

W sąsiednim pokojuwciąż dudniła muzyka, za oknem wciąż hurkotały pociągi.

- Pamiętasz, kiedy się poznaliśmy, miałemskaleczoną szyję.

Pewniepomysłałeś, że zaciąłem sięprzy goleniu.

Nie. Poprzedniej nocy nie mogłem zasnąć.

Leżałem i rozmyślałem o tym, co mam.

O pieniądzech.

O władzy.

O pozycji społecznej.

Oszacunku, jakim mnie darzą.

O wszystkim tym, czego zawsze pragnąłem, i co zdobyłem tylko po to, by stwierdzić, że jestem jak wypalona skorupa.

Tamtego rankaprzez godzinę stałem w łazience z brzytwąna gardle, zbierając odwagę,żebyze sobą skończyć.

I wtedy poznałem ciebie.

Kogoś, kto pochodził z tegosamego świata coja.

Kogoś, kto miał siłę i nadzieję młodości, którąja straciłem w drodze przezżycie.

Przy kim odmłodniałem i nabrałem optymizmu.

Kim mogłem pokierowaćtak, jak nikt nie kierował mną.

Ktonadawałtemu wszystkiemu jakiś sens.

Musisz zrozumieć, że ten, kogo kocham, nie może mnie nigdy zostawić.

Mój wujek próbował, lecz poniósł klęskę.

Poniesiesz klęskę i ty.

Michael ponownie zadrżał, lecz bynajmniej nie zzimna.

\ - Twój wujek?

\ 328

-Tak.

Kiedy go odnalazłem, miał sięcałkiem dobrze.

Prowadził przedsiębiorstwo przewozowe i cieszył się życiem, nie poświęcając ani jednejmyśli bratankowi, którego przed laty porzucił.

Aleja wszystko to odmieniłem.

Michael bał sięo cokolwiek spytać.

Zresztą nie było takiej potrzeby.

- Bo to ja dofinansowałem rywali, którzyzaczęli się wokół niego pojawiać, obniżając ceny takbardzo, że aby utrzymać się na powierzchni, wujekstracił cały kapitał i w końcu musiał zebrać o pracę u ludzi, którzy go zniszczyli.

Pewnogodnia zastał przed drzwiami policjantów.

Dostali cynk, że jestpaserem i chcieli przeszukać dom.

Podczasrewizji znaleźli w piwnicy skradzione przedmioty, i coś jeszcze: dowody na to, że wujek należy do kręgumiejscowych pedofili.

Michael powoli usiadł.

Max nawet niemrugnął.

Patrzył mu prosto w oczy.

- Wujek oczywiściezaprzeczył.

Twierdził, że dowody podrzucono.

Ale nikt munięuwierzył.

Człowiek ma straszną naturę.

Najchętniejdaje wiarętemu, co najgorsze.

Policja zaczęła go śledzić, a ojego domniemanej pedofilii dowiedzieli się sąsiedzi.

Napadnięto go na ulicy i skatowano.

Powybijanommu szyby.

Na drzwiach wymalowanomuobrzydliwe napisy.

Opuścili go przyjaciele, stracił absolutnie wszystko.

W końcu się powiesił.

Masz rację.

Gdybyś mniezostawił, pewnie nieposzedłbym na policję.

Jak sampowiedziałeś, pogrążyłbym się razemz tobą.

Ale już nigdy nie czułbyś się bezpiecznie.

Niemógłbyś ode mnie uciec.

Odnalazłbym cię zawszei wszędzie.

A wówczas dowiedziałabym się, co jest dla ciebie najcenniejsze, i bez wahania bym ci to odebrał.

Tak jak odebrałem ci Rebeke.

Michael dygotał nacałym ciele.

Muzykę przytłumił głośny łoskot w jego głowie.

Max zgasił cygaretkę.

- Dość tego gadania.

Spakuj się chodźmy.

- Nie.

- To już koniec.

Mike - dodał łagodnie Max.

- Nie ma sensu ze mną walczyć.

Itak wygram.

Michael wstał, cofnął się do drzwi i sięgnawszy w głąb serca stłumił strach i w ostatnim geście buntu powiedział:

- Mam nadzieję, że będziesz smażył się w piekle.

W oczach Maksza zagościł głęboki smutek.

- Będę, na pewno.

Ale najpierw muszę dożyć swoich dni tu, na ziemi.

Mike położył rękę na klamce.

- Czekam w domu - dodał Max.

- Dla swego własnego dobra nie zwlekaj za długo.

Mike otworzył drzwi, zbiegł schodami na dół i zniknął w ciemności.

329.

Szedł i szedł, nie wiedząc, dokąd idzie.

W końcu znalazł się w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło.

Wlabiryncie wąskich uliczek Bow.

Dom się nie zmienił, przynajmniej z zewnątrz.

Kamienica z szaregopiaskowca, przytłoczona wysokimi betonowymi gmachami rady miejskiej podругiej stronie ulicy, była nadal wielką wiktoriańską kamienicą.

Ale już niemieszkały tam niechciane dzieci.

Teraz wynajmowali tam mieszkania zwykli lokatorzy.

Stał na chodniku, owijając się połami płaszcza.

Minęła go jakaś para.

Weszli do domu i po chwili w oknach pokoju na najwyższym piętrze zapaliło się światło.

W tym samym pokoju, który dzielił niegdyś Seanem, w którym marzył irazem o przyszłości, nie wiedząc, że każdy z nich pójdzie zupełnie inną drogą.

Lecz tamte dni już minęły.

Byłoby.

Nie znalazłby tu schronienia.

Ruszył przed siebie.

Minął naróżny sklepik, w którym podkradał słodycze, i który odwiedził wiele lat później, żeby przeprosić jego właścicieli.

Minął stary kościół z cmentarzem, na którym straszyle; przynajmniej Sean wto wierzył.

Szedł dalej i dalej w kierunku światła i ulicznego hałasu Mile End Road.

Kiedy zaczął padać mokry śnieg, poszukał schronienia w nocnym barze, jasnym i wesołym, pełnym zapachu tłustej smażeniny.

Na ścianach wisiły zdjęcia gwiazd filmowych, a ze starego zdezelowanego głośnika sączył się dzęz.

Kupił filiżankę kawy, usiadł przy oknie i zapatrzył się na płatki śniegu.

Joe Green stał samotnie za ladą, pogrąony w nostalgicznej zadumie.

Prowadził ten bar od blisko czterdziestu lat.

Czterdzieści lat.

Siedem dni w tygodniu z wyjątkiem Bożego Narodzenia, innych świąt i miesiąca, który przeleżał w szpitalu na zapalenie płuc.

Spędził tu całe życie, lecz ostatnio zaczął podupadać na zdrowiu i lekarz doradzał mu przejście na emeryturę.

Joe mawiał sobie, że to świetny pomysł, że nareszcie się wyśpi i poleniuchuje, lecz w głębi serca wiedział, że znajdzie wymówkę, by codziennie tu zaglądać i zawracać głowę swemu siostrzeńcowi Samowi, który miał przejąć interes.

W barze było zupełnie pusto.

Pozostał tylko jeden klient.

Młody, uderzająco przystojny mężczyzna o ciemnych włosach.

Szczelnie owinięty eleganckim płaszczem, siedział przy oknie, pijąc kawę.

Zamykali dopiero za pół godziny, ale Joe był zmęczony i doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi go trochę popędzić.

Z jowialnym uśmiechem podszedł do stolika i spytał:

- Co słyhać?

Niema pan dokąd iść?

Młody mężczyzna podniósł wzrok.

Miał ciemnoniebieskie oczy.

Dziwne, smutne i udręczone.

Joe chyba go gdzieś widział.

- Czy ja pana nie znam?
Tamten pokręcił głową.
330
- Chyba jednak znam.
Jak panu na imię?
Mężczyzna odpowiedział.
- Człowiek bez imienia i nazwiska.
- wymamrotał Joe.
Inagle go olśniło.
- Nie zna mnie pan - rzekł mężczyzna akcentem spikera BBC.
Tamten chłopak mówił cockneyem.
Ale też miał dziwne oczy.
Tak, to był on.
Na pewno.
Nasto procent.
Zapominając o zamknięciu baru, Joe usiadł.
- Był pan wtedy małym chłopcem.
Uciekł pan skądś.
Chciałem pana podrzucić, ale zanim wróciłem z zaplecza, dał pan nogę.
Długo o panu myślałem, przez wiele lat.
Chciałem, żeby się panu powiodło.
Mężczyzna zakręcił filiżanką.
Ulica prawie opustoszała.
Samochodów było coraz mniej, a chodnikiem przechodziła tylko grupa ludzi w kolorowych maskach.
Śpiewali kolędy w padającym śniegu.
- Pańskie imię zaczynało się na "M".
- Joe zmarszczył czoło.
-Matt?
- Nie.
-W takim razie Mike.
-Joe rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.
-
Mike, na pewno.
- Mike - powtórzył jak echo tamten.
- Nakarmił go pan, a on był panu wdzięczny.
Skonsternowany Joe przestał się uśmiechać.
- Nie, to byłeś ty, to ciebie nakarmiłem.
Nie. Tamten chłopak był zupełnie kimś innym.
Kimś o wiele silniejszym.
Mężczyzna miał zboląłą twarz.
Nie wiedzieć czemu, Joe się nagle wzruszył.
Zagrały w nim opiekuńcze instynkty.
Jak wtedy, przed laty.
- Może mi o tym opowiesz?
- spytał łagodnie.
-Mam czas.
Chętnie
posłucham.
- Nie, ale odpowiem na pańskie pytanie.

-Hm?

Ciemnoniebieskie oczy wypełniły się łzami.

- Tak, mam dokądiść.

Wstał,położył Joemu rękę na ramieniu, lekko zacisnął palce i ruszył do drzwi.

Joe spojrział w okno.

Mężczyzna stanął na krawężniku i machnął ręką naprzejeżdżającą taksówkę.

Kiedy się zatrzymała, wsiadł i pochwili zniknąłw padającym śniegu i mroku miasta.

Epilog

Devon, 2003

To był cudowny dzień, w sam raz na ślub.

Błękitnego majowego nieba nieprzesłaniała ani jedna chmurka, a lekka bryza łagodziła nieznośny skwar.

W jadalni hotelu Linton Forest pootwierano wszystkie okna, żeby wpuścić do środka jak najwięcej powietrza.

Przy jednym z nich stał honorowy stół.

U jego szczytu siedzieli Henry Bellamy i jego żona Eleanora, spoglądająca dwustu gości, którzy przyszedli na ślub ich córki Oliwii i Michaela Turnera.

Catherine Chester, atrakcyjna trzydziestokilkulatka, która niedawno została współniczką u Coksa Stephensa, siedziała z Nickiem Randallem.

Choć nie została oficjalnie zaproszona, przysłała z Nickiem jako osoba towarzysząca.

Posadzono ich ze Stuartem, jego żoną Heleną, z Seanem i Mają.

Stuart był jej kolegą z pracy, natomiast pozostałą trójkę poznała dopiero tutaj.

Ale wszyscy byli bardzo mili i przyjaciele. Jack Bennett siedział kilka stolików dalej, z żoną i dziećmi.

Stuart i Nick dowcipkowali na temat pana młodego, a Sean dorzucił kilka anegdot od siebie.

Widać było, że bardzo go lubią, choć rzadko się ostatnio widywali.

Michael odszedł z kancelarii przed trzema laty i pracował teraz w przemyśle.

Powiadano, że robi błyskotliwą karierę.

Kelner w stroju osiemnastowiecznego lokaja zebrał talerze.

Na podwyższeniu przy ścianie czterech wyfraczonych skrzypek grał koncert Haydna.

Ponieważ Stuart, Nick i Sean wciąż rozmawiali, Catherine zapaliła papierosa i spytała Maję o pannę młodą.

- Jest aktorką, ale dopiero zaczyna.

Zagrała kilka epizodycznych ról w serialach, to wszystko.

Jest miła, ale.

- Maja zawiesiła głos.

- Ale widzieliśmy się tylko raz.

332

Słuchając, Catherine wędrowała wzrokiem po twarzach elegancko ubranych gości.

Przy honorowym stole, po obu stronach pary młodej, siedzieli Henry i Eleanora Bellamy.

Oboje mieli bardzo dumne miny; Przed laty Catherine była na weselu, podczas którego pijany ojciec panny młodej wstał, wygłosił toast i zwracając się do zięcia, powiedział: "Posłuchaj mojej rady, chłopcze.

Dobrze ją karm i regularnie dymaj, to nie będzie narzekała".

Catherine uśmiechnęła się do siebie, ciekawa, czy Bellamy pójdzie w jego ślady.

Oliwia wyglądała przepięknie.

Była wysoką, wiotką i kształtną brunetką o typowo angielskiej urodzie.

Catherine zamieniła z nią kilka słów, kiedy składała jej życzenia i odniosła wrażenie, że panna młoda jest dziewczyną słodziutką, lecz nudną.

Z drugiej strony rozmawiały bardzo krótko, więc może się myliła.

Niczym zjawisko w atlasowej bieli, siedziała na honorowym miejscu, patrząc z uwielbieniem na męża.

Pod wpływem nagłego impulsu cmoknęła go w policzek.

Michael uśmiechnął się, lecz jej nie pocałował.

Pewnie był zbyt skrepowany, żeby publicznie okazywać uczucia.

Kiedy odwrócił głowę, żeby porozmawiać z ojcem, zaczął wodzić widelcem po talerzu z miną człowieka, który wolałby stamtąd uciec.

Typowy mężczyzna.

Niechętnie ulegał weselnemu nastrojowi nawet wtedy, gdy było jego własne wesele.

Nie zmienił się.

Wciąż był uderzająco przystojny, chociaż kiedy pracował u Coksa Stephensa, miał mniej spiętą twarz.

Pewnie był przepracowany.

Brak apetytu nie doskwierał za to jego družbie, pulchnemu chembinkowi, który z trudem mieścił się w zbyt obcisłym garniturze.

Miał na imię George i był szkolnym przyjacielem Michaela.

Ciekawe, czy widywał go częściej niż pozostali.

Kelner napełnił jej kieliszek.

Wypiła łyk wina, obserwując, jak Eleanora Bellamy rozmawia z dobrze zbudowanym pięćdziesięcioletnim o szpakowatych włosach i bystrych oczach.

Max Somerton, człowiek, który od tragicznej śmierci pierwszej narzeczonej Michaela zastępował mu ojca.

Catherine nie знаła Rebeki.

Znało ją za to wielu innych gości i wszyscy wspominali ją z wielką czułością.

Wypytywała ich Maksa, lecz wiedzieli o nim tylko jedno: że jest niezwykle bogaty.

Stuart był bardzo oględny, lecz odniosła wrażenie, że wini Maksa za to, że Michael tak rzadko widuje się z przyjaciółmi.

"Jest bardzo hojny - powiedziała Maja.

- Na prezent ślubny kupił im dom.

W Kensington, parę kroków od miejsca, gdzie mieszka".

Przyjrzała mu się uważniej.

Nie należał do mężczyzn przystojliwych, mimo to był atrakcyjny i miał w sobie coś, czego przedtem nie zauważyła.

Biłoz niegoopowanie, spokój i wewnętrzna siła.

Bardzo jej się to spodobało.

Opisywał coś Eleanorze, energicznie gestykulując.

Ręce miał duże, lecz poruszał nimi z niezwykłą gracją.

To też jej się spodobało.

333.

Eleanora wszczyła rozmowę z Michaelem.

Dokładniej rzecz biorąc, onamowała, a on niechętnie słuchał, kiwając głową w chwilach, kiedy należało przytaknąć.

Rozbawiony Max puścił doniego oko, lecz Michael - najpewniej chcąc urazić tęściowej - nie zareagował.

Sean i Maja niedawno się pobrali.

Miesiąc miodowy spędzili na wędrownkach w Peru i podczas gdy Sean opowiadał o swoich przygodach, Catherine obserwowała Maksa.

Pod wieczór postanowiła zaatakować.

Stoły zniknęły, zniknęli kwartet.

Jego miejsce zajęła orkiestra taneczna, a pod sufitem rozbłysły stroboskopowe lampy.

Co zwaśni goście już tańczyli.

Pozostali gawędzili w grupkach przy barku, korzystając z nie kończących się zapasów alkoholu.

Catherine wyszła na parkiet.

Michael i Oliwia tańczyli w takt zwariowanej wersji / Will Survive, lecz gdy podeszła bliżej, okazało się, że to wcale nie Michael, tylko ktoś bardzo podobny.

W końcu go wypatrzyła.

Stał w kącie sali, przy barku.

Palił cygaretkę i rozmawiał szeptem z przybranym synem.

W jadalni było ciemno, mimo to zauważyła, że Michael jest przygnębiony.

Max próbował go rozweselić.

Ruszyła w tamtą stronę w chwili, gdy orkiestra zagrała The Power of Love.

Olivia oderwała się od partnera i posłała mężowi tęskne spojrzenie.

Max zerknął na nią, szepnął coś do Michaela i wypchnął go na parkiet.

Uznawszy, że lepszej okazji nie będzie, Catherine pospieszyła zająć jego miejsce.

Po drodze minęła pana młodego.

I ponownie stwierdziła, że ma bardzo spiętą twarz.

Jakby przytłaczał go jakiś ciężar.

Lekarz powinien przepisać mu długą podróż poślubną.

Nagle Michael znieruchomiał i wytrzeszczył oczy, jakby zobaczył ducha.

Początkowo myślała, że patrzy na nią, alenie: całą uwagę skupił na ładnej dziewczynie w jego wieku, blondynce o krótkich włosach i figlarnym uśmiechu, która rozmawiała z przyjaciółmi.

Potem spojrzął na Maksai przez chwilę widziała w jego oczach.

Czyżby to była nienawiść?

Nie możliwe.

Wszystko przezto światło.

Zresztą Max nie zareagował.

Uśmiechnęła się tylko pobłaźliwie, tak jak uśmiechał się do niego przy stole.

Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę.

- Catherine Chester.

Być może słyszał pan o mnie od Jacka Bennetta.

Pracuję u Coksa Stephensa.

334

- Tak, chyba tak - odparł głosem tak pięknym, że przeszedł ją dreszcz.

Ucisnęła jej dłoń mocno i zdecydowanie.

Zawisł między nimi obłoczek dymu.

- Piękny ślub powiedziała.

- Owszem.

- I cudowne wesele.

Znakomicie się bawię.

- Kilka kroków dalej krążyła Eleanora, i Catherine modliła się w duchu, żeby im nie przeszkodziła.

Max uśmiechnął się dwornie, nie odrywając wzroku od tańczących nowożeńców.

- Musi pan być bardzo dumny z Michaela.

- Tak.

Czekąco wspaniała przyszłość.

- Miał przesywające spojrzenie.

Wyczuła, że trudno by było coś przed nim ukryć.

Zaryzykował niewinny żart.

- Nareszcie dostałam rozwód i mam nadzieję, że mnietęż.

Kiwnął głową.

Bez żadnego zainteresowania.

Nicto.

Spróbowała inne sztuczki.

- Oliwia touroczą dziewczyna.

Zaciągnął się dymem.

- Owszem.

- I robi błyskotliwą karierę.

- Kariery jeszcze nie robiła, lecz pochlebstwo nigdy nikomu nie zaszkodziło.

- Szkoda, że będzie musiała ją przerwać.

- Tak?

- Naturalnie.

Michael bywa w wielkim świecie i musi mieć towarzyszkę.

A ja chcę mieć wnuki.

Mówił głosem pięknym, choć obojętnym, lecz Catherine nie zamierzała składać broni.

Jeszcze nie.

Żeby zwrócić na siebie uwagę, postanowiła go sprowokować.

- Nie jestem pewna, czy Oliwia poświęci swoje ambicje.

- Jeśli nie zechce, będzie musiała ustąpić miejsca innej.

Miał drapieżne oczy.

Śledził nimi Michaela niczym wilk podchodzący ofiarę.

Ponownie przeszedł ją dreszcz.

Nagle Max się uśmiechnął.

Tym razem ciepło.

I roześmiał się.

Przyjaźnie i życzliwie.

Podziękowania

Zacznę zgodnie z oczekiwaniami: od mojej matki Mary, kuzyna Anto oraz przyjaciół: Gili, landry, Rebeki, Lesleya, Jeż, Paula i Susan, którzy pomagali mi podczas pisania tej powieści.

Dzięki.

Bez was nie dałbym rady.

Dziękuję również Poily Edwards i Elizabeth Trott za rady techniczne, chociaż nie muszę chyba dodawać, że za wszelkie niedociągnięcia winę ponoszę wyłącznie ja.

Wreszcie - co bynajmniej nie oznacza, że cenię ich najmniej - chciałbym podziękować mojemu agentowi Patrickowi Walshowi i wydawcy Kate Lyall Grant, których wkład zarówno w strukturę, jak i styl tej książki był poprostu nieoceniony.

Dziękuję również Christopherowi Little oraz wszystkim pracownikom wydawnictwa Hodder Stoughton za ciężką pracę, którą zamnie wykonali.